

KARIN SLAUGHTER

UK
ŁA
DAN
KA

A movie poster for the film 'Karin Slaughter: UKŁADANKA'. The top half features the title 'KARIN SLAUGHTER' in large, bold, red, distressed capital letters. Below this, a woman's face is shown in profile, looking to the left. Her face is partially obscured by a cracked and spiderwebbed glass pane. Overlaid on the center of her face is the word 'UKŁADANKA' in white, serif capital letters, arranged in four lines: 'UK', 'ŁA', 'DAN', and 'KA'. The background is a textured, light-colored wall.

Karin Slaughter

UKŁADANKA

Tłumaczenie:
Dorota Stadnik

*Jestem Nikim! A kim ty jesteś?
Czy także - jesteś - Nikim?
A więc dwoje nas? Nic nie mów,
Bo ogłoszą to - z krzykiem!*

*Być kimś - jakie to żałosne!
Imienia swego nie pragnę -
Jak żaba - w czerwcu życia - głośić
Przed zachwyconym bagnem!*

Emily Dickinson^[1]

PROLOG

Przez lata, nawet kiedy go kochała, jakaś jej cząstka nienawidziła go w ten dziecinny sposób, w jaki nienawidzi się czegoś, nad czym nie można zapanować. Był uparty, głupi i przystojny, czym pokrywał własne błędy – wciąż te same, ponieważ po co popełniać nowe, skoro stare tak dobrze działały na jego korzyść?

Był też czarujący. I na tym polegał problem. Oczarowywał ją. Doprowadzał do szału. Potem znowu oczarowywał tak, że sama już nie wiedziała, które z nich jest węzłem, a które zaklinaczem.

Wykorzystywał więc czar i furję, ranił ludzi, znajdował coś nowego, co budziło jego zainteresowanie, a starocie zostawiał na pastwę losu.

W pewnym momencie jego czar przestał działać. Jakby pociąg wypadł z szyn. Jakby zabrakło maszynisty. Błędy nie mogły być już wybaczone. Ten sam błąd popełniony po raz drugi nie poszedł już w niepamięć, a gdy zdarzył się po raz trzeci, przyniósł tragiczne konsekwencje w postaci odebranego życia, kary śmierci. Niewiele brakowało, a sama też straciłaby życie.

Jak mogła nadal kochać człowieka, który próbował ją zniszczyć?

Kiedy z nim była – a jego upadek trwał długo – zbuntowali się przeciwko systemowi tworzącemu łańcuch. Domy opieki. Oddziały ratunkowe. Wariatkowo. Brud. Personel zaniedbujący pacjentów. Sanitariusze ciasno wiążący kaftan bezpieczeństwa. Pielęgniarki odwracające głowy. Lekarze wydzielający tabletki. Uryna na podłodze. Odchody rozmazane na ścianie.

Szyderstwa, bicie, pożądanie ze strony współwięźniów czy innych pacjentów.

Bardziej niż bunt przeciwko niesprawiedliwości powodowała nim wściekłość. Nęciła świeżość nowej sprawy. Szansa na sianie zniszczenia. Niebezpieczna gra. Groźba przemocy. Obietnica sławy. Ich imiona podane do wiadomości publicznej. Ich doniosłe czyny na ustach dzieci uczących się w szkole rymowanki o nominałach:

A penny, a nickel, a dime, a quarter, a dolar bill...

Ukrywała przed światem jeden jedyny grzech, którego nigdy by nie wyznała. To ona rozdmuchała pierwszą iskrę.

Zawsze wierzyła - żarliwie, głęboko - że jedynym sposobem na zmianę świata jest jego unicestwienie.

20 SIERPNIA 2018

1

- Andreo - odezwała się matka, a po chwili poprawiła się, czyniąc zadość prośbie wyrażanej już setki razy: - Andy.

- Mamo...

- Pozwól mi mówić, skarbie - powiedziała Laura z naciskiem.

Andy skinęła głową, przygotowując się w duchu na długo oczekiwane kazanie. Dzisiaj kończyła trzydzieści jeden lat, a jej życie utknęło w martwym punkcie. Musiała zacząć sama podejmować decyzje, zamiast pozwalać, by życie podejmowało je za nią.

- To moja wina - oznajmiła Laura.

Andy poczuła, że jej spierzchnięte wargi otwierają się ze zdumienia.

- Co? - zapytała oszołomiona.

- Że tu tkwisz. Jak w pułapce.

Andy szerokim gestem obu rąk wskazała wewnątrz restauracji.

- W Rise-n-Dine?

Spojrzenie matki powędrowało od czubka głowy córki ku jej dłoniom, które nerwowo opuściła na blat stołu. Po drodze zarejestrowało brudne brązowe włosy niedbale związane w kucyk. Cienie pod zmęczonymi oczami. Obgryzione paznokcie. Wystające kości nadgarstków. Skórę, zwykle bladą, teraz o barwie wody po hot dogach.

Do tego dochodził służbowy strój. Granatowy uniform wisiał na Andy jak worek. Na identyfikatorze wyszytym srebrną nitką i zwisającym z kieszonki na piersi, widniało logo z palmą z Belle Isle otoczoną literami układającymi się w słowa POLICYJNY DYSPOZYTOR. Jak policjantka, ale nie do końca. Jak dorosła, ale nie całkiem. Pięć nocy w tygodniu Andy

siedziała z czterema innymi kobietami w ciemnym wilgotnym pomieszczeniu, odpowiadając na wezwania na numer alarmowy dziewięćset jedenaście, sprawdzając tablice rejestracyjne i prawa jazdy oraz nadając sprawom numery porządkowe. Około szóstej rano wracała do domu matki i przesyiała większość dnia.

- Nie powinnam pozwolić ci tu wracać - powiedziała Laura.

Andy zacisnęła wargi i spojrzała na ostatni kęs jajeczniczy na talerzu.

- Moja słodka córeczka. - Laura wyciągnęła do niej rękę w oczekiwaniu, aż podniesie wzrok. - Odciągnęłam cię od twojego życia. Bałam się. Byłam egoistką. - Łzy popłynęły jej z oczu. - Nie powinnam aż tak bardzo cię potrzebować. Nie powinnam prosić o aż tyle.

Andy potrząsnęła głową i znowu spuściła wzrok.

- Kochanie.

Andy nie przestawała kręcić głową. Gdyby nie to, musiałyby zacząć mówić, a gdyby się odezwała, musiałyby powiedzieć prawdę.

Matka o nic jej nie prosiła.

Trzy lata temu Andy wracała do nędznej klitki na czwartym piętrze bez windy na Lower East Side, cierpiąc na myśl o kolejnej nocy w jednej sypialni dzielonej z trzema dziewczynami, za którymi niespecjalnie przepadała. Wszystkie były młodsze, ładniejsze i osiągnęły więcej od niej. Wtedy zadzwoniła Laura.

- Rak piersi - oznajmiła bez ściszenia głosu i owijania w bawełnę w charakterystyczny dla siebie spokojny sposób. - Trzecie stadium. Chirurg usunie guza, a kiedy będę jeszcze pod narkozą, zrobi biopsję węzłów chłonnych, żeby ocenić...

Laura wdała się w fachowe objaśnienia, których sens jednak

umknął Andy. Zupełnie jakby straciła zdolność rozumienia języka. Na dźwięk słów „pierś” i „rak” momentalnie pomyślała o obfitym biuście matki. Schowanym pod jednoczęściowym kostiumem kąpielowym na plaży. Wyglądającym z dekoltu sukni z podniesionym stanem na szesnastych urodzinach Andy’ego Netherfielda, na których obowiązywały kostiumy z czasów Jane Austen. Ujętym w usztywnione gąbką miseczki z fiszbinami stanika Lady Comfort, gdy siedziała na sofie w swoim gabinecie logopedycznym.

Laura Oliver nie była seksbombą, ale reprezentowała typ, jaki mężczyźni określają wyrażeniem „dobrze zbudowana”. A może mówiły tak kobiety w ubiegłym wieku. Laura nie gustowała w ciężkim makijażu i perłach, ale nigdy nie wyszła z domu bez starannie ułożonej fryzury z krótkich siwych włosów, porządnie wyprasowanych lnianych spodni i czystej elastycznej bielizny.

Andy rzadko kiedy tak po prostu wychodziła z mieszkania. Zwykle musiała wracać po coś, czego zapomniała: po telefon, identyfikator, kiedyś nawet po tenisówki, ponieważ wyszła z budynku w kapciach.

Kiedy ludzie w Nowym Jorku pytali ją o matkę, Andy przypominała sobie to, co Laura powiedziała o swojej matce:

- Zawsze wiedziała, gdzie leżą przykrywki do wszystkich pojemników na jedzenie.

Andy nawet nie zwracała sobie głowy zamykaniem woreczka strunowego.

Po drugiej stronie słuchawki, tysiąc trzysta kilometrów od Andy, ciężkie westchnienie Laury było jedynym znakiem, że ta sytuacja jest dla niej trudna.

- Andreo?

Andy miała w uszach szum nowojorskiej ulicy. Musiała na

powrót skupić się na głosie matki.

Rak.

Próbowała odchrząknąć. Nie udało się. Była w szoku. Sparaliżował ją strach. Świat nagle stanął w miejscu i wszystko – porażki, rozczarowania, sześć lat wegetowania w Nowym Jorku – zniknęło niczym cofająca się fala tsunami. Rzeczy, które nigdy nie powinny zostać odsłonięte, nagle znalazły się na widoku.

Jej matka miała raka.

Mogła umrzeć.

- Czeka mnie chemioterapia, która pewnie będzie bardzo trudna – ciągnęła Laura. Przywykła do wypełniania ciszy generowanej przez Andy własnymi kwestiami. Nauczyła się już dawno, że wypominanie jej milczenia skończy się raczej kłótnią niż wznowieniem cywilizowanej konwersacji. - Potem będę codziennie brać jedną tabletkę. I tyle. Pięcioletnia przeżywalność sięga ponad siedemdziesięciu procent, więc właściwie nie ma się czym martwić, tylko trzeba przez to przejść. - Nastąpiła przerwa na wzięcie oddechu, może w nadziei na to, że Andy jest już gotowa się odezwać. - Ten rak jest wyleczalny, kochanie. Nie chcę, żebyś się martwiła. Zostań tam, gdzie jesteś. Nic nie możesz zrobić.

Rozległ się klakson. Andy rozejrzała się wokół. Zastygła w bezruchu na środku przejścia dla pieszych. Zmusiła się do zrobienia kroku. Telefon parzył ją w ucho. Było po północy. Pot spływał po niej jak roztopione masło. Usłyszała śmiech widzów sitcomu, brzęk butelek, przejmujące wołanie o pomoc. Wszystkie te dźwięki uczyła się ignorować przez pierwszy miesiąc życia w mieście.

Po jej stronie telefonu cisza panowała już zbyt długo. W końcu matka ją ponagliła:

- Andreo?

Andy otworzyła usta, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Skarbie? - dodała pytająco Laura, nadal cierpliwie, życzliwym tonem, jakim rozmawiała ze wszystkimi spotykanymi ludźmi. - Słyszę hałas ulicy. Inaczej bym pomyślała, że padł zasięg. - Znowu urwała. - Andreo, muszę wiedzieć, że rozumiesz, co ci właśnie powiedziałam. To ważne.

Andy ponownie otworzyła usta. Odór ścieków, charakterystyczny dla tej okolicy, wdierał się w jej nozdrza jak wszędobylskie meszki. Rozbrzmiał następny klakson. Inna kobieta krzykiem zaczęła wzywać pomocy. Następna porcja potu spłynęła Andy po plecach i sięgnęła majtek. Elastyczna tkanina była rozdarta tam, gdzie lądował kciuk Andy przy zdejmowaniu bielizny.

Nie pamiętała, jak udało jej się wyrwać ze stuporu, zapamiętała jednak słowa, które skierowała w końcu do matki:

- Przyjeżdżam do domu.

Po sześciu latach w mieście niewiele miała spraw do załatwienia. Wymówienie z trzech posad w niepełnym wymiarze godzin złożyła esemesami. Sieciówkę na metro oddała bezdomnej kobiecie, która najpierw jej podziękowała, a potem piskliwie wyzwała od dziwek. W walizce wylądowały tylko najpotrzebniejsze rzeczy: ulubione T-shirty, para dżinsów, książki, które przetrwały nie tylko podróż z Belle Isle, ale też pięć przeprowadzek do coraz to gorszych mieszkań. W domu nie potrzebowała rękawiczek, kurtki ani nauszników. Nie kłopotowała się praniem pościeli. Nie zdjęła jej nawet z kanapy, która pełniła funkcję łóżka. Ruszyła na lotnisko LaGuardia tuż przed świtem, niecałe sześć godzin po telefonie od matki. Jej życie w Nowym Jorku błyskawicznie dobiegło końca. Jedyne, co zostawiła po sobie swoim trzem młodszymi i lepiej

wykształconym współlokatorom, to niedojedzona kanapka z rybą w lodówce i zapłacona przypadająca na nią część czynszu za następny miesiąc.

To było trzy lata temu. Prawie połowę tego, ile spędziła w Nowym Jorku. W chwilach słabości zaglądała na profile byłych współlokatorek na Facebooku. Były jej punktem odniesienia. Jedna z nich została menedżerką średniego szczebla portalu o modzie. Druga założyła firmę projektującą buty sportowe na indywidualne zamówienie. Trzecia zmarła po kokainowej imprezie na jachcie jakiegoś bogacza. Nocami, kiedy Andy odbierała telefon, a po drugiej stronie odzywał się dwunastolatek, który dla kawału zgłaszał, że padł ofiarą molestowania, nachodziła ją myśl, że z całej ich czwórki jednak najmniej osiągnęła.

Jacht, na litość boską.

Jacht.

- Skarbie? - Matka zabębniła w stół, by zwrócić na siebie uwagę. Tłum w lokalu się przerzedził. Mężczyzna siedzący bliżej drzwi rzucił jej gniewne spojrzenie znad gazety. - Gdzie jesteś?

Andy znowu powiodła rękami dookoła, wskazując restaurację, ale to był wymuszony gest. Obie dobrze wiedziały, gdzie jest: niecałe dziesięć kilometrów od miejsca, w którym zaczęła.

Andy pojechała do Nowego Jorku w przekonaniu, że znajdzie sposób, by zabłysnąć, a skończyła, emitując tyle światła, ile stara latarka pozostawiona w kuchennej szufladzie. Nie chciała być ani aktorką, ani modelką, ani żadną z postaci ze zwyczajowych dziewczyńskich marzeń. Nigdy nie marzyła o gwiazdorstwie. Pragnęła być w pobliżu gwiazdy jako osobista asystentka, dostarczycielka kawy, rekwizytorka, dekoratorka,

osoba od mediów społecznościowych, członkini zespołu wsparcia ułatwiającego gwiazdzie życie. Chciała kąpać się w jej blasku. Być w centrum wydarzeń. Poznawać ludzi. Mieć kontakty i powiązania.

Jej profesor w Akademii Sztuki i Projektowania w Savannah wydawał się dobrym kontaktem. Olśniła go swoim zamiłowaniem do sztuki. Tak przynajmniej twierdził. Dopiero po fakcie dotarło do niej, że powiedział to, gdy już wylądowali w łóżku. Kiedy ona zakończyła romans, były kochanek uznał jej luźne uwagi o skupieniu się na karierze za szantaż. Zanim się zorientowała, co się dzieje, zanim wyjaśniła profesorowi, że nie próbuje wykorzystać jego niestosownego zachowania dla własnej kariery, pociągnął za kilka sznurków i załatwił jej pracę asystentki asystenta scenografa w przedstawieniu off-Broadway.

Off-Broadway!

Jedną ulicę od właściwego Broadwayu!

Andy brakowało dwóch semestrów do zakończenia nauki na kierunku technika teatralna. Spakowała walizkę i nie oglądając się za siebie, pojechała na lotnisko.

Dwa miesiące później przedstawienie spadło z afisza z powodu miażdżących recenzji.

Członkowie zespołu szybko znaleźli inne posady, dołączyli do ekip pracujących przy innych przedstawieniach. Wszyscy prócz Andy, która poznała smak prawdziwego życia w Nowym Jorku. Była kelnerką, wyprowadzała psy, malowała szyldy, windykowała długie przez telefon, rozwoziła przesyłki, robiła kanapki, obsługiwała ksero, a skończyła jako ta, która zostawiła niedojedzoną kanapkę rybną w lodówce i swoją część czynszu na następny miesiąc na kuchennym stole, a potem uciekła do Zadupia Górnego w Georgii czy innej metropolii,

z której pochodziła.

Jedyne, z czym wróciła do domu, to resztki godności, które teraz traciła.

Podniosła wzrok znad talerza.

- Mamo. - Musiała odchrząknąć, zbierając się na wyznanie. - Kocham cię za to, co powiedziałaś, ale to nie twoja wina. Masz rację, że chciałam przyjechać do domu, by cię zobaczyć. Ale zostałam z innych powodów.

Laura zmarszczyła brwi.

- Z jakich powodów? Przecież uwielbiałaś Nowy Jork.

Andy nienawidziła Nowego Jorku.

- Świetnie tam sobie radziłaś.

Andy tam tonęła.

- Chłopak, z którym się spotykałaś, był tobą bardzo zainteresowany.

Jak wszystkimi innymi waginami w swoim budynku.

- Miałaś tyle przyjaciółek.

Żadna z nich nie odezwała się do niej od czasu wyjazdu.

- No cóż - westchnęła Laura. Lista argumentów dodających otuchy została wyczerpana. Jak zwykle przejrzała Andy na wylot. - Kochanie, zawsze chciałaś być kimś innym. Kimś wyjątkowym, to znaczy kimś obdarzonym szczególnym darem. Niespotykanym talentem. Dla mnie i taty jesteś wyjątkowa.

- Dzięki. - Andy teatralnie przewróciła oczami.

- Jesteś utalentowana. Jesteś bystra. Więcej niż bystra. Jesteś błyskotliwa.

Andy przejechała dłońmi w górę i dół twarzy, jakby chciała tym gestem wypisać się z tej rozmowy. Wiedziała, że jest bystra i utalentowana. Problem polegał na tym, że w Nowym Jorku wszyscy inni też są bystrzy i utalentowani. Nawet chłopak pracujący w pobliskim sklepiku spożywczym był

zabawniejszy, bystrzejszy i błyskotliwszy od niej.

Laura nie dawała za wygraną.

- Nie ma nic złego w tym, że się jest zwyczajnym. Życie zwyczajnych ludzi jest pełne sensu. Spójrz na mnie. Szukanie przyjemności nie jest zdradą ideałów.

- Mam trzydzieści jeden lat, od trzech lat nie byłam na prawdziwej randce, mam sześćdziesiąt trzy tysiące dolarów kredytu za studia, których nie skończyłam, i mieszkam w pokoiku nad garażem swojej matki. - Andy czuła, że brakuje jej powietrza. Zwerbalizowanie tej listy skończyło się uciskiem w klatce piersiowej. - Nie chodzi o to, co jeszcze mogę zrobić. Pytanie brzmi: co jeszcze mogę schrzanić?

- Niczego nie schrzaniłaś.

- Mamo...

- Przywykłaś, że czujesz się zdolowana. Można przyzwyczać się do wszystkiego, zwłaszcza do złych rzeczy. Ale w tej chwili jedynym kierunkiem jest droga w górę. Nie możesz spaść z podłogi.

- Słyszałaś kiedyś o piwnicy?

- Piwnice też mają podłogi.

- A pod nimi ziemia.

- „Ziemia” to inne słowo na określenie podłogi.

- Ziemia to mogiła. Sześć stóp pod ziemią.

- Czy ty zawsze musisz iść w makabrę?

Andy poczuła, jak nagła irytacja zamienia jej język w brzytwę. Powstrzymała się od kąśliwego komentarza. Nie była już nastolatką. Nie mogły już kłócić się o godzinę powrotu do domu, makijaż czy obcisłe dzinsy. Obecnie toczyły spory o inne kwestie. Czy piwnice mają podłogi. Czy papier toaletowy powinien odwijać się z wierzchu, czy spod spodu rolki. Czy widelce powinno się wkładać do zmywarki ząbkami do góry,

czy do dołu. Czy wózek na zakupy to wózek, czy kosz. O to, że Laura myli imię kota. Zamiast Mruczuś mówi Mruczek.

- Któregoś dnia pracowałam z pacjentem i wydarzyło się coś bardzo dziwnego. - Szybka zmiana tematu była jedną z odwiecznych strategii Laury służących zawarciu rozejmu. - Bardzo dziwnego - powtórzyła tonem pełnym wyczekiwania.

Andy wahała się przez chwilę, potem skinieniem głowy zachęciła matkę, by kontynuowała.

- Cierpi na afazję Broki. Paraliż prawej strony. - Laura była dyplomowaną logopedką mieszkającą na wybrzeżu w okolicy pełnej emerytów. Większość jej pacjentów przeszła ciężki udar mózgu. - Przedtem był informatykiem, ale to chyba nie ma znaczenia.

- Co takiego dziwnego się zdarzyło? - zapytała Andy, odgrywając swoją rolę.

Laura uśmiechnęła się lekko.

- Opowiadał mi o ślubie wnuka. Nie miałam pojęcia, co chce powiedzieć, ale usłyszałam *Blue suede shoes*. I nagle wróciło do mnie jedno wspomnienie. Kiedy umarł Elvis.

- Elvis Presley?

- Tak. Był siedemdziesiąty siódmy rok. Miałam czternaście lat. Wolałam Roda Stewarta niż Elvisa. Nieważne. W naszym kościele siedziały konserwatywne panie z wysoko upiętymi włosami i głośno opłakiwały jego śmierć.

Andy uśmiechnęła się zakłopotana, jak człowiek, który wie, że nie zrozumiał intencji rozmówcy.

Laura posłała córce taki sam zakłopotany uśmiech. Mimo upływu czasu od ostatniej chemioterapii nadal cierpiała z powodu wpływu tej kuracji na mózg. Zapomniała, o co jej chodziło.

- Przypomniałam sobie po prostu taką śmiesznośćkę.

- Domyślam się, że chciałaś nawiązać do hipokryzji tych pań?
- Andy próbowała odświeżyć jej pamięć. - Elvis był całkiem seksowny, prawda?

- Nieważne. - Laura poklepała ją po dłoni. - Jestem ci niezmiernie wdzięczna. Za siłę, którą mi dałaś podczas choroby. Za bliskość, która między nami pozostała do teraz. To dla mnie bezcenne. To dar. - Głos zaczął jej drżeć. - Teraz już mi lepiej. Chcę, żebyś zaczęła żyć swoim życiem. Chcę, żebyś była szczęśliwa. A jeśli to ci się nie uda, chciałabym, żebyś chociaż żyła w zgodzie z samą sobą. Tutaj tego nie osiągniesz, skarbie. Pragnę ci jakoś to ułatwić, ale uda ci się tylko wtedy, kiedy dojdiesz do tego sama.

Andy powędrowała wzrokiem ku sufitowi. Potem rozejrzała się po pustym centrum handlowym. W końcu spojrzała na matkę.

Laura miała łzy w oczach. Potrząsała głową, jak robią ludzie odczuwający zachwyt.

- Jesteś wspaniała. Wiesz o tym?

Andy parsknęła wymuszonym śmiechem.

- Jesteś wspaniała, bo jesteś sobą. - Laura przycisnęła dłoń do serca. - Jesteś utalentowana i piękna. Odnajdziesz swoją drogę, skarbie. I bez względu na wszystko będzie to właściwa droga, ponieważ sama ją sobie wytyczysz.

Andy poczuła ściskanie w gardle. I wzbierające łzy. Wokół nich panowała taka cisza, że Andy słyszała szum krwi w swoich żyłach.

- No cóż. - Laura zaśmiała się, sięgając po kolejną sprawdzoną strategię rozładowania emocji. - Gordon uważa, że powinnam dać ci ostateczny termin wyprowadzki z domu.

Gordon. Ojciec Andy. Był prawnikiem obsługującym fundusze powiernicze i sprawy spadkowe. Całe jego życie składało się

z terminów.

- Nie zamierzam wyznaczać ci terminu ani dawać ultimatum
- dodała Laura.

Gordon uwielbiał ultimatum.

- Chcę powiedzieć, że jeśli to jest twoje życie - wskazała uniform Andy podobny do policyjnego munduru - to idź w tę stronę. Zaakceptuj je. A jeśli pragniesz zająć się czym innym - ścisnęła rękę Andy - to zrób to. Ciągłe jesteś młoda. Nie masz kredytu mieszkaniowego, nie spłacasz rat za samochód. Jesteś zdrowa. Jesteś inteligentna. Możesz robić, co zechcesz.

- Nie z kredytem studenckim na karku.
- Andreo, nie chcę być fatalistką, ale jeśli nieustannie będziesz kręcić się w kółko, zaraz stuknie ci czterdziestka, a ty poczujesz się bardzo zmęczona życiem w tym kołowrocie.
- Czterdziestka - powtórzyła Andy. W miarę zbliżania się do tej granicy czuła, że ten wiek nie wiąże się z automatycznym zgrzybieniem.

- Twój ojciec mawiał...

- Sraj albo wypad z klopa. - Gordon zawsze powtarzał Andy, żeby szła naprzód, do czegoś doszła, coś z sobą zrobiła. Przez lata winiła ojca za swój bezwład. Kiedy rodzice są energicznymi, wykształconymi ludźmi z sukcesami na koncie, lenistwo jest formą buntu, czyż nie? Uparto i konsekwentnie wybieranie łatwiejszej drogi, ponieważ trudniejsza droga jest po prostu... trudna.

- Doktor Oliver? - Przy ich stoliku stanęła starsza kobieta. Najwyraźniej nie dostrzegła, że zakłóca osobistą rozmowę matki i córki. - Nazywam się Betsy Barnard. W zeszłym roku pracowała pani z moim ojcem. Chciałam pani podziękować. Dokonała pani cudu.

Laura wstała, by uścisnąć jej dłoń.

- Miło słyszeć, ale to pani ojciec wykonał ogrom pracy. - Laura przybrała ton, który Andy na swój użytek ochrzciła „głosem, który leczy”. Zaczęła zadawać ogólne, a przy tym kierunkujące pytania o ojca Betsy Bernard. Widać było, że nie całkiem go pamięta, ale wysiliła się na tyle, by się z tym nie zdradzić. Wreszcie skinęła głową w stronę Andy i powiedziała: - To moja córka Andrea.

Betsy skinęła Andy głową, powtarzając gest Laury. Promieniała pod wpływem zainteresowania okazanego jej przez doktor Oliver. Wszyscy kochali matkę Andy bez względu na to, w jakiej roli występowała: terapeutki, przyjaciółki, właścicielki firmy, pacjentki onkologicznej czy matki. Obdarzona była naturalną życzliwością, lecz unikała nadmiernego przesłodzenia dzięki ciętym, czasem cierpkim uwagom.

Od czasu do czasu, zwykle po kilku drinkach, Andy robiła takie samo wrażenie na nieznajomych, ale kiedy poznawali ją bliżej, rzadko utrzymywali z nią znajomość. Może na tym polegał sekret Laury. Miała dziesiątki, może nawet setki przyjaciół i znajomych, ale nikt nie znał jej we wszystkich odsłonach.

- Och! - Betsy niemal krzyknęła. - Chcę, żeby pani też poznała moją córkę. Na pewno Frank o niej mówił.

- Oczywiście, że Frank o niej mówił. - Andy dostrzegła ulgę na twarzy Laury, która rzeczywiście zapomniała imienia swojego pacjenta. Puściła oko do Andy, przełączając się na tryb „matka”.

- Shelly! - Betsy Barnard energicznie zamachała do córki. - Podejź tu, musisz poznać panią doktor, która uratowała życie dziadkowi.

Bardzo ładna młoda kobieta z ociąganiem podeszła do stolika, nerwowo skubiąc długie rękawy czerwonej koszulki

z logo Uniwersytetu Georgii. Biały buldog na jej piersi miał na sobie czerwony T-shirt. Wyraźnie zażenowana sytuacją, była nadal w tym wieku, kiedy człowiek nie przyznaje się do matki, chyba że potrzebuje pieniędzy albo współczucia. Andy dobrze pamiętała to uczucie przyciągania i odpychania. Zwykle nie była tak zdystansowana, jak by chciała. Jest prawdą powszechnie znaną, że matka to jedyna osoba na świecie, która może pochwalić fryzurę córki, a córka usłyszy, że zwykle ma na głowie nieład i tylko przez krótką chwilę coś jej się udało z tym zrobić.

- Shelly, to doktor Oliver. - Betsy Barnard władczym gestem objęła córkę ramieniem. - Jesienią Shelly zaczyna studia na Uniwersytecie Georgii. Prawda, kochanie?

- Ja też studiowałam na UGA - odezwała się Laura. - Oczywiście to było dawno temu, kiedy robiliśmy notatki na kamiennych tabliczkach.

Zażenowanie Shelly wzrosło o kilka stopni, gdy jej matka skwitowała przesadnym śmiechem ten czerstwy żart. Laura próbowała złagodzić napięcie, uprzejmie pytając dziewczynę o kierunek studiów, marzenia i aspiracje. W młodości tego typu pytania traktuje się jak osobistą zniewagę, ale w dorosłym życiu człowiek uświadamia sobie, że to jedyne pytania, jakie umie zadać nastolatkowi.

Andy spojrzała na kubek w połowie wypełniony kawą. Była wyczerpana. Nie mogła przywyknąć do nocnych zmian. Ratowała się drzemkami przechodzącymi jedna w drugą, co oznaczało, że podkradała Laurze papier toaletowy i masło orzechowe ze spiżarni, ponieważ nigdy nie znajdowała czasu na zrobienie porządnych zakupów. Pewnie dlatego Laura uparła się na urodzinowy lunch, nie urodzinowe śniadanie, po którym Andy wróciłaby do swojej jaskini nad garażem i zasnęła

przed telewizorem.

Dopiła zimną kawę, mając wrażenie, że łyka kawałki pokruszonego lodu. Rozejrzała się za kelnerką. Dziewczyna siedziała przygarbiona z nosem w telefonie. Żuła gumę, głośno przy tym mlaskając.

Andy czuła wzbierającą złość, ale wstając od stolika, starała się nad nią zapanować. Z wiekiem coraz trudniej kontrolowała odruchowe zachowania upodabniające ją do matki. Patrząc z perspektywy czasu, musiała jednak przyznać, że rady Laury często miały sens. Stój prosto, bo inaczej po trzydziestce będą cię bolały plecy. Noś porządne buty, bo inaczej po trzydziestce będziesz pokutować. Wyrób w sobie zdrowe nawyki, inaczej po trzydziestce zapłacisz za swoją niefrasobliwość.

Andy miała trzydzieści jeden lat. Płaciła tyle, że praktycznie była bankrutem.

- Jesteś policjantką? - Kelnerka w końcu oderwała wzrok od ekranu telefonu.

- Technikiem sztuk teatralnych.

Dziewczyna zmarszczyła nos.

- Nie wiem, co to znaczy.

- To jest nas dwie.

Andy dołała sobie kawy, a kelnerka rzucała na nią spojrzenia z ukosa. Może chodziło o uniform przypominający mundur policyjny. Dziewczyna wyglądała na taką, która ma w torebce ecstazy albo trawkę. Andy też odnosiła się do munduru ze sporą dozą nieufności. To Gordon załatwił jej posadę w dyspozytorni. Chyba liczył na to, że córka zdecyduje się wstąpić do policji. W pierwszej chwili nie chciała o tym słyszeć, bo policjantów uważała za złych ludzi. Kiedy poznała kilku osobiście, zmieniła zdanie. Przekonała się, że to w większości porządni ludzie starający się jak najlepiej wykonywać tę

gównianą robotę. Po roku pracy w policyjnej dyspozytorni znienawidziła cały świat, ponieważ dwie trzecie zgłoszeń pochodziło od głupców, którzy nie rozumieli, na czym polega nagły wypadek czy sytuacja kryzysowa.

Laura nadal rozmawiała z Betsy i Shelly Barnard. Andy widziała tę samą scenę wiele razy. Matka i córka nie bardzo wiedziały, jak taktownie zakończyć rozmowę, a Laura była zbyt uprzejma, aby je odprawić. Zamiast wrócić do stolika, Andy podeszła do okna. Restauracja mieściła się w prestiżowym miejscu centrum handlowego na Belle Isle, w zakątku na parterze, z widokiem na Atlantyk wzburzony pierwszymi powiewami nadciągającego sztormu. Po deptaku usytuowanym wzdłuż plaży ludzie spacerowali z psami i jeździli na rowerach.

Wbrew nazwie Belle Isle nie była ani piękną, ani wyspą. Tak naprawdę był to stworzony przez człowieka półwysep, gdy korpus inżynieryjny armii Stanów Zjednoczonych pogłębił w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku port w Savannah. W zamierzeniach powstałe tereny miały stać się niezamieszkałą naturalną barierą przed huraganami, ale władze stanowe zobaczyły w nowym nabrzeżu potencjalne źródło pieniędzy. W ciągu pięciu lat po pogłębieniu portu ponad połowa powierzchni została pokryta betonem, czyli nadmorskimi willami, szeregowcami, wielorodzinnymi budynkami mieszkalnymi i centrami handlowymi. Resztę zajmowały korty tenisowe i pola golfowe. Emerycy z Północy grali w słońcu całymi dniami, o zachodzie słońca popijali martini i dzwonili na numer alarmowy, gdy sąsiedzi za długo pozostawiali na ulicy swoje pojemniki na śmieci.

- Jezu - dobiegł ją cichy i złowieszczy szept, lekko zabarwiony zaskoczeniem.

W atmosferze zaszła jakaś zmiana. Tylko tak Andy była

w stanie to opisać. Poczwała, jak jeżą jej się włoski na karku, a zimny dreszcz przebiegł po plecach. Nozdrza się rozszerzyły. Zaschło w ustach. Oczy zaczęły łzawić.

Usłyszała dźwięk przypominający kliknięcie pokrywki otwieranego słoika.

Odwróciła się.

Biały kubek wypadł jej z ręki. Patrzyła, jak leci na podłogę i roztrzaskuje się na kawałki, które odbijają się od białych płytek.

Jeszcze przed chwilą panowała tu niesamowita cisza, ale teraz zapanował chaos. Rozległy się rozpaczliwe krzyki. Ludzie biegali, pochylając głowy i osłaniając je rękami.

Kule.

Trach, trach.

Shelly Barnard leżała na ziemi. Na wznak, z rozrzuconymi ramionami, nienaturalnie skrzyżnymi nogami i szeroko otwartymi oczami. Jej czerwona koszulka wyglądała na mokrą, tkanina przywarła do piersi, z nosa Shelly sączyła się krew. Andy patrzyła, jak cienka czerwona strużka spływa jej po policzku do ucha.

Shelly miała w uszach kolczyki w kształcie buldoga.

- Nie! - krzyknęła Betsy Barnard. - Ni...

Trach.

Andy zobaczyła, jak z jej gardła tryska fontanna krwi.

Trach.

Bok czaszki Betsy pękł z trzaskiem niczym plastikowa torba.

Osunęła się na ziemię. Na córkę. Na swoją martwą córkę.

Martwą.

- Mamo - szepnęła Andy, ale Laura już ku niej biegła. Z rozpostartymi ramionami, na ugiętych nogach, z szeroko otwartymi ustami, z oczami rozszerzonymi strachem. I z twarzą

gęsto usianą czerwonymi plamkami.

Andy uderzyła potylicą w szybę, gdy Laura pociągnęła ją na ziemię. Poczuała na twarzy oddech matki. Wzrok jej się zmacił. Usłyszała trzask. Spojrzała w górę. Szyba nad nią pokryła się siateczką pęknięć układających się we wzór misternej pajęczyny.

- Proszę! - zawołała Laura. Przetoczyła się na brzuch, oparła się na kolanach, potem wstała. - Przestań.

Andy zamruwała i potarła oczy ściśniętymi dłońmi. Pod powiekami coś jej przeszkadzało. Paproch? Drobinka szkła? Krew?

- Proszę - powtórzyła Laura.

Andy znowu zamruwała.

I jeszcze raz.

Mężczyzna celował z rewolweru w serce jej matki. To nie była broń policyjna, bardziej przypominała rewolwer bębenny z czasów Dzikiego Zachodu. Strój napastnika pasował do rodzaju broni. Czarne dżinsy, czarna koszula z perłowymi guzikami, czarna kamizelka ze skóry i czarny kowbojski kapelusz. Pas wisiał nisko na biodrach. Napastnik miał kaburę na broń i długą pochwę na nóż myśliwski.

Był przystojny.

Miał młodą gładką twarz. Był w wieku Shelly, może trochę starszy.

Ale Shelly nie żyła. Nie zostanie studentką na uniwersytecie stanowym. Nie poczuje już zażenowania z powodu matki, ponieważ jej matka też nie żyła.

Człowiek, który zamordował je obie, teraz mierzył w klatkę piersiową Laury.

Andy usiadła.

Laura miała tylko jedną pierś. Lewą. Chirurg usunął prawą,

a ona jak dotąd nie poddała się operacji rekonstrukcji piersi, ponieważ nie mogła znieść myśli o kolejnych wizytach w klinice i poddaniu się kolejnej procedurze medycznej. Morderca stał naprzeciwko niej z zamiarem posłania kuli prosto w miejsce po odjętej piersi.

- Mmm... - Głos uwiązał Andy w gardle. Mogła wypowiedzieć to słowo tylko w myślach.

Mamo.

- Już dobrze. - Głos Laury brzmiał pewnie, spokojnie. Wyciągnęła przed siebie ręce, jakby wierzyła, że zatrzyma kule.

- Możesz już stąd wyjść - zwróciła się do napastnika.

- Wal się. - Mężczyzna przeniósł wzrok na Andy. - Gdzie masz broń, pieprzona glino?

Andy zadrżała i skuliła się z przerażenia.

- Ona nie ma broni - powiedziała Laura opanowanym głosem.

- Pracuje jako sekretarka na komisariacie. Nie jest policjantką.

- Wstawaj! - krzyknął do Andy. - Widzę twoją odznakę! Wstawaj, glino! No dalej! Rób swoje!

- To nie odznaka, tylko emblemat. Nie denerwuj się - powiedziała Laura. - Posłuchaj mnie, Andy.

- Mnie słuchajcie, pieprzone zdziry! - wrzasnął, pryskając śliną, i pomachał rewolwerem. - Wstawaj, glino. Będziesz następna.

- Nie. - Laura zastąpiła mu drogę. - Ja jestem następna.

Napastnik błyskawicznie przeniósł wzrok na Laurę.

- Zastrzel mnie - dodała z niezachwianą pewnością. - Chcę, żebyś mnie zastrzelił.

Na wykrzywionej wściekłością twarzy zabójcy pojawiło się zakłopotanie. Tego nie przewidział. Ludzie powinni umierać w oparach przerażenia, a nie zgłaszać się na ochotnika jako potencjalne ofiary.

- Zastrzel mnie - powtórzyła.

Napastnik zerknął na Andy ponad ramieniem Laury, potem znowu spojrzął na nią.

- No, dalej. Została ci jedna kula. Wiesz o tym. W tym rewolwerze jest tylko sześć kul. - Uniosła ręce, pokazując cztery wyprostowane palce lewej dłoni i jeden prawej. - Dlatego nie pociągnęłaś jeszcze za spust. Została jedna kula.

- Nie wiesz...

- Tylko jedna. - Laura pokiwała kciukiem, oznaczającym szóstą kulę. - Kiedy mnie zastrzelisz, moja córka ucieknie. Prawda, Andy?

Co?

- Andy - powiedziała matka. - Musisz biec, skarbie.

Co?

- On nie zdąży załadować broni, żeby cię skrzywdzić.

- Kurwa! - wrzasnęła mężczyzna, usiłując na powrót rozbudzić w sobie wściekłość. - Nie ruszać się! Obie.

- Andy. - Laura postąpiła krok w jego kierunku. Utykała. Z rozdarcia w lnianych spodniach wypływała krew. Z nogi sterczało coś białego. Wyglądało jak fragment kości. - Posłuchaj mnie, skarbie.

- Powiedziałem: nie ruszać się!

- Wyjdź przez drzwi kuchenne - głos Laury emanował niezmiennym spokojem. - Na tyłach jest wyjście.

Co?

- Stój, zdziro. Obie stójcie.

- Zaufaj mi - ciągnęła Laura. - On nie zdąży nabić broni.

Mamo.

- Wstań. - Laura zrobiła kolejny krok. - Powiedziałam: wstań.

Mamo, nie.

- Andreo Eloise. - Laura przybrała teraz ton surowej matki,

nie troskliwej mamy. – Wstawaj. Już.

Ciało Andy poruszyło się niezależnie od jej woli. Lewa stopa dotykała ziemi, prawa pięta uniosła się nad podłogą, palce dotykały ziemi jak u sprinterki w bloku startowym.

– Przestań! – napastnik skierował broń w stronę Andy, ale Laura poszła za ruchem jego ręki i odgrodziła go od Andy, zasłaniając własnym ciałem przed ostatnią kulą.

– Zastrzel mnie. No, dalej – zwróciła się do mężczyzny.

– Chrzanić to.

Andy usłyszała cichy trzask.

Odciąganie spustu? Kurek uderzający w kulę?

Zacisnęła powieki i nakryła głowę rękami.

Nic się jednak nie stało.

Nie było wystrzału. Nie było okrzyku bólu.

Nie było odgłosu padania ciała na ziemię.

Podłoga. Ziemia. Sześć stóp pod ziemią.

Andy skuliła się w sobie i podniosła głowę.

Mężczyzna rozpiął pochwę myśliwskiego noża.

Powoli go wyjmował.

Piętnaście centymetrów stali ząbkowanej z jednej strony, ostrej z drugiej.

Rewolwer schował do kabury i przerzucił nóż do prawej ręki. Nie trzymał go jak do krojenia steków, lecz od dołu, jak wtedy, kiedy ma się zamiar kogoś dźgnąć.

– Co chcesz z tym zrobić? – zapytała Laura.

Nie odpowiedział. Pokazał.

Dwa kroki w przód.

Ostrze przecięło powietrze i opadło prosto w serce Laury.

Andy była sparalizowana. Zbyt przerażona, by zwinąć się w kłębek; zbyt zszokowana, by zrobić cokolwiek prócz patrzenia na śmierć matki.

Laura wyciągnęła przed siebie rękę, jakby chciała zablokować nóż. Ostrze weszło prosto w środek jej dłoni, ale zamiast upaść z krzykiem, zacisnęła palce na rękojeści noża. Morderca był zbyt zaskoczony, żeby z nią walczyć.

Laura wyszarpnęła mu nóż z ręki, chociaż długie ostrze ciągle wystawało jej z dłoni.

Napastnik zachwiał się i cofnął.

Spojrzał na swój nóż sterczący w jej ręce.

Sekunda.

Dwie.

Trzy.

Nagle przypomniał sobie o broni w kaburze. Sięgnął po nią prawą ręką i zacisnął palce na rękojeści. Błysnęło srebro lufy. Napastnik objął broń lewą ręką i wymierzył wprost w serce Laury.

Laura zamachnęła się ręką, w której tkwił nóż, i z bekhendu wbiła ostrze w bok szyi napastnika.

Ten odgłos brzmiał jak chrzęst rzeźnickiego noża dzielącego tuszę wołową. Echo rozeszło się po sali, przyprawiając Andy o dreszcz grozy.

Zabójca otworzył szeroko usta. Wciągnął powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Wytrzeszczył oczy.

Grzbiet dłoni Laury nadal tkwił przy jego szyi, uwięziony między rękojeścią a ostrzem.

Andy zobaczyła, że Laura porusza palcami.

Usłyszała szcęk metalu. Napastnik próbował unieść rewolwer w dygoczącej ręce.

Laura coś powiedziała. Właściwie brzmiało to bardziej jak warknięcie.

Napastnik nie dawał za wygraną. Nadal starał się unieść broń i wycelować.

Laura przeciągnęła ostrze po jego gardle.

Krew, ścięgno, chrząstka.

Wszystko buchnęło z rozplątanej szyi jak woda z pękniętej tamy.

Czarna koszula pociemniała. Perłowe guziki zabarwiły się na rozmaite odcienie różu.

Wypuścił broń z ręki.

Osunął się na kolana. Padł bezwładnie w przód.

Andy obserwowała jego oczy.

Umarł, zanim z impetem uderzył głową o ziemię.

2

Kiedy Andy była w dziewiątej klasie, durzyła się w Cletusie Larabym, którego nazywano Cleet. Miał brązowe kręcone włosy, umiał grać na gitarze i był najlepszy z chemii, więc Andy próbowała nauczyć się grać na gitarze i udawała, że też interesuje się chemią.

Kiedy Cleet zgłosił swój udział w szkolnej wystawie naukowej, ona poszła w jego ślady.

Nigdy w życiu nie zamieniła z nim słowa.

Nikt nie kwestionował zasadności umożliwienia dziewczynie ze szkolnego koła teatralnego, która ledwie zaliczyła nauki przyrodnicze, dostępu do azotanu amonowego i przełączników zapłonu. Poza tym pani Finney przymknęła oko na edukacyjne braki, zadowolona, że Andy okazała zainteresowanie czymś więcej niż pantomimą.

Na wieść o udziale córki w wystawie naukowej ojciec wpadł w euforię. Zabrał Andy do biblioteki, gdzie przejrzeni literaturę poświęconą inżynierii i konstrukcji rakiet. Wypełnił wniosek o kartę lojalnościową miejscowego sklepu dla hobbystów. Przy stole czytał na głos broszurki Amerykańskiego Towarzystwa Techniki Raketowej.

Kiedy Andy przyjeżdżała do ojca, Gordon pracował w garażu, wygładzając papierem ściernym elementy konstrukcji rakiety, a ona siadywała przy stole warsztatowym i szkicowała projekty wzorów mających zdobić kadłub.

Wiedziała, że Cleet lubi Goo Goo Dolls, ponieważ na plecaku nosił nalepkę z nazwą tego zespołu. Wymyśliła, że rakieta powinna przypominać teleskop z teledysku do *Iris*, ich największego przeboju. Potem uznała, że powinna dodać mu

skrzydła, ponieważ *Iris* pochodziła z filmu *Miasto aniołów*. Postanowiła, że umieści na kadłubie twarz Nicolasa Cage'a z profilu, ponieważ grał w tym filmie anioła. Potem zmieniła koncepcję, decydując się na podobiznę Meg Ryan, ponieważ raketę dedykowała Cleetowi, a on pewnie uznałby Meg Ryan za bardziej interesującą od Nicolasa Cage'a.

Tydzień przed wystawą musiała pokazać wszystkie notatki i zdjęcia pani Finney, by udowodnić, że samodzielnie stworzyła projekt. Kładła na biurku nauczycielki wątpliwe dowody tej samodzielności, kiedy do klasy wszedł Cleet Laraby. Andy splotła dłonie, żeby powstrzymać ich drzenie. Cleet zatrzymał się, by spojrzeć na zdjęcia.

- Meg Ryan - stwierdził. - Zajefajnie. Trzeba posłać tę sukę w kosmos, nie?

Andy poczuła, jakby mroźny podmuch powietrza otworzył jej usta.

- Moja dziewczyna uwielbia ten durny film. O aniołach, tak? - Cleet pokazał naklejkę na plecaku. - Napisali tę gównianą piosenkę na ścieżkę dźwiękową. Rany, ale siara. Dlatego noszę tę nalepkę. Ma mi przypominać, żeby nigdy nie sprzedać się ze swoją sztuką jak te cioty.

Andy zamarła w bezruchu. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Dziewczyna. Durny. Gówniany. Siara. Cioty.

Opuściła klasę pani Finney bez notatek i książek. Zostawiła nawet torbę. Przeszła przez stołówkę i wyszła tylnym wyjściem, które zawsze było otwarte, by panie kucharki mogły palić papierosy za kontenerem na odpadki.

Gordon mieszkał cztery kilometry od szkoły. Był czerwiec. W Georgii. Na wybrzeżu. Zanim Andy dotarła do domu, była poparzona słońcem, mokra od potu i łez. Raketę z Meg Ryan

i dwie próbne rakiety z Nicolasem Cage'em wyrzuciła do kubła na śmieci przed domem. Oblała je płynem do zapalniczek i wrzuciła do środka płonąca zapałkę. Potem ocknęła się, leżąc na wznak na podjeździe ojca, ponieważ sąsiad oblał ją wodą z węża ogrodowego.

Buchający z kosza płomień spalił jej brwi, rzęsy, grzywkę i włoski w nosie. Dźwięk eksplozji był tak donośny, że z uszu Andy pociekła krew. Sąsiad krzyczał jej prosto w twarz. Jego żona pielęgniarzka podbiegła do niej i coś mówiła, ale Andy słyszała tylko ostry jednolity dźwięk, jak wtedy, gdy nauczycielka muzyki wydobywała prosty ton z kamertonu na próbie chóru.

Iiiiiii...

Andy słyszała ten dźwięk i nic prócz niego przez całe cztery dni.

Chodząc. Zасыpiając. Pod prysznicem. W kuchni. Siedząc przed telewizorem. Czytając komunikaty, które rodzice pisali dla niej markerami na białej tablicy.

Nie wiemy, co ci jest.

To pewnie przejdzie.

Nie płacz.

Iiiiiii...

To było prawie dwadzieścia lat temu. Andy nie wracała myślą do tamtej eksplozji. Aż do teraz. Tylko dlatego, że wrócił ten dźwięk. Uświadomiła to sobie, kiedy stała w restauracji obok matki, która siedziała na krześle. A troje martwych ludzi leżało na podłodze. Na ziemi. Morderca, którego czarna koszula jeszcze poczerniała. Shelly Barnard, której czerwona koszulka jeszcze poczerwieniała. Betsy Barnard, której dolna część twarzy wisiała na mięśniach i ścięgnach.

Andy oderwała wzrok od ciał. Ludzie stali przed restauracją.

Klienci z torbami z Abercrombie, Juicy Couture, kawą ze Starbucksa i napojami z Icee. Niektórzy płakali. Inni robili zdjęcia.

Poczuła ucisk na ramieniu. Laura chciała odwrócić krzesło tyłem do gapiów. Andy miała wrażenie, jakby oglądała animację poklatkową. Trzęsącymi się rękami matka próbowała obwiązać krwawiącą nogę obrusem. Biała drobina wystająca z dziury w spodniach nie była kością, lecz kawałkiem rozbitej białej porcelany. Laura była praworęczna, ale nóż sterczący z lewej dłoni uniemożliwiał jej owinięcie nogi. Mówiła coś do Andy, pewnie prosiła o pomoc, ale ona słyszała tylko ten upiorny dźwięk.

- Andy - powtórzyła Laura.

Iiiiiii...

- Andreo.

Andy wpatrywała się w usta matki. Zastanawiała się, czy słyszy swoje imię, czy raczej czyta je z ruchu warg. Po chwili jej mózg zinterpretował to jako bodziec słuchowy.

- Andy - powtórzyła Laura. - Pomóż mi.

Te słowa przedostały się do jej świadomości. Tłumiona prośba brzmiała, jakby matka mówiła przez długą rurę.

- Andy. - Laura ujęła rękę córki w swoją dłoń. Siedziała zgięta wpół na krześle. Było widać, że cierpi z bólu.

Andy uklękła przy niej i zaczęła obwiązywać jej rękę obrusem.

Zawiąż ciasno...

Tak poleciałaby Andy spanikowanej osobie, która zadzwoniła na telefon alarmowy.

Nie przejmuj się, że ją boli. Zwiąż tkaninę jak najciaśniej, by zatamować krwotok.

Sprawa wyglądała zupełnie inaczej, gdy sama Andy musiała

założyć prowizoryczną opaskę uciskową. Gdy patrzyła na widoczny ból malujący się na twarzy matki.

- Andy... - Laura czekała, aż córka spojrzy jej w oczy.

Miała kłopot z utrzymaniem wzroku w jednym punkcie. Chciała się skupić. Musiała się skupić.

Matka ujęła ją za podbródek i potrząsnęła, by wyrwać ze stuporu.

- Nie rozmawiaj z policją. Niczego nie podpisuj. Powiedz im, że nic nie pamiętasz - powiedziała.

Co?

- Obiecuj, że nie będziesz rozmawiać z policją - powtórzyła Laura.

Cztery godziny później Andy nadal nie rozmawiała z policją. Głównie dlatego, że policja z nią nie rozmawiała. Ani w restauracji, ani w karetce, ani teraz.

Andy tkwiła pod zamkniętymi drzwiami sali operacyjnej, w której lekarze operowali jej matkę. Siedziała na twardym plastikowym krześle. Odrzuciła sugestię pielęgniarki, by się położyć. Nic jej nie było. To Laura potrzebowała pomocy. Shelly też. I jej matka, której imienia Andy w tej chwili nie pamiętała.

Kim była pani Barnard, jeśli nie matką swojej córki?

Andy zmieniła pozycję na krześle. Musiała odwracać się w taki sposób, żeby stłuczenie na głowie aż tak nie pulsowało. Okno z widokiem na deptak. Andy pamiętała matkę przygważdżającą ją do ziemi. Ból od uderzenia potylicą w szybę. Pajęczynę pęknięć na szkle. Laure podnoszącą się z ziemi. Spokój na jej twarzy, spokój w jej głosie.

Sposób, w jaki uniosła palce - cztery w lewej ręce i jeden w prawej - gdy tłumaczyła napastnikowi, że została mu tylko jedna kula z sześciu, które miał w magazynku.

Andy potarła twarz rękami. Nie patrzyła na zegar, ponieważ każde spojrzenie w jego kierunku sprawiało, że godziny ciągnęły się w nieskończoność. Przejechała językiem po plombach. Amalgamatowe zostały zastąpione kompozytowymi, ale nadal pamiętała, jak pod wpływem tego upiornego dźwięku plomby w zębach trzonowych niemal wpadły w wibracje, które przeniosły się na żuchwę, a potem objęły całą czaszkę. Miała wrażenie, że mózg jej imploduje.

liiiii...

Andy zacisnęła oczy. Natychmiast pod powiekami zaczęły się przewijać obrazy jak pokaz slajdów z wakacji Gordona.

Laura unosi rękę.

Długie ostrze wchodzi jej w dłoń.

Laura wyrywa nóż napastnikowi.

Wbija mu ostrze w szyję.

Krew.

Mnóstwo krwi.

Jonah Helsinger. Tak nazywał się morderca. Andy to wiedziała. Była tego pewna. Czy usłyszała jego nazwisko przez radio w karetce, gdy jechała z matką? A może w telewizji, gdy pielęgniarka prowadziła ją do poczekalni? A może od którejś z pielęgniarek towarzyszących jej w drodze na oddział chirurgii?

- Jonah Helsinger - szepnął ktoś tak, jakby mówił o kimś chorującym na raka. - Zabójca nazywał się Jonah Helsinger.

- Proszę pani - przed Andy stanęła miejscowa policjantka.

- Ja nie... - Andy odgrzebała w pamięci nakaz Laury, co ma mówić. - Nie pamiętam.

- Proszę pani - powtórzyła policjantka. Dziwne, że zwracała się do niej na „pani”, chociaż była starsza od Andy. - Przepraszam, że panią niepokoję, ale jest tu jakiś mężczyzna.

Twierdzi, że jest pani ojcem, ale...

Andy spojrzała na koniec korytarza.

Obok wind stał Gordon.

Odruchowo zerwała się z krzesła i pobiegła w jego kierunku. Spotkali się w połowie drogi. Gordon porwał ją w ramiona i zamknął w niedźwiedzim uścisku. Trzymał ją tak mocno, że czuła bicie jego serca. Wcisnęła twarz w jego białą wykrochmaloną koszulę. Był w pracy, miał na sobie jak zwykle trzyczęściowy garnitur. Okulary do czytania trzymał na czubku głowy. Pióro Montblanc tkwiło wetknięte w kieszonkę koszuli. Na skórze ucha czuła chłód metalu.

Z każdą chwilą strzelaniny traciła panowanie nad sobą, ale w ramionach ojca, nareszcie bezpieczna, rozkleiła się całkiem. Zanosła się szlochom tak spazmatycznym, że nie była w stanie utrzymać się na nogach. Podtrzymując ją, by nie upadła, Gordon zawlókł ją w stronę krzeseł stojących rzędem pod ścianą. Ścisnął ją tak mocno, że ledwie mogła złapać płytki oddech.

- Jestem tu, skarbie. Jestem przy tobie - powtarzał.

- Tatusiu - wykrztusiła przez ściśnięte łkaniem gardło.

- Już dobrze. - Gordon pogłaskał ją po głowie. - Jesteś już bezpieczna. Wszyscy są bezpieczni.

Andy nie przestawała płakać. Płakała tak długo, że w końcu poczuła zażenowanie. Laura żyła. Wydarzyły się straszne rzeczy, ale Laura z tego wyjdzie. Wszystko będzie dobrze. Musi być dobrze.

- W porządku - szepnął Gordon. - Wyrzuć to z siebie.

Andy pociągnęła nosem raz i drugi, usiłując odzyskać równowagę. Próbowwała bezskutecznie. Kiedy tylko wydawało jej się, że jest lepiej, przypominała sobie kolejny szczegół - odgłos pierwszego wystrzału przypominający kliknięcie

pokrywki otwieranego słoika, widok ostrza, które Laura zatopiła w szyi napastnika – i łzy znowu zaczynały płynąć.

– Już dobrze – powtórzył Gordon, cierpliwie gładząc ją po głowie. – Wszyscy są już bezpieczni, skarbie.

Andy wytarła nos i głębiej odetchnęła. Gordon oparł się o krzesło i nie wypuszczając jej z objęć, wyjął chusteczkę.

Andy wytarła nią łzy, wydmuchała nos.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie masz za co przepraszać. – Gordon odsunął jej włosy z oczu. – Jesteś ranna?

Pokręciła głową. Znowu wydmuchała nos z taką intensywnością, że uszy jej się odetkały.

Dźwięk zniknął.

Zamknęła oczy.

– W porządku? – zapytał Gordon. Poczwała na plecach dotyk jego ciepłej dłoni. Ten gest przyniósł jej ulgę. – Lepiej ci?

Otworzyła oczy. Nadal miała nerwy napięte do granic, ale musiała powiedzieć ojcu, co zaszło.

– Mama... miała nóż, a ten facet, zamor...

– Ciii – szepnęła, dotykając palcem jej warg. – Z mamą wszystko dobrze. Wszystko jest już w porządku.

– Ale...

Ojciec znowu położył jej palec na ustach, by ją uciszyć.

– Rozmawiałem z lekarzem. Mama dochodzi do siebie. Ręka się zagoi. Noga też. Wszystko będzie dobrze. – Gordon uniósł brwi i lekko przechylił głowę w prawo, gdzie stała policjantka. Rozmawiała przez telefon, ale widać było, że przysłuchuje się ich rozmowie. – Na pewno nic ci nie jest, córeczko? – zapytał. – Przebadali cię?

Andy potwierdziła skinieniem głowy.

– Jesteś zmęczona, skarbie. Pracowałaś całą noc. Widziałaś

straszne rzeczy. Twoje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Życie twojej mamy też. To zrozumiałe, że jesteś w szoku. Musisz odpocząć, dać sobie czas na poukładanie okruchów pamięci w całość - mówił wyważonym tonem. Andy uświadomiła sobie, że ojciec ją instruuje. - Dobrze?

Pokiwała głową, ponieważ on kiwał. Dlaczego instruuował ją, co ma mówić? Czy rozmawiał z Laurą? Czy Laura miała kłopoty?

Zabiła człowieka. Oczywiście, że miała kłopoty.

- Proszę pani - zwróciła się do niej policjantka - czy udzieli mi pani podstawowych informacji? Imię i nazwisko, adres, data urodzenia i tak dalej.

- Ja je podam, pani posterunkowa - powiedział Gordon i czekał, aż policjantka wyjmie notes i długopis.

Andy wzięła ojca pod ramię, traktując je jak podporę. Przełknęła ślinę tak głośno, że w gardle coś jej przeskokowało.

A potem spojrzała na tę sytuację jak neutralna osoba z zewnątrz, nie jak przerażona obserwatorka.

To nie diler narkotykowy zastrzelił innego diler na ulicy. Ani nadużywający przemocy mąż nie przekroczył ostatniej granicy. To biały chłopak zastrzelił dwie białe kobiety, a potem zginął z ręki innej białej kobiety w jednym z najbardziej eleganckich centrów handlowych w stanie Georgia.

Spodziewała się, że na miejsce przyjadą wozy transmisyjne z Atlanty i Charleston. Prawnicy będą przeszkadzać rodzinom, ofiarom, kierownictwu centrum, miastu, hrabstwu, może nawet federalnym. Pojawi się policja z Belle Isle, Savannah, hrabstwa Chatham, FBI. Zacznie się kołowrót. Zeznania świadków. Praca techników z laboratorium kryminalistycznego. Fotografowanie miejsca zdarzenia. Sekcja zwłok. Zbieranie dowodów.

Do jej służbowych obowiązków w policyjnej dyspozytorni

należało przyporządkowywanie numerów spraw w przypadku zdarzeń na mniejszą skalę. Często śledziła ich dalszy przebieg. Zanim sprawa trafiła do sądu, mijały miesiące, czasem lata. Andy świetnie wiedziała, że czyn jej matki zostanie poddany dokładnej analizie na każdym poziomie wymiaru sprawiedliwości.

Jak na zawołanie rozległ się donośny dzwonek windy. Skórzany pas z bronią zaskrzypiał, gdy policjantka poprawiała go na biodrach. Drzwi windy rozsunęły się gładko. Wysiedli z niej kobieta i mężczyzna, oboje w pogniecionych garniturach i z widocznym zmęczeniem na twarzy. Mężczyzna był łyсы i nalany, z nosa schodziła mu spalona słońcem skóra. Kobieta była tego samego wzrostu co Andy, miała co najmniej dziesięć lat więcej, oliwkową cerę i ciemne włosy.

Andy chciała podnieść się z krzesła, ale Gordon osadził ją w miejscu.

- Pani Oliver. - Kobieta wyjęła odznakę i pokazała ją Andy. - Jestem detektyw sierżant Lisa Palazzolo. To detektyw Brant Wilkes. Pracujemy w wydziale policji w Savannah. Pomagamy Belle Isle w śledztwie. - Schowała odznakę w kieszeni marynarki. - Musimy porozmawiać z panią o porannych wydarzeniach.

Andy otworzyła usta, ale ponieważ nie pamiętała ani wskazówek Laury, ani Gordona co do treści zeznań, zastosowała poprzednią metodę: zamknęła usta i patrzyła beznamiętnie na osobę zadającą pytanie.

- To zły moment, pani detektyw - odezwał się Gordon. - Córka jest w szoku. Nie jest gotowa na składanie zeznań.

Wilkes prychnął z jawną dezaprobatą.

- Pan jest jej ojcem?

Andy zawsze zapominała, że Gordon jest czarny, a ona biała,

póki ktoś nie zwrócił na to uwagi.

- Tak, panie detektywie, jestem jej ojcem - odparł Gordon spokojnie. Przywykł do takich sytuacji. Przez lata nauczył się rozmawiać z zatroskanymi nauczycielami, zaniepokojonymi sprzedawcami czy agresywnie rasistowskimi ochroniarzami w sklepach. - Nazywam się Gordon Oliver. Jestem byłym mężem Laury, ojczymem Andy.

Wilkes wykrzywił kącik ust, analizując w milczeniu odpowiedź Gordona.

- Bardzo nam przykro z powodu tego, co spotkało pańską córkę - odezwała się Palazzolo - ale musimy zadać jej kilka pytań.

- Jak powiedziałem, nie jest jeszcze gotowa na rozmowę o tym zdarzeniu - odparł Gordon, swobodnie zakładając nogę na nogę, jakby to wszystko było tylko formalnością. - Andrea jest policyjną dyspozytorką, o czym świadczy jej uniform, który z pewnością nie uszedł pani uwagi. Pracowała na nocnej zmianie. Jest wyczerpana i była świadkiem straszliwej tragedii. Nie jest w stanie złożyć teraz zeznań.

- To była straszliwa tragedia - zgodziła się Palazzolo. - Troje ludzi nie żyje.

- A moja córka mogła być czwarta. - Gordon ciągle obejmował Andy ramieniem. - Możemy się umówić na rozmowę w komisariacie jutro.

- To śledztwo w sprawie zabójstwa.

- Podejrzany nie żyje - przypomniał Gordon. - Nie ma pośpiechu, pani detektyw. Jeden dzień nie robi różnicy.

Wilkes znowu prychnął.

- Ile masz lat?

Andy zorientowała się, że mówi do niej.

- Trzydzieści jeden - wyręczył ją w odpowiedzi Gordon. -

Dzisiaj ma urodziny.

Nagle Andy przypomniała sobie wiadomość głosową nagrałą dziś rano przez Gordona, który fałszywie odśpiewał głębokim barytonem *Happy Birthday*.

- Jest trochę za duża, żeby tatuś mówił za nią - zauważył z przekąsem Wilkes.

Palazzolo przewróciła oczami.

- Pani Oliver, bardzo nam zależy na pani pomocy w ustaleniu przebiegu zdarzeń. Musimy to spisać. Jest pani jedynym świadkiem, który jeszcze nie złożył zeznań.

Andy wiedziała, że to nieprawda, ponieważ Laura nadal była pod wpływem narkozy.

- Proszę państwa, jeśli... - zaczął Gordon.

- Jest pan jej tatusiem czy adwokatem? - warknął Wilkes. - Bo możemy usunąć pana...

Gordon wstał. Był co najmniej trzydzieści centymetrów wyższy od detektywa.

- Tak się składa, że jestem prawnikiem, panie Wilkes. Mogę pana pouczyć w kwestii konstytucjonalnych praw mojej córki do odmowy udziału w przesłuchaniu albo złożyć oficjalną skargę u pańskich przełożonych.

Po reakcji detektywa Andy wiedziała, że gryzie się w język, by nie przywołać Gordona do porządku.

- Brant, przejdź się - zaproponowała Palazzolo.

Wilkes ani drgnął.

- Brant, daj spokój. Zaczekaj na mnie w bufecie. Kup coś do jedzenia.

Wilkes spiorunował Gordona wzrokiem niewykastrowanego pitbulla i odszedł, gotując się z wściekłości.

- Panie Oliver - zaczęła Palazzolo - rozumiem, że pańska córka wiele dzisiaj przeszła, ale chociaż nie nazwałabym

Savannah sennym miasteczkiem, zwykle nie mamy tu do czynienia z potrójnymi zabójstwami. Naprawdę potrzebujemy zeznania pańskiej córki. Musimy wiedzieć, co się stało.

- Podwójne zabójstwo - poprawił ją Gordon.

- Racja. - Palazzolo zawahała się na moment. - I dwoje rannych. Możemy to zrobić na siedząco? - Posłała Andy pojednawczy uśmiech. - Ja też miałam nocną zmianę i od osiemnastu godzin jestem na nogach. - Przysunęła sobie krzesło, zanim Gordon zdążył zaprotestować. - Powiem wam, co wiem, a jeśli Andrea zechce, to powie mi, co sama wie. Albo nie. Tak czy siak, powinniście poznać nasz punkt widzenia. - Palazzolo wskazała pozostałe krzesła. - To dobry układ, panie Oliver. Mam nadzieję, że pan go przyjmie.

Andy podniosła wzrok na ojca. Potrójne zabójstwo? Dwoje ludzi rannych? Dlaczego miała wrażenie, że detektyw Palazzolo nie wlicza Laury do rannych?

- Panie Oliver? - Palazzolo zabębniła palcami w oparcie swojego krzesła, ale nie usiadła. - Co pan na to?

Gordon spojrzał na Andy.

Widziała to spojrzenie tysiące razy. Pamiętaj, co ci mówiłem.

Andy skinęła głową. Świetnie jej wychodziło trzymanie języka za zębami.

- W porządku. - Palazzolo usiadła z westchnieniem ulgi.

Gordon delikatnie przesunął Andy, by dać jej trochę przestrzeni i znaleźć się naprzeciwko pani detektyw.

- Dobrze. - Palazzolo wyjęła notes, ale nie długopis. Przerzuciła kilka kartek. - Napastnik nazywa się Jonah Lee Helsinger. Osiemnaście lat. Ostatni rok liceum. Wstępnie przyjęty na uniwersytet stanowy na Florydzie. Dziewczyna nazywała się Shelly Anne Barnard. Była w restauracji ze swoją matką Elizabeth Leoną Barnard. Betsy. Jonah Lee Helsinger

jest... to znaczy był ekschłopakiem Shelly. Jej ojciec mówi, że córka zerwała z nim dwa tygodnie temu. Chciała to zrobić przed wyjazdem do college'u w przyszłym miesiącu. Helsinger źle to przyjął.

Gordon odchrząknął.

- To delikatnie powiedziane.

Palazzolo pokiwała głową, ignorując jego sarkazm.

- Niestety, przez lata mieliśmy do czynienia z wieloma takimi przypadkami. Wiemy, że szal zabijania zazwyczaj nie wyzwała się pod wpływem nagłego impulsu. To starannie zaplanowane i dobrze wykonane operacje, które chodzą zabójcy po głowie, aż wreszcie jakiś bodziec, na przykład zerwanie czy nieuchronnie zbliżająca się zmiana w życiu, popycha go do realizacji planu. Pierwszą ofiarą jest zwykle bliska kobieta. Na szczęście matka Helsingera była dziś rano w Charleston w interesach. Ale jego strój - czarny kapelusz, kamizelka i pas - który kupił na Amazonie pół roku temu, zdradza nam, że poświęcił temu mnóstwo uwagi. Ostatecznym impulsem do zbrodni okazało się zerwanie, ale sam pomysł i skonkretyzowany plan kiełkowały w nim od miesięcy.

Szał zabijania. Te słowa tłukły się Andy w głowie.

- Wszystkie jego ofiary to kobiety? - zapytał Gordon.

- W restauracji siedział mężczyzna. Został ranny odłamkiem w oko. Nie wiadomo, czy je straci, czy nie. - Wróciła do Jonaha Helsingera. - Wiemy, że tacy szaleni zabójcy podkładają w domu ładunki wybuchowe, by zwiększyć liczbę ofiar, dlatego wysłaliśmy do domu Helsingera policyjnych pirotechników. W swojej sypialni przymocował do klamki bombę rurową. Źle ją założył. Pewnie wziął opis z Internetu. Dzięki Bogu nic nie wybuchło.

Andy otworzyła usta, by złapać powietrze. Stała z tym

człowiekiem twarzą w twarz. Omal nie zabił Laury. Omal nie zabił jej. Zamordował dwie osoby. Innych ludzi próbował wysadzić w powietrze.

Możliwe, że chodził do szkoły w Belle Isle. Tej samej co ona.

- Helsing - powiedział Gordon. - To nazwisko brzmi znajomo.

- Tak, ta rodzina jest dobrze znana w hrabstwie Bibb. Tak czy siak...

- Dobrze znana - powtórzył Gordon tonem, którego Andy nie potrafiła rozszyfrować.

Palazzolo najwyraźniej zrozumiała podtekst. Przez chwilę mierzyła Gordona wzrokiem, po czym podjęła:

- Tak czy siak, Jonah Helsing zostawił na łóżku zeszyty. Większość wypełniały niepokojące, dziwne rysunki. Miał jeszcze cztery sztuki krótkiej broni, a także AR-15 i śrutówkę, jednak wybrał rewolwer sześćostrzałowy i nóż. Wydaje nam się, że znamy powód. W jego laptopie znaleźliśmy folder o nazwie „Plan śmierci”. Zawierał dwa dokumenty i plik PDF.

Andy przeszedł dreszcz. Kiedy ona szykowała się wczoraj do pracy na nocną zmianę, Jonah Helsing być może leżał w łóżku, przygotowując się psychicznie do zabójczej akcji.

- W pliku PDF znajdował się plan restauracji - ciągnęła Palazzolo. - Był precyzyjny i fachowy, jakby wykonany przez architekta. W jednym z dokumentów był dokładny zapis kolejności zdarzeń i czas: pobudka, prysznic, przygotowanie broni, zatankowanie auta. Drugi dokument to swoisty pamiętnik, w którym Helsing pisał, jak i dlaczego to robi. - Palazzolo zerknęła do notatek. - Pierwszymi celami miały być Shelly i jej matka. Wygląda na to, że w każdy poniedziałek chodziły na lunch w Rise-n-Dine. Shelly pisała o tym na Facebooku, wysyłała na Snapchacie zdjęcia jedzenia. Pan

Barnard powiedział, że te lunche to ich wspólny pomysł, bo matka i córka chcą spędzać ze sobą dużo czasu przed wyjazdem Shelly do college'u.

- Chciały - mruknął Gordon, ponieważ wszystko, co dotyczyło tych dwóch kobiet, było domeną czasu przeszłego.

- Tak, chciały - poprawiła się Palazzolo. - Helsinger planował zabić obie. Obwinił matkę za decyzję Shelly o zerwaniu, napisał, że to wina Betsy, że zawsze sterowała Shelly, że to, że tamto. Typowy bełkot szaleńca. Ale to nieistotne, ponieważ wszyscy wiemy, że jedynym, który zawinił, jest Jonah Helsinger, prawda?

- Prawda - potwierdził Gordon zdecydowanym głosem.

Palazzolo wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem, po czym wróciła do notatek.

- Miał taki plan: po zabiciu Betsy i Shelly chciał wziąć w restauracji zakładników. Odnotował czas. Minuta szesnaście.

- Podniosła głowę i spojrzała na Andy, potem na Gordona. - Uważamy, że przeprowadził próbę. W zeszłym tygodniu, mniej więcej o tej samej porze co dzisiejsza strzelanina, ktoś rzucił kamieniem w okno wychodzące na promenadę. Czekamy na nagranie z kamer monitoringu. Powiadomienie o incydencie trafiło do ochrony centrum. Pierwszy policjant zjawił się na miejscu minutę i szesnaście sekund od zdarzenia.

Ochroniarze nie byli zwyczajnymi gliniarzami do wynajęcia, ale funkcjonariuszami policji zatrudnionymi do ochrony luksusowych sklepów. Andy widziała broń na ich biodrach, ale nigdy się nad tym nie zastanawiała.

- Helsinger planował zastrzelić jeszcze przynajmniej jedną przypadkową osobę, by, jak to ujął, policja potraktowała go poważnie, a potem zamierzał pozwolić się zabić. - Palazzolo spojrzała na Andy. - Na widok pani uniformu doszedł do

wniosku, że pracuje pani w organach ścigania, co mogło przyspieszyć realizację planu. Z zeznań jednego ze świadków wynika, że próbował zmusić panią do tego, by go pani zastrzeliła. Innymi słowy, chciał zginąć z ręki policjantki w wyniku tak zwanego samobójstwa sprowokowanego.

Tyle że ona nie była policjantką.

„No dalej! Rób swoje!”.

Tak Helsinger krzyczał do Andy.

Wtedy Laura powiedziała: „Zastrzel mnie”.

- To jest naprawdę zły chłopak. Był - poprawiła się Palazzolo, wciąż skupiona na Andy. - Mamy dowód w postaci jego zapisków. Drobiazgowo wszystko zaplanował. Wiedział, że zamorduje ludzi. Liczył, że ofiar będzie więcej, kiedy ktoś otworzy drzwi do jego sypialni. Bombę rurową nafaszerował śrubkami i gwoździami. Gdyby kable na gałce u drzwi nie zostały źle połączone, cały dom wyleciałby w powietrze razem z ludźmi, którzy byliby w środku, a gwoździe byśmy znajdowali dwie przecznice dalej wbite Bóg wie w co i w kogo.

Andy chciała skinąć głową, ale była jak sparaliżowana. Śrubki i gwoździe latające w powietrzu. Co pchało człowieka do skonstruowania bomby naszpikowanej takimi przedmiotami w celu zamordowania lub okaleczenia innych ludzi?

- Ma pani szczęście - ciągnęła Palazzolo. - Gdyby nie mama, Helsinger zabiłby panią. To był naprawdę zły człowiek.

Andy czuła na sobie spojrzenie policjantki, ale nie odrywała wzroku od podłogi.

Zły człowiek.

Palazzolo powtarzała tę frazę, jakby dobrze się stało, że Helsinger nie żyje. Jakby dostał to, na co zasłużył. Jakby czyn Laury był usprawiedliwiony, ponieważ Jonah Lee Helsinger był złym człowiekiem.

Andy pracowała na komisariacie. Większość ofiar morderstwa podpadała pod kategorię „zły człowiek”, mimo to nigdy nie słyszała, by jakikolwiek śledczy do znudzenia powtarzał, że ofiara była złym człowiekiem.

Palazzolo zwróciła się do Gordona:

- Panie Oliver, czy pańska żona przeszła jakieś szkolenie wojskowe?

Gordon nie odpowiedział.

- Jej życiorys jest nudny - ciągnęła Palazzolo, przewracając kartki w notatniku. - Urodziła się w Providence. Studiowała na uniwersytecie stanowym Rhode Island. Uzyskała tytuł magistra i doktorat na uniwersytecie stanowym Georgii. Od dwudziestu ośmiu lat mieszka w Belle Isle. Spłaciła dom. Gratulacje. Mogłaby go sprzedać za wór pieniędzy, ale dokąd miałyby się wynieść? Jedno małżeństwo, jeden rozwód. Brak nieuregulowanych długów. Rachunki płaci w terminie. Nigdy nie wyjeżdżała z kraju. Trzy lata temu dostała mandat za nieprawidłowe parkowanie. Uregulowała należność przez Internet. Była chyba jedną z pierwszych osób, które tu zainwestowały. - Palazzolo zwróciła się do Andy. - Pani się tu wychowała, tak?

Andy wpatrywała się w nią. Policjantka miała koło ucha pieprzyk, tuż poniżej linii szczęki.

- Chodziła pani do szkoły w Isle, potem studiowała w Akademii Sztuki i Projektowania w Savannah, tak?

Dwa pierwsze lata swojego życia Andy spędziła w Athens, kiedy Laura kończyła doktorat, ale jedyne, co pamiętała z tamtych czasów, to strach przed aleksandrettą sąsiadki, tym rozwrzeszczanym ptaszyskiem.

- Pani Oliver... - W głosie Palazzolo pojawiło się napięcie. Pewnie przywykła, że na swoje pytania zawsze uzyskuje

odpowieź. - Czy pani matka kiedykolwiek chodziła na kurs samoobrony?

Andy studiowała pieprzyk policjantki, z którego wystawało kilka krótkich włosków.

- Chodziła na jogę? Pilates? Tai-chi? - zapytała i czekała na odpowiedź. Nie doczekawszy się jej, zamknęła notatnik i schowała go do kieszeni. Potem sięgnęła do drugiej, wyjęła telefon i postukała palcem w ekran. - Pokazuję wam to nagranie, ponieważ już znalazło się w informacjach. - Przeciągnęła palcem po ekranie. - Jeden z klientów restauracji uznał, że ważniejsze jest nagranie tej sytuacji niż powiadomienie policji czy ucieczka.

Odwróciła telefon w stronę Andy. Obraz był zatrzymany. Jonah Helsing stał przy wejściu do restauracji. Dolną część jego ciała zasłaniał kosz na śmieci. Centrum za jego plecami było puste. Biorąc pod uwagę kąt filmowania, Andy wiedziała, że nagranie nie jest dziełem kelnerki. Zastanawiała się, czy to nie mężczyzna z gazetą. Telefon był umieszczony tuż nad pieprzniczką i solniczką, jakby nagrywający chciał ukryć fakt, że filmuje dziwnego chłopaka ubranego jak złoczyńca z westernu z Johnem Wayne'em.

Obiektywnie rzecz biorąc, kapelusz był idiotyczny. Za duży na Helsingera, sztywny na czubku i groteskowo wywinięty po bokach.

Andy też mogłaby go sfilmować jako ciekawe zjawisko.

- To drastyczne nagranie - oznajmiła Palazzolo. - Stacje telewizyjne zamazują obraz. Jest pan gotów to obejrzeć? - zawróciła się do Gordona, ponieważ Andy już widziała te sceny na własne oczy.

Gordon przejechał kciukiem i palcem wskazującym po wąsach, jakby namyślał się przed odpowiedzią. Andy wiedziała,

że zniesie ten widok i raczej zadawał sobie pytanie, czy naprawdę chce to oglądać.

- Tak - odparł w końcu.

Palazzolo dotknęła palcem ekranu telefonu.

W pierwszej chwili Andy miała wrażenie, że telefon nie zareagował na dotyk policjantki, ponieważ Jonah Helsinger wcale się nie ruszał. Przez kilka sekund stał za koszem na śmieci i zaglądał do restauracji w za dużym kapeluszu nasuniętym na lśniące czoło.

Dwie starsze kobiety przeszły za jego plecami wolnym krokiem. Jedna z nich dostrzegła westernowy strój, trąciła łokciem swoją towarzyszkę i obie wybuchnęły śmiechem.

W tle rozbrzmiewała piosenka Madonny *Dress You Up*.

Ktoś zakasłał. Ten dźwięk zawibrował Andy w uszach. Zastanawiała się, czy zarejestrowała któryś z tych odgłosów, kiedy się rozlegały; kiedy mówiła kelnerce, że jest technikiem sztuk teatralnych; kiedy patrzyła przez okno na grzebienie fal.

Na ekranie Helsinger zwrócił głowę w prawo, potem w lewo, jakby lustrował restaurację. Andy wiedziała, że niewiele mógł tam zobaczyć. Sala była prawie pusta. Nieliczni klienci popijali kawę albo herbatę przed zakupami czy grą w golfa, czy jak w przypadku Andy - przed pójściem spać.

Helsinger wyszedł zza kosza.

- Jezu - rozległ się męski głos.

Andy pamiętała to słowo wypowiedziane złowieszczym szeptem z nutą zaskoczenia.

Uniesiona broń. Dym z lufy. Głośne trach.

Shelly została trafiona w tył głowy i osunęła się na podłogę jak szmaciana lalka.

Betsy Barnard zaczęła krzyczeć.

Druga kula chybiła, ale głośny krzyk obwieścił, że trafiła

w kogoś innego.

Trzecia kula wyleciała z lufy zaraz po drugiej.

Kubek na stole rozpadł się na tysiące kawałków, które wyleciały w powietrze jak z procy.

Laura odwracała się od strzelca, kiedy jeden z kawałków odłamków trafił ją w nogę, ale nie zwróciła na to uwagi. Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę. Zaczęła biec, ale nie uciekać. Bliżej miała do drzwi wejściowych z centrum niż na drugi koniec restauracji. Mogła przycupnąć pod stołem. Mogła salwować się ucieczką.

Zamiast tego puściła się pędem ku córce.

Andy ujrzała siebie, jak stoi plecami do okna. Jej wersja wideo wypuściła z rąk kubek, który roztrzaskał się na podłodze. Na pierwszym planie napastnik mordował Betsy Barnard. Kulę numer cztery wystrzelił jej w usta, kulę numer pięć posłał w głowę. Kobieta upadła na ciało martwej córki.

Chwilę później Laura rzuciła Andy na ziemię.

Na ułamek sekundy wszystko znieruchomiało. Potem Laura podskoczyła.

Poklepała się po rękach w taki sam sposób, w jaki poklepywaniem posyłała Andy wieczorem do łóżka. Człowiek w czerni, Jonah Lee Helsing, wycelował broń w pierś Laury. W tle Andy zobaczyła siebie zwiniętą w kłębek. Na szybie za nią powiększała się pajęczyna spękań. Odłamki spadały na ziemię.

Siedząc na krześle obok Gordona, Andy uniosła rękę, dotknęła włosów i ze splątanych kosmyków wyjęła kawałek szkła.

Kiedy znowu spojrzała na wyświetlacz telefonu Palazzolo, kąt widzenia kamery uległ zmianie. Nagrywającemu wyraźnie drżała ręka. Filmował zza pleców napastnika. Ktokolwiek to

był, leżał na ziemi za przewróconym stołem. Dzięki tym obrazom Andy zyskała zupełnie inną perspektywę. Zamiast stać twarzą w twarz ze strzelcem, znalazła się za nim. Zamiast patrzeć na plecy matki, widziała twarz Laury. Jej ręce i sześć wyprostowanych palców wskazujących całkowitą liczbę nabojów. I kiwający się kciuk, oznaczający ostatni ostry nabój w komorze.

„Zastrzel mnie”.

To właśnie powiedziała Laura chłopakowi, który już zamordował dwie kobiety. „Zastrzel mnie”. Powtórzyła to kilkakrotnie. W mózgu Andy echo tych słów rozbrzmiewało za każdym razem, gdy Laura wypowiadała je na nagraniu.

Zastrzel mnie; chcę, żebyś mnie zastrzelił; zastrzel mnie; kiedy mnie zastrzelisz, moja córka ucieknie...

Kiedy strzelanina się zaczęła, wszyscy obecni w restauracji albo krzyknęli, albo schylili się, albo uciekli, albo zrobili to wszystko.

Laura zaczęła liczyć naboje.

- Co on robi? - mruknął Gordon.

Klik.

Na ekranie Helsinger otwierał pochwę wiszącą u paska z bronią.

- To nóż - stwierdził Gordon. - Myślałem, że użył broni.

Rewolwer wylądował w kaburze. W zaciśniętej dłoni Helsingera znajdował się nóż z ostrzem nachylonym pod odpowiednim kątem, by zwiększyć skutki ataku.

Andy chciała zamknąć oczy, ale jednocześnie chciała znowu to zobaczyć. Widzieć twarz matki, ponieważ w tej chwili na nagraniu, kiedy Helsinger trzymał groźnie wyglądający nóż myśliwski, wyraz twarzy Laury był niemal łagodny, zupełnie jakby ktoś wyłączył jej w środku przełącznik.

Nóż zakreślił w powietrzu łuk.

Gordon wciągnął gwałtownie powietrze.

Nóż opadł.

Laura podniosła lewą rękę. Ostrze przebiło jej środek dłoni. Zacisnęła palce na rękojeści i wyszarpnęła ją Helsingerowi, a potem wzięła zamach z bekhendu i wbiła mu ostrze w szyję.

Łup.

Helsinger otworzył szeroko oczy.

Lewa ręka Laury była przyszpilona do lewej strony jego szyi jak kartka przyczepiona do tablicy ogłoszeniowej.

Nastąpiła krótka przerwa, trwająca ledwie kilka milisekund.

Wargi Laury poruszyły się ledwie dostrzegalnie. Wycedziła jedno słowo, może dwa.

Podłożyła prawą rękę pod uwięzioną lewą.

Oparła krawędź prawej dłoni o prawy bark Helsingera.

Pchnęła go w ten bark.

Lewą ręką przebitą nożem przejechała po gardle napastnika.

Krew.

Wszędzie krew.

Gordon otworzył usta.

Andy czuła, że język jej kołowacieje.

Prawa ręka pchała, lewa ciągnęła.

Z nagrania wynikało, że Laura rozmyślnie wyciągnęła nóż z gardła Helsingera.

To było coś więcej niż odebranie mu życia.

Laura go zamordowała.

Gordon też to zobaczył.

- Ona... Ona go... - nie dokończył, zasłaniając usta dłonią.

Na nagraniu Helsinger osuwa się na kolana, a potem wali się bezwładnie na ziemię.

Andy zobaczyła siebie. Z oczami okrągłymi jak spodki.

Na pierwszym planie Laura pozostała spokojna. Spojrzała na ostrze wystające z przebitej dłoni, obróciła ją, przyglądając się najpierw jej wnętrzu, potem grzbietowi, jakby lokalizowała drzazgę.

W tym miejscu Palazzolo zatrzymała nagranie.

Odczekała chwilę, po czym zapytała:

- Mam to puścić jeszcze raz?

Gordon przełknął ślinę tak intensywnie, że Andy zobaczyła wyraźny ruch jabłka Adama.

- Panie Oliver? - ponagliła.

Gordon potrząsnął głową, patrząc w głąb korytarza.

Palazzolo wyłączyła ekran i włożyła telefon do kieszeni. Andy nie zauważyła, kiedy ustawiła sobie krzesło bokiem do Gordona. Usiadła pochylona ku niej, z rękami opartymi na udach. Ich kolana dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów.

- Przerazające. Z pewnością trudno było to oglądać.

Gordon pokręcił głową. Uznał, że policjantka mówi do niego.

- Nie ma pośpiechu, pani Oliver. Wiem, że to trudne, prawda? - zwróciła się do Andy, pochylając się bardziej. Jej bliskość powodowała dyskomfort.

Jedna ręka pcha, druga ciągnie.

Pchnięcie w ramię. Przeciągnięcie noża po gardle.

Spokój na twarzy Laury.

„Powie wam, co wiem, a jeśli Andrea zechce, to powie mi, co ona wie”.

Śledcza nie powiedziała ani nie pokazała nic, co zapewne nie krążyło już w mediach. A teraz wywierała nacisk na Andy, centymetr po centymetrze wkraczając w jej przestrzeń osobistą. Andy wiedziała, że to jedna z technik przesłuchania, ponieważ w wolnych chwilach w pracy czytała podręcznik szkoleniowy:

Techniki policyjne przesłuchań:

Zeznania świadka;

Przesłuchiwanie świadka wrogo nastawionego do powołującej go strony;

Przyznanie się do winy.

Przesłuchujący powinien sprawić, by przesłuchiwany czuł się nieswojo, nie wiedząc, dlaczego tak się czuje.

Właśnie dlatego Palazzolo usiłowała wywołać u Andy poczucie dyskomfortu, ponieważ nie przyjmowała od niej zeznania. Ona ją przesłuchiwała.

- Ma pani szczęście, że mama panią uratowała. Niektórzy nazwaliby ją bohaterką - powiedziała.

Niektórzy.

- Co pani matka powiedziała Jonahowi przed jego śmiercią? - zapytała.

Andy obserwowała, jak dystans między nimi topnieje do pięciu centymetrów.

- Pani Oliver? - ponagliła Palazzolo.

Laura wydawała się zbyt spokojna. Na tym polegał problem. Przez cały czas była zbyt spokojna i zbyt metodyczna, zwłaszcza gdy uniosła prawą rękę i skierowała ją ku ramieniu Jonaha.

Jedną ręką pchnęła, drugą pociągnęła.

Bez obawy o własne życie.

Rozmyślnie.

- Pani Oliver? - powtórzyła Palazzolo. - Co powiedziała pani matka?

Niewypowiedziane pytanie śledczej wypełniło resztkę dzielącej je przestrzeni: Jeśli Laura naprawdę była taka spokojna, jeśli naprawdę działała tak metodycznie, dlaczego nie użyła tej samej ręki, by odebrać Helsingerowi broń?

- Andreo? - Palazzolo oparła łokcie na kolanach. Jej oddech pachniał kawą. - Wiem, że to trudny czas, ale możemy to wszystko szybko wyjaśnić, jeśli powiesz mi, co twoja mama powiedziała, zanim Helsinger umarł. - Na moment zawiesiła głos. - Telefon tego nie zarejestrował. Zawsze możemy wysłać nagranie do laboratorium kryminalistycznego, ale byłoby o wiele prościej, gdybyś nam powiedziała...

- Ojciec - powiedział nagle Gordon. - Powinniśmy modlić się za ojca.

Palazzolo nie spojrzała na niego, ale Andy tak. Gordon nigdy nie był pobożny.

- Nie wyobrażam sobie... - Urwał gwałtownie. - Nie wyobrażam sobie, co czuje człowiek, który stracił rodzinę, ot tak... - Podkreślił ostatnie słowa pstryknięciem palców tuż przy twarzy, jakby chciał wybudzić się z transu, w jaki wprowadziło nagranie. - Tak się cieszę, Andreo, że matka była przy tobie. Ocaliła cię. I siebie też.

Andy skinęła głową. Chociaż raz znalazła się krok przed ojcem.

- Posłuchajcie mnie. - Palazzolo w końcu wyprostowała się na krześle, zwiększając dystans. - Myślicie, że nie jestem po waszej stronie, ale w tej sprawie nie ma stron. Jonah Helsinger był złym człowiekiem i miał zbrodniczy plan. Chciał zamordować ludzi i to zrobił. Ma pan rację, panie Oliver. Pańska żona i córka mogły być trzecią i czwartą ofiarą. Ale jako policjantka muszę ustalić dokładny przebieg zdarzeń. Zależy mi tylko na prawdzie.

- Pani detektyw. - Głos Gordona w końcu zabrzmiał naturalnie. - Żyjemy dostatecznie długo, by wiedzieć, że prawda jest podatna na interpretację.

- To prawda, panie Oliver. Święta prawda. - Palazzolo

zerknęła na Andy. – Właśnie uświadomiłam sobie, że przez cały ten czas nie odezwałaś się ani słowem. – Dotknęła kolana Andy niemal z siostrzaną troską. – Wszystko w porządku, moja droga. Nie bój się. Możesz ze mną porozmawiać.

Andy wpatrywała się w znamię policjantki, ponieważ nie była w stanie spojrzeć jej w oczy. Nie bała się. Była zdezorientowana.

Czy Jonah Helsingier stwarzał zagrożenie, gdy Laura go zabiła? Według prawa można zabić kogoś, jeśli nam zagraża, ale jeśli pozbawimy go życia, chociaż nie stwarza zagrożenia, to już nie jest obrona konieczna.

Tylko zabójstwo.

Andy usiłowała wrócić myślami do dzisiejszego poranka, wypełnić dziury w pamięci obrazami z nagrania. Czy Laura mogła zostawić nóż w szyi Jonaha Helsingera, odebrać mu broń, a potem... co?

Przyjechałaby policja. Dyspozytor wezwałby karetkę, nie koronera, ponieważ nawet z nożem wystającym z szyi jak Hermanowi z *Rodziny Potwornickich*, Jonah Helsingier nie był martwy. Nie krwawił ani z ust, ani z uszu. Nadal mógł poruszać rękami i nogami, co oznaczało, że arteria i żyła szyjna raczej nie zostały uszkodzone. A to znaczyło, że miał szansę na przeżycie, póki Laura go nie zabiła.

Co stałoby się później?

Ratownicy ustabilizowaliby go na czas transportu do szpitala, a chirurdzy bezpiecznie usunęliby nóż z szyi. Jednak nic takiego się nie stało, ponieważ Laura zaparła się prawą ręką w okolicy barku Jonaha Helsingera i odebrała mu życie.

– Pani Oliver – powiedziała Palazzolo – brak reakcji z pani strony bardzo mnie niepokoi. Jeśli wszystko w porządku, to dlaczego pani się nie odzywa?

Andy zebrała się w sobie, by spojrzeć policjantce w oczy. Musiała przerwać milczenie. Powiedzieć, że Laura nie miała wyjścia. Moja matka działała w obronie własnej. Pani tam nie było, ale ja byłam, i przysięgnę na cały stos Biblii przed każdą ławą przysięgłych, że moja matka nie miała innego wyjścia, jak zabić Jonaha Lee Helsingera.

- Lauro? - powiedział Gordon.

Andy odwróciła się, wyzwalając się z sieci zarzuconej przez Palazzolo. Spodziewała się zobaczyć matkę na mobilnym łóżku szpitalnym, ale Laura siedziała na wózku.

- Wszystko w porządku - powiedziała, chociaż ból wykrzywił jej twarz. Miała na sobie białą szpitalną koszulę. Ramię unieruchomione stabilizatorem przylegało do tułowia. Wyprostowane palce wystawały z czegoś, co na pierwszy rzut oka przypominało kolarską rękawicę z obciętymi czubkami palców. - Muszę się przebrać, potem mogę jechać do domu.

Gordon otworzył usta, ale Laura nie dała mu szansy zaprotestować.

- Proszę cię - powiedziała. - Już mówiłam lekarce, że wyjdę na własne życzenie. Przygotowuje dla mnie papiery. Podjedziesz swoim autem pod wejście? - Wyglądała na poirytowaną, zwłaszcza że Gordon nie ruszył się z miejsca. - Gordonie, czy możesz podjechać autem pod wejście?

- Doktor Oliver - wtrąciła Palazzolo - chirurg twierdzi, że powinna pani zostać na noc, może dłużej.

Laura nawet jej nie zapytała, kim jest ani dlaczego rozmawiała z chirurgiem.

- Gordonie, chcę jechać do domu.

- Pani Oliver - nie dawała za wygraną. - Jestem detektyw Lisa Palazzolo z wydziału...

- Nie chcę z panią rozmawiać. - Laura spojrzała na Gordona.

- Chcę jechać do domu.

- Proszę pani...

- Czy pani niedosłyszy? - zapytała Laura. - Ten człowiek jest prawnikiem. Może panią poinformować o moich prawach, jeśli ich pani nie zna.

Palazzolo zmarszczyła brwi.

- Już to przerabialiśmy, ale chcę to usłyszeć bezpośrednio od pani, na potrzeby raportu. Czy odmawia pani zeznań?

- W tej chwili tak - wtrącił Gordon. Im bardziej ktoś atakował Laureę, tym bardziej czuł się zobowiązany, by stanąć po jej stronie. - Moja kancelaria odezwie się do pani w celu ustalenia terminu.

- Mogę ją zatrzymać jako świadka kluczowego dla śledztwa.

- Owszem - zgodził się Gordon - ale wtedy zostałyby tu ze wskazania lekarza, a pani i tak nie miałaby do niej dostępu.

- Miałam znieczulenie. Nie jestem w stanie... - odezwała się Laura.

- Pogarsza pani sprawę. Wie pani o tym, prawda? - Palazzolo porzuciła przyjazny ton osoby deklarującej, że znajduje się po tej samej stronie. Była wyraźnie zirytowana. - Ludzie, którzy milczą, mają coś do ukrycia.

- Moje biuro skontaktuje się z panią, kiedy Laura będzie gotowa na rozmowę - oznajmił Gordon.

Palazzolo zacisnęła zęby tak mocno, że chodziła jej szczęka. Oschle skinęła im głową i ruszyła do wind, a poły rozpiętego żakietu powiewały w rytmie jej energicznych kroków.

Gordon zwrócił się do Laury.

- Powinnaś zostać w szpitalu. Ona nie będzie cię nachodzić. Zdobędę zakaz zbliżania się, jeśli...

- Dom - rzuciła Laura. - Albo podjedziesz swoim autem, albo wezwę taksówkę.

Gordon wzrokiem poszukał pomocy u sanitariusza, który wiozł Laurę na wózku, ale stwierdził tylko, wzruszając ramionami:

- Ona ma rację. Po podpisaniu dokumentów nie możemy jej zatrzymać w szpitalu, skoro nie chce tu zostać.

Gordon kucnął przy wózku.

- Moja droga, nie sądzę...

- Andro - Laura ścisnęła dłoń Andy tak mocno, aż chrupnęły kostki - nie chcę tu być. Nie mogę znowu być w szpitalu. Nie na noc. Rozumiesz?

Andy pokiwała głową, ponieważ tyle rozumiała. Laura spędziła prawie rok na powtarzającej się hospitalizacji z powodu komplikacji pooperacyjnych, dwukrotnego zapalenia płuc oraz poważnego zakażenia bakterią *Clostridium difficile*, które doprowadziło do uszkodzenia nerek.

- Tato, mama chce jechać do domu - Andy zwróciła się do Gordona.

Mruknął coś pod nosem, po czym wstał, sięgnął do kieszeni i zadzwonił kluczykami.

- Jesteś pewna? - Potrząsnął głową, ponieważ Laura nie wygłaszała stwierdzeń, których nie była pewna. - Przebierz się i podpisz papiery. Czekam na zewnątrz.

Andy odprowadziła Gordona wzrokiem. Czuła znajomy ucisk w piersiach wywołany wyrzutami sumienia, że przedłożyła żądania matki nad prośbę ojca.

- Dziękuję. - Laura poluzowała uścisk na dłoni Andy, po czym zwróciła się do sanitariusza: - Znajdzie pan dla mnie jakiś T-shirt czy coś innego?

Skinął głową i odszedł.

- Andro - zaczęła Laura szeptem. - Powiedziałaś coś tej detektyw?

Andy potrzęsnęła głową.

- Rozmawiałaś z nią, kiedy sanitariusz wioził mnie korytarzem.

- Nie rozmawiałam. - Andy dziwił ostry ton głosu matki. - Zadawała pytania, ale nic jej nie powiedziałam. Nie odzywałam się. Wcale.

- Dobrze. - Laura próbowała zmienić pozycję na wózku, ale skrzywienie na jej twarzy zdradzało, że ból jest dotkliwy. - Co do tego, o czym rozmawiałyśmy wcześniej w restauracji, to chcę, żebyś się wyprowadziła. Dziś wieczorem. Musisz się wyprowadzić.

Co?

- Wtedy mówiłam, że nie wyznaczę ci terminu, ale zmieniłam zdanie. - Laura znowu próbowała poruszyć się na wózku. - Jesteś dorosła, Andreo, i musisz zacząć działać jak dorosła. Chcę, żebyś znalazła mieszkanie i wyprowadziła się. Dzisiaj.

Andy zamarła. Żołądek podszedł jej do gardła.

- Twój ojciec podziela moje zdanie - powiedziała Laura, jakby ten argument miał nadać większą wagę jej słowom. - Masz się wyprowadzić z domu. Z garażu. Wynieś się, dobrze? Nie możesz tam dzisiaj spać.

- Mamo...

Laura syknęła, próbując usadowić się wygodniej na wózku.

- Andreo, nie kłóć się ze mną. Dzisiaj wieczorem potrzebuję samotności. Jutro też. Musisz odejść z domu. Troszczyłam się o ciebie przez trzydzieści jeden lat. Masz prawo wreszcie być sama.

- Ale... - Andy urwała, nie wiedząc, co właściwie chce powiedzieć.

Ale ludzie nie żyją.

Ale mogłaś umrzeć.

Ale zabiłaś kogoś, chociaż wcale nie musiałaś.

Naprawdę nie musiałaś?

- Już podjęłam decyzję - oznajmiła Laura. - Zejdź na dół i upewnij się, że twój ojciec wie, pod które wejście podejść.

Poprzednio Gordon przyjeżdżał po nie do szpitala.

- Mamo...

- Andreo! Czy chociaż raz nie możesz zrobić tego, co mówię?

Andy chciała zatkać uszy. Nigdy dotąd nie czuła od matki takiego chłodu. Nagle otworzyła się między nimi bezdenna i ziejąca lodem przepaść.

- Idź - wycedziła Laura przez zaciśnięte zęby.

Andy okręciła się na pięcie i odeszła. Łzy płynęły jej po policzkach. Dwa razy słyszała dziś w głosie matki ten ostry jak brzytwa ton i za każdym razem jej ciało reagowało, zanim do głosu doszedł umysł.

Gordon zniknął jej z pola widzenia, za to detektyw Palazzolo czekała na windę. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Andy minęła ją i poszła ku schodom. Niepewnie stawiała kroki na stopniach. Była odrętwiała. Kręciło jej się w głowie. Łzy płynęły strumieniami.

Wyprowadzić się? Dzisiaj wieczorem?

Tak od razu? Na zawsze?

Przygryzła wargi, by zatamować łzy. Musiała wziąć się w garść, przynajmniej do chwili, aż ujrzy ojca. Wierzyła, że Gordon znajdzie rozwiązanie. Że coś wymyśli. Że zdoła wyjaśnić, co się stało jej dobrej, troskliwej matce.

Przyśpieszyła, niemal rzucając się ze schodów. Ucisk w piersi nieco zelżał. Zachowanie Laury musiało mieć swoje uzasadnienie. Stres. Narkoza. Żal. Strach. Ból. Każda z tych rzeczy z osobna mogła wyzwolić w człowieku najgorsze instynkty. Wszystkie razem mogły przyprawić o szaleństwo.

O to chodziło.

Laura potrzebowała czasu.

Andy poczuła, jak oddech jej się wyrównuje. Znalazła się na podeście i zakręciła. Spocona dłoń ześlizgnęła się po poręczy. Andy bokiem stopy uderzyła w podnózek stopnia. Druga nie utrzymała ciężaru ciała i z impetem klapnęła na tyłku.

Cholera!

Ukryła głowę w dłoniach. Coś mokrego ściekało jej po palcach. Za gęste na pot.

Cholera!

Kłykcie jej krwawiły. Polizała je. Czuła, jak drżą jej dłonie. Mózg wirował. Serce waliło jak oszalałe.

Nad nią otworzyły się drzwi, potem zamknęły. Na schodach rozległy się ciężkie kroki.

Andy przyjrzała się kostce. Na pierwszy rzut oka wyglądała dobrze. Coś się stało z kolanem, ale nie było to ani złamanie, ani skręcenie. Wstała, gotowa zejść na parter, ale nagle zawartość żołądka podeszła jej do gardła.

Kroki nad nią stały się głośniejsze.

Porzyganie się w publicznym miejscu to fatalny pomysł. Gorsze byłoby tylko mieć świadka tej sytuacji. Musiała znaleźć łazienkę. Na następnym podeście otworzyła drzwi, a potem popędziła korytarzem, aż natknęła się na toalety.

Wpadła do kabiny w ostatniej chwili. Kucnęła przed muszlą i otworzyła usta w oczekiwaniu na wymioty, ale w ustach poczuła tylko żółć.

Wydaliła z siebie, ile mogła, po czym spłukała toaletę, opuściła klapę i usiadła na muszli. Wierzchem dłoni otarła usta. Pot spływał jej po karku. Dyszała ciężko jak maratończyk po przebiegnięciu mety.

- Andreo?

Cholera.

Podkurczyła nogi, opierając pięty na brzegu muszli klozetowej, jakby zwinięcie się w kłębek mogło uczynić ją niewidzialną.

- Andreo? - Masywne buty Palazzolo zadudniły o płytki podłogowe i detektyw przystanęła przed jej kabiną.

Andy wpatrywała się w drzwi. Z kranu kapiała woda. Liczyła krople. Doliczyła do sześciu, gdy usłyszała:

- Andreo, wiem, że tam jesteś.

Andy przewróciła oczami, reagując w ten sposób na idiotyzm całej sytuacji.

- Domyślam się, że nie chcesz mówić. Może w takim razie mnie posłuchasz?

Andy czekała na dalszy ciąg.

- Twoja mama może mieć mnóstwo kłopotów. - Palazzolo odczekała chwilę i dodała: - Albo nie.

Serce Andy zabiło żywiej na dźwięk słowa „nie”.

- Rozumiem, co zrobiła. Broniała swojej córki. Ja też mam dziecko. Dla synka zrobiłabym wszystko. Jest moim światem.

Andy przygryzła dolną wargę.

- Pomogę ci. Pomogę wam obu przez to przejść.

Andy znowu czekała.

- Zostawię wizytówkę na blacie.

Andy nadal czekała.

- Możesz dzwonić o każdej porze, w nocy też. Razem ustalimy, co masz mówić, żeby rozwiązać te problem. - Palazzolo urwała. - Oferuję pomoc twojej mamie, Andreo. Tylko na tym mi zależy. Chcę pomóc.

Andy znowu przewróciła oczami. Dawno temu przekonała się, że przedłużające się milczenie ludzie biorą za oznakę ograniczenia umysłowego albo wręcz głupoty.

- Musisz jednak coś wiedzieć. Jeśli naprawdę chcesz pomóc mamie, najpierw musisz powiedzieć mi prawdę - nie dawała za wygraną. - O tym, co się stało.

Andy omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Dopiero potem możemy pójść dalej. Zgoda? - Nastąpiła kolejna przerwa. - Zgoda? - powtórzyła Palazzolo.

Zgoda.

- Moja wizytówka leży na blacie. Dzwon o każdej porze, dziewczyno.

Andy wsłuchiwała się w odgłos spadających kropli.

Jedna kropla... Dwie... trzy... cztery... pięć... sześć...

- Chcesz dać mi znać, że mnie usłyszałaś? Możesz na przykład spuścić wodę.

Andy uniosła dłoń i wystawiła w stronę drzwi środkowy palec.

- Okej - powiedziała policjantka, nie doczekawszy się reakcji.

- Zakładam, że mnie słyszałaś. Chodzi o to, że lepiej wcześniej niż później. Nie chcemy ciągnąć mamy na komisariat, przeprowadzać oficjalnego przesłuchania i tak dalej. Zwłaszcza że została ranna. Rozumiesz?

Oczami wyobraźni Andy zobaczyła, jak wstaje z muszli, kopniakiem otwiera drzwi kabiny i każe szanownej pani detektyw się walić.

Potem uświadomiła sobie, że drzwi kabiny otwierają się do środka, nie na zewnątrz, dlatego spektakularne otwarcie kopniakiem nie było możliwe. Czekwała więc z głową schowaną między kolanami, oplatając je rękami, aż detektyw Palazzolo wyjdzie z łazienki.

3

Andy siedziała na toalecie tak długo, że coś przeskoczyło jej w kolanie, kiedy w końcu rozprostowała się i opuściła nogi na ziemię. Ściągnęła miała napięte jak struny ukulele. Otworzyła drzwi kabiny i podeszła do umywalki. Zignorowała leżącą obok połyskującą złotawo wizytówkę detektyw Palazzolo. Obmyła twarz zimną wodą. Z kłykcia poleciała świeża krew. Andy owinęła palec ręcznikiem papierowym, po czym ostrożnie otworzyła drzwi łazienki.

Sprawdziła korytarz. Detektyw Palazzolo nie było. Już miała wyjść, kiedy tknięta nagłą myślą porwała wizytówkę z blatu przy umywalce. Postanowiła dać ją ojcu. Opowie mu, co się wydarzyło. Gliniarze nie powinni ot tak przepytować człowieka, który ma adwokata. Każdy, kto oglądał *Prawo i porządek*, dobrze o tym wie.

Przed windą stała grupka ludzi. Wśród nich też nie było detektyw Palazzolo. Mimo to Andy ponownie wybrała schody. Tym razem ostrożnie stawiała kroki. Kłykieć przestał krwawić. Wyrzuciła ręcznik papierowy do kosza przy schodach. W głównej poczekalni szpitala wisiała w powietrzu woń chemikaliów i wymiocin. Andy miała nadzieję, że to nie ona cuchnie wymiocinami. Zerknęła w dół na bluzkę, by to sprawdzić.

- Boże - ktoś wymamrotał. - Dobry Boże.

Telewizor.

Nagle zrozumiała, co się dzieje. Odebrała to jak uderzenie obuchem w głowę.

Wszyscy zgromadzeni w poczekalni - na pierwszy rzut oka ponad dwadzieścia osób - oglądali na CNN nagranie

z restauracji.

- Jasny gwint - rzucił ktoś inny.

Na ekranie telewizora Laura pokazywała na wyprostowanych palcach liczbę nabojów.

Przed nią stał Helsing. W kowbojskim kapeluszu. W skórzanej kamizelce. Z rewolwerem w dłoni.

Na pasku pojawił się napis ostrzegający widzów, że zobaczą drastyczne sceny.

- Co on robi? - zapytała jakaś kobieta.

Helsing wyciągał nóż z pochwy wiszącej na biodrze.

- Co jest...

- O cholera!

Ludzie wpatrywali się w ekran jak zahipnotyzowani.

Niektórzy wydawali z siebie tłumione okrzyki, jakby siedzieli w sali kinowej, a nie szpitalnej poczekalni.

Andy była równie porażona, jak reszta oglądających. Im intensywniej się temu przyglądała, tym bardziej była w stanie oglądać to jako postronna obserwatorka. Kim była ta kobieta na ekranie telewizora? Kim stała się Laura, kiedy Andy kuliła się ze strachu pod strzaskanym oknem?

- Zupełnie jak babcia ninja - zażartował ktoś.

- Rambabcia.

Zgromadzeni skwitowali tę uwagę zdawkowym śmiechem.

Andy nie mogła tego słuchać. Nie była w stanie wytrzymać w tym pomieszczeniu, w tym szpitalu, znieść tej emocjonalnej zawieruchy, którą przeżywała, gdy nagle pękł łańcuch, jakim od zawsze była połączona z matką.

Odwróciła się i wpadła na mężczyznę, który stał zdecydowanie za blisko niej.

- Przepraszam. - Dotknął daszka bejsbolówki z napisem Alabama.

Andy nie miała nastroju na docenianie męskiej galanterii. Zrobiła krok w lewo, podczas gdy on zrobił krok w prawo. Po chwili oboje uczynili to samo, tyle że w drugą stronę.

Nieznajomy wybuchnął śmiechem.

Andy spiorunowała go wzrokiem.

- Proszę wybaczyć. - Alabama zdjął czapkę i szerokim gestem pokazał Andy, że może przejść.

Odeszła tak pośpiesznie, że rozsuwane drzwi nie zdążyły otworzyć się na całą szerokość i uderzyła ramieniem o framugę.

- Zły dzień? - Alabama wyszedł za nią na zewnątrz. Zachował dystans, mimo to Andy czuła, że narusza jej prywatną przestrzeń. - Wszystko w porządku?

Andy znowu spiorunowała go wzrokiem. Czyżby nie widział nagrania w telewizji? Czyżby nie rozumiał, że jest tą beznadziejną dziewczyną, której matka musiała stawić czoło bezwzględnemu zabójcy?

A potem sama stała się zabójczynią?

- Czy coś nie tak, pani oficer? - zapytał Alabama, nie przestając się uśmiechać.

Zerknęła na swój pseudopolicyjny uniform. Na idiotyczną srebrną naszywkę przypominającą skautowską odznakę. Tyle że zdobycie konkretnej skautowskiej odznaki wymagało konkretnego wysiłku. Tymczasem Andy odbierała tylko telefony, instruując spanikowanych ludzi, jak wykonać sztuczne oddychanie albo wyłączyć silnik po wypadku.

Jonah Lee Helsingera uznał ją za policjantkę.

Myślał, że go zabije. Zamorduje. Z zimną krwią.

Zerknęła na swoje dłonie. Nie mogła opanować ich drżenia. Jeszcze chwila i znowu zacznie płakać. Dlaczego ciągle chciało jej się płakać?

- Proszę. - Alabama podsunął jej chusteczkę.

Popatrzyła na złożoną białą tkaninę. Myślała, że Gordon jest jedynym mężczyzną, który nosi chusteczkę do nosa.

- Staram się pomóc kobiecie w potrzebie - powiedział z uśmiechem, nie cofając dłoni z chusteczką.

Andy nie skorzystała z oferty. Pierwszy raz przyjrzała się bliżej nieznanemu. Przed czterdziestką. Wysoki, wysportowana sylwetka. Dżinsy i trampki. Biała koszula rozpięta pod szyją. Rękawy starannie podwinięte. Wyglądał, jakby zapomniał się rano ogolić, a może delikatny zarost był stałym elementem jego wizerunku.

Przyszła jej do głowy alarmująca myśl.

- Jest pan reporterem? - wyrzuciła z siebie nerwowo.

Zaśmiał się i potrząsnął głową.

- Zarabiam na życie w uczciwy sposób.

- Policjantem? Detektywem? - ciągnęła. A kiedy nie odpowiedział, dodała: - Niech mnie pan zostawi w spokoju.

- Spokojnie, Pani Kaktus. - Uniósł ręce w geście poddania. - To tylko miła pogawędka.

Andy nie miała ochoty na pogawędki. Spojrzała na podjazd w poszukiwaniu białego bmw Gordona.

Gdzie się podziewał jej ojciec?

Wyjęła komórkę. Na ekranie zobaczyła informacje o esemesach i nieodebranych połączeniach. Mindy Logan. Sarah Ives. Alice Blaedel. Danny Kwon. W ciągu kilku ostatnich godzin znajomi z zespołu, chóru i kółka teatralnego z czasów szkoły średniej nagle przypomnieli sobie jej numer telefonu.

Wyrzuciła powiadomienia, wybrała w kontaktach pozycję TATA i napisała:

Pośpiesz się.

Alabama w końcu zrozumiał, że Andy naprawdę nie ma

ochoty na pogawędkę. Wsadził chusteczkę z powrotem do kieszeni dzinsów, podszedł do jednej z ławek i usiadł. Wyjął telefon. Jego kciuki zaczęły biegać po ekranie.

Andy zerknęła za siebie. Zachodziła w głowę, dlaczego Laura ciągle nie wychodzi. Potem omiotła wzrokiem parking w poszukiwaniu Gordona. Być może utknął przy budce, co oznaczało kolejne dwadzieścia minut czekania, ponieważ pani parkingowa musiała pogadać z każdym, kto stamtąd wyjeżdżał.

Pozostawało usiąść na trzeciej ławce od Alabamy i czekać. Każdy miesiąc w ciele Andy był napięty jak struna. Głowa jej pękała. Żołądek palił. Zerknęła na telefon, sprawdzając, czy Gordon odpisał, ale on nigdy nawet nie patrzył na telefon, prowadząc auto, ponieważ to było niebezpieczne.

Drzwi wejściowe rozsunęły się z cichym szumem. Na widok matki Andy poczuła ulgę, potem niepokój. Sanitariusz podjechał wózkiem do krawężnika. Laura miała na sobie bawełniany różowy T-shirt z logo szpitala Belle Isle, zdecydowanie dla niej za duży. Było widać, że cierpi. Biała jak kreda, kurczowo ścisnęła poręcz wózka zdrową ręką.

- Nic ci nie dali? - zapytała Andy.

Laura milczała, ale z odpowiedzią pośpieszył sanitariusz:

- Znieczulenie operacyjne przestaje działać. Lekarka wypisała receptę, ale pani Laura jej nie wzięła.

- Mamo... - Andy nie wiedziała, co powiedzieć. Laura nawet na nią nie spojrzała. - Mamo - powtórzyła.

- Nic mi nie jest - wycedziła Laura przez zaciśnięte zęby. - Masz papierosy? - zwróciła się do sanitariusza.

- Przecież nie palisz - zaproponowała Andy w chwili, gdy matka wyciągnęła marlboro z paczki, którą sanitariusz wyjął z kieszeni koszuli.

Oślonił dłonią zapalniczkę i podał Laurze ogień.

Andy odsunęła się od dymu.

Laura nie zwróciła na to uwagi. Zaciągnęła się i zaczęła kasłać, wypuszczając z ust białe obłoczki. Trzymała papierosa między kciukiem a palcem wskazującym jak ćpun.

- Nic mi nie jest - wychrypiała szeptem. - Potrzebuję tylko trochę przestrzeni.

Andy wzięła tę uwagę do siebie. Odsunęła się bardziej, powiększając dystans między sobą a matką. Spojrzała na parking, pośpieszając w duchu Gordona. Znowu zaczęła płakać, tym razem bezgłośnie. Nie miała pojęcia, co robić. To wszystko nie miało sensu.

- Twój ojciec ma w domu pudła.

Wargi Andy drżały. Nie mogła dłużej milczeć. Musiała poznać odpowiedź.

- Co zrobiłam źle?

- Niczego nie zrobiłaś źle. - Laura zaciągnęła się papierosem.

- Po prostu koniec z rozpieszczaniem. Musisz stanąć na własnych nogach.

- Wprowadzając się do taty? - Andy musiała dociec, co się za tym kryje. Laura zawsze wiedziała, co mówi i dlaczego. - Mamo, proszę...

Laura pociągnęła papierosa ostatni raz i oddała go sanitariuszowi, żeby wypalił go do końca, po czym zwróciła się do Andy:

- Spakuj rzeczy potrzebne ci na wieczór. Tata nie pozwoli ci zostać na zawsze. Przekalkulujesz swój budżet. Zorientujesz się, na co cię stać. Mogłabyś przenieść się do Atlanty, może nawet wrócić do Nowego Jorku. - Podniosła głowę, by spojrzeć na Andy. - Musisz się wynieść, Andreo. Chcę być teraz sama. Mam prawo być sama.

- Ja nie... - Słowa uwięzły jej w gardle. - Ja nigdy...

- Przestań - rzuciła Laura. Nigdy dotąd tak się do niej nie zwracała. Zupełnie jakby jej nienawidziła. - Przestań - powtórzyła lodowato.

Dlaczego?

- Nareszcie - mruknęła na widok bmw Gordona zatrzymującego się na końcu podjazdu dla wózków. - Pomóż mi wstać - zwróciła się do sanitariusza, ale zanim zareagował, przy wózku nieoczekiwanie stanął Alabama.

- Służę pani - powiedział, wyciągając ręce.

Gdyby Andy nie obserwowała tej sceny uważnie, umknąłby jej cień, jaki przemknął po twarzy matki. Co oznaczał? Panikę? Strach? Odrazę?

- Dziękuję. - Laura pozwoliła mu postawić się na nogi.

Gordon obszedł samochód i otworzył drzwi.

- Ja się tym zajmę - rzucił do Alabamy.

- Nie ma problemu, wielkoludzie. - Alabama nie puścił Laury. Poprowadził ją do auta, usadził na przednim siedzeniu, delikatnie uniósł jej nogi i postawił na podłodze. Nie patrzyła na niego, zwrócona ku przedniej szybie. - Teraz się nią zajmij.

- Dziękuję - odparł Gordon.

- Nie ma za co. - Alabama wyciągnął rękę do Gordona. - Przykro mi, że pańska żona i córka znalazły się w takiej sytuacji.

- Uhm. - Gordon był zbyt dobrze wychowany, by sprostować informację o swoim stanie cywilnym, nie mówiąc już o zignorowaniu wyciągniętej ręki. - Dziękuję.

Alabama dotknął daszka czapki, rzucając spojrzenie Andy sadowiącej się na tylnym siedzeniu. Zamknął drzwi, zanim zdążyła trzasnąć mu nimi przed nosem.

Gordon usiadł za kierownicą i pociągnął nosem z widocznym obrzydzeniem.

- Paliłaś? - zapytał.

- Gordonie, jedź już.

Czekał, aż Laura na niego spojrzy. Nie zrobiła tego. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Odjechał spod podjazdu dla wózków, minął wjazd do podziemnego parkingu, zjechał na bok i zatrzymał auto. Odwrócił się do Laury. Otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- Nie - zgasiła go Laura. - Nie tutaj. Nie teraz.

Gordon powoli pokręcił głową.

- Andy nie musi tego słuchać.

Gordonowi obecność Andy nie przeszkadzała.

- Ojcem tego chłopaka jest Bobby Helsing. Wiedziałaś o tym?

Laura wydeła usta. Dla Andy było to potwierdzenie.

- Był szeryfem w hrabstwie Bibb, zanim bankowy rabaś odstrzelił mu głowę. To było pół roku temu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy według pani detektyw Jonah Helsing zaczął się zbroić.

Kamizelka i pas z bronią.

Palazzolo poinformowała ich, że Jonah kupił to na Amazonie pół roku temu.

- Przeczytałem w telefonie nekrolog. Jonah miał trzech wujków gliniarzy i dwóch kuzynów w wojsku. Jego matka pracowała w biurze prokuratora okręgowego w Beaufort, zanim została prywatnym detektywem. To właściwie dynastia stróżów prawa. - Urwał, czekając na reakcję Laury. - Słyszysz mnie? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Laura gwałtownie wciągnęła powietrze w nozdrza.

- Jego pochodzenie nie zmienia faktu, że zamordował dwie osoby - odparła.

- On nie tylko je zamordował. On to zaplanował. Doskonale

wiedział, co robi. Miał mapy i... - Gordon pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w jej głupotę. - Myślisz, że rodzina uzna tego chłopca za sadystycznego zabójcę albo przyzna, że miał problemy psychiczne po śmierci tatusia zamordowanego przez rabusia i ten czyn był jego wołaniem o pomoc?

- Mogą mówić, co chcą.

- To pierwsze twoje słowa, które mają sens - warknął Gordon. - To pewne, że Helsingerowie powiedzą to, co chcą. Nieszczęśliwy syn gliniarza zasłużył na więzienie za to, co zrobił, ale nie zasłużył na tak okrutną śmierć.

- To nie...

- Sponiewierają cię bardziej niż jego, Lauro. Wyświadczyłaś temu chłopakowi przysługę. Teraz wszystko będzie się kręcić wokół tego, co ty zrobiłaś, a nie on.

Laura milczała.

Andy wstrzymała oddech.

- Wiesz, że jest nagranie? - zapytał Gordon.

Laura nie odpowiedziała, chociaż musiała widzieć, co pokazują w telewizji, gdy sanitariusz wiozł ją przez poczekalnię.

- Detektyw pokazała... - Gordon urwał, by przełknąć ślinę. - Wyraz twojej twarzy, kiedy go zabijałaś, Lauro. Twój spokój. Jakby to było coś zwyczajnego, wręcz banalnego. Jak to wygląda w porównaniu z nastolatkiem z problemami psychicznymi po śmierci ojca?

Laura odwróciła głowę i spojrzała przez okno.

- Wiesz, o co dopytuje ta policjantka?

- Gliny zawsze zadają mnóstwo pytań.

- Przestań pieprzyć, Lauro. Co powiedziałaś, zanim go zabiłaś? - Gordon umilkł, czekając na odpowiedź, ale Laura milczała. - Co powiedziałaś Helsingerowi?

Laura nie odwracała głowy od okna.

- Cokolwiek powiedziałaś, to jest motyw. Na tym oprze się argumentacja za zabójstwem w obronie własnej i za morderstwem zagrożonym karą śmierci.

Andy poczuła, jak serce w niej zamiera.

- Lauro? - Gordon huknął dłonią w kierownicę. - Odpowiedz, do jasnej cholery! Odpowiedz mi albo...

- Nie jestem głupia, Gordonie - odparła w końcu lodowatym tonem, od którego Andy przeszły ciarki. - Jak myślisz, dlaczego odmówiłam przesłuchania? Dlaczego kazałam Andrei trzymać buzię na kłódkę?

- Chcesz, żeby nasza córka okłamała policyjną śledczą? Żeby składała w sądzie fałszywe zeznania?

- Chcę, żeby zrobiła to, co zawsze, i milczała. - Laura mówiła spokojnie, ale powietrze wibrowało od wyczuwalnej w jej głosie wściekłości.

Andy miała mętlik w głowie. Dlaczego matka nie wytyka Gordonowi, że się myli? Dlaczego nie twierdzi, że nie miała wyboru? Że ratowała Andy? Że to była obrona konieczna? Że jest zdruzgotana własnym czynem? Że spanikowała; że zareagowała odruchowo; że była przerażona; że jej przykro - bardzo przykro, że zabiła tego nieszczęśliwego chłopaka?

Wsunęła dłoń do kieszeni. Wizytówka detektyw Palazzolo nadal była wilgotna po zetknięciu z wodą na łazienkowym blacie.

Palazzolo próbowała ze mną rozmawiać drugi raz. Chciała, żebym powiedziała coś przeciwko tobie. Dała mi swoją wizytówkę... Andy nie wypowiedziała tych słów, pomyślała je tylko.

- Lauro, to śmiertelnie poważne - powiedział Gordon.

- Interesujący dobór słów - zaśmiała się sztucznie Laura.

- Gliniarze kryją swoich. Nie wiesz o tym? Trzymają się razem bez względu na wszystko. Braterstwo gliniarzy nie jest legendą miejską, o której mówią w telewizji. - Gordonowi głos się załamał ze złości. - Cała ta historia stanie się kruczata z racji nazwiska tego chłopaka.

Laura wciągnęła głęboko powietrze, po czym powoli wypuściła je z płuc.

- Na razie... na razie potrzebuję trochę czasu, Gordonie. Muszę pobyć sama, żeby to sobie spokojnie przemyśleć. Rozumiesz?

- Potrzebujesz adwokata, żeby przemyślał to za ciebie.

- Przestań mi mówić, co mam robić! - wrzasnęła rozwścieczona Laura. Potem zakryła dłonią oczy. - Czy napadanie na mnie kiedykolwiek odniosło skutek? - To było pytanie retoryczne. Laura nie oczekiwała odpowiedzi. Zamiast tego odwróciła się do Gordona. - Właśnie dlatego cię zostawiłam! - ryknęła. - Musiałam się od ciebie uwolnić. Usunąć cię z mojego życia, ponieważ nie masz pojęcia, kim jestem. Nigdy nie wiedziałeś i nigdy się nie dowiesz.

Każde słowo Laury było niczym policzek wymierzony Gordonowi.

- Jezu! - Laura złapała się uchwytu nad oknem, próbując zmniejszyć obciążenie uszkodzonej nogi. - Ruszysz w końcu, do jasnej cholery?

Andy czekała, aż Gordon zaproponuje Laurze powrót do domu na piechotę, ale tego nie zrobił. Odwrócił od niej głowę i spojrzał przed siebie. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Zerknął przez ramię, zanim wcisnął pedał gazu.

Samochód ruszył z piskiem opon.

Andy odwróciła się bezwiednie i spojrzała przez tylną szybę.

Alabama nadal stał pod portykiem. Dotknął daszka czapki

ostatni raz.

Wyraz twarzy matki. Panika? Strach? Odraza?

Coś nie tak, pani detektyw?

Alabama stał jak wrośnięty w ziemię, odprowadzając wzrokiem ich samochód.

Andy obserwowała go, jak on obserwuje ich, póki nie stał się ledwie punktem w oddali.

„Przykro mi, że pańska żona i córka znalazły się w takiej sytuacji”.

Skąd wiedział, że Gordon jest jej ojcem?

Andy stała pod prysznicem, aż skończyła się gorąca woda. Natrętne myśli krążyły jej po głowie niczym chmara komarów. Co chwila wracały do niej sceny z restauracji, z nagrania, z przesłuchania, z samochodu.

To wszystko nie miało sensu. Jej matka była pięćdziesięciopięcioletnią logopedką. Grała w brydża, na litość boską. Nie mordowała ludzi, nie paliła papierosów i nie pomstowała na gliniarzy.

Susząc włosy, unikała swojego odbicia w lustrze. Jej skóra przypominała w dotyku papier ścierny. W skórze głowy tkwiły drobiny szkła. W kąciку spękanych warg pojawiła się krew. Nerwy ciągle miała napięte jak postronki, a przynajmniej tak uważała. Może to brak snu sprawił, że odmówiły jej posłuszeństwa; może brak adrenaliny, a może rozpacz, jaką poczuła, usłyszawszy pod drzwiami domu słowa Laury:

- Nie zmienię zdania. Dziś wieczorem musisz się wyprowadzić.

Serce Andy pękało na samo wspomnienie.

Ze stosu czystych rzeczy wyjęła pogniecione spodenki do biegania i granatową koszulę. Zapinając guziki, podeszła do

okna. Garaż stanowił oddzielną część domu. Mieszkanko nad nim było jej jaskinią. Szare ściany. Szara wykładzina. Rolety odcinające dopływ światła. Skośny sufit z dwoma niewielkimi oknami połączonymi.

Spojrzała na dom matki. Nie słyszała kłótni rodziców, mimo to wiedziała, co się tam dzieje. Towarzyszyło jej dojmujące wrażenie, że coś jest nie tak. Zupełnie jak u człowieka, który po zjedzeniu czegoś przeczuwa, że właśnie zafundował sobie zatrucie pokarmowe.

Kara śmierci.

Gdzie matka nauczyła się tak łapać nóż trzymany przez napastnika? Laura nigdy nie służyła w armii. O ile Andy było wiadomo, nigdy nie uczęszczała na kurs samoobrony.

Przez ostatnie trzy lata Laura niemal każdy dzień poświęciła walce z rakiem i straszliwie upokarzającymi skutkami terapii. Nie miała zbyt wiele wolnego czasu na trenowanie walki wręcz. Andy była zdumiona, że matka umie tak błyskawicznie unieść ramię. Laura z trudem podnosiła torbę z zakupami nawet zdrową ręką. Rak piersi zajął też ścianę klatki piersiowej. Chirurg musiał jej usunąć część mięśnia piersiowego.

Adrenalina.

Może w tym tkwił sekret. Istnieje wiele opowieści o matkach podnoszących samochody, pod które wpadły ich dzieci, albo dokonujących innych niezwykłych czynów, by je chronić. Nie było to powszechne zjawisko, ale takie rzeczy się zdarzały.

To jednak nie tłumaczyło wyrazu twarzy Laury, kiedy przeciągała nóż po gardle napastnika. Obojętność. Bez śladu paniki. Bez strachu. Jak u zawodowca. Z taką miną równie dobrze mogła siedzieć za biurkiem i przeglądać kartę pacjenta.

Po plecach Andy przebiegł dreszcz.

Z oddali dochodziło dudnienie burzy. Słońce jeszcze świeciło,

ale na niebie zbierały się ciemne chmury zwiastujące deszcz. Andy słyszała fale rozbijające się o brzeg i skrzeczenie mew zajętych wieczornym posiłkiem. Wpatrywała się w ładny bungalow matki. W prawie wszystkich oknach paliło się światło. Gordon chodził po kuchni tam i z powrotem, raz po raz pokazując się w oknie. Matka siedziała przy stole, ale Andy widziała tylko jej zdrową rękę leżącą na podkładce pod talerze. Od czasu do czasu Laura bębniła palcami w blat.

Andy zobaczyła, że Gordon unosi ręce i podchodzi do drzwi kuchni.

Cofnęła się w głąb pokoju. Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Wyciągnęła szyję i ponownie wyjrzała przez okno.

Gordon schodził po schodkach werandy. Czujnik ruchu zadziałał. Rozbłysły reflektory. Gordon spojrzał w górę, osłaniając oczy dłonią. Zamiast ruszyć w stronę mieszkanki Andy, zatrzymał się na najniższym stopniu. Usiadł na nim i podparł głowę rękami.

W pierwszej chwili Andy pomyślała, że płacze. Potem przyszło jej do głowy, że stara się odzyskać panowanie nad sobą, by jej nie przestraszyć swoim widokiem.

Tylko raz widziała, jak Gordon płakał. To było na początku rozvodu z Laurą i dał upust swoim emocjom. Zrobił coś o wiele gorszego niż zwykły płacz. Łzy leciały mu ciurkiem po policzkach, jedna za drugą niczym skroplona para na szkłe. Raz za razem pociągał nosem i wycierał oczy grzbietem dłoni. Rano wyszedł do pracy w przekonaniu o trwałości swojego czternastoletniego małżeństwa, a przed lunchem doręczono mu papiery rozwodowe.

- Nie rozumiem - mówił do Andy między jednym pociągnięciem nosem a drugim. - Po prostu nie rozumiem.

Andy nie pamiętała mężczyzny, który był jej prawdziwym

ojcem. Nawet słowa „prawdziwy ojciec” odbierała jak zdradę wobec Gordona. Termin „dawca spermy” brzmiał zbyt feministycznie. Nie żeby Andy nie była feministką, nie chciała jednak reprezentować typu feminizmu znienawidzonego przez mężczyzn.

Jej biologiczny ojciec – co brzmiało dziwnie, ale miało sens, ponieważ adoptowane dzieci mówiły „biologiczna matka” – był optometrystą, którego Laura poznała w ośrodku wypoczynkowym Sandals na Jamajce. Andy dziwiła się temu, ponieważ matka nie znosiła podróży. A może poznali się na Bahamach, ale tę historię słyszała tak dawno, że wielu szczegółów już nie pamiętała.

To wiedziała na pewno: jej biologiczni rodzice nigdy nie byli małżeństwem, a ona sama urodziła się w pierwszym roku ich związku. Jerry Randall, jej biologiczny ojciec, zginął w wypadku samochodowym w drodze do domu w Chicago, kiedy ona miała półtora roku.

W przeciwieństwie do rodziców Laury, którzy zmarli przed narodzeniem Andy, żyli rodzice jej biologicznego ojca, Laverne i Phil Randallowie. Miała stare zdjęcie, na którym siedzą obok siebie i trzymają ją – niespełna dwuletnią – na kolanach. Na pokrytej boazerią ścianie za nimi wisiał obraz przedstawiający plażę. Sama kanapa wyglądała dość obskurnie. Sprawiali wrażenie dobrych ludzi – i może tacy faktycznie byli – ale zupełnie odcięli się od Laury i Andy, kiedy w ich życie wkroczył Gordon.

Spośród wszystkich ludzi akurat on. Członek bractwa Phi Beta Sigma, który ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie, jednocześnie udzielając się jako koordynator wolontariuszy w organizacji Habitat for Humanity. Mężczyzna, który grał w golfa, kochał muzykę klasyczną,

przewodniczył miejscowemu towarzystwu miłośników wina, a jako specjalizację wybrał jedną z najnudniejszych dziedzin prawa, to znaczy pomagał bogatym sporządzać testamenty.

Fakt, że dziadkowie ze strony biologicznego ojca okazali niechęć najbardziej ćwokowatemu czarnemu sztywniakowi na tej planecie wyłącznie z powodu koloru jego skóry, był dla Andy wystarczającym powodem do zadowolenia, że nie ma już z nimi kontaktu.

Drzwi kuchni się otworzyły. Andy patrzyła, jak Gordon wstaje. Jego ruch spowodował ponowny rozbłysk światła na werandzie. Laura podała mu talerz z jedzeniem. Gordon powiedział coś, czego Andy nie usłyszała. Zamiast odpowiedzi Laura trzasnęła drzwiami.

Przez okno w kuchni Andy widziała, jak matka idzie do stołu, przytrzymując się ościeżnicy, kontuaru, oparcia krzesła, byle tylko odciążyć nogę.

Andy mogła jej pomóc. Mogła być tam z nią, zrobić jej herbatę, pomóc zmyć woń szpitala, jak to robiła przedtem wiele razy.

„Mam prawo być sama”.

Uwagę Andy przyciągnął telewizor stojący obok łóżka. Mały odbiornik wcześniej zajmował miejsce na blacie w kuchni Laury. Z przyzwyczajenia włączyła go zaraz po wejściu do pokoju. Głos był ściszony. CNN znowu pokazywało nagranie z restauracji.

Andy zacisnęła powieki. I tak wiedziała, co będzie dalej.

Zrobiła wdech.

Potem wypuściła powietrze z płuc.

W uszach miała szum klimatyzatora. Wentylator u sufitu kręcił się jednostajnie. Czowała na szyi i twarzy chłodne podmuchy. Była zmęczona. Upiornie zmęczona. Jej mózg

wypełniały wolno toczące się szklane kulki. Chciała pójść spać, wiedziała jednak, że tutaj już nie może się położyć. Dzisiaj będzie musiała zostać na noc u Gordona. Jutro z samego rana usłyszy od ojca, że musi ułożyć plan działania. Gordon zawsze musiał mieć jakiś plan.

Drzwi auta otworzyły się i zamknęły. Andy wiedziała, że to ojciec, ponieważ rezydencje na tej ulicy, wszystkie tak ogromne, że niemal blokowały dostęp słońca, zawsze stały puste podczas największych letnich upałów.

Usłyszała szuranie kroków na podjeździe, potem ciężkie kroki Gordona na metalowych schodach prowadzących do jej mieszkanca.

Złapała worek na śmieci. Powinna pakować rzeczy. Otworzyła górną szufladę komody i wrzuciła do worka bieliznę.

- Andreo? - Gordon zapukał do drzwi, po czym je otworzył.

Omiótł wzrokiem pokój. Trudno było powiedzieć, czy grasował tu włamywacz, czy przeszedł tędy huragan. Na podłodze leżały brudne ubrania. Na kartonie, w którym mieściły się dwie niezłożone półki z IKE-i, stały buty. Drzwi łazienki były szeroko otwarte. Na wieszaku wisiały od tygodnia majtki poplamione krwią menstruacyjną.

- Masz. - Gordon podał Andy talerz, który dostał od Laury. Kanapka z masłem orzechowym i dżemem, frytki i korniszon. - Mama kazała mi dopilnować, żebyś coś zjadła.

Co jeszcze powiedziała?

- Poprosiłem o butelkę wina, ale dostałem to. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej buteleczkę markowego alkoholu Knob Creek. - Wiedziałaś, że mama trzyma w domu burbona?

Andy wiedziała o matczynych zapasach od czternastego roku życia.

- Tak czy siak, pomyślałem sobie, że to pozwoli ukoić nerwy. Zmniejszyć napięcie. - Złamał woskową pieczęć. - Jest szansa na jakieś czyste szklanki w tym bałaganie?

Andy odstawiła talerz na ziemię i sięgnęła pod kanapę. Wyciągnęła stamtąd otwarte opakowanie z jednorazowymi kubeczkami.

Gordon skrzywił się zdegustowany.

- To chyba lepsze niż picie z gwinta jak para włóczęgów - stwierdził.

Co powiedziała mama?

Gordon nalał trunek do kubka.

- Zjedz coś, zanim się napijesz. Masz pusty żołądek. Jesteś zmęczona - powiedział.

Andy nie piła od powrotu do domu w Belle Isle. Nie była pewna, czy chce przerwać tę passę. Mimo to sięgnęła po kubek i usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, by ojciec mógł usiąść na krześle.

Gordon obwąchał je ostrożnie.

- Masz psa?

Andy pociągnęła łyk burbona. Był tak mocny, że oczy jej się zaszklily.

- Wznieśmy toast urodzinowy - zaproponował Gordon.

Andy zacisnęła wargi.

Gordon uniósł kubek.

- Za moją piękną córkę.

Andy zrobiła to samo. Potem przechyliła kubek.

Gordon nie wypił nawet łyka. Wyjął z kieszeni marynarki białą kopertę.

- Mam tu coś dla ciebie - oznajmił. - Przepraszam, ale nie miałem czasu zapakować tego w ładny papier.

Andy wzięła od niego kopertę. Wiedziała, co jest w środku.

Gordon zawsze kupował jej karty podarunkowe. Znał sklepy, które lubiła, ale nie miał pojęcia, co jej się spodoba. Wysypała zawartość koperty na podłogę. Dwa kupony na paliwo o wartości dwudziestu pięciu dolarów na pobliską stację benzynową. Dwie karty iTunes o wartości dwudziestu pięciu dolarów każda. Dwie karty do sklepu Target o takiej samej wartości. Jedną kartę podarunkową do sklepu z rękodziełem artystycznym o wartości pięćdziesięciu dolarów. Wzięła do ręki kawałek papieru. Gordon wydrukował kupon na darmową kanapkę w Subway. Promocja obowiązywała, gdy kupiło się jedną w takiej samej lub niższej cenie.

- Wiem, że lubisz kanapki - powiedział. - Pomyślałem, że pójdziemy tam razem. Chyba że chcesz iść z kim innym.

- Dziękuję, tato. Świetny prezent.

Gordon zakołysał burbonem, ale nawet nie umoczył ust.

- Powinnaś coś zjeść - powtórzył.

Andy wbiła zęby w kanapkę. Spojrzała na Gordona. Znowu dotykał wąsów, gładząc je tak, jakby głaskał Mruczusia po grzbiecie.

- Nie mam pojęcia, co się dzieje z twoją mamą - stwierdził.

Szczęki Andy głośno pracowały przy przeżuwananiu kanapki. Nie czuła smaku. Równie dobrze mogłaby jeść tekturę czy klej.

- Mam ci przekazać, że mama spłaci twoje kredyty studenckie.

Andy omal nie udławiła się kanapką.

- Ja też tak zareagowałem. - Kredyt studencki Andy był drażliwą kwestią między nimi. Gordon zaoferował jej zrefinansowanie długu, by mogła zejść do poziomu poniżej ośmiuset dolarów miesięcznie odsetek, ale z przyczyn znanych tylko jej podświadomości przegapiła termin przygotowania stosownych dokumentów. - Mama chce, żebyś wróciła do

Nowego Jorku. Żebyś spełniła swoje marzenia. Powiedziała, że finansowo pomoże ci w tej przeprowadzce. Nagle przestała żałować pieniędzy.

Andy językiem usunęła z podniebienia resztki masła orzechowego.

- Dzisiaj możesz przenocować u mnie - ciągnął Gordon. - Jutro coś wymyślimy. Trzeba mieć jakiś plan. Nie chcę, żebyś wracała do Nowego Jorku, skarbie. Nigdy nie wydawałaś się tam szczęśliwa. Mam wrażenie, że to miasto zabrało ci kawałek ciebie, zupełnie jakby odebrało część tożsamości.

Andy głośno przełknęła przeżuty kęs.

- Po powrocie do domu wspaniale opiekowałaś się mamą. Być może za dużo od ciebie oczekiwała. Może powinienem sam więcej pomóc albo... Sam nie wiem. Tyle na siebie wzięłaś. Wielką presję. Wielki stres. - W głosie Gordona czuło się poczucie winy. Zupełnie jakby obwinił się o to, że Laura zachorowała na raka. - Mama ma rację, że powinnaś zacząć nowe życie. Rozwijać karierę, a może kiedyś założyć rodzinę. - Uniósł rękę, by powstrzymać jej ewentualny protest. - Wiem, że za bardzo wybiegam w przyszłość, ale w czymkolwiek tkwi problem, moim zdaniem powrót do Nowego Jorku nie jest rozwiązaniem.

Odwrócił głowę w stronę telewizora. Coś przykuło jego uwagę.

- To ta z liceum. Co ona...

Menda.

CNN przedstawiło Alice Blaedel, jedną z koleżanek Andy z liceum, jako „bliską przyjaciółkę rodziny”.

Andy odszukała pilota i włączyła dźwięk.

- ...zawsze fajną mamą - mówiła reporterowi Alice, która nie rozmawiała z Andy od ponad dziesięciu lat. - Można było z nią

porozmawiać o swoich problemach, a ona nigdy nikogo nie oceniała. - Alice wzruszała ramieniem przy każdym wypowiedzianym słowie, zupełnie jak rażona prądem. - Nie wiem, ale to dziwne widzieć ją na nagraniu, bo to przecież pani Oliver, a wygląda jak ta mama w *Kill Billu*, która przy dziecku zachowuje się normalnie, ale w tajemnicy przed wszystkimi jest maszyną do zabijania.

Andy miała usta pełne masła orzechowego, mimo to zdołała wykrztusić:

- Maszyna do zabijania?

Gordon wyjął jej z dłoni pilota i wyciszył głos. Wpatrywał się w Alice Blaedel, która poruszała ustami, chociaż nie miała o niczym pojęcia.

Andy wlała kolejną porcję alkoholu do opróżnionego kubka. Alice wyszła z *Kill Billa*, bo uznała ten film za głupi, a teraz przywoływała go jako popkulturowy punkt odniesienia.

- Na pewno pożałuje tak niewłaściwego doboru słów - powiedział Gordon.

Tak jak pożałowała złapania brodawek na genitaliach od Adama Humphreya.

Gordon nie odpuszczał.

- Nie wiedziałem, że odnowiłaś kontakt z Alice.

- Nie odnowiłam. To wyrachowana suka. - Andy wychyliła burbona jednym haustem. Zakasłała, czując palenie w gardle. Potem nałała sobie więcej.

- Może powinnaś...

- One podnoszą auta - powiedziała Andy, chociaż nie do końca o to jej chodziło. - Matki. Mówię o matkach. Tak działa adrenalina, kiedy widzą swoje dziecko zakleszczone w samochodzie. - Uniosła ręce, ilustrując stawianie na ziemi auta leżącego do góry kołami.

Gordon pogładził wąsy palcami.

- Była taka spokojna - ciągnęła Andy. - W restauracji - dopowiedziała.

Gordon usadowił się wygodniej na krześle.

- Ludzie krzyczeli - mówiła Andy. - To było przerażające. Nie widziałam go, jak strzela. Nie widziałam pierwszego strzału. Drugi widziałam. - Potarła szczękę dłonią. - Znasz tę kwestię, jaką ludzie rzucają w filmach: „Odstrzele ci łeb”? Tak się dzieje. Naprawdę tak się dzieje.

Gordon skrzyżował ramiona.

- Mama rzuciła się w moją stronę. - Andy znowu miała to wszystko przed oczami. Maleńkie kropki krwi znaczące twarz Laury. Ręce wyciągnięte, by rzucić ją na ziemię. - Wyglądała na przestraszoną, tato. Tylko w tym momencie widziałam ją przestraszoną.

Gordon milczał w oczekiwaniu na dalszy ciąg opowieści.

- Oglądałeś nagranie. Widziałeś, co zrobiłam. A właściwie czego nie zrobiłam. Wpadłam w panikę. Byłam kompletnie bezużyteczna. Czy dlatego... - Urwała z obawy przed zwerbalizowaniem swojego strachu. W końcu się przełamała. - Czy dlatego mama jest na mnie wściekła? Bo okazałam się tchórzem?

- Absolutnie nie. - Gordon energicznie pokręcił głową. - W takiej sytuacji nie ma mowy o tchórzostwie.

Andy zadała sobie pytanie, czy ojciec ma rację, ale co ważniejsze, czy mama podziela jego zdanie.

- Andreo...

- Mama go zabiła. - Wypowiedziawszy te słowa, poczuła w brzuchu rozżarzone węgle. - Mogła mu wyrwać broń. Miała na to czas, ale zamiast tego wyciągnęła rękę i...

Gordon pozwolił jej mówić.

- Czy rzeczywiście miała czas? Czy słusznie zakładamy, że była w stanie podjąć racjonalną decyzję? - To było pytanie retoryczne i Andy nie oczekiwała na nie odpowiedzi. - Na nagraniu wygląda na spokojną, nawet pogodną, jak powiedziałeś. A może oboje się mylimy, bo jej twarz nic nie wyrażała. Nic, prawda? Widziałeś ją. Nie było na niej emocji.

Gordon skinął głową w milczeniu.

- Kiedy to się działo, nie widziałam tego. Byłam za nią. Potem zobaczyłam wideo nakręcone z przodu i... to wyglądało zupełnie inaczej. - Andy usiłowała zapanować nad płataniną myśli. Zjadła kilka frytek w nadziei, że skrobia wchłonie alkohol.

- Pamiętam, kiedy nóż tkwił w szyi Jonaha, a on unosił broń. Pamiętam, jak pomyślałam, że może kogoś zastrzelić. Mnie też. Niewiele trzeba, żeby pociągnąć za spust, prawda?

Gordon potaknął.

- Ale kiedy widzisz to z przodu, kiedy widzisz twarz mamy, zaczynasz się zastanawiać, czy postąpiła słusznie. Czy myślała, że mogłaby odebrać mu broń, ale nie zamierzała tego zrobić. Chciała go zabić. I nie stało się to ze strachu czy w samoobronie. To wyglądało na świadomy wybór. Jak maszyna do zabijania. - Andy nie wierzyła własnym uszom, że powtórzyła złośliwe słowa Alice Blaedel opisujące własną matkę. - Nie rozumiem tego, tato. Dlaczego mama nie rozmawiała z policją? Dlaczego im nie powiedziała, że zrobiła to w obronie własnej?

Dlaczego pozwalała wszystkim wierzyć, że umyślnie popełniła morderstwo?

- Nie rozumiem - powtórzyła. - Po prostu tego nie rozumiem.

Gordon znowu pogładził się po wąsach. Ten odruch stawał się jego tikiem nerwowym. Nie odpowiedział od razu. Przywykł

do ważenia słów. W tej chwili wszystko wydawało się groźne. Żadne z nich nie chciało powiedzieć czegoś, czego nie dałoby się cofnąć.

Twoja matka jest zabójczynią. Tak, miała wybór. I go dokonała, mordując tego chłopca.

W końcu się odezwał:

- Nie mam pojęcia, jakim cudem twoja mama tego dokonała. Nie rozumiem jej toku myślenia. Wyborów, jakich dokonała. Dlaczego zachowała się tak, a nie inaczej wobec policji. - Wzruszył ramionami, wznosząc ręce. - Można zaryzykować tezę, że jej odmowa mówienia o tym i złość, która całkowicie nią zawładnęła, to symptom stresu pourazowego. A może to straszne zdarzenie przywołało jakąś historię z dzieciństwa, o której nie wiemy? Nigdy nie lubiła opowiadać o przeszłości. - Gordon urwał, by zebrać myśli. - To, co powiedziała w aucie... Miała rację. Nie znam twojej matki, nie rozumiem jej motywów. Oczywiście wiem, że instynktownie chciała cię chronić, i bardzo się cieszę, że to zrobiła. Jestem jej wdzięczny. Ale sposób, w jaki to zrobiła... - Powędrował spojrzeniem w stronę telewizora. Na ekranie pojawiły się kolejne gadające głowy. Ktoś pokazywał plan centrum handlowego Belle Isle, objaśniając drogę obroną przez Jonaha Helsingera. - Andreo, po prostu nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Andy dopiła drinka. Pod czujnym wzrokiem ojca naląła sobie kolejnego.

- To mnóstwo alkoholu na pusty żołądek - zauważył.

Wepchnęła do ust ostatni kęs kanapki. Przesunęła go językiem w stronę policzka, by móc zapytać:

- Znasz tego faceta w szpitalu?

- Jakiego faceta?

- Tego w czapce z napisem Alabama, który pomógł mamie

wsiąść do auta.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Wyglądało to tak, jakby mama go znała. A może się go przestraszyła. Albo... - Andy urwała, żeby połknąć resztkę kanapki. - Wiedział, że jesteś moim tatą, chociaż większości ludzi to w ogóle nie przychodzi do głowy.

Gordon dotknął końca wąsów. Najwyraźniej usiłował przypomnieć sobie tę rozmowę.

- Mama zna mnóstwo ludzi w mieście. Ma wielu przyjaciół. Mam nadzieję, że to jej pomoże.

- W sensie prawnym?

Gordon nie odpowiedział na tak sformułowane pytanie.

- Zadzwoń do adwokata specjalizującego się w sprawach karnych. Już z nim współpracowałem. Jest agresywny, ale właśnie tego potrzebuje teraz mama.

Andy sączyła alkohol. Gordon miał rację. Napięcie z niej uchodziło, czuła, jak opadają jej powieki.

- Kiedy poznałem twoją mamę, wydała mi się zagadką. Fascynującą, piękną, skomplikowaną zagadką. Potem zrozumiałem, że bez względu na to, jak bardzo się do niej zbliżę, jaką metodę zastosuję, ona nigdy się przede mną całkiem nie otworzy. - Gordon w końcu pociągnął łyk burbona. Zamiast połknąć go jak Andy, pozwolił, by alkohol wolno spłynął mu do gardła. - Powiedziałem już za dużo. Przepraszam, skarbie. To był trudny dzień, a ja niewiele pomogłem. - Wskazał pudło z artykułami plastycznymi. - To pewnie chcesz dziś zabrać?

- Jutro po nie przyjadę.

Gordon posłał jej zatroskane spojrzenie. Jako dziecko wpadała w szal, kiedy nie miała pod ręką przyborów do rysowania.

- Jestem wykończona. W tej chwili chcę tylko spać - wyjaśniła. Nie przyznała, że ostatni raz trzymała w dłoni węgiel i szkicownik w pierwszym roku pobytu w Nowym Jorku. - Tato, powinnam z nią porozmawiać? Nie chcę prosić, żeby pozwoliła mi zostać, tylko zapytać dlaczego.

- Nie umiem ci odpowiedzieć.

To chyba znaczyło, że nie powinna.

- Skarbie. - Gordon wyczuł jej przygnębienie. Pochylił się i położył jej dłonie na ramionach. - Wszystko się ułoży. Porozmawiamy o twojej przyszłości pod koniec miesiąca, dobrze? To daje nam jedenaście dni na opracowanie planu.

Andy zagryzła wargi. Gordon opracuje plan. Ona będzie udawać, że ma mnóstwo czasu na zastanowienie, aż z nadejściem dziesiątego dnia wpadnie w panikę.

- Teraz weźmiemy twoją szczoteczkę do zębów, grzebień, inne absolutnie niezbędne przybory, a jutro spakujemy resztę rzeczy. I pojedziemy po twoje auto. Zakładam, że nadal stoi pod centrum handlowym.

Andy potwierdziła skinieniem głowy. Kompletnie zapomniała o aucie. Honda Laury też tam stała. Pewnie oba samochody miały już założoną blokadę albo zostały odholowane.

Gordon wstał. Zamknął jej pudło z przyborami do rysowania i położył na podłodze.

- Moim zdaniem twoja mama potrzebuje trochę czasu tylko dla siebie. Pamiętasz, jak wyjeżdżała sama?

Andy pamiętała.

Zdarzało się, że w weekendy, kiedy ona i Gordon zajmowali się wspólnie jej pracą domową, albo Gordon to robił, a ona siedziała obok i czytała książkę, Laura wpadała do pokoju z kluczami w dłoni i obwieszczała:

- Znikam na cały dzień.

Często wracała z czekoladą dla Andy i butelką porządnego wina dla Gordona. Kiedyś przywiozła szklaną kulę z Tubman Museum w Macon o dwie i pół godziny drogi stąd. Na ich pytania, dokąd pojechała i dlaczego, zawsze odpowiadała:

- Chciałam gdzieś się stąd wyrwać.

Andy rozejrzała się po zagraconym pokoiku. Nagle wydał jej się bardziej norą niż jaskinią.

- Powinniśmy już iść - powiedziała, uprzedzając Gordona.

- Powinniśmy - potaknął - ale to zostawię mamie na werandzie. - Włożył butelkę burbona do kieszeni. Wahał się przez chwilę, po czym dodał: - Wiesz, że zawsze możesz ze mną porozmawiać, skarbie. Wolałbym jednak, żebyś nie musiała się wcześniej wstawić.

- Wstawić. - Andy zaśmiała się na brzmienie tego głupiego słowa. Alternatywą alkoholu był płacz, a miała już dość łez. - Tato, myślę że... ja też potrzebuję czasu tylko dla siebie.

- Rozuuumiem - przeciągnął słowo.

- Bez obawy, nie na zawsze. Pomyślałam sobie, że dobrze będzie, jeśli pójde do ciebie na piechotę. - Po takim spacerze będzie musiała znowu wziąć prysznic, ale perspektywa poczucia na skórze wilgotnego nocnego powietrza bardzo ją kusila. - Zgoda?

- Oczywiście. Poproszę Pana Mruczusia, żeby zagrzał ci łóżko. - Gordon pocałował ją w czubek głowy, a potem wziął plastikową torbę na śmieci, do której włożyła bieliznę. - Nie guzdraj się. Aplikacja w telefonie informuje, że za pół godziny zacznie padać.

- Żadnego guzdrania - przyrzekła.

Gordon otworzył drzwi, ale nie wyszedł.

- W przyszłym roku będzie lepiej, Andreo. Czas wszystko zmienia, człowiek nabiera dystansu. Poradzimy sobie

z dzisiejszymi wydarzeniami. Mama znowu będzie sobą, a ty staniesz na własnych nogach. Twoje życie wróci na właściwe tory.

Andy uniosła zaciśnięte kciuki.

- Będzie lepiej - powtórzył Gordon. - Obiecuję - dodał i zamknął za sobą drzwi.

Wsluchiwała się w jego ciężkie kroki na metalowych schodach.

Nie wierzyła w jego zapewnienia.

4

Andy przewróciła się na drugi bok i przesunęła dłonią po twarzy. Wciąż jeszcze uśpiona część mózgu podpowiedziała jej, że to Pan Mruczuś, lecz czuwająca część uznała, że to nie może być tłusty trójkolorowy kot Gordona. A ona nie może być u ojca, ponieważ nie pamięta, żeby tam szła.

Podniosła się za szybko i zakręciło jej się w głowie. Bezwładnie opadła na łóżko.

Mimowolnie jęknęła i przycisnęła palce do powiek. Nie wiedziała, czy jest wstawiona, czy weszła już w fazę kaca, ale ból głowy, który nie opuszczał jej od chwili strzelaniny, przypominał ucisk niedźwiedziej szczęki na czaszce.

Strzelanina.

Teraz to miało już swoją nazwę. Moment, który podzielił jej życie na „przed” i „po”.

Oderwała palce od powiek i zamrugła, by oczy szybciej przywykły do ciemności. Wychwyciła przyćmione światło emitowane przez wyciszony telewizor, rozpoznała szum sufitowego wentylatora. Nadal była w swoim mieszkanku. Leżała na stosie czystych ubrań, które ułożyła na kanapie. Ostatnie, co pamiętała, to szukanie czystych skarpetek.

Deszcz bębnił w dach. W mansardowych okienkach pokazały się błyskawice.

Cholera!

Obiecała Gordonowi, że nie będzie się guzdrać, a teraz stanęła przed wyborem: albo ubłaga go, żeby po nią przyjechał, albo pójdzie pieszo w ulewie, która wyglądała na monsun.

Gdy ostrożnie usiadła, jej uwagę przyciągnął telewizor. CNN pokazywała zdjęcie Laury sprzed dwóch lat. Łysa głowa

osłonięta różowym szalem, znużony uśmiech, Marsz Różowej Wstążki w Charlestonie. Andy została wycięta z kadru, ale było widać jej rękę na ramieniu Laury. Ktoś – może znajomy, może przypadkowy obserwator – utrwalił tę intymną chwilę i postanowił ją rozpowszechnić.

Po jednej stronie ekranu ukazały się informacje o Laurze:

- *pięćdziesiąt pięć lat;*
- *rozwidziona;*
- *jedno dorosłe dziecko;*
- *logopedka;*
- *nie odbyła oficjalnego szkolenia bojowego.*

Obraz się zmienił. Wróciło nagranie z restauracji z paskiem ostrzegającym o drastycznych scenach.

„Sponiewierają cię bardziej niż jego, Lauro. Teraz wszystko będzie się kręcić wokół tego, co ty zrobiłaś, a nie on”.

Andy nie była w stanie znowu tego oglądać. Nie musiała, ponieważ wystarczyło zamknąć oczy i mieć to wszystko pod powiekami. Zwlokła się z łóżka, znalazła telefon w łazience i sprawdziła godzinę. Osiemnaście po pierwszej. Spała ponad sześć godzin. Nie dostała esemesa od Gordona, co uznała za cud. Pewnie był tak samo wykończony jak ona. A może pomyślał, że Laura i Andy doszły do porozumienia.

Dobrze by było.

Kliknęła w ikonkę „Wiadomości” i wybrała kontakt TATA. Oczy jej łzawiły od niebieskawego światła bijącego od telewizora. Miała wrażenie, że jej mózg nadal wiruje w czaszce. Pośpiesznie napisała wyjaśnienie na wypadek, gdyby Gordon się obudził, zajrzał do niej i spanikował na widok pustego łóżka:

Zasnęłam już idę nie martw się mam parasol

W sprawie parasola skłamała. Reszta esemesa też była

kłamstwem. W drodze do Gordona mogła przecież zostać porażona piorunem.

Zważywszy na to, co ją wczoraj spotkało, prawdopodobieństwo porażenia było bardzo wysokie.

Wyjrzała przez okno. Dom matki spowijały ciemności. Paliło się tylko światło w gabinecie. Andy wątpiła, by Laura pracowała o tej porze, a podczas choroby spała na leżance w salonie. Może przez nieuwagę zostawiła włączone światło i nie miała siły, by pokuśtykać przez korytarz i je zgasić.

Andy odwróciła się od okna. Jej uwagę znów przyciągnął telewizor. Na ekranie Laura bekhendem wbijała nóż w szyję Jonaha Helsingera.

Bang.

Poczuła, że musi wyjść.

Obok krzesła stała lampa podłogowa, ale żarówka spaliła się kilka tygodni temu. Gdyby Andy włączyła górne oświetlenie, miałyby w pokoju latarnię morską. Postanowiła użyć funkcji latarki w telefonie, by odnaleźć parę starych tenisówek, które mogła z czystym sumieniem zniszczyć na deszczu, i pelerynę kupioną w całodobowym sklepiku, ponieważ dorosły powinien mieć coś takiego na wszelki wypadek.

Tyle że zostawiła ją w schowku w aucie, na wypadek gdyby padało, a ona akurat nie miałyby w aucie parasolki.

Błyskawica rozświetliła każdy zakamarek pokoju.

Cholera.

Andy wyjęła worek na śmieci. Oczywiście nie miała nożyczek. Zębami rozerwała folię, by zrobić dziurę na głowę. Uniosła telefon, by sobie poświecić i sprawdzić wielkość otworu.

Ekran rozbłysnął, po czym zgasł.

Ostatnie, co Andy zobaczyła, to napis SŁA BAT.

Namacła ładowarkę wetkniętą w gniazdko. Kabel miała

w aucie. A auto stało cztery kilometry stąd przed sklepem Ermenegildo Zegna dla mężczyzn.

Chyba że zostało odholowane.

- Kurwa! - zakląła, żeby sobie ulżyć. Włożyła worek przez głowę i wyszła na zewnątrz. Deszcz pociekł jej po plecach. W ciągu kilku sekund ubranie miała tak mokre, że poncho własnej roboty zamieniło się w folię spożywczą.

Mimo to szła przed siebie.

Deszcz spotęgował odczucie gorąca. Skręciwszy w ulicę, poczuła na twarzy parzące igły. W tej części miasta nie było ulicznych latarni. Ludzie kupowali domy na Belle Isle w swoście eksperymentalnym celu, czyli w poszukiwaniu życia w staroświeckim nadmorskim miasteczku na Południu. Na tyle staroświeckim, na ile pozwalało otoczenie, w którym najtańsza rezydencja przy plaży kosztowała ponad dwa miliony dolarów.

Trzydzieści lat temu za swój bungalow przy plaży Laura zapłaciła sto osiemnaście tysięcy. Najbliższy sklep spożywczy należał do sieci Piggly Wiggly i leżał poza granicami Savannah. Na stacji benzynowej sprzedawali żywą przynętę i marynowane nóżki wieprzowe w wielkich słojach przy kasie. Teraz dom Laury był jednym z sześciu oryginalnych bungalowów w Belle Isle. Wartość rynkowa samej ziemi przekroczyła dwudziestokrotnie wartość domu.

Błyskawica przecięła niebo. Andy uniosła ręce, jakby chciała powstrzymać żywioł. Ulewa się nasiliła. Widoczność nie przekraczała półtora metra. Andy przystanęła na środku drogi. Kolejny błysk rozświetlił ścianę wody. Wahala się, czy zawrócić i czekać, aż ulewa zelżeje, czy iść do Gordona.

Idiotyczne stanie na ulicy było najgorszym wyjściem.

Wskoczyła na chodnik, rozchlapując wodę. Uniosła stopy wyżej i wydłużyła krok. Niedługo potem zaczęła truchtać.

Potem przyśpieszyła, przechodząc do biegu.

Bieganie było jedyną czynnością, co do której miała poczucie, że dobrze jej wychodzi. Ciągłe wyrzucanie stóp przed siebie było trudne. Pot. Przyśpieszone tętno. Szum krwi w uszach. Wielu ludzi nie było w stanie tego robić. Wielu ludzi nie chciało tego robić, zwłaszcza latem, gdyż przejmowali się ostrzeżeniami przed wychodzeniem z domu z powodu skwaru, który grozi nawet śmiercią.

Andy słyszała rytmiczne uderzenia tenisówek o smaganą deszczem ziemię. Wybrała okrężną drogę. Nie miała ochoty za wcześnie się zatrzymać. Do promenady miała niecałe trzydzieści metrów. Dalej rozciągała się plaża. Oczy zaczęły ją piec od słonego powietrza. Nie słyszała fal, ale czuła ich intensywność, ich niepowstrzymaną uporczywość w parciu naprzód bez względu na siłę ciężenia.

Skręciła w lewo na deptak, tocząc walkę z wiatrem i workiem. W końcu zdołała uwolnić się od plastiku i wrzuciła go do najbliższego kosza. Jej kroki zadudniły po drewnianym podłożu promenady. Ciepły deszcz rozszerzył pory skóry. Miała bose stopy. Pęcherz na pięcie piekł przy każdym kroku. Szorty i koszulka przykleiły się do ciała. Włosy przypominały żywicę. Łyknęła haust dusznego powietrza i wykasłała je z powrotem.

Krew tryskająca z ust Betsy Barnard.

Martwa Shelly na ziemi.

Laura z nożem w dłoni.

Ciach.

Twarz matki.

Jej własna twarz.

Strząsnęła z siebie wodę jak pies wychodzący z morza. Tak mocno zaciskała pięści, że paznokcie wrzynały jej się w skórę dłoni. Poluzowała palce i odgarnęła włosy z oczu. Wyobraziła

sobie własne myśli cofające się niczym fala odpływu. Wciągnęła powietrze w płuca i przyśpieszyła kroku. Mocniej pracowała nogami. Ściągną i mięśnie w zgodnym duecie utrzymywały ją w pionie w sekwencji ruchów, które były niczym innym jak następującymi po sobie kontrolowanymi upadkami.

Coś przeskoczyło jej w głowie. Nigdy nie zaznała euforii doświadczanej przez niektórych biegaczy, nawet kiedy biegała regularnie. Dochodziła do momentu, w którym ból nie dokuczał jej tak, by chciała się zatrzymać, a jednocześnie zajmował jej umysł do tego stopnia, że myśli napływały i odpływały niczym fale przyływu.

Lewa stopa. Prawa stopa.

Wdech. Wydech.

Lewa. Prawa. Lewa.

Oddech.

Napięcie powoli zeszło jej z ramion, szczęki się rozluźniły, uciskowy ból głowy zmalął. Przeszedł z dręczącego w lekkie ćmienie. Zaczęła błądzić myślami. Słuchała deszczu, wpatrzona w krople spadające przed jej twarzą. Zastanawiała się, jak by to było otworzyć pudło z przyborami do rysowania. Wyjąć ołówek i szkicownik. Narysować kałużę, z której bryzga woda spod zniszczonych tenisówek. Wyobraziła sobie linie, światło i cień, but pośrodku kałuży, uchwycony w połowie kroku ruch sznurowadła.

Laura omal nie umarła w trakcie leczenia. Nie chodziło tylko o toksyczną mieszankę leków, lecz o inne problemy, jakie się z tym wiązały. Infekcje. *Clostridium difficile*. Zapalenie płuc. Obustronne zapalenie płuc. Zakażenie gronkowcem. Zapadnięcie płuca.

Teraz mogła dopisać do listy kolejne problemy. Jonah

Helsing. Detektyw Palazzolo. Potrzeba usunięcia Gordona ze swego życia. Potrzeba uwolnienia się od jedynej córki.

To wszystko prawda. Jednak przetrwają chłód Laury w taki sam sposób, jak przetrwali jej raka.

Gordon miał rację, że czas zmienia perspektywę. Andy wiedziała wszystko o czekaniu: czekaniu na wyjście chirurga z sali operacyjnej, na zdjęcia, na wyniki biopsji, na chemioterapię, na antybiotyki, na leki przeciwbólowe i przeciwwymiotne, na czystą pościel i świeżą poduszkę, i w końcu na powściągliwy uśmiech na twarzy lekarki, kiedy oznajmiała Laurze i Andy, że choroba się cofnęła.

Obecnie Andy musiała jedynie czekać, aż Laura dojdzie do siebie. Czekala ją walka o wyjście z ciemności, aż w końcu – za miesiąc, może za pół roku, a może w następne urodziny Andy – spojrzy na to, co stało się wczoraj, przez teleskop, a nie szkło powiększające.

Promenada skończyła się wcześniej, niż Andy oczekiwała. Zeskoczyła z powrotem na jednokierunkową ulicę okrążającą nadmorskie rezydencje. Asfalt pod nogami dawał mocne oparcie. Ryk morza nił za ogromnymi domami. Brzeg na tym odcinku biegł wzdłuż Isle. Bungalow Laury stał jakieś osiemset metrów stąd. Andy nie miała zamiaru wracać, ale nagle coś sobie przypomniała.

Rower.

Wchodząc do garażu, za każdym razem widziała rower zwisający u sufitu. Szybciej pokonałaby drogę do Gordona na dwóch kółkach. Biorąc pod uwagę pioruny, gumowe opony między nią a asfaltem wydawały się dobrym pomysłem.

Przeszła do truchtu, potem szybkiego marszu. Deszcz zelżał. Wielkie krople spadały jej na głowę. Miała wrażenie, że pod każdą z nich zapada się skóra. Na widok bladego światła

w gabinecie Laury zwolniła. Od domu dzieliło ją jakieś pięćdziesiąt metrów. O tej porze roku wszystkie imponujące rezydencje w sąsiedztwie stały puste. Belle Isle zaludniali głównie ludzie z Północy, którzy uciekali na Południe przed mroźną zimą. Resztę właścicieli wygnał z domów sierpniowy skwar.

Idąc podjazdem, zajrzała w okno gabinetu Laury. Wyglądał na pusty. Weszła do garażu bocznymi drzwiami. Szyby zabrzęczały, gdy je zamknęła. Szum deszczu brzmiał jednostajnie i głucho w tej pustej przestrzeni. Andy wyciągnęła rękę, żeby zapalić światło, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Światło zapalało się tylko wtedy, kiedy drzwi garażu zaczynały się podnosić, a ten przeraźliwy dźwięk obudziłby umarłego. Na szczęście poświata z gabinetu przenikała przez szkło w bocznych drzwiach. Tyle światła wystarczyło do zlokalizowania roweru.

Poszła na koniec garażu, zostawiając za sobą mokre ślady. Jej rower wisiał do góry kołami na dwóch hakach, które Gordon zamocował w suficie. Napięła mięśnie ramion, próbując ściągnąć koła z haków. Raz. Drugi. Przy trzeciej próbie rower spadł, a ona omal nie runęła do tyłu, usiłując odwrócić go przed uderzeniem o ziemię.

Dlatego nie chciała wieszać tego przeklętego roweru na suficie, chociaż nigdy nie powiedziałyby tego ojcu.

Jeden z pedałów zdarł jej skórę, ale nie przejęła się strużką krwi. Sprawdziła opony, spodziewając się widoku sparciałej gumy, ale okazały się na tyle nowe, że na brzegach ciągle miały wyraźny bieżnik. Andy wyczuła w tym dzieło ojca. Latem Gordon raz po raz namawiał ją, by powrócili do wspólnych weekendowych przejażdżek na rowerach. Przygotowanie wszystkiego na wypadek, gdyby Andy wyraziła zgodę, było

w jego stylu.

Andy uniosła nogę, ale nagle zastygła z nią w powietrzu, bo z góry dobiegł ją wyraźny brzęk. Podniosła głowę niczym pies myśliwski. Słyszała tylko jednostajny szum deszczu. Już myślała, że padła ofiarą omamów, kiedy dźwięk się powtórzył. Natężyła słuch, ale poza pluskiem wody nie było innych odgłosów.

Świetnie. Okazała się prawdziwym tchórzem. Nie wiedziała, kiedy schować się przed deszczem, a teraz na dodatek wpadała w paranoję.

Pokręciła głową. Musiała jechać. Wsiadła na rower i zacisnęła dłonie na kierownicy.

Nagle serce podeszło jej do gardła.

Mężczyzna.

Biały, o świdrującym spojrzeniu, z ciemnym kapturem na głowie.

Stał pod drzwiami.

Andy zamarła.

Mężczyzna przyłożył dłonie do szyby.

Powinna krzyczeć. Powinna siedzieć cicho. Powinna poszukać broni. Powinna wycofać się z rowerem, szukać kryjówki w cieniu.

Mężczyzna przyłgnał do drzwi, zaglądając do garażu. Spojrzał w lewo, potem w prawo, potem na wprost.

Andy drgnęła. Schowała głowę w ramionach, jakby to miało uczynić ją niewidzialną.

Intruz patrzył prosto na nią.

Wstrzymała oddech. Czekwała. Trzęsa się jak osika. Mógł ją zobaczyć. Była pewna, że może ją zobaczyć.

Powoli odwrócił głowę, spojrzał w lewo, potem w prawo. Rzucił ostatnie spojrzenie prosto na Andy i zniknął.

Andy otworzyła usta. Wciągnęła w płuca odrobinę powietrza. Przechyliła się przez kierownicę, walcząc z atakiem nudności.

Mężczyzna w szpitalu. Ten z czapką z napisem Alabama. Czyżby przyjechał za nimi do domu? Przyczaił się i czekał na odpowiednią chwilę?

Nie. Alabama był wysoki i szczupły. Kaptur, czyli facet czający się pod drzwiami garażu, był krępy, muskularny, mniej więcej wzrostu Andy, ale trzykrotnie potężniejszy.

Metaliczny dźwięk był odgłosem kroków Kaptura na metalowych schodach.

Upewnił się, że mieszkanie nad garażem jest puste.

Upewnił się, że garaż jest pusty.

A teraz pewnie zamierzał włamać się do domu Laury.

Andy z furią pomacała się po kieszeniach, chociaż natychmiast przypomniała sobie, że rozładowany telefon zostawiła na górze. W zeszłym roku Laura zrezygnowała z telefonu stacjonarnego, w sąsiednich rezydencjach pewnie też nie było telefonów. Jazda rowerem do Gordona trwałaby co najmniej dziesięć minut, a do tego czasu mama mogłaby już...

Serce podeszło Andy do gardła.

Czuła, że pęcherz jej nie wytrzyma. Że w żołądku ma garść pinezek. Ostrożnie zsiadła z roweru i oparła go o ścianę. Deszcz bębnił równomiernie o dach jak żołnierski werbel. Prócz miarowego bum-bum-bum słyszała tylko dzwonienie własnych zębów.

Zmusiła się, by podejść do drzwi i położyła dłoń na gałce. Miała zimne palce. Czy Kaptur czekał po drugiej stronie, oparty plecami o garaż, z pałką lub bronią albo gołymi rękami, gotów odebrać jej życie?

Poczuła w ustach smak wymiocin. Czuła, jakby woda na jej ciele zamieniła się w lód. Wmawiała sobie, że mężczyzna szedł

tędy skrótem na plażę, ale przecież nikt tu nie chodził skrótem, a już zwłaszcza w deszczu i podczas burzy.

Otworzyła drzwi, ugięła kolana i wyrzała na podjazd. W gabinecie Laury ciągle paliło się światło. Nie widziała nikogo – żadnych cieni, żadnych włączonych reflektorów, żadnego mężczyzny w kapturze czającego się z nożem obok garażu albo zagląającego w okna domu.

Mama potrafiła o siebie zadbać. Udowodniła to. Tyle że miała wtedy do dyspozycji dwie sprawne ręce. Teraz jedną miała unieruchomioną, poza tym nie była w stanie przejść przez kuchnię na chorej nodze bez podpierania się o kontuar.

Andy delikatnie zamknęła garaż. Przytknęła dłonie do przeszklonych drzwi, jak zrobił to Kaptur. Zajrzała w głąb spowitego w ciemnościach pomieszczenia. Nic nie dojrzała: ani roweru, ani półek z zapasami jedzenia i wody.

Poczuła chwilową ulgę. Niestety, Kaptur nie odszedł stąd podjazdem, lecz skręcił w stronę domu.

Otarła palcami czoło. Było mokre nie tylko od deszczu, ale też od potu. Może intruz nie wszedł do bungalowu. Niby dlaczego rabuś miałby wybrać najmniejszy dom na tej ulicy, jeden z najmniejszych w mieście? Sąsiednie rezydencje były pełne najnowszej elektroniki. Co piątek policyjna dyspozytornia otrzymywała przynajmniej jedno zgłoszenie od kogoś, kto jechał z Atlanty z nadzieją na relaksujący weekend, a zamiast tego odkrywał, że ktoś ukradł mu telewizor.

Kaptur był w mieszkaniu na górze. Zaglądał do garażu.

Niczego nie zabrał. Szukał czegoś.

A raczej kogoś.

Andy przeszła wzdłuż ściany domu. Czujnik ruchu nie działał. Światła powinny się zapalić. Poczuła pod stopą odłamki szkła. Rozbite żarówki? Rozbity czujnik? Stała na palcach i zajrzała

do środka przez kuchenne okno. Drzwi gabinetu po prawej stronie były lekko uchylone. Sączące się zza nich światło tworzyło na podłodze w kuchni białawy trójkąt.

Czekała na jakiś ruch, na przemykający cień, ale nie zobaczyła ani jednego, ani drugiego. Cofnęła się. Schodki na werandę miała po lewej. Mogła wejść do kuchni. Mogła zapalić światło. Mogła zaskoczyć Kaptura, który odwróciłby się i strzelił do niej albo dźgnął ją nożem, tak samo jak usiłował to zrobić Jonah Helsing.

Między tymi sprawami musiał istnieć jakiś związek. Tylko takie wyjaśnienie miało sens. To było Belle Isle, nie Atlantic City. Zakapturzeni mężczyźni nie przeprowadzali rekonesansu bungalowów w ulewnym deszczu.

Andy przeszła na tył domu. Wzdrygnęła się, gdy owiało ją chłodne powietrze znad oceanu. Ostrożnie otworzyła drzwi na zabudowaną werandę. Skrzypnięcie zawiasów stłumił szum deszczu. Znalazła klucz na podstawce pod bratkami.

Stąd bezpośrednio wchodziło się do sypialni Laury. Andy znowu przytknęła dłonie do szyby. W przeciwieństwie do garażu, wyraźnie widziała cały pokój. W łazience paliła się nocna lampka. Łóżko było posłane. Na stoliku leżała książka. Pokój był pusty.

Przycisnęła ucho do szyby. Zamknęła oczy, próbując wyłapać jakieś dźwięki ze środka: kroki, głos matki wzywającej pomocy, tłuczenie szkła, odgłosy walki.

Słyszała jedynie skrzypienie poruszanych wiatrem bujanych foteli.

W weekend Andy przysiadła się do matki na werandzie, by razem z nią obejrzeć zachód słońca.

- Andreo Eloise. - Laura uśmiechnęła się do niej znad kubka herbaty. - Wiesz, że kiedy się urodziłaś, chciałam dać ci na

imię Heloise, ale pielęgniarka źle mnie zrozumiała i zapisała „Eloise”, a kiedy twój ojciec zachwycił się brzmieniem tego imienia, nie miałam serca mu powiedzieć, że pielęgniarka źle je zapisała?

Andy wiedziała o tym. Słyszała już tę historię. Co roku, w dniu urodzin albo w okolicach tej daty, matka znajdowała pretekst, by opowiedzieć o brakującym H.

Nasłuchiwała przez dłuższą chwilę. W końcu uznała, że nie może stać tak w nieskończoność i niezgrabnie włożyła klucz do zamka. Łzy napłynęły jej do oczu. Była przerażona. Nigdy w życiu tak się nie bała, nawet w restauracji, ponieważ w trakcie strzelaniny nie ma czasu na myślenie. Wczoraj reagowała bez zastanowienia. Teraz miała mnóstwo czasu na rozważanie, co dalej. Wszystkie możliwe scenariusze, które przychodziły jej do głowy, budziły grozę.

Kaptur mógł zranić jej matkę. Znowu. Mógł być w środku i czekać na nią. Mógł właśnie teraz zabijać Laurę. Mógł zgwałcić Andy. Mógł ją zabić na oczach matki. Mógł zgwałcić je obie po kolei, drugiej każąc się przyglądać, mógł najpierw je zabić, potem zgwałcić albo...

Kolana miała jak z waty, gdy wchodziła do sypialni. Zamknęła drzwi. Skrzywiła się na dźwięk szczęknięcia zatrzasku. Woda ściekała z niej na dywan. Zdjęła tenisówki i odgarnęła mokre włosy.

Nasłuchiwała.

Z drugiej części domu dobiegł ją szmer głosów.

Rozmowa. Żadnych gróźb, żadnych krzyków, żadnego błagania o pomoc. Bardziej przypominała wieczorne rozmowy rodziców, które słyszała, leżąc już w łóżku:

- Diana Krall będzie w Fox w przyszły weekend.
- Och, Gordonie, wiesz, że jazz działa mi na nerwy.

Andy czuła, jak drżą jej powieki. Właściwie cała się trzęsła. Bicie serca wypełniało jej głowę. Miała wrażenie, jakby znalazła się w sali gimnastycznej pełnej skaczących piłek do koszykówki. Musiała przycisnąć dłoń do tyłu uda, by zmusić się do zrobienia kroku.

Dom był zbudowany na planie prostokąta z korytarzem w kształcie litery U biegnącym przez całe wnętrze. Gabinet Laury mieścił się tam, gdzie kiedyś była jadalnia, czyli naprzeciw kuchni. Andy poszła drugą stroną korytarza. Minęła swoją starą sypialnię, pełniącą teraz rolę pokoju gościnnego, nie zwracając uwagi na rodzinne fotografie i jej szkolne rysunki na ścianach.

- ...zrobić cokolwiek - powiedziała Laura stanowczym głosem.

Andy stała w salonie. Tylko przedsionek dzielił ją od gabinetu Laury. Drzwi chowane w ścianę były rozsunięte na całą szerokość. Znała układ tego pokoju jak własne mieszkanko nad garażem. Kanapa, krzesło, szklany stolik kawowy z płatkami kwiatów w ozdobnej miseczce, biurko, krzesło przy biurku, biblioteczka, szafa na dokumenty, reprodukcja *Narodzin Wenus* na ścianie między dwiema oprawionymi stronami z podręcznika zatytułowanego *Fizjologia i anatomia dla logopedów*.

Oprawione zdjęcie Andy na biurku. Podkładka z jasnozielonej skóry. Pióro. Laptop.

- I co? - zapytała Laura.

Siedziała na kanapie. Andy widziała fragment jej brody, czubek nosa, ułożone równolegle nogi, jedną rękę opartą na udzie, drugą unieruchomioną przy tułowiu. Nieznacznie unosiła głowę, patrząc na osobę siedzącą na skórzanym krześle.

Kaptur.

Miał przemoczone dzinsy. Wokół jego stóp na dywanie zbierała się mała kałuża.

- Zastanówmy się, jakie mamy możliwości. - Miał niski głos. Andy niemal czuła, jak słowa dźwięczą mu w szerokiej klatce piersiowej. - Mógłbym pogadać z Paulą Koontz.

Laura milczała przez dłuższą chwilę.

- Słyszałam, że jest w Seattle - powiedziała w końcu.

- W Austin - rzucił i zawiesił głos. - Niezła próba - dodał.

Zapadła długa cisza.

Przerwała ją Laura:

- Robiąc mi krzywdę, nie dostaniesz tego, czego potrzebujesz.

- Nie zrobię ci krzywdy. Chcę cię tylko śmiertelnie przerazić.

Andy poczuła, że powieki znowu jej trzepoczą. Zareagowała w taki sposób, w jaki to powiedział. Z przekonaniem, niemal wesoło.

- Tak? - Laura zaśmiała się sztucznie. - Myślisz, że można mnie przestraszyć?

- Zależy, jak bardzo kochasz swoją córkę.

Nagle Andy znalazła się na środku swojego starego pokoju. Szczękała zębami. Z oczu ciekły jej łzy. Nie pamiętała, jak tu przyszła. Oddech miała krótki, urywany. Serce jej stanęło, a może biło tak szybko, że już go nie czuła.

Telefon Laury powinien być w kuchni. Zawsze zostawiała go tam na noc, żeby się ładował.

Wyjdź z domu. Biegnij po pomoc. Nie narażaj się na niebezpieczeństwo.

Nogi jej się trzęsły, gdy szła korytarzem na tyły domu. Mimowolnie wyciągnęła rękę i przytrzymała się ościeżnicy drzwi sypialni Laury, ale po chwili z największym wysiłkiem

ruszyła w stronę kuchni.

Telefon leżał na końcu blatu w części znajdującej się najbliżej gabinetu. To tu na podłodze widniał trójkąt światła z częściowo otwartych drzwi.

Przestali rozmawiać. Dlaczego przestali rozmawiać?

„Zależy, jak bardzo kochasz swoją córkę”.

Andy okręciła się na pięcie, spodziewając się ujrzeć Kaptura, ale zobaczyła tylko otwarte drzwi do sypialni matki.

Mogła uciec. Usprawiedliwiłaby tę ucieczkę, ponieważ Laurze zależało na tym, żeby stąd wyjechała, żeby się stąd wyrwała, żeby była bezpieczna. O tym mówiła w restauracji. I tego chciałyby teraz.

Zawróciła w stronę kuchni. Była w swoim ciele, a jednocześnie poza nim. Widziała siebie, jak podchodzi do telefonu na końcu blatu. Bose stopy marzły w kontakcie z zimnymi płytkami. Na podłodze obok bocznego wejścia była woda. Pewnie ściekła z Kaptura. Andy skupiła wzrok na telefonie Laury. Z całej siły zacisnęła zęby, żeby nimi nie dzwonić. Jeśli Kaptur nadal siedział na krześle, dzieliły ich jedynie cienkie drewniane drzwi i metr przestrzeni. Sięgnęła po telefon. Delikatnie wyciągnęła z niego kabel ładowarki. Powoli cofnęła się do cienia.

- Powiedz mi - odezwał się Kaptur. Jego głos wypełnił całą kuchnię. - Miałaś kiedyś sen, w którym zostałaś zakopana żywcem? - odczekał chwilę. - Brakuje ci powietrza i zaczynasz się dusić?

Andy zaschło w ustach. Zapalenie płuc. Zapadnięte płuco. Koszmarne świszczące dźwięki. Rozpaczliwe próby złapania powietrza. Jej matka panicznie bała się uduszenia. Miała tak silną obsesję na punkcie śmiertelnego zadławienia się wydzieliną z własnych płuc, że lekarze musieli dawać jej valium

na sen.

- Powiem ci, co zrobię. Nałożę ci ten worek na głowę. Na dwadzieścia sekund. Poczujesz, że umierasz, ale nie umrzesz. - I dodał po chwili: - Na razie.

Trzęsącymi się palcami Andy wcisnęła przycisk HOME w telefonie Laury. W jego pamięci były zapisane odciski palców ich obu. Dotknięcie przycisku teoretycznie powinno odblokować ekran, ale nic takiego się nie stało.

- To jak podtapianie na sucho. Bardzo skuteczne - ciągnął.

- Proszę... - Głos uwiązał Laurze w gardle. - Nie musisz tego robić.

Andy przesunęła palcem po ścianie, by go osuszyć.

- Przestań! - Laura krzyknęła tak głośno, że Andy omal nie upuściła telefonu. - Posłuchaj mnie. Przez chwilę. Posłuchaj.

Andy ponownie wcisnęła HOME.

- Słucham - powiedział Kaptur.

Ekran się odblokował.

- Nie musisz tego robić. Coś wymyślimy. Mam pieniądze.

- Pieniądzy od ciebie nie chcę.

- Tego ode mnie nie dostaniesz. Nigdy nie...

- Zobaczymy.

Andy wybrała ikonkę WIADOMOŚCI. Dyspozytornia w Belle Isle uruchomiła system esemesowych zgłoszeń na telefon alarmowy pół roku temu. Powiadomienia zapalały się na górze monitorów.

- Dwadzieścia sekund - powiedział Kaptur. - Mam liczyć na głos?

Palce Andy w szaleńczym tempie biegały po klawiaturze. Napisała:

419 Seaborne Ave uzbrojony intruz niebezpieczeństwo szybko błagam

- Na ulicy jest pusto. Możesz krzyczeć, ile wlezie.

Andy wysłała wiadomość.

- Przestań. - W głosie Laury było słycać panikę. - Proszę. -
Zaczęła płakać. Jej łkanie było tłumione, jakby miała coś
w ustach. - Błagam. Boże, nie...

Zapadła cisza.

Andy natężyła słuch.

Nic.

Ani płaczu, ani tłumionych okrzyków, ani błagania.

Cisza była ogłuszająca.

- Raz - zaczął liczyć Kaptur. - Dwa. - Urwał. - Trzy.

Brzęk.

Najpewniej Laura kopała w ciężki szklany blat stolika
kawowego. Coś z głuchym łomotem spadło na dywan. Laura
miała tylko jedną rękę wolną. Ledwie mogła podnieść torbę
z zakupami.

- Cztery - ciągnął Kaptur. - Tylko się nie posikaj.

Andy otworzyła szeroko usta, jakby mogła złapać powietrze
dla matki.

- Pięć. - Kaptur najwyraźniej znajdował w tym przyjemność. -
Sześć. Prawie połowa.

Andy usłyszała rozpaczliwe wysokie rżenie. Taki sam
odgłos wydawała Laura w szpitalu, gdy miała zapadnięte płuco.

Złapała pierwszy ciężki przedmiot, jaki wpadł jej w rękę.
Żeliwna patelnia zgrzytnęła donośnie, gdy ściągała ją
z kuchenki. Nie miała już szans na zaskoczenie Kaptura. Nie
mogła już się cofnąć. Kopniakiem otworzyła drzwi. Kaptur stał
nad Laurą i dłońmi ścisnął ją za szyję. Nie dusił, tylko
przytrzymał przezroczysty worek foliowy na głowie.

Odwrócił się zaskoczony jej widokiem.

Andy zamachnęła się patelnią jak kijem bejsbolowym.

W kreskówkach płaskie dno patelni zawsze trafia kojota w głowę i ogłusza go, czemu towarzyszy dźwięk bijącego dzwonu.

W prawdziwym życiu patelnia w rękach Andy odwróciła się bokiem i żeliwny brzeg wbił się w czaszkę Kaptura z głośnym trzaskiem.

To zdecydowanie nie był dźwięk dzwonu. Raczej odgłos łamanej gałęzi.

Siła odbicia była tak silna, że Andy nie zdołała utrzymać rączki.

Patelnia runęła z hukiem na podłogę.

W pierwszej chwili Kaptur nie zareagował. Nie upadł. Nie wpadł w szal. Nie zaatakował. Po prostu kompletnie zdezorientowany patrzył na Andy.

Odwróciła wzrok.

Krew powoli napłynęła mu do lewego oka. Pokryła naczynia włosowate niczym dym kłębiący się wokół rogówki. Kaptur bezgłośnie poruszył ustami. Uniósł rękę i dotknął głowy. Skroń miał wgniecioną pod kątem ostrym. Kształt wgniecenia idealnie odpowiadał krawędzi patelni. Kaptur spojrział na palce.

Nie było na nich krwi.

Andy odruchowo położyła dłoń na gardle. Miała wrażenie, że połknęła szkło.

Nic mu się nie stało? Wyjdzie z tego bez szwanku? Będzie miał siłę, żeby ją skrzywdzić? Udusić matkę? Zgwałcić je? Zabić obie? Albo...

Z jego gardła wydobył się dziwny pisk. Otworzył usta i przewrócił oczami. Wyciągnął rękę w stronę krzesła, zgiął kolana, usiłując usiąść, ale nie trafił i runął na podłogę.

Andy odskoczyła jak oparzona.

Kaptur upadł na bok z podwiniętymi nogami i rękami

przyciśniętymi do brzucha.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Czekwała w panice, trzęsąc się na całym ciele.

- Andreo - odezwała się Laura.

Serce Andy drgnęło jak płomień świecy. Mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa. Stała znieruchomiała jak posąg.

- Andreo!

Krzyk Laury wyrwał ją z transu. Zamrugła i spojrzała na matkę.

Laura próbowała wdrapać się na kanapę. Białka oczu pokrywała siateczka pękniętych naczynek. Miała niebieskie wargi. Na policzkach widniało więcej pękniętych naczyń krwionośnych. Plastikowa torba ciągle wisiała jej na szyi pokrytej długimi śladami palców Kaptura. Rozerwała ją palcami, by się od niej uwolnić.

- Pośpiesz się - rzuciła chrapliwie. - Sprawdź, czy nadal oddycha.

Obraz Andy nagle się zawężił. Zakręciło jej się w głowie. Słyszała świst, gdy próbowała wciągnąć powietrze w płuca. Zaczęła popadać w stan hiperwentylacji.

- Andreo - powiedziała Laura. - On ma moją broń za paskiem dżinsów. Daj mi ją, zanim się ocknie.

Co?

- Andreo, wyciągnij mu broń. - Laura zsunęła się z kanapy na podłogę. Rana na nodze znowu krwawiła. Podpierając się zdrową ręką, Laura zaczęła czołgać się po dywanie. - Musimy zabrać tę broń, zanim odzyska przytomność.

Kaptur poruszył rękami.

- Mamo! - Andy cofnęła się pod ścianę. - Mamo!

- To nic, on...

Nagle Kaptur drgnął tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

Drżenie rąk przeszło w drżenie ramion, potem objęło głowę, tułów, nogi. W ciągu paru sekund całym jego ciałem wstrząsnęły konwulsje.

Andy usłyszała jego jęk. Kaptur umierał.

- Andreo, idź do kuchni - powiedziała Laura spokojnie.

- Mamo! - zawołała Andy. Kaptur wygiął się w łuk. Wierzgał stopami w powietrzu. Co ona zrobiła? Co zrobiła?

- Andreo, idź do kuchni - powtórzyła Laura takim samym tonem.

Kaptur zaczął stękać. Andy zatkała uszy, ale nic nie było w stanie stłumić tego odgłosu. Patrzyła z przerażeniem, jak wygina palce. Piana leciała mu z ust, oczy uciekały w głąb czaszki.

- Idź do...

- On umiera! - Andy zaczęła zawodzić jak żałobnica.

Stękanie się wzmogło. Oczy uciekły jeszcze głębiej. Wyglądało to tak, jakby zamiast gałek Kaptur miał w oczodołach kłębki bawełny. Na dżinsach pojawiła się rosnąca plama moczu. But spadł mu z nogi. Ręce drapały powietrze.

- Zrób coś! - krzyknęła Andy. - Mamo!

Laura złapała patelnię i uniosła ją nad głowę.

- Nie! - Andy rzuciła się ku matce i wyrwała jej patelnię z rąk.

Laura złapała ją w pasie, zanim Andy zdążyła się odsunąć. Przyciągnęła ją do siebie i przysunęła usta do jej głowy.

- Nie patrz, skarbie. Nie patrz na to.

- Co ja narobiłam? - lamentowała Andy. - Co ja narobiłam?

- Uratowałamś mnie - odparła Laura.

- Ja nie... - Andy nie była w stanie wykrztusić ani słowa. - Mamo, on... Ja nie mogę...

- Nie patrz. - Laura próbowała zasłonić jej oczy, ale Andy

odepchnęła rękę matki.

Zapadła absolutna cisza.

Nawet deszcz przestał bić w okno.

Kaptur leżał bez ruchu. Mięśnie na jego twarzy były rozluźnione. Jedno oko patrzyło w sufit, drugie w stronę okna. Miał nienaturalnie rozszerzone źrenice.

Serce podeszło Andy do gardła.

Bluza Kaptura uniosła się, odsłaniając talię. Nad białym wszywanym paskiem bielizny Andy zobaczyła tatuaż przedstawiający wyskakującego z wody uśmiechniętego delfina. Poniżej znajdowało się imię „Maria” napisane ozdobną czcionką.

- Czy on... - Andy nie potrafiła wymówić tego słowa. - Mamo, czy on...

Laura nie owijała w bawełnę.

- Nie żyje - powiedziała.

- Ja go zzz... - jąkała się Andy. - Zzza...biłam.

- Andy? - W tonie Laury zaszła zmiana. - Słyszysz syreny? - Odwróciła się w stronę okna. - Wezwałaś policję?

Andy była w stanie patrzeć tylko na tatuaż Kaptura. Kim była Maria? Jego dziewczyną? Żoną? Czy zabiła czyjś tatę?

- Andy? - Laura opadła na dywan i wsunęła rękę pod kanapę. Najwyraźniej czegoś szukała. - Skarbie, szybko. Wyjmij mu z kieszeni portfel.

Andy spojrzała na matkę.

- Wyjmij jego portfel. Natychmiast.

Andy ani drgnęła.

- W takim razie zajrzyj pod kanapę. Chodź tu. Natychmiast. - Laura pstryknęła palcami. - Andy, chodź tu. Rób, co mówię.

Andy powlokła się do kanapy, nie wiedząc, co ma robić.

- W tylnym rogu - rzuciła Laura. - W wypełnieniu na

sprężynie. Wyciągnij mocno rękę. Tam jest kosmetyczka.

Andy oparła się na łokciu, by dostać się do wnętrza kanapy. Trafiła na czarną winylową kosmetyczkę zamykaną na mosiężny zamek. Była ciężka, wypakowana po brzegi.

Skąd się tu wzięła?

- Posłuchaj mnie. - Laura miała w ręku portfel Kaptura, wyjęła z niego gotówkę. - Weź to. Wszystko. W zachodniej Georgii jest miasteczko Carrollton. Na granicy stanu. Słuchasz mnie?

Andy otworzyła kosmetyczkę. W środku zobaczyła telefon z klapką, ładowarkę, gruby plik banknotów dwudziestodolarowych i białą nieoznakowaną kartę magnetyczną, jaką otwierało się pokoje w hotelu.

- Andy - Laura sięgnęła po oprawioną fotografię na biurku - musisz dotrzeć do magazynu Get-Em-Go. Zapamiętasz? G E T E M G O.

Co?

- Weź jego portfel. Wrzuć do zatoki.

Andy spojrzała na skórzany portfel, który matka rzuciła na ziemię. W plastikowej przegródce tkwiło prawo jazdy. Oczy miała tak spuchnięte od płaczu, że nie widziała liter.

- Nie używaj kart kredytowych, dobrze? Tylko gotówkę. Zamknij oczy. - Laura rozbiła zdjęcie o kant biurka. Szkło popękało na drobne kawałki. Wyjęła z ramki zdjęcie. W środku był mały kluczyk. Taki, jakim otwiera się kłódkę. - Będzie ci potrzebny, rozumiesz? Andy, słuchasz mnie? Weź to. Weź.

Andy wzięła od niej kluczyk i wrzuciła do otwartej kosmetyczki.

- To też. - Laura wetknęła portfel do kosmetyczki obok gotówki. - Magazyn numer jeden-dwadzieścia. To musisz zapamiętać: Jeden-dwadzieścia. Get-Em-Go w Carrollton. -

Przeszukała kieszenie Kaptura i znalazła kluczyki. - To do forda. Pewnie zaparkował w ślepej uliczce na końcu Beachview. Weź je.

Andy posłuchała, chociaż kompletnie nie wiedziała, co trzyma w dłoni.

- Magazyn jeden-dwadzieścia. W środku jest samochód. Weź go, a forda zostaw. Odłącz akumulator. To bardzo ważne, Andy. Musisz odłączyć zasilanie GPS-a. Zapamiętasz, skarbie? Odłącz kable od akumulatora. Tata pokazywał ci, jak wygląda akumulator. Pamiętasz?

Andy powoli potaknęła. Pamiętała, jak Gordon pokazywał jej części samochodu.

- Numer magazynu to data twoich urodzin. Jeden-dwadzieścia. Powtórz.

- Jeden-dwadzieścia - wydukała Andy.

- Syreny są coraz bliżej. Musisz stąd iść. Teraz.

Andy była niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

- Kochanie. - Laura ujęła ją pod brodę. - Posłuchaj mnie. Musisz uciekać. Teraz. Wyjdź tylnymi drzwiami. Znajdź forda, a jeśli nie znajdziesz, to weź auto taty. Wyjaśnię mu to później. Masz jechać na północny zachód. Dobrze? - Złapała Andy za ramiona, próbując wstać. - Andy, proszę. Słuchasz mnie?

- Na północny zachód - wyszeptała Andy.

- Dotrzyj najpierw do Macon, tam kup mapę, aktualną papierową mapę, i znajdź Carrollton. Get-Em-Go jest obok Walmartu. - Pociągnęła córkę za ramię. - Swój telefon musisz tu zostawić. Niczego z sobą nie zabieraj. - Znowu nią potrząsnęła. - Słuchaj mnie. Nie dzwoń do taty. Nie każ mu kłamać dla ciebie.

- Kłamać dla...

- Aresztują mnie za to. - Laura położyła palec na ustach

Andy, zanim zdążyła zaprotestować. – To nic, skarbie, poradzę sobie. Ale ty musisz wyjechać. Nie informuj taty, gdzie jesteś. Rozumiesz? Jeśli się z nim skontaktujesz, oni się o tym dowiedzą. Namierzą cię i znajdą. Telefony, mejle, cokolwiek. Nie kontaktuj się z nim. Nie próbuj do mnie dzwonić. Nie dzwoń do żadnej koleżanki ani w ogóle do nikogo, z kim kiedykolwiek miałas kontakt. Rozumiesz mnie? Słyszysz, co do ciebie mówię?

Andy skinęła głową, ponieważ tego oczekiwała od niej matka.

– Z Carrollton jedź dalej na północny zachód. – Laura przeprowadziła Andy przez kuchnię, mocno obejmując ją w pasie. – Jak najdalej stąd. Może do Idaho. Kiedy będzie bezpiecznie, zadzwonię do ciebie na telefon, który jest w kosmetyczce.

Bezpiecznie?

– Jesteś silna, Andreo. Silniejsza, niż ci się wydaje. – Laura oddychała ciężko. Usiłowała tłumić łzy. – Zadzwonię do ciebie na ten telefon. Nie wracaj do domu, póki się do ciebie nie odezwę, dobrze? Reaguj tylko na mój głos, mój prawdziwy głos, kiedy usłyszysz: „Przyjazd do domu jest bezpieczny”. Rozumiesz, Andy?

Sygnaly policyjnych radiowozów były coraz donośniejsze. Teraz i Andy je usłyszała. Przynajmniej trzy. W domu leżał martwy mężczyzna. Ona go zabiła. Zamordowała człowieka, a policjanci byli tuż-tuż.

– Andreo?

– Tak, tak – wydyszała Andy.

– Get-Em-Go. Jeden-dwadzieścia. Tak?

Andy pokiwała głową.

– Wyjdź tyłem. Musisz uciekać. – Laura próbowała pchnąć ją ku drzwiom.

Andy nie mogła wyjść, nie wiedząc czegoś.

- Mamo, czy ty jesteś... szpiegiem?

- Kim? - Laura wyglądała na zdezorientowaną.

- Albo zabójczynią, albo agentką rządową, albo...

- Och, Andy, nie. - Laura powiedziała to tak, jakby chciała się roześmiać. - Jestem twoją matką. Zawsze byłem twoją matką. - Przcisnęła dłoń do policzka Andy. - Jestem z ciebie dumna, mój aniołku. Ostatnie trzydzieści jeden lat było dla mnie darem. Dzięki tobie żyję. Bez ciebie nie dałabym rady. Rozumiesz? Jesteś całym moim sercem. Jesteś każdą kroplą krwi w moim ciele.

Radiowozom zostały do pokonania może dwie ulice.

- Tak mi przykro. - Laura nie mogła dłużej wstrzymać łez. Wczoraj zabiła człowieka. Została pchnięta nożem, ranna, prawie uduszona. Odepchnęła od siebie rodzinę i nie uroniła ani łzy aż do tej chwili. - Mój aniołku, wybacz mi, proszę. Wszystko, co robiłam, robiłam dla ciebie, Andreo Heloise. Wszystko.

Syreny zawyły pod domem. Radiowozy jeden po drugim zatrzymały się z piskiem opon.

- Biegnij - powiedziała Laura błagalnie. - Andy, kochanie, biegnij. Już!

5

Mokry piasek wsypywał się do butów Andy, gdy biegła wzdłuż brzegu. Przyciskała do piersi kosmetyczkę, przytrzymując górną część, ponieważ nie miała czasu zapiąć zamka. Na niebie nie było księżyca, w oknach rezydencji nie paliło się ani jedno światło. Tylko wilgoć na twarzy i dźwięki syren za plecami.

Zerknęła przez ramię. Policyjne światła migają przed domem Laury. Krzyki niosły się aż do plaży.

- Lewa czysta!

- Tył czysty!

Czasem, gdy Andy zostawała na linii do chwili przyjazdu policji, słyszała w tle takie same okrzyki.

- Można się już rozłączyć - mówiła wtedy. - Policja się panią/panem zajmie.

Laura nie piśnie ani słowa. Po wejściu do domu pewnie zobaczyli ją, jak siedzi przy kuchennym stole z zaciśniętymi ustami. Detektyw Palazzolo nie pójdzie na żaden układ. Laura zostanie aresztowana, stanie przed sądem i ławą przysięgłych, pójdzie do więzienia.

Andy przyśpieszyła kroku, jakby wierzyła, że zdoła uciec przed myślą o matce za kratkami. Zagryzła wargę, póki nie poczuła metalicznego posmaku krwi w ustach. Mokry piasek w butach zmienił się w twardy beton. W bólu, jaki powodował, tliła się karmiczna reakcja.

Kaptur nie żył. Zabiła go. Zamordowała człowieka. Była morderczynią.

Potrząsnęła głową tak mocno, że aż coś chrupnęło jej w szyi. Próbowwała ustalić swoje położenie. Seaborne Avenue ciągnęła

się około pięciuset metrów i kończyła się ślepą uliczką zwaną Beachview. Jeśli przegapi skręt, znajdzie się w gęściej zamieszkaney okolicy Isle, gdzie ktoś mógłby wyrzeć przez okno, a potem wezwać policję.

Liczyła kroki, w przybliżeniu odmierzając odległość. Dwieście metrów, trzysta metrów, potem ostry skręt w lewo, by oddalić się od oceanu. Do wszystkich rezydencji prowadziły bramki bezpieczeństwa, mające powstrzymać intruzów schodzących z plaży. Prawo obowiązujące w mieście zabraniało stawiania stałych ogrodzeń przy wydmach, dlatego właściciele montowali drut kolczasty, z którego zwisały drewniane listwy udające płot, co miało zniechęcić postronnych przed wtargnięciem na ich teren. Tylko niektóre bramki były wyposażone w alarm, ale na wszystkich wisiały ostrzeżenia, że otwarcie go uruchomi.

Stała przed pierwszą bramką. Przeciągnęła dłonią po bokach. Palcami namacała plastikową obudowę, z której wychodził przewód.

To był alarm.

Pobiegła do następnej bramki. Sprawdziła ją.

Ta też była zabezpieczona alarmem.

Andy zakląła, wiedząc, że najszybszą drogą na ulicę jest przejście po wydmach. Ostrożnie pchnęła sztachety stopą. Drut się wygiął i z piasku wyłoniła się niewidoczna dotąd kotew. Ogrodzenie pochyliło się na tyle nisko, że mogła nad nim przejść. Uniosła nogę, by je przestąpić bez rozrywania szortów na drucie. Wspinając się stromą wydmą, deptała kępki traw. Wstydziała się zniszczeń, które powoduje. Utykała, kiedy w końcu dotarła do kamiennej ścieżki.

Stała i wsparła się ręką o ścianę, by złapać oddech. W gardle tak jej zaschło, że dostała ataku kaszlu. Zasłoniła usta, czekając, aż minie. Oczy zaczęły jej łzawić, płuca paliły.

Kiedy kaszel minął, ręka opadła bezwładnie i Andy zrobiła krok. Miała wrażenie, że stąpa po kawałkach szkła. Piasek w butach miał konsystencję zbrylającego się żwirku dla kota. Zdjęła buty i wytrząsnęła z nich niechcianą zawartość. Syntetyczna siateczka zamieniła się w tarkę do sera. Mimo to spróbowała włożyć buty. Ból był nie do zniesienia. Zobaczyła, że stopy jej krwawią.

Poszła dalej boso. Myślała o wszystkich tropach, które znajdzie detektyw Palazzolo po przyjeździe do bungalowu: twarz Laury z krwawymi wybroczynami na gałkach ocznych, wskazujących na duszenie; plastikowa torba wokół jej szyi z odciskami palców martwego mężczyzny; trup na ziemi obok przewróconego stolika kawowego w gabinecie; wgłębienie w jego czaszce; mokre od moczu spodnie; zasychająca piana na ustach; oczy skierowane w dwie różne strony; ślady krwi z nogi Laury na dywanie; odciski palców Andy na rączce patelni.

Na podjeździe: stłuczone szkło reflektorów; zamek w drzwiach kuchni prawdopodobnie wyłamany; woda na podłodze w kuchni znacząca drogę Kaptura; więcej wody wskazującej drogę Andy z sypialni na korytarz, do pokoju gościnnego, do salonu i z powrotem.

Na plaży: ślady jej stóp na mokrym piasku; ślady zniszczeń, znaczących jej drogę na wydmach; jej krew i DNA na kamiennej ścieżce, na której właśnie stała.

Zacisnęła zęby i jęknęła, unosząc głowę w niebo. Szyja zabolęła ją od wysiłku. Pochyliła się i oparła łokcie na kolanach, uginając się pod ciężarem swojego odrażającego postępowania. Wszystko było nie tak. Nic nie miało sensu.

Co powinna zrobić?

Co mogła zrobić?

Musiała porozmawiać z ojcem.

Skierowała się w stronę drogi. Postanowiła iść do Gordona. Zapytać, co ma robić. On jej pomoże postąpić właściwie.

Nagle przystanąła.

Wiedziała, co zrobi ojciec. Pozwoli byłej żonie wziąć winę na siebie, a córce nie pozwoli się ujawnić. Nie, jeśli istniało ryzyko, że ona pójdzie do więzienia na resztę życia.

Lecz detektyw Palazzolo znajdzie ślady jej mokrych stóp w domu Laury, więcej odcisków stop na piasku, jej DNA między rezydencjami, a potem oskarży Gordona o okłamanie oficera policji i zamieszanie w morderstwo.

Ojciec pójdzie do więzienia. Straci licencję.

Nie zmuszaj go, żeby dla ciebie kłamał.

Andy przypomniała sobie łzy w oczach matki; jej zapewnienia, że wszystko robiła dla niej. Budując podstawy logicznego rozumowania, Andy musiała wierzyć, że Laura wskazała jej właściwe rozwiązanie. Szła dalej. Laura przypuszczała, że ford napastnika stoi w ślepej uliczce przy Beachview Drive. Kazała jej też biec, więc Andy znowu zaczęła biec z butami w jednej ręce, z kosmetyczką w drugiej.

Właśnie miała skręcić za róg, kiedy uderzyła ją w twarz smuga ostrego światła. Cofnęła się i kucnęła na ścieżce. W pierwszej chwili pomyślała, że to światła policyjnego radiowozu. Kiedy odważyła się wyjrzeć, zorientowała się, że uruchomiła czujnik ruchu.

Pobiegła dalej. Trzymała się środka ulicy, z dala od wykrywaczy ruchu. Nie oglądała się za siebie, ale kątem oka dostrzegła w oddali niebieskie i czerwone światła. Wyglądało to tak, jakby wszystkie radiowozy w Isle zareagowały na esemesowe wezwanie pomocy. Andy miała niewiele czasu – minuty, może sekundy – zanim ktoś dowodzący akcją każe swoim ludziom przeszukać teren.

Dotarła na koniec jednokierunkowej ulicy. Beachview Drive przechodziła tam w Seaborne Avenue, która była ślepą ulicą. Na jej drugim końcu znajdował się skręt dający dostęp na plażę pojazdom uprzywilejowanym. Laura przypuszczała, że właśnie tam martwy intruz zostawił auto.

Andy nie zobaczyła forda.

Cholera!

Od strony Beachview zbliżała się para reflektorów. Andy spanikowała. Pobiegła w lewo, potem w prawo, potem zawróciła i skryła się za palmą, gdy obok przejeżdżał czarny chevrolet suburban. Na zderzaku widniała ogromna giętka antena, co zdradzało jego przynależność do organów ochrony porządku publicznego.

Andy zerknęła w stronę wylotu Beachview Drive. W połowie ulicy znajdował się nieutwardzony podjazd częściowo zarośnięty chwastami i krzakami. Jeden z sześciu pozostałych w Belle Isle bungalów należał do Hazeltonów, małżeństwa z Pensylwanii, którzy od lat już tu nie przyjeżdżali.

Mogła ukryć się tam i zastanowić, co dalej.

Sprawdziła, czy po Seaborne Avenue nie jedzie pod prąd jakiś samochód. Zlustrowała Beachview w poszukiwaniu włączonych reflektorów. Potem pobiegła drogą, uderzając gołymi stopami o mokry asfalt, aż dotarła do długiego piaszczystego podjazdu Hazeltonów.

Coś było nie tak.

Zielony gąszcz u wlotu podjazdu był ubity i przygięty do ziemi.

Ktoś niedawno jechał tędy do domu.

Okrążyła zarośla, kierując się do ogrodu, zamiast prosto w górę podjazdu. Stopy krwawiły jej tak mocno, że piasek przywarł do nich, tworząc drugą podeszwę. Szła lekko

pochylona, by być mniej widoczna. W domu Hazeltonów nie paliła się ani jedna lampa. Andy zorientowała się, że całkiem nieźle widzi w ciemności. Było później – lub wcześniej – niż sądziła. Jeszcze nie wschód słońca, ale przypomniała sobie naukowe wyjaśnienie zjawiska, kiedy promienie odbijają się od powierzchni oceanu i rzucają blask na plażę, zanim obserwator ujrzy słońce.

Bez względu na to, jakie zjawisko optyczne za tym stało, pozwoliło jej dostrzec forda zaparkowanego na podjeździe. Miał opony większe niż normalnie. Czarne zderzaki. Przyciemnione okna. Numery rejestracyjne z Florydy.

Obok niego stał mniejszy samochód. Biały chevrolet, mniej więcej dziesięcioletni, poza tym pozbawiony cech szczególnych. Numery rejestracyjne wskazywały na Karolinę Południową, co nie dziwiło, zważywszy na bliskość Charlestonu, ale o ile Andy się orientowała, Hazeltonowie nadal mieszkali w Pensylwanii.

Ostrożnie podeszła do chevroleta i pochyliła się, by zajrzeć do środka. Okna były opuszczone. W stacyjce tkwił kluczyk z brelokiem w postaci wielkiej króliczej łapki jako talizmanem na szczęście. Z przedniego lusterka zwisała pluszowa kostka do gry. Andy nie miała pojęcia, czy auto należy do Hazeltonów, ale pozostawienie kluczyków w stacyjce wskazywałoby na starsze małżeństwo. Puchata kostka i królicza łapka pasowała do ich wnuka.

Andy rozważała możliwości.

W chevroletcie nie było GPS-a. Nikt nie zgłosi jego kradzieży. Czy powinna zabrać ten wóz, a zostawić auto nieżyjącego mężczyzny?

Laura pomyślała za nią. Skoro kazała jej wziąć auto trupa, to weźmie auto trupa.

Ostrożnie zbliżyła się do forda. Przyciemnione okna były szczelnie zamknięte. Drzwi też. Znalazła klucze Kaptura w kosmetyczce. Na kółeczku wisiały kluczyki do samochodu i otwieracz do puszek. Kluczy do mieszkania nie było. Może zostawił je w środku.

Zamiast użyć pilota, otworzyła drzwi tradycyjną metodą. W środku pachniało piżmową wodą kolońską i skórą. Rzuciła kosmetyczkę na siedzenie pasażera. Musiała pomóc sobie obiema rękami, by wspiąć się na siedzenie kierowcy.

Zamknęła drzwi, które stuknęły głucho.

Włożyła kluczyki do stacyjki. Przekręciła powoli, jakby obawiała się, że jednym fałszywym ruchem spowoduje wybuch albo samozniszczenie. Silnik ponuro zamruczał. Oparła rękę na skrzyni biegów. I znieruchomiała, ponieważ coś było nie tak. Tablica rozdzielcza powinna być podświetlona, ale nie była. Andy dotknęła jej palcami. Wyczuła karton lub coś podobnego, co zasłaniało wyświetlacze. Uniosła głowę, oświetlenie sufitowe też nie działało.

Pomyślała o Kapturze blokującym wszelkie źródła światła w samochodzie, a potem parkującym przed domem Hazeltonów.

Potem pomyślała o włączonym świetle w gabinecie matki. O jedynej świecącej się lampie w domu. Założyła, że Laura zapomniała ją wyłączyć, ale może wcale nie spała na leżance. Może siedziała na kanapie w gabinecie i czekała na niezapowiedzianą wizytę kogoś takiego jak Kaptur.

„On ma moją broń za paskiem dżinsów”.

Nie „broń”, ale „moją broń”.

Andy zaschło w ustach.

Kiedy Laura kupiła broń?

Za nią zawyła syrena. Andy wzdrygnęła się, ale zamiast

skrócić w podjazd, radiowóz przejechał obok. Zaczęła manipulować dźwignią skrzyni biegów, lekko zdejmując nogę z hamulca, aż znalazła bieg wsteczny.

Przez przyciemnione okna nic nie widziała, kiedy wyjeżdżała tyłem z podjazdu. Gałęzie i cierniste krzewy ocierały się o forda. Wjechała na Beachview Drive bokiem. Koła auta podskoczyły na wysokim krawężniku.

Powtórzyła manewr z dźwignią skrzyni biegów, póki nie znalazła funkcji ruszania. Reflektory były wyłączone. W ciemności przedświt nie była w stanie odszukać włącznika. Kurczowo trzymała kierownicę obiema rękami. Barki uniosła niemal na wysokość uszu. Czuła, jakby za chwilę miała stoczyć się w przepaść.

Pojechała drogą w kierunku domu Gordona. Na końcu jego ulicy zobaczyła migające światła radiowozu. Przyśpieszyła, by nikt jej nie zauważył. Nagle dotarło do niej, że jest niewidoczna, ponieważ jedzie z wyłączonymi światłami. Wcisnęła hamulec i zerknęła we wsteczne lusterko. Tylne światła też się nie zapaliły.

Niedobrze.

Zasłonięcie wszystkich świateł, gdy jedzie się gdzieś w złym zamiarze, to jedno, ale ucieczka z miejsca popełnionego zła autem bez świateł drogą, na której roi się od policji, jest równoznaczne z napisaniem sobie na czole: WINNA.

Belle Isle łączył z resztą miasta jeden most. Policja z Savannah będzie nim jechała w jedną stronę, podczas gdy Andy, oświetlona tylko słonecznymi refleksami na wodzie, będzie próbowała wymknąć się z miasta przeciwległym pasem.

Wjechała na parking centrum handlowego. Wysiadła z auta, obeszła je i stanęła za nim. Tylne światła zakrywała jakaś gruba czarna taśma. Złapała za brzeg i wtedy przekonała się,

że to nie taśma, ale arkusz samoprzylepnej tablicy magnetycznej. Takim samym arkuszem było zamaskowane drugie światło.

Arkusz miał zaokrąglone rogi i rozmiar dokładnie odpowiadający wielkości świateł stopu i świateł cofania.

Nie miała głowy do analizowania sensu tego działania. Wrzuciła tablice na tylne siedzenie i wróciła za kierownicę. Usunęła karton z deski rozdzielczej. Jak w przypadku tablic magnetycznych, był dokładnie przycięty do jej rozmiaru. Czarny papier zasłaniał też radio i podświetlane guziki na konsoli.

Znalazła pokrętło do reflektorów. Odjechała spod centrum handlowego. Serce waliło jej jak młotem, gdy zbliżała się do mostu. Wstrzymała oddech. Przejechała przez most. Na drodze nie było innych aut.

Kiedy przyśpieszyła, kierując się na autostradę, zobaczyła trzy radiowozy policyjne z Savannah, jadące na sygnale w stronę mostu.

Wypuściła z płuc powietrze.

Minęła tablicę z informacją:

MACON 270 km

ATLANTA 400 km.

Sprawdziła wskaźnik paliwa. Bak był pełen. Mogła dojechać do Atlanty w ponad cztery godziny bez zatrzymywania się, potem kupić mapę na pierwszej stacji benzynowej, jaką zobaczy. Nie miała pojęcia, ile kilometrów dzieli ją od Carrollton ani jak znajdzie magazyn Get-Em-Go przy Walmarcie.

„Numer schowka to data twoich urodzin. Jeden-dwadzieścia. Powtórz”.

- Jeden-dwadzieścia. - Andy powiedziała to na głos, nagle

zbita z tropu.

Urodziny miała wczoraj. W sierpniu, dwudziestego.

A „jeden-dwadzieścia” to styczeń, dwudziestego.

Dlaczego Laura powiedziała, że Andy urodziła się w styczniu?

6

Andy jeździła w tę i z powrotem drogą, która wydawała się głównym traktem Carrollton. Bez trudu znalazła Walmart, ale w przeciwieństwie do niego magazyny Get-Em-Go nie reklamowały się gigantycznym rozjarzonym banerem, strategicznie ustawionym w taki sposób, by był doskonale widoczny z drogi międzystanowej.

Przejazd przez Atlantę był nużący, i co gorsza, okazał się zupełnie niepotrzebny. Andy kusilo, by skorzystać z systemu nawigacji, ale w końcu zdecydowała się posłuchać wskazówek Laury. Po wjeździe do Atlanty kupiła składaną mapę Georgii. Droga z Belle Isle do Carrollton powinna trwać ze cztery i pół godziny, jednak Andy jechała przez Atlantę w porannych godzinach szczytu i do Walmartu dotarła dopiero po sześciu godzinach. Powieki opadały jej ze zmęczenia i na parkingu przed sklepem musiała uciąć sobie dwugodzinną drzemkę.

Jak ludzie znajdowali potrzebne im firmy przed erą Internetu?

Książka telefoniczna wydawała się oczywistym źródłem informacji, tyle że w zasięgu wzroku nie było żadnej budki. Andy pytała już o magazyn ochroniarza w Walmarcie, jednak zdawała sobie sprawę, że wypytywanie innych o drogę jest zbyt niebezpieczne. Zostawiała za sobą ślad, no i ktoś mógłby już teraz nabrać podejrzeń i zawiadomić policję. Nie miała przy sobie prawa jazdy ani dowodu ubezpieczenia, a zmoczone deszczem włosy po wyschnięciu przemieniły się w niechlujne dredy. Prowadziła kradzione auto z rejestracją z Florydy i była ubrana jak nastolatka, która obudziła się w cudzym łóżku podczas ferii wiosennych.

Tak bardzo zależało jej na jak najszybszym dotarciu do Carrollton, że nie zadała sobie nawet pytania, dlaczego matka w ogóle ją tam wysyła. Co było w magazynie? Dlaczego Laura ukrywała klucz, telefon z klapką i gotówkę, i co ona znajdzie, jeśli uda jej się w końcu trafić do Get-Em-Go?

Po trwających ponad godzinę poszukiwaniach te pytania wydawały się bezcelowe. Carrollton nie było wprawdzie dziurą zabita dechami, ale w niczym nie przypominało też tętniącej życiem metropolii. Andy uznała, że najlepiej będzie jeździć ulicami miasteczka w poszukiwaniu magazynów, choć zaczynała się obawiać, że nigdy ich nie znajdzie.

Biblioteka!

Ta myśl nagle zaświtała jej w głowie. Mijała ten budynek co najmniej pięć razy, ale dopiero teraz ją oświeciło. W bibliotekach były komputery, a co najważniejsze, anonimowy dostęp do Internetu. Dzięki temu zlokalizuje Get-Em-Go.

Zawróciła i wjechała w ulicę prowadzącą do biblioteki, z impetem zahaczając wielkimi kołami o chodnik. Miała do dyspozycji niemal cały parking, wybrała więc miejsce na końcu. Stały tu tylko dwa inne auta, stare gruchoty zapewne należące do pracowników tej miejskiej instytucji. Biblioteka rozmiarem przypominała bungalow Laury, a z informacji umieszczonej na tabliczce wiszącej przy drzwiach wejściowych wynikało, że jest czynna od dziewiątej rano.

Czyli Andy miała jeszcze osiem minut.

Wpatrywała się w niski budynek, w równe brzegi czerwonych cegieł, w ziarniste pory zaprawy murarskiej. Widziała wszystko wyraźniej niż zwykle. Ciągle miała zaschnięte usta, ale ręce już nie drżały, a serce nie tłukło się jak szalone. Stres i wyczerpanie osiągnęły apogeum w okolicy Macon, a w tej chwili Andy ogarnęło niemal kompletne odrętwienie.

Nie czuła wyrzutów sumienia. Nawet myśląc o ostatnich chwilach życia Kaptura, nie potrafiła zdobyć się na odrobinę współczucia dla człowieka, który torturował jej matkę.

Jedyne, co czuła, to wyrzuty sumienia z powodu braku wyrzutów sumienia.

Przypomniała sobie, jak w college'u jedna z koleżanek twierdziła, że każdy jest zdolny do morderstwa. Oburzyła ją ta generalizacja, chociaż nie zaprotestowała otwarcie. W tamtych czasach uważała, że gdyby wszyscy ludzie naprawdę byli zdolni do popełnienia morderstwa, nie dochodziłoby na przykład do gwałtów. To było jedno z tych głupich hipotetycznych pytań z kategorii „a co, jeśli...?”, pojawiających się na imprezach: „A co, jeśli musielibyście się bronić? Moglibyście wtedy kogoś zabić? Bylibyście do tego zdolni?”. Chłopcy zawsze odpowiadali twierdząco, ponieważ tak ich zaprogramowała natura. Dziewczyny zwykle unikały jasnej deklaracji, może dlatego, że statystycznie miały o wiele większe szanse paść ofiarą ataku. Kiedy przychodziła kolej na Andy, zawsze odpowiadała półkpiąco, że skuli się ze strachu i będzie czekać na śmierć. I właśnie tak zachowała się w restauracji.

W kuchni Laury nie skuliła się ze strachu. Może było inaczej, kiedy komuś bliskiemu groziło niebezpieczeństwo? Może to wynikało z genetyki?

Skłonności samobójcze przechodziły w rodzinach z pokolenia na pokolenie. Może to samo dotyczyło skłonności do zabijania?

Andy chciała wiedzieć, jak wyglądała wtedy jej twarz. W tamtej szczególnej chwili, gdy kopniakiem otworzyła drzwi gabinetu i zamachnęła się patelnią, nie myślała o niczym, zupełnie jakby umysł skasował wszystkie myśli, a jej mózg wypełniał emocjonalny odpowiednik białego szumu. Nastąpiło całkowite rozdzielenie głowy i ciała. Nie przejmowała się

własnym bezpieczeństwem. Nie myślała o życiu czy śmierci matki. Po prostu działała.

Maszyna do zabijania.

Kaptur miał imię i nazwisko. Zanim wrzuciła portfel do zatoki, zerknęła na jego prawo jazdy.

Samuel Godfrey Beckett, mieszkaniec Neptune Beach w stanie Floryda, urodzony dziesiątego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku.

Ten Samuel Beckett bardzo ją poruszył, ponieważ wraz z tym imieniem i nazwiskiem życie Kaptura poza gabinetem Laury nabrało konkretnego wymiaru. Któreś z jego rodziców musiało być miłośnikiem teatru absurdu i dzieł Irlandczyka. To wydało jej się bardziej sugestywne niż tatuaż z imieniem Marii. Wyobraziła sobie matkę Kaptura, jak obserwując na werandzie zachód słońca, zwraca się do syna:

- Wiesz, po kim masz imię?

Podobnie jak Laura, która wiele razy opowiadała Andy historię zagubienia litery H w jej drugim imieniu.

Odsunęła od siebie to wspomnienie.

Musiała pamiętać, że Samuel Godfrey Beckett był, w żargonie detektyw Palazzolo, „złym facetem”. W swoim życiu Samuel, Sam czy Sammy z pewnością wyrządził wiele zła. Nie zasłania się światłem we wnętrzu auta i nie zakleja reflektorów dla kaprysu. Takie rzeczy robi się z rozmysłem, w złych intencjach.

I prawdopodobnie na czyjeś zlecenie. Za pieniądze.

Punktualnie o dziewiątej bibliotekarka otworzyła drzwi i zamachała do Andy na znak, że może wejść.

Odmachnęła jej i odczekała, aż bibliotekarka wejdzie do budynku, a potem wyciągnęła spod siedzenia czarną kosmetyczkę i otworzyła ją. Upewniła się, że bateria telefonu

jest naładowana. Na ekranie nie było informacji o rozmowach przychodzących. Zamknęła klapkę i włożyła telefon do kosmetyczki obok karty magnetycznej, kluczyka do kłódki i grubego pliku dwudziestek.

Przeliczyła je w Atlancie. Miała tysiąc sześćdziesiąt jeden dolarów na przetrwanie niewiadomej liczny dni aż do momentu, kiedy zadzwoni telefon i Laura oznajmi, że można wracać do domu.

Skóra jej cierpła na myśl, że musi ustalić budżet. Budżet na wzór Gordona. Musiała odejść od zwyczajowego planowania „budżetu Andy”, co polegało na żarliwych modlitwach o gotówkę mającą spaść z nieba. Nie miała możliwości dorobienia. Nie mogła się zatrudnić bez podania numeru ubezpieczenia społecznego, a nawet jeśli, to nie miała pojęcia, na jak długo będzie potrzebować pracy. A zwłaszcza nie wiedziała, jaką pracę będzie mogła wykonywać w Idaho.

„Z Carrollton jedź na północny zachód. Jak najdalej stąd, może do Idaho”.

Skąd Laurze to przyszło do głowy? Andy była tylko w Georgii, Nowym Jorku, na Florydzie i w obu Karolinach. Nic nie wiedziała o Idaho poza tym, że mają tam zimą mnóstwo śniegu i na pewno uprawiają ziemniaki.

Tysiąc sześćdziesiąt jeden dolarów.

Paliwo, jedzenie, motele.

Zapięła kosmetyczkę i wysiadła z auta. Obciągnęła kusy podkoszulek, który nie dodawał jej urody. Szorty miała sztywne od słonego powietrza. Stopy tak ją bolały, że kulała. Na goleni miała skaleczenie, o którym zupełnie nie pamiętała. Potrzebowała prysznic. Potrzebowała opatrunków, lepszych butów, długich spodni, koszulek, bielizny i innych rzeczy. W takiej sytuacji tysiąc dolarów z niewielkim okładem

wystarczy zaledwie na kilka dni.

Zmierzając do biblioteki, liczyła w głowie. Wiedziała od jednej z dawnych współlokatorek, że trasa samochodowa między Nowym Jorkiem a Los Angeles wynosi około pięciu tysięcy kilometrów. Idaho leżało gdzieś w lewej górnej części Stanów Zjednoczonych - Andy była kiepska z geografii - ale na pewno był to północny zachód.

Zakładała, że jazda samochodem z Georgii do Idaho potrwa mniej więcej tyle, ile z Nowego Jorku do Kalifornii. Dystans z Belle Isle do Macon wynosił dwieście siedemdziesiąt kilometrów. Przejechanie tego odcinka zajęło jej około dwóch i pół godziny. Wynikało z tego, że czeka ją dwanaście dni za kierownicą, co oznaczało jedenaście noclegów w tanich motelach, trzy posiłki dziennie, paliwo na drogę i inne nieprzewidziane wydatki...

Potrząsnęła głową. Podróż do Idaho miałyby trwać dwanaście dni?

Z matematyki też jej nie szło.

- Dzień dobry - powitała ją bibliotekarka. - Świeża kawa stoi w rogu.

- Dzięki - mruknęła Andy. Miała wyrzuty sumienia, ponieważ nie płacąc tutaj podatków, nie powinna korzystać z tych udogodnień za darmo. Mimo to nalała sobie kawy i usiadła przed komputerem.

Na widok świeżącego ekranu poczuła się dziwnie spokojna. Przez całą noc nie miała w rękach ani telefonu, ani iPada. Nie zdawała sobie sprawy, ile czasu traci na słuchanie Spotify, zagłądanie na Instagram czy Snapchat, czytanie blogów i rozwiązywanie quizów z Harry'ego Pottera, póki nie straciła możliwości dostępu do tego wszystkiego.

Wpatrywała się w ekran komputera. Popiła łyk kawy. Kusiło

ją, żeby napisać mejla do ojca. Albo zadzwonić. Albo wysłać list.

„Jeśli się z nim skontaktujesz, oni się o tym dowiedzą. Namierzą cię i znajdą”.

Odstawiła kubek i wpisała do wyszukiwarki Get-Em-Go Carrollton GA i kliknęła w mapkę.

Omali nie wybuchnęła śmiechem.

Magazyn znajdował się sto metrów za biblioteką. Wiedziała o tym, ponieważ między nimi znajdowało się szkolne boisko futbolowe. Mogła tam iść. Sprawdziła godziny otwarcia na stronie Get-Em-Go. Z informacji wynikało, że magazyny są dostępne dwadzieścia cztery godziny na dobę. Biuro było jednak otwarte od dziesiątej rano do osiemnastej.

Spojrzała na zegarek. Miała pięćdziesiąt minut.

Otworzyła stronę MapQuest i wpisała trasę Georgia - Idaho. Trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt kilometrów. Trzydzieści godzin jazdy, nie dwanaście dni. Dlatego miała poprawkę z algebry. Najechała kursorem na DRUKUJ, ale w ostatniej chwili wewnętrzny głos kazał jej z tego zrezygnować. Wcisnęła klawisz ANULUJ. Biblioteka pobierała dziesięć centów za każdą wydrukowaną stronę, ale nie chodziło o pieniądze. Musiałaby podejść do kontuaru i poprosić o wydruk, a to oznaczało, że bibliotekarka pozna cel jej podróży.

„Namierzą cię i znajdą. Telefony, mejle, cokolwiek”.

W skupieniu analizowała ostrzeżenie Laury. To oczywiste, że „oni” to byli ludzie, którzy wynajęli Kaptura, czyli Samuela Godfreya Becketta. Ale w jakim celu to zrobili? Kaptur powiedział Laurze, że jej nie zabije. A przynajmniej nie od razu. Powiedział, że śmiertelnie ją przerazi, dusząc plastikową torbą. Wiedza Andy na temat tortur pochodziła głównie z Netflixa. Jeśli człowiek nie był oprawcą w stylu sadystycznego bohatera

Piły, okazywał się oprawcą w stylu twardziela Jacka Reachera, co oznaczało, że potrzebuje informacji.

Co takiego wiedziała pięćdziesięcioletnia rozwiedziona logopedka, że ktoś wynajął zbira, by torturami z niej to wyciągnął?

Co więcej: w jakim okresie życia Laura zgromadziła takie informacje?

Wszystko, co detektyw Palazzolo mówiła o przeszłości Laury, od urodzin w Rhode Island, przez studia w UGA, aż po kupno domu w Belle Isle, było prawdą. Andy też to wiedziała. W historii Laury nie było niewyjaśnionych białych plam. Nigdy nie wyjeżdżała z kraju. Nigdy nawet nie wyjeżdżała na wakacje, ponieważ już mieszkała przy plaży.

Zatem co takiego wiedziała, że chcieli to od niej wydobyć torturami?

I co było tak ważne, że Laura wolała wytrzymać niż zdradzić, co wie?

Andy westchnęła ciężko. Może resztę życia spędzi na kręceniu się w kółko w poszukiwaniu odpowiedzi bez szans na powodzenie.

Przy komputerze leżały kartki na notatki i długopisy. Wzięła kilka kartek i zaczęła spisywać przebieg trasy do Idaho: 75S do 84E, drogą 84E do 80E, NE2E, 1-29S, I70E...

Przestała pisać i wbiła wzrok w ciąg liter i cyfr. Uznała, że musi kupić kolejną mapę. Na granicy Georgii i Alabamy zatrzyma się na odpoczynek. Oczywiście najpierw pójdzie do magazynu i zmieni auto, które według Laury powinno tam być, a potem ruszy na północny zachód.

Znowu westchnęła ciężko.

Niemal całkowicie zdała się na matkę. Gdyby jednak kierowała się własnym instynktem, zapewne w tej chwili

siedziałyby w domu pogrzebowym i płakała wsparta o ramię Gordona, który omawiałby szczegóły pogrzebu jej matki.

Znowu położyła palce na klawiaturze. Zerknęła za siebie. Bibliotekarka zniknęła. Pewnie układała oddane książki albo trenowała uciszanie czytelników.

Andy kliknęła w zakładkę PREFERENCJE i ustawiła wyszukiwarę na tryb incognito, by ukryć historię przeglądania. Cóż, powinna od tego zacząć... A może jednak przesadzała? Lub też powinna przestać karcic się w duchu za popadanie w paranoję i przyjąć do wiadomości, że zachowuje się paranoicznie, ponieważ ma ku temu ważny powód.

Zaczęła od strony gazety *Belle Isle Review*.

Pierwsza strona była poświęcona Laurze Oliver, miejscowej logopedce i maszynie do zabijania w jednym. Oni sami nie nazwali jej wprawdzie maszyną do zabijania, ale zacytowali Alice Blaedel w pierwszym paragrafie, więc na jedno wychodziło.

Andy przebiegła wzrokiem treść artykułu. Nie było w nim wzmianki o zakapturzonym mężczyźnie znalezionym z wgnieceniem w czaszce odpowiadającym kształtem patelni. Ani informacji o skradzionym czarnym samochodzie. Przeszła do innych tekstów na ten temat.

Też nic.

Zdezorientowana odsunęła się od ekranu.

Za jej plecami otworzyły się drzwi. Do środka wszedł powłóczący nogami starszy mężczyzna i skierował się do stanowiska z kawą, rozpoczynając polityczną tyradę.

Andy nie wiedziała, dla czyich uszu jest przeznaczona, ale ją zignorowała i weszła na stronę CNN.com. W nagłówku pojawiło się sformułowanie „Maszyna do zabijania”. Gordon miał rację w wielu sprawach, ale Andy wiedziała, że ojca wcale

nie ucieszy, że jego przewidywania w kwestii zainteresowania mediów okażą się słuszne. Godne współczucia fakty z życia Jonaha Lee Helsingera zostały opisane w drugim paragrafie:

Pół roku temu ojciec Helsingera, pełniący funkcję szeryfa, weteran wojenny i miejscowy bohater, zginął z ręki uzbrojonego bandyty. Według policji mniej więcej w tym czasie młody Helsingier zaczął myśleć o morderstwie.

Andy sprawdziła strony FoxNews.com, *Savannah Reporter* i *Atlanta Journal-Constitution*.

Wszystkie relacje skupiały się na Laurze Oliver i jej czynie w Rise-n-Dine. Nie było wzmianki o Samuelu Godfreyu Becketcie ani nawet niezidentyfikowanej ofierze zabójstwa w bluzie z kapturem.

Czy Laura zdołała przenieść ciało? To mało prawdopodobne. Andy przypuszczała, że matka może odmówić wpuszczenia policji do domu, ale zjawili się tam po otrzymaniu wiadomości wysłanej na numer alarmowy dziewięćset jedenaście z jej telefonu, więc będą domagać się wiarygodnych wyjaśnień. Ale nawet gdyby Laura zdołała odesłać policjantów z Belle Isle, człowiek w nieoznakowanym czarnym SUV-ie nie uzna odmowy.

Stukała palcem w myszkę komputerową, analizując sytuację.

Ktoś z koneksjami pilnował, by do mediów nie przedostały się żadne przecieki.

Oni?

Ci sami ludzie, którzy nasłali Kaptura?

Ludzie, którzy mieli namierzyć Andy, czego tak bała się Laura?

Andy czuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Przed bungalowem Laury zjawiała się połowa sił policyjnych. Detektyw Palazzolo, funkcjonariusze stanowego biura śledczego. To by

znaczyło, że Oni mają wpływy w biurze gubernatora, może nawet wśród federalnych.

Zerknęła za siebie.

Staruszek stał wsparty o kontuar, usiłując wciągnąć jedną z bibliotekarek w polityczną dyskusję.

Potem spojrzała na zegar na ekranie komputera. Przyglądała się, jak sekundy przechodzą w minuty.

„Numer magazynu to data twoich urodzin. Jeden-dwadzieścia”.

Andy odstawiła kawę. Wpisała do wyszukiwarki hasło „dwudziesty stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt siedem”.

Dwudziestego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku był wtorek. Ludzie urodzeni tego dnia są spod znaku Wodnika. Prezydentem był Ronald Reagan. W stacjach radiowych królowała piosenka Walk Like an Egyptian zespołu The Bangles. Na czele listy przebojów kinowych znajdował się film Stan krytyczny z Richardem Pryorem. Na pierwszym miejscu listy bestsellerów New York Timesa znalazła się powieść Toma Clancy'ego Czerwony sztorm.

Andy odliczyła w myślach dziewięć miesięcy i wpisała hasło: „kwiecień tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt sześć wydarzenia”. Zamiast chronologicznego opisu tamtego miesiąca otrzymała ogólny opis wydarzeń tamtego roku.

USA bombardują Libię. Afera Iran-Contras. Katastrofa w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Pierestrojka. Kometa Halleya. Eksplozja Challengeera. Zabójstwo premiera Szwecji. Zabójstwo w G-FAB w Oslo. Porwanie samolotu Pan-Am lot 73. Wybuch w samolocie TWA nad Grecją. Wybuch bomby na giełdzie towarowej. Strzelanina w banku w Miami. Telewizyjny debiut programu Oprah Winfrey Show. Trzydzieści osiem tysięcy czterysta jeden przypadków AIDS na świecie.

Tylko część tych faktów była jej znana. Mogła spędzić cały dzień na szukaniu szczegółowych informacji o tych wydarzeniach, ale nie można znaleźć czegoś, jeśli nie wiadomo, czego konkretnie się szuka.

Paula Koontz.

To nazwisko kołatało się w głowie Andy przez kilka ostatnich godzin. Matka nigdy nie wspominała o żadnej Pauli. O ile wiedziała, wszyscy znajomi i przyjaciele Laury mieszkali w Belle Isle. Nigdy nie rozmawiała z nikim innym przez telefon. Nie miała nawet konta na Facebooku. Twierdziła, że w Rhode Island nie ma nikogo, z kim chciałaby utrzymywać kontakt.

„Mógłbym pogadać z Paulą Koontz”.

„Słyszałam, że jest w Seattle”.

„W Austin. Niezła próba”.

Laura usiłowała nabrać Kaptura. A może go sprawdzała? Tylko dlaczego?

Andy wpisała do wyszukiwarki *Paula Koontz Austin Teksas*.

Wśród wyników wyszukiwania nie było nic, co miałyby związek z Austin, ale okazało się, że Paula Koontz to popularne nazwisko wśród agentów nieruchomości na północnym wschodzie.

- Koontz - Andy wyszeptała to na głos. W tym brzmieniu był jakiś fałsz. Wcześniej uznała, że chodzi o takie samo nazwisko, jakie nosi pisarz Dean Koontz, ale Kaptur wymówił je raczej jak Koontz-ah.

Wpisała kilka wariantów: „koontze”, „koontzee”, „khoontzah”.

Google zapytał: *czy chodzi ci o koontah?*

Andy kliknęła w sugerowaną wersję. Bez powodzenia, ale wyszukiwarka zaproponowała „khoontey” jako alternatywę. Andy przeszła przez kolejną serię pytań doprecyzowujących.

Kilka wersji później dotarła do wykazu wydziałów Uniwersytetu Tekszańskiego w Austin.

Paula Kunde prowadziła zajęcia ze wstępu do irlandzkiej poezji kobiecej i myśli feministycznej w poniedziałki, środy i piątki. Kierowała wydziałem studiów feministycznych na uczelni. Jej książka *Madonna i Madonna: Jak dziewica^[2] od Jezusa Chrystusa do Ronalda Reagana* w formie papierowej w miękkiej oprawie była do kupienia w wydawnictwie IndieBound.

Andy powiększyła czarno-białe zdjęcie przedstawiające Paulę Kunde ze zdecydowanie niekorzystnego profilu. Trudno było określić jej wiek. Fotografia zdradzała, że Paula Kunde zbyt dużo czasu spędziła na słońcu. Twarz miała zniszczoną i poprzecinaną bruzdami. Musiała być przynajmniej w wieku Laury, ale nie wyglądała jak żadna z jej koleżanek, które nosiły ubrania Eileen Fisher i przed każdym wyjściem z domu starannie smarowały się kremem przeciwsłonecznym.

Paula Kunde przypominała raczej starą hipiszkę. Miała jasne włosy przetykane siwizną i nienaturalnie wyglądający czarny kosmyk w grzywce. Na koszuli czy sukience – trudno było określić, co ma na sobie – widniały wzory charakterystyczne dla rdzennych Amerykanów, a zapadnięte policzki kojarzyły się Andy z matką w trakcie chemioterapii.

Najechała kursorem na osiągnięcia zawodowe Kunde. Publikacje w *Feminist Theory and Exposition*, kilkanaście wystąpień podczas konferencji feministycznych. Kunde uzyskała tytuł licencjata na Uniwersytecie Berkeley w Kalifornii, a magisterski w Stanford, co wyjaśniało jej hipisowską aurę. Doktorat napisała na uniwersytecie stanowym w zachodnim Connecticut, co wydawało się dziwne, ponieważ Bryn Mawr czy Vassar College lepiej pasowałyby do

przedmiotu jej studiów, zwłaszcza w kontekście magisterki w Stanford, co w porównaniu z niedokończonymi studiami Andy na kierunku technika teatralna było niczym brylant wobec bezwartościowego szkieleka.

Ważniejsze, że w życiorysie Pauli Kunde nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek przecięły się jej drogi z Laurą. Andy nie przychodził do głowy żaden punkt, w którym feminizm pokryłby się z logopedią. Laura raczej wyśmiałaby starą hipiskę, niż zawarła z nią przyjaźń. Dlaczego więc w trakcie tortur zareagowała akurat na to nazwisko?

- Przepraszam, moja droga - bibliotekarka uśmiechnęła się do Andy - ale prosimy, byś nie piła kawy obok komputerów. - Skinęła głową w stronę staruszka, który gromił Andy wzrokiem znad swojego kubka z parującą kawą. - Przepisy obowiązują wszystkich.

- Przepraszam - powiedziała Andy, ponieważ w jej naturze leżało przepraszanie za wszystko dookoła. - I tak już wychodziłam.

- Och, nie musi pani - mitygowała się bibliotekarka, ale Andy już wstała z krzesła.

- Przepraszam - powtórzyła, wkładając do kieszeni zapiski na temat trasy do Idaho. Wychodząc, posłała starszemu mężczyźnie uśmiech, ale nie odwzajemnił się tym samym.

Po wyjściu na zewnątrz zamknęła oczy porażona jaskrawym słońcem. Musiała jak najszybciej znaleźć okulary przeciwsłoneczne, by ochronić wzrok przed oślepiającym blaskiem. Uznała, że najlepiej pójść do Walmartu. Prócz okularów musiała kupić kilka podstawowych rzeczy: bieliznę, dzinsy, T-shirt i może jakąś kurtkę na wypadek, gdyby o tej porze roku w Idaho panował chłód.

Nagle stanęła jak wryta. Kolana się pod nią ugięły.

Ktoś zaglądał do środka SUV-a. Nie zerkał odruchowo, przechodząc obok, lecz przytknął dłonie do szyby w taki sam sposób, jak Kaptur do drzwi garażu kilka godzin wcześniej. Mężczyzna miał na głowie niebieską bejsbolówkę, a na sobie dzinsy i biały T-shirt. Twarz skrywała się w cieniu daszka.

Andy czuła, że krzyk więźnie jej w gardle. Serce tłukło się w piersi, gdy zaczęła się cofać. To było głupie, ponieważ nieznajomy w każdej chwili mógł się odwrócić i ją zobaczyć. Ale tego nie zrobił, nawet kiedy Andy pomknęła jak strzała za budynek biblioteki. Siłą woli powstrzymywała się od krzyku.

Biegła w stronę lasu, gorączkowo usiłując przypomnieć sobie obraz z Google Earth: liceum za biblioteką, rzędy magazynów w postaci długich metalowych baraków. Ulgę na widok wysokiego ogrodzenia wokół szkolnego boiska zakłóciła tylko obawa, że jest śledzona. Z każdym krokiem usiłowała wyperswadować sobie tę paranoiczną myśl. Facet w bejsbolówce wcale jej nie widział. A nawet jeśli ją widział, nie miało to znaczenia. Czarny SUV był porządnym samochodem i może facet chciał kupić taki model. A może sprawdzał, jak można się do niego włamać. A może szukał Andy.

„Myślisz, że można mnie przestraszyć?”.

„Zależy, jak bardzo kochasz swoją córkę”.

W biurze magazynu nie paliło się światło. Napis na drzwiach informował ZAMKNIĘTE. Siatka otaczająca teren magazynowy była jeszcze wyższa niż ogrodzenie wokół boiska. Parterowe budynki z rzędami roletowych metalowych drzwi nasuwały skojarzenia ze scenerią z filmu *Mad Max*. Brama wjazdowa znajdowała się na podjeździe. Klawiatura była umieszczona na wysokości szyby auta, ale zamiast przycisków z cyframi miała czarny plastikowy kwadrat z czerwonym światełkiem.

Andy rozpięła kosmetyczkę, wyjęła białą kartę magnetyczną bez napisów i przytknęła ją do czarnego kwadratu. W miejsce czerwonego światełka zapaliło się zielone.

Brama otworzyła się ze szczękiem.

Andy zamknęła oczy. Próbowwała opanować nerwy. Miała prawo tu być. Miała kartę magnetyczną. Miała numer magazynu. Miała klucz.

Mimo to wchodziła między magazyny na miękkich nogach. W przechowalni numer jeden-dwadzieścia znajdzie odpowiedzi. Dowie się czegoś o swojej matce. Może czegoś, o czym wcale nie chciałyby wiedzieć. Czego Laura nie chciała ujawniać aż do teraz, ponieważ Oni wpadli na jej trop.

Andy otarła pot z karku. Obejrzała się za siebie. Chciała sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi, jednak nie mogła zyskać absolutnej pewności, że jest bezpieczna. Kompleks magazynów zajmował ogromną powierzchnię. Naliczyła przynajmniej dziesięć budynków, każdy o długości mniej więcej piętnastu metrów z rolowanymi drzwiami przypominającymi brudne zęby. Szła za znakami, aż znalazła budynek oznaczony numerem sto. Tam zagłębiła się w aleję, aż dotarła do magazynu numer jeden-dwadzieścia.

Data jej urodzin.

Nie ta, którą znała przez całe życie, lecz ta, którą Laura podała jej jako prawdziwą.

- Jezu - syknęła.

Nie była już pewna, co jest prawdą, a co nie.

Kłódka wyglądała na nową, a przynajmniej nie była tak zardzewiała jak pozostałe. Andy wyjęła z kosmetyczki mały kluczyk. Nie mogła opanować drżenia rąk, gdy wkładała go do zamka kłódki.

Zapach był pierwszą rzeczą, na jaką zwróciła uwagę.

W powietrzu wisiała woń jakiegoś środka czystości. Betonowa podłoga wyglądała, jakby ktoś niedawno polał ją wodą. W kątach nie było ani jednej pajęczyny. Na ścianach żadnych śladów palców. Z tyłu stał rząd pustych regałów z płyt wiórowych. Pod ścianą w jednym z kątów stało niewielkie metalowe biurko z lampką.

Centralne miejsce zajmowało granatowe kombi.

Andy znalazła włącznik światła i opuściła drzwi. W jednej chwili zlała się potem, ponieważ w środku zrobiło się duszno. Pomyślała jednak o nieznanym zagląającym do auta - należącego nie do niej, lecz do martwego mężczyzny - i uznała, że nie ma wyjścia.

Najpierw sprawdziła auto. Było takie kanciaste, że przypominało pojazd Freda Flinstone'a. Lakier był w idealnym stanie. Opony wyglądały na zupełnie nowe. Z nalepki na przedniej szybie wynikało, że olej został wymieniony cztery miesiące temu. Jak reszta przedmiotów w magazynie, wóz nie był ani zakurzony, ani brudny. Równie dobrze mogłby stać w salonie samochodowym.

Zajrzała do środka przez otwarte okno od strony kierowcy. Okna otwierały się i zamykały na korbkę. Winyłowe siedzenia miały kolor granatowy i tworzyły jedną długą ławkę, bez centralnej konsoli. Radio miało duże białe przyciski. Zobaczyła srebrne pokrętła i suwaki. Dźwignia zmiany biegów znajdowała się na kierownicy. Płaskie części deski rozdzielczej pokrywały naklejki imitujące drewno. Licznik wskazywał zaledwie trzydzieści pięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt cztery kilometry przebiegu.

Nie rozpoznała logo na kierownicy - gwiazdy wpisanej w pięciokąt - ale na boku auta widniały wypukłe metalowe litery tworzące napis RELIANT K FRONT WHEEL DRIVE.

Przeszła na drugą stronę, otworzyła schowek w desce rozdzielczej i odskoczyła jak oparzona. Ze środka wypadł rewolwer. Taki sam, z jakiego Jonah Helsinger mierzył do Laury. W miejscu, skąd usunięto numer seryjny, miał wyraźne zadrapania. Patrzyła na paskudnie wyglądającą broń i czekała w napięciu, spodziewając się jakiegoś samoistnego strzału.

Rewolwer nie wystrzelił.

Znalazła podręcznik użytkownika samochodu.

To był model 1989 Plymouth Reliant SE Wagon.

Zaczęła przewracać strony podręcznika. Miał przestarzałą grafikę, ilustracje rozmieszczane ręcznie. Dwudziestodziewięcioletni samochód z minimalnym przebiegiem. Dwa lata młodszy od niej. Trzymany w miejscu, o którym nie miała pojęcia, w miasteczku, o którym nigdy nie słyszała, aż wreszcie matka kazała jej tu przyjechać.

Tyle pytań.

Chciała obejść auto od tyłu, ale nagle stanęła. Odwróciła się i na palcach podeszła do zamkniętych drzwi. Nasłuchiwała. Chciała się upewnić, że po drugiej stronie nie stoi żadne auto ani człowiek. Wiedziona niemal paranoicznym lękiem, położyła się na brzuchu i wyjrzała przez szparę na dole.

Pusto.

Wstała. Wytarła dłonie w szorty i obeszyła auto, by sprawdzić tablice rejestracyjne.

Kanada. Tablica była równie kanciasta jak samochód. Niebieskie napisy na białym tle z koroną w przerwie między literami i cyframi. Na dole hasło YOURS TO DISCOVER. Na plakietce ekologicznej widniał napis 18 GRU, co oznaczało, że rejestracja nie straciła ważności.

Andy wiedziała z pracy w policyjnej dyspozytorni, że Krajowe Centrum Informacji o Przestępstwach współpracuje

z kanadyjskim odpowiednikiem. Rzecz polegała na tym, że system sprawdzał jedynie informacje o skradzionych autach. Jeśli policjant zatrzyma to auto, będzie mógł tylko sprawdzić, czy nazwisko właściciela pojazdu zgadza się z danymi w prawie jazdy kierowcy.

Co oznaczało, że przez dwadzieścia dziewięć lat Laura ukrywała przed światem niewykrywalny samochód.

Nie tylko przed światem. Przed Andy też.

Otworzyła drzwi bagażnika. Mechanizm pracował bezszelestnie. Zwinęła winylową przegrodę osłaniającą luk bagażowy. Zobaczyła granatowy śpiwór, poduszkę, pustą lodówkę turystyczną, opakowanie kabanosów, skrzynkę wody, białą torbę plażową z książkami w broszurowej oprawie, bateriami, latarką i apteczką.

Pod tym wszystkim leżała jasnoniebieska walizka marki Samsonite. Była ze sztucznej skóry i ze złotymi zamkami, w rozmiarze bagażu podręcznego. Bez kółek, czyli do noszenia w ręku. Miała dwie komory. Andy zajrzała najpierw do górnej i znalazła trzy pary dżinsów, trzy pary jedwabnych majtek, pasujące do nich trzy biustonosze, trzy pary skarpetek, trzy białe koszule na guziki z koźmi do polo oraz brązową kurtkę marki Members Only.

Żadnej z tych rzeczy Laura raczej by nie nosiła. Może o to chodziło. Andy zdjęła szorty i włożyła majtki. Wolą bawełnę, ale wszystko było lepsze niż szorty. Dżinsy okazały się za luźne w pasie, ale w tej sytuacji nie miała prawa narzekać. Wyjęła z kosmetyczki dwudziestki i wsunęła je do tylnej kieszeni spodni. Zdjęła przykrótki T-shirt i włożyła koszulę, ale nie zmieniła biustonosza. Laura nosiła dwa rozmiary większy. Przynajmniej kiedyś tak było.

To oznaczało, że spakowała tę torbę, zanim trzy lata temu

zdiagnozowano u niej raka piersi.

Andy odwróciła walizkę i otworzyła drugą część.

Jasna cholera!

Kupa pieniędzy. Znowu dwudziestki. Każdy plik owinięty paskiem lawendowego papieru z zapisaną kwotą: dwa tysiące dolarów. Wzór banknotu wyglądał na stary, jeszcze sprzed wprowadzenia wszystkich zabezpieczeń. Andy przeliczyła pliki. Dziesięć na długość, trzy na szerokość, cztery na wysokość.

Dwieście czterdzieści tysięcy dolarów.

Zapięła torbę, opuściła winylową osłonę i zamknęła bagażnik.

Przez chwilę stała oparta o samochód. Miała mętlik w głowie. Czy warto łamać sobie głowę, szukając odpowiedzi na pytanie, skąd Laura miała tyle pieniędzy? Lepiej by jej poszły rozważania na temat populacji jednorożców na świecie.

Na półkach za autem były tylko dwa pojemniki z wybielaczem, szczotka ryżowa i stosik złożonych białych ścierek. W rogu stały odwrócony mop i miotła. Andy przejechała dłonią po półkach. Ani śladu kurzu. Laura, która nie była maniaczką porządków, wyszorowała to miejsce do czysta.

Dlaczego?

Andy usiadła przy biurku w rogu, włączyła lampkę i zajrzała do szuflad. Były tam pudełko z długopisami, dwa ołówki, brulion, skórzane etui na dokumenty oraz kluczyki do auta. Szuflada na dokumenty była wypełniona pustymi teczkami. Andy przesunęła je i sięgnęła w głąb. Znalazła niewielkie pudełko na buty z przykrywką.

Postawiła pudełko na biurku.

Otworzyła etui. W środku były dwie przegródki. W jednej był dokument wystawiony w prowincji Ontario, potwierdzający rejestrację samochodu Plymouth Reliant 1989. Według

dokumentu właścicielką wozu była niejaka Daniela Barbara Cooper. Rejestracja nastąpiła dwudziestego sierpnia – w dniu, który Andy uważała za datę swoich urodzin – tyle że dwa lata po jej przyjściu na świat. W rogu dokumentu był przyczepiony dowód przedłużenia ważności numeru rejestracyjnego. Z wydruku wynikało, że nastąpiło to dwunastego maja dwa tysiące siedemnastego roku.

Ubiegły rok.

Andy nie miała pod ręką kalendarza, by potwierdzić swoje przypuszczenia, ale to musiało być w okolicach Dnia Matki. Próbowała odwołać się do własnej pamięci. Czy odebrała Laurę z lotniska, a potem zabrała ją na lunch? A może to było rok wcześniej? Laura niezbyt często opuszczała Belle Isle, ale przynajmniej raz w roku brała udział w konferencji naukowej. Tak było, odkąd Andy sięgała pamięcią. Nigdy nie zadawała sobie trudu, żeby sprawdzać terminy tych wydarzeń, bo niby po co miałyby to robić?

Wiedziała natomiast, że te coroczne pielgrzymki są dla matki bardzo ważne. Nawet kiedy ledwie żyła po chemioterapii, wymusiła na Andy, by odwiozła ją na lotnisko w Savannah, bo koniecznie musiała uczestniczyć w konferencji logopedów w Houston.

Tylko czy naprawdę poleciała wtedy do Houston? Może opuściła konferencję i pojechała do Austin na spotkanie ze starą znajomą Paulą Kunde?

Odwożąc matkę na lotnisko, Andy nie miała pojęcia, dokąd tak naprawdę poleciała Laura.

Zajrzała do drugiej przegródki i zobaczyła dwie laminowane karty. Pierwszą było jasnoniebieskie prawo jazdy z Ontario w Kanadzie rozszerzone o funkcję paszportu.

To oznaczało, że prawo jazdy może służyć jako dokument

podróżny przy przekraczaniu granicy między Kanadą a USA drogą lądową lub wodną. Nie można było na ten dokument polecieć do Kanady, ale pojechać samochodem jak najbardziej.

Fotografia przedstawiała Laurę przed chorobą, która odebrała krągłość jej policzkom. Dokument był ważny do dwa tysiące dwudziestego czwartego roku. Laura figurowała w nim pod takim samym nazwiskiem, jak na dokumencie potwierdzającym własność kanciastego kombi, czyli Daniela Barbara Cooper urodzona piętnastego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku. Tu pojawiała się rozbieżność, ponieważ Laura urodziła się dziewiątego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Tylko jakie to miało znaczenie, skoro Andy wiedziała, że matka i tak nie mieszka pod numerem dwudziestym przy Adelaide Street West 22 w Toronto w prowincji Ontario.

D.B. Cooper.

Zastanawiała się, czy to żart, ale wzięwszy pod uwagę fakt, gdzie się znalazła, przypuszczenie, że to Laura jest sławnym rabusiem, który wyskoczył z samolotu ze spadochronem i setkami tysięcy dolarów, po czym zniknął bez śladu, wcale nie było takie głupie.

Tyle że D.B. Cooper był mężczyzną, a w latach siedemdziesiątych Laura była dziewczynką, potem nastolatką.

„Był siedemdziesiąty siódmy rok. Miałam czternaście lat. Wolałam Roda Stewarta niż Elvisa”.

Andy wyjęła drugą kartę. Też pochodziła z Ontario. I też była wydana na nazwisko Danieli Cooper z tą samą datą urodzenia co prawo jazdy. Znajdował się na niej napis HEALTH • SANTE. Andy uczyła się w szkole hiszpańskiego. Nie miała pojęcia, co znaczy *sante*, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego matka nie skorzystała z kanadyjskiego systemu ubezpieczeniowego, tylko

wydała większość funduszu emerytalnego na terapię onkologiczną w Stanach.

W końcu przyszedł czas na zajrzenie do pudełka po butach z logo marki Thom McAn. Było zaklejone taśmą i ukryte w głębokiej szufladzie w tajemnym magazynie. Było małe, zdecydowanie za małe na buty dla dorosłych. Kiedy Andy była dzieckiem, przed rozpoczęciem roku szkolnego Laura zawsze zabierała ją do centrum handlowego w Charleston po buty.

Zawartość pudełka była lekka, ale Andy czuła, jakby trzymała w dłoniach bombę. A może raczej puszkę Pandory kryjącą wszelkie zło świata Laury. Andy знаła ciąg dalszy tego mitu. Kiedy raz wypuściło się z puszki Pandory wszelkie nieszczęścia, ludziom pozostała już tylko nadzieja. Andy wątpiła jednak, by cokolwiek w pudełku przyniosło jej nadzieję.

Klej od spodu wysechł i zamienił się w proszek, więc bez problemu usunęła taśmę i zdjęła pokrywkę.

Zobaczyła zdjęcia. Było ich niewiele, niektóre czarno-białe, niektóre w kolorze, ale wyblakłe. Obwiązany gumką plik zdjęć zrobionych polaroidem. Po nie sięgnęła w pierwszej kolejności, ponieważ nigdy nie widziała matki tak młodej.

Sparciała gumka pękła jej w rękach.

Kiedy zrobiono te zdjęcia, Laura musiała mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. Jej wygląd był kwintesencją stylu lat osiemdziesiątych. Niebieskie cienie do powiek, różowa szminka, mocny róż podkreślający kości policzkowe i upodabniający je do ptasich skrzydeł. Ani śladu naturalnych brązowych włosów. Na głowie wściekły blond i przesadna trwałość. Gigantyczne poduszki wypychały ramiona białego swetra z krótkimi rękawami. Wyglądała jak wyjęta z serialu *Dallas*.

Jedynym powodem, dla którego Andy nie uśmiechnęła się na

widok Laury w takiej wersji, był fakt, że na tym zdjęciu jej matka była pobita.

Lewe oko zniknęło pod opuchlizną. Nos był skrzywiony. Na szyi widniały siniaki. Patrzyła wprost w obiektyw z twarzą pozbawioną wyrazu. Była kimś innym i przebywała gdzie indziej, podczas gdy ktoś dokumentował jej obrażenia.

Andy знаła ten wzrok.

Spojrzała na drugie zdjęcie. Podciągnięty biały sweter odsłaniał sińce na brzuchu Laury. Następne zdjęcie pokazywało głęboką ranę po wewnętrznej stronie uda.

Andy widziała tę straszną bliznę podczas jednego z pobytów Laury w szpitalu. Długa na jakieś siedem centymetrów, różowa i poszarpana na brzegach mimo upływu lat. Na jej widok mimowolnie coś wykrzyknęła.

- Jazda na łyżwach - oznajmiła Laura, przewracając oczami, jakby te trzy słowa wyjaśniały wszystko.

Andy wzięła do ręki następny plik zdjęć, wstrząsających o tyle, że kłóciły się z poprzednimi. Nie były robione polaroidem, lecz normalnym aparatem, i przedstawiały brzdąca w różowych zimowych ubrankach. Na odwrocie była data: czwarty stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Na zdjęciach mała dziewczynka tarza się w śniegu, rzuca śnieżkami, robi orły, lepi bałwana, potem niszczy bałwana. Czasem w kadr częściowo wkraczała osoba dorosła, były to fragmenty ręki czy nogi wystające spod ciężkiego wełnianego płaszcza.

W tym brzdącu Andy rozpoznała siebie. Od zawsze miała charakterystyczny migdałowy kształt oczu. Tę cechę odziedziczyła po matce.

Według daty na odwrocie miała wtedy prawie dwa lata. W tym samym czasie mieszkały w Athens, a Laura robiła

doktorat na Uniwersytecie Stanowym Georgii.

Takiego śniegu w Athens nie było. A już zwłaszcza nie w Belle Isle. Andy nie pamiętała, by kiedykolwiek jeździła z matką na północ, Laura nigdy też o tym nie wspominała. Kiedy Andy oznajmiła, że chce się przenieść do Nowego Jorku, pierwsze słowa Laury brzmiały:

- Och, skarbie, nigdy dotąd nie byłeś tak daleko od domu.

Dwa ostatnie zdjęcia w pudełku były spięte spinaczem do papieru.

Phil i Laverne Randallowie, rodzice jej biologicznego ojca, siedzieli na kanapie. Za nimi, na ścianie wyłożonej drewnem, wisiał obraz przedstawiający plażę. W wyrazie ich twarzy, w pozie, nawet w cieniu rzucanym przez stojącą lampę było coś znajomego.

Usunęła spinacz, by obejrzeć drugie zdjęcie.

Ci sami ludzie, ten sam wyraz twarzy, ta sama poza, te same cienie - tyle że tym razem Andy, mająca może pół roku, siedzi jednocześnie na kolanie Phila i kolanie Laverne.

Przeciągnęła palcem po wyraźnym obrysie swojej niemowlęcej sylwetki.

W szkole uczyła się używać Photoshopa między innymi do nakładania jednego zdjęcia na drugie. Zapomniała, że przed nastaniem ery komputerów ludzie ręcznie przerabiali fotografie. Należało precyzyjnym nożykiem wyciąć kogoś lub coś ze zdjęcia, posmarować spód klejem montażowym, potem umieścić wycięty fragment na innym zdjęciu.

Jeśli efekt był zadowalający, trzeba było zrobić zdjęcie nałożonych na siebie elementów. Nawet to nie gwarantowało powodzenia. Cienie mogły ułożyć się źle, sylwetki wyglądać nienaturalnie. Cały proces wymagał precyzji i cierpliwości.

Co czyniło umiejętności Laury jeszcze bardziej godnymi

podziwu.

Mając jedenaście, dwanaście lat, Andy często wpatrywała się tęsknie w zdjęcie dziadków Randallów. Zwykle wściekała się wtedy na Laurę, a co gorsza - na Gordona. Czasem analizowała ich rysy, starając się odgadnąć, dlaczego przedłożyli własną nienawiść i bigoterię nad kontakty z jedynym dzieckiem ich zmarłego syna.

Nigdy nie skupiała się na tej części zdjęcia, na której była ona jako niemowlę. A szkoda, bo wystarczyła pobieżna analiza, by stwierdzić, że wcale nie siedzi na kolanach obojga Randallów.

Ona nad ich kolanami wisiała.

Randallowie rasiści byli trudnym tematem, którego Andy nie poruszała w rozmowach z matką, tak jak nie dotykała tematu rodziców Laury - Anne i Boba Mitchellów - którzy zmarli przed narodzinami wnuczki. Nie pytała też o Jerry'ego Randalla, swojego ojca, który zginął w wypadku samochodowym zbyt wcześnie, by mogła utrwalić w dziecięcej pamięci wspomnienie o nim. Nigdy nie odwiedziły jego grobu w Chicago. Nigdy nie były na jakimkolwiek grobie.

- Spotkajmy się w Providence - zaproponowała matce, gdy od paru miesięcy mieszkała w Nowym Jorku. - Pokażesz mi, gdzie dorastałaś.

- Och, skarbie - westchnęła Laura - nikt nie chce jeździć na Rhode Island. Poza tym to było tak dawno, że już nie pamiętam tych miejsc.

W domu było pełno zdjęć, od pieszych wędrówek i wyjazdów do Disney World, po pikniki na plaży i pierwsze dni szkoły. Laura była zaledwie na kilku, ponieważ nie znosiła się fotografować. Nie było żadnego jej zdjęcia sprzed narodzin Andy. Laura miała tylko jedną fotografię Jerry'ego Randalla. Tę

samą Andy znalazła w Internecie w dziale nekrologów *Chicago Sun Times*:

Jerome Phillip Randall, lat dwadzieścia osiem, optometrysta i zagorzały kibic Chicago Bears; pozostawił córkę Andreę oraz rodziców Laverne i Phillipa.

Andy widziała też inne dokumenty. Akt urodzenia ojca, świadectwo zgonu, oba wydane w hrabstwie Cook w stanie Illinois. Różne dyplomy Laury, jej akt urodzenia z Rhode Island, jej kartę z numerem ubezpieczenia społecznego, jej prawo jazdy. Akt urodzenia Andrei Eloise Mitchell z datą dwudziestego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Akt własności domu w Belle Isle. Kartę szczepień. Wyciągi bankowe. Wyciągi z karty kredytowej.

Prawo jazdy Danieli Barbary Cooper. Dowód rejestracji auta z Ontario. Karta ubezpieczenia zdrowotnego. Kombi z bronią w schowku i gotówka w bagażniku czekające w magazynie w nieznanym miasteczku.

Kosmetyczka ukryta w kanapie w gabinecie Laury. Kluczyk do kłódki ukryty za oprawionym zdjęciem Andy.

„Wszystko, co robiłam, robiłam dla ciebie, Andreo Heloise. Wszystko”.

Andy rozłożyła na biurku zdjęcia matki zrobione polaroidem. Rana na nodze. Podbite oko. Pokryta sińcami szyja. Brzuch ze śladami ciosów pięści. Złamany nos.

Kawałki kobiety, której nie знаła.

26 LIPCA 1986

Próbowali nas zakopać.

Nie wiedzieli, że jesteśmy nasionami.

Przysłowie meksykańskie

Dzieci Martina Quellera były zepsute w typowo amerykański sposób. Za dużo pieniędzy. Za dużo wykształcenia. Za dużo podróży. Za dużo wszystkiego. A nadmiar rzeczy pozostawił w nich pustkę.

Dla Laury Juneau szczególnie przykra była obserwacja córki. Jej ukradkowych spojrzeń rzucanych po sali. Nerwowego przebierania palcami nad niewidzialną klawiaturą. Ta widoma potrzeba funkcjonowania w ciągłym kontakcie przypominała jej ośmiornicę na ślepo wyciągającą ramiona w poszukiwaniu pożywienia.

Co do syna, to miał urok osobisty, a czarującemu mężczyźnie wiele się wybacza.

- Proszę pani? - Policjant był wysoki i szczupły. Karabin wiszący na jego piersi przypomniał Laurze ulubioną zabawkę jej najmłodszego syna. - Czy pani zapodziała swoją plakietkę?

Laura rzuciła mu spojrzenie pełne skruchy, opierając się na lasce i pochylając nieco ku niemu.

- Chciałam się zarejestrować przed swoim panelem dyskusyjnym - wyjaśniła.

- Zaprowadzić panią?

Nie zostawił jej wyboru, musiała pójść za nim. Dodatkowe środki ostrożności były oczywiste dla wszystkich i nie zostały wprowadzone bez powodu. Protestujący pikietowali przed centrum konferencyjnym w Oslo. Tworzyli jak zwykle barwną mieszankę anarchistów, antyfaszystów, skinheadów i zadymiarzy uzupełnioną przez pakistańskich imigrantów wściekłych na zmianę w norweskiej polityce imigracyjnej. Niepokój przeniósł się też do elit politycznych, gdzie wciąż były

żywe podejrzenia związane z procesem Arne Treholta z ubiegłego roku. Były polityk Partii Pracy odsiadywał dwudziestoletni wyrok za zdradę i szpiegostwo. Niektórzy wierzyli, że Rosjanie umieścili więcej szpiegów w norweskim rządzie. Obawiano się nawet, że KGB rozciągnęło swoje macki na całą Skandynawię.

Policjant zerknął za siebie, by się upewnić, że Laura idzie za nim. Laska spowalniała tempo, ale Laura miała czterdzieści trzy lata, nie dziewięćdziesiąt trzy. Mimo to policjant robił dla niej miejsce pośród tłumu starych nudziarzy w kanciastych garniturach, z identyfikatorami z nazwiskiem, narodowością i obszarem kompetencji. Zgodnie z oczekiwaniami na konferencji zjawili się potomkowie fundatorów najlepszych uczelni – MIT-u, Harvardu, Princeton, Caltechu, Stanforda – oraz pozostali podejrzani: Exxon, Tenneco, Eastman Kodak, Raytheon, DuPont, i w uznaniu wagi tego wydarzenia główny mówca Lee Iacocca, przedstawiciel ścisłego kierownictwa Chrysler Motor Company.

Stanowisko do rejestracji znajdowało się pod wielkim banerem z napisem WITAMY NA KONFERENCJI GKFB. Jak wszystko w Globalnym Konsorcjum Finansowo-Biznesowym, napis był w wersji angielskiej, francuskiej, niemieckiej i – przez wzgląd na gospodarzy konferencji – norweskiej.

– Dziękuję – powiedziała Laura, ale policjant nie ruszył się z miejsca. Uśmiechnęła się do kobiety przy stole i wygłosiła dobrze przeciwiczone kłamstwo: – Jestem doktor Alex Maplecroft z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley.

Kobieta przewertowała katalog i wyjęła kartę z danymi uwierzytelniającymi. Laura spodziewała się, że zaraz dostanie identyfikator, ale zamiast tego usłyszała:

– Proszę o dokument tożsamości.

Oparła laskę o stolik, otworzyła torebkę i wyjęła portfel. Siłą woli starała się opanować drżenie palców.

To też ćwiczyła. Nie w praktyce, ale w wyobraźni przećwiczyła każdy kolejny kadr tej sceny. Podchodzi do stolika, gdzie odbywa się rejestracja uczestników, wyjmuje portfel i pokazuje fałszywy dowód tożsamości na nazwisko Alexandry Maplecroft, profesorki ekonomii, i mówi: „Przepraszam, ale może się pani pośpieszyć? Mój panel dyskusyjny zaczyna się za kilka minut”.

Lecz w realu zamiast tego usłyszała:

- Proszę pani, czy może pani wyjąć dowód z portfela? - Kobieta siedząca za stołem patrzyła nie w oczy Laury, lecz na jej włosy.

Takiej drobiazgowej kontroli się nie spodziewała. Znowu poczuła drżenie rąk, gdy usiłowała wyjąć kartę z plastikowej osłonki. Według fałszerza w Toronto dokument był bez zarzutu, ale przecież facet żył z oszustwa. Co, jeśli ta kobieta znajdzie jakiś błąd w dokumencie? Co, jeśli zdjęcie prawdziwej Alex Maplecroft znajduje się w materiałach kontrolnych i ta kobieta zrobi z tego użytek? Czy policjant wywlecze stąd Laurę w kajdankach? Czy ostatnie pół roku, niemal w całości poświęcone na tworzenie drobiazgowego planu, pójdzie na marne z powodu nadgorliwości w kontroli dokumentów?

- Doktor Maplecroft! - Wszyscy odwrócili się, by zlokalizować źródło okrzyku. - Andrew, poznaj doktor Maplecroft!

Laura od zawsze wiedziała, że oszałamiająco przystojny Nicholas Harp robi piorunujące wrażenie. Recepcjonistka/kontrolerka aż westchnęła, gdy do nich podszedł.

- Doktor Maplecroft, jak miło znów panią widzieć. - Nick ujął

jej rękę w obie dłonie i uścisnął na powitanie. Puścił do niej oko, by ją uspokoić, ale Laurze nie przyniosło to otuchy. – Byłem na pani zajęciach z ekonomii w Berkeley. „Nierówności rasowe i płciowe w gospodarkach Zachodu”. W końcu sobie przypomniałem tytuł tego cyklu wykładów.

– Tak. – Laurę zawsze zaskakiwała łatwość, z jaką Nickowi przychodziły kłamstwa. – Miło znowu pana widzieć, panie...

– Harp. Nicholas Harp. Andrew! – Nick machnął do innego młodego mężczyzny, też przystojniaka, ale nie aż takiego jak on. Podobnie ubranego w spodnie typu chino i jasnoniebieską koszulę z przypinanym kołnierzykiem. Obaj wyglądali jak przyszli kapitanowie biznesu. Mieli starannie ułożone włosy w naturalny sposób rozjaśnione słońcem i zdrową opalenizną, postawione kołnierzyki i mokasyny na bosych stopach. – Andy, pośpiesz się. Doktor Maplecroft nie ma czasu.

Andrew Queller wyglądał na zdenerwowanego. Laura rozumiała powód tych emocji. Plan zakładał, że będą trzymać się oddzielnie i pozostaną anonimowi. Andrew zerknął na dziewczynę siedzącą za stołem i w tym momencie chyba zrozumiał, dlaczego Nick zaryzykował wyjście z ukrycia.

– Doktor Maplecroft, bierze pani udział w panelu mojego ojca o drugiej, prawda? „Społeczno-polityczne konsekwencje Poprawki Quellera”.

– Tak, zgadza się. – Laura usiłowała nadać swojemu głosowi naturalne brzmienie. – Andrew, syn Martina?

– Przyznaję się do winy. – Andrew posłał recepcjonistce czarujący uśmiech. – Czyżby pojawił się jakiś problem, proszę pani?

Jego prawo do takiego pytania było oczywiste. Kobieta wręczyła Laurze identyfikator doktor Alex Maplecroft i tym sposobem oficjalnie potwierdziła jej tożsamość.

- Dziękuję. - Nick skinął głową dziewczynie, która pokraśniała z wrażenia.

- Ja też dziękuję. - Laura sprawnie przypięła plakietkę do granatowej marynarki.

- Do widzenia pani. - Policjant skinął jej głową i odszedł.

Laura sięgnęła po laskę. Chciała jak najprędzej odejść od stolika.

- Nie tak szybko, doktor Maplecroft. - Nick, urodzony showman, klasnął w dłonie. - Co pani powie na drinka?

- Jeszcze wcześniej - odparła Laura, chociaż potrzebowała czegoś na ukojenie nerwów. - W sumie to nie wiem, która godzina.

- Dochodzi pierwsza - oznajmił Andrew. Chusteczką wytarł zaczerwieniony nos. - Przepraszam, ale przeziębilem się w samolocie.

Uśmiechając się do niego, Laura próbowała nie okazać smutku. Od początku miała ochotę mu matkować.

- Poszukaj gorącej zupy - powiedziała.

- Poszukam. - Włożył chusteczkę do kieszeni. - Widzimy się za godzinę, tak? Panel odbywa się w Sali Raufoss. Powiedzieli ojcu, żeby przyszedł dziesięć minut przed czasem.

- Może zechce się pani odświeżyć. - Nick wskazał głową drzwi damskiej toalety. Oszustwo go kręciło. - Ciekawe, że w ogóle ją otworzyli, doktor Maplecroft. Wszystkie żony wybrały się na zakupy do Storo. Wygląda na to, że jest pani jedyną kobietą prelegentką na konferencji.

- Nick, jest cienka granica między sprytem a głupotą - wtrącił Andrew.

- Au, stary. Wiem, że czas się zmywać, kiedy zaczynasz cytować *Oto Spinal Tap*. - Nick na odchodnym znowu puścił oko do Laury, a potem dał się odciągnąć Andrew.

Starsi mężczyźni w garniturach odwracali głowy, gdy mijały ich dwa młode byczki, przed którymi świat stał otworem.

Laura zasznurowała wargi i zrobiła płytki wdech nosem. Próbując odzyskać spokój, udała, że szuka czegoś w torebce.

W obecności Nicka i Andrew wspominała swojego najstarszego syna. David Juneau miał szesnaście lat, kiedy został zamordowany. Meszek na jego brodzie zaczął przypominać zarost. Ojciec zdążył mu już pokazać przed lustrem w łazience, ile pianki do golenia używać, jak prowadzić żyłkę w dół policzka, a jak po szyi. Laura ciągle pamiętała, jak tamtego rześkiego jesiennego poranka – który był ich ostatnim – słońce igrało na rzadkich włoskach na brodzie Davida, gdy nalewał sobie do szklanki soku pomarańczowego.

- Doktor Maplecroft? – Męski głos brzmiał niepewnie, samogłoski miały charakterystyczny skandynawski rys. – Doktor Alex Maplecroft?

Laura poszukała wzrokiem Nicka z nadzieją na ratunek z kolejnej opresji.

- Doktor Maplecroft? – Skandynaw musiał się upewnić, że zwraca się do właściwej osoby. Nic tak nie poświadcza tożsamości jak plakietka uczestnika konferencji. – Profesor Jacob Brundstad z Norges Handelshøyskole – przedstawił się. – Chciałbym przedyskutować z panią...

- Miło mi pana poznać, profesorze Brundstad. – Laura zdecydowanie uściśnęła mu dłoń. – Możemy porozmawiać po moim panelu? Została niecała godzina, muszę uporządkować notatki. Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe.

Profesor Brundstad był za dobrze wychowany, by polemizować z tym argumentem.

- Oczywiście.

- Bardzo się cieszę. Do zobaczenia po panelu – powiedziała

Laura i wspierając się na lasce, odwróciła się na pięcie.

Wmieszała się w tłum siwowłosych mężczyzn z fajkami i papierosami, teczkami i dokumentami w rękach. Było oczywiste, że przyciągnie ich spojrzenia. Szła przed siebie z wysoko uniesioną głową. Analizowała postać doktor Maplecroft na tyle długo, że poznała jej legendarną arogancję. Obserwowała ją, siedząc na końcu zajętej do ostatniego miejsca sali wykładowej, gdy poniewierała mniej pojętnymi studentami. Słyszała, jak beszta kolegów i koleżanki po fachu za zbyt wolne dochodzenie do sedna.

A może to nie była arogancja, tylko mur, jaki Maplecroft wzniosła wokół siebie w obronie przed spojrzeniami gniewnych mężczyzn. Nick miał rację, gdy mówił, że sławna profesor ekonomii jest jedyną kobietą dopuszczoną do grona mówców na konferencji. Oskarżycielski wzrok i nieme pretensje pod jej adresem: „Dlaczego ta kelnerka nie ma na sobie uniformu? Dlaczego nie opróżnia popielniczek?” – były więcej niż pewne.

Laura zawahała się. Szła wprost na ścianę z plakatem reklamującym specjalne loty linii Eastern Airline. Czując na sobie wzrok tyłu par oczu, nie mogła zawrócić. Skręciła ostro w prawo i stanęła pod przeszklonymi drzwiami prowadzącymi do baru.

Na szczęście dla niej były otwarte.

W barze unosiła się woń dymu z domieszką drogiego burbona. Nad parkietem do tańca wisiała przyciemniona dyskotekowa kula. Boksy dla gości znajdowały się na poziomie podłogi. Z sufitów zwieszały się lustra. Zegarek Laury wskazywał czas w Toronto. Pustka w barze oznaczała, że jeszcze za wcześnie na solidnego drinka.

Po dzisiejszym dniu reputacja doktor Maplecroft będzie najmniejszym z jej zmartwień.

Zajmując miejsce przy końcu baru, Laura usłyszała brzdąkanie na pianinie. Oparła łaskę o ścianę i wyjęła z torebki paczkę marlboro. Na szklanej popielniczce leżało pudełko zapalek. Zapach podpalanej płomieniem nikotyny ukoił jej skołatane nerwy.

Przez wahadłowe drzwi wyszedł zwałisty barman. Był przewiązany w pasie wykrochmalonym białym fartuchem.

- Słucham panią?

- Gin z tonikiem - powiedziała cicho, ponieważ kakofoniczne dźwięki pianina przeszły w znajomą melodię. To nie był ani Rossini, ani Grieg, lecz sekwencja energetycznych tonów.

Uśmiechnęła się, wypuszczając z ust dym.

Znała tę piosenkę z radia. Nagrał ją norweski zespół A-ha. Potem widziała zabawne wideo w formie komiksu, *Take On Me* i wariacje tych słów powtarzanych do znudzenia w takt radosnych akordów granych na syntezatorze.

Kiedy córka Laury jeszcze żyła, ten sam rodzaj cukierkowego elektropopu dobiegał regularnie z jej magnetofonu, walkmana albo spod prysznic. Każda jazda samochodem, bez względu na długość trasy, zaczynała się od tego, że Lila przełączała radio na stację The Quake. Laura nie wahała się tłumaczyć córce, dlaczego te głupie piosenki działają jej na nerwy. The Beatles, Stonesi, James Brown, Stevie Wonder. To byli prawdziwi artyści.

Nigdy nie czuła się tak stara jak wtedy, gdy Lila namówiła ją na obejrzenie wideo Madonny w MTV. Jedyne w miarę pozytywny komentarz, na jaki mogła się zdobyć, brzmiał: „Odważne z jej strony, że włożyła majtki na wierzch”.

Wyjęła z torebki paczkę chusteczek higienicznych i wytarła oczy.

- Proszę. - Barman wypowiedział to słowo jak przeprosiny

i delikatnie postawił drinka na serwetce.

- Czy mogę się przysiąść?

Widok Jane Queller wprowadził Laurę w zdumienie. Siostra Andrew była nieznajomą i taką miała pozostać. Laura nie mogła się zdradzić, że ją rozpoznała. Widziała dziewczynę na zdjęciach i z dużej odległości. Z bliska wyglądała co najmniej na dwadzieścia trzy lata. Miała niższy głos, niż Laura sobie wyobrażała.

- Proszę wybaczyć, że się narzucam. - Jane zauważyła łzy Laury. - Siedziałam tam i zastanawiałam się, czy nie za wcześnie na drinka w samotności.

Laura szybko odzyskała równowagę.

- Chyba jednak za wcześnie. Dołączy pani do mnie?

Jane wahała się przez moment.

- Jest pani pewna? - zapytała.

- Nalegam.

Jane usiadła i dała barmanowi znak, żeby podał jej to samo co Laurze.

- Jestem Jane Queller. Widziałam, jak rozmawia pani z moim bratem Andrew.

- Alex Maplecroft. - Pierwszy raz od początku tego przedsięwzięcia żałowała tego kłamstwa. - Biorę udział w panelu dyskusyjnym z twoim ojcem za - zerknęła na ścienny zegar - czterdzieści pięć minut.

Jane nieudolnie starała się ukryć reakcję na te słowa. Wzorem wielu innych rozmówców Laury powędrowała spojrzeniem ku linii jej włosów.

- Nie widziałam pani zdjęcia w katalogu konferencji.

- Nie lubię być fotografowana. - Laura słyszała to z ust samej Alex Maplecroft na wykładzie w San Francisco. Prócz skracania imienia do formy, która nie zdradzała płci, doktor

Maplecroft czuła, że ukrywanie kobiecości jest jedynym sposobem na to, by z należytą powagą traktowano jej dorobek naukowy.

- Czy ojciec kiedykolwiek spotkał się z panią osobiście? - zapytała Jane.

W uszach Laury tak sformułowane pytanie zabrzmiało dziwnie. Jane nie zapytała jej, czy spotkała Martina Quellera, tylko czy Martin Queller spotkał ją.

- Nie, nie przypominam sobie - odparła.

- W takim razie z przyjemnością wezmę udział w jednym z paneli mojego staruszka. - Jane sięgnęła po drinka, kiedy tylko barman postawił go przed nią. - Na pewno zna pani reputację mojego ojca.

- Owszem. - Laura uniosła szklaneczkę. - Masz dla mnie jakąś radę?

Jane zmarszczyła nos, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Niech pani nie słucha pierwszych pięciu słów, jakie skieruje pod pani adresem, ponieważ żadne z nich nie poprawi pani samooceny.

- To ogólna zasada w jego kontaktach z innymi?

- To motto wyryte w herbie rodzinnym.

- Przed czy po *Arbeit macht frei*?

Jane zakrztusiła się ze śmiechu ginem i wypluła go na kontuar. Serwetką wytarła blat. Jej długie szlachetne palce zupełnie nie pasowały do takiej pospolitej czynności.

- Mogę wysepić jednego? - zwróciła się do Laury.

Chodziło jej o papierosa. Laura przesunęła paczkę w jej kierunku, ostrzegając jednocześnie:

- Palenie zabija.

- To samo mówi doktor Koop - rzuciła niedbale Jane, trzymając papierosa w ustach. Otworzyła pudełko z zapałkami,

ale tak nieudolnie, że wysypała zawartość na blat. - Boże, przepraszam. - Zrobiła minę dziecka zawstydzonego własnym zachowaniem i zaczęła zbierać zapalki. - Jinx Niezguła kontratakuje.

Wypowiedziała tę frazę wyćwiczonym tonem. Laura umiała sobie wyobrazić, że Martin Queller znalazł jedyne w swoim rodzaju i niezawodne sposoby na przypominanie swoim dzieciom, że nigdy nie będą doskonałe.

- Służę pani. - Barman podał jej ogień.

- Dziękuję. - Jane pochyliła się w stronę podsuniętej zapalki. Zaciągnęła się, zamykając oczy jak kot wylegujący się w słońcu. Kiedy zorientowała się, że Laura ją obserwuje, parsknęła śmiechem, wypuszczając dym. - Przepraszam, ale jestem w Europie od trzech miesięcy i stęskniłam się za amerykańskimi papierosami.

- Myślałam, że wszyscy młodzi i świetnie wykształceni emigranci uwielbiają papierosy marki Gauloises, dyskusje o Camusie i tragizmie kondycji ludzkiej.

- Gdyby tylko. - Jane zakasłała, wypuszczając z płuc kolejną chmurę dymu.

Laura poczuła nagły przypływ matczynej czułości. Chciała wyrwać jej z ręki papierosa, jednak wiedziała, że ten gest byłby bezcelowy. W wieku dwudziestu trzech lat ona sama desperacko pragnęła być starsza, zdecydowanym krokiem wejść w dorosłość, zdobyć jakąś pozycję, stać się kimś. Wtedy nie pragnęła odzyskać minionego czasu, zedrzyć go z siebie jak zdziera się z twarzy mokrą gazę. Nie wiedziała, że pewnego dnia plecy będą ją boleć przy wchodzeniu po schodach, brzuch obwiśnie po porodach, a kręgosłup ulegnie zniekształceniu od złośliwego guza.

- Niech się pani z nim nie zgadza. - Jane trzymała papierosa

między kciukiem a palcem wskazującym jak brat. – To moja rada. Mój ojciec nie trawi, kiedy ludzie mu się sprzeciwiają.

– Rzuciłam na szalę swoją reputację, nie zgadzając się z nim.

– Mam nadzieję, że jest pani gotowa na bitwę. – Jane skinęła głową w stronę drzwi baru, za którymi wrzało jak w ulu. – Jonasz czy Daniel znalazł się w jaskini lwa?

– Jonasz znalazł się w brzuchu wieloryba. To Daniel wyładował w jaskini lwów.

– Oczywiście. Bóg zesłał anioła, by zamknął lwom paszcze.

– Twój ojciec jest aż tak zły? – Laura za późno uświadomiła sobie uszczypliwość tego pytania. Każde z trojga dzieci Quellera znalazło własny sposób na życie w cieniu ojca.

– Na pewno poradzi sobie pani z Potężnym Martinem. Nie została tu pani zaproszona dla kaprysu. Niech pani pamięta, że kiedy on się czegoś uczepli, to nie odpuszcza. Jego dewiza to „Wszystko albo nic”. – Jane sprawiała wrażenie, że nie oczekuje odpowiedzi. Omiatała wzrokiem pustą salę, ale ciągle wracała spojrzeniem do lustra za barem. Jak niedawno w holu w rozpaczliwym poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co uczyniłoby ją kompletną.

– Jesteś najmłodszą córką Martina? – zapytała Laura.

– Tak. Andrew jest średni. Najstarszy jest Jasper. Porzucił chwalebne zajęcie pilota wojskowego na rzecz rodzinnego interesu.

– Doradztwo ekonomiczne?

– Boże, nie. Zarabianie pieniędzy. Wszyscy pękamy z dumy.

Laura zignorowała ten sarkazm. Doskonale знаła zasięg wpływów Jaspiera Quellera.

– To ty grałaś na pianinie?

Jane przewróciła autoironicznie oczami.

– Grieg wydał mi się zbyt aforystyczny.

- Widziałam kiedyś twój występ. - Tym prawdziwym wyznaniem Laura przywołała na pamięć tamten obraz: Jinx Queller przy pianinie, słuchacze znieruchomiali w zachwycie urzeczeni dźwiękami spływającymi spod jej palców biegających lekko po klawiaturze. Trudno jej było złożyć w jedną całość tamtą pewną siebie pianistkę z siedzącą obok niespokojną młodą dziewczyną o obgryzionych paznokciach, ukradkowo zerkającą w lustro. - Już nie występujesz jako Jinx?

Jane znowu przewróciła oczami.

- To brzemię, które dźwigam od dziecka.

Laura wiedziała od Andrew, że Jane nie cierpi swojego rodzinnego przezwiska. Źle się czuła, tyle o niej wiedząc, skoro ona nie wiedziała nic o niej. Ale tak należało rozegrać tę grę.

- Jane pasuje o wiele bardziej.

- Lubię tak myśleć. - Jane powoli strząsnęła popiół. Fakt, że Laura widziała jej występ, było dla niej wyraźnie krępujące. Gdyby teraz ją sportretować, otaczałaby ją mroczna aura lęku i niepokoju. W końcu zapytała: - Gdzie mnie pani widziała?

- W Hollywood Bowl.

- W zeszłym roku?

- W osiemdziesiątym czwartym. - Laura robiła wszystko, by ton jej głosu nie zdradził emocji. Na koncert w ostatniej chwili zaprosił ją mąż. Zjedli kolację w ich ulubionej włoskiej restauracji. Wypiła za dużo chianti. Pamiętała, jak podtrzymywał ją, gdy szli na parking. Czuła w talii jego dotyk. Zapach wody kolońskiej.

- To była część Jazz Bowl przed Olimpiadą. Grałam z Richie Reedie Orchestra. W hołdzie dla Harry'ego Jamesa i... - zmrużyła oczy na to wspomnienie - wypadłam z rytmu podczas *Two O'Clock Jump*. Dzięki Bogu, trąbki zaczęły wcześniej.

Laura nie zauważyła żadnych pomyłek. A na końcu wszyscy

słuchacze wstali z miejsc.

- Ze swoich koncertów pamiętasz tylko pomyłki?

Jane potrząsnęła głową, ale za tą historią kryło się dużo więcej. Jane Queller była pianistką światowej klasy. Całą młodość poświęciła muzyce. Porzuciła muzykę klasyczną dla jazzu, a jazz dla nagrań studyjnych. Występowała w najslawniejszych salach koncertowych. A potem nagle zrezygnowała i odeszła.

- Czytałam pani tekst o represyjnych podatkach. - Jane uniosła lekko brodę, dając znak barmanowi, że chce kolejnego drinka. - Na wypadek gdyby to panią interesowało, ojciec oczekuje od nas, że będziemy obserwować przebieg jego kariery zawodowej... nawet z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów.

- Jakie to budujące.

- Powiedziałabym raczej, że niepokojące. Dołącza wycinki do listów mamy, żeby oszczędzić na znaczkach. „Kochana Córko, w ten weekend jedliśmy kolację z Flanniganami. Przygotuj się do odpowiedzi na pytania dotyczące załączonego streszczenia na temat makroekonomicznych zmiennych w Nikaragui”. - Jane patrzyła na gin przelewany z butelki do szklaneczki.

W kwestii ilości alkoholu barman potraktował ją hojniej niż Laurę, ale piękne młode kobiety zawsze dostają więcej.

- Fragment o zaostrzeniu polityki finansowej wobec mniejszości kazał mi inaczej pomyśleć o naszej administracji. Chociaż według mojego ojca promowana przez panią inżyniera społeczna zrujnuje świat.

- Myślą tak tylko tacy mężczyźni jak on.

- Niech pani będzie ostrożna. - Jane nie żartowała. - Mój ojciec nie lubi sprzeciwu. Zwłaszcza ze strony kobiet. - Spojrzała Laurze w oczy. - A szczególnie takich, które

wyglądają jak pani.

Laura przypomniała sobie to, co dawno temu usłyszała od matki: „Mężczyźni nigdy nie muszą czuć się skrępowani w obecności kobiet. Kobiety muszą czuć się skrępowane w obecności mężczyzn zawsze”.

Jane zaśmiała się smutno, gasząc papierosa w popielniczce.

Laura dała znak barmanowi, żeby dolał jej ginu z tonikiem, chociaż żołądek zaczął się buntować już po pierwszej szklaneczce. Musiała uspokoić drżenie rąk i serce rozdygotane jak przerażony zając.

Zegar wskazywał, że zostało jej tylko pół godziny.

Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nigdy nie lubiła wystąpień publicznych. Miała naturę obserwatora, wolała wmieszać się w tłum. Prócz wystąpienia Iacocci panel dyskusyjny Quellera miał mieć najliczniejsze grono słuchaczy. Bilety wstępu rozeszły się w ciągu jednego dnia. Prócz niej i Martina Quellera w dyskusji mieli wziąć udział niemiecki analityk z RAND Corporation i belgijski przedstawiciel kadry kierowniczej Royal Dutch Shell, ale i tak było wiadomo, że uwaga ośmiuset uczestników panelu skupi się na dwójce Amerykanów.

Nawet Laura musiała przyznać, że życiorys Martina Quellera mógł być magnesem dla tłumu: były prezes Queller Healthcare, emerytowany profesor Queller School of Economics w Long Beach, były doradca gubernatora Kalifornii, obecny członek Prezydenckiej Rady do spraw Rozwoju Ekonomicznego, poważny kandydat na następcę Jamesa Bakera na stanowisku sekretarza skarbu, i co najważniejsze, autor tak zwanej Poprawki Quellera.

Właśnie ta poprawka przywiodła tu wszystkich uczestników. Chociaż Alex Maplecroft dała się poznać najpierw na

Harvardzie, potem na Uniwersytecie Stanforda i Berkeley, utknęłyby pewnie w uniwersyteckiej niszy nieznaną szerszemu ogółowi, gdyby nie jej publikacje, z punktu widzenia etyki otwarcie kwestionujące nie tylko Poprawki Quellera, ale i samego Martina Quellera, na co nie zdobył się żaden mężczyzna.

Biorąc pod uwagę pozycję Martina w ekonomii i środowisku biznesowym, było to równoznaczne z przybiciem dziewięćdziesięciu pięciu tez na drzwiach kościoła.

Laura z pełnym przekonaniem zaliczała siebie do zwolenników Maplecroft.

Mówiąc w największym skrócie, Poprawka Quellera zakładała, że historycznie rozwój ekonomiczny był wspierany przez niepożądane mniejszości oraz imigrancką klasę robotniczą, które były wspierane przez natywistyczne regulacje prawne.

Postęp wielu kosztem INNOŚCI.

Irlandzcy imigranci wznoszący nowojorskie mosty i drapacze chmur. Chińczycy pracujący przy kolei transkontynentalnej. Włosi napędzający rozwój przemysłu włókienniczego.

A oto tak zwane natywistyczne poprawki:

Ustawa o ziemi dla cudzoziemców. Napisy „Irlandczykom, czarnym i psom wstęp wzbroniony”. Ustawa o ograniczeniu imigracji. Ustawa o testach pisania i czytania dla imigrantów. Sprawa Dred Scott vs Sandford. Ustawa o zakazie chińskiej imigracji. Ustawy o segregacji rasowej. Plessy vs Ferguson. Programy dla meksykańskich pracowników. Podatek pogłówny. Operacja Wetback.

Teoria Martina była solidnie udokumentowana i poparta dowodami. Można by ją raczej nazwać podsumowaniem faktów niż teorią. Problem polegał na tym – przynajmniej według Alex

Maplecroft – że Poprawka Quellera została wykorzystana nie jako akademicki termin do opisu historycznego zjawiska, lecz jako uzasadnienie obecnej polityki monetarnej i społecznej. Coś w rodzaju „historia lubi się powtarzać”, tyle że bez zwyczajowej ironii.

Pojawiło się więcej Poprawek Quellera: mniej środków finansowych na potrzeby chorych na AIDS homoseksualistów, wyższe wyroki dla Afroamerykanów zażywających kokainę, wsteczne kary dla już osądzonych i skazanych, obowiązkowe dożywocie dla recydywistów, dochodowa prywatyzacja więzień i zakładów psychiatrycznych.

W artykule wstępnym w *Los Angeles Times* Alex Maplecroft wyszydziła myślenie, które zaowocowało Poprawką Quellera, prowokacyjnym zdaniem:

Człowiek się zastanawia, czy Hermann Göring w ogóle połknął tę kapsułkę z cyjankiem.

- Pani doktor? - Jane wyrwała Laurę z zamyślenia. - Czy mogę...

Miała ochotę na kolejnego papierosa. Laura wytrząsnęła z paczki dwa.

Tym razem barman podał ogień im obu.

Laura wciągnęła dym w płuca, obserwując Jane, która patrzyła w lustro.

- Dlaczego przestałaś występować? - zapytała.

Jane nie odpowiedziała od razu. To pytanie słyszała pewnie dziesiątki razy. Może chciała wykpić się tą samą przeciwiczoną wersją, ale kiedy odwracała się ku Laurze, wyraz jej twarzy uległ zmianie.

- Wie pani, ile jest sławnych pianistek?

Laura nie знаła się na muzyce. To było hobby jej męża, ale jakieś nazwisko kołatało jej się w głowie.

- Jest taka Brazylijka, Maria Arruda czy...?

- Martha Argerich. Z Argentyny. Ale kierunek dobry. - Jane uśmiechnęła się cierpko. - Niech pani wymieni inną.

Laura wzruszyła ramionami. Nawet nie trafiła z nazwiskiem pierwszej.

- Byłam za kulisami w Carnegie Hall, rozejrzałam się i uświadomiłam sobie, że jestem tam jedyną kobietą - powiedziała Jane. - Tak było już wiele razy, ale dopiero wtedy to zauważyłam. I ci ludzie zauważyli mnie. - Strząsnęła popiół z papierosa. - Potem zostawił mnie nauczyciel. - Nagłe pojawienie się łez w kącikach oczu wskazywało, że Jane ciągle nie przeboleła tej straty. - Zaczęłam grać pod okiem Pechenikova w wieku ośmiu lat, ale w końcu zakomunikował, że doprowadził mnie, dokąd mogłam dojść.

- Nie możesz znaleźć innego nauczyciela? - zapytała Laura.

- Nikt nie chce mnie dalej uczyć. - Jane zaciągnęła się papierosem. - Pechenikov był najlepszy, więc poszłam do drugiego z najlepszych. Potem do trzeciego. I tak dalej, i tak dalej, aż wylądowałam między dyrygentami szkolnych orkiestr. Wszyscy mieli tę samą śpiewkę. - Spojrzała Laurze w oczy ze znaczącą miną. - Kiedy mówili: „Nie mam czasu na nowych uczniów”, to tak naprawdę myśleli: „Nie zamierzam tracić czasu i talentu dla głupiej dziewczyny, która i tak rzuci to wszystko, kiedy się zakocha”.

- Aha - mruknęła Laura, ponieważ tylko tyle mogła powiedzieć.

- Do pewnego stopnia tak jest łatwiej. Ćwiczyłam codziennie po trzy, cztery godziny. Muzyka klasyczna jest bardzo precyzyjna. Trzeba zagrać każdą nutę tak, jak jest zapisana. Dynamika ma nawet większe znaczenie niż technika. W jazzie można utworowi nadać melodyczny wyraz. A w rocku... Zna

pani The Doors?

Laura musiała skierować myśli na inne tory.

- Jim Morrison?

Jane zabębniła palcami w kontuar. W pierwszej chwili Laura usłyszała tylko bezładny stuk, ale potem...

- *Love Me Two Times* - zaśmiała się z tej sprytnej sztuczki.

- Manzarek grał na klawiszach i na basie jednocześnie. Niesamowite. Zupełnie jakby jedna ręka działała niezależnie od drugiej. Prawie jak rozdwojenie jaźni, ale ludzie nie zwracają uwagi na kwestie techniczne. Oni po prostu uwielbiają to brzmienie. - Jane nie przestawała bębnić palcami. - Skoro nie mogę grać muzyki, którą ludzie docenią, to chcę grać taką, którą kochają.

- Brawo. - Laura odczekała chwilę, by wyraźnie wybrzmiał rytm wystukiwanej melodii. - Mówiłaś, że jesteś w Europie od trzech miesięcy?

- W Berlinie - uściśliła Jane, przerywając przebieranie palcami. - Brałam udział w nagraniu jako pianista sesyjny w Hansa Tonstudio.

Laura potrząsnęła głową. Nigdy nie słyszała tej nazwy.

- To studio nagrań w pobliżu muru berlińskiego. Mają przestrzeń, Meistersaal, o fantastycznej akustyce dla każdego rodzaju muzyki: klasycznej, kameralnej, popu, rocka. Nagrywali tam Bowie, Iggy Pop, Depeche Mode.

- To znaczy, że spotkałaś sławnych ludzi.

- Nie. Swoją część nagrywam, kiedy oni już sobie pójdą. Na tym polega piękno tego zajęcia. Jestem tylko ja i moje wykonanie. W odosobnieniu. Nikt nie wie, kto siedzi przy klawiszach. Nikogo nie obchodzi, czy jesteś kobietą, mężczyzną czy pudlem. Oczekują czucia muzyki, a w tym jestem dobra. Czuję nuty, czuję, dokąd zmierzają. - Od rozemocjonowanej

Jane bił blask, który podkreślił jej naturalną urodę. – Jeśli kocha się muzykę, tak naprawdę, całym sercem, wtedy gra się dla siebie.

Laura złapała się na tym, że potakuje. Nie miała muzycznego punktu odniesienia, wiedziała jednak, że czysta miłość nie tylko daje siłę, ale popycha do działania.

– Mimo wszystko wiele straciłaś – skonstatowała.

– Naprawdę? – Jane sprawiała wrażenie szczerze zdziwionej.

– Jak mogę stracić coś, co nigdy nie zostało mi tak naprawdę dane z powodu tego, co mam między nogami? – Zaśmiała się szyderczo. – A raczej czego nie mam albo co może wyjść spod moich nóg w przyszłości.

– Mężczyźni zawsze mogą wymyślić się na nowo. Kiedy kobieta zostaje matką, pozostaje nią na zawsze – stwierdziła Laura.

– Nie brzmi to zbyt feministycznie, doktor Maplecroft.

– Nie, ale ty to rozumiesz, ponieważ jesteś kameleonem, tak samo jak ja. Skoro nie możesz grać muzyki, którą ludzie docenią, grasz taką, którą kochają. – Laura miała nadzieję, że pewnego dnia to się zmieni. I każdego ranka po przebudzeniu miała też nadzieję, że usłyszy okropną muzykę Lili; że zobaczy Petera biegającego po salonie w poszukiwaniu butów; i że natknie się na Davida szepczącego do telefonu, ponieważ nie chciał zdradzić się przed matką, że ma dziewczynę.

– Powinna pani już iść. – Jane wskazała zegar. Czterdzieści pięć minut niemal minęło.

Laura chciała kontynuować rozmowę, wiedziała jednak, że nie ma wyboru. Sięgnęła po torebkę, by wyjąć z niej portfel.

– Ja stawiam – zaoferowała Jane.

– Nie mogę...

– Powinnam powiedzieć, że to na rachunek rodziny

Quellerów.

- W takim razie zgoda - powiedziała Laura i zsunęła się ze stołka barowego. Z trudem zapanowała nad mimiką, by nie skrzywić się z bólu, gdy oparła ciężar ciała na chorej nodze. Laska stała tam, gdzie ją zostawiła. Zaciśnęła dłoń na srebrnej gałce. Spojrzała na Jane i zadała sobie w duchu pytanie, czy to ostatnia osoba, z którą miała okazję normalnie porozmawiać. Jeśli tak, to była zadowolona.

- Miło mi się rozmawiało - powiedziała.

- Mnie też - odparła Jane. - Będę siedzieć w pierwszym rzędzie, na wypadek gdyby pani potrzebowała widoku przyjaznej twarzy.

Laura poczuła nagłe ukłucie w sercu. Zareagowała w nietypowy dla siebie sposób. Wyciągnęła rękę i nakryła nią dłoń Jane. Poczowała chłód jej skóry. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz dotknęła innego człowieka, by zaznać ukojenia.

- Jesteś wspaniała - wyrzuciła z siebie.

- O rany. - Jane oblała się rumieńcem.

- Nie dlatego, że jesteś utalentowana i piękna, chociaż to prawda. Ale dlatego, że jesteś sobą. - Potem dopowiedziała coś, czego nie zdążyła powiedzieć własnej córce. - Wszystko w tobie jest wyjątkowe.

Jane pokraśniała jeszcze bardziej, szukając w myślach trafnego i ironicznego komentarza.

- Nie. - Laura nie mogła pozwolić, by sarkazm dziewczyny zepsuł tę chwilę. - Znajdziesz swoją drogę, Jane. I bez względu na wszystko, będzie to właściwa droga, ponieważ sama ją wybierzesz. - Ścisnęła jej dłoń ostatni raz. - To moja rada dla ciebie.

Czuła na sobie spojrzenie Jane, gdy wolnym krokiem zmierzała do wyjścia. Za długo siedziała przy barze i stopa jej

zdrętwiała. Kula tkwiąca w plecach zamieniła się w żywą oddychającą istotę. Przeklęła w duchu kawałek metalu, nie większy od paznokcia małego palca, który utkwiał niebezpiecznie blisko kręgosłupa.

Ten jeden raz, ostatni raz, chciała pójść szybkim krokiem, odzyskać dawną sprawność, i wykonać zadanie, zanim Jane zajmie miejsce w pierwszym rzędzie.

Z holu zniknęli już ważni mężczyźni, ale dym papierosów i fajek nadal wisiał w powietrzu. Laura otworzyła drzwi damskiej toalety.

Pusto. Zgodnie z przewidywaniem Nicka.

Skierowała się do kabiny na końcu, otworzyła i zamknęła drzwi. Przez chwilę szarpała się z zamkiem, bo zasuwa nie wchodziła do otworu, więc Laura uderzyła ją kilka razy otwartą dłońią. Metal zadzwieczał o metal. W końcu zasuwa ustąpiła i trafiła na swoje miejsce.

Laura doznała nagłego zawrotu głowy. Oparła się rękami o ścianę. Pozostała w tej pozycji przez dłuższą chwilę, by odzyskać równowagę. Dwa drinki w połączeniu z reakcją na zmianę strefy czasowej okazały się błędem, ale akurat dzisiaj mogła to sobie wybaczyć.

Toaleta była w starym stylu. Rezerwuar wisiał wysoko na ścianie. Wetknęła za niego rękę, szukała na oślep z bijącym sercem. Najpierw wyczuła taśmę klejącą. Nerwowe napięcie zelżało nieco, gdy po chwili zlokalizowała papierową torebkę.

Drzwi łazienki się otworzyły.

- Hej, hej? - zawołał męski głos, a Laura zamarła w bezruchu. - Halo? - Mężczyzna ciągnął po podłodze coś ciężkiego. - Tu sprzątac. Halo?

- Chwileczkę - wydusiła Laura przez ściśnięte gardło.

- Sprzątac - powtórzył mężczyzna.

- *Nej!* - zawołała Laura już donośniej i pewniej. - Zajęte.

Mężczyzna westchnął z wyczuwalną irytacją w głosie.

Laura czekała.

Rozległo się kolejne westchnienie.

Minęła kolejna długa jak wieczność chwila.

W końcu sprzątacze potoczył wózek z powrotem ku drzwiom. Zamknął drzwi z takim impetem, że zamek w drzwiach kabiny Laury odskoczył i drzwi uchyliły się lekko.

Laura miała wrażenie, jakby zasuwa zamka trafiła ją w plecy.

Nagle zebrało jej się na śmiech. Wyobraziła sobie, jak wygląda w pomiętej spódnicy, stojąc w rozkroku na muszli klozetowej z jedną ręką za rezerwuarem.

Brakowało tylko odgłosu przejeżdżającego pociągu i Michaela Corleone.

Pociągnęła papierową torebkę i oderwała od obudowy, a potem włożyła do torebki. Podeszła do umywalki, by sprawdzić w lustrze fryzurę i szminkę. Studiowała swoje odbicie, myjąc drżące dłonie.

Cienie na powiekach były rażąco jaskrawe. W normalnym życiu nigdy się nie malowała. Zwykle odgarniała włosy z twarzy. Nosiła dżinsy, koszule swojego męża i trampki syna, które zostawiał pod drzwiami.

Zwykle miała na szyi aparat fotograficzny.

Zwykle biegała jak szalona, ustalając terminy sesji zdjęciowych i je realizując, oraz planując recitale, próby, przygotowania, posiłki, czas na gotowanie, czas na czytanie i czas na miłość.

Ale normalność przestała istnieć.

Wytarła ręce papierowym ręcznikiem. Poprawiła szminkę. Wyszczrzyła białe zęby do lustra.

Sprzątacze czekał pod drzwiami łazienki. Palił oparty o wózek

z wielkim pojemnikiem na śmieci i pojemnikami ze środkami czystości w sprayu.

Laura powstrzymała się od chęci przeprosin. Upewniła się, że ma papierową torbę. Zapięła zamek. Zawroty głowy wróciły, ale zapanowała nad nimi. Z żołądkiem podchodzącym do gardła nie umiała sobie poradzić. Serce waliło jej jak młotem. Czuła krew pulsującą w skroniach. Nagle zaczęła widzieć ostrzej.

- Doktor Maplecroft? - Zdenerwowana młoda kobieta w kwiecistej sukience wyrosła przed nią jak spod ziemi. - Proszę za mną. Panel zaraz się zacznie. - Ruszyła przed siebie szybkim krokiem.

Laura próbowała za nią nadążyć, ale w połowie holu dostała zadyszki. Zwolniła, dłużej wspierając dłoń na lasce. Musiała zachować spokój. Tego, co miała zrobić, nie można było przyspieszyć.

- Proszę pani! - Młoda kobieta ponagliła ją gestem.

- Beze mnie nie zaczną - powiedziała Laura, chociaż zważywszy na reputację Martina Quellera, wcale nie miała tej pewności. Wyjęła z torebki paczkę chusteczek i otarła pot z czoła.

Drzwi sali otworzyły się szeroko.

- Panienko. - Martin Queller pstryknął palcami na kobietę, jakby przywoływał psa. - Gdzie Maplecroft? - Zerknął na Laurę. - Kawa i dwie kostki cukru - zaordynował.

- Doktorze... - zaczęła dziewczyna.

- Kawa - powtórzył wyraźnie zirytowany Martin. - Głucha jesteś?

- Jestem doktor Maplecroft.

Martin Queller zaniemówił.

- Alex Maplecroft? - zapytał po dłuższej chwili.

- Alexandra. - Laura wyciągnęła rękę na powitanie. - Cieszę się z tego spotkania.

Za plecami Quellera zebrała się grupa jego kolegów. Martin nie miał wyjścia, musiał uścisnąć dłoń Laury. Jego wzrok, jak wielu innych przed nim, powędrował ku jej włosom. One mówiły same za siebie. Kolor skóry Laury był zbliżony do jej białej matki, ale charakterystyczne kręcone włosy odziedziczyła po czarnym ojcu.

- Teraz rozumiem - powiedział Martin. - Twoje anegdotyczne doświadczenia nadały kolorytu twoim badaniom.

Laura zerknęła na jego białą rękę, którą ścisnęła.

- Koloryt - powtórzyła. - Ciekawie dobierasz słowa, Martinie.

- Doktorze Queller - poprawił ją.

- Tak, słyszałam o tobie, kiedy byłam na Harvardzie. - Laura zwróciła się do mężczyzny, który stał po prawej stronie Martina. Sądząc z eleganckiego szarego garnituru i cienkiego granatowego krawata, był Niemcem. - Doktor Richter?

- Proszę mi mówić Friedrich. Bardzo mi miło. - Richter nawet nie zadał sobie trudu, żeby ukryć uśmiech. Zatrzymał siwowłosego mężczyznę w modnej szmaragdowej marynarce. - Mogę przedstawić innego uczestnika naszego panelu, doktora Maesa?

- Bardzo mi miło. - Laura uścisnęła Belgowi dłoń, podsycając jeszcze pogardę Martina, i zwróciła się do młodej kobiety: - Możemy zaczynać?

- Oczywiście, proszę pani. - Hostessa poprowadziła ich przez hol do wejścia na scenę.

Wprowadzenie do panelu już się zaczęło. W kulisach światła były przyćmione, więc dziewczyna oświetlała drogę latarką. Laura słyszała szmer męskich głosów z widowni. Prowadzący mówił do mikrofonu po francusku, za szybko, by coś rozumiała.

Była wdzięczna, kiedy przerzucił się na angielski.

- Dość już mojego gadania. Bez zbędnych ceregieli powitajmy czworo naszych panelistów.

Burza oklasków zatrzęsała podłogą pod stopami Laury. Miała wrażenie, jakby żołądek przewracał jej się na drugą stronę. Ośmiuset ludzi. Rozbłysły światła. Przez szparę w kotarze widziała prawą stronę sali. Ludzie na widowni - w zdecydowanej większości mężczyźni - stali i klaskali w oczekiwaniu na show.

- Pani doktor? - szepnął Friedrich Richter.

Współuczestnicy panelu czekali, aż Laura wyjdzie pierwsza. Nawet Martin Queller wykazał tyle ogłady, by puścić kobietę przodem. Na ten moment czekała. Właśnie to dało jej napęd do wstania ze szpitalnego łóżka, pchało do podjęcia i zakończenia mozolnego i bolesnego leczenia, a na koniec skłoniło do odbycia czterech lotów, by tu dotrzeć.

Mimo to zastygła w miejscu, jakby na chwilę zapomniała, po co tu jest.

- Na miłość boską. - Martin szybko stracił cierpliwość i zdecydowanym krokiem wkroczył na scenę.

Tłum zgotował mu gorące przyjęcie. Zgromadzeni bili brawo, tupali, machali rękami i wznosili w górę pięści.

Friedrich i Maes wykonali pantomimę na wzór Flipa i Flapa pod tytułem „Któremu przypadnie zaszczyt puścić ją przodem”.

Musiała iść. Musiała to zrobić.

Teraz.

Im bliżej sceny, tym bardziej brakowało jej powietrza. Mimo wrzawy i gromkich oklasków, wyraźnie słyszała stukanie laski o twarde drewniane deski. Zgarbiła się, schowała głowę w ramionach. Czuła przemożną chęć stania się niewidzialną.

Podniosła wzrok.

Rozbłysło więcej światła. W powietrzu wisiała mgiełka dymu.

Laura zwróciła się ku widowni i poszukała wzrokiem Jane, która zgodnie z obietnicą siedziała w pierwszym rzędzie. Po lewej ręce miała Andrew, po prawej Nicka, ale to na niej Laura skupiła całą uwagę. Wymieniły uśmiechy, zanim Laura odwróciła się znowu w stronę sceny.

Musiała to zacząć, by móc skończyć.

Mikrofony stały wycelowane w każde z czterech krzeseł, które były oddzielone małymi stolikami i czekały na uczestników dyskusji. Laura nie brała udziału w rozmowie o przydziale miejsc, dlatego zatrzymała się przy krześle pierwszym z brzegu. Nad górną wargą wystąpiły jej krople potu. Ostre światła miały niemal moc lasera. Za późno się zorientowała, że powinna była poćwiczyć tę część. Krzesło reprezentowało typowy skandynawski design. Piękne dla oka, ale niskie, bez wystarczająco rozbudowanego oparcia dla pleców. Na domiar złego było obrotowe.

- Pani doktor? - Maes przytrzymał oparcie sąsiedniego krzesła, by osadzić je w miejscu. To oznaczało, że wyznaczono jej miejsce w środku. Usadowiła się z trudem. Mięśnie pleców i nóg przeszył paroksyzm bólu.

- Mogę? - Maes wziął od niej laskę i odłożył na podłogę.

- Tak, dziękuję. - Laura kurczowo złapała torebkę i położyła ją sobie na kolanach.

Maes usiadł po lewej. Friedrich zajął miejsce na drugim skraju. Krzesło obok Laury pozostało puste.

Spojrzała w kierunku wyznaczanym przez drugi koniec mikrofonu. Oklaski rzedły. Niektórzy zaczęli siadać.

Tymczasem Martin Queller nie był jeszcze gotowy, by pozwolić im usiąść. Stał z ręką uniesioną wysoko w geście pozdrowienia. Kiepskie posunięcie, zważywszy na kwestię

Maplecroft o Göringu. Tak jak lekki ukłon, gdy w końcu zdecydował się zająć krzesło pośrodku sceny.

Widownia w końcu usiadła. Ostatnie oklaski ucichły. Światła na sali zostały przygaszone. Światła na scenie rozbłysły z pełną mocą.

Oślepiąca Laura mrugała przez chwilę, czekając, aż Martin Queller ustawi mikrofon po swoim i zacznie mówić.

- W imieniu swoim i pozostałych dyskutantów dziękuję państwu za przybycie. Liczę, że nasza dyskusja będzie ożywiona i kulturalna, i co najważniejsze, że spełni wasze oczekiwania. - Spojrzał w lewo, potem w prawo, sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął z niej fiszki. - Zaczniemy od tego, co sekretarz generalny Gorbaczow nazwał „Erą Stagnacji”. - Przez tłum przebiegł śmiech. - Doktorze Maes, proszę to wziąć.

Trzeba przyznać, że Martin Queller umiał panować nad salą. Odstawiał show pod publiczność, krążąc wokół tematu, który miał być przedmiotem debaty. W młodości musiał być uważany za atrakcyjnego w sposób, w jaki pieniądze czynią nudziarza interesującym. Wyglądał na swój wiek. Laura wiedziała, że ma sześćdziesiąt trzy lata, ale jego ciemne włosy tylko gdzieś tam przetykała siwizna. Orli nos był mniej wydatny niż na fotografiach. Prawdopodobnie do publikacji wybierano takie, na których Queller miał wzbudzać szacunek i dystans. Ludzie często mylili osobistość z osobowością.

- Co z Czernienką, panie Richter? - grzmiał Martin bez pomocy mikrofonu. - Czy zobaczymy pełne wdrożenie skromnych reform Andropowa?

- Cóż - zaczął Friedrich - Rosjanie powiedzieliby zapewne: „Kiedy mówią pieniądze, prawda milczy”.

Przez salę znowu przebiegł śmiech.

Laura wierciła się na krześle w poszukiwaniu optymalnej

pozycji, która zminimalizowałaby ból promieniujący w nodze. Nerw kulszowy odzywał się przy najdrobniejszym ruchu. Zamiast słuchać akademickiej odpowiedzi Friedricha, wpatrywała się w bok widowni. Z metalowego słupa zwisał rząd lamp. Na podwyższeniu stał mężczyzna z kamerą wideo na ramieniu i ręcznie regulował obiektywy. Oświetlenie musiało zakłócić działanie automatycznego ustawiania ostrości.

Laura zerknęła na swoją rękę. Na kciuku i dwóch palcach dłoni nadal miała stwardnienia po latach regulowania ostrości w swoim aparacie marki Hasselblad.

Miesiąc przed śmiercią Lila powiedziała jej, że chce brać lekcje fotografii, ale nie od niej. Laurę to zabolalo, przecież była zawodową fotografką. Później przyjaciółka przypomniała jej, że nastolatki przestają uczyć się od swoich matek do czasu, aż same zostaną matkami. Laura postanowiła zatem uzbroić się w cierpliwość.

A potem czas się skończył.

Wszystko przez Martina Quellera.

- ...zestawienie polityki społecznej i ekonomii - mówił Martin. - Doktor Maplecroft, o ile może się pani nie zgadzać z tym, co nazywa „atawistyczną wymową” Poprawki Quellera, ja tylko nadałem nazwę statystycznemu zjawisku.

Laura zobaczyła, że Martin bierze oddech, by ciągnąć swoją kwestię, więc skorzystała z okazji.

- Ciekawe, czy zdaje pan sobie sprawę, doktorze Queller, że pańskie strategie mają konsekwencje w prawdziwym świecie.

- To nie strategie, moja droga. To teorie przypisane temu, co pani sama nazwała moralnością plemienną.

- Ale doktorze...

- Jeśli moje wnioski uważa pani za bezduszne, to uprzedzam lojalnie, że statystyka jest tak naprawdę bezduszną

nauczycielką. – Najwyraźniej lubił tę frazę. Często występowała w jego tekstach. – Emocjonalna czy histeryczna interpretacja danych jest prostą drogą do śmieszności. Równie dobrze można by prosić dozorcę o wyjaśnienie zależności między erupcją wulkanu Beerenberg a pogodą na Guam.

Wydawał się bardzo zadowolony z tego stwierdzenia. Laura miała ochotę zetrzeć mu ten megalomański uśmiezek z twarzy.

– Twierdzi pan, że pańskie teorie ekonomiczne nie są strategiami, a jednak zostały wykorzystane przy wprowadzaniu konkretnych strategii działania.

– Pani mi pochlebia – powiedział tonem, z którego wynikało, że pochlebstwo jest w pełni uzasadnione.

– Pańska praca wpłynęła na kształt Lanterman-Petris-Short Act w sześćdziesiątym siódmym.

Martin zmarszczył brwi na te słowa, po czym zwrócił się do słuchaczy na widowni:

– Europejczykom należy wyjaśnić, że ten projekt ustawy o prawach pacjentów był punktem zwrotnym w prawodawstwie stanu Kalifornia. Prócz innych regulacji pomógł położyć kres praktyce umieszczania ludzi w szpitalach psychiatrycznych wbrew ich woli.

– Czy to prawo nie zakładało również cofnięcia finansowania stanowych placówek psychiatrycznych?

Znaczący uśmiezek w kącikach ust Martina zdradził, że Queller dobrze wie, dokąd zmierza Laura.

– Obcięcie funduszy było tymczasowe. Gubernator Reagan przywrócił je w następnym roku.

– Do poprzedniego poziomu?

– Spędziła pani całe życie przy tablicy, Maplecroft. Tam jest inaczej niż w realnym świecie. Zwrot w polityce rządu jest

niczym manewr zwrotu pancernika. Potrzeba mnóstwo miejsca na korekty.

- Niektórzy nazwaliby te korekty błędami. - Laura uniosła rękę, nie dając mu szans na ripostę. - Następna korekta polegała na tym, że rok później wymiar sprawiedliwości odnotował dwukrotny wzrost liczby chorych psychicznie ludzi w więzieniach.

- Cóż...

- Przepelnienie w kalifornijskich więzieniach doprowadziło do powstania brutalnych gangów, ponownego uwięzienia tysięcy ludzi i przyczyniło się do dramatycznego wzrostu przypadków zarażenia HIV. - Laura zwróciła się do słuchaczy.

- Churchill powiedział: „Ci, którzy nie uczą się od historii, są skazani na jej powtarzanie”. Mój kolega zdaje się mówić, że powtarzanie naszej historii jest jedynym sposobem na pozostanie przy władzy.

- Pacjenci! - Martin wyrzucił z siebie to słowo tak głośno, że odbiło się w sali echem.

W ciszy, która zapadła, rozległ się głos Laury:

- Słucham pana?

- Pani doktor. - Martin poprawił krawat. Było widać, że z trudem panuje nad sobą. - Prawo, na które się pani powołuje, zostało słusznie nazwane Ustawą o Prawie Pacjentów. Ci, którzy opuścili stanowe szpitale psychiatryczne, byli albo przenoszeni do domów opieki, albo leczeni ambulatoryjnie, by mogli stać się pożytecznymi członkami społeczeństwa.

- Czy byli zdolni do stania się nimi? To znaczy pożytecznymi członkami społeczeństwa?

- Oczywiście. Na tym polega problem z socjalistami. Wierzycie, że zadaniem rządu jest rozpieszczanie człowieka od kołyski po grób. Właśnie ten rodzaj błędnego rozumowania

zamienił połowę Ameryki w państwo opiekuńcze. – Pochylił się do przodu i zwrócił do publiczności. – Wierzę, jak większość Amerykanów, że każdy człowiek zasługuje na szansę stanięcia na własnych nogach. To się nazywa amerykański sen. I leży w zasięgu każdego, kto chce na to zapracować.

Laura wskazała swoją laskę.

– A jeśli nie mogą stać na dwóch nogach?

– Na miłość boską, kobieto. To tylko figura stylistyczna. – Queller ponownie zwrócił się do publiczności. – Domy opieki umożliwiają...

– Jakie domy opieki? Te prowadzone przez Queller Healthcare Services?

To pytanie zbiło go z tropu tylko na chwilę.

– Firma jest prywatną spółką zarządzaną przez „ślepy fundusz”. Nie mam żadnego wpływu na podejmowane decyzje.

– Nie wie pan, że Queller Healthcare czerpie ponad trzydzieści procent corocznych zysków z kierowania domami opieki dla psychicznie chorych? – Laura rozłożyła ręce. – Cóż za niezwykły zbieg okoliczności, że jako doradca ekonomiczny administracji stanowej przekonał pan władze, by państwowe pieniądze przekierować do branży komercyjnej opieki zdrowotnej nastawionej na zysk, co stało się źródłem sporej części majątku pańskiej rodziny.

Martin westchnął. Potrząsnął teatralnie głową.

– Pańska firma wchodzi na giełdę, prawda? – ciągnęła Laura.

– Postarał się pan o inwestorów z grubymi portfelami. To gwarantuje sukces debiutu giełdowego. – Właśnie dlatego znalazła się tu teraz; dlatego nie było już odwrotu. – Majątek rodzinny znacząco wzrośnie, kiedy model Quellera upowszechni się w całych Stanach Zjednoczonych. Zgadza się?

Martin westchnął znowu. I powtórzył potrząśnięcie głową.

Spojrzał na widownię, jakby chciał przeciągnąć słuchaczy na swoją stronę.

- Mam wrażenie, Maplecroft, że narzuca nam pani własny program dyskusji. Nieważne, co powiem, bo pani przyszła z gotową tezą. Jestem złym człowiekiem. Kapitalizm jest złym systemem. Byłoby nam o wiele lepiej, gdybyśmy zrywali kwiaty i wpinali je we włosy.

Wtedy Laura rzuciła Martinowi Quellerowi w twarz słowa, dla których kłamała, kradła, dokonała porwania, a w końcu przeleciała prawie dziesięć tysięcy kilometrów:

- Robert David Juneau.

Martin znowu nie był w stanie ukryć zaskoczenia, chociaż błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą i jeszcze raz zwrócił się do widowni:

- Tym, którzy nie czytają gazet z północnej Kalifornii, wyjaśniam, że Robert David Juneau był czarnym robotnikiem budowlanym, który...

- Inżynierem - przerwała mu Laura, a on odwrócił się do niej wyraźnie zszokowany, że śmiała go poprawić. I dodała: - Juneau był inżynierem. Studiował w Caltechu. Nie był robotnikiem budowlanym, chociaż był czarny, jeśli na to chciał pan zwrócić uwagę.

Martin pokiwał jej palcem.

- Nie zapominajmy, że to pani poruszyła kwestię rasy.

- Robert Juneau został ranny podczas inspekcji na budowie w centrum San Francisco. - Laura odwróciła się ku słuchaczom. Starła się opanować drżenie głosu, kiedy opowiadała tę historię. - Jeden z pracowników popełnił błąd. Zdarza się. Ale Juneau znalazł się w złym miejscu w złym czasie. Stalowa belka trafiła go w głowę. O, tutaj. - Dotknęła własnej głowy i przez chwilę miała wrażenie, że czuje pod

palcami nierówną bliznę. - Doznał obrzęku mózgu. Podczas operacji mającej zmniejszyć obrzęk przeżył serię udarów. Lekarze nie byli pewni, czy z tego wyjdzie, ale on znowu zaczął chodzić, mówić, poznawać żonę i dzieci.

- Tak - warknął Martin. - Nie ma potrzeby dramatyzować ponad miarę. Doszło do poważnego uszkodzenia przedniego płata mózgu. Osobowość tego człowieka uległa całkowitej zmianie. Niektórzy nazywają to syndromem Jekylla i Hyde'a. Przed wypadkiem Juneau był statecznym ojcem rodziny. Po wypadku stał się agresywny.

- Chce pan poprowadzić proste linie w pokręconym świecie, prawda? - Nonszalancja słów Quellera budziła w Laurze wstręt. W końcu poszukała spojrzenia Jane. Teraz mówiła do niej, ponieważ chciała, by dziewczyna poznała prawdę. - Przed wypadkiem Robert Juneau był dobrym człowiekiem. Walczył za swój kraj w Wietnamie. Zdobył dyplom na mocy prawa o edukacji dla weteranów. Płacił podatki. Oszczędzał, kupił dom, płacił rachunki, troszczył się o rodzinę, obiema rękami sięgał po amerykański sen, a kiedy... - Laura urwała, by przełknąć ślinę - a kiedy nie mógł dłużej stać na własnych nogach, kiedy przyszedł czas, by to jego kraj się nim zaopiekował - tu Laura odwróciła się do Martina - ludzie tacy jak ty powiedzieli: „Nie”.

Martin westchnął ze zboląłą miną.

- To tragiczna historia, Maplecroft, ale kto wypisze czek za całodobową opiekę medyczną? To oznacza trzech lekarzy dyżurnych, co najmniej pięć wykwalifikowanych pielęgniarek, udogodnienia, infrastrukturę, fakturowanie, sekretarki, dozorców, personel stołówki, środki czystości i tak dalej, pomnożone przez wszystkich psychicznie chorych w Ameryce. Chcesz płacić osiemdziesiąt procent podatków od zarobków,

jak to się dzieje w goszczącym nas kraju? Jeśli tak, to się przeprowadź, Maplecroft. Jeśli nie, to powiedz mi, skąd wziąć na to pieniądze?

- Jesteśmy najbogatszym krajem na...

- Bo nie trwonimy ich...

- Od ciebie! - wrzasnęła. Widownia zamarła. Queller też. - Weźmiemy pieniądze od ciebie. Co ty na to?

Jedyną odpowiedzią Martina było pogardliwe prychnięcie.

- Robert Juneau został wyrzucony z sześciu różnych domów opieki prowadzonych przez Queller Healthcare. Za każdym razem, kiedy wracał, wymyślali inny powód, żeby go odesłać.

- Nie mam z tym nic...

- Wiesz, ile kosztuje pochowanie trójki dzieci?

Laura ciągle widziała swoje dzieci tamtego rześkiego jesiennego poranka. David szeptał coś dziewczynie przez telefon. Lila słuchała na piętrze muzyki, szykując się do szkoły. Peter biegał po salonie w poszukiwaniu butów.

Bang!

Pojedynczy strzał w głowę powalił jej najmłodszego syna.

Bang! Bang!

Dwie kule rozerwały klatkę piersiową Davida.

Bang! Bang!

Lila runęła ze schodów. Dwie kule trafiły ją w czubek głowy, kiedy zbiegała na parter. Jedna z nich wyszła stopą.

Druga nadal tkwiła w kręgosłupie Laury.

Padając na ziemię, uderzyła głową w kominek. W rewolwerze było sześć kul. Robert przywiózł go z Wietnamu, gdzie służył jako doborowy „szczur tunelowy”.

Ostatnia rzecz, jaką Laura widziała tego dnia, był widok męża przykładającego lufę do podbródka i pociągającego za spust.

- Jak myślisz, ile kosztowały te pogrzeby? Trumny, ubrania, buty - trzeba było je pochować w butach - Kleenex, miejsce na cmentarzu, nagrobki, karawan, żałobnicy, kapłan, który pobłogosławi nieżyjącego szesnastolatka, nieżyjącą czternastolatkę i nieżyjącego pięciolatka? - Wiedziała, że jest jedyną osobą na sali, która zna odpowiedź, ponieważ sama wypisała czek. - Ile było warte ich życie, Martinie? Byli warci więcej dla społeczeństwa niż koszt utrzymania chorego człowieka w szpitalu? Czy tych troje dzieci nie było niczym więcej niż przekłętą poprawką?

Martinowi najwyraźniej zabrakło słów.

- No, słucham. - Laura czekała na odpowiedź. Wszyscy czekali.

W końcu Martin przerwał milczenie.

- Służył w armii. Szpital dla weteranów...

- Był przepełniony i niedoinwestowany - dopowiedziała Laura. - Robert przez rok był na liście oczekujących w departamencie do spraw weteranów. Nie było stanowego szpitala, do którego mógłby iść, ponieważ zabrakło stanowego finansowania. Zwykły szpital go odesłał. Robert zaatakował tam pielęgniarkę i zranił sanitariusza. Wiedzieli, że jest agresywny, ale przenieśli go do domu opieki, ponieważ nigdzie nie było dla niego miejsca. Domu opieki zarządzanego przez Queller Healthcare - dodała.

- Nie jesteś... - zaczął Martin. - Nie jesteś Alex Maplecroft. - Powszechnie szanowany myśliciel w końcu wyciągnął właściwy wniosek.

- Nie. - Laura włożyła rękę do torebki. Namacała papierową torbę.

Pojemniki z barwnikiem.

To one miały być w torbie.

W Kalifornii ustalili, że powinny zawierać czerwony barwnik. Miały rozmiar pagera. Banki chowały wybuchające pojemniki z farbą między plikami banknotów, by ewentualni rabusie zostali trwale poplamieni, kiedy spróbują przeliczyć łup.

Plan zakładał ujzienie Martina Quellera upokorzonego na oczach całego świata, poplamionego przysłowiową krwią jego ofiar.

Laura straciła wiarę w przysłowia, kiedy jej dzieci zginęły z ręki własnego ojca.

Wzięła głęboki oddech. Poszukała wzrokiem Jane.

Dziewczyna płakała. Pokręciła głową i bezgłośnie poruszyła ustami, wypowiadając słowo, jakie nigdy nie przeszłoby przez gardło jej ojcu:

- Przepraszam.

Laura posłała jej uśmiech. Miała nadzieję, że Jane zapamięta, co usłyszała od niej w barze. Naprawdę była niezwykła. W końcu odnajdzie własną drogę.

Dalej wszystko potoczyło się szybko, może dlatego, że Laura odtwarzała to w myślach wiele razy. Kiedy nie usiłowała przywołać wspomnień swoich dzieci: zapachu stópek Davida w niemowlęctwie; cichego pogwizdywania Petera, gdy rysował kredkami; zmarszczki na czole Lili, gdy patrzyła, jak oprawić zdjęcie. Czasem nawet Robert nawiedzał ją we wspomnieniach. Mężczyzna sprzed wypadku, który tańczył do melodii granej przez Jinx Queller w Hollywood Bowl. Chory rozpaczliwie pragnący wyzdrowieć. Agresywny pacjent w szpitalu. Awanturnik wyrzucany z kolejnych domów opieki. Bezdomny, regularnie aresztowany za kradzieże, napaści, picie w miejscu publicznym, natrętne zebractwo, zakłócanie porządku, włóczęgostwo, skłonności samobójcze, pogroźki o charakterze terrorystycznym, uparcie powtarzane groźby o ciężkim

uszkodzeniu ciała.

- W pewnym sensie miała pani szczęście - powiedział Laurze jej onkolog po strzelaninie. - Gdyby kula utknęła w plecach trzy centymetry niżej, badanie nigdy nie wykazałoby nowotworu.

Laura wsunęła rękę do papierowej torby.

Już kiedy wyciągała paczkę zza rezerwuaru w toalecie, wiedziała, że nie trzyma w dłoni uzgodnionego pojemnika z barwnikiem, ale coś znacznie lepszego.

Sześćostrzałowy rewolwer. Jak ten, którego użył jej mąż.

Najpierw strzeliła w głowę Martinowi Quellerowi.

Potem przyłożyła lufę pod brodę i odebrała sobie życie.

21 SIERPNIA 2018

8

Andy w stanie odrętwienia jechała przez Alabamę sekretnym samochodem swojej matki wypełnionym sekretnymi pieniędzmi. Zmierzała do miejsca, które Laura wzięła z sufitu. A może nie. Może dobrze wiedziała, co robi, ponieważ człowiek nie organizuje sobie tajnego magazynu z rzeczami potrzebnymi do rozpoczęcia wszystkiego od nowa, jeśli nie ma czegoś do ukrycia.

Fałszywe dokumenty tożsamości. Rewolwer z usuniętym numerem seryjnym. Zdjęcia Andy w śniegu – których ona sama nigdy nie widziała – trzymającej za rękę osobę, której nie pamiętała.

Zdjęcia zrobione polaroidem.

Andy wrzuciła je do torby plażowej i zostawiła na tylnym siedzeniu auta. Nie mogła wpatrywać się w nie bez końca, dociekając, co takiego przytrafiło się uwiecznionej na nich straszliwie zmalretowanej młodej kobiecie. Pobicie. Cios pięścią. Pogryzienie. Tak wyglądała rana na jej nodze. Zupełnie jakby zwierzę wyszarpało jej kawałek ciała.

Ta młoda kobieta była jej matką.

Kto tak skrzywdził Laurę? Ci, którzy nasłali na nią Kaptura? Ci, którzy teraz prawdopodobnie namierzali Andy?

Nie przyłożyła się do zatarcia za sobą śladów. Dopiero w Birmingham przypomniała sobie, że nie odłączyła kabli w aucie nieboszczyka. Laura mówiła, żeby zdezaktywować GPS. Czy nawigacja działa, kiedy silnik nie pracuje? Ustalanie położenia przez satelitę wymagało komputera pokładowego, a ten musiał być włączony, co oznaczało, że samochód musi zostać uruchomiony.

Prawda?

System lokalizacji i odzyskiwania skradzionych pojazdów Lojack miał własne zasilanie. Andy wiedziała o tym z komunikatów w dyspozytorni. Wiedziała też, że ford ma bezprzewodowy system SYNC, ale korzystanie z niego wymagało wyrażenia zgody na monitorowanie w czasie rzeczywistym. Nie sądziła, by człowiek, który tak skrętnie zasłonił wszystkie źródła światła w aucie, zrezygnował z anonimowości dla użycia komend głosowych do zlokalizowania najbliższej meksykańskiej restauracji.

Prawda?

Co się stanie, jeśli furgonetka zostanie znaleziona? Andy odtworzyła w pamięci sekwencję czynności.

Najpierw policja musiała zidentyfikować Kaptura, czyli niejakiego Samuela Godfrey'a Becketta. Zważywszy na jego zajęcie, powinien znajdować się w systemie. Wystarczyły zatem odciski palców, by mieć jego dane. Znając nazwisko, policja znajdzie numer rejestracyjny auta, przekaże go wszystkim policyjnym jednostkom w formie alertu na ekranie każdego radiowozu na obszarze trzech sąsiednich stanów.

Oczywiście to przewidywanie zakładało, że wszystko pójdzie zgodnie z procedurą. W rzeczywistości przez całą dobę spływało mnóstwo alertów i nawet te o najwyższym priorytecie uchodziły uwagi funkcjonariuszy na patrolach, którzy mieli mnóstwo do roboty na swojej zmianie, włączając w to uniknięcie postrzału. Dlatego zatrzymywanie radiowozu i czytanie powiadomienia często nie było priorytetem policjantów.

To niekoniecznie oznaczało, że Andy może być spokojna. Jeśli policjanci nie znajdą pikapa, to bibliotekarki albo gderliwy staruszek wygłaszający polityczną tyradę zgłoszą, że na

parkingu stoi porzucony samochód. Wtedy zjawi się policja. Funkcjonariusz sprawdzi rejestrację i numer nadwozia, zobaczy alert, powiadomi Savannah, a wtedy technicy znajdą w wozie jej buty, koszulę roboczą, odciski palców i ślady DNA.

Poczuła nagły ucisk w żołądku.

Jej odciski palców na rączce patelni można było wyjaśnić. Bardzo często smażyła jajka w kuchni matki. Ale kradzież auta nieżyjącego mężczyzny i przekroczenie granicy stanu były okolicznościami szczególnymi, co oznaczało, że jeśli Palazzolo oskarży Andy o zabójstwo Kaptura, prokurator może zażądać kary śmierci.

Kara śmierci.

Andy otworzyła usta, by złapać powietrze, gdy nagle dostała zawrotów głowy. Ręce znowu jej drżały. Łzy jak grochy popłynęły jej z oczu, zamazując obraz drzew migających za oknem. Powinna zgłosić się na policję. Nie powinna uciekać. Zostawiła matkę z całym tym bajzłem. Wbrew namowom Laury powinna zostać. Przynajmniej teraz nie czułaby się taka osamotniona.

Z gardła Andy wydobył się szloch.

- Weź się w garść. Przestań się mazać - nakazała sobie głośno.

Złapała mocniej kierownicę. Mruganiem osuszyła łzy. Laura kazała jej jechać do Idaho. W takim razie musi jechać do Idaho. Kiedy tam dotrze, może załamywać się i rozpaczać do woli, póki nie zadzwoni telefon i Laura nie powie, że można bezpiecznie wracać do domu. Mogła przez to przejść tylko wtedy, gdy posłucha poleceń Laury.

Laura kazała jej też odłączyć kable od akumulatora w fordzie.

- Cholera - mruknęła Andy, po czym przestroiała się na tryb Gordona, i dodała: - Co się stało, to się nie odstanie. -

Nieodwracalność tego stwierdzenia sprawiła, że ucisk w klatce piersiowej zelżał. Taka była prawda. Na to, czy policja znajdzie forda, czy nie, a jeśli znajdzie, to co z nim zrobi, Andy nie miała żadnego wpływu.

Teraz powinna się martwić o co innego: w którym momencie przeszła na tryb Google Incognito w bibliotece? Kiedy policja znajdzie forda, będzie rozmawiać z bibliotekarkami. I od nich się dowie, że Andy korzystała z komputera. O ile była pewna, że bibliotekarki staną okoniem – jako grupa zawodowa bibliotekarze byli w większości zadeklarowanymi zwolennikami pierwszej poprawki do konstytucji – nakaz zostanie wystawiony w ciągu godziny, a technik policyjny w kilka sekund odtworzy historię wyszukiwania.

Była pewna, że szukając informacji o Pauli Kunde z Austin w Teksasie, miała już włączony tryb incognito. Tylko czy było to przed, czy po wyznaczeniu trasy do Idaho?

Tego nie pamiętała.

Drugi powód do zmartwienia: co będzie, jeśli to nie policja zada te pytania bibliotekarkom? Co będzie, jeśli wszechwiedzący Oni wysłali kogoś na poszukiwania auta Kaptura i Oni będą rozmawiać z bibliotekarkami, i przeszukają pamięć komputera?

Wytała nos przedramieniem. Zwolniła, ponieważ przy prędkości powyżej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę auto zaczynało się trząść jak samolot w strefie turbulencji.

Czy naraziła życie innych ludzi, porzucając furgonetkę? Czy naraziła własne, wyznaczając trasę do Idaho? Podjęła kolejną próbę przypomnienia sobie wszystkich szczegółów poranka. Weszła do biblioteki, nalała sobie kawy i usiadła przed komputerem. Najpierw czytała *Belle Isle Review*, tak? A potem kliknęła w opcję wyszukiwania incognito?

Obdarzyła tryb Google Incognito wielkim zaufaniem. Mało prawdopodobne, by coś tak standardowego zwiodło policyjnego specja od komputerów. Powinna była wyczyścić pamięć podręczną, usunąć historię wyszukiwania i skasować wszystkie pliki cookies. Nauczyła się tego po kompromitacji, gdy Gordon przypadkiem zobaczył zapętlone sceny erotyczne z *Outlandera*, które ściągnęła z sieci, używając jego komputera.

Znowu wytarła nos. Policzki ją paliły. Zobaczyła znak:

FLORENCE 8 KM

Uznała, że jedzie w dobrym kierunku. Znajdowała się teraz gdzieś w lewym górnym rogu Alabamy. Nie zatrzymała się, by kupić mapę i wyznaczyć trasę do Idaho. Po wyjściu z magazynu miała jeden cel: jak najszybciej zostawić za sobą Carrollton. Miała zapiski zrobione w bibliotece, ale polegała głównie na tylnej stronie mapy Georgii, gdzie były reklamy innych map. Uproszczona i pomniejszona wersja mapy *The Contiguous United States of America* w cenie pięć dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów plus cena wysyłki. Dorastała, oglądając podobne mapy, dlatego dopiero po dwudziestce zrozumiała, jak wodospad Niagara może być podzielony między Kanadę i stan Nowy Jork.

Ułożyła plan: po wyjeździe z Alabamy przejedzie przez róg Tennessee, róg Arkansas, Missouri, kawałek Kansas, lewą część Nebraski, wreszcie Wyoming, a potem jeśli nie znajdzie się w Idaho, to strzeli sobie w łeb.

Pochyliła się, opierając brodę o trzęsącą się kierownicę. Czuła, że kręgi w dolnym odcisku kręgosłupa zamieniają się w kłującą opuncję. Znowu widziała niewyraźnie drzewa mijane za oknem. Nie płakała. Po prostu była wyczerpana. Powieki jej opadały, zupełnie jakby posmarowała je klejem.

Wyprostowała się i wcisnęła biały guzik przy radiu. Kręciła pokrętle w lewo i prawo. Znajdowała tylko kazania, wiadomości dla farmerów i muzykę country, ale taką, po usłyszeniu której człowiek ma ochotę przebić sobie uszy ołówkiem.

Otworzyła usta i krzyknęła, ile sił w płucach.

Poczuła ulgę, ale nie mogła krzyczeć przez resztę życia.

W pewnym momencie będzie musiała zatrzymać się i przespać. Pięć i pół godzinna jazda z Belle Isle dostatecznie ją zmęczyła. Kolejne cztery i pół trwała jazda z Carrollton zatłoczoną trasą. Dochodziła trzecia po południu. Prócz kilku godzin snu w mieszkaniu i drzemki na parkingu przed Walmartem nie spała od dwóch dni, kiedy wstała do pracy na poranną zmianę. W tym czasie przeżyła strzelaninę; widziała, jak matka została zraniona; siedziała z duszą na ramieniu pod drzwiami bloku operacyjnego; panikowała z powodu policyjnego przesłuchania i zabiła człowieka, nic więc dziwnego, że teraz chciała wymiotować, wrzeszczeć i płakać jednocześnie.

Nie mówiąc już o tym, że jej pęcherz zamienił się w butelkę gorącej wody i dręczył ją w środku. Od opuszczenia magazynu zatrzymała się tylko raz. Zjechała na pobocze, otworzyła przednie i tylne drzwi, schowała się za nimi i czekała na stosowną chwilę, a kiedy nic nie jechało, kucnęła i załatwiła się w trawie, ponieważ bała się spuścić auto z oczu.

Dwieście czterdzieści tysięcy dolarów.

Nie mogła zostawić takiej gotówki w aucie i biec do Burger Kinga. A zabranie z sobą walizki równałoby się noszeniu transparentu zachęcającego do rabunku. Co Laura wyrabiała z takimi pieniędzmi? Ile czasu zajęło jej zgromadzenie takiej kwoty?

Czy była bankowym rabusiem?

Wbrew pozorom pytanie wcale nie było takie głupie. Napad na bank wyjaśniłby obecność tych pieniędzy. I pasował do ironicznego odniesienia do D.B. Cooper w kanadyjskim dowodzie tożsamości. Może nawet do broni w schowku.

Serce podskoczyło jej w piersi na myśl o broni.

Problem polegał na tym, że bankowi złodzieje rzadko pozostawali nieuchwytni. Napad na bank był obarczony wysokim ryzykiem za niewysoką nagrodę, ponieważ to FBI nadzorowało wszystkie śledztwa dotyczące funduszy ubezpieczanych przez rząd federalny. Andy przyszło do głowy, że źródła tego prawa należy szukać w historii Bonnie i Clyde'a, Johna Dillingera albo administracji rządowej, która próbuje zabezpieczyć pieniądze obywateli.

Mimo wszystko nie potrafiła sobie wyobrazić Laury wkładającej kominiarkę i rabującej bank.

Przed strzelaniną w restauracji nie wyobrażała sobie jednak matki dźgającej chłopaka nożem w szyję.

Nie wyobrażała sobie swojej rozsądnej i odpowiedzialnej matki popełniającej jakiegokolwiek z tych wszystkich szaleństw, których była świadkiem w ciągu minionych trzydziestu sześciu godzin. Komandoskie unicestwienie zabójcy, ukryta kosmetyczka, kluczyk za fotografią, magazyn, pudełko po butach.

Wspomniała swoje zdjęcie z niemowlęctwa. W śniegu.

Tu pojawiało się pytanie rodem z filmów obyczajowych z kanału Lifetime Movies: Czy została porwana w dzieciństwie? Czy Laura wypatrzyła ją, gdy matka zostawiła ją w wózku przed sklepem albo gdy bawiła się bez opieki na placu zabaw, i zabrała ją z sobą?

Zerknęła w lusterko wsteczne. Taki sam jak u Laury kształt

oczu nie pozostawiał wątpliwości, czyją jest córką.

Polaroidowe zdjęcia pokazywały Laurę tak pobitą, że dolna warga była rozcięta na całej długości. Może Jerry Randall był złym człowiekiem. Może w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku bił Laurę, aż wreszcie miała dość, zabrała Andy i uciekła, a Jerry od tamtej pory ich szukał.

Był taki film z Julią Roberts. I z Jennifer Lopez. I z Kathy Bates. I z Ashley Judd, Keri Russell, Ellen Page...

Andy prychnęła.

Powstało mnóstwo filmów o kobietach mających dość życia z mężczyznami, którzy regularnie je tłukli.

Ale zdjęcia zrobione polaroidem oznaczały, że jej matka naprawdę była bita, więc może te filmy nie były czystym wymysłem scenarzysty.

Andy zorientowała się, że kręci bezwiednie głową.

Laura nie powiedziała: on cię namierzy. Wyraźnie powiedziała: Oni.

Idąc filmowym tropem, „Oni” to najczęściej były złowrogie korporacje, skorumpowani prezesi albo żądni władzy miliarderzy z branży technologicznej z nieograniczonymi funduszami. Andy usiłowała wymyślić scenariusz z każdym z nich i jej matką uwikłaną w jakiś spisek. W końcu doszła do wniosku, że musi przestać używać Netflix'a jako źródła informacji o zbrodniach.

Miała przed sobą zjazd na Florence. Nie mogła znowu kucnąć na drodze. Nie jadła lunchu, ponieważ nie zniosłaby kolejnego hamburgera zjedzonego w kolejnym aucie. Ta część mózgu, która zachowała jeszcze zdolność logicznego myślenia, podpowiadała, że nie pokona trzydziestogodzinnej trasy do Idaho bez przystanku na sen. W końcu będzie musiała zatrzymać się w jakimś hotelu.

A to znaczyło, że będzie musiała zdecydować, co zrobi z pieniędzmi.

Włączyła kierunkowskaz i skręciła do Florence. Tak długo działała na adrenalinie, że wykorzystowała niemal cały zasób. Minęła tablice z nazwami sześciu hoteli. Na światłach skręciła w prawo. Tak było łatwiej. Podjechała pod pierwszy motel, ponieważ był pierwszy. Troska o bezpieczeństwo i czystość przynależała do poprzedniego życia.

Mimo to serce jej waliło, kiedy wysiadała z furgonetki. Jednopiętrowy motel był betonowym budynkiem z lat siedemdziesiątych z ozdobną balustradą biegnącą wzdłuż całego pierwszego piętra. Zaparkowała krzywo tyłem, by ani na chwilę nie stracić z oczu tylnych drzwi auta. Ściskając kurczowo kosmetyczkę, weszła do holu i sprawdziła telefon. Laura nie dzwoniła. Rozładowała baterię do połowy od ciągłego podświetlania ekranu.

W recepcji siedziała starsza kobieta. Miała wysoko upięte włosy i mocną trwałą. Uśmiechnęła się do Andy. W holu były ogromne okna. Andy zerknęła za siebie. Samochód stał tam, gdzie go zostawiła. Nie wiedziała, czy wygląda dziwnie, raz po raz nerwowo rzucając głową, ale zależało jej tylko na jednym – paść na łóżko i zasnąć.

- Witam - odezwała się recepcjonistka. - Mamy pokoje na pierwszym piętrze, jeśli szukasz noclegu.

Andy czuła, że ostatnie czuwające jeszcze neurony odmawiają posłuszeństwa. Słyszała słowa recepcjonistki, ale nie wyłapała ich sensu.

- Chyba że chcesz pokój na parterze? - dodała kobieta po chwili.

Andy nie była w stanie podjąć decyzji.

- Uhm. - Tak zaschło jej w gardle, że ledwie mówiła. -

Dobrze.

Kobieta zdjęła klucz z haczyka na ścianie.

- Czterdzieści dolców za dwie godziny. Sześćdziesiąt za całą noc - powiedziała.

Andy wyjęła z kosmetyczki kilka dwudziestek.

- Czyli cała noc. - Recepcjonistka oddała jeden banknot i przesunęła książkę meldunkową po kontuarze. - Nazwisko, numer rejestracyjny, marka i model. - Spojrzała ponad ramieniem Andy na auto. - Rany, dawno takiego nie widziałam. Ciągle je produkują w Kanadzie? Wygląda, jakby dużo nim pani wyjeździła.

Andy trzy razy musiała spojrzeć na rejestrację, zanim prawidłowo zapisała kombinację liter i cyfr.

- Dobrze się czujesz, moja droga?

Andy poczuła zapach frytek. Burczało jej w brzuchu. Motel był połączony z restauracją. Czerwone boksy, mnóstwo chromowanych elementów. Ssanie w żołądku stawało się nieznośne.

Co ważniejsze: jedzenie czy spanie?

- Skarbie?

Andy odwróciła się. Recepcjonistka najwyraźniej oczekiwała jakiejś reakcji. Wychyliła się zza kontuaru.

- Dobrze się czujesz? - powtórzyła z niepokojem.

Andy próbowała przełknąć ślinę. Teraz nie mogła zachowywać się dziwnie. Nie powinna zostać zapamiętana.

- Dziękuję - wykrztusiła. - Jestem zmęczona. Jadę z... - szukała w myślach nazwy miejsca jak najdalej od Belle Isle. Zdecydowała się na inną wersję. - Siedziałam za kierownicą cały dzień. Odwiedzałam rodziców. W Iowa.

Kobieta zaśmiała się.

- Skarbie, coś mi się widzi, że przejechałaś Iowa o dobre

dziewięćset kilometrów.

Cholera!

Andy podjęła kolejną próbę. Szukała w myślach jakiegoś przekonującego kłamstwa.

- To samochód mojej babci. Byłam na plaży. W Alabamie. Nad zatoką. W miasteczku Mystic Falls. - Jezu, to zabrzmiało idiotycznie. Mystic Falls było miasteczkiem z *Pamiętników wampirów*. Musiała jakoś z tego wybrnąć. - Babcia spędza zimę na południu.

- Rozumiem. - Kobieta zerknęła na nazwisko, jakie Andy wpisała do książki meldunkowej. - Daniela Cooper. Ładnie.

Andy wbiła w nią nieruchome spojrzenie. Dlaczego napisała to nazwisko?

- Skarbie, potrzebujesz odpoczynku. - Kobieta podsunęła jej klucz. - Pierwsze piętro. W rogu. Tam poczujesz się bezpieczniej.

- Dziękuję - wydukała Andy. Znowu miała oczy pełne łez. Restauracja była na wyciągnięcie ręki. Powinna coś zjeść. Żołądek bolał ją tak bardzo, że nie wiedziała, czy z głodu, czy z powodu nadchodzącego ataku mdłości.

Przeszła obok auta. Pokonując kilkumetrowy dystans dzielący ją od drzwi restauracji, kurczowo ścisnęła w dłoniach kosmetyczkę. Słońce paliło ją w czubek głowy. Spociała się z gorąca. Stanęła pod drzwiami restauracji. Obejrzała się w stronę auta. Powinna wziąć z sobą walizkę? Jak to by wyglądało? Mogła ją wziąć do pokoju, ale jak zostawiłaby ją tam, kiedy...

Restauracja była pusta. Jedyne kelnerka czytała gazetę przy barze. Najpierw Andy poszła do damskiej toalety. Pęcherz zdecydował za nią. Tak się śpieszyła, że nie umyła rąk. Kiedy wyszła z łazienki, samochód nadal stał na parkingu. Nikt

w niebieskiej bejsbolówce i džinsach nie zaglądał przez okna. Nikt nie uciekał z walizką Samsonite 1989 w rękach.

Usiadła w boksie przy oknie wychodzącym na parking. Kosmetyczkę trzymała między nogami. Menu restauracji było długie i urozmaicone – od tacos po smażonego kurczaka. Oczywiście widziały słowa, ale zanim ich znaczenie dotarło do świadomości, Andy była kompletnie rozstrojona. Nie umiała podjąć decyzji. Mogła zamówić kilka dań, ale tym jeszcze bardziej zwróciłaby na siebie uwagę. Powinna wyjść, wsiąść do samochodu, minąć kilka zjazdów i znaleźć inny motel, w którym nie zachowałaby się jak idiotka. Mogła też podeprzeć głowę rękami i zostać w tym klimatyzowanym pomieszczeniu na kilka minut, usiłując zebrać myśli.

– Kochana?

Andy poderwała się kompletnie zdezorientowana. Zobaczyła nad sobą kobietę z motelu.

– Jesteś wykończona, co? – zapytała recepcjonistka. – Biedactwo. Powiedziałam, żeby pozwolili ci spać.

Żołądek podszedł Andy do gardła. Znowu zasnęła. W miejscu publicznym. Spojrzała w dół. Kosmetyczka nadal tkwiła między jej nogami. Na stole zobaczyła ślady śliny. Wytarła ją serwetką. Dłonią otarła usta. Wszystko dokoła niej wibrowało. Miała wrażenie, że ktoś przepuszcza jej mózg przez sokowirówkę.

– Powinnaś iść już do pokoju, moja droga. Tutaj robi się tłoczno.

Kiedy Andy weszła do restauracji, była jedyną klientką. Teraz sala wypełniała się ludźmi.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nic się nie stało. – Kobieta poklepała ją po ramieniu. – Poprosiłam Darlę, żeby przygotowała ci talerz. Zjesz tutaj czy wolisz go zabrać do pokoju?

Andy popatrzyła na nią pytająco.

- Zabierz do pokoju - powiedziała kobieta. - Skończysz jeść i zaraz położysz się spać.

Andy pokiwała głową z wdzięczności, że ktoś decyduje za nią. Wtedy przypomniała sobie o pieniądzach.

Zabolała ją szyja, gdy odwróciła się, by poszukać wzrokiem pikapa. Niebieski reliant nadal stał przed motelową recepcją. Czy ktoś otworzył bagażnik? Czy walizka nadal tam leżała?

- Z twoim autem wszystko w porządku - powiedziała kobieta i podała jej styropianowy pojemnik. - Weź jedzenie. Masz pokój na piętrze. Na końcu. Nie lubię umieszczać młodych kobiet na parterze. Takie stare babki jak ja z radością powitałyby nieznajomego mężczyznę pukającego do drzwi, ale ty... - Zachichotała gardłowo. - Trzymaj się z boku, a nic ci nie będzie.

Andy wzięła pudełko ciężkie jak blok cementu. Kosmetyczkę umieściła na górze. Nogi jej się trzęsły, gdy wstawała. Burczało jej w brzuchu. Zignorowała ludzi, odprowadzających ją wzrokiem na parking. Otworzyła bagażnik. Nie wiedziała, co zabrać do pokoju, więc na wszelki wypadek objuczyła się ponad miarę. Przewiesiła torbę plażową przez ramię, wsadziła śpiwór pod pachę, chwyciła rączkę walizki, a do wolnej ręki wzięła dwupiętrową konstrukcję złożoną ze styropianowego pojemnika i kosmetyczki.

Na półpiętrze musiała stanąć i poprawić niesiony bagaż. Miała wrażenie, że plecy ma jak z gumy. Albo nadal była wykończona, albo straciła masę mięśniową od siedzenia w aucie przez prawie dziesięć godzin.

Idąc wąskim balkonem na piętrze, patrzyła na numery pokoi. Pod niektórymi drzwiami leżały spalone grille w stylu japońskim, puste puszki po piwie, poplamione tłuszczem

opakowania po pizzy. Zapach dymu papierosowego był bardzo wyraźny. Przypomniała sobie Laure, jak wyciągała papierosa od sanitariusza przed szpitalem.

Tęskniła za chwilą, w której jej największym zmartwieniem był fakt, że matka trzyma papierosa kciukiem i palcem wskazującym jak ćpunka.

Za jej plecami ktoś otworzył drzwi. Wyłoniła się zza nich ręka, która upuściła puste opakowanie po pizzy na betonową posadzkę. Potem drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Próbowała uspokoić serce, które omal nie wyskoczyło jej z piersi na dźwięk otwieranych drzwi. Wzięła głęboki wdech, zatrzymała powietrze w płucach, po chwili wolno wypuściła. Poprawiła śpiwór pod pachą. W duchu wzywała ojca i próbowała ułożyć listę rzeczy, których nie może robić. Po pierwsze: musi przestać panikować przy każdym hałasie. Po drugie: nie wolno zasypiać w miejscach publicznych. Teoretycznie łatwe, w praktyce okazało się piekielnie trudne. Po trzecie: zdecydować, co zrobić z pieniędzmi. Po czwarte: znaleźć kolejną bibliotekę i poczytać *Belle Isle Review*. Po piąte: skończyć z dziwnym zachowaniem, ponieważ gdyby policja podążała jej śladem, pierwsza z brzegu osoba spośród potencjalnych świadków pomyślałaby właśnie o niej.

A wtedy policja pozna nazwisko Danieli Cooper oraz dane auta, i to będzie koniec.

Andy spojrzała na ulicę. Po drugiej stronie mieścił się bar. W oknach jarzyły się neony. Na parkingu stały ciężarówki. Ze środka dobiegały przytłumione dźwięki typowej barowej muzyki. W tym momencie tak bardzo zapragnęła się napić, że jej ciało bezwiednie zwróciło się w stronę knajpy jak roślina zwracająca się ku słońcu.

Dotarła do swojego pokoju. Postawiła walizkę i otworzyła

drzwi. W takich tanich motelach Laura zamawiała noclegi w czasie wakacji, gdy Andy była mała. Pojedyncze okno wyglądało na parking. Pod oknem terkotał klimatyzator. W pokoju stały dwa podwójne łóżka przykryte niezbyt świeżymi narzutami. Pod drugą ścianą stał plastikowy stół z dwoma krzesłami. Andy z radością położyła na nim ciężki pojemnik z jedzeniem. W komodzie z szufladami było miejsce na walizkę. Andy zarzuciła ją na górę. Położyła na łóżku śpiwór, torbę i kosmetyczkę. Opuściła roletę w oknie i zaciągnęła zaciemniające zasłony. A przynajmniej próbowała. Karnisz kończył się trzy centymetry bliżej niż okno, więc światło sączyło się do środka wzdłuż brzegu zasłon.

Na ścianie wisiał płaski telewizor. Przewody wisiały jak niesforne kosmyki włosów. Z przyzwyczajenia sięgnęła po pilota i włączyła odbiornik.

CNN. Prezenter pogody stał przed mapą. Andy nigdy z taką ulgą nie przyjęła ostrzeżenia o nadchodzącym huraganie.

Wyciszyła dźwięk, usiadła przy stole i otworzyła styropianowy pojemnik.

Smażony kurczak. Purée ziemniaczane. Fasolka szparagowa. Muffinka z mąki kukurydzianej. Powinna czuć obrzydzenie, ale w jej żołądku zaburczało.

Brakowało sztucców, ale poradziła sobie bez nich. Najpierw zjadła purée, nabierając je udkiem kurczaka. Potem zjadła udko, fasolkę włożyła do ust palcami, muffinką wytarła do sucha wszystkie płynne resztki. Dopiero po zamknięciu pojemnika zobaczyła, jakie ma brudne ręce. Ostatni raz myła je u siebie w mieszkaniu. Najczystszą rzeczą, jakiej od tamtej pory dotknęła, było chyba biurko w sekretnym magazynie Laury.

Spojrzała na telewizor. Jak na zawołanie huragan ustąpił

miejsca informacjom o jej matce. Nagranie z restauracji zatrzymano na kadrze przedstawiającym Laurę z uniesionymi dłońmi, pokazującą Jonahowi Helsingerowi liczbę kul.

Dziwnie to wyglądało. Cztery palce u lewej ręki i jeden u prawej. Dlaczego nie odliczyła pięciu kul pięcioma palcami jednej ręki?

Po chwili obraz z restauracji zastąpiła fotografia. Serce Andy podskoczyło na widok Laury. Miała na sobie swój standardowy wyjściowy strój: prostą czarną sukienkę i kolorowy jedwabny szal. Andy uklękła przed telewizorem, by przyjrzeć się szczegółom. Płaska klatka piersiowa z jednej strony. Krótkie włosy. Za Laurą rozświetlona gwiazda na czubku choinki. Ręka na jej talii musiała należeć do Gordona, chociaż jego samego nie było w kadrze. Fotografia pochodziła najprawdopodobniej z ostatniego przyjęcia gwiazdkowego w firmie Gordona, których Laura nigdy nie opuszczała, nawet kiedy chcieli się pozabijać. Uśmiechała się do obiektywu z lekką rezerwą, którą Andy zawsze nazywała w myślach „tryb żony Gordona”.

Pogłodziła dźwięk.

- ...na wypadek, gdyby to miało się powtórzyć. Ashleigh?

Andy przegapiła relację. Kamera pokazała teraz Ashleigh Banfield, która powiedziała:

- Dziękuję, Chandro. Mamy najnowsze informacje na temat strzelaniny w hrabstwie Green w Oregonie.

Andy ponownie wyciszyła dźwięk. Usiadła na skraju łóżka. Na ekranie podzielonym na dwie części widziała reporterkę stojącą przed zapuszczonym domem otoczonym policyjnymi antyterrorystami. Napis na ekranie głosił:

MĘŻCZYNA ZABIŁ WŁASNĄ MATKĘ, DWOJE DZIECI I PRZETRZYMUJE RANNA ŻONĘ JAKO ZAKŁADNICZKĘ, ŻĄDAJĄC PIZZY I PIWA.

Kolejna strzelanina.

Andy zaczęła skakać po kanałach. Chciała znowu zobaczyć zdjęcie Laury. MSNBC. Fox. Lokalne telewizje informacyjne. Wszystkie pokazywały na żywo relację z miejsca, gdzie mężczyzna domagał się pizzy po zamordowaniu prawie całej rodziny.

To dobrze czy źle? Pytanie nie dotyczyło faktu zabójstwa, ale tego, że telewizje pokazują to na żywo. Czy to oznacza, że przestaną mówić o Laurze? Czy pojawiła się nowa „maszyna do zabijania”, którą należy przedstawić opinii publicznej?

Andy kręciła głową, jeszcze zanim zadała sobie oczywiste pytanie: A gdzie relacja o ciele Samuela Godfrey'a Becketta znalezionego w bungalowie Laury Oliver przy plaży? To była medialna bomba. Ofiara została powalona patelnią, prawdopodobnie przez kobietę, która kilkanaście godzin wcześniej zabiła syna policjanta.

Napisy na pasku w dole ekranu prezentowały zwyczajowe treści: rezygnacja kolejnego senatora prawdopodobnie z powodu oskarżeń o molestowanie seksualne, uzbrojony człowiek zastrzelony przez policję, wzrost stóp procentowych, wzrost kosztów opieki zdrowotnej, spadki na giełdzie.

O Kapturze ani słowa.

Andy zmarszczyła brwi. To nie miało sensu. Czy Laurze udało się nie wpuścić policjantów do domu? Niby jak? W esemesie wysłanym na telefon alarmowy Andy dostarczyła im powodu do zgodnego z prawem wyważenia drzwi. Dlaczego telewizje nie prześcigały się w informowaniu, że „Maszyna do zabijania znowu atakuje”? Nawet przy relacji z akcji policyjnych antyterrorystów w Oregonie, ostatnim pokazywanym wizerunkiem Laury powinna być jej fotografia z kartoteki policyjnej albo nagranie, jak skuta wchodzi do aresztu, a nie

zdjęcie z przyjęcia bożonarodzeniowego.

W mózgu Andy kłębiły się pytania bez odpowiedzi.

Opadła na łóżko. Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, wokół zaciągniętych zasłon nie było światła. Spojrzała na zegarek. Wpół do dziesiątej wieczorem.

Powinna spać dalej, ale oczy nie chciały się zamykać. Patrzyła na brązowe plamy na suficie o fakturze popcornu. Co robi teraz jej matka? Czy jest w domu? Czy rozmawia z Gordonem w więzieniu przez grubą szybę? Odwróciła głowę w stronę telewizora. Ciągłe pokazywali antyterrorystów w Oregonie. Wykrzywiła nos. Narzuta śmierdziała, jakby spał na niej niedźwiedź. Andy uniosła ręce i powąchała pachy.

Fuj!

To ona była niedźwiedziem.

Sprawdziła zamek w drzwiach, zasunęła zasuwę i podstawiła krzesło pod drzwi, blokując gałkę. Ktoś oczywiście mógł zbić wielkie okno, by wejść do środka, ale gdyby to zrobił, i tak miała przechłapanie. Zdjęła dzinsy, koszulę i bieliznę. Stanik był okropny, fiszbin otarł jej skórę pod pachą. Andy wrzuciła go do umywalki i odkręciła zimną wodę.

Motelowe mydło miało rozmiar kamyka i pachniało przekwitającymi kwiatami. Wzięła je pod prysznic. Między mydłem a szamponem w mikroskopijnej łazience rozniosła się woń burdelu. Przynajmniej tak Andy wyobrażała sobie zapach burdelu.

Zakręciła wodę i wytarła się nieprzyjemnym w dotyku motelowym ręcznikiem. Mydło rozpadło się na kawałki, gdy próbowała wyprać nieświeży stanik. Po wyjściu z łazienki rozsmarowała na ciele marny balsam. Wytarła dłonie ręcznikiem, by usunąć z nich resztki balsamu, potem umyła je wodą, by usunąć kłaczki z ręcznika.

Rozwinęła śpiwór na łóżku i rozpięła zamek. Materiał był gruby, z syntetycznym wypełnieniem, wodoodporną warstwą wierzchnią i flanelowym wkładem. W Belle Isle nie używało się takich rzeczy. Może Laura nie wzięła tego Idaho z sufitu.

Andy otworzyła walizkę i wyjęła z niej pierwszą warstwę dwudziestek. Dziesięć na długość, trzy na szerokość, razy dwa tysiące to... mnóstwo pieniędzy do schowania w śpiworze.

Ułożyła pliki płasko w nogach śpiwora. Wygładziła materiał i zapięła zamek. Zaczęła zwijać śpiwór poczynawszy od dołu, ale pieniądze przemieściły się w jedno miejsce. Wzięła głęboki wdech. Rozwinęła śpiwór. Włożyła rękę do środka i przesunęła pieniądze ku środkowi. Ostrożnie zwinęła śpiwór od góry, zapięła taśmą z rzepem i cofnęła się, by ocenić efekt.

Śpiwór wyglądał jak śpiwór.

Andy oceniła jego wagę. Był cięższy niż zwykły śpiwór, ale nie przesadnie. Nie wzbudzał podejrzeń, że kryje w sobie małą fortunę.

W walizce została jedna trzecia pieniędzy. Żli ludzie w filmach zawsze lądowali na dworcu kolejowym, gdzie chowali gotówkę w skrytkach bagażowych, jednak Andy wątpiła, by we Florence w Alabamie była stacja kolejowa.

Najlepszym rozwiązaniem było rozdzielenie gotówki. Andy mogła schować część w samochodzie. W zapasowym kole w bagażniku. Tym sposobem, gdyby nagle straciła śpiwór, mogła wskoczyć do auta i nadal mieć pieniądze. Z tego samego powodu mogła włożyć trochę gotówki do torebki. Tyle że zostawiła ją w swoim mieszkaniu.

Znalazła w szufladzie motelowy notes. Wyrwała kartkę i napisała na górze: „torebka”. Potem: „mydło, balsam, stanik”.

Wysypała zawartość białej torby plażowej na łóżko. Latarka. Baterie. Trzy książki w miękkiej oprawie. Nieprzeczytane.

Tytuły popularne w poprzedniej epoce. Plastikowa apteczka. W apteczce plastry opatrunkowe. Zakleiła zadrapanie na pieszczeli. Nagle przypomniała sobie, że zdarła skórę pedałem roweru. Odkaziła pęcherze chusteczkami odświeżającymi. Potrzebowała czegoś więcej niż plastrów, by włożyć na nogi coś więcej niż crocsy. Na krawędzi stopy miała skaleczenie, które wyglądało źle. Zalepiła je kolejnym plastrem, modląc się, by to wystarczyło.

Bandaż elastyczny podsunął jej myśl. Mogła owinąć się w pasie bandażem i schować tam trochę pieniędzy. Prowadzenie auta byłoby trochę niewygodne, ale należało mieć trochę pieniędzy jak najbliżej siebie.

Czy to był dobry pomysł? Przypomniała sobie historię usłyszaną w telewizji NPR. Na odludziu policjanci zmuszali kierowców do zjechania na bok i konfiskowali im gotówkę. Przepadek mienia. Z kanadyjską rejestracją mogła stać się łatwym celem.

Otworzyła kosmetyczkę i podniosła klapkę telefonu. Żadnych połączeń przychodzących.

Wyjęła prawo jazdy Daniela Cooper. Wzięła kanadyjski dowód tożsamości, kartę ubezpieczenia zdrowotnego i dowód rejestracyjny auta, kiedy wychodziła z magazynu. Przyjrzała się zdjęciu matki. Zawsze wyglądały jak matka i córka. Nawet obcy ludzie im to mówili. Zdradzały je oczy, ale obie miały też twarze w kształcie serca i taki sam brązowy odcień włosów. Andy zapomniała, że Laura farbowała je na ciemno. Po leczeniu onkologicznym nabrały niezwykłego odcienia szarości. Teraźniejsza Laura nosiła modną krótką fryzurę, ale Laura na zdjęciu w prawie jazdy miała włosy do ramion. Włosy Andy też sięgały ramion. Ale ona zawsze wiązała je w koński ogon, ponieważ była zbyt leniwa, żeby bawić się w wymyślniejsze

fryzury.

Spojrzała w lustro wiszące naprzeciw łóżka i zobaczyła skonaną twarz z podkrążonymi oczami. Jej odbicie wyglądało na więcej niż trzydzieści jeden lat, ale czy mogła uchodzić za kobietę ze zdjęcia? Wzięła do ręki prawo jazdy. Patrzyła raz po raz to na zdjęcie, to na swoje odbicie. Zmierzyła mokre włosy. Spuściła grzywkę na czoło. Pomogłoby czy raczej przeszkodziło w udawaniu kobiety o dwadzieścia cztery lata starszej niż w rzeczywistości?

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Przepełkała stanik w umywalce. Hotelowe mydło nadało mu zapach odbytu panny Havisham z *Wielkich nadziei*, ale to i tak był postęp. Zawinęła go w ręcznik i wyciskała wodę, przy okazji przenosząc mnóstwo białych kłaczek na materiał. W końcu sięgnęła po suszarkę do włosów. Strumień gorącego powietrza zrobił swoje. Potem wysuszyła włosy, mierzwiąc je bardziej niż zwykle. Ułożyła je tak, by opadały na twarz podobnie jak u Laury na zdjęciu z kanadyjskiego prawa jazdy. Włożyła czyste dżinsy i świeżą białą koszulkę polo. Wsuwając stopy w crocсы, syknęła z bólu. Potrzebowała skarpetek i porządnych butów. Oraz szczegółową listę potrzeb na papierze.

Złapała plik dwudziestek, w którym były dwa tysiące dolarów, podzieliła go na dwie części i wsadziła do dwóch tylnych kieszeni. Dżinsy były stare, szyte w czasach, kiedy producenci wyposażali damskie ubrania w użyteczne kieszenie. Mimo to banknoty odstawały jak dwa wielkie telefony komórkowe. Andy przeniosła kilka warstw do przedniej kieszeni i spojrzała w lustro. Efekt ją zadowolił.

Kolejne paczki dwudziestek wetknęła pod materac. Inne zawinęła w mokry ręcznik, który artystycznie ułożyła na podłodze w łazience. Reszta znalazła się na dnie plażowej

torby. Na wierzch położyła książki w miękkich okładkach, apteczkę i kosmetyczkę.

Po tych manewrach została jeszcze jedna warstwa banknotów na dnie walizki. Długa na dziesięć paczek, szeroka na trzy. Dziesięć razy trzy, razy dwa tysiące dolarów, dawało... mnóstwo pieniędzy w walizce. Andy zamknęła ją i zostawiła na widoku. Jeśli ktoś włamie się do pokoju, tak się podekscytuje gotówką w walizce, że nie będzie już szukał reszty pieniędzy w innych miejscach.

Przewiesiła torbę plażową przez ramię i wyszła z pokoju. Wieczorne powietrze uderzyło ją w twarz jak nagły podmuch gorąca z wnętrza piekarnika. Schodząc po schodach, omiotła wzrokiem parking. Kilka zielonych furgonetek Serv-Pro. Czerwona furgonetka z podobizną Trumpa z jednej strony i flagą Konfederacji z drugiej. Mustang z lat dziewięćdziesiątych, którego przedni zderzak trzymał się na srebrnej taśmie izolacyjnej.

Restauracja w motelu była zamknięta. W biurze nadal paliło się światło. Andy przypuszczała, że dochodzi dziesiąta. Recepcjonista siedział za kontuarem z nosem w telefonie.

Andy usiadła za kierownicą i przestawiła samochód w odległy koniec parkingu. Na budynku motelu wisiały reflektory, ale część żarówek się nie świeciła. Andy poszła na tył samochodu i otworzyła bagażnik. Sprawdziła, czy nikt jej nie obserwuje, a potem podniosła pokrywę wyściełającą dno przestrzeni ładunkowej pikapa.

Jezu!

Jeszcze więcej pieniędzy. Tym razem paczki setek poupychane w wolnych przestrzeniach wokół zapasowego koła.

Szybko opuściła pokrywę. Zamknęła drzwi bagażnika. Wsparła się o nie ręką. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi.

Powinna się cieszyć, że matka rozparcelowała pieniądze w taki sam sposób, w jaki ona zamierzała to zrobić, czy raczej powinna przerazić się precyzją, z jaką Laura zaplanowała ucieczkę?

Zadała sobie pytanie, czy mieściła się w planie zniknięcia, ponieważ wszystko, co dotąd znalazła, wskazywało, że prysnąć miała jedna osoba.

Zachodziła w głowę, która Laura jest jej prawdziwą matką: ta, która kazała Andy dać jej spokój? Czy raczej ta, która powiedziała, że wszystko, co robiła w życiu, robiła dla niej?

- Dobrze - wymamrotała zadowolona, że to pytanie w końcu padło, ale w pełni gotowa na tym skończyć swoje rozważania.

Nowa Andy, która liczyła, wytyczała trasę podróży, przewidywała konsekwencje i rozwiązywała problem z pieniędzmi, męczyła starą Andy, która rozpaczliwie potrzebowała drinka.

Idąc do baru naprzeciwko motelu, niosła torbę plażową jak zwykłą torebkę. Na parkingu przed barem stało sześć furgonetek, wszystkie z napisami na bokach: Joe Hydraulik, Bubba - Usługi Ślusarskie, Kosiarze Kneppera. Andy przyjrzała się tej ostatniej, która najwyraźniej należała do ogrodnika. Logo z wąsatym konikiem polnym trzymającym nożyce ogrodowe dopełniał napis z obietnicą: „Przywracamy trawniki do życia!”.

Kiedy weszła do baru, skupiła na sobie spojrzenia wszystkich par oczu. Próbowwała udawać swobodę, ale będąc jedyną kobietą, nie czuła się swobodnie. W kącie ryczał telewizor, bo leciała transmisja z jakichś zawodów sportowych. Większość facetów siedziała pojedynczo albo we dwóch w boksach. Dwóch stało przy stole bilardowym. Obaj zastygli w bezruchu z kijami celującymi w powietrze i obserwowali każdy krok Andy

w drodze do baru.

Przy kontuarze siedział tylko jeden klient, całkowicie pochłonięty telewizyjną relacją. Andy usiadła jak najdalej od niego. Tyłek zwisał jej ze stołka. Torba znalazła się między jej ramieniem a ścianą.

Barman podszedł do niej wolno, zarzucając biały ręcznik na ramię.

- Czego sobie życzysz, laleczko?

Żebyś mnie nie nazywał laleczką.

- Wódkę z lodem - odparła, ponieważ pierwszy raz od czasu nauki w college'u jej kredyt studencki nie dyktował wyboru drinków.

- Masz dokument?

Wyjęła prawo jazdy Laury z kosmetyczki i przesunęła w jego stronę.

Rzucił na nie okiem.

- Wódka z lodem, tak?

Andy posłała mu niechętne spojrzenie.

Barman przygotował drinka przy niej, dodając więcej lodu, niż chciała.

Wyjęła jedną z dwudziestek w tylnej kieszeni. Odczekała, aż barman odejdzie. Potem próbowała opanować chęć rzucenia się na wódkę jak drapieżnik na ofiarę. „Zastrzyk dla osobowości” - tak jej współlokatorki zwykły nazywać pierwszego drinka pitego wieczorem. Płynna odwaga. Bez względu na nazwę, chodziło o to, by zagłuszyć wewnętrzny głos przypominający o wszystkim, co poszło w życiu źle.

Wychyliła wódkę jednym haustem. Uczucie kuli ognia w gardle, przesuwanej się do żołądka, przyniosło ulgę. Pierwszy raz od dawna zniknęło napięcie mięśni karku i pleców.

Barman przyniósł resztę. Zostawiła ją na barze i gestem wskazała szklaneczkę. Nalał jej kolejną porcję wódki i oparł się o kontuar, by oglądać telewizję. Jakiś łysawy gość w garniturze mówił o prawdopodobnym zwolnieniu jakiegoś trenera.

- Brednie - wymamrotał pod nosem człowiek na drugim końcu baru. Potarł brodę pokrytą kilkudniowym zarostem. Z jakiegoś powodu Andy zapatrzyła się w jego dłoń. Miał długie wąskie palce, jak cała jego reszta. - Nie do wiary, co ten kretyn opowiada.

- Mam wyłączyć? - zapytał barman.

- Tak. Po co słuchać tego gówna? - Gość zdjął ciemnoczerwoną bejsbolówkę i rzucił ją na kontuar. Przejechał palcami po gęstych włosach. Odwrócił się ku Andy i nagle otworzył usta ze zdumienia.

Alabama.

Facet ze szpitala.

Była tego pewna.

- Znam cię. - Wycelowwał w nią palcem. - Zgadza się? Znam cię.

Strach ścisnął ją za gardło.

Co on tu robił? Śledził ją?

- Byłaś w... - Wstał. Był wyższy, niż pamiętała. I szczuplejszy.
- Śledzisz mnie? - Chwycił czapkę i ruszył ku Andy.

Spojrzała w stronę drzwi. Blokował jej drogę. Był coraz bliżej. Wreszcie stanął tuż przed nią.

- Jesteś tą samą dziewczyną, tak? - Czekał na odpowiedź, której Andy nie mogła mu dać. - Ze szpitala?

Miała za plecami ścianę. Była zablokowana.

Irytacja na jego twarzy przeszła w troskę.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Andy nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Ej, stary! - Alabama zawołał do barmana. - Co jej dałeś?

Barman zrobił obrażoną minę.

- Co ty sugerujesz...

- Przepraszam. - Alabama uniósł dłoń, nie spuszczać wzroku z Andy. - Co ty tu robisz?

Andy nie była w stanie przełknąć śliny, co dopiero mówić.

- Pytam poważnie. Śledziłaś mnie?

- Ona jest z Kanady - wtrącił barman, jakby to miało wyjaśnić sprawę.

- Z Kanady? - Alabama skrzyżował ramiona. Wyglądał na zaniepokojonego. - To bardzo dziwny zbieg okoliczności. - Potem zwrócił się do barmana: - Widziałem ją wczoraj w Savannah. Mówiłem ci, że moja babcia kiepsko się czuje. Musiałem ją odwiedzić. A teraz stoi przede mną kobieta, którą widziałem przed szpitalem w dniu wyjazdu. Dziwne, co?

- Dziwne - przytaknął barman.

Alabama zapytał Andy:

- Odezdziesz się do mnie w końcu?

- Właśnie - zawtórował mu barman. - Co jest, mała? Nękasz tego gościa? - Po tym pytaniu rzucił do Alabamy: - Mogłeś trafić gorzej, stary.

- To wcale nie jest zabawne - stwierdził Alabama. - Wytłumacz się, milczku. Czy wolisz, żebym wezwał policję? - zapytał.

- Ja... - Andy nie mogła na to pozwolić. - Nie wiem. - Uświadomiła sobie, że to za mało. - Odwiedzałam matkę. I... - Cholera. Co mogła powiedzieć? Jak mogła odwrócić tę sytuację na swoją korzyść?

Gordon w jej głowie podpowiedział rozwiązanie. Mogła odwrócić kota ogonem.

- Co ty tu robisz? - odpowiedziała pytaniem na pytanie,

nadając głosowi stanowczy ton.

- Ja?

Andy udała oburzenie.

- Ja tędy przejeżdżałam. Dlaczego ty mnie śledzisz?

- Co? - Alabama wydawał się całkowicie zaskoczony.

- Ty - powtórzyła, ponieważ jego obecność w tym miejscu również nie miała sensu. - Wracam z odwiedzin u rodziców. Dlatego tu jestem. - Wyprostowała ramiona. - A ty? Dlaczego tu jesteś?

- Dlaczego tu jestem? - powtórzył i sięgnął za siebie.

Andy przygotowała się na widok policyjnej odznaki albo - co gorsza - broni.

Alabama wyjął portfel, a z niego prawo jazdy. Podsunął jej pod nos.

- Ja tu mieszkam - powiedział.

Andy spojrzała na nazwisko.

Michael Benjamin Knepper.

- Mike Knepper. K jest nieme - przedstawił się Alabama.

- Mi'e? - rzuciła ten żart odruchowo, zanim ugryzła się w język.

Zaśmiał się zaskoczony. A potem wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jasny gwint, przez trzydzieści osiem lat mojego życia nikt tak nie zażartował.

Barman też się śmiał. Musieli się znać, co miało sens, ponieważ byli w podobnym wieku. W tak niedużym mieście pewnie chodzili razem do szkoły.

Andy poczuła lekką ulgę. To był jednak przypadek.

Czy aby na pewno?

Nie przyjrzała się zdjęciu w prawie jazdy. Nie sprawdziła, z jakiego jest miasta.

- Zabawna jesteś. - Mike już chował portfel do kieszeni. - Co piłaś?

- Wódkę - barman wyręczył ją w odpowiedzi.

Mike pokazał barmanowi dwa palce i usiadł na stołku obok Andy.

- Jak twoja mama?

- Mama... - Nagle Andy poczuła się wstawiona. Nie powinna więcej pić.

- Halo! Jesteś tam? - zapytał Mike.

- Z mamą wszystko dobrze. Potrzebuje tylko odpoczynku.

- No myślę. - Znowu podrapał się po brodzie.

Andy starała się nie zerkać na jego palce. Mike wyglądał jak mężczyzna, a to przyciągało jej uwagę. Randkowała tylko z facetami, którzy wyglądali jak faceci. Jej ostatni prawie chłopak golił się raz w tygodniu i potrzebował ostrzeżenia za każdym razem, gdy Andy opowiadała o telefonach, jakie przyjęła w trakcie zmiany.

- Proszę. - Barman postawił przed Mikiem butelkę Sama Adamsa, a przed Andy nową szklaneczkę wódki. W tej było mniej lodu, a więcej alkoholu. Zasalutował i odszedł na drugi koniec baru.

- Za zbiegi okoliczności. - Mike wzniosł swoje piwo.

Andy stuknęła kieliszkiem w butelkę. Nie patrzyła na jego dłonie. Pociągnęła łyk, zanim przypomniała sobie, że miała tego nie robić.

- Ładnie wyglądasz - skostatował Mike.

Andy poczuła, że się rumieni od szyi w górę.

- Serio. Co robisz w Muscle Shoals?

Pociągnęła kolejny łyk, dając sobie czas na zastanowienie.

- Myślałam, że to Florence.

- Co za różnica. - Uśmiechnął się krzywo. W brązowych

tęczówkach miał plamki barwy umbry. Flirtował z nią? Nie mógł tego robić. Był zbyt przystojny, a ona zawsze wyglądała jak czyjaś młodsza siostra.

- Powiesz mi, czemu tu jesteś, czy mam zgadywać?

Andy myślała, że zaraz się rozpłacze. Kamień spadł jej z serca.

- Zgaduj.

Zmrużył lekko oczy, patrząc na nią, jakby była szklaną kulą.

- Ludzie przyjeżdżają tu z powodu magazynów książek albo z powodu muzyki, ale sądząc z twojej rockandrollowej fryzury, obstawiam muzykę.

Podobał jej się komplement dotyczący jej włosów, chociaż za nic nie pojmowała, o co chodzi z tą muzyką.

- Może być muzyka.

- Musisz się umówić w studiach nagraniowych na konkretny termin. - Nie spuszczał wzroku z jej warg, patrząc na nie w oczywisty sposób. A może wcale nie tak oczywisty. Może po prostu wyobraziła sobie te iskierki w jego cudownych oczach, ponieważ w jej długiej historii bycia Andy żaden mężczyzna nigdy nie flirtował z nią tak otwarcie.

- Nikt nie gra wieczorami w weekend, ale nad rzeką jest bar...

- Tuscumbia - podpowiedział barman.

- Tak, mnóstwo tam muzyków, chodzą do klubów i pracują nad nowym materiałem. Możesz sprawdzić w Internecie, kto tam będzie. - Wyjął z kieszeni telefon. Andy patrzyła, jak wstukuje kod. Same trójki. - Wiesz, że moja mama w młodości widziała George'a Michaela, gdy pracował nad *Careless Whisper*?

Andy potrząsnęła głową. Mike był po prostu miły. Nie flirtował. Była tu jedyną kobietą, a on był najprzystojniejszym

mężczyzną, więc rozumiało się samo przez się, że to on z nią rozmawia.

Tylko czy ona powinna się odszczekiwać? Mike był w szpitalu, a teraz jest tutaj. Czyli coś się nie zgadzało. Powinna stąd iść. Tyle że nie chciała.

Kiedy wahadło wątpliwości wychylało się w jej stronę, Mike urokiem osobistym przyciągał je znowu ku sobie.

- Popatrzmy. - Położył telefon na kontuarze, żeby Andy mogła widzieć ekran. Otworzył stronę z długą listą nazwisk, których nigdy nie słyszała, i nazwami klubów, do których nigdy nie pójdzie.

Z uprzejmości udała, że czyta listę. Potem zadała sobie w duchu pytanie, czy Mike czeka, aż ona zaproponuje wspólne wyjście do jakiegoś klubu, a zaraz potem pomyślała, że spaliłaby się ze wstydu, gdyby zaprosiła Mike'a, a on by odmówił. Pod wpływem tej myśli wychyliła drinka do końca i dała znak, że chce następnego.

- Dokąd jedziesz? - zapytał Mike.

Andy omal nie zdradziła kierunku podróży, ale zostały w niej jeszcze resztki zdrowego rozsądku w morzu wszechogarniającego zadowolenia wywołanego jego zainteresowaniem.

- Co ci się stało w głowę? - zapytała. Wcześniej tego nie zauważyła, ale miał na skroni przezroczyste plastry trzymające w ryzach brzegi poważnie wyglądającego rozcięcia.

- Podkaszarka strzeliła mi kamieniem w twarz. Źle to wygląda?

Nic nie było w stanie sprawić, by źle wyglądał.

- Skąd wiedziałeś, że to mój ojciec?

Na twarzy Mike'a znowu pojawił się krzywy uśmiezek.

- Podkaszarka?

- Ten facet z nami. Prowadził auto, w szpitalu wczoro... przedwczoraj, wszystko jedno. - Andy straciła rachubę czasu. - Powiedziałaś mojemu ojcu, że bardzo ci przykro z powodu tego, co spotkało jego rodzinę. Skąd wiedziałaś, że to mój ojciec?

Mike potarł brodę.

- Jestem wścibski - przyznał z zawstydzaniem pomieszanym z dumą. - To wina moich trzech starszych sióstr. Zawsze wszystko przede mną ukrywały, więc musiałem rozwinąć w sobie wścibstwo jako strategię przetrwania.

- Nie wypiałam aż tyle, by nie zauważyć, że nie odpowiedziałaś na pytanie. - Andy nigdy nie werbalizowała swoich myśli w taki sposób, co powinno zadziałać jak ostrzeżenie, ale miała już dość ciągłego strachu. - Skąd wiedziałaś, że to mój ojciec?

- Z twojej komórki - przyznał. - Widziałem, jak wchodzisz w zakładkę WIADOMOŚCI, a na górze było TATA. Napisałaś: „Pośpiesz się”. - Wskazał palcem oczy. - Chodzą, dokąd chcą. - I jakby zamierzając udowodnić prawdziwość tej deklaracji, znowu powędrował wzrokiem ku jej ustom.

Andy użyła resztek zdrowego rozsądku, by odwrócić się w stronę baru. Zaczęła toczyć szklaneczkę między dłońmi. Musiała przestać zachowywać się jak kretyńska. Mike flirtował z nią, chociaż nikt inny z nią nie flirtował. Był w szpitalu, a teraz znalazł się setki kilometrów dalej w miasteczku, o którym nigdy nie słyszała, zanim nie zobaczyła jego nazwy na drogowskazie. Odkładając na bok jej przestępcze przedsięwzięcie, obecność Mike'a w tym miejscu przyprawiała ją o gęsią skórkę. Zresztą nie chodziło tylko o to, że tu jest, ale o to, jak się do niej uśmiecha, jak spogląda na jej usta, jak sprawia, że czuje się seksowna, jak stawia jej drinki.

Ale Mike tu mieszkał. Barman go znał. A jego wyjaśnienie

miało sens, zwłaszcza w kwestii Gordona. Pamiętała, że stał tuż przy niej, gdy przed wejściem do szpitala pisała esemesa. Pamiętała swoje gniewne spojrzenie, jakim posłała go na ławkę po drugiej stronie wejścia.

- Dlaczego zostałeś? - zapytała.

- Gdzie?

- Przed szpitalem. - Obserwowała jego twarz w poszukiwaniu oznak kłamstwa. - Odsunąłeś się, ale nie wróciłeś do środka. Usiadłeś na ławce przed szpitalem.

- Aha. - Mike pociągnął łyk piwa. - Mówiłem, że moja babcia jest chora. Ma trudny charakter, co jest kłopotliwe, ponieważ jak sama powiedziała: kiedy ktoś umiera, ludzie zapominają, że był dupkiem. Ale kiedy zobaczyłaś mnie przed szpitalem, babcia jeszcze nie umarła. Nadal żyła i dawała popalić mnie i moim siostram. Zwłaszcza moim siostram. Dlatego potrzebowałem przerwy. - Pociągnął kolejny łyk i zerknął na nią z ukosa. - No dobrze, to nie do końca prawda.

Andy poczuła się jak idiotka, ponieważ już kupiła całą historię.

- Widziałem informacje i... - Mike zniżył głos. - Nie wiem, to trochę dziwne, ale zobaczyłem cię w poczekalni i rozpoznałem z nagrania. Chciałem z tobą pogadać.

Andy zabrakło słów.

- Nie jestem czubkiem. - Zaśmiał się. - Wiem, że właśnie to powiedziałby czubek, ale to się stało, kiedy byłem dzieckiem i...

- Pochylił się ku niej, ścisząc głos. - Ten facet włamał się do nas i tata go zastrzelił.

Andy poczuła, jak dłoń wędruje jej do gardła.

- To było straszne. Byłem mały, więc nie do końca wszystko rozumiałem. Okazało się, że ten zastrzelony gość chodził z moją siostrą, ale ona z nim zerwała. Miał z sobą kajdanki,

knebel, nóż i... Nieważne. – Machnął ręką. – Po tym wszystkim ciągle bolał mnie brzuch. Z jednej strony facet chciał porwać moją siostrę i zrobić jej krzywdę. Z drugiej tata zabił człowieka. – Wzruszył ramionami. – Zobaczyłem cię i pomyślałem: to ktoś, kto wie, co się wtedy czuje. Pierwszy raz w życiu miałem to wrażenie.

Andy przechyliła szklaneczkę z wódką, ale nie umoczyła ust. Opowieść Mike'a była za dobra. Gdzieś z tyłu głowy słyszała sygnał alarmowy. Za dużo tych zbiegów okoliczności. Mike był w szpitalu. Teraz tutaj. Na dodatek przeżył podobną historię co ona.

Jednak miał prawo jazdy. I furgonetkę na zewnątrz. A to był najwyraźniej jego miejscowy bar. Poza tym zbiegi okoliczności się zdarzały. W przeciwnym wypadku w słowniku nie istniałby termin „zbieg okoliczności”.

Wpatrywała się w przezroczysty płyn w szklaneczce. Musiała stąd wyjść, bo dalszy pobyt w tym lokalu był zbyt ryzykowny.

– ...nie ma sensu – mówił Mike. – Jeśli spojrzysz na moment, w którym...

– Co?

– Zobacz, pokażę ci. – Wstał i obrócił stółek Andy, żeby znalazła się z nim twarzą w twarz. – Jestem tym złym gościem z nożem w szyi, tak?

Kiwnęła głową. Dopiero teraz zorientowała się, że Mike mówi o nagraniu z Rise-n-Dine.

– Dotknij wierzchem lewej dłoni lewej strony mojej szyi, jak zrobiła to twoja mama. – Bezceremonialnie ujął ją za rękę i umieścił w tym położeniu. Miał gorącą skórę. – Lewą rękę ma unieruchomioną przy jego szyi. Krzyżuje z nią prawe przedramię od spodu i kładzie prawą dłoń tutaj. – Wziął Andy za prawą rękę i położył ją sobie poniżej prawego barku. – Czy

takie skrzyżowanie rąk ma sens, jeśli chcesz oprzeć tu rękę?

Andy studiowała położenie swoich rąk. Było niewygodne. Jedno ramię przekręcone pod drugim. Nasada dłoni ledwie sięgała umięśnionej części jego barku.

Jedna ręka pcha, druga ciągnie.

Spokój na twarzy Laury.

- Dobrze - powiedział Mike. - Nie zmieniaj pozycji lewej ręki. Spróbuj pchnąć mnie prawą.

Pchnęła, ale nie za mocno, ponieważ jej prawa ręką była już niemal całkowicie wyprostowana. Prawy bark Mike'a ledwie drgnął. Reszta jego ciała wcale się nie poruszyła. Lewa ręka Andy, ta przy jego szyi, pozostała w miejscu.

- A teraz tutaj. - Przesunął jej prawą dłoń na środek swojej klatki piersiowej. - Pchnij.

Tym razem było łatwiej pchnąć go mocno. Mike cofnął się o krok. Gdyby z grzbietu lewej dłoni Andy wystawało ostrze noża, wyszłoby teraz z jego szyi.

- Widzisz? - zapytał Mike.

Andy przeanalizowała w myślach sekwencję ruchów, zobaczyła Laurę z nożem, pchającą i ciągnącą - a może jednak nie.

- Bez obrazy, ale oboje wiemy, że twoja mama wiedziała, co robi. Nie chwytasz noża w ten sposób, a twoim następnym ruchem nie jest szarpnięcie gościa za ramię. Jeśli chcesz go zabić, musisz mocno go pchnąć. W środek klatki piersiowej.

Andy pokiwała głową. Teraz zaczynała rozumieć. Laura nie odpychała Jonaha. Prawą ręką sięgała jego ramienia. Chciała się czegoś złapać.

- Przyjrzałaś się jej stopom na nagraniu? - zapytał Mike.

- Stopom?

- Zrobiłaś krok naprzód, prawda? Gdybyś planowała

wyszarpnąć nóż, próbowałabyś przeciwważyć ten ruch wykrokiem jednej stopy i cofnięciem drugiej. Einstein się kłania. Ale ona tego nie robi.

- A co?

- Odstawia stopę w bok. O tak. - Mike rozstawił stopy na szerokość ramion jak bokser albo ktoś, kto nie chce stracić równowagi, próbując osadzić kogoś w miejscu. - To Helsingier zaczyna się cofać. Obejrzyj to nagranie jeszcze raz. Zobacysz, że unosi stopę. Widać to wyraźnie.

Andy niczego takiego nie dostrzegła. Założyła, że matka jest bezwzględna maszyną do zabijania, podczas gdy w rzeczywistości wyciągnęła prawą rękę w stronę barku Jonaha Helsingera, by go unieruchomić, a nie pomóc sobie w jego zamordowaniu.

- Jesteś pewien, że cofnął się sam z siebie, a nie żeby utrzymać się na nogach?

- Na to wygląda.

Andy odtworzyła w pamięci sekwencję ruchów. Czy Jonah rzeczywiście się cofnął? Napisał list pożegnalny, a to oznacza, że pragnął śmierci. Ale czy osiemnastoletni chłopak naprawdę był w stanie zrobić krok w tył, wiedząc, jaką straszliwą śmierć sobie gotuje?

- Powiedziała coś, prawda? - zapytał Mike.

Andy w porę ugryzła się w język.

Mike zignorował jej milczenie.

- Ustalą to specjaliści od czytania z ruchu warg. Chodzi mi o to, że oglądając nagranie, wszyscy patrzyli na twarze, a powinni obserwować stopy.

Andy kręciło się w głowie od natłoku myśli. Czy Mike miał rację? A może był zagorzałym zwolennikiem teorii spiskowych z Belle Isle, a ona mu wierzyła, ponieważ rozpaczliwie pragnęła

innego wyjaśnienia.

- Muszę iść na stronę - powiedział Mike. Andy skinęła głową. Chciała mieć chwilę, żeby to przemyśleć. Musiała jeszcze raz obejrzeć nagranie. - Tym razem za mną nie idź - dodał żartobliwie.

Nie doceniła tego żartu. Patrzyła za nim, jak idzie na koniec baru i znika w korytarzu. Drzwi męskiej łazienki otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem, a potem zamknęły z donośnym trzaskiem.

Potarła twarz dłońmi. Po tych idiotycznych kolejkach wódki była więcej niż wstawiona. Musiała przeanalizować słowa Mike'a o nagraniu z restauracji. I uznać własną winę, ponieważ założyła, że jej matka jest zabójczynią. Ani ona, ani Gordon nie pomyśleli nawet przez chwilę, że Laura próbowała postąpić jak należy.

Dlaczego nie powiedziała tego policjantom? Dlaczego zachowywała się jak winna? Skąd nagle wziął się Kaptur? I co z magazynem?

Kiedy tylko zaczynała myśleć, że coś ma sens, świat znowu stawał na głowie.

Wyciągnęła rękę po szklaneczkę.

Mike zostawił telefon na barze.

Widziała jego kod dostępu. Sześć trójek.

Barman oglądał telewizję. Bilardziści kłócili się o jakieś uderzenie. Długi korytarz był pusty. Mogła usłyszeć, kiedy Mike będzie wychodził z łazienki. Słyszała przecież, kiedy wchodził.

Wzięła do ręki telefon i wklepała sześć trójek. Na ekranie startowym było zdjęcie kota. Pomyślała, że człowiek, który umieszcza zdjęcie swojego kota w telefonie, nie może być taki zły. W przeglądarce Safari wybrała „Belle Isle Review”. Na

pierwszej stronie było zdjęcie Laury z przyjęcia; to, które widziała w CNN. Tym razem Gordon nie był z niego wycięty. Przebiegła wzrokiem artykuł, który niewiele różnił się od wczorajszego.

Poszukała innych informacji. Poczula raczej ulgę niż strach na widok nagłówka:

CIAŁO ZNALEZIONE POD MOSTEM YAMACRAW.

Przebiegła wzrokiem tekst. Rana głowy. Brak dokumentu tożsamości. Dżinsy i czarna bluza z kapturem. Na biodrze tatuaż z delfinem. Znaleziony przez wędkarza. Brak podejrzeń o udział osób trzecich. Policja prosi o informacje.

Usłyszała otwieranie drzwi łazienki. Zamknęła wyszukiwarkę. Wróciła do strony startowej. Wyłączyła telefon i odłożyła na kontuar, zanim Mike pojawił się w korytarzu.

Pociągnęła łyk ze szklaneczki.

Niezidentyfikowane ciało?

Rana głowy?

Brak podejrzeń o udział osób trzecich.

Mike stęknął, siadając na stołku.

- Przeniosłem dzisiaj z siedem ton kamieni - powiedział.

Andy mruknęła coś współczująco, ale jej uwagę zaprzętały teraz najświeższe wieści. Most Yamacraw łączył brzegi rzeki Tugaloo. Jak ciało Kaptura się tam znalazło? Laura nie mogła go tam przenieść. Nawet nie mając na karku policji, nie poradziłaby sobie, dysponując tylko jedną sprawną ręką i jedną sprawną nogą.

O co chodziło, do jasnej cholery?

- Halo! - Mike zabębnił palcami w kontuar, by zwrócić na siebie uwagę. - Powinienem już spać. Czeka mnie jutro sporo pracy. Chcesz, żebym odprowadził cię do auta?

Andy uznała, że nie powinna zostawać sama w barze.

Rozejrzała się w poszukiwaniu barmana.

- Dopisze do mojego rachunku. - Mike schował telefon do kieszeni i dał znak Andy, żeby poszła przed nim. Zachował stosowny dystans, ale kiedy zbliżyła się do drzwi, wyprzedził ją, otworzył je i przytrzymał.

Na zewnątrz upał nieco zelżał, ale Andy i tak czuła, że powinna wziąć kolejny prysznic przed snem. Może podkreśli klimatyzację i wsunie się do sypialni. A może raczej powinna wsiąść do auta, ponieważ obecność Mike'a w tym miejscu była jednak dziwna. Dziwne było też to, że mówił, co chciała usłyszeć. I że wyszedł z nią z baru, co oznaczało, że dowie się, dokąd ona pójdzie.

Kosiarze Kneppera. Na pace furgonetki leżały narzędzia do trawników - podkaszarka, odkurzacz do liści, grabie i łopata. Ścianki boczne nosiły ślady ziemi i trawy. Mike już był w barze, kiedy tam weszła. Nie odwrotnie. Jego furgonetka była ewidentnie używana do pielęgnacji trawników. Miał prawo jazdy z nazwiskiem. Miał w barze otwarty rachunek, na miłość boską. Albo był psychopatą jasnowidzem, albo ona traciła rozum.

Mike poklepał furgonetkę.

- To moja - powiedział.

- Podoba mi się konik polny.

- Jesteś piękna.

Zaskoczył ją. Nie wiedziała, jak zareagować.

Zaśmiał się.

- Dziwne, co? Dopiero co cię spotkałem. To znaczy spotkałem naprawdę. Flirtowaliśmy w barze, co było miłe, ale to nadal dziwne, że znaleźliśmy się tu jednocześnie, prawda?

- Mówisz rzeczy, o których myślę, ale robisz to tak, jakby były czymś normalnym, a nie powodem do niepokoju -

skwitowała Andy i w tej samej chwili miała ochotę zasłonić usta. Nie miała zamiaru mówić tego na głos. – Powinnam już iść.

– Dobrze.

Ale nie ruszyła się z miejsca. Dlaczego nazwał ją piękną?

– Masz tu... – Mike wyciągnął rękę, żeby zdjąć jej coś z włosów. Kłaczek z motelowego ręcznika.

Oplotła jego rękę dłonią. Okazało się, że Andy jako fetyszystka dłoni jest o wiele śmielsza niż Andy normalna.

– Naprawdę jesteś cholernie piękna – powiedział z podziwem w głosie, jakby naprawdę tak myślał.

Przechyliła głowę, by dotknąć policzkiem jego dłoni. Miał szorstką skórę. Barowe neony odbijały się w jego tęczęwkach. Miała ochotę wtopić się w niego. Przyjemnie było czuć na sobie spojrzenie i dotyk tego osobliwego, atrakcyjnego mężczyzny.

I wtedy ją pocałował.

W pierwszej chwili był niepewny, ale kiedy zanurzyła mu palce we włosy, pocałunek stał się głębszy. Straciła panowanie nad sobą. Nagle jej stopy oderwały się od podłoża. Mike uniósł ją i oparł o tył furgonetki, przywierając do niej całym ciałem. Całował jej szyję, potem piersi. Pragnęła go każdą cząstką swojego ciała. Nigdy przedtem nie doświadczyła takiego pożądania. Powędrowała ręką w dół i...

– Brelok – powiedział Mike.

Śmiał się, więc Andy też się zaśmiała. Pomacała brelok w jego przedniej kieszeni.

Mike postawił ją na ziemię. Oboje oddychali ciężko.

Pochyliła się ku niemu, żeby znowu go pocałować, ale Mike odwrócił się od niej.

– Przepraszam – powiedział.

Boże.

- Ja... - wyszeptał chrypliwie i urwał. - Ja...

Andy miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Powinnam...

Przycisnął palce do jej ust, żeby nie kończyła zdania.

- Naprawdę jesteś piękna. W środku myślałem tylko o tym, żeby cię pocałować. - Przesunął kciukiem po jej wargach. Wyglądało, jakby znów miał ją pocałować, ale zamiast tego cofnął się o krok i wsadził rękę do kieszeni. - Ciągnie mnie do ciebie. Naprawdę mnie ciągnie, ale...

- Nie kończ.

- Muszę - powiedział. W tej chwili jego odczucia były najważniejsze. - Nie jestem tym gościem. No wiesz, takim, co podrywa kobiety w barach, zabiera na parking i...

- Nie miałam takiego zamiaru - skłamała Andy. - Nie chciałam...

- Czy mogłabyś...

Andy czekała na ciąg dalszy.

Mike nie dokończył zdania. Wzruszył ramionami.

- Powinienem już iść.

Andy czekała na więcej, ponieważ była głupia.

- Nieważne. - Mike wyjął z kieszeni klucze i okręcił brelok wokół palców. Potem wybuchnął śmiechem.

Błagam, tylko nie żartuj o ręcznym obciążaniu breloka.

- Mógłbym... to znaczy, powinienem odprowadzić cię do...

Andy odwróciła się na pięcie i odeszła. Policzki jej płonęły, gdy przechodziła przez ulicę. Patrzył za nią tak samo jak wtedy, przed szpitalem.

- Idiotka, idiotka, idiotka - szeptała do siebie, a potem dodała: - Co jest, kurwa?

Czuła do siebie obrzydzenie, gdy wchodziła po schodach na piętro motelu. I odrazę. Mike wyjeżdżał z parkingu na drogę.

Patrzył na Andy z zadartą głową. Żałowała, że nie ma bazooki, żeby go zdmuchnąć z powierzchni ziemi. Albo broni, żeby sobie strzelić w łeb. Nigdy nie poszła do łóżka z nieznajomym, nawet w college'u. Co z nią było nie tak? Dlaczego zachowywała się tak głupio? Była uciekającą zabójczynią i nie mogła ufać nikomu. Co z tego, że Mike miał prawo jazdy z Alabamy? Laura miała prawo jazdy z Ontario, na litość boską. I trefne auto. Mike też mógł mieć trefne auto. Znak z konikiem polnym był mocowany na magnes, nie na stałe. Barman mógł traktować Mike'a po przyjacielsku, ponieważ barmani zawsze są przyjacielscy wobec klientów.

Andy włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi. W zdenerwowaniu nawet nie zauważyła, że walizka i śpiwór są tam, gdzie je zostawiła.

Usiadła na łóżku, ukryła twarz w dłoniach i próbowała nie wybuchnąć płaczem.

Czy Mike się nią bawił? Po co? Był czubkiem, którego zaintrygowała, bo zobaczył ją na nagraniu z restauracji? Musiał spędzić mnóstwo czasu na analizie tego, co zaszło między Laurą a Jonahem Helsingerem. A przynajmniej tego, co mu się wydawało. Pewnie prowadził bloga o teoriach spiskowych. I słuchał tych wariackich audycji w radiu.

Z drugiej strony nazwał ją piękną. I ta ekscytacja znalazła swoje potwierdzenie. Chyba że między otwarciem drzwi baru a furgonetką schował w spodnie puszkę coli.

- Jezu!

Ten głupi brelok.

Andy zerwała się z łóżka. Zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. Musiała przeanalizować każdą głupotę, którą popełniła. Pocałowała go za głęboko? Za dużo śliny? Za mało języka? A może miała za małe piersi? O Boże, tylko nie to.

Powąchała swój stanik, który przeszedł zapachem obrzydliwego motelowego mydła.

Czy mężczyźni w ogóle zwracają uwagę na takie rzeczy?

Zasłoniła oczy rękami. Znowu opadła na łóżko.

Na wspomnienie własnych palców głaszczących ten idiotyczny brelok w kieszeni Mike'a policzki paliły ją ze wstydu. Pewnie potraktował to jak afront. A może nie chciał wykorzystać kogoś tak boleśnie nieporadnego. Tylko idiotka pomyliłaby brelok w kształcie króliczej łapki z penisem.

Z drugiej strony, jaki dorosły mężczyzna nosi w kieszeni wielką króliczą łapkę?

Ten facet.

Co to w ogóle znaczyło: „Nie jestem tym facetem”?

Andy oderwała ręce od twarzy.

Otworzyła szeroko usta.

Furgonetka.

Nie ta Mike'a z konikiem polnym czy ta nieboszczyka, ale zdezelowany chevrolet, jaki widziała tamtego poranka na podjeździe Hazeltonów.

Tamtego poranka...

Po zabiciu człowieka. Po biegu po plaży w poszukiwaniu forda zabitego faceta, ponieważ tak kazała jej Laura.

Na podjeździe Hazeltonów stały dwa samochody, nie jeden.

Okna były opuszczone. Zajrzała do środka. Kusiło ją, żeby ukraść starego chevroleta zamiast brać forda. Nic prostszego, ponieważ kluczyk tkwił w stacyjce. Widziała go wyraźnie w białych promieniach przedświtu.

Kluczyk był przyczepiony do breloka w postaci króliczej łapki. Takiej, jaką Mike wyjął z kieszeni i okręcił sobie wokół palców.

31 LIPCA 1986

PIĘĆ DNI PO STRZELANINIE W OSLO

9

Jane Queller obudziła się zrana potem. Znowu płakała we śnie. Miała nos podrażniony od ciągłego wycierania, wszystko ją bolało, nie mogła opanować drżenia. Pod wpływem paniki serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. W półmroku wydawało jej się najpierw, że jest w Berlinie, potem w hotelowym pokoju w Oslo. W końcu dotarło do niej, że leży w swojej sypialni z dzieciństwa, w domu w Presidio Heights. Różowe tapety. Satynowa różowa kołdra, różowe poduszki. Więcej różu na dywanie, kanapie, krześle przy biurku. Plakaty, pluszowe zwierzaki i lalki.

Pokój urządziła jej matka, ponieważ Jane nie miała na to czasu. Od szóstego roku życia niemal każdą chwilę spędzała przy pianinie. Brzdąkanie dla zabawy. Ćwiczenia. Gra. Nauka. Występy. Podróże. Podleganie ocenie. Porażki. Odzyskiwanie pewności siebie. Perswazje. Sukcesy. Doskonalenie.

Początkowo Martin stawał za Jane, kiedy grała, i śledził nuty. Z ręką na jej ramieniu delikatnie je ścisnął, gdy się pomyliła. Pechenikov zgodził się przyjąć Jane jako uczennicę pod warunkiem, że Martin zrezygnuje z tej metody sprawowania nadzoru. Jednak lata związane z napięciem wywołanym obecnością Martina położyły się cieniem na jej karierze. Na jej życiu. Na jej triumfach. Na jej porażkach. Czy była w Tokio, w Sydney czy Nowym Jorku, a nawet podczas trzymiesięcznej izolacji w Berlinie, zawsze czuła za plecami obecność niewidzialnego Martina.

Wzdrygnęła się znowu. Zerknęła za siebie, jakby Martin mógł tam być. Usiadła i oparła się plecami o wezgłowie łóżka. Naciągnęła na siebie kołdrę.

Co oni zrobili?

Nick twierdził, że oni nic nie zrobili. To Laura Juneau pociągnęła za spust. Wyglądała na pogodzoną z tą decyzją, choć w każdej chwili mogła się wycofać. To, że zamordowała Martina, a potem odebrała sobie życie, było aktem odwagi, którego dokonała samodzielnie.

Pierwszy raz od sześciu lat znajomości z Nicholasem Harpem nie dawała wiary jego słowom.

Oni wszyscy wsadzili Laurę na tę scenę z Martinem: Jane, Andrew, Nick, a także ci pozostali z komórek organizacji w innych miastach. To Nick celowo tak wszystko zaplanował, by byli trybikami w zdecentralizowanej maszynie. Tajemniczy mężczyzna pomógł chicagowskiej komórce przeniknąć do firmy produkującej wybuchające zbiorniczki z czerwonym barwnikiem, które miały się znaleźć w papierowej torbie. Nowy Jork współpracował z fałszerzem dokumentów w Toronto. San Francisco zapłaciło za bilety lotnicze, pokoje hotelowe, taksówki i posiłki. Niczym cień Martina za plecami Jane wszyscy stali niewidoczni za plecami Laury Juneau, gdy wyjęła z torebki rewolwer i dwukrotnie nacisnęła spust.

Czy to było szaleństwo?

Czy im wszystkim odebrało rozum?

Od półtora roku Jane codziennie budziła się pełna wątpliwości. Nieustannie towarzyszyła jej huśtawka emocji. W jednej chwili uważała, że działają jak szaleńcy, przeprowadzając symulację, ćwicząc ucieczki i posługiwanie się bronią. Czy to nie śmieszne? Po co miałyby uczyć się walki wręcz? Do czego było jej potrzebne zapamiętywanie lokalizacji kryjówek, umiejętność znajdowania fałszywych paneli czy skrytek na podstawie planów? Byli garstką ludzi poniżej trzydziestki, przekonanych, że mają umiejętności, środki

i prawo do dokonania nadzwyczajnych aktów sprzeciwu.

Czyż nie była to definicja ułudy?

Lecz kiedy Nick zaczął mówić, rozwiewał jej wątpliwości, i Jane znowu wierzyła, że wszystko, co robią, ma sens.

Podparła głowę rękami.

Przyłożyła rękę do zamordowania własnego ojca. Planowała jego śmierć. Wiedziała, że to nastąpi, i nie powiedziała ani słowa.

Oslo odjęło ich działaniu śmieszność. Położyło kres sceptycyzmowi. Teraz wszystko stało się faktem. Działo się naprawdę.

Jane odchodziła od zmysłów.

- Tu jesteś. - Nick wszedł do pokoju z kubkiem w jednej ręce i gazetą w drugiej. Miał na sobie tylko bokserki. - Wypij to.

Wzięła od niego kubek. Herbata z burbonem. Ostatni raz piła drinka z Laurą Juneau w barze. Wtedy serce też jej waliło jak teraz. Laura nazwała ją kameleonem. I miała rację. Nie wiedziała, że Jane jest częścią grupy. Rozmawiały jak nieznajome, potem jak bliskie sobie kobiety, a na koniec Laura odeszła. A tuż przed wyjściem powiedziała: „Jesteś wspaniała. Wspaniała, bo jesteś sobą”.

- Przyjechali kolejni federalni. - Nick wyglądał przez okno na podjazd. - Chyba FBI, sądząc po głównianym wozie. - Posłał Jane krzywy uśmiech, jakby obecność kolejnych funkcjonariuszy prócz agentów CIA, NSA, Interpolu, skarbowki i służb specjalnych, z którymi już rozmawiali, była błahostką. - Ty będziesz Bonnie, a ja Clyde'em.

Wychyliła herbatę. Nawet nie czuła smaku, gdy gorący płyn wędrował do żołądka. Martin został zamordowany pięć dni temu. Pogrzeb miał się odbyć jutro. Nick upajał się stresem wyzwalanym podczas rozmów z agentami, które coraz bardziej

przypominały przesłuchania. Jane miała ochotę krzyknąć mu w twarz, że to się dzieje naprawdę, że kogoś zamordowali, a ich kolejny plan zaprowadzi ich do więzienia na resztę życia – albo gorzej.

Zamiast tego wyszeptała:

– Boję się, Nicky.

– Kochanie. – Usiadł na łóżku i objął ją, zanim o to poprosiła. Zbliżył wargi do jej ucha. – Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi. Przeszedłem przez piekło gorsze niż to. Takie doświadczenie wzmacnia. Przypomina, dlaczego to robimy.

Jane zamknęła oczy, próbując przyswoić sobie, co właśnie powiedział. Straciła z oczu sens ich działania. Dlaczego rozpaczała po ojcu? Przez wiele lat głęboko wierzyła, że jeśli kiedykolwiek kochała ojca, ta miłość dawno uleciała pod wpływem razów. Dlaczego więc dręczyło ją poczucie winy? Dlaczego czuła ból na myśl, że Martin nie żyje?

– Przestań. – Nick zawsze wiedział, kiedy Jane jest niespokojna. – Pomyśl o czymś innym. O czymś pozytywnym.

Pokręciła głową. Nie miała talentu Nicka do stosowania wygodnych mechanizmów obronnych. Nie mogła nawet zamknąć oczu, kiedy głowa Martina eksplodowała. Dostał w skroń. Mózg, fragmenty tkanek i kości obryzgały Friedricha Richtera jak błoto wylatujące spod kół auta. Wtedy Laura ponownie nacisnęła spust i górna część jej głowy wystrzeliła w sufit.

„Przepraszam, Jane” – wyszeptała do niej bezgłośnie chwilę wcześniej.

Czy Laura знаła powód tych przeprosin?

– Daj spokój – powiedział Nick, ściskając ją za ramię, by wróciła do terażniejszości. – Pamiętasz, kiedy cię poznałem?

Jane znowu potrząsnęła głową. Chciała tylko uwolnić się od

upiornych obrazów. Broń. Wystrzały. Rozbryzgi.

- No, Jinx - nie dawał za wygraną. - Zapomniałaś o naszym pierwszym spotkaniu? Wiesz, że w grudniu minie sześć lat?

Jane wytarła nos. Oczywiście, że wiedziała. Moment, w którym pierwszy raz ujrzała Nicka, wrył się w pamięć każdego atomu jej jestestwa. Andrew i Nick przyjechali do domu z college'u, we frontowym holu przepychali się jak mali chłopcy i narobili harmideru. Jane wybiegła z salonu, żeby poskarżyć się na hałas. Nick uśmiechnął się do niej, a ona poczuła, jakby jej serce napełniło się gorącym powietrzem i chciało ulecieć z piersi.

- Jinx?

Wiedziała, że Nick nie odpuści, póki ona nie podejmie tematu. Więc podjęła temat, mówiąc:

- Nawet mnie nie zauważałeś.

- Nie byłaś pełnoletnia.

- Miałam siedemnaście lat. - Nie znosiła, kiedy traktował ją jak dziecko. Był tylko trzy lata od niej starszy. Jak Andrew. - Ignorowałeś mnie przez cały weekend, bo latałeś z Andrew za tymi zdzirowatymi dziewczuchami z North Beach.

Zaśmiał się.

- Nigdy nie dałabyś mi szansy, gdybym wychodził ze skóry jak reszta głupców.

Nie było innych głupców. Nikt nigdy nie wychodził ze skóry dla Jane. Mężczyźni patrzyli na nią albo z podziwem, albo ze znudzeniem jak na lalkę w szklanej gablocie. Nick był pierwszym z przyjaciół Andrew, który zobaczył w niej kobietę.

Odgarnął jej włosy. Nachylił się do jej ucha. Zawsze szeptał, kiedy miał do powiedzenia ważne rzeczy.

- Wcale nie ignorowałem cię przez cały weekend.

Serce Jane wykonało ten sam manewr. Nawet teraz, w tym

straszonym momencie, ciągle pamiętała dreszcz emocji, kiedy Nick zaskoczył ją w kuchni. Wszedł, kiedy czytała jakieś czasopismo. Rzuciła coś niemilego, żeby sobie poszedł. A on pocałował ją bez słowa, potem wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Wtedy byłem właściwie sierotą. Nikogo nie miałem. Byłem zupełnie sam. A potem spotkałem ciebie. - Przesunął dłoń na jej kark. Nagle spoważniał. - Powiedz, że nadal ze mną jesteś. Muszę to wiedzieć.

- Oczywiście. - Zrobił to w Oslo, potem w samolocie, gdy lecieli do domu, potem podczas pierwszej nocy po powrocie do San Francisco. Wyglądał na przerażonego myślą, że trzy miesiące spędzone osobno mogły osłabić jej determinację. - Jestem z tobą, Nick. Zawsze.

Patrzył jej w oczy. Szukał znaku, że go okłamuje jak wszyscy inni w jego życiu.

- Jestem twoja - powtórzyła zdecydowanie. - Każda moja cząstka należy do ciebie.

- Dobra dziewczynka. - Uśmiechnął się z wahaniem. Tak wielu ludzi go zraniło.

Jane chciała go przytulić, ale Nick nie znosił, kiedy robiła się namolna. Zamiast tego lekko uniosła się i przechyliła głowę, żeby mógł ją pocałować. Nick spełnił jej niemą prośbę. Pierwszy raz od wielu dni znowu mogła oddychać.

- Kochanie - szepnęła, wsuwając ręce pod jej koszulkę na ramiączkach i przesunął wargi ku piersiom.

W końcu mogła otoczyć go ramionami. Nie chciała seksu, wiedziała jednak, że jeśli odmówi, zrani jego uczucia. Najbardziej tęskniła za tym, co było po. Kiedy trzymał ją w objęciach. Kiedy mówił, że ją kocha. Kiedy dzięki niemu wierzyła, że wszystko dobrze się ułoży.

To będzie właściwy moment, żeby mu powiedzieć.

Kiedy Nick układał ją na plecach, Jane czuła, że wszystkie słowa, które powtarzała w pamięci przez ostatni miesiąc, cisną jej się na usta: Jestem uszczęśliwiona, uradowana, podekscytowana, w euforii, przerażona, spanikowana, boję się, że mnie zostawisz, bo...

... jestem w ciąży.

- Halo?

Oboje usiedli. Jane naciągnęła kołdrę pod szyję.

- Nie śpicie? - Andrew zapukał do drzwi, zanim zajrzał do pokoju. - Grzeczni jesteście?

- Nigdy - odparł Nick. Nadal trzymał rękę na piersi Jane pod kołdrą. Chciała się odsunąć, ale objął ją w pasie, żeby jej to uniemożliwić. Gładził ją po karku, patrząc w oczy Andrew. - Dwóch agentów podjechało pod wejście.

- Widziałem. - Andrew wytarł nos rękawem. Jeszcze nie wyszedł z przeziębienia, którego nabawił się w Norwegii. Powiedział Nickowi to, czego nie śmiała powiedzieć Jane: - Nie zachowuj się agresywnie wobec nich, Nicky. Proszę.

Cała trójka spojrzała po sobie. Dłoń Nicka zeszła niżej. Jane poczuła falę gorąca zalewającą jej szyję i policzki. Nie znosiła, kiedy Nick robił takie rzeczy przy Andrew.

- Chyba powinniśmy dotknąć palcem boku nosa, jak to zrobili w *Żądle* - rzucił Nick.

- To prawdziwe życie, nie film - ostro odparł Andrew. Wszyscy bali się, że w domu jest podsłuch. Ostatnie dni były niczym stąpanie po kruchym lodzie. - Nasz ojciec został zamordowany. Kobieta została uprowadzona. Musisz podejść do tego poważnie.

- Przynajmniej podejść do tego czysto. - Nick ugryzł Jane w ramię i pomaszerował do łazienki.

Jane szczerzej opatuliła się kołdrą. Wpatrywała się w zamknięte drzwi. Chciała iść za nim, błagać, żeby posłuchał Andrew, ale jak dotąd nie wpadła na pomysł, jak mogłaby przekonać Nicka, że myli się we wszystkim.

- Jane - zaczął Andrew.

Gestem kazała mu się odwrócić. Chciała się ubrać.

Posłusznie stanął do niej plecami.

- Mama o ciebie pytała - powiedział.

Jane włożyła cienkie rajstopy. Obciskały ją nieco w talii, kiedy wstała.

- Czy dzisiaj rano rozmawiałaś z Ellis-Anne? - zapytała.

Andrew nie odpowiedział. Temat byłej dziewczyny wydawał się zakazany, jednak Jane to nie zniechęciło.

- Byliście razem przez dwa lata. Powinna wiedzieć...

- Jane - powtórzył cicho. Od powrotu do domu próbował porozmawiać z nią o Martinie, ale siostra bała się, że ta rozmowa otworzy w niej coś, czego potem nie zdoła zamknąć.

- Powinieneś iść do lekarza. - Szarpała się z małymi perłowymi guziczkami przy bluzce. Ściągnęła z wieszaka spodnie.

- Czuję... - głowa Andrew powoli poruszała się na boki - czuję, jakby czegoś mi w środku brakowało. Jakby coś mi wycięli. Czy to dziwne?

Jane niezdarnie próbowała zapiąć spodnie. Musiała wytrzeć pot z dłoni. Spodnie były przyciasne. Jak wszystko inne, ponieważ była w ciąży. Zabili jej ojca i możliwe, że zabijają więcej ludzi, zanim wszystko się skończy.

- Andy, nie mogę... - Rozszłochała się. Słowa uwięzły jej w gardle.

Nie mogę z tobą rozmawiać. Nie mogę cię słuchać. Nie mogę nawet być blisko ciebie, bo powiesz, co myślisz, a to nas

zniszczy.

Jak Laura Juneau to zrobiła?

Nie chodziło o sam czyn. Była tam, widziała każdy szczegół tego zabójstwa i samobójstwa. Jak Laura uruchomiła w sobie ten włącznik, który uczynił z niej bezwzględną zabójczynię? Jakim cudem ta miła i interesująca kobieta, która paliła z nią papierosa w barze centrum konferencyjnego, mogła być tą samą, która wyjęła z torebki broń i dokonała zabójstwa, a potem zastrzeliła siebie?

Jane nieustannie przypominała sobie wyraz absolutnego spokoju na twarzy Laury Juneau. Zdradzał ją tylko lekki uśmiech igrający na wargach. Była wyraźnie pogodzona z sobą. I pewna tego, co robi. Nie okazała słabości. Nie zawahała się ani na chwilę. Kiedy sięgnęła do torebki po broń, równie dobrze mogła szukać w niej gumy do żucia.

- Jinx? - Andrew odwrócił się do niej. Miał w oczach łzy, co jeszcze spotęgowało płacz Jane. - Pomogę ci.

Patrzyła, jak zręcznie Andrew zapina zamek z boku spodni. Miał niezdrowy oddech i skórę lepką od potu.

- Schudłeś - zauważyła.

- Przeszło na ciebie. - Żartobliwie uszczypnął ją w nową fałdkę tłuszczu w pasie. - Nick powiedział, że poradzimy sobie z tym. A Nick ma zawsze rację, prawda?

Uśmiechnęli się oboje, ale żadne nie roześmiało się głośno, ponieważ nie wiedzieli, czy Nick słucha ich po drugiej stronie drzwi.

- Spróbujmy wziąć się w garść. - Jane znalazła chusteczkę higieniczną i podała ją Andrew, a sobie wzięła drugą. Wydmuchali nosy. Andrew zakasłał. Z jego płuc wydobyło się rżenie.

Jane przyłożyła mu dłoń do czoła.

- Musisz iść do lekarza - powiedziała.

- Kiedy? - zapytał, wzruszając ramionami.

Drzwi łazienki się otworzyły. Nick wyszedł nago, wycierając włosy ręcznikiem.

- Co mnie ominęło? - rzucił.

- Zejdę na dół, zanim Jasper zacznie nas szukać - oznajmił Andrew.

- Ty też idź - powiedział Nick do Jane. - Włóż wysokie buty. One najbardziej onieśmielają.

Jane wyjęła z szuflady parę czarnych skarpetek i włożyła je na rajstopy. Pokazała Nickowi kilka par butów, zanim kiwnął głową na znak, że wybrała odpowiednie. Kiedy pochyliła się, by je zapiąć, Nick przywarł do niej od tyłu. Rozmawiał z Andrew, gładząc ją po pośladkach.

- Jane ma rację. Powinieneś iść do lekarza. Nie możesz iść chory na pogrzeb.

Jane skończyła zapinać buty i poczuła, że zawartość żołądka podchodzi jej do gardła. Nie wiedziała, czy to efekt porannych mdłości, czy strachu. Od początku Nick uprawiał niepotrzebne gierki słowne. Kręciło go to, a już najbardziej, gdy wyobrażał sobie agenta FBI, który siedzi w furgonetce operacyjnej na ulicy i obsesyjnie analizuje każde jego słowo.

Znowu przysunął wargi do jej ucha.

- Powal ich na łopatki, skarbie.

Skinęła głową, rzucając w stronę Andrew:

- Jestem gotowa.

Nick klepnął ją po pupie, gdy wychodziła. Spąsowiała jak poprzednio. Nie było sensu prosić, żeby przestał, ponieważ tylko prowokowało go to do gorszych zachowań.

Andrew puścił Jane przodem po schodach. Starła się opanować rumieniec. Wiedziała, że Nick dorastał niekochany

i bardzo zależało mu na tym, by pokazać ludziom swoje miejsce w świecie, ale nie znosiła, kiedy traktował ją jak trofeum łowieckie.

- W porządku? - zapytał Andrew.

Zorientowała się, że położyła dłoń na brzuchu. Nie powiedziała o dziecku ani Andrew, ani nikomu innemu. Najpierw wmówiła sobie, że Nick powinien dowiedzieć się pierwszy, ale w miarę upływu czasu bała się coraz bardziej, że on nie będzie chciał tego dziecka, a ona będzie musiała wyjaśniać wszystkim, dlaczego już nie jest w ciąży.

Następnym razem, powiedział jej ostatnio. Następnym razem zatrzymamy tę ciążę.

- Pani Queller? - Czekaający w holu mężczyzna otworzył portfel i pokazał złotą odznakę. - Nazywam się Barlow. Jestem agentem FBI. A to agent Danberry.

Danberry stał w salonie z rękami założonymi do tyłu. Wyglądał jak zredukowana wersja Barlowa, czyli miał mniej włosów, mniej pewności siebie, a nawet mniej zębów, ponieważ brakowało mu górnego kła. Rozmawiał z Jasperem, który był ubrany w mundur rezerwy sił powietrznych. Na piersi jej brata widniały medale i kolorowe baretki.

Jasper, starszy od Jane o dwanaście lat, był nadopiekuńczym bratem i jej ostoją. Chodził na jej koncerty, pytał o szkołę i prace domowe, i poszedł z nią na bal szkolny, kiedy nikt jej nie zaprosił. Zawsze widziała w nim miniaturę dorosłego, bohatera bawiącego się żołnierzami i czytającego książki z historii wojskowości, ale mogła liczyć na jego interwencję, gdy jakiś chłopak zranił jej uczucia, albo na pieniądze na nową szminkę.

- Pani Queller? - powtórzył Barlow.

- Przepraszam - powiedziała Jane, sięgając po chusteczkę

higieniczną z pudełka na stoliku kawowym.

Barlow poczuł się skarcony.

- Proszę przyjąć kondolencje z powodu straty ojca.

Jane wytarła oczy i spojrzała w lustro za kanapą. Skóra ją piekła. Miała zapuchnięte oczy. Czerwony nos. Od pięciu dni płakała.

- Proszę się nie śpieszyć - powiedział Barlow, ale widać było, że się niecierpliwi.

Jane wydmuchała nos najdyskretniej, jak mogła.

Nick zmusił ich, by godzinami ćwiczili swoje zeznania, ale nic nie przygotowało jej na stres związany z samym przesłuchaniem. Za pierwszym razem łkała spazmatycznie, przerażona perspektywą powiedzenia czegoś nie tak. W trakcie następnych przesłuchań zorientowała się, że łzy są darem niebios, ponieważ właśnie płaczu po niej się spodziewano. Andrew też opracował własną strategię. Kiedy zadawano mu trudne pytanie, pociągał nosem, wycierał oczy i odwracał głowę, namyślając się nad odpowiedzią.

To Nick wywoływał niepokój, zresztą nie tylko u Jane i Andrew, ale u każdej obecnej osoby. Sprawiał wrażenie, że czerpie perwersyjną przyjemność z docinania agentom i wystawiania ich cierpliwości na ciężką próbę, a potem przedstawiał wiarygodne wyjaśnienie, zanim zdążył ich doprowadzić do ostateczności.

Obserwując go wczoraj z agentami służb specjalnych, Jane zadawała sobie pytanie, czy Nick nie ma skłonności samobójczych.

- Jinx? - odezwał się Jasper.

Wszyscy czekali, aż Jane usiądzie. Przysiadła na krawędzi kanapy, Andrew zajął miejsce obok niej, a Barlow usiadł na kanapie naprzeciwko nich i oparł ręce na kolanach. Tylko

Jasper i Danberry nie usiedli. Jasper przemierzał pokój tam i z powrotem. Danberry oglądał pokój. Zamiast zadać pytanie, otworzył kasetkę z onyksu stojącą na jednej z półek na książki i zajrzał do środka.

Barlow wyjął notes z kieszeni na piersi i kciukiem zaczął przewracać kartki. W milczeniu przebiegał wzrokiem zapiski.

Jane spojrzała na Andrew, potem na Jaspiera, który wzruszył ramionami.

To była nowość. Inni agenci zaczynali od pogawędki, pytali o dom, o wystrój wewnątrz. Zwykle to Andrew brał na siebie objaśnienia. Salon, jak reszta domu, był bezładną mieszaniną stylów z lekkimi meblami na cienkich nóżkach, z tapetami tekstylnymi na ścianach i boazerią z ciemnego mahoni. Podwójne żyrandole należały do któregoś z przodków Quellerów, który współpracował z Tiffanym przy ich projektowaniu. Stolik kawowy z sekwoi był spadkiem po rodzinie matki. W kominku mógł stanąć wyprostowany dorosły mężczyzna. Krążyła pogłoska, jakoby dywan został zabrany pewnej japońskiej rodzinie internowanej w obozie podczas wojny.

Andrew wiercił się na kanapie. Jasper wrócił do krążenia po pokoju.

Barlow odwrócił kartkę notatnika. W ciszy zabrzmiało to jak skrobanie papierem ściernym. Danberry przechylił głowę, żeby przeczytać tytuły na grzbietach książek.

Jane musiała zrobić coś z rękami. Sięgnęła po paczkę papierosów na stoliku kawowym, a Andrew zapalił jej zapalniczkę. Raz po raz przytupywał nerwowo, wybijając sobie tylko znany rytm. Jane zastanawiała się, jak by to wyglądało, gdyby położyła mu rękę na udzie, żeby uspokoić podrygującą nogę. Albo gdyby poprosiła Barlowa, by wreszcie zaczął. Albo gdyby

zaczęła krzyczeć, ile sił w płucach, póki nie zostawiliby jej w spokoju, a ona poszłaby na górę do Nicka.

To była przemyślana taktyka. Barlow i Danberry prowokowali swoim zachowaniem, by przesłuchiwani zaczęli popełniać głupie błędy.

Jane przypominała sobie pytania zadawane przez innych agentów.

Czy kiedykolwiek spotkała pani prawdziwą doktor Alexandrę Maplecroft? Co Laura Juneau powiedziała pani podczas konferencji? Dlaczego nie zorientowała się pani, że to oszustka? Gdzie według pani jest teraz prawdziwa doktor Alexandra Maplecroft?

Porwana.

Odpowiedź na to pytanie była powszechnie znana. We wczorajszym wydaniu *San Francisco Chronicle* na pierwszej stronie ukazała się treść listu z żądaniem okupu:

Mamy doktor Alexandrę Maplecroft, narzędzie faszystowskiego reżimu...

- Pani Queller? - Barlow w końcu podniósł głowę znad notatek. - Streszczę, co wiemy z wcześniejszych pani zeznań.

Jane ledwie skinęła głową. Zesztywniała z napięcia. W tych dwóch mężczyznach było coś odmiennego. W pogniecionych garniturach, poplamionych krawatach, z brakującym zębem i fatalnymi fryzurami przypominali telewizyjną parodię agentów federalnych, ale nie byłoby ich tutaj, gdyby należeli do drugiego czy trzeciego sortu.

- Zaczynamy - powiedział Barlow. - Przed konferencją nigdy pani nie spotkała Laury Juneau. Mogła pani słyszeć wcześniej to nazwisko, kiedy jej mąż zabił ich dzieci, ponieważ ta historia znalazła się w gazetach. Była pani w Berlinie, zastępując przyjaciela w studiu nagrań przez dwa miesiące.

- Trzy - sprostował Jasper.

- Tak, trzy. Dziękuję, majorze Queller - odparł Barlow, nie spuszczać wzroku z Jane. - Wcześniej nie spotkała pani doktor Alexandry Maplecroft. Słyszała pani jej nazwisko w związku z pani ojcem, ponieważ była jego rywalką, która...

- Nie - przerwał Jasper. - Żeby mówić o rywalach, trzeba mieć do czynienia z ludźmi równymi sobie. Maplecroft była po prostu zmorą mojego ojca.

- Jeszcze raz dziękuję, panie majorze. - Barlow wyraźnie chciał dać Jasperowi do zrozumienia, żeby się zamknął, ale zamiast tego ciągnął: - Pani Queller, chciałbym najpierw zapytać o pani rozmowę z panią Juneau w barze.

Jane zamrugnęła. Przypomniała sobie radość na twarzy Laury, gdy zgadła, że Jane wystukuje na blacie piosenkę *Love Me Two Times*.

- To pani podeszła do niej czy ona do pani? - zapytał Barlow.

Jane miała tak ściśnięte gardło, że musiała zakasłać przed otwarciem ust.

- Ja do niej podeszłam. Siedziałam przy pianinie i grałam, kiedy weszła. Pomyślałam, że to Amerykanka, z powodu...

- Jej ubioru - dokończył Barlow. - Chciała pani porozmawiać z Amerykanką po długim pobycie w Niemczech.

Jane poczuła zawroty głowy. Dlaczego skończył za nią zdanie? Dawał jej do zrozumienia, że rozmawiał z innymi agentami, że porównywali swoje notatki, czy po prostu chciał przyspieszyć?

A może - co byłoby najbardziej przerażające - za długo ćwiczili swoje kwestie? Czy ich dobór słów, gesty, komentarze były tak dopracowane, że wydały się podejrzone?

Jane otworzyła usta. Próbowwała wziąć oddech.

- O czym rozmawiała pani z panią Juneau? - zapytał Barlow.

Jane czuła ucisk w klatce piersiowej. Nagle zabrakło jej powietrza. Odłożyła papierosa do popielniczki, układając go starannie w wyżłobieniu. Znowu drżały jej ręce. Nie wiedziała, co robić, więc powiedziała prawdę:

- Parę lat wcześniej widziała, jak gram. Rozmawialiśmy o koncercie. I ogólnie o muzyce.

- O Bachu, Beethovenie, Mozarcie? - Barlow sprawiał wrażenie, że bierze te nazwiska z sufitu. - Chopinie? Czajkowskim?

Czajkowskim, omal nie poprawiła go Jane, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Może to był trik? Może innemu agentowi powiedziała coś innego?

Andrew znowu zakasłał. Sięgnął po papierosa, którego Jane zostawiła w popielniczce.

- Pani Queller? - ponaglił ją Barlow.

Jane wyjęła chusteczkę z paczki i wytarła nos. Panika nie mijała.

Trzymajcie się prawdy, instruował ich Nick. Tylko pilnujcie, żeby to nie była cała prawda.

- Hm... - starała się nie śpieszyć. - Mówiliśmy o Edwardzie Griegu, bo to Norweg. O popowym zespole A-ha, też Norwegach. O Marcie Argerich. Argentynce. Nie pamiętam, dlaczego akurat ją przywołała, ale tak było.

- Widziała pani, jak Juneau wchodzi do łazienki? - Barlow przyglądał się Jane uważnie, gdy pokręciła przecząco głową. - Była pani w łazience przed strzelaniną?

- Konferencja trwała długo. Na pewno byłam. - Jane zdawała sobie sprawę, że głos jej drży. Czy to dobrze? Czy dzięki temu historia brzmiała wiarygodniej? Zerknęła na Danberry'ego, który krążył po pokoju jak rekin. Dlaczego nie zadawał pytań?

- Za jednym z rezerwuarów w toalecie były resztki taśmy

klejącej. Uważamy, że broń ukryto właśnie tam.

- Świetnie - wtrącił Jasper. - W takim razie będziecie mieli odciski palców. Sprawa zamknięta.

- Ten, kto ją tam zostawił, miał rękawiczki - odparł Barlow i znowu zwrócił się do Jane. - Wiemy zatem, że przed morderstwem słyszała pani o Laurze i Robercie Juneau. A o Maplecroft?

- Juneau i Maplecroft w salonie od frontu - zagrział Nick, wybierając ten moment na pojawienie się. - Dobry Boże, to brzmi jak kanadyjska wersja *Tropu*. Kto trzymał świecznik?

Wszyscy obecni odwrócili się jak na komendę, by spojrzeć na Nicka stojącego w drzwiach. Zdołał skupić na sobie całą uwagę. Jane widziała to tysiące razy. Umiał sterować nastrojem jak didżej kręcący pokrętłami gramofonu.

- Miło, że pan do nas dołączył, panie Harp - powiedział Barlow.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Nick wszedł do salonu z uśmiechem samozadowolenia na twarzy.

Jane nie spuszczała wzroku z Barlowa, który uważnie przyglądał się Nickowi. Zachował obojętny wyraz twarzy, ale wyczuła jego niechęć. Atrakcyjność i urok osobisty Nicka działały albo na jego korzyść, albo przeciwko niemu. Nie było stanów pośrednich.

- Panowie - Nick wcisnął się na kanapę między Andrew i Jane, po czym objął ją władczo - chyba już usłyszeliście, że żadne z nas nie znało ani Maplecroft, ani Juneau przed zamordowaniem Martina? - Palcami zaczął przeczesywać włosy Jane. - Biedaczka jest kompletnie roztrzęsiona. Nie wiedziałem, że w człowieku może mieścić się tyle łez.

Barlow przez chwilę patrzył Nickowi w oczy, po czym zwrócił się do Andrew:

- Dlaczego pan i pan Harp nie lecieliście tym samym samolotem z San Francisco?

- Nick wyjechał dzień wcześniej. - Andrew wyjął chusteczkę i wytarł nos. - O ile mi wiadomo, miał sprawy w Nowym Jorku.

- Jakie sprawy?

Andrew spojrzał na niego zdezorientowany. Nie rozumiał, dlaczego Barlow nie pyta o to Nicka.

- Majorze Queller. - Barlow zwrócił teraz głowę ku Jasperowi. - Skąd pańska rodzina zna pana Harpa?

- Nick jest z nami od lat. - Jasper powiedział to spokojnym tonem, co było zaskakujące, ponieważ nigdy nie lubił Nicka. - Zabieraliśmy go na wakacje, spędzaliśmy razem święta. To tego rodzaju zażyłość.

- Jego rodzina mieszka na Wschodnim Wybrzeżu - dodał Andrew. - Tutaj Nick był niemal jak sierota. Nasi rodzice traktowali go jak członka rodziny.

- Przyjechał tu w wieku piętnastu lat, prawda? - zapytał Barlow. Czekał na odpowiedź, ale nikt jej nie udzielił. - W domu miał kłopoty z prawem, dlatego matka wysłała go na drugi koniec kraju do babci.

- Nick wszystko nam opowiedział. - Andrew zerknął na niego nerwowo. - Było trudno, ale dostał się na Uniwersytet Stanforda.

- Racja. - Barlow wrócił do notatek. W pokoju znowu zapadła cisza.

Nick udawał obojętność. Strzepnął wyimaginowany kłaczek z nogawki, puścił do Jane oko. Tylko ona czuła, jak bardzo jest spięty. Ramię Nicka za jej plecami było naprężone do granic. Czuła jego palce zagłębiające się w jej skórę.

Był na nią zły? Powinna stanąć w jego obronie? Oznajmić agentom, że Nick jest dobrym człowiekiem; że wyrwał się

z bagna; że nie mają prawa tak go traktować, ponieważ Nick...
Przegrywał.

Jeszcze tego nie widział, ale przegrał tę rozgrywkę w chwili wejścia do salonu. Od paru dni nabijał się z agentów rządowych, pomstował na ich głupotę, chełpił się własnym sprytem. Nie zdawał sobie sprawy, że agenci równie dobrze potrafią udawać co on.

Wzięła głęboki oddech, prawie dławiąc się łzami. Nic tak jej nie przerażało jak obserwowanie Nicka, który próbuje ratować się z opresji.

- Panie Queller. - Barlow oderwał się od notatek i spojrzał na Andrew. - Czy pan Harp wspominał panu, że brał udział w jednym z wykładów doktor Maplecroft?

Andrew posłał Jane przestraszone spojrzenie, które odzwierciedlało jej własne uczucia. Co powinni powiedzieć? Czego chciałby Nick?

- Mogę odpowiedzieć na to pytanie - zaproponował Nick. - O ile pan zechce.

- Czemu nie. - Barlow rozsiadł się na kanapie.

Za jego plecami Danberry otworzył i zamknął kolejną szkatułkę.

Nick kazał im czekać.

Sięgnął po papierosa leżącego w popielniczce. Zaciągnął się z teatralną emfazą, potem wypuścił smużkę dymu. Strząsnął popiół. Starannie ułożył papierosa w rowku popielniczki. Rozparł się wygodnie. Jego ramię powędrowało za plecy Jane.

W końcu podniósł wzrok, udając zaskoczenie, że wszyscy czekają w napięciu.

- Och, mam teraz odpowiedzieć?

Danberry skrzyżował ramiona.

Jane walczyła z falą mdłości.

Nick zwrócił się do Barlowa:

- Czy macie potwierdzenie mojej obecności na tym wykładzie?

- Według jej asystentki doktor Maplecroft nie wierzyła w listę obecności.

- Wielka szkoda.

- W tym tygodniu będziemy rozmawiać z innymi studentami.

- To poważne przedsięwzięcie - stwierdził Nick. - Ilu jest teraz studentów w Berkeley? Trzydzieści tysięcy? Czterdzieści?

Barlow westchnął ciężko. Otworzył notes i wrócił do przerwanej gry, kierując swoje słowa do Andrew:

- Podczas konferencji, kiedy pan Harp podszedł do Laury Juneau, która udawała doktor Maplecroft, wspomniał o uczestnictwie w jednym z jej wykładów. Słyszeli to policjant i dziewczyna w recepcji dla uczestników konferencji.

- Nie było mnie przy tej części rozmowy, ale Nick na pewno może...

- Wiedział pan, że pan Harp ma wyrok za narkotyki?

Nick nie wytrzymał.

- A pan wie, że pan Queller ma taki wyrok na koncie?

- Jezu - mruknął Jasper.

- Powinni znać fakty - powiedział Nick. - Okłamywanie agenta FBI to ciężkie przestępstwo. Prawda, agencie Danberry?

Danberry milczał. Jednak nie uszło jego uwagi, że Nick zwrócił się do niego po nazwisku, chociaż nie był obecny, gdy przedstawiali się z Barlowem. Jane przypuszczała, że podsłuchiwał na górze schodów. Przekonała się boleśnie na własnej skórze, że Nick jest świetnym podsłuchiwcem.

Andrew sam pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Dwa lata temu zostałem skazany za posiadanie kokainy.

Wykonałem prace społeczne w zamian za zatarcie wyroku.

- W takich szczególnych sytuacjach tego rodzaju informacje nie powinny pozostawać tajemnicą, prawda? - dodał Nick.

- Owszem - rzucił Barlow.

Jane starała się nie krzywić, gdy Nick przeczesywał palcami jej włosy.

- Spotkałem Laurę Juneau na lotnisku Schiphol w poczekalni linii KLM. Oboje lecieliśmy do Oslo. To ona do mnie podeszła. Zapytała, czy miejsce obok mnie jest wolne. Powiedziałem, że nie. Przedstawiła się jako doktor Alexandra Maplecroft. Powiedziała, że poznaje mnie z wykładu, co może być prawdą, ale szczerze mówiąc, panowie, byłem tak naćpany na większości zajęć, że absolutnie nie jestem wiarygodnym świadkiem.

- Absolutnie nie - powtórzył Barlow.

Danberry ciągle milczał. Podeszedł do koncertowego fortepianu Bösendorfer Imperial po drugiej stronie salonu. Jane aż się skuliła, gdy bezgłośnie przebiegł palcami po dodatkowych klawiszach.

- Zatem, panie Harp, pierwszy raz spotkał pan doktor Maplecroft na lotnisku w Amsterdamie, a drugi raz w Oslo?

- Zgadza się - potaknął Nick, a Jane omal nie krzyknęła z ulgą, kiedy wrócił do przygotowanego scenariusza. - Z uprzejmości udałem, że rozpoznaję kobietę, którą uznałem za doktor Maplecroft. Kiedy zobaczyłem ją ponownie na konferencji, znowu udałem, że ją poznaję. Z uprzejmości. - Wzruszył ramieniem. - Myślę, że słowo „udawać” jest tu kluczowe, panowie. Ona udawała, że mnie zna. Ja udałem, że znam ją. Tylko jedno z nas miało nieczyste intencje.

Barlow postawił jakiś znak w notesie.

Teraz Andrew wszedł w swoją wyuczoną rolę:

- Na konferencji Nick przedstawił mi tę Juneau jako doktor Maplecroft. Rozpoznałem nazwisko, ale nie twarz. Niewiele jest zdjęć doktor Maplecroft. Teraz, kiedy jej szukacie, na pewno sami się zorientowaliście. Chyba powiedziałem coś fałszywej Maplecroft o panelu dyskusyjnym ojca. Nie miała identyfikatora, więc zapytałem, czy jest jakiś problem z rejestracją. - Wzruszył ramionami tak samo jak Nick. - Taki był mój kontakt z tą kobietą. Kiedy znowu ją zobaczyłem, zamordowała mi ojca.

Jane wzdrygnęła się na to wspomnienie.

- Bardzo spójne wyjaśnienie - zauważył Barlow.

- Większość taka jest - powiedział Nick. - Na waszym miejscu przyjrzałbym się tym skomplikowanym. - Wygładził nogawkę spodni. - Ale wydaje mi się, że to, panowie, już mówiłem waszym kolegom po fachu. Wszyscy już to mówiliśmy. I powtarzamy w nieskończoność. Chyba już pójdę.

Żaden z agentów nie ruszył się, by go zatrzymać.

Nick zawahał się na moment, potem pocałował Jane w usta i wyszedł z salonu. Jane zamarło serce, kiedy skręcił w lewo zamiast w prawo. Nie szedł na górę, by na nią poczekać.

Nick wychodził.

Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły. Ten dźwięk był dla niej jak cios noża w serce. Musiała otworzyć usta, żeby złapać oddech. Była rozdarta między ulgą, że poszedł, a strachem, że nigdy więcej go nie zobaczy.

Jasper zwrócił się do Barlowa:

- Przepraszam za Nicka, ale on ma rację. Nie możemy tego ciągnąć. Odpowiedzi się nie zmieniają.

- Dochodzenie trwa. Ludzie, którzy zaplanowali morderstwo w Oslo, nadal mają doktor Maplecroft.

- Co jest tragedią, ale moja rodzina nic na to nie poradzi -

powiedział Jasper.

- W liście z żądaniem okupu za doktor Maplecroft jest warunek: firma pańskiego ojca ma przyznać się do winy. Porywacze obarczają go odpowiedzialnością za desperacki akt Roberta Juneau.

- To rodzinna firma. - Jasper był przewrażliwiony na tym punkcie, od kiedy w zeszłym roku przejął jej zarządzanie. - Porywacze zażądali też miliona dolarów, co jest niedorzeczne. Nie możemy brać odpowiedzialności za działania szaleńca. Wiecie, ile domów prowadzi Queller Healthcare? W samym rejonie Zatoki San Francisco?

- Piętnaście - odpowiedział Andrew, ale słyszała go tylko Jane.

- Porywacze nazywają się Armią Przemiany Świata. Nigdy o nich nie słyszeliście?

Jane i Andrew pokręcili głowami.

Po drugiej stronie salonu Danberry zamknął klapę fortepianu.

Jane ścisnęło w żołądku. Kość słoniowa zżółknie bez dostępu światła słonecznego.

Jasper zauważył jej niepokój.

- Czy klapa nie powinna być podniesiona? - zapytał.

Jane pokręciła głową. Nick powtarzał, żeby pozwoliła klawiszom zżółknąć. Żeby dała sobie spokój z ćwiczeniami. Żeby przestała się tak starać. Martin nie mógł ukarać jej z za grobu.

- Majorze Queller, czy słyszał pan o Armii...

- Oczywiście, że nie. - Jasper ledwie zapanował nad sobą, ale szybko odzyskał równowagę. - Nie muszę chyba mówić, jak te kłamstwa szkodzą firmie. W tym tygodniu mieliśmy wejść na giełdę, ale wpływowi inwestorzy robią się nerwowi w związku

z tym zamieszaniem. Zarzuty porywaczy są absurdalne. Nie torturujemy chorych ludzi, na miłość boską. To nie Rosja Sowiecka.

- Majorze Queller - odezwał się Danberry.

- Mój ojciec był dobrym człowiekiem - ciągnął Jasper. - Przyznaję, że czasami głosił kontrowersyjne poglądy, ale zawsze zależało mu na dobru rodziny i na pomyślności kraju. Był patriotą. Jego życiową misją była służba dla innych, i to go zabiło.

- Nikt tego nie kwestionuje.

Jasper złągodził ton.

- Laura Juneau ewidentnie miała nierówno pod sufitem. Może nigdy nie poznamy powodu...

- Powód jest raczej oczywisty. - Andrew powiedział to cichym głosem, ale wszyscy skupili na nim uwagę. - Roberta Juneau wyrzucili z sześciu domów opieki zarządzanych przez Quellera. Powinien znaleźć się w szpitalu, ale nie było dla niego miejsca. Możesz mówić, że system go zawiódł, ale to my jesteśmy systemem, Jasperze. Queller jest systemem. Ergo...

- Ergo: zamknij się, Andy. - Jasper spiorunował brata wzrokiem. - Firma może paść przez takie idiotyczne gadanie. Inwestorzy mogą się wycofać. Rozumiesz to?

- Muszę zaczerpnąć powietrza. - Jane wstała z kanapy. Andrew i Barlow zrobili to samo. Kręciło jej się w głowie, żołądek wyprawiał dzikie harce. Idąc, musiała patrzeć pod nogi. Miała wrażenie, że przesuwa się pod nimi kołowrotek. Chciała pójść do łazienki i zwymiotować, płakać albo posiedzieć tam w samotności i spróbować zrozumieć, co się dzieje.

Dokąd poszedł Nick?

Wściekł się na nią? Popełniła jakiś błąd? Milczała, kiedy on

chciał, żeby stanęła w jego obronie? Będzie się gniewał? Czy znowu ją odtrąci?

Nie mogła zostać odtrącona. Nie zniosłaby tego. Nie teraz. Nie, kiedy nosiła jego dziecko.

Zamiast pójść do łazienki czy zatrzymać się w kuchni, by zostawić Nickowi desperacką wiadomość w poczcie głosowej, wyszła z domu tylnymi drzwiami.

Stanęła na patio, zamknęła oczy i próbowała w sposób kontrolowany oddychać. Świeże powietrze sprawiło, że ciasna obręcz ściskająca jej klatkę piersiową puściła. Spojrzała w zachmurzone niebo. Widziała skrawek słońca za mostem Golden Gate. Poranna mgła nadal spowijała Marin Headlands. Jane było chłodno, ale nie chciała wracać po sweter.

Zobaczyła ślady obecności swojej matki na stole z kutego żelaza: filiżankę ze śladami szminki, pełną popielniczkę, gazetę unieruchomioną kryształowym przyciskiem do papieru.

Przebiegła wzrokiem pierwszą stronę *Chronicle*, chociaż znała na pamięć treść listu od porywaczy. Nick chełpił się jego pomysłową treścią, chociaż Jane uważała, że brzmi jak manifest superzłoczyńców z kreskówki.

To komunikat od Armii Przemiany Świata. Porwaliśmy doktor Alexandrę Maplecroft, narzędzie faszystowskiego reżimu, pionek w niebezpiecznej grze prowadzonej przez Martina Quellera i jego tak zwaną firmę sektora medycznego. Żądamy przeprosin za rolę, jaką Martin Queller odegrał w zabójstwie rodziny Juneau oraz innych rodzin na terenie Kalifornii. Działalność Queller Healthcare musi zostać powstrzymana. Ci dranie systematycznie wykorzystywali, torturowali i bili pacjentów w swoich ośrodkach. Więcej ludzi straci życie, jeśli...

- Niezła chata.

Jane drgnęła przestraszona.

- Przepraszam. - Agent Danberry stał w drzwiach. Trzymał w ustach niezapalonego papierosa. Kontemplował widok z niekłamanym podziwem. - Z mojego mieszkania mam widok na zaułek, który dzielę z sąsiadem. Kiedy otwieram okno, czuję smród wymiocin, które zostawiają na pamiątkę śpiące tam ćpuny.

Jane nie wiedziała, co powiedzieć. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Była pewna, że Danberry widzi to trzepotanie pod jej bluzką.

- Zamknęli go kilka lat temu. Most. Porywy wiatru. - Wyjął papierosa z ust. - Ten fortepian, tam... Pewnie spłaciłby moje auto, co?

Bösendorfer pewnie sfinansowałby pięćdziesiąt nowych samochodów, ale Danberry nie przyszedł tu rozmawiać o cennych instrumentach.

- Po co są te dodatkowe klawisze? - zapytał.

I czekał na odpowiedź.

Jane wytarła oczy. Nie mogła stać tu i płakać. Musiała coś powiedzieć - cokolwiek - o moście, o mgle, o widoku, ale była tak przerażona, że nawet najbardziej banalna uwaga nie mogła przejść jej przez gardło.

Danberry skinął głową, jakby właśnie tego się spodziewał. Zapalił papierosa. Zapatrzył się na drzewa przy moście. Od strony skał niósł się ryk syren mgłowych.

Jane też spojrzała w stronę mostu. Przypomniała sobie, jak pierwszy raz stała z Nickiem w ogrodzie i patrzyła na spływającą mgłę. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że traktowała ten widok jak coś oczywistego. Tylko Nick rozumiał, jakie to szczęście móc to oglądać.

- Widziałem kiedyś panią na koncercie - powiedział Danberry.

Jane wiedziała, ku czemu zmierza. Próbował skierować rozmowę na bliskie jej tematy, by się rozluźniła.

- Moja żona zaciągnęła mnie do klubu w Vallejo - ciągnął Danberry. - Keystone Korner. Dawno temu. Słyszałem, że przenieśli się na drugą stronę zatoki. - Przysunął Jane krzesło. Nie miała wyjścia, musiała usiąść. - Wiem, że to dla pani trudne.

Jane wytarła oczy palcami. Miała wrażenie, że łyzy palą jej skórę.

Danberry usiadł, nie czekając na zaproszenie.

- Co pani robiła w Niemczech?

Jane знаła odpowiedź na to pytanie, przynajmniej tę, której powinna udzielić.

- Pani Queller? - ponaglił ją.

- Pracowałam - wykrztusiła. Jej głos był tylko nieco głośniejszy od szeptu. Musiała zebrać się w sobie. Ćwiczyli to. To było coś w rodzaju występu. Wszystkie nuty miała w głowie. Musiała tylko przywołać je ruchami palców. Pomasowała gardło, by rozluźnić mięśnie. - To było czasowe zajęcie. Zastępowałam przyjaciela w Berlinie w charakterze pianistki sesyjnej.

- Mam nadzieję, że w Berlinie Zachodnim - rzucił z uśmiechem.

Jane odwzajemniła uśmiech.

- Wiem, co pani myśli. Wiemy, co pani tam robiła. Wiemy, gdzie pani mieszkała. Wiemy, gdzie pani pracowała, gdzie jadła lunch. Wiemy, że czasem jechała pani na Wschód. Wiemy też, że leciała pani do Oslo z Berlina Wschodniego, co tam nie jest raczej niczym nadzwyczajnym, prawda? Ceny są niższe. -

Danberry spojrział za siebie na dom. – Nie żeby musiała pani oszczędzać, ale kto by przepuścił taką okazję?

Jane poczuła, że panika wraca. Danberry naprawdę wszystko wiedział? Czy to tylko trik?

– Jak było we wschodnich Niemczech? – zapytał.

Próbowała wyczuć drugie dno tego pytania. Czyżby uważali ją za komunistkę? A może za szpiega?

– Słyszałem, że wszyscy tam obserwują wszystkich. Co robisz, z kim rozmawiasz, co mówisz. – Strząsnął popiół do przepełnionej popielniczki. – Coś jak ja w tej chwili, prawda?

Uśmiechnął się znowu, więc Jane zrobiła to samo.

– Pozwalają im tam słuchać muzyki? – zapytał.

Jane zagryzła wargi. Słyszała w głowie słowa Nicka: Jeśli będą chcieli, żebyś poczuła się swobodnie, pozwól im myśleć, że poczułaś się swobodnie.

– Springsteen, może Michael Jackson? – drążył Danberry.

Jane miała na podorędziu przećwiczoną odpowiedź.

– Na muzykę popularną patrzy się tam krzywo, ale nie jest całkiem *verboten*.

– Muzyka jest wolnością, prawda?

Jane potrząsnęła głową. Na to nie miała gotowego scenariusza.

– Jest jak... – Danberry uniósł ręce i rozcapierzył palce. – Porusza ludzi. Inspiruje. Pod jej wpływem chce im się tańczyć albo porwać dziewczynę w ramiona i dobrze się bawić. Muzyka ma moc.

Jane kiwała głową, ponieważ właśnie to czuła, obserwując spontaniczne koncerty studentów urządzone w parku Treptow. Bardzo chciała opowiedzieć o nich Nickowi, ale w kwestii swojego pobytu w Niemczech musiała zachować ostrożność, ponieważ nie chciała, żeby czuł się porzucony.

- Interesuje się pani polityką? - zapytał Danberry.

Pokręciła głową. Musiała ciągnąć tę grę.

Wiedzą, że nigdy nie głosowałaś.

- Nigdy nawet nie głosowałam - przyznała.

- Ale działa pani jako wolontariuszka. Jadłodajnie dla ubogich. Schroniska dla bezdomnych. Nawet oddział dla chorych na AIDS otwarty przy Uniwersytecie Medycznym. Nie boi się pani zarazić?

Jane patrzyła, jak Danberry zaciąga się dymem.

- Rock Hudson mnie zaszokował. Nigdy bym nie pomyślał, że jest jednym z nich. - Zapatrzony w Golden Gate zapytał: - Czy pani ojciec był swatem?

Nie odpowiadaj na pytanie, jeśli go nie rozumiesz.

Danberry pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Wyjechała pani do Niemiec na trzy miesiące. Pani chłopak został tutaj, chodząc na podryw z pani bratem. - Zerknął na nią, po czym znowu przeniósł wzrok na most. - Ellis-Anne MacMillan powiedziała, że zerwanie z Andrew było zupełnie nieoczekiwane. Zwykle zerwanie jest nieoczekiwane.

Nie daj się zaskoczyć. Nie reaguj automatycznie.

- Właściwie po co ojciec wysłał pana Harpa do Norwegii? Żebyście się zeszli?

Podawaj tylko fakty. Nie tłumacz się.

- Nick i ja nigdy nie zerwaliśmy - zaczęła. - Byłam w Berlinie z powodu pracy. On musiał zostać tutaj. Też z powodu pracy. - Wiedziała, że na tym powinna skończyć, ale nie mogła. - Ojciec dał mu pracę w Queller. Pewnie chciał mieć go w Oslo ze względu na siebie. Bardzo poważnie podchodził do panelu z Maplecroft. Nick jest czarujący, ma łatwość w nawiązywaniu kontaktów, ludzie zawsze go lubili. Przyciągał ich, a ojciec nie był wyjątkiem. Chciał pomóc Nickowi piąć się po szczeblach

kariery.

- Tacy goście zawsze spadają.

Jane przygryzła koniuszek języka. Odwróciła wzrok, żeby Danberry nie zauważył złości w jej oczach. Nie mogła zdzierżyć ludzi, którzy źle mówili o Nicku. Tyle wycierpiał w dzieciństwie. Tacy jak Danberry nie byli w stanie tego zrozumieć.

- Ma charyzmę, co? - Danberry zgasił papierosa czubkiem buta i wrzucił niedopałek do popielniczki. - Piękna twarz. Bystry umysł. Świetne ciuchy. I coś więcej, prawda? Ma to, co mają niektórzy faceci. Chce się ich słuchać. Podążać za nimi.

Podmuch wiatru poruszył stronami *Chronicle*. Jane złożyła gazetę i zobaczyła krzykliwy nagłówek:

MILION DOLARÓW OKUPU ALBO PROFESOR UMRZE!

Śmieszny nagłówek dla śmiesznego manifestu. Za sprawą Nicka wszystko brzmiało idiotycznie.

- Śmierć faszystowskiej gnidzie, która gnębi lud - powiedział Danberry.

Jane nie pamiętała takiego zdania z listu z żądaniem okupu. Udała, że przebiega wzrokiem tekst w gazecie.

- Tego tu nie ma - powiedział Danberry. - Mówiłem o porwaniu Patty Hearst. Tak Symbioniczna Armia Wyzwoleńcza kończyła wszystkie swoje elaboraty. „Śmierć faszystowskiej gnidzie, która gnębi lud”. - Przyjrzał się Jane uważnie. - Pani rodzina ma drugi dom w pobliżu posiadłości Hearstów, prawda? W Hillsborough?

- Byłam wtedy dzieckiem.

Jego śmiech zdradził, że nadal uważa ją za dziecko.

- Carter nie zdołał uwolnić zakładników, a zastosował prawo łaski i skrócił jej karę.

- Mówiłam, że nie interesuję się polityką.

- Nawet w college'u? Mój staruszek powtarzał, że każdy jest socjalistą, póki nie zacznie płacić podatków.

Jane odwzajemniła jego kolejny uśmiech.

- Wie pani, skąd słowo „symbioniczna”?

Jane milczała w oczekiwaniu na wyjaśnienie.

- Donald DeFreeze, przywódca tej organizacji, był durniem, który nie znał słowa „symbiotyczny”, więc wymyślił słowo „symbioniczny”. - Danberry rozparł się na krześle i oparł stopę jednej nogi na kolanie drugiej. - Gazety nazwały ich terrorystami. Popełnili akt terroru, ale wszystkie komórki terrorystyczne są tak naprawdę sektami, a wszystkie sekty skupiają się zwykle wokół jednego gościa, który pociąga za sznurki. Taki Manson, Jim Jones czy wielebny Moon.

Wydadzą się niemal nonszalanccy, im bliżej będą sedna.

- DeFreeze był czarnym kolesiem, zbiegłym więźniem, alfonsem okradającym swoją dziewczkę z kasy. Jak wielu kanciarzy, miał mnóstwo charyzmy i młodych zwolenników: białych, z klasy średniej, większość chodziła do college'u. Nie byli głupcami. Byli gorsi od głupców. Byli jego zagorzałymi wyznawcami. Zepsuci biali gówniarze mający wszystko współczuli biednemu czarnemu więźniowi. Naprawdę wierzyli w bzdury, które im serwował o faszystowskich gnidach i wspólnym wychwalaniu Pana. Miał to coś. Charyzmę.

Zwracaj uwagę na słowa, które powtarzają, ponieważ to jest sedno ich narracji.

- Przekonał wszystkich wokół siebie - ciągnął Danberry - że jest bystrzejszy niż w rzeczywistości. Sprytniejszy. A prawda jest taka, że był jednym z wielu oszustów kierujących sektą, żeby sypiać z pięknymi dziewczynami i odgrywać Boga z chłopakami. Wiedział, kiedy ludzie chcieli się wycofać. Wiedział, jak ich zawrócić. - Danberry spojrzał na most. - Byli

niczym jo-jo, które mógł przyciągnąć z powrotem jednym ruchem nadgarstka.

Nawiąź kontakt wzrokowy. Ukrywaj zdenerwowanie.

Danberry złączył dłonie i oparł je sobie na brzuchu.

- Większość jego wyznawców skończyła z kulką w głowie albo spłonęła żywcem. Muszę pani powiedzieć, że to się nierzadko zdarza. Grupy anarchistyczne uważają, że postępują słusznie, aż kończą za kratkami albo w kostnicy.

Jane otarła oczy. Widziała, do czego zmierza Danberry, ale nie była w stanie go powstrzymać.

Co zrobiłby Nick? Jaki argument rzuciłby mu w twarz?

- Pani Queller - powiedział Danberry. - Jinx. - Pochylił się ku niej, prawie dotykając kolanami jej nogi.

Naruszą twoją przestrzeń osobistą, żeby cię onieśmielić.

- Niech mnie pani posłucha. Jestem po pani stronie. Ale pani chłopak...

- Widział pan kiedyś człowieka postrzelonego w głowę? - Zdumienie na jego twarzy powiedziało Jane, że trafiła w sedno. Jak Nick, pozwoliła sobie czerpać z tego siłę. - Z taką nonszalancją mówił pan, że ci gówniarze skończyli z kulką w głowie. Ciekawa jestem, czy pan wie, jaki to naprawdę widok.

- Nie chciałem... - Odsunął się od niej. - Chodziło mi o to, że...

- Tutaj - dotknęła swojej skroni, wskazując miejsce, w które został trafiony Martin - jest dziura, czarna dziura nie większa od dziesięciocentówki. A po drugiej stronie, skąd wylatuje kula, widać krwawą miazgę. Nagle uświadamiasz sobie, że wszystko, co składało się na osobowość tego człowieka, zabryzgało podłogę. Sprzątaczkę zmyje to i spuści do kanalizacji. Było i nie ma. Przemineło na zawsze.

- Ja... - Danberry otworzył usta i zaraz je zamknął. -
Przepraszam, pani Queller. Nie chciałem...

Jane wstała. Weszła do domu i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. W holu wytarła ręką nos. Nie była w stanie dłużej zachować pozorów. Musiała stąd wyjść. Znaleźć Nicka. Powiedzieć mu, co się dzieje.

Jej torebka leżała na szafce. Jane zaczęła w niej grzebać w poszukiwaniu kluczyków. Nagle dotarło do niej, że Nick je zabrał.

Dokąd pojechał?

Jasper nadal był w salonie. Siedział na kanapie obok Andrew. Obaj mieli w rękach drinki. Nawet stojący przy kominku agent Barlow trzymał w dłoni szklaneczkę whisky.

- Co jest, Jinx? - Jasper wstał, gdy weszła do salonu.

- Dobrze się czujesz? - Andrew też wstał. Obaj wyglądali na zaniepokojonych, niemal złych. Widząc jej smutek, nigdy nie pozostawali obojętni.

- Nic mi nie jest - uspokoiła ich gestem. - Dacie mi kluczyki?

- Weź moje. - Jasper podał je Andrew. - Andy, odwieź ją. Ona nie może prowadzić.

- Wcale nie... - zaczęła Jane.

- Dokąd chcesz jechać? - Andrew już zmierzał w stronę szafy wnekowej po marynarkę.

Jasper włożył rękę do kieszeni.

- Potrzebujesz pieniędzy? - zapytał.

- Nie. - Jane nie miała siły spierać się z obydwojema braćmi. - Muszę poszukać... - Uświadomiła sobie, że ich rozmowie przysłuchuje się agent Barlow. - Powietrza. Potrzebuję powietrza.

- W ogrodzie za domem go zabrakło? - zapytał.

Odwróciła się do niego plecami. Nie czekała na Andrew.

Chwyliła torebkę. Wyszła frontowymi drzwiami i zeszła po schodach. Porsche Jaspera stało obok garażu.

- Mam. - Andrew dołączył do niej truchtem. Wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwi.

- Andy. - Jane złapała go za ramię. Kolana miała jak z waty. Ledwie trzymała się na nogach.

- Już dobrze - powiedział, próbując pomóc jej wsiąść. - Zachowaj spokój.

- Nie - zaproponowała Jane. - Nic nie rozumiesz. Oni wiedzą.

10

Za bardzo się bali, żeby rozmawiać otwarcie w samochodzie. Jasper nie należał do ich grupy, nie brał udziału w realizacji planu, ale tylko oni o tym wiedzieli. FBI, CIA, NSA czy jakakolwiek inna agencja rządowa zajmująca się bezpieczeństwem narodowym, mogła umieścić pluskwy w każdym zakamarku porsche. Również telefon samochodowy mógł być na podsłuchu.

Przed Oslo, zanim wszystkie rodzaje organów ścigania zajechały pod dom w Presidio Heights i zanim agent Danberry przyparł Jane do muru w ogrodzie, brali za objaw paranoi przestrogi Nicka, bo z góry zakładali, że każde znajome miejsce znajduje się pod obserwacją i że w każdej chwili ktoś ich podsłuchuje. By rozmawiać otwarcie, powinni iść do parku albo do losowo wybranej kawiarni. Musieli nauczyć się przemykać zaułkami, niepostrzeżenie opuszczać budynki, posługiwać się hasłami, poznać techniki przesłuchań, ćwiczyć samoobronę i przyswoić sobie dopracowane w każdym szczególe historie.

Okazało się, że ich historie są zbyt dopracowane.

Teraz już to wiedziała. Analizując wszystkie rozmowy, które w ciągu pięciu ostatnich dni odbyła z agentami, zrozumiała, że przesłuchujący spisywali w notesach pewne frazy i gesty, by później je porównać.

„Udałem, że rozpoznaję kobietę, którą uznałem za doktor Maplecroft”.

„Tylko jedno z nas miało nieczyste intencje”.

„Po długim pobycie w Niemczech chciałam porozmawiać z Amerykanką”.

- Zatrzymaj się - rzuciła do Andrew. Pod wpływem strachu miała w brzuchu węzły zamiast żołądka. Otworzyła drzwi, zanim auto stanęło na dobre, i zastukała obcasami po chodniku. Znajdowali się w granicach miasta. Dookoła nie było choćby skrawka trawy, ale nie miała wyboru, musiała wymiotować na chodnik.

„Spotkałem Laureę Juneau na lotnisku Schiphol w poczekalni linii KLM”.

„Pomyślałam, że to Amerykanka, z powodu jej ubioru”.

Jane wymiotowała tak bardzo, że opadła na kolana. Od morderstwa nie jadła nic prócz grzanki i jajek. Herbata, którą Nick zrobił jej rano, smakowała jak kora, gdy paląc przełyk, wróciła do gardła i chlusnęła jej z ust.

Nick. Musiała znaleźć Nicka. Chciała usłyszeć jego zapewnienie, że wszystko będzie dobrze.

- Jinx. - Andrew klęknął przy niej i objął ją ramieniem.

Jane przysiadła na obcasach i wytarła usta. Nie mogła zatrzymać drżenia palców, zupełnie jakby kości wibrowały jej pod skórą.

Oniwiedząoniwiedząoniwiedzą...

- Wszystko dobrze? - zapytał Andrew.

Roześmiała się. Jej śmiech przeszedł w spazm.

- Jane...

- Nic nie jest dobrze. - Te słowa przydały nieco rozsądku temu szaleństwu. - Pętla się zaciska. Rozmawiali z Ellis-Ann.

- Trzymałem ją od tego z daleka. Ona nic nie wie.

- Oni wiedzą wszystko. - Jane była zdruzgotana, że Andrew tego nie widzi. - Boże, Andy, oni uważają, że jesteśmy w sekcie.

- Jak Świątynia Ludu? Rodzina Mansona? - skwitował ze śmiechem.

Jane nie było do śmiechu.

- Co teraz zrobimy?

- Trzymamy się planu - odparł cicho. - Po to jest. Kiedy masz wątpliwości, niech plan cię prowadzi.

- Plan - powtórzyła Jane, ale bez bałwochwalczego szacunku, z jakim wymówił to słowo Andrew.

Przeklęty plan. Idiotyczny. Starannie przygotowany, omawiany w nieskończoność, w najdrobniejszych szczegółach.

Zły plan.

- Chodź, znajdziemy jakieś bistro i...

- Nie. - Jane musiała odszukać Nicka. Tylko on mógł znaleźć rozwiązanie, a może nawet już znalazł.

Sama myśl o Nicku przejmującym kontrolę nad sytuacją przyniosła ulgę jej starganym nerwom. Może to, co wydarzyło się z Danberrym i Barlowem, było elementem jakiegoś większego sekretnego planu. Nick czasem tak robił. Przekonywał, że stają na drodze pędzącego pociągu, po czym objawiał się jako sprytny maszynista, który zaciąga hamulec w ostatniej chwili, by uchronić ich przed niebezpieczeństwem. Sprawdzał ich w ten sposób przez cały czas. Nawet w Berlinie robiła niebezpieczne rzeczy na jego prośbę. Chciał się upewnić, czy będzie mu posłuszna.

Nie ufał ludziom. Rodzina odwróciła się od niego, musiał żyć na ulicy, a z tego bagna wydobył się bez niczyjej pomocy. Doznał wielu krzywd od tych, którym okazał zaufanie. Nic dziwnego, że Jane musiała bez przerwy udowadniać swoją lojalność.

Byli niczym jo-jo, które mógł przyciągnąć z powrotem jednym ruchem nadgarstka.

- Jane - powiedział Andrew.

W uszach brzmiały jej słowa Danberry'ego. Czy ona była

takim jo-jo? Czy Nick był oszustem? Przywódcą sekty? Czym różnił się od Jima Jonesa? Świątynia Ludu zaczęła od wspaniałych działań, jej członkowie karmili bezdomnych, opiekowali się starszymi, zwalczali rasizm. A dekadę później ponad dziewięćset osób, wśród nich wiele dzieci, umarło od lemoniady zaprawionej cyjankiem potasu.

Dlaczego?

- Daj spokój, Jane. Gliny nic nie wiedzą. Na pewno nic konkretnego.

Jane potrząsnęła głową, próbując odpędzić czarne myśli. Nick powiedział, że policja spróbuje ich rozdzielić, poddać presji psychicznej i manipulacji w nadziei, że w końcu pękną i zwrócą się przeciwko sobie.

Jeśli wszyscy milczą, nikt nie będzie wiedział.

Czy Nick naprawdę wierzył w swoje szaleńczo brzmiące teorie, czy po prostu przyciągał Jane z powrotem do siebie? Sześć lat spędziła, uganiając się za nim, prosząc go, kochając go, kłócąc się z nim, w końcu zrywając. A potem wracała. Bez względu na wszystko, zawsze odnajdywała drogę do niego.

- Chodźmy stąd wreszcie. - Z zamyślenia wyrwał ją głos brata.

Andrew pomógł jej wstać.

- Zawieź mnie do mieszkania Nicka.

- Nie zastaniesz go tam.

- Zaczekamy na niego. - Wsiadła do auta i wyjęła z torebki chusteczkę. W ustach czuła posmak zgnilizny, jakby psuła się od środka. Może tak było. Może wszystko gniło, nawet dziecko, które spłodzili.

Spodziewała się drwiącego komentarza Nicka: problem rozwiązany.

- Będzie dobrze. - Andrew przekręcił kluczyk w stacyjce.

Autem zarzuciło, gdy ruszył. - Przejedźmy się. Może wpadniemy do Nicka?

Jane zaskoczył jego dobrotliwy ton. Po chwili uświadomiła sobie, że Andrew mówi tak na wypadek, gdyby mieli w aucie pluskwę.

- Danberry porównał Nicka do Donalda DeFreeze'a - oznajmiła.

- Do feldmarszałka Cinque'a? - Wymieniając pseudonim przywódcy Symbionicznej Armii Wyzwoleńczej, Andrew posłał Jane uważne spojrzenie. W mgnieniu oka zrozumiał wymowę stwierdzenia Danberry'ego. - Czy to czyni cię Patricia Hearst?

- Oni uważają, że jesteśmy w sekcie - powtórzyła.

- Czy krysznaici jeżdżą porsche? - Andrew nie zorientował się, że Jane oczekuje od niego prawdziwej odpowiedzi. Nadal kierował swoje słowa do urojonego słuchacza. - Daj spokój, Jinx, to kompletny absurd. Gliny nie lubią Nicka, ale co się im dziwić. Tak już ma, że jest skurczybykiem. Kiedy się zorientują, że z nimi pogrywa, skierują uwagę na prawdziwych przestępców.

Jane zadawała sobie pytanie, czy Andrew przypadkiem nie trafił w sedno. Dlaczego Nick nieustannie uprawiał jakieś gierki? Mieli wszystko traktować poważnie. I od wydarzeń w Oslo wszystko nabrało śmiertelnej powagi. To, czego zamierzali dokonać w San Francisco, Chicago i Nowym Jorku, skupi na nich uwagę wszystkich służb. Nick nie mógł nadal być tak lekkomyślny i pewny siebie. Groziło im, że wylądują za kratkami.

- To nic - ciągnął Andrew. - Nie jesteśmy sektą, Jinx. Od siedmiu lat Nick jest moim najlepszym przyjacielem. Od sześciu lat twoim chłopakiem. Goście skupili się na nim, bo na kimś muszą. Zawsze szukają jakiegoś złego ducha. Nawet

David Berkowitz obwinił psa sąsiada.

Słowa brata nie przyniosły Jane spodziewanego pocieszenia.

- A jeśli nie skierują śledztwa na inne tory?

- Będą musieli. Nasz ojciec został zamordowany na naszych oczach.

Jane skrzywiła się.

- FBI nas nie zawiedzie. Jasper do tego nie dopuści. Dorwą tego, kto to zrobił, kto za tym stał - ciągnął Andrew.

Jane pokręciła głową. Łzy leciały jej z oczu ciurkiem.

Właśnie tego się obawiała.

Samochód wszedł w ostry zakręt.

Jane przyłożyła dłoń do gardła, bojąc się nawrotu mdłości. Spojrzała przez okno, obserwując mijane domy. Myślała o Nicku. Tylko to chroniło ją przed załamaniem. Musiała skończyć z kwestionowaniem jego działań i słów, nawet jeśli robiła to tylko w myślach. Nick nie tolerował niełojalności, dlatego poddawał ją ciągłym próbom w Berlinie. Wysłał ją do baru odwiedzanego przez motocyklistów w pobliżu punktu kontrolnego Bornholmer, wysłał jej pocztą działkę kokainy, żeby sprzedała ją studentowi uniwersytetu, posłał na komisariat, by zgłosiła kradzież nieistniejącego motoru.

Tłumaczył wtedy, że pomaga jej w treningu praktycznym, doskonalącym jej umiejętność adaptacji do sytuacji zagrożenia. Nie przyszło mu nawet do głowy, że może zostać zgwałcona w barze, aresztowana za kokainę czy oskarżona o złożenie fałszywego zawiadomienia.

A może jednak przyszło.

Jane wzięła głęboki oddech, gdy Andrew wszedł w kolejny zakręt. Złapała oburącz pas bezpieczeństwa. Patrzyła, jak brat slalomem wyprzedza inne auta, nawet nie zerkając w lusterko.

Gwałtowne manewry wymijania.

Nieustannie jeździli do San Luis Obispo i z powrotem, doskonaląc umiejętności prowadzenia auta. Zgodnie z przewidywaniem Nick był najlepszy. Andrew niewiele mu ustępował. Obaj mieli rywalizację we krwi. Podzielali niebezpieczną pogardę dla życia, która pozwalała im bezkarnie pędzić i gwałtownie skręcać bez jakichkolwiek skrępułów.

Andrew zakasłał w zgięciu łokcia, dzięki czemu nie musiał odrywać ręki od kierownicy. Zbliżali się do centrum miasta. Nie spuszczał wzroku z drogi. W świetle słońca Jane widziała niewyraźną linię na jego szyi, ślad po sznurze, na którym usiłował się powiesić. To było trzy lata temu. Przedawkował tabletki, ale nie zdążył naszprycować się heroiną, po której stanęłoby mu serce. Jasper znalazł go wiszącego w piwnicy na sznurze. Właściwie była to cienka linka do wieszania prania, wzmocniona metalowym drutem, który zdarł skórę z szyi Andrew.

Widok tej blizny zawsze budził w niej smutek i żal. W tamtym czasie nienawidziła brata. Nie dlatego, że był starszy i wyśmiewał jej wystające kolana czy społeczne nieprzystosowanie. Nienawidziła go za to, że przez większość swego życia był narkomanem gotowym na wszystko w służbie nałogu. Okradł Annette, rzucał się na Jaspiera, okradał Martina, odpychał od siebie Jane.

Kokaina. Benzodiazepina. Heroina. Amfetamina.

Miała dwanaście lat, kiedy stało się jasne, że Andrew jest ćpunem, i jak większość dwunastolatek, widziała jego cierpienie przez pryzmat własnych ograniczeń. Dorastając, musiała zaakceptować fakt, że jej życie zawsze będzie kręcić się wokół brata. Zrozumieć, że cała rodzina będzie zakładnikiem tego, co Martin nazywał słabością. Aresztowania, ośrodki odwykowe, stawiennictwa w sądzie, żądania przysług,

pieniądze wręczane pod stołem, darowizny na cele polityczne – to wszystko nieustannie zajmowało uwagę jej rodziców. Jane nigdy nie miała normalnego życia, ale Andrew odebrał jej nadzieję na spokojną, zwyczajną egzystencję.

W wieku szesnastu lat Jane straciła rachubę rodzinnych narad toczących się wokół problemu Andrew, krzyków, przerzucania się odpowiedzialnością, bicia, prawienia kazań i nadziei. Najgorsze były zawiedzione nadzieje. Może tym razem rzuci. Może w te urodziny, w to Święto Dziękczynienia, w tę Gwiazdkę pojawi się w domu czysty.

Może tego koncertu albo występu szczególnie ważnego dla Jane: pierwszego, kiedy mogła wybrać własną muzykę; specjalnego, dla którego poświęciła setki godzin ćwiczeń, nie przesłoni kolejne przedawkowanie, kolejna próba samobójcza, kolejny pobyt w szpitalu, kolejne spotkanie rodzinne, podczas którego Martin pomstował, Jasper patrzył spode łba, Jane szlochała, kiedy Andrew błagał o kolejną szansę, a Annette upijała się do nieprzytomności.

Nick sprawił, że Andrew z tym skończył.

Aresztowanie za posiadanie kokainy dwa lata temu otworzyło im obu oczy, ale wbrew nadziejom Quellerów inaczej, niż można się było spodziewać. Przymknął ich zastępca szeryfa hrabstwa Alameda. Gdyby nie to, Martin jak zwykle doprowadziłby do wycofania zarzutów. Ale tamtejszy stróż prawa miał już do czynienia z mnóstwem zepsutych dzieci z bogatych rodzin i tym razem za wszelką cenę chciał doprowadzić do procesu. Zagroził, że jeśli w tej sprawie nie zapadnie wyrok, zawiadomi prasę.

Dlatego Andrew i Nick wylądowali w ośrodku Queller Bayside, ostatnim domu opieki, z którego wyrzucono Roberta Juneau.

Właśnie tam Laura znalazła Nicka, a on przedstawił ją Andrew. Potem ułożył plan, który stał się dla Andrew impulsem do odstawienia prochów.

Porsche zatrzymało się z piskiem opon. Zajechali pod dom Nicka. To był niski budynek z rozchwianą balustradą wzdłuż balkonu na pierwszym piętrze. Okolica nie należała do najlepszych w mieście, ale nie była też najgorsza. Wokół było czysto, bezdomni trzymali się z daleka. Mimo to Jane nie mogła znieść myśli, że Nick nie mieszka z nimi w Presidio Heights.

Teraz już by mógł.

Prawda?

- Pójdę sprawdzić - oznajmił Andrew. - Ty zostań.

Kierowana nagłym impulsem otworzyła drzwi auta, zanim brat zdołał ją powstrzymać. Wątpliwości, jakie dręczyły ją podczas jazdy, zbledną w ramionach Nicka, który wszystko jej wyjaśni. Im szybciej go zobaczy, tym lepiej się poczuje.

- Jinx, zaczekaj! - zawołał Andrew, ruszając za nią.

Pobiegła przed siebie. Potknęła się na chodniku, dopadła metalowych schodów. Sztywne buty obcierały jej stopy, ale to nie miało znaczenia. Czuła, że Nick jest w mieszkaniu. Że na nią czeka. Że zachodzi w głowę, co ich zatrzymało; że może przestało im na nim zależeć; może stracili wiarę w niego.

Ona straciła wiarę. Zwątpiła w niego.

Nie była głupia. Była potworem.

Przyśpieszyła. Każdy kolejny stopień przybliżał ją do Nicka. Andrew biegł za nią, wołał i prosił, by zwolniła, ale nie mogła.

Dała się zmanipulować agentowi Danberry'emu. Nick nie był oszustem ani sekciarzem. Był twardzielem. Jego pierwszym wspomnieniem jest taki oto obraz: matka pieprzy się z umundurowanym policjantem, który płacił jej heroiną. Nie znał swojego ojca. Alfonsi matki bili go i wykorzystywali.

Zaliczył wiele szkół, zanim autostopem przejechał cały kraj, by odszukać babcię, która znienawidziła go od pierwszego spotkania. Budziła go w nocy kopniakami i krzykiem. Musiał żyć na ulicy, potem w schroniskach dla bezdomnych, jednocześnie kończąc szkołę. Fakt, że mimo tych przeszkód dostał się na Uniwersytet Stanforda, dowodził inteligencji, jakiej nikt się po nim nie spodziewał.

Zwłaszcza agent Danberry z brakującym zębem i w tanim garniturze.

- Jinx! - zawołał Andrew z drugiego końca balkonu. Szedł już wolno, bo nie był w stanie biec. Słyszała jego kaszel.

Sięgnęła do torebki po klucz. Nie ten, który miała na łańcuszku, ale ten w zamykanej kieszonce na wypadek sytuacji awaryjnych. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że upuściła klucz. Schyliła się po niego. Miała dłonie mokre od potu.

- Jinx - wydyszał Andrew. Stał pochylony z rękami wspartymi o uda, z trudem łapiąc powietrze.

Jane otworzyła drzwi.

W jednej chwili jej świat się zawalił.

Nicka nie było.

Co gorsza, zniknęły też jego rzeczy. Mieszkanie było prawie puste. Wszystkie jego ulubione rzeczy - skórzana kanapa, na której snuł swoje rozmyślenia; gustowne stoliki ze szkła, lampa wisząca, miękki brązowy dywan - zniknęły. Został tylko ogromny wyściełany fotel zwrócony w stronę ściany. Zniknął piękny kuchenny stół ze szkła i mosiądzu. Wielki telewizor. Wieża stereo z olbrzymimi głośnikami. Kolekcja płyt. Ściany były gołe. Zniknęły obrazy, nawet te, które namalował dla niego Andrew.

Jane omal nie padła na kolana. Złapała się za serce, czując, jakby pękało na pół.

Czy Nick ich porzucił?

Porzucił ją?

Zasłoniła dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Na drżących nogach przeszła na środek pokoju. Żadnych czasopism, książek, butów, które zostawiał przy drzwiach. Odnotowując każdą brakującą rzecz, czuła, jakby kolejna strzała przeszywała jej serce. Strach ją sparaliżował. Makabryczne myśli przebiegły jej przez głowę.

Zostawił ją. Wiedział, że w niego zwątpiła. Że straciła wiarę, nawet jeśli tylko na chwilę. Zniknął. Przedawkował. Znalazł sobie inną.

Próbował się zabić.

Kolana się pod nią uginały, gdy szła korytarzem. Nick kilka razy groził, że się zabije. Myśl o jego stracie była tak bolesna, że Jane za każdym razem krzyczała jak dziecko, błagając go, żeby z nią został.

„Nie mogę bez ciebie żyć”.

„Potrzebuję cię”.

„Jesteś dla mnie jak powietrze”.

„Błagam, nigdy mnie nie zostawiaj”.

- Jane? - Andrew doczłapał do drzwi mieszkania Andrew. -
Gdzie jesteś?

Sypialnia Nicka była zamknięta. Jane musiała podpierać się o ścianę, gdy szła korytarzem w stronę zamkniętych drzwi. Minęła łazienkę. Zobaczyła szczoteczkę i pastę do zębów. Nie było wody kolońskiej, przyborów do golenia i grzebienia.

Poczuła w sercu kolejne ukłucia.

Stała pod drzwiami sypialni. Z trudem utrzymała spoconą dłoń na gałce drzwi. Brakowało jej powietrza. Serce w niej zamarło.

Otworzyła drzwi.

Wydała z siebie zduszony okrzyk.

Zniknęły łóżko i gruba kołdra. Zniknęły stoliki nocne z lampkami. Zniknęła stara komoda z szufladami, którą Nick pieczołowicie odnowił. Na podłodze leżał rozwinięty śpiwór.

Drzwi garderoby były otwarte.

Zalała się łzami na widok ubrań na wieszakach. Kamień spadł jej z serca. Nick uwielbiał swoje ciuchy. Bez nich nigdy by nie wyjechał.

- Jinx? - Andrew podtrzymał ją ramieniem.

- Myślałam... - Kolana ugięły się pod nią, opadła na podłogę. Znowu zebrało jej się na mdłości. - Myślałam, że on...

- Wyjdźmy stąd. - Andrew pomógł jej wstać, a potem wyciągnął z pokoju.

Opierała się o niego całym ciałem, gdy prowadził ją korytarzem. Ledwie powłóczyła nogami. Andrew zabrał ją do salonu.

Gdy zapalił światło, zmrużyła oczy oślepiona rozblyskiem. Brakowało nawet opraw oświetleniowych. Z sufitu zwisały gołe żarówki. Z wyjątkiem ogromnego sfatygowanego fotela zniknęło wszystko, na czym Nickowi kiedykolwiek zależało.

Jednak ubrania zostały w garderobie. A on nigdy by ich nie zostawił.

Czyżby?

- Czy... - Jane nie była w stanie wypowiedzieć tych słów. - Andrew, gdzie...

Położył palec na ustach, dając znak, że ktoś może ich podsłuchiwać.

Jane pokręciła głową. Nie mogła dłużej ciągnąć tej gry. Potrzebowała słów, wyjaśnienia, zapewnień.

- Wszystko w porządku. - Andrew znowu posłał jej spojrzenie, które mówiło, że umyka jej coś ważnego.

Jane rozejrzała się po pokoju, desperacko szukając

wy tłumaczenia. Co ważnego mogło jej umknąć w tej pustej przestrzeni?

Pusta przestrzeń.

Nick pozbył się swoich rzeczy. Albo je sprzedał, albo oddał. Czy chciał w ten sposób pokrzyżować plany policji, bo wszystko znajdowało się na widoku i nie było gdzie założyć podsłuchów?

Dłużej nie mogła tego znieść. Usiadła na podłodze i zaczęła płakać. Musiała istnieć jakaś odpowiedź. Nick by ich nie zostawił. Po prostu wodził za nos gliniarzy i agentów. Prawie puste mieszkanie było kolejną z jego gier.

- Jinx? - W głosie Andrew pobrzmiwała autentyczna troska.

- Nic mi nie jest. - Jane otarła łzy. Głupio jej było, że urządziła taką scenę. - Proszę, nie mów Nickowi, że tak się rozstroiłam.

Andrew otworzył usta, ale zamiast odpowiedzieć, zaniósł się kaszlem. Mokrym i ciężkim, który budził niepokój Jane. Kiedy atak minął, Andrew poszedł do kuchni po wodę.

Jane wytarła nos wierzchem dłoni i ponownie rozejrzała się po pokoju. Dopiero teraz zauważyła obok szkaradnego fotela małe kartonowe pudełko. Serce zabiło jej mocniej na widok oprawionego zdjęcia na pudełku.

Nick pozbył się niemal wszystkiego, ale to zostawił...

Ona i Nick podczas Bożego Narodzenia w domu w Hillsborough w zeszłym roku. Uśmiechali się do aparatu, ale nie do siebie, mimo że Nick mocno obejmował ją władcym ramieniem. Była na wyjazdowych występach przez trzy tygodnie, a gdy wróciła, Nick był podenerwowany i rozkojarzony. Upierał się, że nic mu nie jest, a ona błagała, żeby z nią porozmawiał. Ta przepychanka trwała od zachodu do wschodu słońca, póki Nick nie opowiedział jej w końcu o spotkaniu z Laurą Juneau.

Palił papierosa przed głównym wejściem do Queller Bayside Home. To było po wpadce z kokainą w hrabstwie Alameda. Obaj z Andrew odbywali nakazaną przez sąd karę, a do spotkania z Laurą doszło na skutek czystego zbiegu okoliczności. Od miesięcy szukała dojścia do domu opieki Quellera. Rozmawiała z niezliczonymi pensjonariuszami i pracownikami, mając nadzieję, że trafi na kogoś, kto pomoże udowodnić, że jej mąż padł ofiarą systemu.

Aż wreszcie w Nicku znalazła życzliwego i szczerze zainteresowanego słuchacza. Przez większość życia wmawiano mu, że się nie liczy, że jest za głupi, że ma złe pochodzenie, że nie pasuje do ludzi z wyższej klasy. Wciągnięcie Andrew okazało się jeszcze łatwiejsze. Dotąd jej brat skupiał się na własnych zachciankach i potrzebach. Skierowanie jego uwagi na tragedię innego człowieka okazało się swoistą terapią, sposobem na wyjście z mroku.

- Kiedy usłyszałem jej historię, poczułem się strasznym egoistą - wyznał w rozmowie z Jane. - Myślałem, że to ja cierpię, a okazało się, że nie mam pojęcia, czym jest prawdziwe cierpienie.

Nie była pewna, w którym momencie Nick wciągnął w to innych. To mu wychodziło najlepiej. Skupianie wokół siebie włóczęgów, wyrzutków, ludzi takich jak on, czujących, że ich głos nie jest słyszany. Tamtej nocy w Hillsborough, kiedy Nick zdradził Jane plan, kilkudziesięciu innych ludzi w różnych miastach było już gotowych zmieniać świat.

Czy to Laura pierwsza wpadła na ten pomysł? Nie tylko Oslo, ale San Francisco, Chicago, Nowy Jork?

Firma Queller Healthcare działała na terenie jednego stanu i tam krzywdziła dobrych ludzi, ale wejście na giełdę przyniosłoby im taki zastrzyk gotówki, że zaczęliby wdrażać

swój program pomocy potrzebującym w całym kraju. Konkurencja działała na bazie takiego samego biznesplanu. Nick opowiedział Jane historie o placówkach w Georgii czy Alabamie, które wyrzucały pacjentów na ulicę. Ośrodek w Marylandzie został przyłapany na porzucaniu niepełnosprawnych umyślowo pacjentów na przystankach autobusowych w mroźne dni. W Illinois była lista oczekujących, którym ubezpieczyciel od lat odmawiał pokrycia kosztów pobytu.

Nick wyjaśnił, że Martin będzie pierwszym celem. Ale konstruktywna zmiana wymaga konstruktywnych aktów oporu. Musieli pokazać reszcie kraju, reszcie świata, co spotyka tych nieszczęsnych opuszczonych ludzi. Musieli pójść za przykładem organizacji ACT UP, Weather Underground, United Freedom Front i zatrząść tymi nieuczciwymi instytucjami w posadach.

Fantastyczna idea.

Czy aby na pewno?

Nick zawsze był czymś oburzony albo podekscytowany. Pisał do polityków, domagając się od nich konkretnego działania. Wysyłał gniewne listy do wydawców *San Francisco Gate*. Razem z Jane zgłosił się jako wolontariusz do schroniska dla bezdomnych i klinik dla chorych na AIDS. Nieustannie szkicował projekty niezwykłych wynalazków albo notował pomysły na nowe biznesowe przedsięwzięcia. Jane zawsze go do tego zachęcała, ponieważ Nick realizujący plany zmieniał się nie do poznania. Ludzi, którzy mogli mu pomóc, uważał za zbyt głupich albo nieprzejednanych, lub też szybko się nużył i angażował w coś innego.

Jane przypuszczała, że tak będzie ze sprawą Laury Juneau. Kiedy zorientowała się, że tym razem jest inaczej, że włączył się w to Andrew i że obaj traktują ze śmiertelną powagą swój

fantastyczny plan, nie mogła się wycofać. Za bardzo się bała, że Nick wejdzie w to bez niej. Że ją zostawi. Ostrzegawczy głos wewnętrzny zawsze jej przypominał, że potrzebuje Nicka o wiele bardziej, niż on potrzebuje jej.

- Jinx... - Andrew czekał, aż Jane zwróci na niego uwagę. Trzymał w rękach zdjęcie z Bożego Narodzenia. Otworzył ramkę i wyjął z niej kartonowe plecy. Od środka był do nich przyczepiony taśmą mały kluczyk.

Jane ugryzła się w język, zanim zapytała, co robi. Rozejrzała się nerwowo po pokoju. Nick mówił, że kamery będą ukryte w lampach, wetknięte w kwiaty doniczkowe albo umieszczone w wywietrznikach.

Dopiero teraz zobaczyła, że Nick usunął wszystkie wywietrzniki. W ścianach zostały tylko otwory.

Jeśli się mylisz, to tylko paranoja.

Andrew podał Jane kluczyk. Wsunęła go do tylnej kieszeni. Odłożył zdjęcie na kartonowe pudełko.

Najciszej, jak mógł, położył wielki fotel na boku.

- Co... - wyrwało jej się, zanim pomyślała. Zdumiona przyglądała się bratu.

Co się dzieje, do cholery?

Jedyna odpowiedź Andrew była taka, że położył palec na ustach.

Opadając na kolana, jęknął przeciągle i szarpnął ku sobie materiał na dole fotela. Na usta Jane cisnęły się pytania, których jednak nie zadała. Patrzyła, jak Andrew dobiera się do wnętrza mebla. Odgiął sprężyny, zanurzył rękę w piance tapicerskiej i wyciągnął metalowe pudełko wysokie na dziesięć centymetrów, którego długość i szerokość odpowiadały kartce formatu „legal”, w przybliżeniu dwadzieścia jeden na trzydzieści pięć centymetrów.

Jane czuła napinające się mięśnie, gdy wyobrażała sobie możliwą zawartość pudełka: broń, materiały wybuchowe, kolejne zdjęcia, wszystko, czego nie chciała zobaczyć, ponieważ Nick niczego nie ukrywał, chyba że bardzo mu zależało, by nie zostało znalezione.

Andrew położył pudełko na ziemi i przysiadł na piętach. Był wyczerpany, usiłował złapać oddech, chociaż tylko przewrócił fotel na bok. W mocnym świetle żarówek wyglądał jeszcze bardziej niezdrowo. Wyraźne cienie pod oczami były znaczone popękkanymi naczynkami. Rzęzenie w płucach nie ustępowało.

- Andy?

Andrew wetknął pudełko pod pachę.

- Chodźmy.

- A jeśli Nick...

- Już. - Postawił fotel i czekał, aż Jane wyjdzie pierwsza, potem czekał, aż zamknie drzwi.

Na balkonie milczała, a ich ciężkie kroki dźwięczały jej w uszach. Andrew szurał mokasynami po betonie, ona stuknęła obcasami, aż szło echo. Świst w płucach Andrew stał się głośniejszy, dlatego Jane próbowała utrzymywać wolne tempo. Jednak na pierwszym podeście wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

Odwróciła się i spojrzała na brata. Wiatr targał mu włosy. Promień słońca padał mu na czoło. Zachodziła w głowę, jakim cudem Andrew utrzymuje się w pionie. Był blady jak nieboszczyk.

- Co my wyprawiamy? - zapytała, czując się pewniej niż w mieszkaniu. - Nie rozumiem, dlaczego musieliśmy wyjść. Nie powinniśmy poczekać na Nicka?

- Słyszałaś, jak w naszym domu Jasper mówił agentom, że ojciec był dobrym człowiekiem?

Jane nie miała nastroju na żarty z Jaspera. Była przerażona, że został wciągnięty w sprawę, która wymknęła się spod kontroli.

- Andrew, wyjaśnij mi wreszcie, o co chodzi.

- Jasper bronił ojca, bo jest taki sam jak on.

Jane chciała przewrócić oczami. Nie wierzyła własnym uszom.

- Nie bądź okrutny. Jasper cię kocha. Zawsze cię kochał.

- To ciebie kocha. I świetnie. Cieszę się, że o ciebie dba.

- Nie jestem dzieckiem, które potrzebuje opiekuna. - Nie zdołała ukryć rozdrażnienia. Już w dzieciństwie kłócili się o Jaspera. Andrew zawsze widział w nim to wszystko, co najgorsze. Dla niej Jasper był wybawcą. - Wiesz, ile razy zabierał mnie na obiad, kiedy ojciec miał napad złego humoru? Ile razy pomagał wybrać ubranie, kiedy matka była na to zbyt pijana? Ile razy rozmawiał ze mną o muzyce, wysłuchiwał moich narzekań na chłopców albo...

- Rozumiem. On jest święty. Ty jesteś jego idealną młodszą siostrą. - Andrew przysiadł na schodach. - Siadaj.

Niechętnie usiadła na stopniu poniżej. Mogła powiedzieć o Jasperze wiele rzeczy, które zraniłyby Andrew. Kiedy on przedawkował, znikał albo lądował w szpitalu, to właśnie Jasper upewniał się, czy z Jane wszystko w porządku.

- Daj mi klucz - powiedział Andrew.

Jane wyjęła go z kieszeni i podała bratu. Obserwowała wyraz jego twarzy, gdy manipulował kluczem w zamku. Ciągle oddychał ciężko i pocił się obficie mimo chłodnego powiewu wiatru.

- Już. - W końcu podniósł pokrywkę metalowego pudełka.

Zobaczyła teczki z dokumentami. Poznała logo Queller Healthcare wydrukowane na dole każdej z nich.

- Spójrz. - Andrew podał jej plik papierów. - Wiesz, że ojciec dał Nickowi pracę w spółce.

Jane w porę ugryzła się w język. Oczywiście wiedziała, że jej chłopak pracuje w firmie jej ojca. Przebiegała wzrokiem formularze w teczkach, starając się dociec, dlaczego były dla Nicka na tyle ważne, że je ukrył. Poznała karty pacjentów z kodami opłat i formularzami przyjęcia. Martin przynosił je do domu w aktówce. Po dołączeniu do firmy Jasper robił to samo.

- Nick tam węszył - powiedział Andrew.

Ta informacja nie była dla niej niczym nowym. Nick był ich wtyczką, jak lubił się nazywać. A teraz Jane wertowała formularze, czytała nazwiska pacjentów, numery ubezpieczenia społecznego, adresy, kody opłat, przeglądała korespondencję z administracją stanową, z lekarzami, z księgowością. Queller Bayside Home. Queller Hilltop Home. Queller Youth Facility.

- Widzieliśmy to już. To część planu. Nick ma je wysłać do gazet.

Andrew przerzucał te czki, póki nie znalazł tej, której szukał, i powiedział:

- Przeczytaj to.

Zajrzała do środka i natychmiast rozpoznała nazwisko na formularzu przyjęcia.

ROBERT DAVID JUNEAU.

Wzruszyła ramionami. Wiedzieli, że Robert Juneau przebywał w Bayside. Wszyscy wiedzieli. W tym miejscu wszystko się zaczęło.

- Spójrz na daty przyjęć do ośrodka - powiedział Andrew.

Jane zaczęła czytać głośno:

- Pierwszy - dwudziesty drugi kwietnia; szósty - dwudziesty ósmy maja; dwudziesty pierwszy czerwca - czternasty lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. -

Zdezorientowana spojrzała na brata, ponieważ to też wiedzieli. Queller grał z systemem w ciuciubabkę. Pacjenci, którzy przebywali w ośrodkach dłużej niż dwadzieścia trzy dni, byli uważani za pacjentów długoterminowych, co oznaczało, że stan płacił niższą dzienną stawkę za opiekę nad nimi. Sposób Martina na obejście obniżonej stawki był prosty: wyrzucał pacjentów przed upływem dwudziestego trzeciego dnia ich pobytu, po czym przyjmował ponownie kilka dni później. – To zostanie ujawnione po Chicago i Nowym Jorku – powiedziała. – Nick ma już koperty przygotowane dla gazet i tamtejszych biur FBI.

Andrew rozbawiły jej słowa.

– Naprawdę wyobrażasz sobie Nicka, jak adresuje prawie sto kopert? Wkłada papiery do środka, liże znaczki i nakleja? – Wskazał dokument, który Jane trzymała w rękach. – Spójrz na następną stronę.

Jane była zbyt zestresowana i wyczerpana, by ciągnąć tę grę, ale i tak odwróciła kartkę i zobaczyła więcej dat.

– Dwadzieścia dwa dni w sierpniu, potem we wrześniu, potem w... Och! – Utkwiła wzrok w datach. Odrazą, jaką budził w niej ojciec, w tej chwili się spotęgowała.

Robert Juneau zamordował swoje dzieci i popełnił samobójstwo dziewiątego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Według informacji w jego aktach był przyjmowany do różnych ośrodków i wypisywany z nich przez sześć następných miesięcy.

Ośrodki Quellera.

Ojciec nie tylko wykorzystywał urazy i traumy Roberta Juneau dla zysku. Ciągnął z nich materialne korzyści nawet wtedy, kiedy ten człowiek zamordował swoje dzieci i popełnił samobójstwo.

Jane musiała przełknąć ślinę, żeby wydobyć z siebie głos.

- Czy Laura wiedziała, co zrobił ojciec? Czy wiedziała przed Oslo? - Podniosła wzrok i spojrzała na Andrew. - Laura to wiedziała?

Potwierdził skinieniem głowy.

Dłonie Jane drżały jak osika, kiedy znowu spojrzała na dokumenty.

- Czuję się jak idiotka. Czuję się winna. Dziś rano. Wczoraj. Wspominałam te głupie chwile, w których ojciec nie był potworem, ale on...

- Był potworem - dopowiedział Andrew. - Wykorzystywał nieszczęście tysięcy ludzi. A po wejściu firmy na giełdę wykorzystaliby setki tysięcy. Wszystko dla zysku. Musieliśmy go powstrzymać.

Nic, co Nick powiedział w ciągu minionych pięciu dni, nie przyniosło jej więcej spokoju niż te słowa brata.

Zajrzała na ostatnie strony akt Roberta Juneau. Queller zarobił setki tysięcy dolarów na jego śmierci. Jane znalazła zapłacone faktury, kody opłat i dowód, że administracja rządowa opłacała leczenie pacjenta, który już nie potrzebował żadnej terapii, leków, czystego łóżka i posiłków.

- Odwróć... - polecił Andrew.

Jane szukała raportu księgowego z tego czasu. Członek ścisłego kierownictwa firmy musiał zatwierdzić ponowne przyjęcia pacjenta, żeby komisja konsultacyjna mogła omówić najlepszy tryb udzielenia mu koniecznej pomocy. Przynajmniej tak powinno się to odbyć, ponieważ Queller Healthcare rzekomo działał w branży pomocy ludziom.

Jane przebiegła wzrokiem stronę w poszukiwaniu nazwiska kierownika wyższego szczebla. Nagle serce jej zamarło. Znała ten podpis jak własny. Pojawiał się na szkolnych dokumentach

i na czekach in blanco, którymi płaciła za ciuchy w centrum handlowym, u fryzjera czy za paliwo na stacji benzynowej.

Jasper Queller.

Oczy zaszyły jej łzami. Podniosła papier i przysunęła go do światła.

- Musi być sfałszowany albo...

- Wiesz, że nie jest. To jego podpis, Jinx. Pewnie używał swojego wyjątkowego montblanca, którego dostał od ojca po odejściu z lotnictwa.

Jane czuła, że odruchowo kręci głową. Wiedziała, dokąd to wszystko zmierza.

- Andrew, proszę cię, to nasz brat.

- Musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Wiem, że dla ciebie Jasper jest aniołem stróżem, ale przez cały czas pomagał nakręcać ten proceder. Robił wszystko, co robił ojciec.

Jane nie przestawała potrząsać głową, mimo dowodu niegodziwości, jaki miała przed oczami. Jasper wiedział, że Robert Juneau nie żyje. Rozmawiał z Jane o artykułach w prasie. Był równie wstrząśnięty jak siostra, że system Queller Healthcare tak straszliwie zawiódł pacjenta.

A potem pomógł firmie zarobić na tym pieniądze.

Złapała resztę dokumentów i zaczęła sprawdzać podpisy, ponieważ była pewna, że to pomyłka, niestety im dokładniej je analizowała, tym bardziej była zrozpaczona.

Podpis Jaspera widniał na każdym dokumencie.

- Wszyscy ci pacjenci nie żyją? - zapytała ze ściśniętym gardłem.

- Większość, a niektórzy przenieśli się do innego stanu, jednak ich dane nadal są wykorzystywane w rozliczeniach należności za leczenie. Jasper i ojciec manipulowali liczbami, bo inwestorzy zaczęli się obawiać, że oferta publiczna nie

osiągnie spodziewanego poziomu.

Inwestorzy. Martin zdobył ich kilka lat wcześniej, żeby wykupić konkurencję. Jasper miał obsesję na punkcie konkurencyjnych firm i biznesmenów, zupełnie jakby byli wszechwidyjącym monolitem zdolnym do zniszczenia ich choćby dla kaprysu.

- Jaspera trzeba powstrzymać - stwierdził Andrew. - Jeśli firma wejdzie na giełdę, położy łapę na milionach dolarów splamionych krwią. Nie możemy do tego dopuścić.

Jane poczuła przyływ paniki. Właśnie tak zaczęło się z Martinem. Jedno odkrycie niewygodnej prawdy prowadziło do kolejnego, a skończyło się na Laurze Juneau, która strzeliła mu w głowę.

- Wiem, że chcesz go bronić, ale to jest nie do obrony.

- Nie możemy... - Urwała gwałtownie. To wszystko ją przytłaczało. - Nie skrzywdzę go, Andy. Nie jak ojca. Nie obchodzi mnie, co powiesz.

- Szkoda kuli na Jaspera. Ale musi za to zapłacić.

- Kim jesteśmy, żeby bawić się w... - Znowu umilkła, ponieważ w Oslo zabawili się w Boga i żadne z nich nawet nie mrugnęło okiem. - Co chcesz zrobić?

- Poinformować prasę.

Jane złapała go za ramię.

- Andy, błagam, nie. Wiem, że Jasper nie był dla ciebie idealnym bratem, ale on cię kocha. Kocha nas oboje.

- Ojciec powiedziałby to samo.

Te słowa były dla niej jak policzek.

- Wiesz, że te same słowa mogą znaczyć co innego.

- W systemie jest skończona ilość pieniędzy na opiekę nad tymi ludźmi, Jinx. Jasper ukradł te pieniądze, żeby uszczęśliwić inwestorów. Ilu jeszcze Robertów Juneau chodzi po ulicach

z powodu naszego brata?

Jane wiedziała, że Andrew ma rację, ale chodziło przecież o Jaspera.

- Nie możemy...

- Nie ma sensu się o to kłócić, Jinx. Nick już działa. Dlatego powiedział, żebyśmy najpierw przyjechali tutaj.

- Najpierw? - powtórzyła zaniepokojona. - A potem co?

Zamiast odpowiedzieć, potarł dłońmi twarz. Był to widomy znak, że on też odczuwa niepokój.

- Proszę - nie przestawała powtarzać Jane. Łzy ciekły jej po policzkach nieprzerwanym strumieniem.

Pomyśl, czym będzie dla mnie zniszczenie Jaspera, chciała powiedzieć. Nie mogę już nikogo więcej skrzywdzić. Nie mogę wyłączyć poczucia winy.

- Jinx, musisz wiedzieć, że ta decyzja nie należy do nas.

Rozumiała sens słów brata. Nick chciał zemsty. Nie tylko za to, co Jasper zrobił w imieniu Queller Healthcare, ale za osobiste zniewagi: za pogardę okazywaną przy stole, za patrzenie z góry, za uszczypliwe pytania o jego pochodzenie, za dawanie jasno do zrozumienia, że Nick nie jest jednym z nich.

Andrew sięgnął do metalowego pudełka. Jane skuliła się w sobie, gdy wyjął z niego plik polaroidowych zdjęć. Zdjął z nich gumkę i założył ją sobie na przegub.

- Nie - szepnęła Jane.

Zignorował ją, uważnie studiując każdą fotografię, które układały się w historię kolejnych przypadków jej pobicia.

- Nigdy nie wybaczę ojcu tego, co ci zrobił. - Pokazał zbliżenie jej brzucha ze śladami po ciosach pięścią.

Pierwszy raz, ale nie ostatni, kiedy Jane była w ciąży.

- Gdzie był Jasper, kiedy to się stało, co? - Złość Andrew wybuchła z całą intensywnością. Nie było szans, by go

przekonać. – Mam w tym swój udział. Byłem nawalony. Nie zależało mi na sobie, nie mówiąc o innych. Ale Jasper?

Jane spojrzała na parking. Łzy nie przestawały płynąć.

– Był w domu, kiedy to się stało, prawda? Siedział w swoim pokoju. Ignorował twoje krzyki. Tak było?

Wszyscy ignorowali krzyki, kiedy to przytrafiało się komuś innemu.

– Jezu... – Andrew przyglądał się kolejnej fotografii przedstawiającej głęboką ranę na udzie Jane. – Przez kilka ostatnich miesięcy, kiedy opuszczała mnie odwaga, Nick wyciągał te zdjęcia, żeby przypomnieć nam obu, co ojciec ci zrobił. – Pokazał Jane zbliżenie opuchniętego oka. – Ile razy ojciec cię uderzył? Ile podbitych oczu ignorowaliśmy przy stole? Ile razy matka śmiała się z twojej niezdarności, a Jasper stroił sobie z tego żarty?

Jane próbowała to zbagatelizować, wypowiadając na głos jej rodzinną ksywkę:

– Jinx Niezguła.

– Nikomu więcej nie pozwolę cię skrzywdzić. Nigdy.

Jane była wyczerpana płaczem, ale nie mogła przestać. Płakała nad rozbitą rodziną Laury Juneau. Nad Nickiem. Z niewiadomych powodów płakała nad Martinem. A teraz płakała ze wstydu.

Andrew głośno pociągnął nosem. Zdjął gumkę z przegubu, spiął nią zdjęcia i włożył do pudełka.

– Nie zapytam, czy wiedziałaś o broni.

Zapatrzona w parking, zacisnęła wargi.

– Ja ciebie też nie zapytam.

Andrew westchnął ciężko.

– Więc to Nick...

– Nie kończ. – Jane znowu położyła dłoń na brzuchu. Tęskniła

za spokojem Laury, za słusznoscia jej sprawy.

- Laura miała wybór. Mogła odejść, kiedy w torbie znalazła broń.

Te same słowa usłyszała od Nicka, ale nie przyniosły jej ulgi. Wiedziała, że Laura nigdy się nie cofnie. Była zdeterminowana i pogodzona z dokonany m wyborem. Mo że nawet zadowolona z niego. Mogła pokazać, że człowiek jest kowalem swojego losu. Albo, jak ujął to Nick, zabrać łotra ze sobą.

- Wydawała się miła.

Andrew opuścił pokrywkę pudełka i zamknął je kluczykiem.

- Wydawała się naprawdę miła - powtórzyła Jane.

Andrew chrząknął kilka razy.

- Była wspaniałą kobietą.

Ton jego głosu zdradzał ból. Nick powierzył Andrew odpowiedzialność za kontakty z Laurą. Był jej jedynym kontaktem z resztą grupy. To Andrew wprowadził ją w szczegóły planu, dał jej pieniądze, przekazał informacje o lotach, miejscu spotkania z fałszerzem w Toronto, instrukcje dotyczące zachowania i słów, które otwierały jedne drzwi, a zamykały inne.

- Dlaczego rozmawiałaś z nią w Oslo? - zapytał.

Jane pokręciła głową. Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie. Nick powtarzał, że anonimowość jest ich jedyną bronią, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Jane, zawsze ochoczo słuchająca jego poleceń, chowała się w barze, kiedy weszła tam Laura Juneau. Do rozpoczęcia panelu dyskusyjnego została mniej niż godzina. Było za wcześnie na drinka, poza tym Jane wiedziała, że nie powinna pić. Fortepian zawsze koił jej nerwy, ale z niewiadomych powodów coś ją przyciągnęło do Laury, która siedziała przy barze.

- Powinniśmy iść - stwierdził Andrew.

Nie protestowała. Bez słowa zeszła za nim po schodach i poszła do samochodu.

Położyła metalowe pudełko na kolanach, gdy Andrew włączył silnik i wyjechał z parkingu.

Starła się nie myśleć o Jasperze. Nie mogła zapytać Andrew, dokąd jadą. Nie chodziło tylko o możliwość podsłuchu w aucie, co prowokowało brata do milczenia. Instynkt jej podpowiadał, że dzieje się coś więcej. Pobyt w Berlinie odsunął ją od grupy. Zauważyła to w Oslo. Po powrocie do domu stało się to bardziej widoczne. Nick i Andrew chodzili na długie przechadzki, chowali się po kątach, milknąc na jej widok.

Najpierw pomyślała, że starają się nie pogłębiać jej poczucia winy, teraz jednak zaczęła się zastanawiać, czy czegoś przed nią nie ukrywają.

Czy były jeszcze inne ukryte pudełka?

Kogo jeszcze Nick zamierzał skrzywdzić?

Gdy samochód wjechał na wzgórze, jaskrawe słońce oślepiło Jane, więc zamknęła oczy. Jej myśli znów powędrowały do Laury Juneau. Szukała odpowiedzi na pytanie, co ją skłoniło, by podejść do niej w barze. Właśnie tego nie powinna robić. Nick nieustannie wbijał jej do głowy, że musi trzymać się od niej z daleka, bo jakikolwiek kontakt z Laurą mógł sprawić, że agenci zwrócą na nią baczniejszą uwagę.

Miał rację.

Wiedziała, że Nick ma rację, kiedy to robiła. Może to był przejaw jej buntu wobec niego. A może przyciągnęła ją jasność celu Laury. W szyfrowanych listach Andrew wyrażał nieskrywany szacunek dla tej kobiety. Powiedział Jane, że z nich wszystkich to Laura nigdy się nie zawahała.

Dlaczego?

- Szukaj miejsca do zaparkowania - rzucił Andrew.

Wjechali do dzielnicy Mission. Jane знаła tę okolicę. Jako studentka przyjeżdżała tu w tajemnicy, by w starej remizie słuchać punkowych zespołów. Za rogiem znajdowało się schronisko dla bezdomnych i jadłodajnia, gdzie często pracowała jako wolontariuszka. Okolica przez długie lata stanowiła centrum dla różnego rodzaju działań, a zaczęło się to w osiemnastym wieku, gdy franciszkanie utworzyli tu misję. Jednak teraźniejszość miała swoje oblicze. Walki niedźwiedzi, pojedynki i wyścigi konne ustąpiły miejsca ubogim studentom, bezdomnym i narkomanom. Z porzuconych magazynów i rozpadających się imigranckich domów emanowała zła energia. Ściany były pokryte anarchistycznymi graffiti, po ulicach walały się śmieci, na rogach stały prostytutki. Mimo słonecznego przedpołudnia wszystko było tu podszyte schyłkiem i zgnilizną.

- Nie możesz tu zaparkować porsche Jaspera. Ktoś ukradnie auto - powiedziała.

- Wcześniej nigdy go nie tknęli.

Wcześniej, powtórzyła w myślach. Mówisz o tych wszystkich sytuacjach, kiedy brat, którego tak nienawidzisz, przyjeżdżał tu w środku nocy, żeby cię ratować?

Andrew wcisnął się między motocykl a spalonego gruchota. Chciał wysiąść, kiedy Jane ujęła go za rękę. Była szorstka w dotyku. Na nadgarstku poniżej zegarka zobaczyła pląty suchej skóry. Już miała rzucić jakąś uwagę o tym, ale nie chciała zakłócać tej chwili słowami.

Nie mieli okazji być sami od wyjazdu z domu. Odkąd Laura Juneau strzeliła sobie w głowę ostatnim nabojem. Odkąd policjanci wyprowadzili Jane i Nicka z sali.

Policjanci pomylili Nicka z Andrew i zanim się zorientowali, dlaczego Jane woła brata, Andrew już walił pięściami w drzwi.

Wyglądał jak obłąkany. Miał skrwawioną koszulę, przesiąkniętą krwią spodnie, krew kapłała mu z dłoni. To była krew Martina. Kiedy wszyscy uciekali spod sceny, Andrew rzucił się w jej kierunku, odepchnął ochroniarzy i opadł na kolana. Nazajutrz Jane zobaczyła tę chwilę na zdjęciu w gazecie: Andrew trzyma na kolanach to, co zostało z głowy ich ojca, z oczami wzniesionymi do sufitu i otwartymi w krzyku ustami.

- Zabawne - zauważył Andrew. - Nie pamiętałem, że go kocham, póki nie zobaczyłem broni wymierzonej w niego.

Jane skinęła głową, ponieważ czuła to samo. Rozdzierający ból serca, spóźnione odkrycie własnych uczuć.

W dzieciństwie siadała Martinowi na kolanach, kiedy jej czytał. To on posadził ją przed jej pierwszym pianinem. To on znalazł Pechenikova, by podnieść poziom jej nauki. To on przychodził na recitale, koncerty i występy. To on trzymał w górnej kieszeni marynarki notes, w którym spisywał jej pomyłki. To on bił ją pięścią w plecy, kiedy garbiła się nad klawiaturą. To on smagał ją po nogach metalową linijką, gdy za mało ćwiczyła. To on nie dawał jej spać po nocach, krzycząc, że nie jest nic warta, że marnuje talent i wszystko robi źle.

- O tylu rzeczach chciałem mu powiedzieć - dodał Andrew.

Jane znowu nie była w stanie powstrzymać łez.

- Chciałem, żeby był ze mnie dumny. Nie teraz. Wiedziałem, że obecnie to niemożliwe, ale kiedyś. - Andrew odwrócił się do niej. Zawsze był szczupły, ale teraz miał tak zapadnięte policzki, że widziała wyraźnie zarys kości. - Myślisz, że tak by się stało? Że ojciec w końcu byłby ze mnie dumny?

Znała prawdę, ale odpowiedziała:

- Tak.

Odwrócił od niej głowę i spojrzał na ulicę.

- Jest Paula - zauważył.

Jane poczuła, jak włosy stają jej dęba.

Paula Evans, jak zwykle w glanach, luźnej kiecce na ramiączkach i mitenkach, idealnie pasowała do otoczenia. Miała na głowie szopę kręconych włosów, usta pomalowane jaskrawoczerwoną szminką, oczy podkreślone czarną kredką. Na widok porsche pokazała im środkowe palce obu dłoni. Zamiast ruszyć w ich stronę, odwróciła się wściekła i ruszyła z powrotem do magazynu.

- Ona mnie przeraża - powiedziała Jane. - Coś z nią jest nie tak.

- Nick jej ufa. Zrobi wszystko, o co ją poprosi - odparł Andrew.

- Właśnie to mnie przeraża. - Jane wzdrygnęła się, obserwując, jak Paula znika w magazynie. Jeśli Nick grał w rosyjską ruletkę ich przyszłością, Paula była tą jedną kulą w magazynku.

Wysiadła z wozu. W powietrzu unosiła się woń tłuszczu, co przypominało jej Berlin Wschodni. Zostawiła metalowe pudełko na siedzeniu, narzuciła żakiet, z torebki wyjęła skórzane rękawiczki i szal.

Andrew wetknął pudełko pod pachę i zamknął drzwi porsche.

- Trzymaj się blisko mnie - rzucił do Jane.

Weszli do magazynu, ale tylko po to, by wyjść z niego tylnym wyjściem. Jane nie była tu trzy miesiące, lecz drogę znała na pamięć. Wszyscy ją znali, ponieważ Nick kazał im studiować plany, biegać wte i wewte zaułkami, wskakiwać na podwórka, a nawet wślizgiwać się za kraty kanałów ściekowych.

Co wydawało się kompletnym idiotyzmem. Do teraz.

Przy pokonywaniu znajomej trasy Jane ogarnął paranoiczny strach. Boczna uliczką dotarli na sąsiednią ulicę i wtopili się

w tłum mimo drogich ubrań. Sklepy charytatywne i zrujnowane mieszkania były pełne studentów z pobliskiego Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco. W rozbitych oknach tkwiły poutykane gazety. Z przepełnionych kontenerów wysypywały się śmieci. Jane czuła woń tysięcy skrętów wypalanych na powitanie nowego dnia.

Kryjówka mieściła się przy skrzyżowaniu Valencia Street i Siedemnastej, przecznicy od Mission. Kiedyś był to wiktoriański dom zamieszkały przez jedną rodzinę. Potem został podzielony na pięć osobnych mieszkań z jedną sypialnią. Mieszkali tam: diler narkotykowy, grupka striptizerek i młoda para chora na AIDS, która straciła wszystko, ale nie siebie. Jak wiele budynków w okolicy, dom był przeznaczony do rozbiórki. I jak w wielu innych podobnych przypadkach, lokatorzy nic sobie z tego nie robili.

Jane i Andrew wspięli się po chwiejnych schodach i stanęli pod frontowymi drzwiami. Po raz setny Andrew zerknął przez ramię, zanim wszedł do środka. Korytarz był tak wąski, że Andrew musiał ustawić się bokiem, by przejść do otwartych drzwi kuchennych. Za domem mieściła się konstrukcja przypominająca szopę, którą przekształcono w przestrzeń mieszkalną. Pomarańczowy przedłużacz biegnący od domu do szopy zasilął ją w prąd. W szopie nie było instalacji wodno-kanalizacyjnej. Górny poziom balansował niebezpiecznie nad częścią parteru służącą pierwotnie jako przestrzeń magazynowa. Za zamkniętymi oknami dudniła głośna muzyka, wrzaskliwe *Bring the Boys Back Home* Pink Floydów.

Andrew zadarł głowę, spojrzął w okna, potem znowu obejrzał się za siebie. Zastukał do drzwi dwa razy. Odczekał chwilę i zapukał raz. Drzwi otworzyły się z impetem.

- Idioci! - Paula złapała Andrew za koszulę i wciągnęła do

środku. - Co wyście sobie myśleli? Umówiliśmy się na pojemniki z barwnikiem. Kto podrzucił tę cholerną broń do torby?!

Andrew poprawił koszulę. Pudełko, które trzymał pod pachą, upadło na ziemię.

- Paula, my... - zaczął.

Atmosfera nagle stężała.

- Jak mnie nazwałeś? - zapytała złowrogo Paula.

Przez chwilę Andrew nie odpowiadał. W tej ciszy Jane słyszała tylko nagranie dobiegające z góry. Rzuciła torebkę na podłogę, na wypadek gdyby musiała stanąć w obronie brata. Paula miała zaciśnięte pięści. Nick kazał im posługiwać się tylko pseudonimami. Jak wszystko, co wychodziło z jego ust, Paula potraktowała to polecenie niczym ewangelię.

- Przepraszam. Chciałem powiedzieć Penny. Możemy porozmawiać o tym później?

- Ty teraz dowodzisz? - zapytała, nie dając za wygraną.

- Przestań, Penny - odezwała się Jane.

Paula rzuciła się w jej kierunku.

- Nie waż się...

Quarter chrząknął.

Jane przestraszył ten nieoczekiwany dźwięk. Nie dostrzegła Quartera, kiedy weszli. Siedział przy stole i trzymał w dłoni czerwone jabłko. Zwrócił głowę ku Andrew, potem ku Jane, lekko unosząc brodę, by okazać im solidarność.

- Co się stało, to się nie odstanie - rzucił w stronę Pauli.

- Jaja sobie robisz? - Ujęła się pod boki. - To morderstwo, kretyni. Wiecie o tym? Jesteśmy winni współudziału w morderstwie.

- W Norwegii - odparł Quarter. - Nawet jeśli dojdzie do ekstradycji, dostaniemy go za siedem lat.

Paula prychnęła oburzona.

- Myślisz, że Stany Zjednoczone pozwolą na nasz proces w innym kraju? To byłaś ty, prawda? - Paula wycelowała palec w stronę Jane. - Ty włożyłaś broń do torby, głupia suko.

Jane nie miała zamiaru dać się obrażać tej zgryźliwej wiedźmie.

- Wkurzasz się na mnie, bo Nick nie powiedział ci o broni, czy dlatego, że pieprzy mnie zamiast ciebie?

Quarter zachichotał.

Andrew westchnął ciężko i schylił się po pudełko. Nagle zamarł w bezruchu.

Wszyscy zamarli.

Ktoś był na zewnątrz. Jane słyszała odgłos kroków. Wstrzymała oddech, czekając na umówiony sygnał - dwa stuknięcia w drzwi, przerwa i jedno stuknięcie.

Nick?

Serce podskoczyło jej w piersi na tę myśl, ale targał nią niepokój, póki nie otworzyła drzwi i nie zobaczyła uśmiechu na jego twarzy.

- Cześć, kompania. - Nick pocałował Jane w policzek. Przynął usta do jej ucha i szepnął: - Szwajcaria.

Jane poczuła falę miłości.

Szwajcaria.

Ich wymarzone mieszkanko w Bazylej, wśród studentów, w kraju bez umowy o ekstradycji ze Stanami Zjednoczonymi. Nick mówił o Szwajcarii tego samego wieczoru w Boże Narodzenie, kiedy wyjawiał Jane swój plan. Była zachwycona, że tak doskonale potrafi nie tylko zaplanować wywołanie chaosu, ale też obmyślić idealny sposób na wyplątanie się z tego po zakończeniu misji.

- Skarbie - szepnął jej wtedy do ucha - nie wiesz, że

przemyślałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach?

Nick klasnął w dłonie.

- W porządku, kompania? Co słysząc? - zwrócił się do wszystkich.

- Ona zaczęła świrować. - Quarter wskazał Paulę.

- Wcale nie - zaprotestowała Paula. - Nick, to co się stało w Norwegii, było...

- Spektakularne! - Złapał ją za rękę. Jego podniecenie zdawało się rozsadzać ściany. - Absolutnie najważniejsze, co spotkało Amerykanina w tym stuleciu!

Paula zamrugała. Jane widziała, jak przestawia umysł na tory myślenia Nicka.

Nick też zauważył tę zmianę.

- Penny, gdybyś mogła to zobaczyć na własne oczy. Sala była w szoku. Laura wyjęła rewolwer, kiedy Martin rozwodził się nad kosztami pracy sprzątaczkii. A potem... - ułożył z kciuka, palca wskazującego i środkowego znak broni - trach! Ten wystrzał odbił się echem w całym świecie. - Puścił oko do Jane, potem rozłożył ramiona, jakby chciał objąć całą grupę. - Boże, ludzie! To, czego dokonaliśmy i jeszcze dokonamy, jest aktem prawdziwego bohaterstwa.

- Nick ma rację. - Andrew jak zwykle udzielił mu poparcia. - Laura miała wybór. Wszyscy mieliśmy wybór. Postanowiła zrobić to, co zrobiła. My postanowiliśmy zrobić to, co robimy. Racja?

- Racja - powiedziała Paula, by uprzedzić resztę w wyrażeniu aprobaty. - Wszyscy wiedzieliśmy, na co się piszemy.

Nick spojrzał na Jane, czekając na jej skiniecie.

Quarter chrząknął, ale jego lojalność nigdy nie była podawana w wątpliwość.

- Co z glinami? - zapytał Nicka.

- Agent Danberry... - zaczęła Jane.

- Nie chodzi tylko o gliniarzy - przerwał jej Nick. - Mowa o wszystkich federalnych agencjach w kraju. O Interpolu też. - Tym drugim wydał się zachwycony. - Tego chcieliśmy. Oczy świata są zwrócone na nas. Tym, czego dokonamy w Nowym Jorku, Chicago i Stanford, i już dokonaliśmy w Oslo, zmienimy świat.

- Racja - powiedziała Paula, odpowiadając kaznodziei niczym członkini kongregacji.

- Wiecie, jak rzadko udaje się dokonać zmian? - Oczy Nicka błyszczały. Jego poczucie misji było zaraźliwe. Wszyscy pochylili się ku niemu, chłonąc każde jego słowo. - Wiecie, jak rzadko tacy zwyczajni ludzie jak my mogą zmienić życie milionów? Milionów ludzi, którzy chorują i którzy nie mają pojęcia, że ich podatki idą na nabijanie kabzy bezdusznym korporacjom, podczas gdy zwykli ludzie, gdy znajdą się w potrzebie, są zostawieni sami sobie.

Rozejrzał się po pokoju i spojrzał w oczy kolejno każdemu z nich. Napawał się tą chwilą, wiedząc, że ich inspiruje. Po chwili przerwy mówił dalej:

- Penny, twoje dzieło w Chicago wstrząśnie światem. Dzieci w szkole będą się uczyć o twoim udziale w tej zmianie. Usłyszą, za czym się opowiedziałaś. Quarter, twoja pomoc w logistyce jest bezcenna. Bez niej nie byłoby nas tutaj. Twoje plany na Stanford są fundamentem całej operacji. Andrew, nasz skarb. Boże, jak świetnie poradziłeś sobie z Laurą, jak złożyłeś w całość wszystkie kawałki. Jane...

Paula znowu prychnęła.

- Jane... - Nick położył ręce na jej ramionach i przycisnął wargi do jej czoła. Wezbrała w niej fala miłości. - A ty, moja kochana, dajesz mi siłę. Dzięki tobie mogę prowadzić naszą

dzielną kompanię ku wielkości.

- Dorwą nas - rzuciła Paula. Nie wydawała się już wściekła na myśl o tym. - Wiecie o tym, prawda?

- I co z tego? - Quarter wyjął nóż i zaczął obierać jabłko. - Teraz się boisz? Najpierw opowiadasz te wszystkie wniosłe bzdury, a potem...

- Nie boję się. Siedzę w tym po uszy. Powiedziałam, że w to wchodzę, i nie zmieniałam zdania. Zawsze możesz na mnie liczyć, Nick.

- Grzeczna dziewczynka. - Nick pogładził Jane po plecach. Omal nie wtuliła się w niego jak kociak. Tak łatwo mu to przychodziło. Wystarczyło, że położył rękę we właściwym miejscu lub użył właściwego słowa, a ona znowu stała twardo u jego boku.

Czy była jak jo-jo?

A może była jego prawdziwą zwolenniczką, ponieważ Nick miał rację? Musieli obudzić ludzi. Nie mogli siedzieć z założonymi rękami w obliczu takiego cierpienia. Bierność była niedopuszczalna.

- Dobra, kompania. Wiem, że broń w Oslo was zaskoczyła, ale czy nie widzicie, jak dobrze się wszystko ułożyło? Laura wyświadczyła nam niebywałą przysługę, pociągając za spust i poświęcając własne życie. Dlatego jej słowa rozbrzmiewają o wiele donośniej, niż gdyby wykrzykiwała je z za krat. Jest męczennicą, i to sławną męczennicą. Nasza następna akcja uświadomi ludziom, że nie mogą dłużej lazić dokoła jak stado owiec. Sytuacja musi się zmienić. Ludzie muszą się zmienić. Rządy muszą się zmienić. Korporacje muszą się zmienić. Tylko my możemy tego dokonać. To my obudzimy całą resztę.

Wszyscy patrzyli na niego rozpromienieni niczym grupa gorliwych akolitów, nawet Andrew pokraśniał pod wpływem

pochwał Nicka. Może to ich ślepe oddanie sprawiło, że niepokój Jane sączył się do jej serca powoli, ale skutecznie.

Coś się zmieniło podczas jej pobytu w Berlinie. Energia w tym pokoju nabrała impetu.

I przybrała niemal fatalistyczną formę.

Czy Paula też opróżniła swoje mieszkanie?

Czy Quarter wyzbył się swego cennego dobytku?

Andrew zerwał z Ellis-Ann. Źle wyglądał, ale uparcie odmawiał wizyty u lekarza.

Czy ich ślepe oddanie było inną formą choroby?

Wszyscy prócz Jane mieli za sobą pobyt w zakładach psychiatrycznych. Nick wykradł ich dokumentację w Queller, a w przypadku innych członków organizacji znalazł kogoś, kto umożliwił im dostęp do dokumentacji. Znał ich nadzieje i lęki, wiedział o ich załamaniach, próbach samobójczych, zaburzeniach jedzenia, przeszłości kryminalnej, a najważniejsze, że umiał wykorzystać te informacje do osiągnięcia zamierzonego celu.

Jo-jo poruszające się w górę i w dół zgodnie z wolą Nicka.

- Zróbmy to. - Quarter sięgnął do kieszeni i rzucił ćwierćdolarówkę na stół obok obranego jabłka. - Grupa ze Stanford gotowa - zameldował.

Zaburzenia maniakalno-depresyjne. Skłonności schizoidalne. Stosowanie przemocy.

Paula usiadła na krześle i położyła na stole centa.

- Chicago gotowe od miesiąca.

Zachowania aspołeczne. Kleptomania. Jadłowstręt psychiczny. Nieprzystosowanie.

Nick rzucił w powietrze pięciocentówkę. Złapał ją w dłoń i wyrzucił na stół.

- Nowy Jork nie może się doczekać.

Socjopatia. Zaburzenia kontroli impulsów. Uzależnienie od kokainy.

Andrew spojrział na Jane, potem sięgnął do kieszeni. Położył dziesięciocentówkę obok pozostałych monet i usiadł.

- Misja w Oslo zakończona.

Zaburzenia lękowe. Depresja. Myśli samobójcze. Psychoza polekowa.

Wszyscy zwrócili się ku Jane. Sięgnęła do kieszeni zakietu, ale Nick ją powstrzymał.

- Zanieś to na górę, skarbie. - Podał jej jabłko, które obrał Quarter.

- Ja mogę to zrobić - zaoferowała się Paula.

- Możesz się nie odzywać? - Nick nie kazał jej się zamknąć, po prostu zadał pytanie.

Paula opadła z powrotem na krzesło.

Gdy Jane wzięła od niego jabłko, na skórzanej rękawiczce pojawiła się wilgotna plama. Macała sekretny panel, aż znalazła przycisk. To był jeden ze sprytnych patentów Nicka. Chcieli jak najbardziej utrudnić znalezienie schodów. Jane odciągnęła panel, a potem starannie zamknęła go za sobą z pomocą haka.

Rozległo się głośne kliknięcie, gdy mechanizm zwalniający wskoczył na swoje miejsce.

Jane wolno wchodziła po schodach, nadstawiając ucha. Utwór Pink Floyd ryczący z głośnika skutecznie zagłuszał ich słowa. Tylko podniesiony głos Pauli przebił się przez partie instrumentalne *Comfortably Numb*.

- Skurwiele - powtarzała, wyraźnie próbując zrobić wrażenie na Nicku swoim fanatycznym oddaniem. - Pokażemy tym złamasom.

Jane czuła niemal zwierzęce podniecenie emanujące z desek

podłogowych, gdy osiągnęła szczyt schodów. W zamkniętym pokoju paliło się kadzidełko. Czuła lawendę. Paula musiała przynieść jeden ze swoich talizmanów wudu, by uspokoić duchy.

Laura Juneau miała w domu lawendę. Wśród wielu szczegółów właśnie taki przekazał Andrew w szyfrowanych listach. Poza tym lubiła ceramikę. I jak on też nieźle malowała. Wróciła z ogrodu przed domem i klęczała w pokoju dziennym, szukając w kredensie wazonu, kiedy Robert Juneau otworzył drzwi wejściowe.

Pojedynczy strzał w głowę pięciolatka.

Dwa strzały w pierś szesnastolatka.

Dwa kolejne strzały do czternastolatki.

Jedna z tych kul utkwiała w kręgosłupie Laury Juneau.

Ostatnia kula weszła w czaszkę Roberta Juneau od podbródka.

Chloropromazyna. Valium. Xanax. Całodobowa opieka. Lekarze. Pielęgniarki. Księgowi. Dozorcy. Serwis sprzątający.

- Wiesz, ile kosztuje pełna opieka nad takim człowiekiem? - zapytał Martin, gdy siedzieli przy śniadaniu.

Na stole leżała rozłożona gazeta, a nagłówki krzyczały: **MĘŻCZYŻNA ZABIJA RODZINĘ, A POTEM SIEBIE**. Jane zapytała ojca, jak do tego doszło. Dlaczego Roberta Juneau wyrzucono z tyłu placówek spółki Queller.

- Prawie sto tysięcy dolarów rocznie. - Martin najpierw rozmieszał kawę srebrną łyżeczką firmy Liberty & Company, odziedziczoną po dalekim krewnym, a potem zapytał: - Wiesz, ile to podróży do Europy? Aut dla twoich braci? Ile przejażdżek samochodem, wycieczek i lekcji z twoim kosztownym Pechenikovem?

„Dlaczego przestałaś występować?”.

„Bo nie mogłam dłużej grać, mając krew na rękach”.

Jane zdjęła klucz z haczyka i włożyła go do zamka ryglowego. Po drugiej stronie drzwi David Gilmour śpiewał:

There is no pain, you are receding...

Jane weszła do pokoju i owionął ją zapach lawendy. W szklanym wazonie stały świeże kwiaty. Na metalowej podstawce paliło się kadzidełko. Zrozumiała, że wcale nie chodziło o odstraszenie złych duchów, lecz o zabicie smrodu moczu i kału w wiadrze pod oknem.

When I was a child, I had a fever...

W tym niewielkim pomieszczeniu były tylko dwa okna. Jedno wychodziło na wiktoriański dom, drugie na dom za nimi. Jane otworzyła oba w nadziei, że przeciąg zmniejszy nieznośny odór.

Stała pośrodku pokoju z obranym jabłkiem w ręce. Odczekała, aż skończy się gitarowe solo. Odtwarzała nuty w głowie. Wyobrażała sobie swoje palce na strunach. Przez jakiś czas grała na gitarze, potem na skrzypcach, wiolonczeli, mandolinie, a dla czystej radości na skrzypcach z metalowymi strunami.

Potem Martin powiedział, że musi wybrać między średniactwem w wielu dziedzinach a doskonałością w jednej.

Uniosła igłę nad płytę.

Usłyszała ich głosy na dole. Najpierw kasłanie Andrew. I to niepokojące rżenie w płucach. Potem zwięzłe uwagi Nicka. Quarter upomniął ich, żeby mówili ciszej, ale wtedy Paula zaczęła kolejną wściekłą tyradę o pieprzonych gliniarzach, którzy za wszystko zapłacą, i zagłuszyła resztę.

- Daruj sobie - rzucił Nick żartobliwym tonem. - Jesteśmy tak blisko. Wiesz, jacy będziemy ważni, kiedy to wszystko się skończy?

Kiedy to wszystko się skończy...

Jane położyła dłoń na brzuchu.

Czy to kiedykolwiek się skończy?

Czy dadzą radę żyć po tym wszystkim? Czy mogą sprowadzić dziecko na świat, który usiłowali stworzyć? Czy naprawdę czeka na nich mieszkanie w Szwajcarii?

Przypomniała sobie fakty: Nick sprzedał meble i usunął instalacje w mieszkaniu. Spał na podłodze. Czy tak zachowywał się mężczyzna myślący o przyszłości?

Czy nadawał się na ojca ich dziecka?

Uklękła przy łóżku.

Zniżyła głos o kilka oktaw i ostrzegła:

- Ani słowa.

Wyciągnęła knebel z ust kobiety.

Alexandra Maplecroft zaczęła krzyczeć.

23 SIERPANIA 2018

11

Andy dźwignęła ciężkie pudło z butami z tylnego siedzenia auta. Duże krople deszczu z impetem waliły o karton, a z asfaltu unosiła się para, bo niebiosa otworzyły się po długich dniach morderczego skwaru. I pojawił się kolejny problem: była coraz bardziej przemoczona. Biegała między bagażnikiem a otwartym magazynem, chowając głowę w ramionach za każdym razem, gdy błyskawica przesywała powietrze.

Wzorem matki wynajęła dwa magazyny w dwóch stanach, by ukryć niewyobrażalną dla siebie ilość gotówki. W jednym okazała się nawet lepsza od Laury. Zamiast ułożyć pieniądze na podłodze magazynu jak Skyler w *Breaking Bad*, wysprzątała pomieszczenie na zapleczu magazynu Armii Zbawienia w Little Rock, po czym upchnęła pliki gotówki pod starymi ciuchami, sprzętem turystycznym i górą zepsutych zabawek.

Gdyby ktoś ją obserwował, doszedłby do wniosku, że robi to, co większość Amerykanów, czyli płaci za przechowywanie sterty bezużytecznych dla niej gratów, zamiast przekazać je potrzebującym.

Pobiegła do samochodu i złapała kolejne pudło. Woda chlupotała jej w nowych butach, a z powodu przemoczonych skarpetek miała wrażenie, że chodzi po ruchomych piaskach. Po wyjeździe z pierwszego magazynu w Texarkanie w Arkansas zajechała pod Walmart i wreszcie miała na sobie ubrania nie pochodzące z lat osiemdziesiątych. Kupiła torbę na ramię i laptopa za trzysta pięćdziesiąt dolarów. Miała okulary przeciwsłoneczne, bieliznę, która nie spadała jej z tyłka, i – co najdziwniejsze – poczucie celu.

- Chcę, żebyś żyła swoim życiem - powiedziała jej Laura w restauracji. - Chcę ci to ułatwić, ale wiem, że to się nigdy nie stanie, jeśli nie będziesz zdana na siebie.

No i była zdana wyłącznie na siebie. Ale co się zmieniło? Nawet sobie samej nie umiała odpowiedzieć na pytanie, dlaczego czuje się inaczej. Wiedziała tylko, że ma już dość dryfowania od katastrofy do katastrofy jak ameba w szalce Petriego. Czy punktem zwrotnym stało się odkrycie, że jej matka jest kłamcą? A może fakt, że wynajęty morderca śledził ją przez całą drogę z Alabamy, a ona - zamiast słuchać intuicji - miała ochotę się z nim przespać?

Twarz ją paliła ze wstydu na samo wspomnienie, gdy wyciągała kolejne pudło z bagażnika.

Została w Muscle Shoals na tyle długo, by widzieć, jak furgonetka Mike'a Kneppera przejeżdża obok motelu dwa razy w ciągu dwóch godzin. Odczekała jeszcze dwie godziny, chcąc się upewnić, że nie wróci. Kiedy się nie pojawił, spakowała rzeczy do reliantu i ruszyła w drogę.

Czuła się niepewnie. Dodała sobie animuszu kawą z McDonalda, ale ciągle bała się zatrzymać i iść do toalety, ponieważ wciąż jeszcze trzymała gotówkę w aucie. Droga do Little Rock w Arkansas zajęła jej pięć godzin, a każda z nich ciążyła jej na duszy.

Dlaczego Laura ją okłamała? Kogo tak bardzo się bała? Dlaczego kazała jej jechać do Idaho?

Co ważniejsze, dlaczego ona ciągle ślepo wykonywała polecenia matki?

Brak snu nie ułatwił szukania odpowiedzi. Zatrzymała się w Little Rock, ponieważ знаła to miasto ze słyszenia. Podjechała pod pierwszy hotel z podziemnym parkingiem. Uznała, że powinna ukryć reliantu, na wypadek gdyby Mike za

nią jechał.

Zaparkowała tyłem, podjeżdżając jak najbliżej ściany, żeby ewentualny złodziej miał kłopot z dostępem do tyłu auta. Potem podjechała do przodu, by wyjąć z bagażnika śpiwór i torbę plażową. Znowu cofnęła reliantę pod ścianę, zameldowała się w hotelu, gdzie przespaała osiemnaście godzin bez przerwy.

Kiedy ostatnim razem spała tak długo, Gordon zabrał ją do lekarza, wystraszył się bowiem, że cierpi na narkolepsję. Sen w Arkansas potraktowała jako środek terapeutyczny. Nie ścisłała kurczowo kierownicy. Nie krzyczała i nie łkała w pustym samochodzie. Nie sprawdzała telefonu Laury co pięć minut. Nie przejmowała się pieniędzmi, które przykuły ją do relianty. Nie bała się, że Mike za nią jedzie, ponieważ wczłogała się pod auto i sprawdziła całe podwozie w poszukiwaniu lokalizatorów.

Mike.

Z tym głupim K w nazwisku, głupim konikiem polnym z boku furgonetki, głupim pocałunkiem na parkingu... Musiał być psychopata, który planował ją śledzić, porwać i torturować albo zrobić coś jeszcze gorszego, a zamiast tego ją uwiódł.

Co gorsza, ona mu na to pozwoliła.

Złapała ostatnie pudełko i z trudem zatargała do magazynu, gdzie rzuciła je na ziemię. Usiadła na drewnianym stołku z rozchwianą nogą. Potarła twarz dłońmi. Policzki jej płonęły.

Idiotka, zbeształa się w duchu. Przejrzał cię na wylot.

Bolesna prawda była taka, że o jej życiu seksualnym niewiele intrygującego dało się powiedzieć. Ciągle odwoływała się do swojego romansu z profesorem w college'u, co według niej przydawało jej wyrafinowania, ale pomijała fakt, że uprawiali seks tylko trzy razy i pół. I że facet był ćpunem. I prawie impotentem. I że zwykle kończyli u niego na kanapie. On się

wtedy odurzał, a ona oglądała powtórkowe odcinki *Złotek*.

Profesor i tak był lepszy niż jej chłopak z liceum. Poznali się w kółku teatralnym, co już powinno dać jej do myślenia. Zostali najlepszymi przyjaciółmi i wspólnie zdecydowali, że pierwszy raz powinni przeżyć razem.

Po wszystkim była rozczarowana, ale skłamała, żeby on poczuł się lepiej. On też był rozczarowany, tyle że nie odwzajemnił jej uprzejmości.

- Byłaś za mokra - powiedział, wzdrygając się teatralnie.

I chociaż w następnym zdaniu stwierdził, że chyba jest gejem, Andy żyła ze wspomnieniem tej destrukcyjnej krytyki przez następnych piętnaście lat.

Za mokra, powtarzała w myślach, wpatrując się w ścianę deszczu na zewnątrz magazynu. Wiele mogłaby powiedzieć temu palantowi, gdyby przyjął jej zaproszenie do grona znajomych na Facebooku.

Potem wróciła myślą do swojego nowojorskiego chłopaka. Uważała go za łagodnego, delikatnego i taktownego, ale kiedyś w mieszkaniu znajomych korzystała z łazienki i przypadkiem usłyszała, jak rozmawia z kumplami:

- Jest jak baletnica w kasetce z biżuterią - wyznał. - Zegniesz ją i muzyka cichnie.

Andy potrząsnęła głową jak pies. Pobiegnęła z powrotem do auta, wyjęła niebieską walizkę Samsonite 1989 i przyciągnęła ją do magazynu. Zamknęła drzwi i przebrała się w suche ubranie. Z butami nic nie mogła zrobić, ale suche skarpetki przynajmniej nie potęgowały bólu obtartych stóp. Kiedy podniosła drzwi, deszcz już zelżał, co było pierwszym szczęśliwym zrzędzeniem losu od dawna.

Na zasuwie powiesiła jedną z klódek kupionych w Walmarcie. Zamiast tradycyjnej wybrała klódkę z zamkiem szyfrowym

z literami zamiast cyfr. W Texarkanie kod do kłódki brzmiał FUCKR, ponieważ kiedy ustawiała szyfr, była wyjątkowo wrogo nastawiona do całego świata. Do drugiej, kupionej w Hook 'Em & Store na przedmieściach Austin w Teksasie, wybrała bardziej oczywiste hasło: KUNDE, jak w...

„Mógłbym pogadać z Paulą Kunde”.

„Słyszałam, że jest w Seattle”.

„W Austin. Niezła próba”.

Andy postanowiła w Little Rock, że nie pojedzie do Idaho, jak kazała Laura. Skoro nie dostała odpowiedzi od matki, może usłyszy je od profesor Pauli Kunde.

Podniosła ręce, żeby zamknąć drzwi bagażnika. Śpiwór i torba plażowa nadal były wypchane pieniędzmi, ale Andy doszła do wniosku, że może trzymać je w samochodzie. Pewnie powinna zostawić małą lodówkę turystyczną i paczkę kabanosów w magazynie, ale chciała jak najszybciej znaleźć się w drodze.

Silnik zaterkotał przy cofaniu. Zamiast ruszyć w kierunku drogi międzystanowej, Andy skręciła w drugą ulicę w prawo do McDonalda. Przy okienku dla zmotoryzowanych klientów zamówiła dużą kawę i wzięła hasło do Wi-Fi.

Wybrała miejsce parkingowe w pobliżu budynku i wylała kawę przez okno. Była pewna, że jeśli przyjmie kolejną dawkę kofeiny, serce jej eksploduje. Wyjęła laptopa z torby i zalogowała się do sieci.

Patrzyła na kursor na pasku wyszukiwania.

Jak zwykle przeżyła chwilę wahania, zastanawiając się, czy założyć fałszywe konto na Gmailu i napisać do Gordona. Układała w myślach różne wersje: mogła podszyć się pod koordynatorkę Habitat for Humanity albo kolegę z Phi Beta Sigma i sprokurować kodowaną wiadomość, dając ojcu znak

życia:

Widziałeś ten świetny kupon Subwaya oferujący dwa w cenie jednego?

Polecam ciekawy film o historii burbona Knob Creek.

Jak zwykle zrezygnowała z tego pomysłu. Wprawdzie nadal niewiele wiedziała o swojej matce, ale nie mogła narazić Gordona na najmniejsze choćby ryzyko.

Wpisała na pasku *Belle Isle Review*.

Zdjęcie Laury i Gordona na przyjęciu bożonarodzeniowym nadal widniało na pierwszej stronie.

Andy studiowała twarz matki. Nie rozumiała, jak kobieta uśmiechająca się do obiektywu mogła przez tyle lat zwodzić swoją jedyną córkę. Powiększyła zdjęcie. Nigdy przedtem nie przywiązywała wagi do nierówności na nosie matki. Czy to był ślad po złamaniu i krzywym zrośnięciu?

Polaroidowe zdjęcia w sekretnym magazynie Laury wskazywały, że to możliwe.

Czy kiedykolwiek pozna prawdę?

Przewinęła stronę na dół. Artykuł o ciele wyrzuconym na brzeg pod mostem Yamacraw też się nie zmienił. Tożsamość mężczyzny w bluzie z kapturem nadal była nieznana i brakowało informacji o jego skradzionym aucie. Co oznaczało, że Laura nie tylko nie wpuściła policji do domu, ale jakimś cudem wsadziła bezwładne stukilowe ciało do hondy i wrzuciła je do rzeki ponad trzydzieści kilometrów dalej.

Z jedną ręką unieruchomioną przy tułowi i jedną niesprawną nogą utrudniającą chodzenie.

Jej matka była przestępczynią.

Tylko takie wyjaśnienie miało sens. Andy uważała Laurę za pasywną, czyli przejawiającą bierny opór czasami przechodzący w agresję, i reaktywną, czyli z powodu

nadwrażliwości oraz niestabilności emocjonalnej gwałtownie reagującą na niektóre bodźce, tymczasem wszystkie dowody wskazywały na jej logiczność i przebiegłość. Prawie milion w gotówce nie pochodził z przywracania pacjentom po udarze zdolności wyraźnego mówienia. Sam fakt posiadania fałszywych dokumentów był przerażający. Andy uświadomiła sobie, że Laura miała nie tylko fałszywe dokumenty, ale też kontakt z fałszerzem, który to dla niej robił. Kiedy przekraczała granicę z Kanadą, by odnowić prawo jazdy czy rejestrację auta, łamała prawo federalne. Andy wątpiła, by urząd podatkowy wiedział o gotówce, co było złamaniem kolejnych paragrafów. Laura nie bała się policji. Wiedziała, że może odmówić składania zeznań. W obliczu przedstawicieli prawa wykazała nieziemski spokój. Od Gordona tego nie przejęła. A to oznaczało, że nauczyła się tego sama.

Z czego wynikało, że Laura Oliver nie jest dobrym człowiekiem.

Andy zamknęła laptop i schowała go do torby. Pamięć tego urządzenia nie wystarczyłaby do spisania wszystkich pytań wymagających odpowiedzi Laury. W tym momencie zagadka pozbycia się ciała Kaptura nie mieściła się nawet w pierwszej trójce.

Deszcz bił w przednią szybę. Napłynęły ciemne chmury. Andy pojechała za znakami wskazującymi UT-AUSTIN. Rozległy uniwersytecki kampus zajmował szesnaście hektarów w prestiżowej lokalizacji. Na terenie mieściły się uczelnia medyczna, szpital, wydział prawa i rozmaite wydziały humanistyczne. Mimo braku własnej drużyny futbolowej roilo się tu od flag i naklejek z logo Texas Longhorns.

Z rozkładu zajęć zamieszczonego na stronie internetowej wynikało, że doktor Kunde prowadzi poranne zajęcia o nazwie

„Przemoc domowa i seksualna z feministycznej perspektywy”, po których godzinę przeznaczają na porady dla studentów. Andy sprawdziła godzinę na wyświetlaczu. Nawet przy założeniu, że Paula Kunde została na lunchu albo przedłużyła konsultacje dla studentów, o tej porze powinna już być w domu.

Chciała dowiedzieć się o niej czegoś więcej, ale w Internecie znalazła niewiele informacji. Na stronie UT-Austin znajdował się długi wykaz jej publikacji i konferencji, w których wzięła udział, ale nic o jej życiu osobistym. Na ProfRatings.com miała tylko pół gwiazdki. Kiedy Andy wczytała się we wpisy studentów, okazało się, że większość lamentuje z powodu złych ocen, których doktor Kunde nie chciała poprawić albo wyrzuca z siebie żale na surowość tej jędzy. Można by uznać, że przede wszystkim surowość była wkładem jej pokolenia w wyższą edukację.

Najłatwiejszym elementem internetowego śledztwa okazało się zdobycie domowego adresu doktor Kunde. Zeznania podatkowe mieszkańców Austin były dostępne online. Andy musiała tylko wpisać imię i nazwisko. Od dziesięciu lat Paula Kunde systematycznie płaciła podatek od nieruchomości. Potem wystarczyło kliknąć w Google Street View i zobaczyć długi parterowy dom w części miasta zwanej Travis Heights.

Kiedy Andy skręciła w ulicę Pauli, ponownie sprawdziła mapę. Oglądała ulicę w laptopie niczym włamywaczka przeprowadzająca rekonesans przed skokiem. Problem polegał na tym, że zdjęcia ulicy zostały zrobione w środku zimy, kiedy bezlistne krzewy i drzewa w uśpieniu czekały na wiosnę. Teraz mijała bujne wielobarwne ogrody. Okolica wyglądała na modną. Na podjazdach stały auta hybrydowe, w ogrodach przyciągały wzrok oryginalne elementy dekoracyjne. Mimo deszczu ludzie uprawiali jogging. Każdy dom był pomalowany

wedle autorskiego pomysłu właścicieli, bez oglądania się na kolorystyczne wybory sąsiadów. Stare drzewa. Szerokie ulice. Panele słoneczne i dziwacznie wyglądający miniaturowy wiatrak przed niszczącym bungalowem.

Andy tak intensywnie przyglądała się domom, że za pierwszym razem przeoczyła dom Pauli. Dojechała do South Congress i zawróciła. Tym razem sprawdzała numery na skrzynkach pocztowych.

Paula Kunde mieszkała w domu zbudowanym w stylu rzemieślniczym, ale zabarwionym fantazją, dzięki czemu wpisywał się w atmosferę sąsiedztwa. Przed zamkniętym garażem stał starszy model białego priusa. W dachu nad garażem Andy dostrzegła okna mansardowe. Ciekawe, czy Paula Kunde miała córkę, której też nie mogła się pozbyć z domu. To byłby dobry wstęp do rozmowy, ponieważ to Andy musiała utorować sobie drogę do środka.

To chyba tu.

Możliwe, że kiedy będzie wsiadać z powrotem do auta, pozna już odpowiedź na wszystkie dręczące pytania dotyczące Laury.

Na razie wysiadła z reliantu, mając nogi jak z waty. Mówienie nigdy nie było jej mocną stroną. Ameby nie miały ust. Zarzuciła torbę na ramię. Idąc w stronę domu, sprawdziła jej zawartość, by zająć czymś umysł. Trochę gotówki, laptop, kosmetyczka Laury z telefonem na kartę, balsam do rąk, krople do oczu, błyszczak do ust – wystarczająco, by znowu poczuła się kobietą.

Przyjrzała się oknom. W środku nie paliło się ani jedno światło, przynajmniej od frontu. Może Pauli nie było w domu. Andy kalkulowała na podstawie rozkładu zajęć wyczytanego na stronie internetowej. Prius mógł należeć do lokatora. A może to Mike zmienił wóz.

Ta myśl przyprawiła ją o dreszcz. Zbliżała się do drzwi. Po

drewnianych podporach pięły się petunie o długich pędach. Wyschnięte miejsca w starannie utrzymanym ogrodzie wskazywały, gdzie teksańskie słońce spaliło ziemię. Wchodząc po schodach na werandę, Andy zerknęła za siebie. Czuła się jak zbir, ale nie była pewna, czy to uczucie jest usprawiedliwione.

„Nie zrobię ci krzywdy. Chcę cię tylko śmiertelnie przerazić”.

Może dlatego Mike ją pocałował. Wiedział, że groźby na Laurę nie podziałały, uznał więc, że robi Andy coś straszego i wykorzysta to do wywarcia nacisku na jej matkę.

- Coś ty za jedna?!

Pochłonięta własnymi myślami Andy nawet nie zauważyła, że drzwi wejściowe się otworzyły.

Paula Kunde trzymała w rękach aluminiowy kij baseballowy. Miała na nosie ciemne okulary przeciwsłoneczne, szyję szczelnie owijał szal.

- Ej, mówię do ciebie! - Zastygła w pozycji gotowej do wyprowadzenia ciosu kijem. - Czego chcesz, dziewczyno? Gadaj!

Andy ćwiczyła tę kwestię w samochodzie, ale widok kija gotowego do akcji skasował jej pamięć.

- Ja... ja... - Tylko to była w stanie wydukać.

- Chryste Panie. - Paula w końcu opuściła kij i oparła go o framugę wewnątrz domu. Wyglądała jak na swoim zdjęciu profilowym ze strony internetowej uniwersytetu, tyle że była starsza i bardziej wściekła. - Jesteś moją studentką? Chodzi o ocenę? - Miała ochryply głos. - Ostrzegam cię, kretynko, że nie zamierzam podwyższyć ci oceny, więc osusz łzy i wracaj do podrzędnego college'u.

- Ja... ja... - zaczęła znowu Andy.

- Co z tobą? - Paula poluzowała szal wokół szyi. Był jedwabny, zdecydowanie za ciepły na tę pogodę, i nie pasował

do szortów oraz bluzki bez rękawów. Spojrzała na Andy z góry.

- Albo zaczniesz gadać, albo zabieraj stąd swój...

- Nie! - Andy spanikowała, gdy Paula zaczęła zamykać drzwi.

- Muszę z panią porozmawiać.

- O czym?

Andy wpatrywała się w nią intensywnie. Czuła, że porusza ustami, usiłując sformułować myśl. Szal. Okulary. Chrypliwy głos. Kij przy drzwiach.

- O duszeniu. Torbą. Plastikową torbą.

Paula zacisnęła usta.

- Pani szyja... - Andy dotknęła własnej. - Nosi pani szal, żeby zasłonić ślady zadrapania, a pani oczy pewnie mają...

Paula zerwała okulary.

- Co z moimi oczami?

Andy omal nie krzyknęła. Jedno oko Pauli Kunde okazało się mlecznobiałe. Drugie było czerwone, jakby płakała albo była duszona, albo i jedno, i drugie.

- Po co tu przyjechałaś? Czego chcesz?

- Porozmawiać. O mojej matce. Zna ją pani? Moją matkę?

- Kim jest twoja matka?

Dobre pytanie.

Paula patrzyła na samochód mijający jej dom.

- Powiesz coś czy będziesz tu sterczeć z otwartymi ustami jak ryba wyciągnięta z wody?

Andy poczuła, że jej determinacja słabnie. Musiała coś wymyślić. Nie mogła dać za wygraną. Nagle przypomniała sobie ćwiczenie „Tak... i...” z zajęć teatralnych. Służyło doskonaleniu umiejętności improwizacji. Na zdaniu wypowiedzianym przez drugą osobę trzeba było oprzeć swoją kwestię, by podtrzymać rozmowę.

- Tak, jestem zdezorientowana, ponieważ ostatnio

dowiedziałam się o swojej matce rzeczy, których nie rozumiem.

- Nie mam zamiaru być częścią twojej *bildungsroman*.

A teraz spadaj albo wezwę policję.

- Tak - niemal wykrzyknęła Andy. - To znaczy tak, niech pani wzywa policję. I oni przyjadą.

- Po to się wzywa policję.

- Tak - powtórzyła Andy. Ta gra wymagała aktywności obu rozmówców. - I będą zadawać mnóstwo pytań. Pytań, na które nie będzie pani chciała odpowiedzieć. Na przykład skąd u pani te wybroczyny w oku.

Paula zerknęła ponad ramieniem Andy.

- Twoje auto stoi na podjeździe? To, które wygląda jak opakowanie podpasek?

- Tak, i to jest reliant.

- Zdejmij buty, jeśli chcesz wejść do środka. I skończ z tym idiotycznym „Tak, i”, aktoreczko. To nie kółko teatralne. - Paula weszła do domu.

Andy była jednocześnie przerażona i podekscytowana, że udało jej się dotrzeć do tego punktu. Przystąpiła próg tego domu.

Nadeszła chwila, w której miała poznać prawdę o swojej matce.

Postawiła torbę na ziemi. Oparła dłoń o stolik w korytarzu. Szklana miseczka z drobnymi zadzwoniła o marmurowy blat. Andy zdjęła tenisówki i postawiła je obok aluminiowego kija, a mokre skarpetki włożyła do środka. Ze zdenerwowania oblała się potem. Skubiąc przód koszuli, weszła do położonego na niższym poziomie salonu.

Paula Kunde miała szczególne poczucie estetyki. W domu nie było żadnego rękodzieła z wyjątkiem boazerii na ścianach. Wszystko było białe. Meble. Dywany. Drzwi. Płytki.

Andy poszła za odgłosem krojenia dobiegającego z końca korytarza. Uchyliła drzwi wahadłowe na tyle, by wetknąć w nie głowę, i zobaczyła kuchnię, też całą w bieli. Białe blaty, szafki, płytki, nawet klosze. Jediną kolorową plamą była sama Paula Kunde oraz ściszony telewizor na ścianie.

- Wchodź wreszcie. - Paula machnęła do niej długim nożem szefa kuchni. - Muszę wrzucić warzywa, zanim woda się wygotuje.

Andy otworzyła drzwi na oścież, weszła do kuchni i poczuła zapach bulionu. Na kuchni stał duży garnek, z którego unosiła się para.

Paula pokroiła brokuł w różyczki.

- Wiesz, kto to zrobił?

- Zrobił... - powtórzyła Andy. Dopiero po chwili domyśliła się, że Paula pyta o Kaptura. Potrząsnęła przecząco głową. To było połowiczne kłamstwo. Kaptura ktoś nasłał. Ktoś, kto znał Laureę. Ktoś, kto mógł też znać Paulę Kunde.

- Miał dziwne oczy, jakby... - Głos Pauli się załamał. - Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć glinom. Chcieli, żebym się spotkała z ich rysownikiem, ale po co?

- Mogłabym... - zaczęła Andy i ugryzła się w język. Już miała zaoferować pomoc w naszkicowaniu Kaptura, ale od pierwszego roku pobytu w Nowym Jorku niczego nie narysowała.

Paula prychnęła.

- Boże, dziewczyno. Gdybym dostawała dolara za każdym razem, kiedy nie kończysz zdania, nie mieszkałabym w Teksasie.

- Ja tylko... - Andy usiłowała wymyślić jakieś kłamstwo, ale potem zastanowiła się, czy Kaptur rzeczywiście przyjechał najpierw tutaj. Może źle zrozumiała wymianę zdań w gabinecie

Laury. Może do Austin wysłali Mike'a, a do Belle Isle Kaptura.

- Jeśli ma pani papier, mogłabym go narysować.

- Tam. - Paula wskazała łokciem koniec kontuaru, który służył za niewielkie biurko.

Andy otworzyła szufladę. Spodziewała się zobaczyć typowy bałagan: zapasowe klucze, latarkę, walające się drobniki, liczne długopisy, ale były tam tylko dwie rzeczy: zaostrzony ołówek i blok.

- Zajmujesz się sztuką? - zapytała Paula. - Masz to po kimś z rodziny?

- Ja... - Andy nie musiała patrzeć na minę Pauli, by wiedzieć, że znowu to zrobiła.

Otworzyła blok pełen czystych kartek. Nie dała sobie czasu na zastanowienie, co robi, kwestionowanie własnego talentu czy wybicie sobie z głowy wiary w resztki umiejętności. Zamiast tego odłamała szpiczastą końcówkę ołówka i naszkicowała obraz twarzy Kaptura, jaki utrwalił się w jej pamięci.

- Tak. - Paula pokiwała głową, zanim Andy skończyła. - Wygląda jak ten sukinkot. Szczególnie oczy. Oczy dużo mówią o człowieku.

Andy wbiła wzrok w bielmo na lewym oku Pauli.

- Skąd wiesz, jak on wygląda? - zapytała Paula.

Andy nie odpowiedziała. Przewróciła kartkę. Naszkicowała inny portret. Mężczyzny o kwadratowej szczęce i w bejsbolówce z napisem Alabama.

- A ten facet? Widziała go pani w tej okolicy?

Paula przyjrzała się rysunkowi.

- Nie. Był z tym drugim?

- Może. Nie jestem pewna. - Andy czuła, że potrząsa głową. - Nie wiem. Prawdę powiedziawszy, nic już nie wiem.

- Rozumiem.

Andy musiała zyskać trochę czasu na zastanowienie. Odłożyła ołówek i blok do szuflady. Rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót. Andy nie była na tyle głupia, by nie widzieć, że Paula prowadzi swoją rozgrywkę. A ona przyjechała tu po odpowiedzi, nie pytania.

- Wyglądasz jak ona - powiedziała nagle Paula.

Andy odebrała te słowa jak trafienie piorunem.

Wyglądasz-jak-ona-wyglądasz-jak-ona-wyglądasz-jak-twoja-matka.

Powoli odwróciła się w stronę Pauli.

- Przede wszystkim oczy. - Paula czubkiem noża wskazała swoje. - Kształt twarzy. Jak serce.

Andy znieruchomiała. Odtwarzała w głowie słowa Pauli, ponieważ serce waliło jej tak głośno, że ledwie słyszała inne dźwięki.

Oczy... Kształt twarzy...

- Ona nie była taka nieśmiała jak ty. Pewnie masz to po ojcu?

- ciągnęła Paula.

Andy tego nie wiedziała. Wiedziała jedno: że musi oprzeć się o blat kuchenny, by ustabilizować miękkie kolana i nie upaść.

Paula wróciła do krojenia warzyw.

- Co o niej wiesz? - zapytała.

- Wiem, że... - Andy znowu potknęła się na słowach. Miała w żołądku rój pszczół. - Że jest moją matką od trzydziestu jeden lat.

Paula pokiwała głową.

- Interesujący wynik.

- Dlaczego?

- Właśnie. Dlaczego?

Trzask ostrza noża o deskę do krojenia rozbrzmiał echem

w głowie Andy. Musiała przestać odpowiadać na pytania Pauli i zacząć je zadawać. W trakcie siedmiu godzin podróży autem ułożyła całą listę, a teraz...

- Czy może pani...

- Płacisz dolara, mała. Czy mogę co?

Andy kręciło się w głowie. Znowu czuła to dziwne odrętwienie. Jej ręce i nogi unosiły się ku sufitowi każde z osobna, mózg stracił połączenie z ustami. Nie mogła się temu poddać. Nie teraz. Nie teraz, kiedy była już tak blisko.

- Czy może... - podjęła trzecią próbę. - Skąd pani ją zna? Moją matkę?

- Nie jestem kapusiem.

Kapusiem?

Paula rzuciła jej spojrzenie znad deski. Miała nieodgadniony wyraz twarzy.

- Nie chcę być jędzą. Chociaż przyznaję, że funkcjonowanie w roli jędzy jest w moim stylu. - Pokroiła w kostkę marchew i seler. Kawałki miały identyczny rozmiar. Nóż poruszał się tak szybko, że robił wrażenie nieruchomego. - Nauczyłam się gotować w więziennej kuchni. Musiałam być szybka.

Wieżenie?

- Zawsze chciałam się uczyć. - Paula zgarnęła pokrojone warzywa w dłoń, podeszła do kuchenki i wrzuciła wszystko do garnka. - Czekałam ponad dekadę, by dostąpić tego przywileju. Tylko starszym dziewczynom pozwalali używać noży.

Ponad dekadę?

Andy poczuła, że język przywarł jej do podniebienia. Zdumienie nie pozwalało jej przetworzyć wszystkich informacji.

Kapuś. Więzienie. Ponad dekadę.

Od paru dni podejrzewała, że Laura była przestępczynią.

Potwierdzenie tej teorii odebrała niczym cios w brzuch.

- Płacę za to, żeby ta informacja nie wyskakiwała jako pierwszy wynik wyszukiwania. Nie jest tanio, ale... - Wzruszyła ramionami i znowu utkwiała wzrok w Andy. - Wygooglowałaś mnie, prawda? Znalazłaś mój adres w danych o podatku od nieruchomości. Widziałaś mój plan zajęć, czytałaś kiepskie opinie studentów? - Uśmiechnęła się. Podobało jej się wrażenie, jakie wywarła. - Potem zajrzałaś do mojego CV i zadałaś sobie pytanie: Uniwersytet w Berkeley, Stanford, West Connecticut State. Co z tego nie pasuje? Zgadza się?

Andy była w stanie tylko skinąć głową.

Paula zaczęła kroić ziemniaka.

- W pobliżu West Connecticut jest zakład karny dla kobiet, Danbury. Pewnie go znasz z programu telewizyjnego. Pozwalali tam robić wyższe studia, dziś już nie. Martha Stewart była gościem, ale to już po moich dwóch dziesiątkach.

Dwóch dziesiątkach?

Paula znowu zerknęła na Andy.

- Ludzie w pracy wiedzą, to nie tajemnica, ale nie lubię o tym mówić. Moje rewolucyjne dni się skończyły. Cholera, w moim wieku większość mojego życia się skończyła.

Andy spojrzała na jej dłonie. Przypominały włosy czuciowe kota. Jaki straszny czyn trzeba popełnić, żeby dostać karę dwudziestu lat więzienia? Czy Laura też miała tyle odsiedzieć, ale ukradła masę pieniędzy, uciekła, zaczęła nowe życie, podczas gdy Paula Kunde liczyła dni, aż stała się wystarczająco stara, by pracować w więziennej kuchni?

- Powinnam... - Andy miała tak ściśnięte gardło, że ledwie mogła wciągnąć powietrze. Musiała to przemyśleć, ale nie umiała się skupić w tej dusznej kuchni pod czujnym okiem tej kobiety. - Wyjść. To znaczy powinnam...

- Spokojnie, Bambi, nie poznałam twojej matki w więzieniu, jeśli tak cię to przeraża. - Zabrała się do krojenia drugiego ziemniaka. - Chociaż kto wie, o czym myślisz, ponieważ nie zadajesz mi żadnych pytań.

Andy przełknęła kłęb waty w gardle. Próbowwała sobie przypomnieć przygotowane pytania.

- Skąd... skąd ją pani zna?

- Przypomnij, jak się nazywa.

Andy nie rozumiała reguł tej okrutnej gry.

- Laura Oliver. To znaczy Mitchell. Wyszła za mąż i teraz...

- Wiem, jak działa małżeństwo w przypadku kobiety. - Paula rozkroiła podłużną paprykę. Końcówką ostrza usunęła nasiona.

- Słyszałaś kiedyś o QuellCorp?

Andy najpierw potrząsnęła przecząco głową, ale odpowiedziała:

- Firma farmaceutyczna?

- Jak wyglądało twoje życie?

- Moje ży...

- Dobre szkoły? Modne auto? Świetna posada? Przystojny chłopak, który nagra na YouTube swoje oświadczyzny?

Andy w końcu zarejestrowała ostre tony w głosie Pauli. Jej rzeczowość gdzieś uleciała. Na twarzy pojawił się szyderczy uśmiech.

- Uhm... - Andy zaczęła nieznacznie przesuwając się ku drzwiom. - Naprawdę powinnam już...

- Jest dobrą matką?

- Tak. - Odpowiedź przyszła łatwo, kiedy Andy nie musiała za długo się nad nią zastanawiać.

- Chodziła jako przyzwoitka na szkolne potańcówki, należała do komitetu rodzicielskiego, robiła zdjęcia na balu na zakończenie szkoły?

Andy za każdym razem potakiwała ruchem głowy, ponieważ tak właśnie było.

- Widziałam w telewizji, jak morduje tego chłopaka. - Paula odwróciła się do Andy plecami, by umyć ręce w zlewie. - Teraz mówią, że oczyścili ją z zarzutów. Próbowала go ocalić. Proszę, nie ruszaj się.

Andy stała nieruchomo.

- Ja nie...

- Nie mówię „proszę, nie ruszaj się” do ciebie, dziecino. „Proszę” to patriarchalna konstrukcja wymyślona po to, by kobiety przeproszały za swoje waginy. - Wytarła ręce w kuchenny ręcznik. - Mówiłam o tym, co powiedziała twoja matka przed zamordowaniem tego chłopaka. Trąbią o tym w wiadomościach.

Andy spojrzała na ściszony telewizor na ścianie. Znowu pokazywali nagranie z restauracji. Laura trzymała dziwnie uniesione ręce - cztery palce wyprostowane u lewej dłoni, jeden u prawej - i pokazywała Jonahowi Helsingierowi, ile zostało mu kul. W dole ekranu przewijały się napisy, ale Andy nie była w stanie przetworzyć tych informacji.

- Włączyli się eksperci - wyjaśniła Paula. - Ponoć wiedzą, co twoja matka powiedziała do Helsingera. Proszę, nie ruszaj się. Skrócona wersja „proszę, nie ruszaj się, bo wewnątrz twojego gardła zaraz plaśnie o ziemię”.

Andy odruchowo przyłożyła dłoń do szyi. Pod palcami czuła szalejący puls. Powinna czuć ulgę, że matka została oczyszczona z zarzutów, ale wewnętrzny głos podpowiadał, by jak najszybciej opuściła ten dom. Nikt nie wiedział, że tu jest. Paula mogła zarznąć ją jak świnie i nikt by się nawet nie zorientował.

- Zabawne, co? - Paula wsparła łokcie na kuchennym blacie.

Zdrowym okiem przewiercała Andy na wylot. – Twoja cudowna mamuśka zabija z zimną krwią chłopaka, ale uchodzi jej to płazem, bo wpadła na to, żeby powiedzieć „Proszę, nie ruszaj się” zamiast *Hasta la vista*. Szczęściara z tej Laury Oliver. – Wydawało się, że Paula obraca to zdanie na języku. – Widziałaś wyraz jej twarzy, kiedy to robiła? Nie wyglądała na przejętą. Doskonale wiedziała, co robi, prawda? I nic jej nie ruszyło. Jak zawsze.

Andy znowu zamarła w bezruchu. Nie ze strachu. Chciała usłyszeć, co Paula ma do powiedzenia.

– Zimna jak gład. Nigdy nie płacze nad rozlanym mlekiem. Kłopoty spływają po niej jak po kaczmce. Tak o niej mówiliśmy. To znaczy ci, którzy cokolwiek mówili. Niby znasz Laurę Oliver, ale tak naprawdę jej nie znasz. Ślizgasz się tylko po powierzchni. Nie masz dostępu do tego, co głębiej. Zauważyłaś?

Andy chciała pokręcić głową, ale była jak sparaliżowana.

– Przykro mi to mówić, mała, ale twoja matka ma w sobie mnóstwo najgorszego kitu. Ta głupia suka zawsze była aktorką grającą w życiu jakąś rolę. Zauważyłaś?

Andy w końcu zdołała potrząsnąć głową przecząco, a jednocześnie myślała:

Tryb „Matka”. Tryb „Pomocna doktor Oliver”. Tryb „Żona Gordona”.

– Zostań tu – rzuciła Paula i wyszła z kuchni.

Andy nie mogłaby za nią iść, nawet gdyby chciała. Miała wrażenie, że jej bosc stopy przykleiły się do płytek. Nic, co ta przerażająca kobieta powiedziała o Laurze, nie było dla niej nowością, ale Paula przedstawiła te informacje w takiej formie, że otworzyła jej oczy. Do córki dotarło, że różne strony matki są nie tyle częścią całości, co kamuflażem.

„Nie masz pojęcia, kim jestem. Nigdy nie wiedziałeś i nigdy się nie dowiesz”.

- Jesteś tam jeszcze? - zawołała Paula z drugiego końca domu.

Andy potarła twarz. Na razie musiała zapomnieć, co usłyszała od Pauli, i wynieść się stąd jak najszybciej. Ta kobieta była groźna. Na dodatek coś kombinowała. Andy pożałowała decyzji o przyjeździe tutaj.

Otworzyła szufladę. Wydarła z bloku portrety Kaptura i Mike'a, złożyła, schowała do tylnej kieszeni i otworzyła drzwi kuchni.

Paula Kunde stała za drzwiami ze strzelbą wycelowaną w jej pierś.

- Jezu! - Andy cofnęła się przerażona.

- Ręce do góry, idiotko.

Andy wykonała polecenie.

- Masz podsłuch?

- Co?

- Pluskwy. Mikrofon. - Paula obmacała przód koszuli Andy, potem kieszenie, nogi od pachwin do kostek i z powrotem. - Przysłała cię tu, żeby mnie dorwać?

- Co?

- No, dalej. - Paula dotknęła końcem lufy mostka Andy. - Gadaj, idiotko. Kto cię nasłał?

- Ni-ni-nikt.

- Nikt - prychnęła Paula. - Przekaż matce, że prawie się nabrałam na twój numer w stylu przestraszonej panienki. Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, pociągnę za spust i opróżnię cały magazynek. A potem przeładuję i przyjdę po nią.

Andy omal nie straciła kontroli nad pęcherzem. Trzęsa się cała jak galareta. Z rękami w górze i wzrokiem wbitym w Paulę

cofała się korytarzem. Potknęła się na schodku prowadzącym w dół do salonu.

Paula oparła sobie strzelbę na ramieniu. Przez kilka sekund świdrowała Andy gniewnym spojrzeniem, potem poszła do kuchni.

Andy z trudem opanowała mdłości. Odwróciła się i pobiegła. Minęła kanapę, przeskoczyła jeden schodek. W holu znowu poślizgnęła się na płytkach. Kolano przeszył ból, ale utrzymała równowagę, chwytając się stolika. Drobne wysypały się z miseczki i spadły na ziemię. Każdy nerw w jej ciele był napięty jak postronek. Nie mogła wsunąć stopy do buta. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że wepchnęła tam skarpetki. Chowając skarpetki do torby z laptopem, zerknęła za siebie. Włożyła buty. Miała dłoń tak mokrą od potu, że ledwie przekręciła gałkę w drzwiach.

Kurwa.

Na werandzie stał Mike.

Szczerzył zęby w uśmiechu tak samo jak przed barem w Muscle Shoals.

- Co za zbieg okoli... - zaczął.

Andy porwała kij baseballowy zostawiony przy drzwiach przez Paule.

- Spokojnie! - Mike wyrzucił ręce w górę, gdy uniosła kij. - Spokojnie, moja piękna. Porozmawiajmy o tym...

- Zamknij się, pieprzony psycholu. - Andy trzymała kij tak kurczowo, że zaczęła czuć skurcze w palcach. - Jak mnie znalazłeś?

- To śmieszna historia.

Andy uniosła kij wyżej.

- Czekaj! - podniósł głos. - Uderz mnie tu - wskazał swój bok. - Z łatwością złamiesz mi żebro. Pewnie padnę jak kłoda.

Albo tutaj, w środek klatki piersiowej. Nie ma czegoś takiego jak splot słoneczny, ale...

Andy machnęła kijem, ale niezbyt mocno, ponieważ nie chciała go uderzyć.

Mike bez trudu złapał koniec kija. Musiał się cofnąć, żeby to zrobić. Nogi miał rozstawione na szerokość ramion, a raczej na szerokość stopy, o czym przekonała się, kopiąc go prosto w jądra najmocniej, jak umiała.

Mike padł na ziemię jak kłoda.

- Uff - jęknął. Zakasłał raz, potem drugi. Przyciskał dłonie do krocza, wijąc się na werandzie. Piana poleciała mu z ust, tak samo jak Kapturowi, ale tym razem było inaczej. Mike nie umierał. Miał tylko cierpieć.

- Niezła robota.

Andy podskoczyła przestraszona.

Paula Kunde stała tuż za nią ze strzelbą na ramieniu.

- To facet z drugiego portretu, tak?

Strach przed Paulą ustąpił miejsca wściekłości na Mike'a. Miała dość ludzi traktujących ją jak manekin do testów zderzeniowych. Obmacała jego kieszenie. Znalazła portfel i idiotyczną króliczą łapkę. Mike nie stawiał oporu. Był zbyt pochłonięty trzymaniem się za jądra.

- Zaczekaj - powiedziała Paula. - Twoja matka cię tu nie przysłała, prawda?

Andy schowała portfel Mike'a i klucze do torby. Przystąpiła nad nim.

- Powiedziałam, zaczekaj!

Andy stanęła. Odwróciła się i posłała Pauli najbardziej nienawistne spojrzenie, na jakie mogła się zdobyć.

- Przyda ci się. - Paula zanurzyła rękę w miseczce z drobnymi i wyjęła z niej złożony banknot jednodolarowy.

Podawała go Andy. – Clara Bellamy. Illinois.

– Co?

Paula trzasnęła drzwiami tak mocno, że zatrzęsł się cały dom.

Kim, do diabła, była Clara Bellamy?

Dlaczego Andy w ogóle słuchała tej wariatki?

Schodząc po schodach, schowała banknot do kieszeni. Mike ciągle dyszał jak zepsuty tłumik samochodowy. Nie chciała czuć się winna, a jednak miała poczucie winy za to, co mu zrobiła. Czuła się winna, gdy wsiadała do relianta. I gdy ruszała spod domu Pauli Kunde. I gdy skręciła w następną ulicę. Czuła się winna, póki nie zobaczyła białej furgonetki Mike'a zaparkowanej za rogiem.

Sukinsyn.

Zmienił magnetyczny znak na drzwiach.

GEORGE – PIELEGNACJA TRAWNIKÓW.

Zatrzymała auto przed furgonetką i otworzyła bagażnik. Znalazła paczkę kabanosów i rozerwała ją. Nie ma to jak porządne kabanosy. Otworzyła lodówkę turystyczną, do której nie zaglądała, odkąd znalazła ją w magazynie Laury.

Idiotka.

Do wewnętrznej strony pokrywki był przymocowany taśmą lokalizator. Mały, czarny, o rozmiarze starego iPod'a. Czerwone światełko migąło, wysyłając współrzędne jej położenia do satelity gdzieś wysoko nad ziemią. Mike musiał go podłożyć, kiedy spała w motelu w Muscle Shoals.

Cisnęła pokrywkę lodówki na drugą stronę ulicy jak frisbee. Wyjęła z bagażnika śpiwór i torbę plażową. Obie rzeczy rzuciła na przednie siedzenie furgonetki Mike'a. Wyciągnęła dwie podkaszarki oraz komplet sekatorów i rzuciła je na chodnik. Magnetyczne litery łatwo odpadły od drzwi. W pośpiechu

przeniosła je na maskę relianty. Chciała zostawić mu kluczyki, ale zmieniła zdanie. Wszystkie pieniądze były ukryte w magazynach. Przez jakiś czas mógł jeździć pudełkiem pod pasek.

Wsiadła do furgonetki Mike'a. Torbę z laptopem położyła jak najbliżej siebie. Kierownicę pokrywała dziwna sztuczna skóra. Z lusterka wstecznego zwisały dwie kostki do gry. Włożyła kluczyki do stacyjki. Silnik zapalił. Z głośników popłynęło zawodzenie Dave'a Matthews'a.

Odjechała od krawężnika. Zmierzając w kierunku uniwersytetu, odtwarzała w pamięci mapę. Wyliczyła, że ma do pokonania około tysiąca sześciuset kilometrów, co oznaczało mniej więcej dwadzieścia godzin za kółkiem albo dwa dni jazdy, jeśli zrobi sobie przerwę na nocleg. Najpierw Dallas, potem Oklahoma, Missouri i w końcu Illinois, gdzie miała nadzieję znaleźć kogoś lub coś nazywanego Clara Bellamy.

31 LIPCA 1986

12

Krzyki Alexandry Maplecroft brzmiały jak syrena o coraz wyższych tonach. Syreny policyjne. Syreny wozów FBI. Karetek więziennych.

Jane wiedziała, że powinna przerwać to zawodzenie, ale stała bezradna i słuchała rozpaczliwych wołań kobiety o pomoc.

- Jane! - krzyknął Andrew z dołu.

Głos brata wyrwał ją z transu. Próbowwała z powrotem włożyć knebel, ale Maplecroft zaczęła miotać się na łóżku, szarpać więzy wokół nadgarstków i kostek, rzucać głową w przód i w tył. Przepaska zsunęła jej się z oczu. Jednym okiem powiodła po pokoju, aż dostrzegła Jane. Nagle okazało się, że uwolniła jedną rękę, potem nogę. Jane pochyliła się, żeby ją przytrzymać, ale była zbyt wolna.

Maplecroft uderzyła ją w twarz tak mocno, że Jane padła na podłogę jak znokautowany bokser. I dosłownie zobaczyła wszystkie gwiazdy.

- Jane! - krzyknął Andrew. Usłyszała kroki dudniące po schodach.

Maplecroft też je usłyszała. Tak mocno ciągnęła za sznury, aż metalowa rama łóżka przewróciła się na podłogę. Jak szalona próbowała uwolnić drugą rękę z więzów, a związaną nogą szarpała w lewo i prawo, by ją oswobodzić.

Jane próbowała się podnieść. Miała nogi jak z waty. Stopy nie były w stanie znaleźć oparcia. Krew płynęła jej po twarzy, zatykała gardło. Jane zebrała się w sobie i dźwignęła z podłogi. Myślała tylko o jednym: rzucić się na Maplecroft i modlić się w duchu, by wytrzymać do nadejścia posiłków.

Kilka sekund później wsparcie nadeszło.

- Jane! - Drzwi otworzyły się na oścież. Andrew dopadł jej pierwszy. Przyciągnął ją do siebie i objął ramionami.

Maplecroft też stała. Pośrodku pokoju, z pięściami w górze jak bokser, z jedną kostką nadal przywiązaną do łóżka. Ubranie miała podarte, spojrzenie błędne, włosy zmierzwione, posklejane brudem i potem. Wykrzykiwała coś niezrozumiale i przeskakowała z nogi na nogę.

Paula parsknęła śmiechem. Zastawiła sobą drzwi.

- Oduść, suko.

- Wypuście mnie! - wrzasnęła Maplecroft. - Nikomu nie powiem. Nie...

- Ucisż ją - rzucił Nick.

Jane nie wiedziała, o co mu chodzi, póki nie zobaczyła, że Quarter unosi nóż.

- Nie! - krzyknęła, ale wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Ostrze noża błysnęło w słońcu.

Jane stała bez ruchu, obserwując, jak spada.

I wtedy się zatrzymało.

Maplecroft złapała nóż ręką.

Ostrze przeszło przez środek jej dłoni.

Efekt był piorunujący. Wszyscy stanęli jak ogłuszeni granatem hukowym. Nie padło ani jedno słowo. Byli zbyt wstrząśnięci.

Wszyscy prócz Maplecroft.

Doskonale wiedziała, co robi. Kiedy inni stali jak sparaliżowani, ona skrzyła rękę, by z bekhendu trafić Jane nożem.

Nick wyprowadził cios i trafił Maplecroft prosto w twarz.

Krew buchnęła jej z nosa, okręciła się wokół własnej osi, przecinając powietrze ostrzem, które przebiło jej dłoń.

Nick uderzył znowu.

Jane usłyszała donośny trzask łamanego nosa.

Maplecroft zatoczyła się, pociągając ramę łóżka z uwięzioną stopą.

- Nick... - odezwała się błagalnie Jane.

Uderzył trzeci raz.

Głowa odskoczyła do tyłu i Maplecroft zaczęła się osuwać na podłogę, ale unieruchomiona noga pociągnęła ją w bok. Zanim upadła, uderzyła skronią w metalową krawędź łóżka, czemu towarzyszyło przyprawiające o mdłości chrupnięcie. Wokół jej ciała pojawiła się kałuża krwi, powiększająca się z każdą chwilą. Płynęła po drewnianych deskach, wsiąkała w szczeliny między nimi.

Oczy miała szeroko otwarte. Usta też. Ciało leżało nieruchome.

Wpatrywali się w nią tępo. Nikt się nie odzywał, aż...

- Jezu - szepnął Andrew.

- Nie żyje? - zapytała Paula.

Quarter kucnął, by to sprawdzić, ale odskoczył jak oparzony, kiedy Alexandra Maplecroft zamrugwała.

Jane wydała z siebie pojedynczy okrzyk, zanim zdążyła zasłonić usta rękami.

- Chryste - szepnęła Paula.

Spomiędzy nóg Maplecroft wypłynęła uryna. Niemal słyszeli odgłos duszy uchodzącej z ciała.

- Nick, coś ty zrobił? - wyrzuciła z siebie Jane. - Coś ty zrobił?

- Ona... - Nick wyglądał na przestraszonego. Nigdy przedtem tak nie wyglądał. - Nie chciałem...

- Zabiłeś ją! - krzyknęła Jane. - Uderzyłeś ją, ona upadła i...

- To ja - odezwał się Quarter. - To ja dźgnąłem ją nożem.

- Bo Nick ci kazał!

- Ja nie... - Nick urwał. - Powiedziałem, żeby ją uciszył, nie...
- Coś ty zrobił? - Jane czuła, że wściekle potrząsa głową. - Co myśmy zrobili? Co myśmy zrobili? - powtarzała w kółko. Właśnie przekroczyli granicę szaleństwa. Byli chorzy psychicznie. Każde z nich. - Jak mogłeś? Jak mogłeś ją...

- Bronił cię, głupia suko - warknęła Paula, nie mogąc albo nie chcąc ukryć w głosie szyderstwa. - To twoja wina.

- Penny - upomniał ją Andrew.

- Jinx, musisz mi uwierzyć, że... - zaczął Nick.

- Uderzyłeś... zabiłeś... - Jane miała ściśnięte gardło. Wszyscy to widzieli. Nie musiała im tego opisywać. Maplecroft straciła kontrolę nad swoim ciałem po pierwszym ciosie. Nick mógł złapać ją za ramię, ale zamiast tego uderzył jeszcze dwa razy. A teraz jej krew płynęła po podłodze i wsiąkała w szpary między deskami.

- To ty pozwoliłaś jej się uwolnić z więzów - rzuciła napastliwie Paula. - To byłoby tyle w kwestii okupu. Nasze narzędzie nacisku właśnie szcza na własny grób.

Jane podeszła do otwartego okna z tyłu pokoju. Próbowwała zaczerpnąć trochę powietrza. Nie mogła na to patrzeć, nie mogła tu być. Nick przekroczył granicę. Paula go usprawiedliwiała. Andrew się nie odzywał. Quarter był gotów zabić dla niego. Wszyscy postradali zmysły.

- Skarbie - powiedział Nick.

Oparła ręce o parapet. Patrzyła na tył domu po drugiej stronie uliczki, ponieważ nie mogła patrzeć na Nicka. Różowe prześcieradła smutno dyndały na sznurku poruszonym wiatrem. Zapragnęła znaleźć się w domu, w swoim łóżku. Zapragnęła odkręcić Oslo, cofnąć ostatnie dwa lata swojego życia i odejść od Nicka, zanim pociągnął ich w przepaść.

- Jane - odezwał się Andrew łagodnie.

Odwróciła się, ale nie spojrzała na brata. Jej wzrok jakby pod przymusem powędrował ku leżącej na ziemi kobiecie.

- Nie - powiedziała błagalnie. - Tylko mi nie mów, żebym się uspokoiła.

Maplecroft znowu zamrugała.

Jane nie krzyknęła jak za pierwszym razem, ponieważ im dłużej to trwało, tym bardziej normalne się wydawało. Tak Nick ich skaptował. Musztrą, ćwiczeniami i ciągłym kreowaniem stanu paranoi wręcz ich zahipnotyzował, a oni uwierzyli, że to, co robią, jest nie tylko rozsądne, ale konieczne.

Tym razem Paula przerwała milczenie:

- Musimy to zakończyć. - Gdy Jane spojrzała na nią bez słowa, sprecyzowała: - Przyłóż jej poduszkę do twarzy albo zasłoń jej ręką usta i zatkaj nos. Chyba że wolisz wbić jej nóż w serce? Albo utopić w tym wiadrze sików?

Jane poczuła mdłości. Odwróciła się, ale za późno, i zwymiotowała na podłogę. Podparła się rękami o ścianę. Miała ochotę wyc.

Jak mogła sprowadzić dziecko na ten pełen przemocy świat?

- Chryste - powiedziała Paula. - Możesz patrzeć, jak zabijają ci tatusia, a widok baby z rozwaloną głową...

- Penny - upomniał ją Andrew.

- Jinx. - Nick próbował położyć jej rękę na plecach, ale strząsnęła ją z siebie. - Nie chciałem tego. Nie myślałem. Uderzyła cię. I próbowała cię zranić.

- To wątpliwe. - Quarter przycisnął dwa palce do szyi kobiety. - Brak pulsu - zakomunikował.

- Też mi nowina - mruknęła Paula.

- Nieważne - powiedział Andrew. - Co się stało, to się nie odstanie. - On też spoglądał na Jane. - W porządku. To znaczy nie, to oczywiście nie jest w porządku, ale to był wypadek

i musimy się z tym pogodzić. W grę wchodzi dużo ważniejsze sprawy.

- Ma rację. Jest Stanford, Chicago, Nowy Jork - rzucił Quarter.

- Wiecie, że jestem z wami. Nie jestem jak nasza Mała Księżniczka. Powinnaś trzymać się wolontariatu z innymi bogatymi paniusiami. Wiedziałam, że wymiękniesz, kiedy tylko zrobi się gorąco.

Jane w końcu spojrzała na Nicka. Oddychał ciężko. Ciągłe zaciskał pięści. Kłykcie miał otarte do krwi od ciosu w twarz Alexandry Maplecroft.

Kim był ten człowiek?

- Nie mogę... - zaczęła, ale zabrakło jej siły.

- Czego nie możesz? - Nick wytarł rękę w spodnie, rozmazując krew. Plamy wyglądały jak ślady brudnych palców. Na rękawie koszuli też miał krew.

Jane spojrzała na swoje spodnie i zobaczyła czerwone smugi. Bluzka była pokryta czerwonymi kropkami.

- Nie mogę... - Tym razem też nie dokończyła.

- Czego nie możesz? - Nick powtórzył pytanie. - Jinx, powiedz mi. Czego nie możesz zrobić?

Nie mogę tego zrobić, pomyślała. Nie mogę uczestniczyć w tym planie, krzywdzić kolejnych ludzi, żyć z tajemnicami, z poczuciem winy, dać życie twojemu dziecku, ponieważ nigdy nie będę mogła mu powiedzieć, że ty jesteś jego ojcem.

- Jinxie? - Nick otrząsnął się z szoku i posłał jej swój krzywy półuśmiech. Otoczył ją ramionami. Przycisnął wargi do jej czoła.

Chciała stawić mu opór. Nakazała to sobie. A jednak nie dała rady. Jej ciało przysunęło się do niego, a dusza poszukała ukojenia w ciepłe jego objęć.

Jo-jo wraca samo z siebie.

- Chodźmy na dół i... - zaczął Andrew.

Nagle Quarter wydał z siebie tłumiony okrzyk. Wyrzucił ramiona w górę. Jego ciało drgnęło gwałtownie, z piersi buchnęła krew.

Ułamek sekundy później Jane usłyszała huk wystrzału i brzęk tłuczonej szyby.

Leżała już na ziemi, kiedy pojęła, co się dzieje.

Ktoś do nich strzelał.

Widziała czerwone punkciki z lunet celowniczych wędrujące po ścianach jak w filmie akcji. Policja ich znalazła. Namierzyli porsche Jaspera, ktoś z sąsiedztwa złożył doniesienie albo śledzili ją i Andrew. W tej chwili nie miało to znaczenia, ponieważ Quarter nie żył. Maplecroft nie żyła. Wszyscy mieli umrzeć w tym koszmarnym pokoju z wiadrem odchodów i rzygowinami Jane na podłodze.

Kolejna kula rozbiła resztkę szyby w oknie. Następna ze świstem przemknęła przez pokój. I następna. Nagle znaleźli się w samym centrum ostrzału.

- Chodu! - wrzasnął Nick, blokując materacem frontowe okno. - Ruchy, ruchy, kompania! Szybko!

Ćwiczyli na tę okoliczność. Wtedy to wydawało się niedorzeczne, ale Nick do upadłego trenował z nimi taki scenariusz.

Andrew rzucił się skulony ku otwartym drzwiom u góry schodów. Paula na czworaka ruszyła w stronę tylnego okna. Jane zrobiła to samo, ale nagle kula świsnęła jej tuż przy głowie i przywarła całym ciałem do ziemi. Wazon z kwiatami roztrzaskał się w drobny mak. Kule poprzebijały cienkie ściany. Przez dziury wpadały do środka promienie słońca, tworząc dyskotekowy efekt.

- Tutaj! - Paula była już w oknie.

Jane znowu zaczęła się czołgać, ale znieruchomiła i krzyknęła, gdy ciało Quartera podskoczyło. Strzelali do niego. Słyszała mdlący dźwięk kul wchodzących w zwłoki. Głowa Maplecroft pękła. Krew z niej bryzgnęła, kości, mózg, tkanka.

Z dołu dobiegł dźwięk eksplozji. Oddział wysadził drzwi wejściowe.

- FBI! FBI! - krzyczeli agenci jeden przez drugiego, za każdym razem coraz głośniej. Jane słyszała ich buciory tupiące o podłogę na dole, pięści walące w ścianę w poszukiwaniu tajnego przejścia na schody.

- Nie czekaj na mnie! - Andrew już zamknął drzwi. Jane patrzyła, jak brat dźwiga ciężki drąg pasujący do skobli po obu stronach ościeżnicy.

- Jane, szybko! - krzyknął Nick. Pomagał Pauli manewrować rozsuwaną drabiną. Jedna osoba nie dałaby sobie z nią rady. Przekonali się o tym podczas treningów. Dwie osoby do drabiny. Jedna blokuje drzwi. Materac w oknie.

„Pochyl się i biegnij, szybko, bez zatrzymywania”.

Paula była w oknie pierwsza. Rozchwiana drabina wydawała metaliczny szczęk, gdy Paula na czworaka przechodziła po niej do domu po drugiej stronie zaułka. Oba okna dzieliło cztery i pół metra. Na ziemi leżała sterta gnijących śmieci, wśród nich igły i potłuczone szkło. Nikt z własnej woli nie chciałby się tam znaleźć. Chyba że drabina by pękła, a oni runęliby sześć metrów w dół.

- Ruchy, ruchy! - krzyknął Nick. Walenie na dole stawało się coraz głośniejsze. Agenci nadal szukali schodów. Drewno zaczęło pękać, gdy kolbami tłukli w ściany.

- Kurwa! - wrzasnął któryś z nich. - Dawajcie młot!

Jane weszła na drabinę jako druga. Dłonie miała śliskie od

potu. Zimne metalowe szczeble wbijały jej się w kolana. Drabina drżała od uderzeń młota w ściany na dole.

- Szybciej! - Paula cały czas spoglądała w dół. Jane zaryzykowała zerknięcie i zobaczyła trzech agentów FBI w niebieskich kurtkach przy stercie, usiłujących odnaleźć drogę do środka.

Rozległ się strzał. To Nick osłaniał Andrew przechodzącego po drabinie. Był wolniejszy od reszty. Cały czas ścisnął pod pachą metalowe pudełko, więc mógł używać tylko jednej ręki. Jane nawet nie pamiętała, że miał pudełko na górze.

- Ścierwa! - wrzasnęła Paula, wygrażając pięścią agentom. Krwawa jatka wywołała u niej chorą ekscytację. - Faszystowskie pieprzone gliniarskie cipy!

Andrew omsknął się na drabinie. Jane wydała z siebie zduszony okrzyk. Słyszała przekleństwo brata. Omal nie upuścił pudełka.

- Proszę - szepnęła błagalnie.

Zapomnij o pudełku. Zapomnij o planie. Wyciągnij nas stąd. Spraw, żebyśmy odzyskali rozum.

- Nickel! - wrzasnęła Paula. - Rzuć mi to!

Chodziło jej o broń. Nick rzucił rewolwer w okno na drugą stronę drabiny. Paula złapała go w chwili, gdy Andrew schodził z drabiny.

Jane objęła go, zanim dotknął stopami podłogi.

- Ścierwa! - Paula zaczęła strzelać do agentów. Miała zamknięte oczy i otwarte usta. Wrzeszczała jak szalona, ponieważ była szalona. Wszyscy byli obłąkani. Gdyby dzisiaj zginęli, w pełni zasłużyliby na ten los.

- Złap mnie za rękę! - Andrew pociągnął Nicka, pomagając mu pokonać ostatni fragment drabiny, i upadli na podłogę.

Jane stała w oknie. Spojrzała na szopę. Agenci znaleźli

schody. Snajperzy przestali strzelać. Naprzeciw niej stał w oknie agent, starszy mężczyzna ulepiony z tej samej gliny co Danberry i Barlow.

Podniósł broń i wycelował ją w pierś Jane.

- Idiotka! - Paula pociągnęła Jane ku ziemi w tej samej chwili, w której agent strzelił, i zepchnęła drabinę z parapetu.

Usłyszeli, jak metal uderza o ścianę domu, a potem spada ze stukotem na ziemię.

- Tędy! - Andrew przejął dowodzenie, pochylając się jak najniżej, gdy przebiegał przez pokój. Kiedy znaleźli się na parterze, usłyszeli zajeżdżające na ulicę samochody. Nie przejęli się tym, ponieważ nigdy nie mieli w planach ucieczki frontowymi drzwiami.

Andrew przejechał palcami po ścianie. Odnalazł kolejny sekretny przycisk i odsłonił kolejny sekretny panel, za którym kryły się schody do piwnicy.

Dlatego Nick po wielomiesięcznych poszukiwaniach wybrał dwupoziomową szopę. Oznajmił im, że potrzebują bezpiecznej kryjówki do przetrzymywania Alexandry Maplecroft, a jednocześnie bezpiecznej drogi ucieczki. W Mission było niewiele piwnic, przynajmniej takich, o których wiedziało miasto. Poziom wód gruntowych był zbyt wysoki, piasek zbyt wilgotny. Niska piwnica pod wiktoriańskim domem była jedną z wielu pozostałości po miejskim arsenale. Żołnierze kryli się w lochach podczas oblężenia Mission. Nick znał te przejścia z czasów swojej bezdomności. Pod domem biegł tunel łączący go z magazynem na sąsiedniej ulicy.

Nick zasunął panel za nimi. Jane poczuła chłód. Tutaj temperatura była zdecydowanie niższa niż na powierzchni. U dołu schodów Andrew próbował przesunąć biblioteczkę zasłaniającą wejście do tunelu.

Nick musiał mu pomóc. Biblioteczka drgnęła i przesunęła się po betonie. Jane dostrzegła ślady na podłodze i modliła się w duchu, żeby agenci FBI ich nie zobaczyli, póki nie będzie za późno.

Paula wcisnęła latarkę do ręki Jane i pchnęła ją w stronę wejścia do tunelu. Nick z Andrew pociągnęli linę, dzięki której biblioteczka wróciła na swoje miejsce. Plan zakładał, że to Quarter pociągnie linę. To on był w grupie złotą rączką i umiał pomysły Nicka przekuć w faktycznie działające rozwiązania.

A teraz nie żył.

Jane włączyła latarkę, zanim pogrążyli się w kompletnych ciemnościach po przesunięciu biblioteczki. Jej zadaniem było poprowadzenie grupy tunelem. Nick kazał jej powtarzać tę drogę dziesiątki razy, czasem z działającą latarką, czasem bez. Nie była tu od trzech miesięcy, ale nadal pamiętała wszystkie nierówności, o które można było zaczepić butem, potknąć się i upaść, łamiąc sobie kości.

Czego doświadczyła Alexandra Maplecroft.

- Przestań się guzdrać - syknęła Paula i pchnęła Jane w plecy. - Szybciej.

Jane potknęła się o kamień, o którego istnieniu wiedziała. Ćwiczebne przejścia tunelem straciły znaczenie, bo adrenaliny nie można sztucznie wykreować. Im głębiej wchodzili, tym bardziej klaustrofobicznie się czuła. Smuga światła była zbyt wąska. Jane miała wrażenie, że ciemność ją pochłania. Czuła wzbierający w gardle krzyk. Woda z Mission Creek kapiała z każdej szczeliny, chlupała pod nogami. Tunel miał około piętnastu metrów. Jane oparła rękę o ścianę, by się uspokoić. Serce wyskakiwało jej z piersi. Znowu zebrało jej się na wymioty, ale nie odważyła się zatrzymać. Poza zasięgiem objęć Nicka, z dala od jego kojącego wpływu, dręczyło ją to samo

pytanie:

Co my wyprawiamy, do jasnej cholery?!

- Rusz się. - Paula czuwała i znowu pchnęła ją w plecy. - Szybko.

Jane przyśpieszyła kroku. Wyciągnęła przed siebie rękę. Wiedziała, że są już blisko. W końcu w świetle latarki pojawił się drewniany tył drugiego regału. Nie prosiła o pomoc. Przesunęła regał na tyle, by mogli się przecisnąć.

Zamrugali oślepieni nagłym światłem. W ścianach pod sufitem piwnicy znajdowały się okna. Jane widziała stopy przechodzących ludzi. Wbiegła po schodach, jakby włączył jej się wewnętrzny autopilot. Skręciła w prawo, ponieważ ten manewr wyćwiczyła. Około trzydziestu metrów dalej automatycznie skręciła w lewo. Otworzyła drzwi, przeszła przez wyłom w murze i znalazła furgonetkę zaparkowaną przy stanowisku załadunkowym. W powietrzu unosiła się woń czarnego pieprzu, wspomnienie po poprzednim życiu budynku, kiedy służył jako skład przypraw.

Paula wyprzedziła Jane. Pierwsza osoba, która dopadła furgonetki, miała prowadzić. Jane jako druga otworzyła boczne drzwi. Nick ruszył ku drzwiom magazynu. Były zamknięte na zamek szyfrowy.

Osiem - cztery - dziewiętnaście.

Wszyscy znali tę kombinację.

Andrew wrzucił metalowe pudełko do vana. Próbował wsiąść, ale zatoczył się do tyłu. Jane złapała go za ramię i wciągnęła do środka. Nick podniósł drzwi. Puścił się pędem do furgonetki. Jane zasunęła za nim drzwi.

Paula wyjechała z magazynu. Zdążyła związać włosy i włożyć na głowę brązowy kapelusz. Brązowa bluza zasłaniała górę jej luźnej sukienki. Jaskrawe słońce wdzierало się do środka przez

przednią szybę. Jane zacisnęła powieki. Łzy wypływały jej z kącików oczu. Leżała na plecach między Nickiem i Andrew. Mimo materaca rzuconego na podłogę furgonetki, każdy wybój na drodze czuła w kościach. W ciągu paru sekund znaleźli się w Mission. Kiedy wjechali głębiej w miasto, minęły ich wozy policyjne na sygnale.

- Spokojnie - szepnął Nick. Trzymał Jane za rękę. Jane trzymała Andrew. Nie pamiętała, jak to się stało, ale z radości, że żyje i jest bezpieczna, nie mogła powstrzymać łkania.

Leżeli na plecach, przywarci do siebie, póki Paula nie zakomunikowała, że wjechali na drogę 101.

- Do Chicago mamy trzydzieści godzin jazdy. - Musiała przekrzykiwać hałas dobiegający z drogi, który w środku furgonetki brzmiał jak wiertło dentystyczne. - Zatrzymamy się w Idaho Falls. Damy znać, że jesteśmy w drodze do kryjówki.

Kryjówka.

Farma pod Chicago z czerwoną stodołą, krowami i końmi? Jakie to miało znaczenie, skoro już nigdy nie będą bezpieczni?

- Zmienimy się za kierownicą w Sacramento, kiedy odwieziemy Nicka na lotnisko. Będziemy przestrzegać ograniczeń prędkości. Przestrzegać wszystkich przepisów. Nie możemy zwracać na siebie uwagi. - Naśladowała Nicka wydającego instrukcje. Wszyscy go naśladowali, ponieważ zawsze twierdził, że wie, co robi, nawet jeśli wszystko wymykało się spod kontroli.

To było szaleństwo. Kompletne szaleństwo.

- Jezu Chryste, niewiele brakowało. - Nick usiadł i wyciągnął ręce w górę. Posłał Jane jeden ze swoich zawadiackich uśmiezków. On też miał ten w wewnętrzny przełącznik jak Laura Juneau, kiedy zabiła Martina, a potem siebie. Jane widziała to teraz wyraźnie. Dla Nicka wszystko, co zdarzyło się

w szopie, było już za nim.

Nie mogła na niego patrzeć. Przyglądała się Andrew, który wciąż leżał przy niej. Był blady, na policzkach miał strużki krwi. Nie potrafiła określić jej źródła. Na myśl o szopie widziała tylko śmierć, jatkę i kule latające w powietrzu.

Andrew zakaszał, przytykając usta w zgięcie łokcia. Jane dotknęła jego twarzy. Miał skórę szorstką jak wata cukrowa.

- Treningi się przydały, co? - rzucił Nick. Twarz miał poplamioną krwią jak Andrew. Włosy zasłoniły mu lewe oko. Wyglądał na radośnie podnieconego, jakby wszystko było w doskonałym porządku. - Wyobrażacie sobie przejście po tej drabinie pierwszy raz bez ćwiczeń...

Jane usiadła. Powinna przysunąć się do Nicka, ale oparła się plecami o wybrzuszenie nad oponą. Czy zdoła zadzwonić do Jaspera? Znaleźć telefon, błagać o pomoc, a potem czekać, aż starszy brat przybędzie i wszystkich ocali? Jak mogła przyznać mu się, że ma swój udział w zamordowaniu ojca? Jak mogła spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że wszystko, co do tej pory zrobili, nie jest formą zbiorowego obłędu?

Sekta.

- Jinx? - odezwał się Nick.

Potrząsnęła głową, ale nie w stronę Nicka. Nawet Jasper nie zdoła jej teraz ocalić. A jak odpłaciłaby mu się, gdyby próbował, skoro brała udział w spisku, który miał na celu posłanie go do więzienia za defraudację środków na opiekę zdrowotną?

Nick na czworakach przysunął się do skrzynki, którą Quarter przyśrubował do podłogi auta, i wprowadził kombinację cyfr:

Sześć - dwanaście - trzydzieści dwa.

Wszyscy znali ten kod.

Jane patrzyła, jak podnosi pokrywę. Wyjął koc i termos

z wodą. Też stanowiły część planu. Do tego kabanosy, nieduża lodówka turystyczna, zapasy awaryjne i schowane pod fałszywym dnem dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce.

Nick nalał trochę wody do nakrętki termosu. Z tylnej kieszeni wyjął chusteczkę i obmył sobie twarz, potem pochylił się nad Andrew i zaczął wycierać mu policzki, aż stały się rumiane.

Jane obserwowała, jak jej kochanek zmywa krew z twarzy jej brata.

Czyją? Maplecroft? Quartera?

- Nawet nie znamy jego prawdziwego imienia - zauważyła, a gdy spojrzeli na nią, dodała: - Quarter. Nie wiemy, jak się nazywa, gdzie mieszka, kim są jego rodzice, a teraz on nie żyje. Patrzyliśmy na jego śmierć, a teraz nawet nie wiemy, kogo powiadomić.

- Nazywał się Leonard Brandt - odparł Nick. - Mieszkał sam przy Van Duff Street numer dwanaście trzydzieści dziewięć. Pracował jako cieśla w Marin. Oczywiście, że wiem, kim jest. Znam wszystkich zaangażowanych w naszą sprawę, ponieważ odpowiadam za ich życie. Ponieważ zrobię wszystko, byle was chronić.

Jane nie potrafiła ocenić, czy Nick kłamie, czy nie. Patrzyła na niego przez łyży, które zamazywały obraz jego twarzy.

Nick zakręcił termos.

- Nie wyglądasz dobrze, stary - zwrócił się do Andrew.

Andrew próbował stłumić kaszel.

- Nie czuję się dobrze.

Nick złapał go za ramiona. Andrew złapał Nicka. Wyglądali jak futboliści podczas wznowienia gry.

- Posłuchaj, było ciężko, ale wracamy do gry. Odpoczniecie w kryjówce, ty i Jane. Wrócę z Nowego Jorku najszybciej, jak

będę mógł, a potem razem będziemy patrzeć, jak świat się wali. Tak?

- Tak - Andrew skinął nieznacznie głową.

Jezu.

Nick poklepał go po policzku, potem przesunął się ku Jane, ponieważ teraz była jej kolej na wysłuchanie podnoszącej na duchu przemowy.

- Kochanie. - Objął ją w pasie i ustami musnął jej ucho. - Już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Łzy zalały jej twarz.

- Mogliśmy zginąć. Wszyscy mogliśmy...

- Biedactwo. - Nick przycisnął usta do czubka jej głowy. - Nie wierzysz mi, kiedy mówię, że nic nam nie będzie?

Jane otworzyła usta. Próbowwała wciągnąć powietrze w rozedrgane płuca. Rozpaczliwie pragnęła wierzyć Nickowi. Powtarzała sobie, że w tej chwili liczy się tylko jedno: Nick jest bezpieczny. Andrew jest bezpieczny. Dziecko jest bezpieczne. Drabina ich ocaliła. Tunel ich ocalił. Furgonetka ich ocaliła.

Nick ich ocalił.

Naciskał, żeby trenowała podczas pobytu w Berlinie. Z dala od tego wszystkiego Jane uważała, że to niedorzeczne powtarzać sekwencję tych samych ruchów codziennie rano, wyrzucać na przemian ręce, markować ciosy zaciśniętymi pięściami, jakby szykowałą się na wojnę. To, co najbardziej ją nakręcało w San Francisco, to przyjemna szansa na skopanie Pauli tyłka za każdym razem, gdy odbywały walkę sparingową. Bez Pauli i bez Nicka w pobliżu Jane traciła determinację, traciła z oczu plan i oddalała się psychicznie od Nicka.

- Co porabiałaś, skarbie? - pytał zniekształconym przez odległość i międzynarodową linię telefoniczną głosem.

- Nic takiego - kłamała. - Tak bardzo za tobą tęsknię, że

ciągle jestem smutna i skreślałam dni w kalendarzu.

Tęskniła tylko za częścią Nicka. Tą czarującą, czułą, zadowoloną z niej. Tą, która uparcie, z niemal hedonistyczną satysfakcją, dążyła ku punktowi krytycznemu.

Dopiero w bezpiecznym oddaleniu w Berlinie Jane uświadomiła sobie, że odkąd pamięta, nosi w brzuchu kulę strachu. Przez lata wmawiała sobie, że nadwrażliwość i neurotyczność to zmora odnoszących sukcesy solistów. Tak naprawdę to, co kazało jej stąpać ostrożnie, cenzurować własne słowa i dostosowywać się do innych, to była silnie zaznaczona obecność dwóch mężczyzn w jej życiu. Czasem Martin budził w niej strach. Czasem robił to Nick. Słowami. Groźbami. Rękami. A nawet pięściami.

W Berlinie po raz pierwszy w życiu doświadczyła życia bez strachu.

Chodziła do klubów. Tańczyła z nawalonymi tyczkowatymi Niemcami z tatuażami na rękach. Chodziła na koncerty, wernisaże i tajne spotkania polityczne. Przesiadywała w kawiarniach, spierając się o Camusa, paląc papierosy marki Gauloises i dyskutując o tragizmie kondycji ludzkiej. W oddaleniu przez krótkie momenty widziała, jak powinno wyglądać jej życie. Była światowej klasy pianistką. Przez dwie dekady ciężko pracowała na pozycję, w której się znalazła, a mimo to...

Nigdy nie była dzieckiem. Nigdy nie była nastolatką. Nigdy nie była dwudziestoparoletnią kobietą. Nigdy nie była sama. Należała do ojca, potem do Pechenikova, a w końcu do Nicka.

W Berlinie nie należała do nikogo.

- Hej! - Nick pstryknął jej palcami przed nosem. - Wracaj do nas, kochanie.

Do Jane dotarło, że wszyscy rozmawiają bez jej udziału.

- Zastanawialiśmy się, kiedy ujawnić dokumenty dotyczące Jaspera. Po Chicago? Po Nowym Jorku? - powiedział Nick.

Jane pokręciła głową.

- Nie możemy tego zrobić. Proszę. Już tylu ludzi ucierpiało - zwróciła się do Nicka.

- Jane - odezwał się Andrew - nie robimy tego dla zabawy. Ludzie cierpieli, stracili życie z tego powodu. Nie możemy się wycofać, bo stchórzyliśmy. Nie teraz, kiedy ludzie przyjęli kulę za nas.

- I to dosłownie - dodał Nick, jakby Jane potrzebowała tego przypomnienia. - Dwoje ludzi. Dwie kule. Laura i Quarter wierzyli w to, co robimy. Jak moglibyśmy ich teraz zawieść?

- Nie mogę - powiedziała. Nie miała już nic do dodania. Po prostu dłużej nie mogła tego znieść.

- Jesteś wykończona, kochanie. - Nick mocniej ścisnął ją w pasie, a jednak nie powiedział tego, co chciała usłyszeć: że skończą z tym, że zniszczą dokumenty kompromitujące Jaspera, że jakoś dotrą do Szwajcarii i spróbują naprawić krzywdy, które wyrządzili. - Będziemy spali na zmianę - zarządził, po czym podniósł głos, żeby Paula go usłyszała: - Polecę do Nowego Jorku z Chicago. Zrobiło się za gorąco, żebym leciał z Sacramento. Paulo, zostaniesz ze swoją grupą i dopilnujesz, żeby byli gotowi na Chicago. Skoordinujemy czas po dotarciu do kryjówki.

Jane czekała na potaknięcie Pauli, ale ona - nietypowo dla siebie - milczała.

- Jinx, dobrze się czujesz? - zapytał Andrew.

Jane skinęła głową, ale brat wiedział, że kłamie.

- Nic mi nie jest - zapewniła go, nie mogąc opanować drżenia głosu.

Nick zwrócił się do Andrew:

- Siądź obok Penny. Pilnuj, żeby nie zasnęła. Jane i ja prześpiemy się teraz, a potem was zmienimy.

Jane chciała zasugerować, że Andrew pierwszy powinien się przespać, ale nie miała siły. Poza tym brat już dźwigał się na kolana.

Patrzyła, jak przesuwa się na przód furgonetki i siada obok Pauli. Usłyszała jego jęk, gdy wyciągnął rękę w stronę radia. Głos stacji informacyjnej był ściszony. Powinni słuchać wiadomości, żeby być na bieżąco, ale Andrew kręcił gałką, póki nie znalazł stacji ze starymi przebojami.

Jane odwróciła się do Nicka i powiedziała:

- On potrzebuje lekarza.
- Mamy większe problemy niż to.

Jane doskonale wiedziała, o jakim problemie mówi Nick. Wcale nie chodziło mu o to, że sprawy nie poszły po jego myśli. Nick wiedział, że Jane w niego zwątpiła.

- Mówiłem ci, że z Maplecroft to był wypadek. - Zniżył głos, by tylko Jane mogła go słyszeć. - Oszalałem na widok tego, co zrobiła z twoją piękną buzią.

Jane dotknęła nosa. Ból był przeszywający. Tyle się wydarzyło od tego momentu, że całkiem zapomniała o ciosie, który zainkasowała od Maplecroft.

- Powinienem ją złapać albo zareagować inaczej. Nie wiem, co mi się stało, kochanie. Po prostu byłem wściekły. Ale nie straciłem panowania nad sobą. Nie całkowicie. Nie pozwolę, żeby to się znowu powtórzyło. Obiecuję.

Znowu.

Jane starała się nie myśleć o rosnącym w niej dziecku.

- Skarbie, powiedz mi, że jest dobrze. Że z nami wszystko dobrze. Powiedz, proszę - naciskał Nick.

Niechętnie skinęła głową. Nie miała siły udowodniać, że jest

inaczej.

- Mój skarbie. - Nick pocałował ją w usta z zaskakującą namiętnością.

Nie potrafiła wykrzesać z siebie choćby odrobiny pożądania, gdy zetknęli się językami, mimo to oplótła go ramionami, ponieważ rozpaczliwie pragnęła poczuć się normalnie. Nie kochali się w Oslo, mimo trzymiesięcznej rozłąki. Byli zbyt niespokojni, potem zdarzyła się strzelanina, a oni bali się powiedzieć albo zrobić coś nie tak, a po powrocie do San Francisco zostawił ją samą aż do dzisiejszego ranka. Wtedy też go nie pragnęła, ale tęskniła za tym, co stałoby się po. Chciała leżeć w jego objęciach. Przycisnąć ucho do jego piersi i wsłuchać się w regularne bicie jego serca. Powiedzieć mu o dziecku. Zobaczyć szczęście na jego twarzy.

Za pierwszym razem nie był szczęśliwy.

- Chodź, skarbie. - Nick pocałował ją w czoło jak siostrę. - Prześpijmy się trochę.

Jane dała mu się położyć z powrotem na materacu. Przysunął wargi do jej ucha, ale tylko po to, by je musnąć. Przywarł do niej całym ciałem. Oplótł ją nogami, objął ciasno. Zagięcie jego łokcia miało jej posłużyć za poduszkę, ale zamiast jak zwykle odczuć spokój, miała wrażenie, jakby schwytała ją i unieruchomiła potężna ośmiornica.

Wpatrywała się w sufit furgonetki. Nie myślała o niczym. Była zbyt wyczerpana. Ciało miała odrętwiałe, ale inaczej niż poprzednio. Nie zginęła od kuli, nie rozpamiętywała rozmowy z Danberrym, nie opłakiwała Martina ani nie martwiła się, że zostaną złapani. Spoglądała w przyszłość i czuła, że nigdy się z tego nie wygrzebie. Nawet gdyby plan Nicka zadziałał w każdym szczególe, nawet gdyby zdołali uciec do Szwajcarii, na zawsze pozostanie w tym kołowrotku.

Oddech Nicka spowolnił. Czuła, jak jego ciało się rozluźnia. Zapragnęła wydostać się z jego uścisku, ale nie miała tyle siły. Powieki zaczęły jej ciążyć. Czuła każde uderzenie serca. Powoli morzył ją sen.

Wydawało jej się, że spała tylko chwilę, gdy obudzili się z Nickiem, kiedy Paula stanęła na stacji benzynowej po przekroczeniu granicy stanu Newada.

Byli jedynymi klientami. Pracownik stacji nawet nie oderwał wzroku od telewizora, gdy wszyscy wysiedli z furgonetki.

- Przekąski? - zapytała Paula, a gdy nikt nie odpowiedział, sprężystym krokiem pomaszerowała do sklepiku z rękami w kieszeniach brązowej kurtki.

Andrew zajął się obsługą dystrybutora. Zamknął oczy i oparł się o bok furgonetki, gdy do baku zaczęło płynąć paliwo.

Nick nie odzywał się do nikogo. Nie klasnął w dłonie i nie próbował mobilizować swojej kompanii. Odszedł kilka metrów od nich. Trzymał ręce w tylnych kieszeniach spodni. Wpatrywał się w drogę. Jane zobaczyła, jak spogląda w niebo, potem w stronę zbrązowiałego horyzontu.

Wszyscy byli przygaszeni. Jane nie umiała powiedzieć, czy z powodu wstrząsu psychicznego, czy kompletnego wyczerpania. Choć milczeli, w powietrzu czuło się ich wewnętrzne przekonanie, że dotarli do punktu, z którego nie ma odwrotu. Euforia, którą przeżywali, planując ucieczkę przed wymiarem sprawiedliwości jak gangsterzy w filmie z Jamesem Cagneyem, uleciała w zderzeniu z rzeczywistością.

Nick był jedynym, który mógł ich wyciągnąć z tego stanu apatii. Widziała to wiele razy. Kiedy wchodził do pokoju, wszystko od razu stawało się lepsze. Była tego świadkiem dziś rano w szopie. Andrew i ona kłócili się z Paulą, która miała ochotę rozerwać ich wszystkich na strzępy, a Nick umiał na

powrót stworzyć z nich spójną grupę. Każdy liczył na jego siłę i przekonanie o słuszności celu.

Na jego charyzmę.

Nick odwrócił się w ich stronę. Omiótł wzrokiem Jane, idąc do łazienek z boku budynku stacji. Był przygarbiony. Szurał nogami po asfalcie. Serce jej pękało na ten widok. Widziała go w takim stanie zaledwie kilka razy w ciągu tych lat. Pograżony w depresji, ledwie był wtedy w stanie unieść głowę.

To była jej wina.

Zwątpiła w niego, a tej zdrady Nick nie potrafił znieść. Był człowiekiem, nie wszechwidyjącym bogiem. Tak, to, co zaszło w szopie, było potworne, ale oni nadal żyli. Dzięki Nickowi. To on wymyślił system szkolenia i opracował plan ucieczki. Naciskał na nich, by trenowali do upadłego. Dbał o ich bezpieczeństwo. Nie dopuszczał, by upadali na duchu. Motywował. Nikt inny nie mógłby tego dokonać.

I nikt nie zastanawiał się, ile go kosztuje dźwiganie tak wielkiego brzemienia odpowiedzialności. Nikt, a zwłaszcza Jane.

Poszła za Nickiem do męskiej toalety. Nie zastanawiała się, co zastanie po otwarciu drzwi, ale na widok Nicka zrobiło jej się słabo.

Stał oparty rękami o umywalkę. Miał opuszczoną głowę. Kiedy spojrzał na Jane, zobaczyła na jego policzkach strumienie łez.

- Za chwilę wyjdę. - Odwrócił się i wyciągnął z pojemnika kilka papierowych ręczników. - Mogłabyś pomóc Penny w...

Jane otoczyła go ramionami. Wtuliła twarz w jego plecy.

Zaśmiał się, ale z siebie.

- Wygląda, jakbym się załamał.

Jane ścisnęła go najmocniej, jak umiała.

Jego klatka piersiowa uniosła się mocno, gdy spazmatycznie chwycił powietrze w płuca. Nakrył jej dłonie swoimi. Przeniósł ciężar ciała, opierając się o nią. Jane podtrzymała go, ponieważ to robiła najlepiej.

- Kocham cię - powiedziała, całując go w kark.

Źle odczytał jej intencje.

- Obawiam się, że nie mam nastroju na zabawę, kochana, ale wiele dla mnie znaczy, że ty to proponujesz.

Kochała go jeszcze bardziej za to, że stara się mówić jak stary, pewny siebie Nick. Gestem dała mu znak, żeby się odwrócił. Oparła mu ręce na ramionach, jak on zawsze robił to z innymi. Przysunęła usta do jego ucha, jak robił to on. Wypowiedziała słowa, które znaczyły dla niego wiele, nie „kocham cię”, lecz...

- Jestem z tobą.

Nick zamrugał, potem zaśmiał się, zawstydzony tym nagłym wybuchem emocji.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Pocałowała go w usta. W niewytłumaczalny sposób wszystko znowu wydawało się dobre i właściwe. Uścisk ramion Nicka. Jego serce bijące przy jej sercu. Nawet przebywanie w brudnej męskiej toalecie.

- Mój kochany - powtarzała raz po raz. - Jesteś moją jedyną miłością.

Po powrocie do furgonetki Andrew szybko zasnął na miejscu dla pasażera. Paula była zbyt podminowana, żeby zająć się czymś innym niż prowadzenie samochodu. Nick pomógł Jane wsiąść na tył furgonetki. Zrobił to samo co przedtem: oplótł ją ramionami i nogami, gdy położyli się na materacu. Tym razem Jane wtuliła się w niego plecami. Zamiast zamknąć oczy i zasnąć, zaczęła mówić. Najpierw o prozaicznych sprawach, na

przykład o radości z pierwszego udanego występu czy ekscytacji z powodu owacji na stojąco. To nie były przechwałki z jej strony. Po prostu chciała dać Nickowi kontekst, ponieważ nic nie mogło równać się z euforią, jakiej doświadczyła podczas ich pierwszego pocałunku, pierwszego razu czy w chwili, gdy uświadomiła sobie, że Nick należy do niej.

Ponieważ Nick należał do niej tak samo jak ona należała do niego.

Opowiedziała mu, jak serce niemal wyskoczyło jej z piersi, kiedy pierwszy raz zobaczyła go, jak rozrabiał z Andrew w holu domu. Jak wprowadził ją w szampański nastrój, gdy wślizgnął się do kuchni, pocałował ją i wymknął się niczym złodziej. Potem wyznała mu, jak bardzo tęskniła za nim w Berlinie. Jak jej brakowało smaku jego warg. Jak nic nie było w stanie ukoić jej tęsknoty za jego dotykiem.

Potem przejechali przez Wyoming, Nebraskę, Iowa, by w końcu dotrzeć do Illinois.

Z ponad dwudziestu ośmiu godzin, jakie dzieliło ich od przedmieść Chicago, Jane większość spędziła, mówiąc Nickowi o sile swojej miłości.

Była jo-jo. Była Patricią Hearst. Wypiła zatrutą lemoniadę. Wsłuchiwała się w polecenia wydawane przez psa sąsiada.

Nie dbała o to, czy jest w sekcie i czy Nick jest Donaldem DeFreeze. Szczerze mówiąc, plan przestał ją obchodzić. Jej rola już się zakończyła. W tej chwili członkowie innych komórek organizacji znaleźli się na pierwszej linii. Oczywiście nadal oburzały ją potworności, jakich dopuścili się jej ojciec i starszy brat. Bolała nad losem Laury i Roberta Juneau. Źle się czuła na wspomnienie śmierci Quartera i Alexandry Maplecroft. Ale nie musiała wierzyć w to, co robili i dlaczego.

Musiała tylko mieć wiarę w Nicka.

- Tutaj skręć w lewo - powiedziała Paula do Jane. Klęczała za siedzeniem kierowcy. Położyła jej rękę na ramieniu, co wzbudziło czujność Jane, ponieważ Paula dotykała innych tylko po to, by zadać ból. - Szukaj podjazdu po prawej. Jest ukryty za drzewami.

Jane zobaczyła podjazd kilka metrów dalej. Włączyła kierunkowskaz, chociaż ich furgonetka była jedynym pojazdem na przestrzeni kilometrów.

Paula uderzyła ją pięścią w ramię.

- Głupia suka.

Jane nasłuchiwała, jak Paula wraca na tył furgonetki. Była w lepszym nastroju, ponieważ Nickowi poprawił się nastrój. To samo stało się z Andrew. Efekt był magiczny. Na widok szerokiego uśmiechu Nicka zniknęły wątpliwości i niepokój.

A wszystko dzięki niej.

- Jinx? - Andrew poruszył się na siedzeniu pasażera, gdy koła podskoczyły na żwirowym podejździe.

- Jesteśmy na miejscu. - Jane odetchnęła z ulgą, gdy minęli kępę drzew. Farma wyglądała dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażała na podstawie szyfrowanych listów Andrew. Krowy na pastwisku. Wielka czerwona stodoła górowała nad uroczym jednopiętrowym domem pomalowanym na pasujący do stodoły kolor. W ogródku rosły margerytki. Niewielki trawnik był starannie przystrzyżony. Wszystko otaczał biały płotek. W takim szczęśliwym miejscu można wychować dziecko.

Położyła rękę na brzuchu.

- W porządku? - zapytał Andrew.

Spojrzała na brata. Sen nie przyniósł poprawy. Trudno w to uwierzyć, ale wyglądał jeszcze gorzej niż przedtem.

- Powinam się martwić? - zapytała.

- Absolutnie nie. - Posłał jej nieprzekonujący uśmiech. -

Tutaj odpoczniemy. Będziemy bezpieczni.

- Wiem - odparła, chociaż wiedziała, że bezpiecznie poczuje się, dopiero gdy Nick wróci do Nowego Jorku.

Koło furgonetki wpadło w koleinę na podejździe. Skrzywiła się, gdy gałęzie uderzyły w bok auta. Niewiele brakowało, a wygłosiłaby modlitwę dziękczynną, gdy w końcu zaparkowała obok dwóch innych aut przed stodołą.

- Cześć, Chicago! - zawołał Nick, otwierając boczne drzwi. Zeskoczył na ziemię. Wyciągnął w górę ramiona, rozciągnął kręgosłup, odchylił głowę i spojrzał w niebo. - Boże, jak dobrze w końcu wysiąść z tej puszki.

- Bez jaj - jęknęła Paula, usiłując się rozciągnąć. Była tylko kilka lat starsza od Nicka, ale z wściekłości aż skurczyła się w sobie.

Jane westchnęła, gdy wreszcie dotknęła stopami twardego podłoża. Powietrze było rześkie, temperatura o wiele niższa niż w Kalifornii. Potarła dłońmi ramiona, by je rozgrzać, i skierowała wzrok w stronę horyzontu. Słońce wisiało nad czubkami drzew. Przypuszczała, że jest około czwartej. Nie wiedziała, jaki to dzień, gdzie są, co się stanie, ale po wyjściu z furgonetki poczuła taką ulgę, że miała ochotę krzyczeć.

- Zostań tu - rzuciła Paula i żwawym krokiem ruszyła w stronę domu. Ciężkimi buciorami wzbijała tuman kurzu. Zdjęła rękawiczki bez palców, wytarła czarny tusz spod oczu. Na głowie miała płataninę poskręcanych kosmyków. Brzeg sukienki był brudny. Jak pozostali, miała na ubraniu smugi krwi.

Jane popatrzyła ponad nią na farmę. Nie miała zamiaru więcej myśleć o krwi. Albo była z Nickiem, albo nie.

Wszyscy albo nikt. Jak to u Quellerów.

Drzwi frontowe otworzyły się i stanęła w nich drobna kobieta

z ramionami okrytymi szalem. Towarzyszył jej wysoki mężczyzna o długich włosach i podkręconych do góry imponujących wąsach. W rękach trzymał strzelbę. Patrzył na Paulę, ale nie opuścił broni, dopóki nie położyła jednego centa na otwartej dłoni kobiety.

To był pomysł Nicka. Cent, piątka, dwudziestopięciocentówka i dziesiątka – każda z monet reprezentowała jedną komórkę organizacji, każda komórka używała monet jako wskazówki, że można bezpiecznie rozmawiać. Nick był zachwycony grą słów, obecną w nazwie ich organizacji: Armia Przemiany Świata. Kazał im ubrać się na czarno, z bielizną włącznie, i stać w szeregu jak żołnierze, gdy wkładał im do ręki monetę, będącą ich pseudonimem.

„Dureń nawet nie znał słowa *sybiotyczny*, więc wymyślił *sybioniczny*”.

Jane zacisnęła zęby na wspomnienie słów Danberry’ego i wyrzuciła je z pamięci.

Już dokonała wyboru.

– Nie wiem, jak wy, kompania, ale ja umieram z głodu. – Nick otoczył Andrew ramieniem. – A ty, Andy? Jak to było? Dieta na przeziębienie, a rosół na gorączkę, czy odwrotnie?

– Myślę, że w obu przypadkach przyda się whisky i sen w prawdziwym łóżku. – Andrew powlókł się w stronę domu.

Nick szedł obok niego. Widać było, że obaj są zmęczeni, ale energia Nicka niosła ich jak zawsze.

Jane nie poszła za nimi do domu. Chciała rozprostować nogi i obejrzeć farmę. Myśl o chwili samotności w ciszy i spokoju bardzo do niej przemówiła. Wychowała się w mieście. Rezydencja w Hillsborough stała za blisko lotniska, żeby być chociaż namiastką wiejskiego domu. Gdy rówieśnice Jane uczyły się jeździć konno i wyjeżdżały na skautowskie biwaki,

ona spędzała przed pianinem po pięć, czasem sześć godzin dziennie, doskonaląc technikę gry.

Jej dłoń jak zwykle powędrowała na brzuch.

Czy jej córka będzie grała na pianinie?

Jane zachodziła w głowę, skąd w niej taka pewność, że to będzie dziewczynka. Chciała dać jej piękne imię, nie takie zwyczajne i nudne jak Jane, idiotyczne Jinx czy karykaturalne Janey, jak czasem nazywał ją Nick. Chciała wyposażyć córkę w całą swoją siłę i żadną ze swoich słabości. Mieć pewność, że nie przekaże kuli uśpionego strachu swojemu ukochanemu dziecku.

Zatrzymała się przy drewnianym ogrodzeniu. Na polu pasły się dwa białe konie. Uśmiechnęła się, gdy zaczęły delikatnie trącać się chrapami.

Miała zostać tu z Andrew przynajmniej na tydzień, może dłużej. Po powrocie Nicka z Nowego Jorku zamierzali przycząić się jeszcze przez tydzień, a potem przekroczyć granicę z Kanadą. Marzyli o Szwajcarii, ale jak by to było wychować dziecko na takiej farmie? Odprowadzać córkę na koniec podjazdu i czekać z nią na szkolny autobus? Chować jajka wielkanocne w stogach siana? Pojechać konno w pole i urządzić piknik we troje – ona, jej dziecko i Nick...

– Następnym razem – powiedział ostatecznie. – Następnym razem je zatrzymamy.

Otrząsnęła się z tych wspomnień.

– Halo! – zawołała do niej szczupła kobieta w szalu, która przechodziła obok stodoły. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale pytają o ciebie. Tucker może ukryć furgonetkę w stodole. Spinner i Wyman są już w środku.

Jane z powagą skinęła głową. Porucznicy w każdej komórce organizacji nosili pseudonimy od nazwisk byłych sekretarzy

departamentu skarbu Stanów Zjednoczonych. Kiedy Nick podzielił się z Jane tym pomysłem, z trudem opanowała śmiech. Teraz zobaczyła sens w tych konspiracyjnych pomysłach. Wraz ze śmiercią Quartera umarła tożsamość członków komórki w Stanford.

- Och... - Kobieta stanęła w miejscu jak wryta, otwierając usta ze zdumienia.

Jane była równie zdumiona widokiem znajomej twarzy. Nigdy dotąd się nie spotkały, ale znała Clarę Bellamy z czasopism, gazet i plakatów przed teatrem w Lincoln Center. Była primabaleriną, jedną z najjaśniejszych gwiazd Balanchine'a, póki kontuzja kolana nie zmusiła jej do przejścia na wcześniejszą emeryturę.

- No proszę - odezwała się po chwili, zmierzając ku Jane z szerokim uśmiechem. - Dolar, prawda?

To był kolejny wymóg konspiracji.

- Uznaliśmy, że łatwiej będzie nazywać mnie Baks - wyjaśniła Jane. - Dla Penny i tak jestem Głupią Suką.

- To cent dla ciebie. - Clara bez trudu wychwyciła zjadliwość Pauli. - Miło mi cię poznać, Baks. Mnie nazywają Selden.

Jane uścisnęła jej dłoń. Potem zaśmiała się znacząco, dając Clarze do zrozumienia, że ich spotkanie na odludnej farmie pod Chicago jest czystym absurdem.

- Dziwny jest ten świat, prawda? - Clara otoczyła Jane ramieniem, gdy wolnym krokiem ruszyły ku domowi. Utykała lekko. - Widziałam cię w Carnegie trzy lata temu. Wycisnęłaś mi łzy z oczu. O ile pamiętam, to był koncert fortepianowy numer dwadzieścia cztery c-moll Mozarta.

Jane poczuła, jak wargi układają jej się w uśmiech. Uwielbiała spotykać ludzi autentycznie kochających muzykę.

- Ta zielona suknia była olśniewająca - dodała Clara.

- Myślałam, że buty mnie wykończą.

Clara uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Pamiętam, że to było zaraz po koncercie Horowitza w Japonii. Zobaczyć upadek tak znakomitego wirtuoza... Musiałaś mieć duszę na ramieniu, kiedy wchodziłaś na scenę.

- Wcale nie. - Jane zaskoczyła własna szczerość, ale w Clarze Bellamy czuła bratnią duszę. - Każdej nucie towarzyszyło wrażenie *déjà vu*, jakbym już grała ją doskonale.

- *Fait accompli*. - Clara pokiwała głową ze zrozumieniem. - Żyłam dla takich chwil. Nigdy nie zdarzają się za często. Człowiek zaczyna rozumieć ćpunów, prawda? - Clara przystanęła. - To był twój ostatni koncert muzyki klasycznej, tak? Dlaczego przestałaś występować?

Jane była zbyt zawstydzona, by odpowiedzieć. Clara Bellamy przestała tańczyć, ponieważ nie miała wyjścia. Nie rozumiałyby decyzji o dobrowolnej rezygnacji.

- Pechenikov opowiadał, że brakowało ci ambicji. Zawsze mówią takie rzeczy o kobietach, ale w twoim przypadku to nie może być prawda. Widziałam twoją twarz podczas występu. Ty nie grałaś muzyki. Ty byłaś muzyką.

Jane spojrzała na dom ponad ramieniem Clary. Chciała zachować dobry nastrój dla Nicka, ale wspomnienie o jej zaprzepaszczonym koncertowym życiu przyprawiło ją o łzy. Uwielbiała grać muzykę klasyczną, uwielbiała energię jazzu, potem musiała znaleźć sposób na polubienie samotności w studiu nagraniowym bez reakcji słuchaczy prócz nałogowego palacza po drugiej stronie dźwiękochłonnej szyby.

- Jane?

Potrząsnęła głową, traktując swój żal jako głupi luksus. Jak zwykle ograniczyła się do tej wersji prawdy, do jakiej słuchacz mógł się odnieść.

- Myślałam, że ojciec jest ze mnie dumny, kiedy gram. Pewnego dnia uświadomiłam sobie, że wszystko, co robię, każda nagroda, każdy występ, każdy artykuł w gazecie czy czasopiśmie działa na korzyść ojca. To on na tym zyskiwał. Podziw dla siebie, nie dla mnie.

Clara znowu pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Miałam taką matkę. Ale ty nie porzucisz gry na długo. - Niespodziewanie dotknęła dłonią brzucha Jane. - Będziesz chciała grać dla niej.

Jane poczuła ściskanie w gardle.

- Skąd wiesz...

- Wyczytałam to z twojej twarzy. - Pogładziła Jane po policzku. - Jest pełniejsza niż na zdjęciach. Poza tym masz zaokrąglony brzuch. Jest wysoki, dlatego zakładam, że to dziewczynka. Nick pewnie jest...

- Nie możesz mu powiedzieć. - Jane zasłoniła ręką usta, jakby chciała powstrzymać desperację w głosie. - On jeszcze nie wie. Muszę znaleźć właściwą chwilę.

Clara wyglądała na zaskoczoną, ale skinęła głową.

- Rozumiem. Przechodźcie teraz trudne chwile. Potrzebujesz bezpiecznej przestrzeni, zanim mu o tym powiesz.

Jane chciała jak najszybciej zmienić temat.

- Jak znalazłaś się w grupie? - zapytała.

- Edwin... - zaczęła Clara, potem roześmiała się i poprawiła:

- To znaczy Tucker. Poznał Paulę w Stanford. On studiował prawo. Ona studiowała politologię. Chyba mieli przelotny romans. Ale teraz on jest mój.

Jane próbowała ukryć zaskoczenie. Nie umiała wyobrazić sobie Pauli jako studentki, nie mówiąc już o Pauli jako romansującej studentce.

- Czy Tucker zajmuje się kwestiami prawnymi, kiedy jest

taka potrzeba?

- Tak. Nick ma szczęście, że go mamy. Tucker zajął się problemami z moim kontraktem, kiedy uszkodziłam kolano, i od razu między nami zaiskrzyło. Zawsze miałam słabość do mężczyzn z interesującym zarostem. Mniejsza z tym. Paula przedstawiła Tuckera Nickowi, to znaczy Nickelowi. Tucker przedstawił go mnie. Wiesz, jak jest, kiedy poznaje się Nicka. Wierzysz w każde jego słowo. Dobrze, że nie próbował mi opchnąć używanego auta - zaśmiała się, a Jane jej zawtórowała. - Nie jestem gorącą zwolenniczką jego poglądów - ciągnęła Clara. - Rozumiem, czego chcecie dokonać, i wiem, że to ważne, ale jestem za dużym cykorem, żeby pchać się na pierwszą linię. Wolę wypisywać czeki i zapewniać bezpieczne schronienie.

- Nie umniejszaj swoich zasług. Masz wielki wkład w sprawę.
- Jane czuła, jakby wchodziła w buty Nicka, ale wszyscy musieli wykonywać swoje zadania. - Bardzo ważny, bo dzięki tobie jesteśmy bezpieczni.

- Boże, teraz brzmisz jak on.

- Naprawdę? - Jane dobrze wiedziała, co się dzieje. Taki był koszt całkowitego oddania się Nickowi. Zaczynała stawać się nim.

- Chcę mieć mnóstwo dzieci - oznajmiła Clara. - Nie mogłam, kiedy tańczyłam, ale teraz... - Wskazała farmę. - Kupiłam to miejsce, żeby wychować tu swoje dzieci. Chcę, żeby rosły szczęśliwe i bezpieczne. Edwin uczy się zajmować krowami. Ja uczę się gotować. Dlatego pomagam Nickowi. Chcę uczynić z tego kraju lepsze miejsce dla swoich dzieci. Naszych dzieci.

Jane obserwowała twarz Clary w poszukiwaniu oznak zdradzających ironię.

- Ja nie ściemniam, Jane. Naprawdę w to wierzę -

przekonywała Clara. – Cieszę się, że jestem częścią tego planu, nawet jeśli działam tylko na obrzeżach. Nie ryzykuję wiele, ale ryzyko mimo wszystko istnieje. Jedno z was albo wszyscy możecie wylądować w pokoju przesłuchań. Wyobraź sobie rozgłos, jaki byś zyskała, wskazując palcem mnie. – Zaśmiała się nerwowo. – Przyznaję, że czuję nawet lekką zazdrość. Wydaje mi się, że jesteś sławniejsza ode mnie, więc już cię nienawidzę za skupienie na sobie całej uwagi mediów.

Jane nie zawtórowała jej śmiechem. Wystarczająco długo była obiektem zainteresowania, by wiedzieć, że Clara Bellamy wcale nie żartuje.

– Edwin uważa, że wszystko będzie w porządku, a ja liczę się z jego zdaniem – dodała Clara.

– Czy... – Jane urwała, w porę gryząc się w język.

Niewiele brakowało, by wygłosiła najgorszą możliwą w tej sytuacji kwestię:

„Wiesz, że Quartera zastrzelili? Że Maplecroft nie żyje? A jeśli budynek nie będzie całkiem pusty? Jeśli zabijemy strażnika albo policjanta? Jeśli to, co robimy, jest złe?”.

– Czy co? – dopytywała Clara.

– Lek na kaszel – rzuciła Jane w odruchu desperacji, ponieważ tylko to przyszło jej do głowy. – Masz jakiś? Mój brat...

– Biedny Andy. Bardzo mu się pogorszyło ostatnio, prawda? – spytała ze szczerym współczuciem. – To był szok. Ale tyle razy już to widziałyśmy, prawda? Jeśli obracasz się wśród artystów, spotkasz dziesiątki nadzwyczajnych mężczyzn, którzy są zarażeni.

Zarażeni?

– Jinx? – Nick stanął w otwartych drzwiach frontowych. – Wchodzisz do środka? Musisz to zobaczyć. Obie musicie

zobaczyć.

Clara przyśpieszyła kroku.

Jane ledwie odrywała nogi od ziemi.

Zaschło jej w gardle, serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Szła przed siebie najwyższym wysiłkiem woli. Byle pokonać schodki na werandę, dotrzeć do drzwi i wejść do domu.

Zarażony?

W środku musiała oprzeć się o ścianę i napiąć kolana, by nie upaść. Była odrętwiała, mięśnie miała jak galareta.

„Tyle razy to widziałyśmy”.

Jane знаła wielu młodych, pełnych życia mężczyzn, którzy kasłali jak Andrew; wyglądali na chorych tak samo jak Andrew. Ta sama bladość skóry. Takie same ciężkie powieki. Saksofonista jazzowy, pierwszy skrzypek, tenor, śpiewak operowy, jeden tancerz, drugi tancerz, trzeci...

Wszyscy już nie żyli.

- Chodź, skarbie. - Nick gestem przywołał Jane do pokoju.

Wszyscy zebrali się przed telewizorem. Paula siedziała na kanapie obok mężczyzny, którym był chyba Tucker. Kobieta i mężczyzna, czyli Spinner i Wyman, zajęli składane krzesła. Clara usadowiła się na podłodze, ponieważ tancerki zawsze siadały na podłodze.

- Andrew śpi. - Nick klęczał przed telewizorem, regulując głośność. - Niesamowite, Jinx. Wygląda na to, że od dwóch dni nadają materiały specjalne.

Jane widziała ruch jego warg, ale dźwięk docierał do niej jak spod wody.

Nick przysiadł na piętach, zachwycony szumem medialnym wokół nich.

Jane patrzyła w telewizor, ponieważ cała reszta już to oglądała.

Dan Rather relacjonował wydarzenia w San Francisco. Kamera pokazała reportera stojącego przed wiktoriańskim domem w bezpośrednim sąsiedztwie szopy.

- Z ustaleń FBI wynika, że Alexandra Maplecroft została zamordowana przez konspiratorów - mówił. - Prawdopodobnym sprawcą jest Nicholas Harp, przywódca grupy. Andrew Quellerowi towarzyszyła druga kobieta, która pomogła im zbiec przez sąsiedni budynek.

Jane skrzywiła się, kiedy na ekranie pojawiła się twarz Nicka, a potem Andrew. Paulę reprezentował zarys sylwetki ze znakiem zapytania w środku. Jane zamknęła oczy. Pod powiekami miała zdjęcie brata, które przed chwilą zobaczyła. Zrobione rok temu. Albo wcześniej. Rumiane policzki. Apaszka zawadiacko przewiązana wokół szyi. Przyjęcie urodzinowe? Impreza z innej okazji? Wyglądał na szczęśliwego, tryskającego energią, pełnego życia.

Otworzyła oczy.

Reporter telewizyjny mówił dalej.

- Pytanie brzmi, czy Jinx Queller jest ich kolejną zakładniczką, czy może współsprawczynią działającą z własnej woli. Oddaję głos do studia, Dan.

Dan Rather odłożył trzymane w ręku papiery na biurko.

- William Argenis Johnson, jeden ze spiskowców, został zastrzelony przez snajpera podczas ucieczki. Żonaty, ojciec dwojga dzieci, robił doktorat na Uniwersytecie Stanforda...

Nick ściszył głos. Nie patrzył na Jane.

- William Johnson - wyszeptała te słowa na głos, ponieważ nic z tego nie rozumiała.

Nazywał się Leonard Brandt. Nie miał dzieci. Nigdy nie był żonaty. Mieszkał sam przy Van Duff Street numer dwanaście trzydzieści dziewięć. Pracował jako cieśla w Marin.

- Znak zapytania, kurwa? - żołądkowała się Paula. - Potraktowali mnie znakiem zapytania? Na tyle ich zdaniem zasługuję? - Zerwała się z miejsca i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. - A biednej Jinx Queller wszystko uchodzi na sucho. Może napiszę do nich, kurwa, że przystąpiłaś do nas z własnej woli i jesteś zwarta i gotowa? Uszczęśliwi cię to, Głupia Suko?

- Ej, Penny, nie czas na takie dywagacje - upomniał ją Nick. - Posłuchajcie mnie, kompania. Musimy posunąć sprawy naprzód. Jest lepiej, niż się spodziewałem. Jak sytuacja w Chicago?

- Bomby gotowe - odparła Spinner tonem, jakby właśnie anonsowała postawienie obiadu na stole. - Wystarczy podłożyć je w podziemnym garażu, a potem z odległości piętnastu metrów od budynku wcisnąć guzik na pilocie.

- Super! - Nick klasnął w dłonie. Balansował na palcach stóp raz w przód, raz w tył.

- Tak samo powinno być w Nowym Jorku. Odpocznę tu parę godzin, potem ruszę w drogę. Nawet bez mojego zdjęcia w mediach FBI wzmocni ochronę na lotniskach. Nie wiem, czy moje dokumenty przejdą próbę szczegółowej kontroli...

- Falszerz w Toronto... - zaczął Wyman.

- Jest drogi. Wydaliśmy kupę forsy na uwierzytelnienie Maplecroft, bo bez obecności Laury na konferencji niczego byśmy nie dokonali. - Nick zatarł ręce. Jane niemal widziała intensywną pracę jego mózgu. Tę część zawsze najbardziej lubił. Nie planowanie, lecz trzymanie ich wszystkich w nabożnym skupieniu. - Nebecker i Huston czekają na mnie w kryjówce na Brooklynie. Wjedziemy do miasta po godzinach szczytu, podłożymy urządzenia, wrócimy następnego dnia rano i zdetonujemy ładunek.

- Kiedy moja grupa ma zająć stanowisko? - zapytała Paula.

- Jutro rano. - Nick obserwował ich reakcję na swoje słowa. - Nie zajmujcie stanowiska. Po prostu to zróbcie. Podłóżcie materiały wybuchowe z samego rana, zanim przyjdą do pracy, odsuńcie się najdalej, jak można, a potem wysadźcie sukinsyna.

- Zajeście! - Paula uniosła pięść, reszta poszła za jej przykładem.

- Zrobimy to, kompania! - Nick podniósł głos, by przekrzyczeć harmider. - Zmusimy ich do zastanowienia i do działania! Musimy najpierw rozmontować system, żeby go potem naprawić.

- Racja! - wrzasnął Wyman.

- Tak, kurwa! - Paula nie przestawała chodzić od ściany do ściany. Przypominała zwierzę gotowe do wydostania się z klatki. - Pokażemy tym łotrom!

Jane rozejrzała się po pokoju. Wszyscy byli podobnie nakręceni, klaskali w dłonie, tupali i pokrzykiwali jak kibice na meczu futbolu.

- Ej, słuchajcie! - zawołał Tucker. Wstał i uniósł ręce, by skupić na sobie uwagę. To był Edwin, kochanek Clary. Z wąsami podkreconymi do góry i falującymi włosami bardziej przypominał Friedricha Nietzschego niż prawnika, ale ponieważ Nick mu ufał, ufali mu wszyscy. - Pamiętajcie, macie prawo do odmowy odpowiedzi na pytania zadawane przez przedstawicieli organów ścigania. Zapytajcie gliniarzy: czy jestem aresztowany? Czy jestem aresztowana? Jeśli zaprzeczą, to po prostu odejdźcie, a jeśli potwierdzą, to trzymajcie język za zębami nie tylko przy gliniarzach, ale w ogóle przy wszystkich. Zwłaszcza przez telefon. Zapamiętajcie mój numer. Macie prawo zadzwonić do adwokata. Clara i ja będziemy w mieście w pogotowiu, na wypadek gdybym musiał jechać do aresztu.

- Porządny z ciebie gość, Tuck, ale do tego nie dojdzie. Pieprzyć odpoczynek. Jadę od razu!

Rozległa się kolejna tura okrzyków radości i wiwatów.

Nick wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu głupka, po czym zwrócił się do Clary:

- Idź obudź Dime'a. Potrzebuję zmiennika za kierownicą. To tylko dwanaście godzin, ale myślę, że...

- Nie! - weszła mu w słowo Jane. Nie powiedziała tego, lecz wykrzyczała.

Zapadła grobowa cisza. Ten okrzyk był niczym igła szorująca po winylowej płycie. Jane zepsuła im zabawę. Wszyscy przestali się uśmiechać.

- Chryste, znowu będziesz się mazać? - rzuciła zirytowana Paula.

Jane zignorowała tę uwagę.

W tej chwili liczył się tylko Nick. Wyglądał na dezorientowanego i zmieszanego. Pewnie dlatego, że nigdy dotąd nie słyszał z jej ust odmowy.

- Nie - powtórzyła dobitnie. - Andrew nie może jechać. Nie możesz oczekiwać od niego niczego więcej. On już zrobił swoje. Nasze zadanie wykonaliśmy w Oslo. I na tym koniec. Poza tym... - Zaczęła płakać, ale inaczej niż w zeszłym tygodniu. Nie płakała nad tym, co już się wydarzyło. Bolała nad tym, co miało się stać już niedługo.

Teraz widziała wyraźnie każdy znak, który przegapiła wcześniej: Nagłe dreszcze u Andrew. Wyczerpanie. Osłabienie. Ranki w ustach, o których czasem wspominał. Bóle brzucha. Dziwną wysypkę na nadgarstku.

Zarażenie.

- Jinx? - Nick czekał na jej słowa. Wszyscy czekali.

Wyszła do holu. Nigdy nie była w tym domu, musiała więc

otworzyć i zamknąć kilkoro drzwi, zanim znalazła pokój, w którym spał Andrew.

Leżał na brzuchu z twarzą wciśniętą w poduszkę. Nawet się nie rozebrał, nie przykrył kołdrą, nie zdjął butów. Jane położyła mu rękę na plecach. Czekala, aż poczuje unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej. Dopiero potem pozwoliła sobie wziąć głęboki oddech.

Delikatnie zdjęła mu buty. Ostrożnie odwróciła na plecy.

Jęknął, ale się nie obudził. Ze spierzchniętych ust wydobył się świszczący oddech. Miał skórę białą jak papier. Widziała na niej czerwono-niebieską siateczkę naczyń krwionośnych. Rozpięła mu koszulę i zobaczyła fioletowe zmiany na skórze. Mięski Kaposiego. Pewnie było jeszcze więcej zmian w jego płucach, w gardle, może w mózgu.

Usiadła na łóżku.

Wytrzymała zaledwie pół roku jako wolontariuszka na oddziale dla chorych na AIDS. Obserwowanie mężczyzn, którzy wchodzili do kliniki ze świadomością, że już nigdy z niej nie wyjdą, było dla niej za trudne. Myślała, że rzeźenie w ich piersi, kiedy walczyli o ostatnie oddechy, będzie najgorszym dźwiękiem, jaki słyszała w życiu.

Aż do teraz, kiedy usłyszała ten sam dźwięk wydobywający się z płuc brata.

Delikatnie zapięła mu koszulę.

Na oparciu bujanego fotela przy łóżku wisiał niebieski dziergany pled. Okryła nim Andrew i pocałowała go w czoło. Było chłodne. Andrew miał zimne dłonie. Zimne stopy. Otuliła go szczelniej pledem. Pogładziła bok jego poblądłej twarzy.

Miała siedemnaście lat, gdy znalazła stare pudełko po cygarach w schowku w aucie Andrew. Najpierw pomyślała, że brat podkrada Martinowi cygara, ale kiedy podniosła

pokrywkę, wydała z siebie okrzyk zdumienia. Zobaczyła plastikową zapalniczkę. Wygiętą srebrną łyżeczkę od jednego z cennych kompletów ich matki. Poplamione waciki. Puskę po coli. Garść brudnych patyczków kosmetycznych. Tubkę kremu wyciśniętą pośrodku. Gumową rurkę pełniącą funkcję opaski uciskowej. Strzykawki insulinowe z kropeczkami zaschłej krwi na czubkach ostrych igieł. Ciemnobrązowe grudki, które po latach obracania się wśród artystów rozpoznała jako brown sugar, najgorszą odmianę heroiny.

Andrew rzucił ćpanie półtora roku temu. Po spotkaniu Laury. Po tym, jak Nick opracował plan.

Jednak było już za późno.

- Jinx? - Nick stał w drzwiach. Skinął na nią, dając jej znak, żeby wyszła na korytarz.

Minęła go i weszła do łazienki. Objęła się w pasie ramionami. Drżała na całym ciele. Łazienka była duża i zimna. Ciężka żeliwna wanna stała pod nieszczelnym oknem. Wysoko nad muszlą klozetową wisiał zbiornik na wodę.

Toaleta starego typu. Zupełnie jak w Oslo.

Nick zamknął za sobą drzwi.

- Raczy mi pani powiedzieć, co panią tak rozstroiło, pani Queller? - zapytał.

Jane zerknęła w lustro. Zobaczyła swoją twarz, ale to nie była jej twarz. Nasada nosa była prawie czarna. Zaschła krew zatykała jej nozdrza. Co czuła? Nie umiała tego nazwać.

Nieprzyjemne odrętwienie.

- Jinx?

Odwróciła się od lustra i spojrzała na Nicka. Jego twarz przestała być jego twarzą. Ich związek przestał być ich związkiem. Okłamał ją w sprawie nazwiska Quartera. Okłamał w sprawie ich przyszłości. Kłamał za każdym razem, kiedy

udawał, że jej brat nie umiera.

A teraz miał czelność ostentacyjnie spoglądać na zegarek.

- O co chodzi, Jinx? Nie mamy wiele czasu.

- Czasu? - Musiała to powtórzyć, by w pełni pojąć okrucieństwo tych słów. - Martwisz się o czas?

- Jane...

- Okradłeś mnie. - Ledwie wydobywała głos przez ściśnięte gardło. - Obrabowałeś.

- Kochanie, o czym ty...

- Mogłam tu być z moim bratem, ale ty odesłałeś mnie daleko. Tysiące kilometrów stąd. - Jane zacisnęła pięści. Teraz wiedziała, co czuje. Wściekłość. - Jesteś kłamcą. Wszystko, co wychodzi z twoich ust, jest kłamstwem.

- Andy był...

Jane wymierzyła mu siarczasty policzek.

- Andy jest chory! - Gardło zabolalo ją od krzyku. - Mój brat ma AIDS, a ty wysyłasz mnie do pieprzonych Niemiec.

Nick dotknął twarzy opuszkami palców. Potem spojrzał na wnętrze swojej otwartej dłoni.

Był już bity w twarz. Przez lata opowiedział Jane o swoich doświadczeniach z dzieciństwa. O matce prostytutce. O nieobecnym ojcu. O babci stosującej przemoc wobec niego. O latach bezdomności. O odrażających rzeczach, jakich ludzie chcieli od niego. O wstręcie do samego siebie, nienawiści i strachu, że to się stanie bez względu na to, jak bardzo będzie się starał od tego uciec.

Jane rozumiała te emocje aż za dobrze. Od ósmego roku życia знаła rozpaczliwe pragnienie ucieczki. Od dłoni Martina zatykającej jej usta w środku nocy. Od momentów, kiedy chwycił ją za tył głowy i wciskał jej twarz w poduszkę.

Nick o tym wiedział.

Dlatego jego historie tak działały na ludzi. Widziała to u każdego, kogo spotykał. W jego historii odbijały się lęki dręczące każdego człowieka.

Tak Nick zjednywał sobie ludzi. Znajdował z nimi wspólny język i płaszczyznę porozumienia.

Teraz zapytał:

- Co mam ci powiedzieć, Jinx? Tak, Andy ma AIDS. Tak, wiedziałem o tym, kiedy wyjeżdżałaś do Berlina.

- Czy Ellis-Anne... - Jane nagle odjęło mowę. Dziewczyna Andrew. Była z nim dwa lata. Urocza i oddana. Od czasu Oslo dzwoniła codziennie. - Czy ona też jest pozytywna?

- Wszystko z nią w porządku. Zrobiła test ELISA na nosicielstwo HIV w zeszłym miesiącu. - Ton Nicka był rzeczowy i autorytatywny. Taki sam, jak wtedy, kiedy kłamał w sprawie prawdziwego imienia i nazwiska Quartera. - Masz rację, to straszne. Wiem, że Andrew długo nie pociągnie. Wiem, że trzymanie go tutaj przyśpiesza tylko jego kres. Martwiłem się o niego, ale odpowiadam za całą grupę. Ludzie oczekują, że ich poprowadzę. Nie mogę o tym zapominać. Muszę wybiegać myślą naprzód, patrzeć przed siebie, inaczej zamieniłbym się w bezużyteczną kulę bólu. Nie mogę sobie na to pozwolić. Ty też nie, ponieważ cię potrzebuję, kochanie. Wszyscy myślą, że jestem niesamowicie silny, ale swoją siłę czerpię z twojej obecności u mego boku.

Jane nie mogła uwierzyć, że Nick wygłasza kolejną ze swoich motywacyjnych przemów.

- Wiesz, jak oni umierają, Nick. Słyszałeś te historie. Pamiętasz Bena Mitchella? - Zniżyła głos jak w kościele. - Opiekowałam się nim na oddziale, ale potem jego rodzice chcieli zabrać go do domu, żeby tam umarł. Wzięli go do szpitala, a tam żadna pielęgniarka nie chciała go dotknąć

z obawy przed zarażeniem. Pamiętasz, jak ci o tym opowiadałam? Nawet nie dali mu morfiny. Pamiętasz?

- Pamiętam - odparł Nick beznamiętnie.

- Udusił się wydzieliną zalegającą w płucach. Umierał przez osiem minut. Był świadomy i przytomny. Do ostatniej chwili. - Urwała, czekając na reakcję Nicka, ale on milczał. - Był przerażony. Chciał krzyczeć, łapał się za szyję, błagał ludzi o pomoc. Nikt mu nie pomógł. Jego matka musiała wyjść z sali. Pamiętasz tę historię, Nick? Pamiętasz?

- Tak - odparł.

- Tego chcesz dla Andrew? - Zawiesiła głos, ale znowu nie doczekała się odpowiedzi. - Kaszle tak samo jak kasłał Ben. Tak samo jak Charlie Bray. Z Charliem było to samo. Pojechał do domu na Florydę i...

- Nie musisz zdawać mi relacji na żywo, Jinx. Powiedziałem przecież, że pamiętam te historie. Tak, umarli straszną śmiercią. To wszystko jest straszne. Ale nie mieliśmy wyboru.

Jane miała ochotę nim potrząsnąć.

- Oczywiście, że mieliśmy wybór.

- To był pomysł Andy'ego, żeby wysłać cię do Berlina.

Jane wiedziała, że Nick mówi prawdę. Tak jak wiedziała, że Nick jest chirurgiem, kiedy trzeba przeszczepić własne idee na języki innych ludzi.

- Uważał, że jeśli dowiesz się o jego chorobie, to... Nie wiem, Jinx. Zrobiłabyś coś głupiego. Powstrzymałabyś nas. Przeszkodziłabyś w akcji. Andrew wierzy w to, co robimy. Chce, żebyśmy doprowadzili sprawy do końca. Dlatego zabieram go na Brooklyn. Ty też możesz jechać. Zająć się nim. Podtrzymać przy życiu na tyle długo, żeby...

- Przestań. - Jane nie mogła dłużej słuchać tych bredni. - Nie pozwolę bratu udusić się i umrzeć w tej ohydnej furgonetce.

- Tu już nie chodzi o jego życie. Chodzi o jego spuściznę - argumentował Nick. - Andy właśnie tak chce odejść. Na własnych warunkach. Jak mężczyzna. Zawsze tego chciał. Przedawkowanie, wieszanie się, tabletki, igły, łożenie w miejscach, w których lepiej się nie pojawiać, zadawanie się z nieodpowiednimi ludźmi... Wiesz, jakim piekłem było jego życie. Stał się czysty dla sprawy, o jaką walczymy. To ona dała mu siłę do wyrwania się z nałogu, Jane. Nie odbieraj mu tego.

Jane zacisnęła pięści w odruchu frustracji.

- On to robi dla ciebie, Nick. Wystarczyłoby jedno twoje słowo, a poszedłby do szpitala, gdzie mógłby umrzeć w spokoju.

- Znasz go lepiej niż ja?

- Znam lepiej ciebie. Andy chce cię zadowolić. Oni wszyscy chcą cię zadowolić. Ale w jego przypadku jest inaczej. To okrutne. On się udusi jak...

- Jane, ja to rozumiem. Udusi się wydzieliną własnych płuc. Jego agonia będzie trwać osiem minut. Osiem minut straszego cierpienia. A teraz posłuchaj mnie uważnie, kochanie, bo to decydująca chwila. Musisz wybrać między nim a mną.

Co?

- Jeśli Andy ze mną nie pojedzie, ty musisz pojechać zamiast niego.

Co?

- Nie mogę ci dłużej ufać. - Nick wzruszył ramieniem. - Wiem, jak działa twój umysł. Kiedy znajdę się za progiem, zabierzesz Andy'ego do szpitala. Zostaniesz przy nim, ponieważ tak właśnie działasz, Jinx. Trwasz przy ludziach. Zawsze byłaś lojalna. Siedziałaś przy bezdomnych w schronisku, serwowałaś zupę w jadłodajni, wycierałaś ślinę ludziom umierającym na oddziale zakaźnym. Nie powiem, że

jesteś jak wierny pies, bo to byłoby zbyt okrutne. Ale przez twoją lojalność wobec Andrew wszyscy wylądujemy w pierdłu. Kiedy tylko przestąpisz próg szpitala, policja cię aresztuje i będzie już wiedziała, że jesteśmy w Chicago. A ja nie mogę do tego dopuścić.

Jane otworzyła szeroko usta.

- Dam ci tylko jedną szansę. Musisz wybrać tu i teraz: on albo ja.

Grunt usunął się Jane spod nóg. Miała wrażenie, że to tylko zły sen.

Nick patrzył na nią chłodno jak na pierwotniaka pod mikroskopem.

- Powinnaś wiedzieć, że prędzej czy później do tego dojdzie, Jane. Jesteś naiwna, ale nie jesteś głupia. - Odczekał chwilę, by spotęgować efekt. - Wybieraj.

Musiała przytrzymać się umywalki, by nie osunąć się na podłogę.

- To twój najlepszy przyjaciel - wyszeptała. - I mój brat.

- Czekam na twoją decyzję.

Usłyszała w uszach wysokie dźwięki, jakby ktoś wbił jej w czaszkę kamerton. Nie wiedziała, co się dzieje. Zdjęta nagłą paniką wykrztusiła:

- Zostawiasz mnie? Zrywasz ze mną?

- Powiedziałem: ja albo on. To twoja decyzja, nie moja.

- Nick, nie mogę... - Nie wiedziała, jak skończyć to zdanie. Czy Nick poddawał ją próbie? Czy jak zawsze testował jej lojalność? - Kocham cię.

- Więc wybierz mnie.

- Ja... Wiesz, że jesteś dla mnie wszystkim. Porzuciłam... - Powiodła rękami dokoła, wskazując cały świat. Dla niego porzuciła wszystko. Ojca. Jaspera. Swoje życie. Muzykę. -

Błagam, nie każ mi wybierać. On umiera.

Nick patrzył na nią lodowato.

Z jej ust wydobyło się zawrodozenie. Wiedziała, jak patrzy Nick, kiedy z kimś kończył. Sześć lat jej życia, jej serce, jej miłość wyparowały na jej oczach. Jak mógł z taką łatwością to wszystko rzucić?

- Nick, proszę...

- Zbliżająca się nieuchronnie śmierć Andrew powinna ułatwić ci decyzję. Kilka godzin z umierającym albo reszta życia ze mną. Wybieraj.

- Nick... - Z piersi Jane wyrwał się szloch. Czuła, jakby za chwilę miała umrzeć. Nie mógł jej porzucić. Nie teraz. - To nie chodzi tylko o parę godzin. To godziny horroru albo... - Nie była w stanie wyobrazić sobie, co czeka Andrew, jeśli ona go zostawi. - Nie mówisz serio. To próba. Testujesz mnie. Kocham cię. Oczywiście, że cię kocham. Powiedziałam ci, że jestem z tobą.

Nick wyciągnął rękę, chcąc otworzyć drzwi.

- Proszę! - złapała go za przód koszuli. Odwrócił głowę, gdy próbowała go pocałować. Przycisnęła twarz do jego piersi. Zniosła się płaczem. - Nicky, proszę. Nie każ mi wybierać - wydusiła między jednym spazmem a drugim. - Wiesz, że nie mogę bez ciebie żyć. Bez ciebie jestem nikim. Proszę!

- W takim razie pojedziesz ze mną?

Spojrzała na niego. Płakała tak bardzo, że piekły ją powieki.

- Muszę usłyszeć to od ciebie, Jane. Muszę poznać twoją decyzję.

- N...nie mogę - zająknęła się. - Nick, ja nie mogę...

- Nie możesz wybrać?

- Nie. - Nagła myśl sprawiła, że jej serce omal się nie zatrzymało. - Nie mogę go zostawić.

Twarz Nicka nie wyrażała żadnych emocji.

- Ja... - Jane z trudem przełknęła ślinę. Zaschło jej w ustach. Była przerażona, wiedziała jednak, że postępuje właściwie. - Nie pozwolę bratu umrzeć w samotności.

- W porządku. - Nick znowu wyciągnął rękę w stronę drzwi, ale nagle zmienił zdanie.

Przez chwilę miała nadzieję, że zaaprobuje jej decyzję.

Zrobił coś zupełnie innego.

Nagłym ruchem pchnął ją z całej siły. Poleciała do tyłu na ścianę z oknem i wybiła głową szybę.

Oślupiała ze zdumienia. Dotknęła ręką tyłu głowy, spodziewając się widoku krwi.

- Dlaczego...

Uderzył ją pięścią w brzuch.

Osunęła się na kolana. Zwymiotowała. Poczowała w ustach metaliczny posmak krwi. Gwałtowny skurcz żołądka sprawił, że zgięła się w pół, dotykając czołem podłogi.

Nick złapał ją za włosy i pociągnął, odginając głowę do tyłu. Kucnął przy niej.

- Coś ty sobie wyobrażała, Janey? Że po tym wszystkim zwiejemy do mieszkanka w Szwajcarii i będziemy wychowywać nasze dziecko?

Dziecko...

- Spójrz na mnie. - Złapał ją palcami za szyję i potrząsnął jak szmacianą lalką. - Jesteś aż tak głupia? Naprawdę myślałaś, że pozwolę ci je zatrzymać? Że stanę się grubasem, który czyta niedzielną gazetę i omawia z tobą szkolne sprawy młodego, kiedy ty krzątasz się po kuchni?

Jane nie mogła złapać oddechu. Wbiła mu paznokcie w nadgarstki. Nick ją dusił.

- Nie rozumiesz, że wiem o tobie wszystko, Jinx? Nigdy nie

byliśmy kompletni. Tylko wtedy, gdy jesteśmy razem, tylko wtedy, gdy tworzymy prawdziwą wspólnotę, stajemy się kompletnymi ludźmi. I tylko takie istnienie ma sens. - Zacisnął mocniej dłonie na jej szyi. - Nic nie może stanąć między nami. Ani płaczący dzieciak. Ani twój umierający brat. Nic. Słyszysz?

Złapała go za rękę, walcząc o powietrze, a Nick walił jej głową w ścianę.

- Prędzej cię zabiję, niż pozwolę ci odejść. - Spojrzał jej w oczy. Tym razem wiedziała, że Nick mówi prawdę. - Należysz do mnie, Jinx Queller. Jeśli spróbujesz odejść, podpale całą ziemię, żeby cię odzyskać. Rozumiesz? - Znowu nią potrząsnął. - Rozumiesz?

Ścisnął ją tak mocno, że odciął jej dopływ powietrza. Pociemniało jej w oczach. Płuca poruszały się spazmatycznie. Język wyszedł na wierzch.

- Spójrz na mnie. - Twarz Nicka lśniła od potu. Oczy mu płonęły. Uśmiechał się szeroko swoim pełnym samozadowolenia uśmiechem. - Jakie to uczucie, skarbie? Tak sobie wyobrażałaś uduszenie? A może zupełnie inaczej?

Zamrugnęła. Pierwszy raz od wielu dni widziała jasno i wyraźnie. Oczy jej obeschły. Nie pozostała w nich ani jedna łza.

Nick zabrał jej łzy, tak jak odebrał wszystko inne.

26 SIERPANIA 2018

13

Andy siedziała w boksie na końcu sali w przydrożnym McDonaldzie za Big Rock w Illinois. Gdy w końcu wysiadła z furgonetki Mike'a po ponad dwóch dniach monotonnej jazdy, była tak szczęśliwa, że postanowiła zafundować sobie koktajl mleczny. Martwienie się poziomem cholesterolu i brakiem aktywności fizycznej było problemem dla Przyszłej Andy.

Teraźniejsza Andy i bez tego miała dosyć kłopotów. Nie była już amebą, ale musiała uznać istnienie obsesyjnych tendencji zapisanych w jej DNA. Pierwszy dzień podróży strawiła na besztaniu siebie za błędy już popełnione i nadal popełniane: że nie zajrzała do lodówki turystycznej w reliance w poszukiwaniu nadajnika GPS; że zostawiła w schowku niezarejestrowany rewolwer, który Mike na pewno znajdzie; że chyba trwale uszkodziła mu jądra, ukradła mu portfel i popełniła ciężkie przestępstwo, przekraczając kradzionym autem granice kilku stanów.

Najbardziej zaprzętało ją pytanie, czy Mike usłyszał, że Paula kazała jej znaleźć Clarę Bellamy w Illinois, czy też był zbyt zaaferowany swymi eksplodującymi klejnotami.

Prędzej czy później Przyszła Andy znajdzie odpowiedź.

Przeżuwała słomkę, wpatrzona w wygaszacz ekranu. Musiała odłożyć na bok swoją obsesję na punkcie Mike'a i przywołać ją, gdy zacznie przysypiać albo będzie potrzebowała czegoś, czym mogłaby się zadrzeć. W tej chwili ważniejsze było dociec, z jakiego powodu Paula Kunde wylądowała w więzieniu na dwadzieścia lat i skąd się wzięła jej nienawiść do Laury.

Do tej pory internetowe śledztwo pełzało niemal w miejscu, zamiast ruszyć z kopyta. Andy spędziła trzy noce w trzech

różnych motelach z otwartym laptopem na brzuchu, ale jedyne, co osiągnęła, to zaczerwieniona skóra w kształcie komputera.

Najprostsza i niezawodna droga znalezienia brudów na kogoś to rzecz jasna Facebook. Andy przed wyjazdem z Austin stworzyła fałszywy profil na nazwisko Stefan Salvatore i użyła logo Texas Longhorns jako zdjęcia profilowego. Jak można się było spodziewać, Paula Kunde nie miała konta na Facebooku. Andy posłużyła się fałszywym kontem i zalogowała się na stronę ProfRatings.com jako użytkowniczka. Weszła na profil Pauli, na którym studenci dali jej zaledwie połowę gwiazdki, i rozesłała dziesiątki prywatnych wiadomości tej samej treści do najbardziej zajadłych krytyków wykładowczyń. Wiadomość brzmiała:

Rany!!! Kunde siedziała 20 lat w pierdłu? PODAJ MI SZCZEGÓŁY!!! Suka nie chce zmienić mi oceny!!!

W odpowiedzi dostała tylko kolejną porcję inwektyw pod adresem Pauli w stylu: „Jebana suka, mam nadzieję, że ją kropniesz”. Wiedziała jednak, że w końcu ktoś się znudzi samymi obelgami i poszpera głębiej, wyciągając na światło dzienne pożądane informacje.

Małe dziecko krzyknęło po drugiej stronie sali.

Andy patrzyła, jak matka niesie je do łazienki. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek była w tym McDonalddie ze swoją matką. Laura nie mogła wziąć z sufitu Chicago w stanie Illinois jako miejsca urodzin i śmierci Jerry’ego Randalla.

Racja?

Pociągnęła przez słomkę ostatnią porcję koktajlu i płyn zbulgotał. Andy wiedziała, że to nie była odpowiednia pora na analizowanie kłamstw matki. Spojrzała na kartkę, którą położyła na stole. Kiedy bezpiecznie opuściła Austin, zjechała na pobocze i zapisała wszystko, co zapamiętała z rozmowy

z Paulą Kunde.

- Dwadzieścia lat w Danbury?
- QuellCorp?
- Znała Kaptura, ale nie Mike'a?
- Trzydzieści jeden lat: interesująca zbieżność?
- Laura pełna najgorszego kitu?
- Strzelba. Co kazało jej zmienić zdanie? Clara Bellamy?

Zaczęła od najprostszego wyszukiwania. Dane z więzienia federalnego w Danbury były dostępne przez stronę biura więziennictwa, które dysponowało danymi osadzonych. Pauli Kunde nie było jednak w spisie. Nie figurowała też na liście absolwentów Uniwersytetu w Berkeley, Uniwersytetu Stanforda czy Uniwersytetu Connecticut. Możliwe, że wyszła za mąż i mimo zastrzeżeń wobec patriarchatu zmieniła nazwisko.

„Wiem, jak działa małżeństwo”.

Andy zdążyła już sprawdzić rejestr małżeństw i rozwodów w Austin, potem w pobliskich hrabstwach. Następnie rozszerzyła pole poszukiwań o zachodnie Connecticut, hrabstwo Berkeley i Palo Alto. Wreszcie uznała, że traci czas. Paula mogła przecież polecieć do Vegas i tam wziąć szybki ślub. I właściwie dlaczego uwierzyła wymachującej strzelbą wariatce w jej deklarację o odsiadce?

Słowa „kapuś” i „dwie dziesiątki” występowały praktycznie w każdym filmie o więźniach. Wystarczyło rzucić je, przybierając odpowiednio groźną pozę, a to Paula z pewnością potrafiła.

Tak czy inaczej, szukanie w zasobach urzędu więziennictwa okazało się ślełą uliczką.

Andy bębniła palcami w stół, studiując wypisaną listę. Usiłowała przypomnieć sobie szczegóły rozmowy w kuchni

Pauli. Definitywnie dzieliła się na „przed” i „po”. „Przed” Paula z nią rozmawiała, a „po” poszła po strzelbę i mierząc do Andy, kazała jej się wynosić.

Nie miała pojęcia, co powiedziała nie tak. Rozmawiała o Laurze; o tym, że była pełna kitu, najgorszego kitu...

Potem Paula kazała jej poczekać, poszła po broń i zagroziła, że ją zastrzeli.

Andy mogła tylko pokręcić głową, ponieważ w jej mniemaniu to wszystko nie miało sensu.

Jeszcze bardziej zagadkowe było to, co nastąpiło później. Paula wyjawiała nazwisko Clary Bellamy, dopiero kiedy Andy skopała Mike'a po jądrach. Mogła to wziąć za dobrą monetę i uznać, że Pauli zaimponowała jej agresja, ale coś jej mówiło, że to niewłaściwy trop. Paula była piekielnie bystra. Idioci nie studiowali w Stanfordzie. Umiejętnie manipulowała nią od chwili otwarcia drzwi. Możliwe, że nadal to robiła, ale zrozumienie gry, jaką prowadziła ta wariatka, wykraczało poza umiejętności dedukcyjne Andy.

Spojrzała na zapiski, skupiając się na punkcie, który najbardziej ją niepokoił.

- Trzydzieści jeden lat: ciekawa zbieżność.

Czy Paula poszła siedzieć, gdy będąca w ciąży Laura uciekła z prawie milionem dolarów i fałszywą tożsamością, by wieść bajkowe życie na plaży przez trzydzieści jeden lat, aż wreszcie w krajowych stacjach telewizyjnych pojawiło się nagranie z restauracji i wskazało złym ludziom miejsce jej pobytu?

Kaptur dusił i Laurę, i Paulę, zatem obie musiały posiadać informację, którą ktoś usiłował z nich wydobyć.

Tajemniczy Oni, którzy mogli namierzyć mejle i telefony Andy?

Wróciła do laptopa i znowu wpisała do wyszukiwarki

„QuellCorp.com”, ponieważ tak naprawdę mogła tylko powtórzyć poprzednie wyszukiwania i sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyła, czytając to samo po raz dwudziesty.

Na ekranie powitalnym pojawiła się fotografia z efektem powiększania, z najazdem obiektywu na wielokulturową grupę młodych naukowców w białych kitlach, którzy wpatrywali się intensywnie w zlewkę pełną świecącego płynu. W tle brzmiały skrzypce, jakby Leonardo da Vinci właśnie odkrył lek na opryszczkę.

Andy wyciszyła dźwięk.

Znała tę firmę farmaceutyczną, bo jak miliony innych Amerykanów znała plastry z opatrunkiem. QuellCorp produkowała wszystko: od chusteczek pielęgnacyjnych dla niemowląt po tabletki na zaburzenia erekcji. Z jedynej informacji w zakładce HISTORIA wynikało, że firmę założył niejaki Douglas Paul Queller w latach dwudziestych dwudziestego wieku, a jego potomkowie sprzedali ją w latach osiemdziesiątych. Na początku dwudziestego pierwszego wieku QuellCorp połknęła konkurencję i stała się firmą globalną. Właśnie tak postępowały złowrogie korporacje.

Oni z pewnością mogli być złą korporacją. O tym opowiadały niemal wszystkie filmy science fiction, jakie oglądała: od *Awatara* po wszystkie części *Terminatora*.

Zamknęła stronę QuellCorp i wpisała do wyszukiwarki „Clara Bellamy”.

O ile dziwne było, że Laura zna Paulę Kunde, o tyle jeszcze bardziej szokowało ją, że Paula Kunde zna kogoś takiego jak Clara Bellamy. Clara była primabaleriną, która według innej strony w Wikipedii jako jedna z niewielu kobiet dostąpiła niesłychanego zaszczytu, a mianowicie tańczyła u George’a Balanchine’a, choreografa, którego nazwisko znała nawet

Andy. Clara Bellamy jeździła po całym świecie, tańczyła na najsłynniejszych scenach, była jedną z najlepszych solistek. Niestety poważny uraz kolana zmusił ją do wcześniejszego przejścia na emeryturę.

Ponieważ Andy nie miała niczego lepszego do roboty po całodniowej jeździe samochodem, obejrzała niemal wszystkie dostępne na YouTube filmy z Clarą Bellamy. Na tym kanale były niezliczone nagrania występów i wywiadów z różnymi sławami, ale ulubionym filmem Andy okazało się nagranie z Festiwalu Piotra Czajkowskiego, na którym tańczył balet nowojorski.

Jako miłośniczka teatru od razu zauważyła, że scenografia jest niezwykła. Półprzezroczyste rury w tle sprawiały, że wszystko wydawało się zamknięte w gigantycznej bryle lodu. Przypuszczała, że znudzi ją oglądanie drobnych kobiet sunących na czubkach palców w rytm muzyki dla starych ludzi, ale w Clarze Bellamy było coś z kolibra, co przykuwało do niej wzrok. Jak na kobietę, o której Andy nigdy przedtem nie słyszała, Clara była fenomenalnie sławna. Znalazła się na okładkach *Newsweeka* i tygodnika *Time*. Nieustannie pisali o niej w *New York Times Magazine* albo w dodatku o wydarzeniach artystycznych w *New Yorkerze*.

W tym miejscu poszukiwania Andy rozbiły się o zaporę sieciową, a ściślej rzecz biorąc, o płatny dostęp do treści w Internecie. W ramach abonamentu miała dostęp do konkretnej liczby artykułów na większości stron, musiała więc starannie wybierać linki, w które kliknie. Nie mogła tak po prostu wyjąć karty kredytowej i dokupić sobie dostępu.

Zdołała się jednak zorientować, że Clara zniknęła z życia publicznego około tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku. Ostatnie zdjęcie w *Timesie* przedstawiało

kobietę ze spuszczoną głową, która wychodząc z pogrzebu George'a Balanchine'a, wyciera nos chusteczką.

Jak w przypadku Pauli, Andy założyła, że Clara Bellamy wyszła w pewnym momencie za mąż i zmieniła nazwisko, chociaż trudno było pojąć, dlaczego ktoś, kto tak ciężko zapracował na własną rozpoznawalność, miałby to zrobić. Clara nie miała konta na Facebooku, chociaż Andy znalazła zamkniętą grupę jej fanów i publiczną stronę społeczności anorektyków obsesyjnie analizujących jej wagę.

Nie trafiła na żaden akt małżeństwa ani poświadczenie rozwodu przy haśle „Clara Bellamy” w Nowym Jorku, Chicago ani w pobliskich hrabstwach, znalazła jednak interesujący artykuł w *Chicago Sun Times* o procesie sądowym po kontuzji kolana Clary.

Primabalerina pozwała firmę EliteDreamBodyWear o wypłatę należności za kontrakt reklamowy. Nazwiska reprezentującego ją prawnika nie wymieniono w tekście, ale na zdjęciu ilustrującym artykuł widniała Clara w chwili, gdy wychodziła z gmachu sądu z tyczkowatym wąsaczem, który wyglądał jak uosobienie hipisowskiego prawnika albo hipsterskiego milenialsa usiłującego upodobnić się do hipisowskiego prawnika. Co ważniejsze, kiedy fotograf nacisnął spust migawki, Adwokat Hipis patrzył prosto w obiektyw aparatu.

Andy chodziła na zajęcia fotograficzne w akademii. Wiedziała, jak trudno o nieupozowane zdjęcie, na którym obiekt nie mruga albo nie wykrzywia dziwnie ust. Adwokat Hipis okazał się wyjątkiem od tej reguły. Miał otwarte oczy i lekko rozchylone usta. Komicznie podkreślone wąsy były symetryczne, długie jedwabiste włosy opadały równo na ramiona. Zdjęcie było tak wyraźne, że Andy widziała nawet koniuszki jego uszu wystające spod włosów niczym maleńkie

orzeszki pistacjowe.

Założyła, że Adwokat Hipis nie zmienił się przez te lata. Facet, który po trzydziestce wzorował się na Wyattcie Earpie w kwestii zarostu, nie mógł obudzić się po sześćdziesiątce i nagle dostrzec swojej pomyłki.

Wpisała do wyszukiwarki nowe hasło: Chicago+prawnik+wąsy+włosy.

W ciągu paru sekund ukazało jej się zdjęcie grupy muzycznej Funkadelic Fiduciaries, której członkowie nazywali siebie „kapelą kudłaczy”. Występowali w środy wieczorem w barze o nazwie EZ Inn. Każdy z nich miał na twarzy dziwaczny zarost. Jeden przypominał diabolicznego Van Dycka, drugi miał bokobrody na wzór Elvisa. Włosami mogliby obdzielić tuziny łysych. Andy powiększyła twarz każdego z ośmiu członków grupy i u perkusisty dostrzegła znajomo podkreścone wąsy.

Spojrzała na nazwisko.

Edwin Van Wees.

Potała oczy. Zmęczyły ją całodniowa jazda i całonocne wpatrywanie się w ekran komputera.

Porównała tę fotografię ze zdjęciem w starej gazecie. Perkusista był nieco pulchniejszy, mniej owłosiony i nie tak przystojny, wiedziała jednak, że to ten sam człowiek.

Spojrzała w okno. Szczęście jej dopisało. Znalezienie Edwina, który mógł wiedzieć, jak odszukać Clare Bellamy, naprawdę okazało się aż tak łatwe?

Otworzyła kolejne okno wyszukiwarki.

Jak w przypadku Clary, Edwin Van Wees nie miał konta na Facebooku, ale znalazła amatorsko wyglądającą stronę internetową z informacją, że Edwin jest na częściowej emeryturze, lecz nadal udziela się jako prelegent i perkusista. Kliknęła w zakładkę ze szczegółowymi danymi. Edwin zdobył

wykształcenie prawnicze na Uniwersytecie Stanforda, jako prawnik działał w Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich, miał za sobą wieloletnią udaną karierę, w trakcie której bronił artystów, anarchistów, podżegaczy, siewców niepokoju i rewolucjonistów radośnie zamieszczających swoje zdjęcia u boku adwokata, który uratował ich przed odsiadką. Nawet ci, którzy ostatecznie poszli siedzieć, pisali o nim w samych superlatywach. Nic dziwnego, że taki gość jak Edwin znał taką szurniętą jędzę jak Paula Kunde.

„Moje rewolucyjne dni się skończyły”.

Andy wierzyła głęboko, że Edwin Van Wees wie, jak dotrzeć do Clary Bellamy. Zdradzał to sposób, w jaki Clara dotykała jego ramienia na zdjęciu sprzed sądu. I zdradzało złe spojrzenie, jakie Edwin rzucał człowiekowi za obiektywem aparatu. Może to była nadinterpretacja Andy, ale gdyby profesor prowadzący zajęcia „Wrażenia świetlne w czarno-białej fotografii” polecił jej znaleźć fotografię kruchej kobiety wspieranej przez silnego obrońcę, jako ilustrację tej sytuacji wybrałaby właśnie to zdjęcie.

Dziecko znowu zaczęło krzyczeć.

Matka chwyciła je na rękę i pobiegła do łazienki.

Andy zamknęła laptop i włożyła go do torby. Wyrzuciła śmieci i wróciła do furgonetki Mike'a. Z głośników dobiegał utwór *Interstate Love Song* grunge'owej grupy Stone Temple Pilots. Andy chciała go wyłączyć, ale nie mogła. Z trudem przyznawała się sama przed sobą, że podoba jej się muzyka Mike'a. Wszystkie CD ze składankami były świetne - od Dashboard Confessional po Blink 182 ze zdumiewającą dawką piosenek Jennifer Lopez.

Wyjeżdżając na drogę z parkingu, zerknęła na elektroniczny zegar obok znaku McDonalda. Było dwadzieścia po drugiej,

czyli odpowiednia pora na niezapowiedzianą wizytę. Na swojej stronie Edwin Van Wees podał adres swojego biura na farmie w odległości półtorej godziny jazdy samochodem z Chicago. Według Andy to oznaczało, że Edwin pracuje zdalnie z domu, było więc wysoce prawdopodobne, że tam go zastanie. W Google Earth zlokalizowała dużą czerwoną stodołę i dom okryty lśniącą blachą.

Dojazd z McDonalda na farmę Edwina zajął jej tylko dziesięć minut. Omal nie minęła podjazdu, ponieważ skrywał się między gęstymi kępami drzew. Zatrzymała furgonetkę tuż przed skrzyżowaniem. Droga była pusta. Podłoga auta drżała jej pod stopami, gdy silnik pracował na jałowym biegu.

Nie czuła tej samej nerwowości, jaka jej towarzyszyła, gdy szła do domu Pauli. Teraz już rozumiała, że znalezienie człowieka wcale nie gwarantuje poznania prawdy. Nie daje też pewności, że znaleziony człowiek nie będzie groził bronią. Może Edwin Van Wees zrobi to samo. Paula Kunde mogła przecież z rozmysłem wysłać ją do kogoś, kto wcale nie ucieszy się na jej widok. Kiedy jechała tu z Austin, Paula miała aż nadto czasu, by uprzedzić telefonicznie Clarę Bellamy, że córka Laury Oliver może jej szukać. Jeśli Edwin Van Wees nadal był blisko z Clarą, mogła do niego zadzwonić i...

Andy potarła twarz. Mogła spędzić resztę dnia na gubieniu się w domysłach albo przekonać się osobiście, jaka jest prawda. Skręciła w podjazd. Drzewa rosły gęsto na długości niecałego kilometra, jednak wkrótce zobaczyła dach czerwonej stodoły, potem rozległe pastwisko, krowy, a na końcu mały dom z dużą werandą i słonecznikami w ogrodzie.

Zaparkowała przed stodołą. Nie dostrzegła innych samochodów, a to zły znak. Frontowe drzwi domu pozostały zamknięte. W oknach nie poruszyły się firanki, nie mignęła

w nich żadna sylwetka. Mimo to nie była na tyle głupia, żeby odejść bez zapukania do drzwi.

Już wysiadała z auta, kiedy przypomniała sobie o telefonie, na który Laura miała zadzwonić, kiedy znowu będzie bezpiecznie. W okolicach Tulsy jeszcze miała nadzieję, że telefon zadzwoni. Artykuł z *Belle Isle Review* dostarczył istotnych informacji: ciało Kaptura nadal nie zostało zidentyfikowane, a po przeanalizowaniu nagrania z restauracji policja doszła do takiego samego wniosku co Mike. Laura próbowała powstrzymać Jonaha Helsingera przed samobójstwem, dlatego nie została oskarżona o zabójstwo. Wprawdzie rodzina chłopaka nadal czyniła wrzawę wokół tej historii, ale już straciła sympatię opinii publicznej. A miejscowy prokurator był najbardziej haniebnym przykładem koniunkturalizmu politycznego. Jeśli gdzieś czaiło się niebezpieczeństwo, które nie pozwalało Andy wrócić do domu, to nie było związane z tą sprawą albo stanowiło kolejny fragment gigantycznej sieci kłamstw Laury.

Otworzyła kosmetyczkę i sprawdziła stan baterii w telefonie. Była naładowana. Wsunęła telefon do tylnej kieszeni spodni. Zobaczyła kanadyjskie prawo jazdy Laury i jej kartę ubezpieczenia zdrowotnego. Przyjrzała się uważnie zdjęciu matki, ignorując dojmującą tęsknotę, jakiej nie chciała odczuwać. Potem spojrzała na siebie w lustrze. Może z powodu fatalnej diety, braku snu, a może noszenia rozpuszczonych włosów coraz bardziej upodobniała się do matki. Recepcjoniści w trzech ostatnich motelach nawet nie porównywali jej ze zdjęciem z prawa jazdy, którym posługiwała się przy meldowaniu.

Wsunęła je do kieszonki w torbie obok czarnego skórzanego portfela.

Portfela Mike'a.

Przez dwa i pół dnia umyślnie unikała otwierania go i spoglądania na przystojną twarz Mike'a, zwłaszcza gdy leżała w łóżku i próbowała o nim nie myśleć, ponieważ niewątpliwie był psychopata, a ona była żalosna.

Zerknęła w stronę domu, sprawdziła podjazd, potem otworzyła portfel.

- Jasna cholera - mruknęła pod nosem.

Mike miał cztery prawa jazdy, całkiem nieźle podrobione, i cztery tożsamości: Michael Knepper z Alabamy, Michael Davey z Arkansas, Michael George z Teksasu i Michael Falcone z Georgii. Gruba skórzana przegroda dzieliła portfel na dwie części. Otworzyła drugą część.

Rany!

Zobaczyła fałszywą odznakę szeryfa. Widziała kiedyś prawdziwą złotą gwiazdę w kole. To była porządna replika, równie przekonująca jak wszystkie jego fałszywe dokumenty. Kimkolwiek był fałszerz, wykonał świetną robotę.

Nagle ktoś zapukał w szybę.

- Kurwa! - przestraszona Andy upuściła portfel i wyrzuciła rękę w górę.

Potem otworzyła szeroko usta, ponieważ osoba, która zapukała w okno, wyglądała jak Clara Bellamy.

- Ej, czemu siedzisz w tej brudnej furgonetce? - zapytała z szerokim uśmiechem.

Andy zastanawiała się, czy wzrok ją myli, czy naoglądała się zbyt wielu nagrań z Clarą Bellamy i teraz widziała ją wszędzie. Kobieta była starsza, miała pomarszczoną twarz i długie siwe włosy, ale niewątpliwie była prawdziwa.

- Wsiadaj, głuptasku. Jest zimno. Chodźmy do środka - powiedziała.

Dlaczego zwracała się do niej jak do kogoś znajomego?

Clara otworzyła drzwi i wyciągnęła do Andy rękę, by pomóc jej wysiąść.

- Mój Boże - powiedziała. - Wyglądasz na zmęczoną. Andrea znowu nie dała ci spać? Zostawiłaś ją w hotelu?

Andy otworzyła usta, ale nie wiedziała, co mówić. Zajrzała Clarze w oczy, zastanawiając się, kogo widzi kobieta, która na nią patrzy.

- O co chodzi? Potrzebujesz Edwina? - dopytywała Clara.

- Uhm - chrząknęła Andy. - Czy on... czy Edwin tu jest?

Clara omiotła wzrokiem teren przed stodołą.

- Jego auta nie ma.

Andy czekała na dalszy ciąg.

- Położyłam Andreę spać - dodała, jakby zapomniała, że przed chwilą pytała, czy Andrea nie została w hotelu.

Czy chodziło jej o Andreę, czyli Andy, czy o kogoś zupełnie innego?

- Napijemy się herbaty? - Nie czekając na odpowiedź, otoczyła Andy ramieniem i ruszyła w stronę domu. - Nie wiem dlaczego, ale dzisiaj rano myślałam o Andrew. O tym, co go spotkało. - Położyła rękę na szyi i nagle zaczęła płakać. - Jane, tak mi przykro.

- Uhm... - Andy nie miała pojęcia, o czym mówi Clara, ale poczuła dziwne pragnienie zawtórowania jej płaczem.

Andrew? Andrea?

- Nie poruszajmy dziś takich przygnębiających tematów. Dostyc się w życiu nacierpiałaś. - Clara otworzyła frontowe drzwi stopą. - Opowiedz mi, co u ciebie. Wszystko dobrze? Nadal masz kłopoty ze snem?

- Uhm - wykrztusiła Andy, ponieważ nic innego nie przychodziło jej do głowy. - Byłam... - Usiłowała wymyślić coś,

co sprowokuje Clare do mówienia. – A ty? Co porabiałaś?

– Byłam bardzo zajęta. Oglądałam zdjęcia w gazetach. Szukałam pomysłów na pokój dla dziecka. I uzupełniałam album z wycinkami z czasów mojej kariery. Najgorszy rodzaj pychy, ale mam coś na swoje usprawiedliwienie. To dziwne, lecz zapomniałam większość moich występów. A ty?

– Uhm... – Andy nadal nie wiedziała, o czym mówi ta kobieta. Clara zaśmiała się.

– Założę się, że ty pamiętasz każdy. Zawsze miałaś świetną pamięć. – Pchnęła stopą wahadłowe drzwi. – Siadaj, zrobię herbatę.

Andy uświadomiła sobie, że jest w innej kuchni z inną nieznaną, która mogła wiedzieć wszystko o jej matce.

– Chyba mam ciasteczka. – Clara zaczęła otwierać szafki.

Andy rozejrzała się po kuchni. Była nieduża, odcięta od reszty domu i raczej niewiele się zmieniła od czasu jego wybudowania. Metalowe szafki były pomalowane na zielononiebiesko. Blaty były zrobione ze stołu rzeźnickiego. Sprzęt kuchenny wyglądał jak wyjęty z planu sitcomu *Rodzina Partridge'ów*.

Na ścianie przy lodówce wisiała duża tablica. Ktoś napisał na niej:

Claro: jest niedziela. Edwin będzie w mieście od pierwszej do czwartej. Lunch jest w lodówce. Nie używaj kuchenki.

Clara przekręciła palnik. Z iskrownika dobiegła seria kliknięć, zanim pojawił się gaz.

– Rumianek? – zapytała.

– Uhm, tak. – Andy usiadła przy stole. Układała w myślach pytania do Clary, na przykład który mamy rok albo kto jest prezydentem, ale były zbędne. Nikt nie zostawia takich wiadomości na tablicy osobie, która nie ma kłopotów

z pamięcią.

Poczuła przemożny smutek, który po chwili ustąpił miejsca poczuciu winy, ponieważ jeśli Clara miała początki choroby Alzheimera, to znaczy, że nie pamiętała zdarzeń z ubiegłego tygodnia, w przeciwieństwie do wydarzeń sprzed trzydziestu jeden lat.

- O jakich kolorach do pokoju myślałaś? - zapytała Andy.

- Różowy wykluczony - odparła zdecydowanie Clara. - Może zielony i żółty?

- Dobry pomysł. Jak słoneczniki przed domem. - Andy chciała skłonić Clarę do mówienia, żeby sama nie musiała odpowiadać na pytania.

- Właśnie. - Clarze wyraźnie spodobało się to porównanie. - Edwin mówi, że spróbujemy, jak to wszystko się skończy, ale sama nie wiem. Chyba powinniśmy zacząć już teraz. Czas ucieka. Młodsza nie będę. - Położyła rękę na brzuchu i zaśmiała się. Jej śmiech chwycił Andy za serce.

Clara Bellamy emanowała dobrocią. Oszukiwanie jej wydawało się podłe.

- Jak się czujesz? Ciągłe jesteś wyczerpana?

- Już mi lepiej. - Andy patrzyła, jak Clara wlewa zimną wodę do kubków. Nie postawiła czajnika na gazie. Andy wstała, żeby wyłączyć palnik i zapytała: - Pamiętasz, jak się poznałyśmy? Próbuję sobie przypomnieć szczegóły tamtego dnia.

- Och, to takie straszne. - Clara dotknęła palcami szyi. - Biedny Andrew.

Znowu Andrew.

Andy ponownie usiadła przy stole. Nie była przygotowana na uciekanie się do podstępów. Ktoś bystrzejszy wiedziałby, jak wyciągnąć informacje z tej chorej i zdezorientowanej kobiety. Paula Kunde skłoniłaby ją pewnie do wyśpiewania wszystkiego.

Myśl o Pauli nasunęła Andy pomysł.

- Kilka dni temu widziałam Paulę - rzuciła.

Clara przewróciła oczami.

- Mam nadzieję, że tak się do niej nie zwróciłaś.

- A jak miałabym ją nazwać? Suka?

Clara roześmiała się i usiadła przy stole. Włożyła torebki herbaty do zimnej wody.

- Tego bym jej prosto w oczy nie powiedziała. Penny pewnie chciałaby nas wszystkich ujrzeć martwych.

Penny?

Przez chwilę Andy powtarzała w myślach to imię. Nagle przypomniała sobie jednodolarowy banknot, który Paula Kunde wcisnęła jej do ręki. W tej chwili miała na sobie te same dzinsy, co podczas spotkania z Paulą. Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła z niej banknot ciasno zwinięty w kulkę. Położyła go na stole, wygładziła i przesunęła w stronę Clary.

- Ach... - Usta Clary ułożyły się w psotny grymas. - Głupia Suka melduje się na rozkaz.

Kolejny spektakularny sukces.

Andy musiała skończyć z subtelnością.

- Pamiętasz nazwisko Pauli?

Clara uniosła brwi.

- Czy to test? Myślisz, że nie pamiętam?

Andy usiłowała rozszyfrować ostre tony w jej głosie. Czyżby zirytowała Clare i straciła szansę na zdobycie informacji?

Nieoczekiwanie Clara rozładowała napięcie wybuchem śmiechu.

- Jasne, że pamiętam. Co w ciebie wstąpiło, Jane? Zachowujesz się dziwnie.

Jane?

Clara powtórzyła to imię.

- Jane? - ponagliła, najwyraźniej oczekując odpowiedzi.

Andy bawiła się nitką torebki herbaty. Woda nabrała pomarańczowej barwy.

- Problem polega na tym, że zapomniałam. Ona teraz używa innego nazwiska.

- Penny?

Penny?

- Chodzi o to, że... - Andy miała już dość tych gier. - Powiedz mi, jak ona się nazywała? Podaj mi jej nazwisko.

Pod wpływem natarczywości w głosie Andy Clara cofnęła się przestraszona, a z oczu popłynęły jej łzy.

Andy poczuła się jak idiotka.

- Przepraszam. Nie chciałam na ciebie naskakiwać.

Clara wstała. Podeszła do lodówki i otworzyła ją. Zamiast coś z niej wyjąć, po prostu stała przy otartych drzwiach.

- Claro, tak mi przykro...

- Evans. Paula Louise Evans.

Radość Andy zmącił piekący wstyd.

- Nie jestem jeszcze całkiem szurnięta - odezwała się Clara, stojąc plecami do Andy. - Ważne rzeczy pamiętam. Zawsze pamiętałam.

- Wiem. Bardzo przepraszam.

Clara zachowała swoje zdanie dla siebie, zapatrzona w otwartą lodówkę.

Andy chciała paść przed nią na kolana i błagać o przebaczenie, a jednocześnie jak najszybciej pobiec do auta po laptop. Potrzebowała jednak dostępu do Internetu, by poszukać informacji o Pauli Louise Evans. Wahala się, lecz tylko przez chwilę.

- Czy znasz... - zaczęła i natychmiast urwała, ponieważ Clara najprawdopodobniej nie miała pojęcia, co to jest Wi-Fi, nie

mówiąc już o hasle dostępu. Musiała przeformułować pytanie. – Czy w domu jest jakiś gabinet?

– Oczywiście. – Clara zamknęła lodówkę i odwróciła się do Andy. Jej twarz znowu jaśniała ciepłym uśmiechem. – Chcesz zadzwonić?

– Tak – odparła Andy, ponieważ przytaknięcie było najkrótszą drogą do celu. – Mogę?

– Czy chcesz dzwonić gdzieś daleko?

– Nie.

– To dobrze. Edwin ostatnio psioczył na wysokość rachunków telefonicznych. – Uśmiech Clary gdzieś pierzchnął. Znowu straciła wątek.

– Kiedy skończę rozmawiać przez telefon w gabinecie, porozmawiamy sobie o Andrew – zaproponowała Andy.

– Oczywiście – rozpromieniła się Clara. – Chodźmy do gabinetu. Nie jestem pewna, gdzie jest Edwin. Ostatnio bardzo dużo pracował. Te wieści bardzo go zmartwiły.

Andy nie zapytała, o jakie wieści chodzi, ponieważ nie chciała ryzykować wywołania u Clary emocjonalnego wybuchu.

Poszła za Clarą. Mimo uszkodzonego kolana była tancerka poruszała się z gracją. Stopami ledwo dotykała podłogi. Andy nie mogła podziwiać w pełni tego widoku, ponieważ dręczyły ją pytania, na które nie знаła odpowiedzi:

Kim była Jane?

Kim był Andrew?

Dlaczego Clara płakała na każdą wzmiankę o nim?

I skąd w niej raptem potrzeba chronienia tej kruchej kobiety, którą widziała pierwszy raz w życiu?

– Tutaj. – Clara zatrzymała się na końcu korytarza i otworzyła drzwi do pokoju, w którym kiedyś najpewniej mieściła się sypialnia, a teraz schludny gabinet z rzędem zamykanych szaf

na dokumenty, sekretarzykiem z żaluzjową pokrywą i MacBookiem Pro na podłokietniku skórzanej kanapy. – Czego potrzebowałaś? – zapytała z uśmiechem.

Andy znowu się zawahała. Powinna wrócić do McDonalda i tam skorzystać z Wi-Fi. Nie było powodu, żeby robić to tutaj. Tyle że nadal chciała poznać odpowiedzi. A jeśli w sieci niczego nie znajdzie o Pauli Louise Evans? Wtedy będzie musiała tu wrócić. Tylko że pewnie Edwin Van Wees już będzie w domu i nie pozwoli rozmawiać jej z Andy.

– Pomóc ci w czymś? – zapytała Clara.

– Może przy komputerze?

– To łatwe. Nie są takie straszne, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. – Clara usiadła na podłodze. Otworzyła MacBooka. Na ekranie pojawiło się żądanie hasła. Andy spodziewała się, że Clara będzie miała kłopot z przypomnieniem go sobie, ale przytknęła palec do czytnika Touch ID i ekran ożył.

– Musisz siedzieć tutaj, inaczej słońce pada na ekran i nic nie widać – powiedziała.

Chodziło jej o wielkie okno za kanapą. Andy widziała przez nie furgonetkę Mike’a stojącą przed stodołą. Ciągle mogła stąd wyjść. Do powrotu Edwina pozostała niecała godzina. Jeśli miała odjechać, to właśnie teraz.

– Chodź, Jane. Pokażę ci, jak go używać. To nie jest zbyt skomplikowane.

Andy usiadła przy niej na ziemi.

Clara położyła otwarty laptop na siedzeniu kanapy, by obie mogły widzieć ekran.

– Oglądałam wideo z moimi występami. Czy to oznaka strasznej próżności?

Andy spojrzała na kobietę, która rozmawiała z nią jak z wieloletnią przyjaciółką, i odparła:

- Ja też oglądałam twoje nagrania. Prawie wszystkie. Byłaś... jesteś - poprawiła się - cudowną tancerką, Claro. Wcześniej nie za bardzo lubiłam balet, ale patrząc na ciebie, zrozumiałam, że to wspaniała sztuka.

Clara musnęła koniuszkami palców nogi Andy.

- Och, skarbie, jesteś urocza. Wiesz, że to samo myślę o tobie.

Andy nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc zajęła się laptopem. Znalazła wyszukiwarkę. Nerwowo przebierała palcami nad klawiaturą, pociła się i drżała bez powodu. Zaciśnęła dłonie w pięści, by odzyskać nad nimi kontrolę. W końcu położyła palce na klawiaturze i powoli napisała:

PAULA LOUISE EVANS.

Mały palec Andy zawisł nad klawiszem Enter. To był ten moment. Za chwilę miała dowiedzieć się czegoś o tej koszmarnej kobiecie, która знаła jej matkę trzydzieści jeden lat temu.

Wcisnęła Enter.

Jasny gwint!

Paula Louise Evans miała własną stronę w Wikipedii.

Andy kliknęła w link.

Ostrzeżenie na górze ekranu informowało, że wpis zawiera treści kontrowersyjne. Co miało sens, ponieważ Paula sprawiała wrażenie, że uwielbia kontrowersje.

Andy czuła narastającą nerwowość. Przebiegała wzrokiem zawartość wpisu: szczegółową biografię, począwszy od nazwy szpitala, w którym przyszła na świat, skończywszy na jej numerze z więzienia dla kobiet w Danberry.

Dorastała w Corte Madera w Kalifornii... Berkeley... Stanford... Zabójstwo.

Serce podeszło Andy do gardła.

Paula Evans zamordowała kobietę.

Andy na chwilę oderwała wzrok od ekranu i spojrzała w sufit. Pomyślała o Pauli, która mierzyła do niej ze strzelby.

- O niej jest tyle informacji. Czy to źle, że jestem trochę zazdrosna? - zapytała Clara.

Andy przewinęła ekran do następnej części życiorysu Pauli:
ZAANGAŻOWANIE W DZIAŁALNOŚĆ ARMII PRZEMIANY ŚWIATA.

Była tam dość niewyraźna fotografia Pauli, a podpis głosił:

Lipiec 1986 r.

Trzydzieści dwa lata temu.

Andy przypomniała sobie, jak dokonywała obliczeń w Carrollton przed bibliotecznym komputerem. Szukała wydarzeń, które miały miejsce mniej więcej w czasie jej poczęcia.

Wybuchy bomb, porwania samolotów, strzelaniny w bankach.

Przyjrzała się bliżej zdjęciu Pauli Evans.

Miała na sobie dziwaczną kieckę, która wyglądała jak bawełniana halka. Dolne powieki były podkreślone grubymi czarnym kreskami, na rękach mitenki, na nogach glany, na głowie beret, w kąciku ust zwisał papieros. W jednej ręce trzymała rewolwer, w drugiej nóż myśliwski. Ten wizerunek byłby nawet śmieszny, gdyby nie to, że Paula kogoś zamordowała.

I najwyraźniej należała do grupy planującej zniszczenie starego świata.

- Jane? - Clara narzuciła sobie na ramiona niebieski dziergany pled. - Napijemy się herbaty?

- Za chwilę - odparła Andy, wpisując imię JANE do wyszukiwarki na stronie Pauli w Wikipedii.

Nic.

ANDREW.

Też nic.

Kliknęła w link, który przeniósł ją na stronę ARMII PRZEMIANY ŚWIATA.

Począwszy od zabójstwa Martina Quellera w Oslo...

- QuellCorp - powiedziała Andy.

Clara syknęła.

- Czy to nie okropne?

Andy przejechała kursorem na dół strony i zobaczyła fotografię przywódcy, faceta, który wyglądał jak Zac Efron z oczyma Charlesa Mansona. Przystępstwa dokonane przez członków grupy były wymienione w punktach. Po zabójstwie Martina Quellera porwali i zamordowali profesorkę z Berkeley. Brali udział w strzelaninie, po której zarządzono poszukiwania na terenie całych Stanów. Ich stuknięty przywódca napisał list z żądaniem okupu, który został opublikowany na pierwszej stronie *San Francisco Chronicle*.

Andy kliknęła w link do listu.

Przeczytała pierwszą część o faszystowskim reżimie, aż oczy jej się zaszklily.

Podobne treści mogliby wymyślić komiksowi Calvin i Hobbes podczas spotkania Klubu Wrogów Wstrętnych Dziewczyn, by pognać Susie Derkins.

Wróciła do strony Armii i w spisie treści znalazła punkt CZŁONKOWIE. Większość nazwisk była oznaczona na niebiesko jako hiperłącze w morzu tekstu napisanego czarną czcionką. Dziesiątki ludzi. Jakim cudem nigdy nie trafiła na żadną informację o tej wariackiej sekcji?

William Johnson. Nie żyje.

Franklin Powell. Nie żyje.

Metta Larsen. Nie żyje.

Andrew Queller...

Andy podskoczyła z wrażenia, ale nazwisko Andrew było napisane na czarno, co oznaczało, że nie ma osobnej strony. Nie trzeba było jednak wybitnej bystrości, żeby powiązać go z QuellCorp i jego zamordowanym imiennikiem.

Wróciła do fragmentu o Martinie Quellerze i kliknęła w hiperłącze z nazwiskiem. Okazało się, że jest więcej sławnych Quellerów, o których istnieniu nie miała pojęcia. Żona Martina, Annette Queller z domu Logan, pochodziła ze starej dobrej rodziny. Studiowanie jej drzewa genealogicznego zajęłoby długie godziny. Ich najstarszy syn, Jasper Queller, był oznaczony hiperłączem, ale Andy już знаła tego zakichanego miliardera, który bez powodzenia walczył o prezydenturę.

Najechała kursorem na kolejną osobę:

Córka - Jane „Jinx” Queller.

- Jane? - odezwała się Clara, ponieważ Alzheimer uwięził jej umysł w czasach sprzed ponad trzydziestu lat, kiedy znała kobietę o imieniu Jane, która wyglądała tak samo jak Andy.

Tak jak Andy wyglądała identycznie jak Daniela B. Cooper na zdjęciu w fałszywym kanadyjskim prawie jazdy.

Jej matka.

Andy zaczęła płakać. Nie tyle płakać, ile szlochać. Spazmy chwyciły ją za gardło, po twarzy leciały łzy, z nosa ciekły gile. Pochyliła się, opierając czoło o siedzenie kanapy.

- Och, kochanie. - Clara uklękła przy niej i objęła ją ramionami.

Andy potrząsnęła smutno głową. Czy prawdziwe imię i nazwisko Laury brzmiało Jane Queller? Dlaczego to jedno kłamstwo znaczyło więcej niż inne?

Clara zdjęła laptop z kanapy i zaczęła coś pisać.

- Już dobrze, skarbie. Ja też płaczę, kiedy oglądam swoje

nagrania, ale spójrz na to. To jest doskonałość. – Przesunęła laptop, by znalazł się między nimi.

Andy zaczęła wycierać oczy. Clara włożyła jej do ręki chusteczkę. Andy wydmuchała nos, próbowała zatamować łzy. Spojrzała na ekran laptopa.

Clara znalazła w zasobach YouTube'a nagranie wideo.

REWELACJA!!! JINX QUELLER W CARNEGIE HALL 1983!!!

Co?

– Och, ta zielona sukienka! – Oczy Clary błyszczały z emocji. Kliknęła w ikonkę pełnego ekranu. – *Fait accompli* – oznajmiła.

Andy popatrzyła w ekran. Nagranie było niewyraźne, rozmazane, o dziwnych kolorach, jak wszystko inne z lat osiemdziesiątych. Na scenie siedziała już orkiestra. Pośrodku stał ogromny fortepian.

– Och! – Clara włączyła dźwięk.

Andy usłyszała lekki szmer na widowni.

– To była moja ulubiona część. Zawsze zerkałam zza kulis, żeby poczuć nastrój na widowni.

Z jakiegoś powodu Andy wstrzymała oddech.

Widownia ucichła.

Zza kulis wyszła bardzo szczupła kobieta w ciemnozielonej wieczorowej sukni.

– Co za elegancja – szepnęła Clara, ale Andy nie dosłyszała tego komentarza.

Kobieta zmierzająca w stronę fortepianu była bardzo młoda, miała może osiemnaście lat, i na pewno czuła się niekomfortowo w szykownych butach na wysokim obcasie. Na rozjaśnionych, niemal białych włosach miała trwałą. Kamera pokazała widownię. Ludzie zgotowali jej owację na stojąco, zanim jeszcze odwróciła się i spojrzała na nich.

Po chwili kamera pokazała w przybliżeniu twarz kobiety.

Serce podskoczyło Andy w piersi.

Laura.

Na nagraniu jej matka ukłoniła się lekko. Ze stoickim spokojem patrzyła na twarze tysięcy ludzi. Andy widziała już to spojrzenie u innych artystów. Wyrażało absolutną pewność. Zawsze uwielbiała przyglądać się transformacji, jakiej podlegali aktorzy, gdy wychodzili z za kulis. Podziwiała, że potrafią stanąć przed tłumem obcych i krytycznie nastawionych ludzi, i przekonująco udawać kogoś innego.

Jak jej matka, która udawała przez całe życie Andy.

Pełna wszelkiego kitu.

Owacje zaczęły cichnąć, gdy Jinx Queller usiadła za pianinem.

Skinęła głową dyrygentowi.

Dyrygent uniósł ręce.

Widownia zamarła.

Clara pogłośniła dźwięk maksymalnie.

Rozbrzmiały skrzypce. Delikatne wibracje łaskotały błonę bębnekową. Tempo wzrosło, potem zwolniło, potem znowu przyspieszyło.

Andy nie znała się na muzyce, zwłaszcza klasycznej. Laura nigdy nie słuchała jej w domu. Red Hot Chili Peppers. Heart. Nirvana. Utwory tych zespołów towarzyszyły jej najczęściej podczas jazdy samochodem, domowej krzątaniny czy pracy nad dokumentacją pacjentów. Znała słowa *Mr. Brightside* przed wszystkimi innymi. Ściągnęła płytę *Lemonade* w wieczór premiery. Jej eklektyczny gust czynił z niej supermamę, z którą można było spokojnie porozmawiać bez obaw o surową ocenę upodobań.

Ponieważ grała w Carnegie Hall i doskonale wiedziała, o czym mówi.

Na nagraniu Jinx Queller nadal czekała przy pianinie z dłońmi wspartymi na kolanach i wzrokiem skierowanym przed siebie. Do skrzypiec dołączyły inne instrumenty. Andy nie wiedziała dokładnie jakie, ponieważ matka nigdy nie nauczyła jej niczego o muzyce. Odwiodła Andy od dołączenia do zespołu muzycznego, krzywiła się za każdym razem, gdy Andy sięgała po czynele.

Flety. Andy widziała muzyków wydymających usta.

Smyczki. Oboje. Wiolonczele. Waltornie.

Jinx Queller nadal cierpliwie czekała na swoją kolej przy ogromnym pianinie.

Andy przycisnęła dłoń do brzucha, jakby chciała uspokoić szalejący żołądek. Zrobiło jej się niedobrze od nerwowego napięcia, z jakim patrzyła na kobietę z nagrania.

Jej matkę.

Obcą kobietę.

O czym myślała zastygła w oczekiwaniu Jinx Queller? Czy zastanawiała się, jaki obrót przybierze jej życie? Czy wiedziała, że pewnego dnia będzie miała córkę? Czy wiedziała, że już za cztery lata na świecie pojawi się Andy i oderwie ją od tego fascynującego życia?

W drugiej minucie i dwudziestej drugiej sekundzie jej matka w końcu uniosła dłonie nad klawiaturę. Napięcie wyczuwalnie wzrosło.

Po chwili dotknęła palcami klawiszy.

Na początku lekko. Wydobyła z instrumentu tylko kilka nut. Melodia rozwijała się nieśpiesznie, płynęła leniwie.

Znowu odezwały się skrzypce. Dłonie Jinx przyśpieszyły, biegając po klawiaturze swobodnie i z gracją, wydobywając najpiękniejszy dźwięk, jaki Andy słyszała w życiu.

Łagodny. Harmonijny. Głęboki. Żywiołowy.

Brakowało przymiotników na opisanie tego, co Jinx Queller wydobywała z instrumentu.

W sercu Andy wezbrały emocje.

Duma. Radość. Euforia. Konfuzja.

Współgrały z emocjami jej matki, kiedy muzyka przechodziła od dostojnej przez dramatyczną po elektryzującą i wzruszającą. Każdy ton znajdował odbicie w wyrazie jej twarzy, uniesieniu brwi, zamknięciu oczu, ruchu warg. Była absolutnie zachwycająca. Emanowała pewnością siebie rozjaśniającą ziarnisty ekran niczym promienie słońca. Na jej wargach igrał tajemniczy leciutki uśmiech, jakiego Andy nigdy nie widziała u swojej matki. Bardzo młoda Jinx Queller wyglądała jak kobieta, która jest dokładnie tam, gdzie powinna być.

Nie w Belle Isle. Nie na wywiadówkach, nie na kanapie w gabinecie podczas pracy z pacjentem, lecz na scenie, trzymając w dłoniach cały świat.

Andy otarła oczy. Łzy kapały jej ciurkiem. Nie rozumiała, jakim cudem jej matka nie opłakiwała codziennie swojego poprzedniego życia.

Jak można porzucić coś tak magicznego?

Siedziała jak zaczarowana do ostatniej sekundy filmu. Nie mogła oderwać oczu od ekranu. Czasem dłonie jej matki przebiegały całą długość klawiatury, czasem jedna zawisała nad drugą, palce poruszały się niezależnie na białych i czarnych klawiszach w sposób, jaki przypominał Andy Laurę zagniatającą ciasto w kuchni.

Uśmiech nie schodził jej z ust aż do ostatniego żywiołowego taktu.

Po ostatniej nucie jej dłonie powędrowały na kolana.

Widownia oszalała. Ludzie zerwali się z krzeseł. Oklaski przeszły w ścianę dźwięku brzmiącą niczym jednostajny szum

letniego deszczu.

Jinx Queller pozostała na stołku, z dłońmi na kolanach, wpatrzona w klawisze. Oddychała ciężko jak po fizycznym wysiłku. Miała skulone ramiona. Skłoniła głowę. Sprawiała wrażenie, że przez chwilę chce pobyc z instrumentem i z sobą, by nacieszyć się doznaniem absolutnej perfekcji.

Skłoniła głowę jeszcze raz. Wstała. Uścisnęła dłoń dyrygentowi. Pomachała muzykom w orkiestrze. Wszyscy już stali, kłaniając się jej i klaszcząc.

Gdy zwróciła się ku widowni, owacje jeszcze bardziej nabrały mocy. Ukłoniła się lewej stronie sali, potem prawej, na końcu środkowi. Uśmiechnęła się, ale tym razem nie tak pewnie i nie tak radośnie, po czym zeszła ze sceny.

W tym miejscu nagranie się skończyło.

Andy zamknęła laptop, zanim zdążył się załadować kolejny film.

Spojrzała przez okno za kanapą. Słońce jaśniało na bezchmurnym niebie. Łzy kapały jej za dekolt koszulki. Szukała w myślach odpowiedniego słowa na opisanie swoich uczuć...

Zdumienie? Oszołomienie? Wstrząs? Osłupienie?

Laura była tym, kim ona chciała być przez całe życie.

Gwiazdą.

Popatrzyła na własne dłonie. Miała normalne palce, niezbyt długie i niezbyt smukłe. Podczas choroby, kiedy Laura nie była w stanie zająć się sobą, myła ręce matki, nakładała na nie balsam, masowała, trzymała je w dłoniach. Ale jak naprawdę wyglądały? Musiały być zgrabne, czarujące, obdarzone niezwykłą łaską. Podczas masowania Andy czuła emanującą z nich tajemną moc.

Mimo to były tymi samymi rękami, którymi Laura pośpieszała Andy rano, by nie spóźniła się do szkoły. Grzebała nimi

w ziemi, kiedy nadchodził czas sadzenia wiosennych kwiatów. Obejmowała Gordona za szyję podczas tańca. Machała nimi z furją, sztorcując Andy, gdy zrobiła coś złego.

Dlaczego?

Andy zamrugła, usiłując zapanować nad łzami. Clara zniknęła. Może nie była w stanie znieść bólu Andy albo smutku Jane Queller podczas obserwowania swego występu sprzed lat. Obie najwyraźniej omawiały ten koncert niejedną raz.

Ta zielona suknia!

Andy sięgnęła do tylnej kieszeni po telefon na kartę.

Wybrała numer matki.

Wysłuchiwała się w sygnał.

Zacisnęła powieki, chroniąc je przed palącym blaskiem słońca. Oczyma wyobraźni zobaczyła Laurę, jak w kuchni podchodzi do telefonu, który ładuje się na blacie. Widzi nieznaną numer na wyświetlaczu. Zastanawia się, czy odebrać. Automatyczna wiadomość telefoniczna z firmy marketingowej? Nowy klient?

- Halo? - rzuciła do słuchawki Laura.

W Andy coś pękło. Od niemal tygodnia czekała na telefon od matki, na jej umówione słowa o bezpiecznym powrocie do domu, ale gdy teraz ją usłyszała, była w stanie tylko płakać.

- Halo? - powtórzyła Laura. A ponieważ już miewała takie telefony, dodała: -Andrea?

Andy straciła resztki panowania nad sobą. Pochyliła się, niemal dotykając twarzą kolan, próbując zapanować nad szlochem.

- Andreo, dlaczego dzwonisz? - rzuciła zaniepokojona Laura.

- Co się dzieje?

Andy otworzyła usta, ale zamiast się odezwać, wzięła głęboki oddech.

- Andreo, proszę cię. Muszę mieć potwierdzenie, że mnie słyszysz. - Laura zawiesiła głos. - Andy...

- Kim jesteś?

Laura zamilkła. Andy nie słyszała nawet jej oddechu. Minęły sekundy, które zamieniły się w długą jak wieczność minutę.

Andy spojrzała na ekran telefonu. Zastanawiała się, czy połączenie nie zostało przerwane. Przycisnęła telefon mocniej do ucha, aż w końcu wychwyciła dźwięk łagodnego bicia fal o brzeg. Laura wyszła z domu. Siedziała na tylnej werandzie.

- Okłamałaś mnie - powiedziała.

Odpowiedziała jej cisza.

- Co do daty moich urodzin. Miejsca urodzenia. Miejsca zamieszkania. To nieprawdziwe zdjęcie moich nieprawdziwych dziadków. Wiesz chociaż, kto jest moim ojcem?

Laura nadal się nie odzywała.

- Byłaś kimś, mamó. Widziałam cię w Internecie. Na scenie w... Carnegie Hall. Ludzie cię uwielbiali. Osiągnięcie takiego poziomu musiało trwać lata. Całe twoje życie. Byłaś kimś i zrezygnowałaś z tego.

- Mylisz się - odezwała się w końcu Laura. W jej głosie nie było emocji, tylko czysta beznamiętność. - Jestem nikim i właśnie tym chcę być.

Andy przycisnęła palce do oczu. Nie mogła dłużej znieść tych cholernych zagadek. Miała wrażenie, że za chwilę mózg jej eksploduje.

- Gdzie jesteś? - zapytała Laura.

- Nigdzie.

Andy chciała zamknąć telefon, posłać Laurze największe milczące „wal się”, na jakie mogła się zdobyć, ale chwila była zbyt ważna na takie puste gesty.

- Jesteś chociaż moją prawdziwą matką?

- Oczywiście. Rodziłam cię przez szesnaście godzin. Lekarze myśleli, że obie umrzemy. Ale się pomylili. Nie umarłyśmy. Przetrwałyśmy.

Andy usłyszała samochód podjeżdżający pod dom.

Cholera!

- An...Andreo... - Laura z trudem wymówiła imię córki. - Gdzie jesteś? Muszę wiedzieć, czy jesteś bezpieczna.

Andy klęknęła na kanapie i wyjrzała przez okno. Edwin Van Wees z tymi idiotycznymi wąsami. Zobaczył furgonetkę Mike'a, wyskoczył z auta i długimi susami popędził do drzwi wejściowych.

- Claro! - ryknął. - Claro, gdzie jesteś?

Andy usłyszała głos Clary, ale nie potrafiła rozróżnić słów.

Laura musiała coś usłyszeć.

- Gdzie jesteś? - powtórzyła.

Andy słyszała tupanie ciężkich butów na korytarzu.

- Andreo... - W głosie Laury pobrzmiwało napięcie. - To śmiertelnie poważne. Musisz mi powiedzieć...

- Coś ty za jedna? - rzucił Edwin.

Andy odwróciła się w jego stronę.

- Cholera - mruknął na jej widok. - Andrea.

- Czy to... - zaczęła Laura, ale Andy przycisnęła telefon do piersi.

- Skąd mnie znasz? - zwróciła się do Edwina.

- Odejdź od okna. - Edwin dał jej znak, żeby się stamtąd usunęła. - Nie możesz tu zostać. Musisz iść. Natychmiast.

Andy ani drgnęła.

- Powiedz, skąd mnie znasz - powtórzyła.

Edwin zobaczył w jej dłoni telefon.

- Z kim rozmawiasz?

Kiedy Andy nie odpowiedziała, wyrwał jej telefon i przyłożył

go do ucha.

- Kto mówi? - warknął. - O kurwa - rzucił po chwili i odwrócił się do Andy plecami. - Nie. Nie mam pojęcia, co Clara jej powiedziała. Wiesz, że nie jest z nią najlepiej. - Zaczął kiwać głową, słuchając. - Nie powiedziałem jej. Nie. Clara o tym nie wie. To informacja objęta tajemnicą zawodową. Nigdy bym... - Urwał. - Lauro, uspokój się. Nikt prócz mnie nie wie, gdzie to jest.

Znali się. Kłócili się w taki sposób, w jaki mogą się kłócić tylko starzy znajomi. Edwin poznał Andy od razu. Clara wzięła ją za Jane, którą tak naprawdę była Laura...

Andy zaczęła szczekać zębami. Ten dźwięk przeniknął jej aż do mózgu. Potarła ramiona dłońmi. Było jej zimno. Miała wrażenie, że zamarza.

- Lauro, ja... - Edwin pochylił głowę i wyjrzał przez okno. - Musisz mi zaufać. Wiesz, że nigdy nie... - Odwrócił się i spojrzał na Andy. Widziała, jak złość ustępuje miejsca innemu uczuciu. Uśmiechnął się do niej tak samo jak Gordon, kiedy coś schrzaniła, a on mimo wszystko chciał, by wiedziała, że ją kocha.

Dlaczego mężczyzna, którego nigdy dotąd nie spotkała, spoglądał na nią jak ojciec?

- Dobrze, Lauro - powiedział Edwin. - Obiecuję, że...

Rozległ się donośny trzask.

Potem następny.

I jeszcze jeden.

Andy znalazła się na podłodze, zupełnie jak ostatnim razem, gdy usłyszała nagły wystrzał.

Wszystko potoczyło się dokładnie tak samo.

Szyba pękła. Dookoła zaczęły fruwać papiery i odłamki szkła.

Edwin wziął na siebie kule. Wyrzucił ramiona w górę, a jego

czaszka omal nie wyparowała. Kości i kosmyki włosów wystrzeliły na kanapę, na ściany, na sufit.

Andy leżała na brzuchu, zasłaniając głowę rękami, kiedy usłyszała głuchy dźwięk, gdy Edwin padł na ziemię.

Spojrzała mu w twarz, lecz zamiast niej zobaczyła ziejącą dziurę z białymi kawałkami czaszki. Jego usztywnione mocnym woskiem wąsy nadal sterczały zawadiacko ku górze.

Poczuła w ustach smak krwi. Serce waliło jej jak oszalałe, miała wrażenie, że przemieściło się do jej uszu. Myślała, że ogłuchła, ale po ataku nastąpiła cisza.

Napastnik przestał strzelać.

Andy omiotła wzrokiem pokój w poszukiwaniu telefonu i wypatrzyła go jakieś pięć metrów dalej w holu. Nie miała pojęcia, czy jeszcze działa, ale usłyszała głos matki tak wyraźnie, jakby Laura była w pokoju:

„Musisz biec, skarbie. On nie zdąży przeładować na tyle szybko, żeby cię skrzywdzić”.

Próbowała wstać. Z trudem dźwignęła się na kolana, po czym zwymiotowała z bólu. Koktajl mleczny z McDonalda był różowy od krwi. Przy kolejnych atakach torsji miała wrażenie, że ogień pali jej lewą stronę ciała.

Kroki. Na zewnątrz. Coraz bliżej.

Na czworakach zaczęła iść w stronę drzwi, kalecząc dłonie o leżące na ziemi odłamki szkła. Dotarła do holu, gdzie osadził ją w miejscu piekący ból. Przewróciła się na bok, na biodro. Podpierając się rękami, dźwignęła się do pozycji siedzącej i oparła plecami o ścianę. Mózg świdrowało jej przenikliwe zawrozczenie. Z odsłoniętych ramion sterczały na sztorc kawałki szkła.

Wyteńczyła słuch.

Usłyszała dziwny dźwięk na drugim końcu domu.

Klik-klik-klik-klik.

Bębenek obracający się w rewolwerze?

Spojrzała na telefon. Ekran był roztrzaskany.

Nie miała dokąd uciekać. Mogła tylko czekać na rozwój wypadków.

Dotknęła boku ręką. Koszulkę miała przesiąkniętą krwią. Palcami namacała w tkaninie niewielki otwór.

A potem czubkiem palca znalazła otwór w ciele.

Była ranna.

2 SIERPNIA 1986

14

Jane czuła, jakby białe klawisze koncertowego Steinwaya miękły pod opuszkami jej palców. Sceniczne światła grzały prawą część jej ciała. Pozwoliła sobie rzucić ukradkowe spojrzenie na widownię. W światłach dostrzegła kilka twarzy.

Wyrażały entuzjazm.

Bilety na jej koncert w Carnegie Hall rozeszły się już pierwszego dnia. Ponad dwa tysiące miejsc. Była najmłodszą kobietą występującą tu jako solistka. Sala miała doskonałą akustykę. Pogłos wnikał do uszu niczym miód, rozciągając i zmiękczając każdą nutę. Steinway dał jej więcej, niż śmiała oczekiwać. Klawisze były luźne na tyle, by wydobyć z nich zniuansowaną subtelność, która wypełniła przestrzeń niemal eteryczną falą dźwięku. Czuła się niczym czarodziejka, czyniąca najbardziej niezwykle czary. Każde dotknięcie klawisza było doskonałe. Orkiestra była doskonała. Widownia była doskonała. Jane powędrowała wzrokiem ku pierwszemu rzędowi.

Jasper, Annette, Andrew, Martin...

Nick.

Klaskał. Uśmiechał się dumnie.

Zgubiła nutę, potem kolejną. Grała w rytm *staccato* ruchów rąk Nicka, czego nie robiła, odkąd Martin posadził ją pierwszy raz na stołku i kazał grać. Hałas potęgował się w miarę, jak klaskanie Nicka odbijało się echem o ściany sali. Musiała zakryć uszy. Muzyka ucichła. Usta Nicka wykrzywiły się w grymasie szyderstwa. Nie przestawał klaskać. Krew ściekała mu z dłoni po przedramionach na kolana. Klaskał coraz mocniej, coraz energiczniej. Krew tryskała na jego białą

koszulę, na Andrew, na ojca, na scenę.

Jane otworzyła oczy.

W pokoju było ciemno. Strach i dezorientacja sprawiły, że serce podeszło jej do gardła. Powoli odzyskiwała świadomość. Leżała w łóżku okryta dzierganym pledem. Poznała jego niebieski kolor.

Była na farmie.

Odrzuciła pled i usiadła tak szybko, że nagły zawrót głowy niemal pozbawił ją przytomności. Namacała przełącznik w lampie.

Na stole leżały strzykawka i fiolka.

Morfina.

Igła była nadal zabezpieczona osłonką, ale w fiolce prawie nic nie zostało.

W panice zaczęła oglądać ręce, nogi i stopy w poszukiwaniu śladów wkłucia.

Nic takiego nie zobaczyła, więc czego się bała? Że Nick ją odurzył? Że wstrzyknął jej zainfekowaną krew Andrew?

Dotknęła dłonią szyi. Nick ją dusił. Pamiętała ostatnie chwile w łazience, gdy rozpaczliwie walczyła o haust powietrza. Gardło jej pulsowało pod palcami Nicka. Skóra stała się wrażliwa na dotyk. Przesunęła dłoń niżej. Położyła ją na zaokrąglonym brzuchu. Powoli przesunęła ją jeszcze niżej. Chciała sprawdzić, czy spomiędzy nóg nie wypływa krew. Dłoń okazała się czysta. Kamień spadł jej z serca.

Nick nie wytrząsnął z niej kolejnego dziecka.

W tej chwili, przynajmniej na razie, jej i dziecku nic nie groziło.

Znalazła skarpetki, włożyła buty, podeszła do wielkiego okna naprzeciw łóżka i odsłoniła kotary. Na zewnątrz panowała ciemność. Jane wypatrzyła zarys furgonetki stojącej przed

stodołą, ale dwa pozostałe samochody zniknęły.

Zaczęła nasłuchiwać odgłosów w domu.

Z drugiego końca dobiegła ją cicha rozmowa. Dźwięk krojenia czegoś na desce. Trzask naczyń.

Pochyliła się, by zapiąć buty. W przebłysku wspomnień zobaczyła siebie przy tej samej czynności sprzed iluś dni. Zanim zeszła na dół, by porozmawiać z agentami Barlowem i Danberrym. Zanim zostawili porsche Jaspera nieświadomi, że nigdy po wóz nie wrócą. Zanim Nick kazał jej wybrać między nim a bratem.

„Anarchiści uważają, że postępują słusznie, póki nie kończą za kratkami albo w kostnicy”.

Drzwi pokoju się otworzyły.

Nie wiedziała, kogo się powinna spodziewać. Na pewno nie Pauli, która warknęła:

- Zaczekaj w salonie.

- Gdzie jest Andrew?

- Poszedł pobiegać. A niby gdzie miałby być, kretyńko? -

Paula pomaszerowała z powrotem korytarzem. Jej kroki dudniły o podłogę jak uderzenia młotów.

Jane wiedziała, że powinna poszukać Andrew, lecz przed rozmową z bratem musiała zebrać się w sobie. Ostatnie dni, a może godziny jego życia, nie powinny być wypełnione wzajemnymi oskarżeniami.

Poszła do łazienki. Skorzystała z toalety, modląc się w duchu, by nie poczuć ostrego bólu albo nie zobaczyć plam krwi.

Spojrzała do muszli klozetowej.

Nic.

Jej uwagę przyciągnęła wanna. Od prawie czterech dni nie kąpała się porządnie. Czowała, że jej skóra stała się woskowa, ale na myśl o zdjęciu ubrania, szukaniu mydła i ręczników straciła

ochotę na kąpiel. Spuściła wodę w toalecie. Myjąc ręce i obmywając twarz ciepłą wodą, unikała patrzenia w lustro. Znalazła niewielką szmatkę, zmoczyła ją, przetarła pachy i krocze. Odetchnęła z ulgą, nie widząc krwi na materiale.

Jesteś aż tak głupia? Naprawdę myślałaś, że pozwolę ci je zatrzymać?

Jane weszła do salonu. Szukała telefonu, ale nigdzie go nie wypatrzyła. Dzwonienie do Jaspera i tak nie miało sensu, skoro telefony członków jej rodziny najpewniej były na podsłuchu. Nawet gdyby Jasper zechciał pomóc, miałyby związane ręce. W tej chwili była zdana wyłącznie na siebie.

Dokonała wyboru.

Sądząc po odgłosach, ktoś przeciągnął telewizor do kuchni.

Zamrugła i cofnęła się w czasie. Nick klęczał przed telewizorem, regulując głośność i nalegając, by wszyscy wraz z nim obejrzeliby ogólnokrajową relację o ich wyczynach. Grupa otoczyła go wianuszkami. Clara na podłodze czerpała energię z ich ekscytacji. Edwin był poważny i czujny. Paula rozpromieniona, wpatrzona w Nicka jak w drugiego Mesjasza. I ona sama, ogłuszona informacjami uzyskanymi od Clary.

Nawet wtedy została w pokoju, zamiast szukać Andrew, ponieważ nadal nie chciała zawieść Nicka. Żadne z nich nie chciało go zawieść. Tego bali się najbardziej. Nie wpadki, nie śmierci, nie odsiadki do końca życia, ale sprawienia zawodu Nickowi.

Wiedziała, że teraz przyjdzie jej zapłacić za opór i niesubordynację. Nick zostawił ją tu z Paulą nie bez powodu.

Oparła dłoń o wahadłowe drzwi do kuchni i nasłuchiwała.

Usłyszała odgłos noża uderzającego o deskę do krojenia. Szmer telewizora w tle. Własny oddech.

Otworzyła drzwi. Kuchnia była mała i zagracona, jednak

miała swój urok. Stół przylegał do laminowanego kontuaru, metalowe szafki pomalowano na wesoły żółty kolor. Wszystkie sprzęty i wyposażenie były nowe.

Przy stole siedział Andrew.

Serce Jane drgnęło na widok brata. Był tu. Nadal żył, chociaż uśmiech, jaki jej posłał, był słaby i blady.

Gestem dał jej znak, żeby wyłączyła telewizor. Przekręciła gałkę i popatrzyła bratu w oczy.

Czy wiedział, co Nick zrobił jej w łazience?

- Mówiłam, żebyś czekała tam - odezwała się Paula, wrzucając przyprawy do garnka na ogniu. - Ej, Głupia Suko, powiedziałam...

Jane pokazała jej środkowy palec i usiadła plecami do niej.

Andrew zachichotał. Na stole stało otwarte metalowe pudełko. Obok leżały teczki. Kluczyk do pudełka Andrew położył przy swoim łokciu. Na dużej kopercie widniał adres „Los Angeles Times”. Andrew wykonywał swoje zadanie dla Nicka. Nawet u progu śmierci pozostał lojalnym żołnierzem swojego dowódcy.

Jane starała się nie okazywać smutku. Choć wydawało się to niemożliwe, Andrew był jeszcze bledszy. Jego oczy wyglądały jak podkreślone czerwoną kredką. Usta nabrały niebieskawego odcienia. Każdemu oddechowi towarzyszyło rżenie, przypominające chrzęst piły o mokry kawałek drewna. Powinien leżeć otoczony troską w szpitalu, a nie ze wszystkich sił starać się utrzymać prosto na twardym krześle.

- Umierasz - powiedziała.

- Ale ty nie - odparł. - Nick zrobił test w zeszłym tygodniu. Jest czysty. Wiesz, że strasznie boi się igieł. Poza tym nigdy go to nie interesowało.

Jane poczuła, że oblewa się zimnym potem. Wcześniej nawet

jej to nie przeszło przez głowę, ale teraz słabo jej się zrobiło na myśl, że nawet gdyby Nick był zarażony, prawdopodobnie by się do tego nie przyznał. Kochaliby się jak przedtem, Jane nosiłaby ich dziecko i poznałaby prawdę dopiero z ust lekarza.

Albo patologa.

- Nic ci nie będzie. Obiecuję - powiedział Andrew.

To nie był odpowiedni moment na nazwanie brata kłamcą.

- A co z Ellis-Anne?

- Jest czysta - odparł Andrew. - Powiedziałem, żeby zrobiła test, jak tylko się dowie... - Przerwał na moment. - Chciała ze mną zostać. Wyobrażasz sobie? Nie mogłem na to pozwolić. To byłoby nie fair. Poza tym szykowaliśmy akcję... - Westchnął ciężko. - Barlow, ten z FBI, mówił mi, że z nią rozmawiali. Pewnie bardzo się przestraszyła. Żałuję. Żałuję wielu rzeczy.

Jane nie chciała, żeby brat snuł te smutne rozważania. Wzięła go za ręce. Wydawały się ciężkie, jakby przygniecione nieuchronnością tego, co nadchodzi. Miał rozpiętą koszulę. Widziała czerwone zmiany skórne na jego klatce piersiowej.

Nie mógł zostać w tym przegrzonym domu z odrobiną morfiny do dyspozycji. Jako siostra nie mogła na to pozwolić.

- O co chodzi? - zapytał.

- Kocham cię.

Andrew niechętnie mówił o swoich uczuciach, ale w odpowiedzi ścisnął jej dłonie i posłał uśmiech, by wiedziała, że on czuje to samo.

- Jezu - mruknęła Paula.

Jane odwróciła się i spiorunowała ją wzrokiem. Paula zaczęła kroić pomidora. Nóż był tępy, skórka pomidora rwała się jak papier.

- Wyczuwam w powietrzu zapach kazirodztwa - rzuciła.

Jane bez słowa odwróciła się do Andrew.

- Położę się i odpocznę, dobrze? - zapytał.

Jane skinęła głową. Mieli większą szansę na wydostanie się stąd bez Andrew biorącego udział w negocjacjach.

- Weź szal. Owiń szyję, żeby ci było cieplej. Tak łatwiej się kaszle - podpowiedziała Paula.

Andrew spojrział na Jane i uniósł sceptycznie brwi. Dźwignął się z krzesła sam, chociaż Jane wyciągnęła rękę, by mu pomóc.

- Tak źle jeszcze ze mną nie jest - powiedział.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy chwiejnie szedł ku wahadłowemu drzwiom. Koszulę miał mokrą od potu. Włosy kleiły mu się do głowy. Odwróciła się od drzwi, gdy Andrew zniknął za nimi i przestały się kołysać.

Przesiadła się na jego miejsce, ponieważ nie chciała siedzieć zwrócona plecami do Pauli. Spojrzała na dokumenty na stole. Dwa z nich miały dla Nicka największą wartość: papier z podpisem Jaspera, potwierdzający jego udział w przekręcie. I polaroidowe zdjęcia przewiązane czerwoną gumką.

- Wiem, co ci chodzi po głowie, ale nigdzie nie pojedziesz - odezwała się Paula.

Jane myślała, że nie jest już w stanie odczuwać jakichkolwiek emocji, ale nigdy nie czuła takiej odrazy do Pauli jak w tej chwili.

- Chcę tylko zawieźć go do szpitala.

- I zdradzić glinom naszą kryjówkę? - Paula parsknęła śmiechem. - Zdejmij te swoje wytworne buciki, bo nigdzie się stąd nie ruszysz.

Jane odwróciła się od niej i oparła splecione dłonie na stole.

- Ej, Głupia Suko. - Paula uniosła koszulkę i pokazała Jane broń zatkniętą za pasek dżinsów. - Tylko nie kombinuj. Z radością podziurawię twój pierdolony ryj sześcioma kulami.

Jane spojrzała na ścienny zegar. Była dziesiąta wieczór.

Grupa chicagowska powinna dotrzeć już do miasta. Nick był w drodze do Nowego Jorku. Musiała znaleźć sposób na wydostanie się stąd.

- Gdzie są Clara i Edwin? - zapytała.

- Selden i Tucker są na pozycjach.

To oznaczało, że są w mieście w mieszkaniu Edwina, który miał tam czekać na wypadek aresztowania któregoś z członków grupy.

- Szpital Northwestern nie może być daleko stąd - powiedziała Jane. - To klinika uniwersytecka. Będą wiedzieć, jak się zająć...

- Do Northwestern prowadzi droga międzystanowa osiemdziesiąt osiem. Jedzie się około czterdziestu pięciu minut. Równie dobrze może to być na księżycu, bo ani ty, ani on nigdzie się stąd nie ruszycie. - Paula oparła rękę na biodrze. - I tak w niczym mu nie pomogą, suko. Odbyłaś ten swój wolontariat na oddziale dla chorych na AIDS, żeby uspokoić sumienie bogaczki. Dobrze wiesz, jak to się kończy. Książę już sobie nie pobzyka. Twój braciszek umrze. Nie dożyje wschodu słońca.

Usłyszawszy tak brutalne potwierdzenie własnych przypuszczeń, Jane poczuła ściskanie w gardle.

- Lekarze mogą mu ulżyć - wydusiła z siebie.

- Po to Nick zostawił fiolkę morfiny.

- Jest prawie pusta.

- Tyle mogliśmy zdobyć w krótkim czasie. Mamy szczęście, że w ogóle się udało. Powinno wystarczyć. A jeśli nie - Paula wzruszyła ramionami - nic się na to nie poradzi.

Jane znowu pomyślała o Benie Mitchellu, jednym z pierwszych młodych mężczyzn, których spotkała na oddziale dla chorych na AIDS. Desperacko pragnął wrócić do

Wyomingu, żeby przed śmiercią zobaczyć rodziców. W końcu lekarze ulegli jego błaganiom. A potem osiem ostatnich minut życia przeżył w męczarniach, dusząc się własną wydzieliną, ponieważ personel miejscowego szpitala bał się włożyć mu do gardła rurkę, która pomogłaby mu oddychać.

Jane знаła uczucie paniki, jakie towarzyszy człowiekowi, kiedy nie może złapać oddechu. Nick dusił ją kilka razy. W trakcie seksu. Kiedy była w poprzedniej ciąży. I kilka godzin temu, kiedy groził, że ją zabije. Bez względu na to, ile razy się to zdarzyło, nie sposób przygotować się na to przerażające doznanie niemożności zaczerpnięcia powietrza w płuca. Na odczucie, że serce napełnia się krwią. Na palący ból wywołany kurczem mięśni. Na palenie w płucach. Na drętwienie dłoni i stóp, gdy całe ciało odmawia posłuszeństwa, ale uparcie trzyma się życia.

Nie mogła pozwolić, by jej brat przeżył choćby minutę takiego horroru. Nie mówiąc już o ośmiu minutach.

- Lekarze mogą podać mu narkozę, żeby był nieświadomy, kiedy przyjdzie najgorsze - powiedziała.

- A może on chce zachować świadomość do ostatniej chwili. Może chce to czuć - odparła Paula.

- Mówisz jak Nick.

- Uznam to za komplement.

- Nie - zaproponowała Jane. - To miało cię skłonić do zastanowienia nad tym, co robisz. Bo to złe. To wszystko jest złe.

- Idea zła i dobra jest patriarchalnym konstruktem służącym kontrolowaniu motłochu.

Jane z niedowierzaniem spojrzała na Paulę.

- Nie mówisz serio.

- Jesteś ślepa jak kret, skoro tego nie widzisz. Przynajmniej

teraz. – Paula złapała nóż i z zamaszystą wściekłością zaczęła kroić marchewki. – Słyszałam cię w furgonetce. Całe to słodkie pitolenie, opowiadanie Nickowi, jaki jest cudowny, jak go kochasz, jak wierzysz we wszystko, co robi, a potem znajdujesz się tutaj i nagle go porzucasz.

– Słyszałaś, jak dusił mnie w łazience, aż straciłam przytomność?

– Z radością słuchałabym tego codziennie do końca życia.

Kawałek marchewki wylądował na podłodze obok Jane.

Gdyby wstała i zrobiła mały krok, zlikwidowałyby dystans między nimi. Mogłaby wyrwać nóż z dłoni Pauli i wyciągnąć jej broń zza paska.

A potem co?

Czy mogła ją zabić? Istniała różnica między pogardą dla kogoś a zamordowaniem go.

– To się stało przed Berlinem, tak? – zapytała Paula, wskazując nożem brzuch Jane. – Myślałam, że przytyłaś, ale... – Gwizdnęła cicho. – Pomyliłam się, niestety.

Jane zerknęła na swój brzuch. Tak pilnie strzegła swojej tajemnicy, a tymczasem wszyscy domyślili się tego sami.

– Nie zasługujesz na urodzenie jego dziecka.

Jane śledziła wzrokiem ruchy noża. Paula nie zwracała na nią uwagi.

Wstań, zrób krok, złap nóż...

– Gdyby to ode mnie zależało, wykroiłabym to z ciebie. – Paula skierowała ostrze noża w stronę Jane. – Mam to zrobić?

Jane udała, że groźba nie zrobiła na niej wrażenia. Musiała myśleć o dziecku. Nie chodziło tylko o Andrew. Gdyby zaatakowała Paulę i przegrała, straciłaby dziecko, zanim mogłaby wziąć je w ramiona.

– Tak myślałam. – Paula wróciła do szatkowania marchewek

z szerokim uśmiechem na twarzy.

Jane opuściła głowę, dotykając brodą klatki piersiowej. Nigdy nie lubiła konfrontacji. Jej metodą były milczenie i nadzieja, że wybuch minie. Właśnie tak postępowała z ojcem. I z Nickiem.

Spojrzała na plik polaroidowych zdjęć na stole. Zdjęcie na wierzchu przedstawiało głęboką ranę na jej nodze. Teraz dotknęła ciała w tym samym miejscu, czując pod palcami brzeg różowej blizny.

Ślady zębów.

Dokładnie pamiętała moment zrobienia tego zdjęcia. Była z Nickiem w Palm Springs. Tam goiły się jej rany i krwiaki. Nick wyszedł na lunch, wrócił z aparatem i filmem do natychmiastowych odbitek.

I powiedział:

- Wybacz, kochanie, wiem, że cierpisz, ale wpadłem na świetny pomysł.

W domu Andrew miał co do planu Nicka poważne wątpliwości. Uzasadnione. Nie chciał, by Laura Juneau poszła do więzienia za atak na Martina z użyciem pojemniczków z czerwonym barwnikiem. Najbardziej był rozdarty w kwestii zranienia dumy Martina. Mimo przemocy fizycznej i emocjonalnej, mimo strasznych rzeczy, jakie Nick odkrył, pracując w Queller Healthcare, Andrew żywił resztki synowskiego uczucia dla ojca.

Po powrocie z Palm Springs Nick pokazał Andrew zdjęcia.

- Spójrz, co wasz ojciec zrobił twojej siostrze. Musimy go ukarać. Martin Queller musi zapłacić za wszystkie swoje grzechy.

Nick założył, że Jane przystanie na jego plan. Dlaczego miałyby być inaczej? Dlaczego nie miałyby ukryć przed bratem, że to Nick obił jej twarz, zębami rozerwał skórę i tak długo

okładał ją pięściami po brzuchu, aż krew wypłynęła jej spomiędzy nóg i Jane poroniła?

Wrzuciła zdjęcia do metalowego pudełka. Wytarła spocone dłonie o uda. Przypomniała sobie, jak siedziała z agentem Danberrym w ogrodzie za domem. W niecały tydzień gliniarze przejrzelili Nicka na wylot.

Przekonał wszystkich dookoła, że jest bystrzejszy, niż naprawdę był. I sprytniejszy.

- Byłam o ciebie zazdrosna. Wiedziałaś o tym? - zapytała Paula.

Jane odłożyła dokumenty do pudełka.

- Nie gadaj.

- Tak. - Paula przystąpiła do krojenia ziemniaków... tasakiem do mięsa. - Kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz, pomyślałam: co tu robi ta nadęta suka? Czemu chce zmieniać ten gówniany świat, skoro całe gówno świata działa na jej korzyść?

Jane nie miała już na to gotowej odpowiedzi. Nienawidziła ojca. Od tego się zaczęło. Martin zgwałcił ją, kiedy była dzieckiem, bił, kiedy była nastolatką, a później terroryzował i zastraszał. Nick dał jej sposobność, by z tym skończyć. Nie dla siebie, ale dla innych. Dla Andrew. Dla Roberta Juneau. Dla reszty skrzywdzonych pacjentów. Była za słaba, żeby odciąć się od Martina dla własnego dobra, więc Nick ułożył plan oderwania Martina od Jane.

Zasłoniła usta dłonią. Chciała się roześmiać. Właśnie uświadomiła sobie, że Nick zrobił to samo z Andrew, wykorzystując polaroidowe fotografie Jane do wzbudzenia w nim gniewu, który miał być punktem wyjścia do działania.

Byli jak jo-jo kontrolowane najdrobniejszymi ruchami jego nadgarstka.

- Andy też ma wszystko, ale czuje dyskomfort z tego powodu,

wiesz? Ciężko mu z tym – powiedziała Paula i zębami rozerwała plastikowe opakowanie selera. – Ty robiłaś wrażenie, że nie masz z tym najmniejszego problemu, ale tak chyba jest z laskami twojego pokroju. Świetne szkoły, świetne ciuchy, świetna fryzura. Od urodzenia niańczą wasze chude białe tyłki, żebyście nie musiały się o nic martwić. Wiesz, jakich widelców używać, kto namalował Monę Lisę i różne takie. Ale w głębi duszy jesteś – Paula zacisnęła pięści – cholernie wściekła.

Jane nigdy nie odnajdowała w sobie wściekłości, ale teraz rozumiała, że wściekłość buzowała w niej tuż pod powierzchnią lęku.

– Wściekłość jest luksusem – zauważyła.

– Wściekłość jest zajebistym narkotykiem – zaśmiała się Paula, atakując selera nożem. – Dlatego tak szanuję Nicka. Pomógł mi przekuć wściekłość w moc.

Jane uniosła brwi.

– Niańczysz jego dziewczynę, kiedy on podkłada bomby.

– Zamknij, kurwa, ryja. – Paula rzuciła nóż na kontuar. – Myślisz, że taka jesteś sprytna? Że jesteś lepsza ode mnie? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, nakręcając się własnymi słowami, kontynuowała: – Spójrz na mnie, Głupia Suko. Powiedz mi to prosto w oczy. Powiedz, że jesteś lepsza ode mnie. No dalej, kurwa!

Jane odwróciła się na krześle, by widzieć twarz Pauli.

– Czy Nick kiedyś cię przeleciał?

Paula otworzyła usta. To pytanie ją zastrzeliło.

Jane nie miała pojęcia, skąd jej to przyszło do głowy, ale na widok jej reakcji postanowiła pociągnąć ten wątek.

– Jeśli tak, mnie to nie przeszkadza. Jestem prawie pewna, że Clare przeleciał. – Zaśmiała się, ponieważ teraz widziała to jasno i wyraźnie. – Zawsze pociągały go kruche sławne kobiety.

A kruche sławne kobiety lgną do takich facetów jak Nick.

- Bzdura.

Jane zastanowiło, że myśl o Nicku i Clarze nie budzi w niej nawet krzty zazdrości o niego. Dlaczego całą swoją złość skierowała na Clarę, której udało się dostać od Nicka, co chciała, nie tracąc przy tym siebie?

- Założę się, że ciebie nie dymał - rzuciła, a wyraz twarzy Pauli zdradził, że miała rację. - Nie żeby cię nie przeleciał, gdyby akurat miał na to ochotę, ale ty rozpaczliwie pragniesz choćby odrobiny życzliwości. Pozbawiając cię tego, postąpił o wiele skuteczniej, niż gdyby okazał ci zainteresowanie. Mam rację? Poza tym dzięki temu mogłaś umieścić w swoim dramacie czarny charakter, czyli mnie, ponieważ jestem jedyną przeszkodą dzielącą was od bycia razem.

Wargi Pauli zaczęły drżeć.

- Zamknij się.

- Jeden z agentów FBI nazwał rzecz po imieniu. Powiedział, że Nick jest kolejnym oszustem kierującym sektą, żeby spać z ładnymi dziewczynami i odgrywać Boga przed chłopakami.

- Powiedziałam, zamknij się. - W głosie Pauli nie było wściekłości. Oparła się dłońmi o brzeg kuchennego blatu. Łzy popłynęły jej po policzkach. Raz po raz kręciła głową. - Nic nie wiesz. Nic o nas nie wiesz - powtarzała.

Jane zamknęła pokrywkę metalowego pudełka. Z boku był mały uchwyt, za mały na dłoń Andrew, ale Jane z łatwością wsunęła pod niego palce.

Wstała od stołu.

Paula sięgnęła po nóż.

Jane zrobiła krok naprzód. Zamachnęła się i uderzyła Paulę pudełkiem w głowę.

Trach.

Jak wystrzał zabawkowej broni.

Paula otworzyła szeroko usta.

Nóż wypadł jej z ręki.

Padła na podłogę.

Jane pochyliła się nad nią i sprawdziła tętno na szyi. Wyczuła je pod palcami. Uniosła jej powieki. W lewym oku zobaczyła tylko białko, ale źrenica w prawym rozszerzyła się pod wpływem mocnego światła lampy.

Wybiegła przez wahadłowe drzwi z pudełkiem pod pachą. Andrew spał w sypialni. Fiolka z morfiną była pusta. Potrząsnęła nim mocno.

- Andy, obudź się. Andy.

Odwrócił się w kierunku jej głosu. Miał szkliste spojrzenie.

- Co się stało?

- Nie słyszałeś telefonu? - Tylko jedno kłamstwo mogło skłonić go do działania. - Dzwonił Nick. Musimy stąd spadać.

- Gdzie... - Podniósł się z trudem do pozycji siedzącej. - Gdzie Paula?

- Już się ulotniła. Na drodze czekał jeszcze jeden samochód. - Jane starała się dźwignąć go z łóżka. - Mam pudełko. Musimy iść, Andrew. Natychmiast. Nick powiedział, że mamy się zmywać.

Andrew usiłował wstać. Musiała mu pomóc. Był tak chudy, że podtrzymanie go przyszło jej z łatwością.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Musimy się pośpieszyć. - Jane omal nie upuściła pudełka, gdy prowadziła brata korytarzem do drzwi. Droga do furgonetki trwała wieczność. Powinna była zakneblować Paulę i związać ją. Ile czasu upłynie, zanim Paula ocknie się i zacznie krzyczeć? Czy Andrew zgodziłby się uciec, gdyby wiedział, że zdradzają Nicka i jego plan?

Nie mogła tego ryzykować.

- No chodź - zwróciła się do niego błagalnie. - Nie stawaj. Prześpisz się w samochodzie, dobrze?

- Dobrze - wydyszał między urywanymi oddechami.

Ostatnie metry musiała go ciągnąć. Oparła go o furgonetkę, kolanem zablokowała jego kolana, by móc otworzyć drzwi. Sadowiła Andrew na siedzeniu, kiedy nagle przypomniała sobie o kluczach.

- Zostań tu - poleciała.

Pobiegła z powrotem do domu. Wpadła do kuchni. Zastała Paulę na czworakach. Jej głowa trzęsła się jak u psa.

Bez namysłu kopnęła ją prosto w twarz.

Paula wydała z siebie głuchy jęk i padła jak kłoda na podłogę.

Jane obmacała jej kieszenie i znalazła kluczyki. W połowie drogi do furgonetki przypomniała sobie o broni za paskiem Pauli. Mogła po nią wrócić, ale po co? Lepiej jechać niż dać Pauli kolejną szansę na ich zatrzymanie.

- Jay... - Andrew patrzył, jak Jane siada za kierownicą. - Skąd... się... dowiedzieli...

- Selden - rzuciła Jane. - Clara. Wycofała się. Zmieniła zdanie. Nick powiedział, że musimy się śpieszyć. - Włączyła wsteczny bieg i wcisnęła pedał gazu do oporu, wyjeżdżając tyłem z podjazdu. Zerknęła we wsteczne lusterko, ale zobaczyła tylko tuman kurzu. Z sercem w gardle jechała krętymi drogami, oddalając się od farmy. Dopiero na drodze międzystanowej jej oddech się uspokoił, a serce zaczęło bić miarowo. Spojrzała na Andrew. Głowa opadła mu w bok. Liczyła jego ciężkie oddechy, świadectwo bolesnej walki o każdy haust powietrza.

Pierwszy raz od prawie dwóch lat czuła spokój. Miała wrażenie, że spowija ją niczym kokon. Postąpiła właściwie.

Tak, bardzo długo ulegała szaleństwu Nicka, ale w końcu odzyskała rozum.

Była już kiedyś w szpitalu Northwestern. W trakcie tournée dopadł ją ból ucha. Pechenikov przywiózł ją tam na ostry dyżur. Zrobił wokół niej wielkie zamieszanie, oznajmiając pielęgniarkom, że Jane to najważniejsza pacjentka, jaką kiedykolwiek miały pod opieką. Jane przewracała oczami na te słowa, ale w głębi duszy cieszyła się, że tak troskliwie się nią zajmują. Kochała Pechenikova nie tylko dlatego, że był jej nauczycielem, ale też porządnym i troskliwym człowiekiem.

Pewnie dlatego Nick zmusił ją, żeby odeszła od swojego nauczyciela.

Mogłaby tak to ująć:

- Dlaczego go porzuciłaś?

- Ponieważ mój chłopak był zazdrosny o siedemdziesięcioletniego homoseksualistę.

Po prawej stronie minęła ich karetka na sygnale. Jane pojechała za nią, a w oddali zobaczyła palący się neon z nazwą szpitala.

- Jane, co robisz? - Sygnał ambulansu obudził Andrew.

- Nick kazał zawieźć cię do szpitala. - Włączyła kierunkowskaz, czekając na zmianę świateł.

- Jane... - Andrew zaczął kasłać, zakrywając usta rękami.

- Robię to, co kazał Nick - skłamała. Głos jej drżał. Musiała być silna. Byli już blisko. - Musiałam mu obiecać. Mam złamać słowo dane Nickowi?

- Ty nie... - Urwał, żeby złapać oddech. - Wiem, co robisz... że Nick nie...

Zerknęła na brata. Wyciągnął do niej rękę. Opuszkami palców delikatnie dotknął jej szyi.

Spojrzała w lusterko i zobaczyła sine ślady tam, gdzie

zaciskały się dłonie Nicka. Andrew wiedział, co zaszło w łazience. I wiedział, że Jane postanowiła zostać z nim.

W tej chwili dotarło do niej, że Nick musiał to samo ultimatum postawić jej bratu. Andrew nie pojechał z nim do Nowego Jorku. Został na farmie z nią.

- Niezła z nas para, co? - zwróciła się do brata.

Andrew zamknął oczy.

- Nie możemy. Nasze twarze... w telewizji... policja.

- To nieważne. - Jane przeklęła pod nosem czerwone światło, potem rzuciła inwektywę pod swoim adresem. Furgonetka była jedynym pojazdem w zasięgu wzroku. Był środek nocy, a ona przestrzegała przepisów drogowych.

Wcisnęła gaz i przejechała na czerwonym.

- Jane... - Andrew urwał, wstrząsany kolejnym atakiem kaszlu. - Nie możesz tego robić. Złapią cię.

Skręciła w prawo za znakiem z symbolem szpitala.

- Proszę cię. - Andrew potarł twarz dłońmi. Robił tak w dzieciństwie, kiedy nie radził sobie z emocjami.

Jane przejechała następne skrzyżowanie na czerwonym świetle. Postępowała już tylko instynktownie. Każdą cząstkę jej ciała ogarniało odrętwienie. Działała jak autopilot, który automatycznie kieruje środkiem lokomocji dowożącym jej brata do szpitala, by tam mógł spokojnie umrzeć we śnie.

- Jane, proszę - zaczął Andrew, ale kaszel znowu był górą. Tym razem nie było rżenia, tylko świst. Zupełnie jakby próbował wciągnąć powietrze przez pieszczalną.

- Oszczędzaj oddech - powiedziała.

- Jane - powtórzył szeptem. - Jeśli mnie zostawisz, to znaczy, że musiałaś. Nie pozwól, żeby cię złapali. Musisz... - Kolejne słowa utonęły w ataku kaszlu. Andrew spojrzał na swoją dłoń. Była na niej krew.

Jane poczuła ukłucie w sercu. Nie mogła poddać się rozpacz. Wiozła brata do szpitala. Tam włożą mu rurkę do gardła, która ułatwi oddychanie. Dadzą lek, po którym zaśnie. To była ich ostatnia rozmowa w życiu.

- Tak mi przykro, Andy. Kocham cię.

W jego oczach zalśniły łzy.

- Wiem, że mnie kochasz. Nawet kiedy mnie nienawidziłaś, wiedziałem, że mnie kochasz.

- Nigdy cię nie nienawidziłam.

- Wybaczam ci, ale... - Znów zakasłał. - Ty też mi wybacz, dobrze?

Jane przyśpieszyła.

- Nie mam ci czego wybaczać.

- Wiedziałem, Janey. Wiedziałem, kim on jest. Wiedziałem, co w nim siedzi. To moja wina - zarządził. - Moja wina. Jestem taki...

Jane spojrzała na niego, ale miał zamknięte oczy. Jego głowa poruszała się na boki w rytm ruchu auta.

- Andrew?

- Wiedziałem - wymamrotał. - Wiedziałem.

Jane skręciła ostro w lewo. Serce jej zadrżało na widok napisu NORTHWESTERN przed oddziałem ratunkowym.

-Andy? - zawołała spanikowana. Nie słyszała oddechu brata. Złapała go za rękę. Była zimna jak lód. - Już prawie jesteśmy na miejscu. Trzymaj się.

Powieki Andrew drgnęły. Otworzył oczy.

- Wydaj... - Zakrztusił się i zakasłał. - Wydaj go.

- Andy, nic nie mów. - Znak był coraz bliżej. - Dojeżdżamy na miejsce. Trzymaj się, kochany. Jeszcze tylko chwila.

- Wydaj ich... - Powieki Andrew znowu zadrgały, a broda opadła na piersi. Tylko świszczący dźwięk wydobywający się

spomiedzy jego zębów świadczył o tym, że Andrew nadal żyje.

Szpital.

Jane omal nie straciła panowania nad kierownicą, kiedy koła podskoczyły na krawężniku. Furgonetką zarzuciło. Zdołała zahamować tuż przed wejściem na oddział. Dwaj sanitariusze palili papierosy na ławce w pobliżu drzwi.

Jane wyskoczyła z auta.

- Na pomoc! Pomóżcie mojemu bratu! Proszę! - zawołała.

Mężczyźni zerwali się z ławki. Jeden z nich wbiegł do środka, drugi otworzył drzwi furgonetki.

- On ma... - zaczęła Jane łamiącym się głosem. - Jest zarażony...

- Rozumiem. - Sanitariusz złapał Andrew wpół i pomógł mu wysiąść z auta. - Chodź, kolego. Zajmiemy się tobą.

Jane myślała, że wypłakała już wszystkie łzy. Myliła się.

- Już dobrze. - Sanitariusz mówił do jej brata tak łagodnym i przyjaznym głosem, że chciała paść na ziemię i ucałować jego stopy. Zapytał Andrew: - Możesz iść? Podejdźmy do tej ławki i...

- Gdzie... - Andrew szukał wzrokiem Jane.

- Jestem tutaj, kochany. - Dotknęła dłonią jego twarzy. Przycisnęła usta do jego czoła. Andrew wyciągnął rękę i położył ją na zaokrąglonym brzuchu siostry.

- Wydaj... ich wszystkich - szepnął.

Drugi sanitariusz wyszedł ze środka z noszami na kółkach i podnieśli Andrew z ziemi. Był tak lekki, że bez trudu położyli go na noszach. Odwrócił głowę, szukając wzroku Jane.

- Kocham cię - powiedział.

Sanitariusze powieźli go do środka. Andrew patrzył na Jane, aż wreszcie drzwi szpitala zamknęły się za nimi.

Przez przeszkłone drzwi Jane widziała, jak wiozą go na drugi

koniec izby przyjąć. Podwójne drzwi rozsunęły się. Wokół noszy zaroilo się od lekarzy i pielęgniarek. Drzwi zamknęły się i Andrew zniknął jej z oczu.

„Złapią cię”.

Wciągnęła w płuca chłodne powietrze. Nikt nie wybiegł ze szpitala z bronią i nie kazał jej paść na ziemię. Żadna z pielęgniarek w dyżurce nie złapała za telefon.

Była bezpieczna. Andrew miał zapewnioną opiekę. Teraz mogła odjechać. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Nikt nie zdoła jej znaleźć, o ile ona sama nie zdecyduje inaczej.

Wróciła do furgonetki, zamknęła drzwi od strony pasażera i usiadła za kierownicą. Silnik nadal pracował. Odtwarzała w pamięci każde słowo Andrew. Kilka chwil wcześniej jeszcze rozmawiała z bratem, a teraz wiedziała, że nigdy więcej nie usłyszy jego głosu.

Wrzuciła bieg i ruszyła.

Jechała bez celu. Minęła znakowane miejsca parkingowe oddziału ratunkowego. Parking szpitalny. Parking uniwersytecki. Parking przed centrum handlowym na końcu ulicy.

Kanada. Falszerz.

Mogła wykreować nowe życie dla siebie i dziecka. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy w gotówce pewnie nadal leżało z tyłu furgonetki. Mała lodówka samochodowa. Termos z wodą. Pudełko kabanosów. Koc. Materac. Do Toronto było zaledwie osiem godzin jazdy. Trzeba tylko ominąć północny kraniec Indiany, przejechać przez stan Michigan i przekroczyć granicę z Kanadą. Taki mieli plan po triumfalnym powrocie Nicka z Nowego Jorku. Mieli przeczekać na farmie kilka tygodni, aż ucichnie wrzawa po wybuchu bomb, potem ruszyć do Kanady, kupić więcej dokumentów u falszerza przy East Kelly Street

i polecieć do Szwajcarii.

Nick pomyślał o wszystkim.

Ktoś zatrąbił. Jane drgnęła przestraszona dźwiękiem klaksonu. Zatrzymała się na środku drogi i spojrzała we wsteczne lustro. Mężczyzna za kierownicą auta wymachiwał w jej stronę pięściami. Machnęła do niego w geście przeprosin i wcisnęła pedał gazu.

Wściekły kierowca minął ją chyba tylko po to, by pokazać, że może. Jane przejechała kilka metrów, po czym zwolniła i ruszyła za znakiem kierującym w stronę długoterminowego parkingu. Temperatura w furgonetce spadała, gdy Jane zjeżdżała na coraz niższe poziomy parkingu. Znalazła odpowiednie miejsce między dwoma sedanami i zaparkowała tyłem. Sprawdziła, czy nie jest obserwowana. Na ścianie nie zobaczyła kamer ani luster weneckich.

Bezценne metalowe pudełko Nicka leżało na podłodze między siedzeniami. Wetknęła je pod pachę jak jej brat i w kucki przeszła na tył furgonetki. Ze skrzyni przyśrubowanej do podłogi zwisała kłódka.

Sześć-dwanaście-trzydzieści dwa.

Wszyscy znali tę kombinację.

Otworzyła skrzynię. Gotówka, termos, lodówka, paczka kabanosów. Wszystko było na miejscu.

Dołożyła do zapasów pudełko Nicka. Wyjęła trzysta dolarów, zamknęła wieko i kłódkę, po czym wysiadła z furgonetki. Obeszła ją i przeszła na tył.

Stalowy zderzak był pusty w środku. Położyła kluczyk na feldze. Na piechotę wróciła krętym zjazdem na poziom pierwszy. Budka parkingowego była pusta. W skrzynce na korespondencję leżały koperty. Zapisała numer miejsca parkingowego, włożyła do koperty trzysta dolarów, co

wystarczało na miesiąc postoju furgonetki.

Po wyjściu z parkingu podążyła za chłodnym powiewem od strony jeziora Michigan, a cienka bluzka łopotała na wietrze. Przypomniała sobie, jak pierwszy raz leciała do Milwaukee na występ w Centrum Sztuki Scenicznej. Myślała, że samolot zboczył z kursu i leci nad Atlantykiem, ponieważ nawet z wysokości sześciu tysięcy metrów nie widziała brzegów. Pechenikov powiedział, że na powierzchni jeziora Michigan zmieściłaby się cała Wielka Brytania, a jej brzegi nawet nie stykałyby się z brzegami jeziora. Nie bardzo jej się chciało w to wierzyć, ale nigdy tego nie sprawdziła.

Nagle zdjął ją dojmujący smutek. Jakaś jej część miała nadzieję, że pewnego dnia wróci do występów, do Pechenikova. Niestety, tamte czasy minęły bezpowrotnie. Być może nigdy więcej nie poleci samolotem. Nigdy więcej nie będzie podróżować. I występować.

Zaśmiała się, uderzona nagłą myślą.

Ostatnie nuty, jakie zagrała na pianinie, składały się na skoczne i proste początkowe takty piosenki *Take On Me* grupy A-ha.

W szpitalnej poczekalni roіło się od ludzi. Zdawała sobie sprawę, jak wygląda. Od dawna nie myła włosów. Ubranie miała poplamione krwią. Nos chyba złamany. Na szyi straszły ciemniejsze wybroczyny. Możliwe, że gałki oczne oplatała pajęczyna popękanych naczynek. W oczach pielęgniarek widziała nieme pytanie.

Maltretowana żona? Ćpunka? Dziewczyna na telefon?

Jedyny tytuł, jaki jej pozostał, to siostra. Znalazła Andrew za zasłoną na tyłach sali oddziału ratunkowego. Został zaintubowany. Cieszyła się, że może oddychać, chociaż rurka w gardle oznaczała, że nigdy więcej nie usłyszy jego głosu.

Brat nigdy więcej nie będzie się z nią droczył, nie zażartuje z jej wagi, nie zobaczy dziecka, które w niej rośnie.

Jedyne, co mogła zrobić, to trzymać go za rękę i wsłuchiwać się w dźwięki aparatury monitorującej pracę jego serca. Towarzyszyła mu, gdy wieźli go do windy, a potem umieścili w sali na oddziale intensywnej terapii. Odmówiła wyjścia, nawet gdy pielęgniarki poinformowały ją, że odwiedzający nie mogą być przy chorym dłużej niż dwadzieścia minut.

W sali Andrew nie było okien. Jedyna szyba znajdowała się w przeszklonej ścianie i rozsuwanych drzwiach, z których było widać dyżurkę pielęgniarek. Jane miała słabe poczucie czasu, dlatego nie wiedziała, kiedy dokładnie ktoś – lekarz, sanitariusz, pielęgniarka – rozpoznał ich twarze. Ton ich głosu uległ zmianie. Potem pod przeszklonymi drzwiami pojawił się policjant, ale nie wszedł do środka. Nikt nie wchodził do małej sali Andrew prócz gadatliwej pielęgniarki z oddziału, która teraz zachowywała milczenie. Jane czekała godzinę, potem następną, aż wreszcie przestała liczyć. Nie pojawili się ani agenci CIA, ani NSA, ani FBI, ani tajnych służb, ani Interpolu. Nikt jej nie powstrzymał, gdy złożyła głowę przy głowie Andrew.

Zbliżyła wargi do jego ucha. Ile razy Nick robił to samo z nią: przysuwał usta i szeptał jej w zaufaniu słowa, które kazały jej wierzyć, że tylko oni liczą się na świecie?

- Jestem w ciąży - wyznała bratu. Pierwszy raz wypowiedziała te słowa na głos. - I jestem szczęśliwa. Tak się cieszę, Andy, że będę miała dziecko.

Zobaczyła, że gałki oczne Andrew poruszyły się pod zamkniętymi powiekami. Pielęgniarka uprzedziła Jane, by nie przywiązywała do tego wagi. Andrew był w śpiączce, z której nigdy już się nie wybudzi. Jane nie mogła nawet przekonać się

z całą pewnością, czy brat wie o jej obecności. Ale ona wiedziała, a to było najważniejsze.

„Nikommu więcej nie pozwolę cię skrzywdzić. Nigdy”.

- Jinx?

W drzwiach stał jej starszy brat. Powinna się domyślić, że Jasper w końcu tu dotrze. Zawsze pojawiał się we właściwym momencie, by ją ratować. Chciała wstać i objąć go na powitanie, ale zdołała tylko zejść z łóżka i przesiąść się na krzesło. Jasper sprawiał wrażenie tak samo wyczerpanego jak ona, gdy zamykał szklane drzwi. Policjant skłonił przed nim głowę, po czym ruszył spod sali Andrew do dyżurki pielęgniarek. Jasper miał na sobie mundur sił powietrznych. Wprawdzie wygnieciony, ale nadal robił wrażenie. Starszy brat najwyraźniej nie zmieniał ubrania od chwili, gdy widziała go w salonie domu w Presidio Heights.

Odwrócił się do niej. Jego zaciśnięte usta tworzyły wąską linię. Jane poczuła ukłucie winy. Jasper miał ziemistą cerę, odstające z tyłu włosy i przekrzywiony krawat. Musiał przyjechać prosto z lotniska po czterogodzinnym locie z San Francisco.

Cztery godziny w powietrzu. Trzydzieści godzin w furgonetce. Dwanaście godzin do Nowego Jorku.

Nick pewnie był już na Brooklynie.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Jasper.

Rozpłakałaby się, gdyby zostało jej jeszcze trochę łez. Wzięła Andrew za rękę, drugą wyciągnęła do Jaspera.

- Cieszę się, że przyjechałeś.

Jasper uścisnął jej palce i puścił jej dłoń. Cofnął się o kilka kroków, oparł się o ścianę. Oczekiwała pytań o jej udział w zabójstwie Martina, ale zamiast tego usłyszała:

- W siedzibie giełdy towarowej w Chicago wybuchła bomba.

W ustach Jaspera ta informacja zabrzmiała dziwnie. Planowali to od dawna, aż w końcu się ziściło.

- Co najmniej jedna osoba nie żyje. Druga jest w stanie krytycznym. Policja uważa, że próbowali ustawić detonator, kiedy nastąpił wybuch.

Spinner i Wyman.

- Dlatego tutaj nie roi się jeszcze od gliniarzy. Wszyscy mundurowi są zajęci przetrząsaniem miejsca wybuchu, na wypadek gdyby było więcej ofiar.

Jane ścisnęła mocniej rękę Andrew. Miał zwiotczałą twarz, skórę koloru szpitalnej pościeli.

- Jasper, Andy...

- Wiem o Andrew - przerwał jej beznamiętnym tonem. Od wejścia do sali nawet nie spojrzał na brata. - Musimy pogadać. Ty i ja.

Wiedziała, że Jasper zapyta ją o Martina. Zerknęła na Andrew, ponieważ nie chciała widzieć nadziei, rozczarowania, a potem odrazy na twarzy Jaspera.

- Nick jest oszustem. Nawet nie ma na imię Nick - oznajmił.

Jane gwałtownie zwróciła ku niemu głowę.

- Ten agent FBI, Danberry czy jak mu tam, powiedział, że prawdziwe nazwisko Nicka brzmi Clayton Morrow. Zidentyfikowali go po odciskach palców w twojej sypialni.

Jane odjęło mowę.

- Prawdziwy Nicholas Harp zmarł z przedawkowania sześć lat temu podczas pierwszego dnia pobytu w Stanford. Widziałem jego świadectwo zgonu. Heroina.

Prawdziwy Nicholas Harp?

- Diler Nicka, Clayton Morrow, przejął jego tożsamość. Rozumiesz, co mówię, Jinx? Nick nie jest Nickiem. Naprawdę nazywa się Clayton Morrow. Ukradł tożsamość nieżyjącego

człowieka. Może to nawet on podał Harpowi śmiertelną dawkę. Kto wie, do czego jest zdolny?

Ukradł tożsamość nieżyjącego człowieka?

- Clayton Morrow dorastał w Marylandzie. Ojciec jest pilotem w liniach Eastern, a matka przewodniczącą towarzystwa oświatowego. Clayton ma czterech młodszych braci i siostrę. Policja stanowa podejrzewa, że zamordował swoją dziewczynę. Miała skręcony kark i była tak zmasakrowana, że do jej identyfikacji musieli posłużyć się kartą dentystyczną.

Skręcony kark.

- Jinx, odezwij się. Muszę wiedzieć, że rozumiesz, co do ciebie mówię. - Jasper osunął się wzdłuż ściany i oparł łokcie na kolanach, by spojrzeć jej w twarz. - Człowiek, którego znasz jako Nicka, okłamał nas. Okłamał nas wszystkich.

- Ale... - Jane rozpaczliwie szukała sensu w słowach Jaspera.

- Przecież agent Barlow powiedział nam wtedy, w salonie, że matka Nicka wysłała go do Kalifornii do babci. To samo opowiedział nam Nick.

- Matka prawdziwego Nicka wysłała go na Zachód. - Jasper starał się zapanować nad frustracją w głosie. - W rodzinnych stronach zmajstrował dziecko jakiejś dziewczynie i nie chcieli, żeby zmarnował sobie życie. Odesłali go do babci. Ta część opowieści dotycząca przeprowadzki jest prawdą. Ale reszta to wymysły, które miały wzbudzić nasze współczucie.

Jane nie miała więcej pytań, ponieważ wszystko okazało się fałszem. Matka prostytutka. Babcia stosująca przemoc. Rok bezdomności. Przyjęcie na uniwersytet Stanforda.

- Nie widzisz, że Clayton Morrow wykorzystał fragmenty dziejów prawdziwego Nicka, by jego kłamstwa brzmiały bardziej przekonująco? - Jasper umilkł, czekając na reakcję

Jane, ale nadal nie znajdowała odpowiednich słów. – Słyszysz mnie, Jinx? Nick, Clayton Morrow czy jak mu tam, okłamał nas. Był dilerem i oszustem.

„Kolejny oszust kierujący sektą, by sypiać z ładnymi dziewczynami i bawić się w Boga z chłopakami”.

Z gardła Jane wydobył się tłumiony dźwięk. Nie płacz, lecz śmiech. Słyszała, jak odbija się echem o ściany małego pokoju, bardzo osobliwy w miejscu z maszynami podtrzymującymi życie. Zakryła usta dłonią. Łzy pociekły jej z oczu. Mięśnie brzucha kurczyły się miarowo w rytm kolejnych parkosyzmów śmiechu.

– Chryste... – Jasper wstał i odsunął się od niej. Patrzył na nią jak na wariatkę. – Jinx, to poważna sprawa. Grozi ci więzienie, jeśli nie pójdziesz na układ.

Wytarła oczy i spojrzała na Andrew. Był tak bliski śmierci, że jego skóra stała się niemal przezroczysta. Właśnie to usiłował jej powiedzieć w furgonetce. Prawdziwy Nick był mu przydzielony jako współlokator w akademiku w Stanford. Z łatwością wyobraziła sobie, jak Nick przekonuje Andrew do swojej wersji, a jej brat staje na głowie, by zaprzyjaźnić się z dilerem nieżyjącego studenta.

Znowu wytarła oczy. Mocno trzymała Andrew za rękę. To nie miało znaczenia. Wybaczyła mu wszystko, tak jak on wybaczył jej.

– Co z tobą? Śmiejesz się z sukinkota, który zamordował naszego ojca – powiedział Jasper. Wreszcie zmierzał do sedna sprawy.

– To Laura Juneau go zabiła.

– Myślisz, że ktokolwiek w tej cholernej sekcie zrobiłby cokolwiek bez jego wiedzy? – wysyczał Jasper przez zaciśnięte zęby. – To poważna sprawa, Jinx. Weź się w garść. Jeśli chcesz

mieć w miarę normalne życie, musisz odwrócić się plecami do swojej kompanii.

Kompanii?

- Złapali już tę idiotkę w San Francisco. Ukradła wóz i zastrzeliła oficera policji. - Jasper poluzował krawat i zaczął chodzić po małym pokoju. - Musisz zacząć mówić, zanim ona to zrobi. Pójdą na układ z pierwszą osobą, która zakabluje resztę. Jeśli mamy ocalić ci życie, musimy działać szybko.

Jane obserwowała nerwowe kroki brata. Jasper pocił się obficie. Był wzburzony, co w przypadku każdego innego człowieka wyglądałoby na naturalną reakcję. Lecz największym darem Jaspera było to, że potrafił zachować spokój niemal w każdej sytuacji. Na palcach jednej ręki Jane mogła policzyć momenty, w których Jasperowi puściły nerwy.

Pierwszy raz od długich godzin wypuściła z dłoni rękę Andrew. Wstała, okryła go kocem i pocałowała w chłodne czoło. Żałowała, że nie może zajrzeć do jego umysłu, ponieważ wiedział o wiele więcej od niej.

- Nazwałeś ich kompanią - zwróciła się do Jaspera.

- Co? - zapytał, zatrzymując się nagle.

- Przez piętnaście lat służyłeś w siłach powietrznych. Jesteś w rezerwie. Nie zhańbiłbyś tego słowa, używając go w odniesieniu do członków sekty. - W wyobraźni zobaczyła, jak Nick klaszcze w dłonie, szykując się do kolejnej motywacyjnej przemowy. - Tak zwracał się do nas Nick. Kompania.

Jasper mógł zarzucić Jane blef, ale nie mógł powstrzymać się od nerwowego zerkania na policjanta na szpitalnym korytarzu.

- Wiedziałeś o tym. Przynajmniej o Oslo.

Pokręcił przecząco głową, ale podejrzenia Jane, że Nick znalazł sposób na wciągnięcie Jaspera w to szaleństwo, miały sens. Jasper odszedł z lotnictwa, by pokierować firmą. Martin

obietcywał, że ustąpi, ale kiedy przychodził wyznaczony termin, znajdował kolejny pretekst, by zostać.

- Powiedz mi prawdę, Jasperze. Muszę to od ciebie usłyszeć.

- Przestań gadać. - Zniżył głos do ledwo słyszalnego szeptu. Podszedł do niej. Jego twarz znalazła się o centymetry od jej twarzy. - Próbuję cię wyciągnąć z tego bagna.

- Zapłaciłeś? - zapytała, ponieważ wielu ludzi dawało pieniądze dla sprawy. Spośród nich tylko Jasper odniósłby osobistą korzyść na publicznym upokorzeniu Martina.

- Czemu miałbym dawać forszę temu dupkowi?

Zdradziła go pycha. Jane przez całe życie obserwowała, jak starszy brat posługuje się tą bronią, ale nigdy dotąd nie użył jej wobec siostry.

- Wejście firmy na giełdę byłoby o wiele bardziej opłacalne, gdyby ojciec został zmuszony do złożenia rezygnacji. Wszystkie jego artykuły i wystąpienia o Poprawce Quellera czyniły z niego kontrowersyjną figurę.

Szczęki Jaspera chodziły nerwowo. Wyraz jego twarzy zdradził Jane, że trafiła w sedno.

- Nick cię przekupił. - To głupie metalowe pudełko z trofeami Nicka. Jak bardzo musiał triumfować, kiedy oznajmił Jasperowi, że ukradł mu dokumenty sprzed nosa. - Powiedz prawdę, Jasperze.

Jego spojrzenie powędrowało ku policjantowi, który nadal rozmawiał z pielęgniarką.

- Wierz albo nie, ale jestem po twojej stronie - zapewniła Jane. - Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Dowiedziałam się o tych dokumentach, kiedy wszystko się zawaliło.

Jasper odchrząknął.

- O jakich dokumentach mówisz?

Jane miała ochotę przewrócić oczami. Gierki Jaspera już nie

miały sensu.

- Nick ukradł raporty z twoim podpisem. Poświadczałeś rachunki na nazwiska nieżyjących pacjentów, takich jak Robert Juneau, albo takich, którzy już nie byli objęci programem. To oszustwo. Nick cię przyłapał. Użył tego, żeby...

Zdumienie na twarzy Jaspera było niemal komiczne. Uniósł wysoko brwi. Wytrzeszczył oczy. Otworzył usta, które ułożyły się w idealne koło.

- Nie wiedziałeś? - Już zadając to pytanie, Jane знаła odpowiedź. Nick przechytrzył jej brata. Nie wystarczyły mu same pieniądze. Jasper musiał zapłacić za pogardę, z jaką traktował Nicka przy stole, patrzył na niego z góry, wypytywał o pochodzenie i dawał mu do zrozumienia, że nie jest jednym z nich.

- Jezu. - Jasper oparł się rękami o ścianę. Był biały jak kreda.
- Chyba zaraz zwymiotuję.

- Przykro mi, Jasperze, ale to prawda.

- Pójdę do więzienia.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Jane pogładziła go po plecach, starając się go uspokoić. - Jasperze, mam...

- Proszę. - Jasper złapał ją za rękę w odruchu nagłej desperacji. - Musisz mnie wspierać. Cokolwiek powie Nick, musisz...

- Jasperze, mam...

- Zamknij się, Jinx. Posłuchaj mnie. Możemy powiedzieć, że... to Andrew. Dobrze? - W końcu spojrzał na młodszego brata, który umierał o wyciągnięcie ręki od niego. - Powiemy, że wszystkiemu jest winien Andrew.

Jane skupiła się na bólu, jaki jej sprawiał, wbijając palce w skórę.

- Sfałszował mój podpis na sprawozdaniach - ciągnął Jasper.

- Robił to już przedtem. Podrabiał podpis ojca na szkolnych formularzach, czekach, potwierdzeniach przy płatności kartą kredytową. Są na to dowody. Wiem, że ojciec trzymał wszystko w sejfie. Na pewno...

- Nie - przerwała mu Jane. Wystarczyło jej to, co usłyszała. - Nie pozwolę, żebyś zrobił Andrew coś takiego.

- On umiera, Jinx. Jakie to ma dla niego znaczenie?

- Liczy się jego spuścizna. Jego reputacja.

- Odbiło ci? - Jasper potrząsnął nią tak mocno, że zadzwoniły jej zęby. - Spuścizna Andrew będzie taka sama, jak reszty jemu podobnych. Był ciotą i zdycha śmiercią cioty.

Jane chciała wyrwać mu się, ale trzymał ją za ramiona w stalowym uścisku.

- Wiesz, ile razy ratowałem go przed innymi pedałami w Tenderloin? Ile forsy mu dałem, żeby mógł zapłacić za milczenie jakiegoś młodemu homosiowi, który groził, że powiadomi ojca?

- Ellis-Anne...

- Nie ma AIDS, bo Andy nigdy jej nie przeleciał. - Jasper w końcu ją puścił i przyłożył dłoń do czoła. - Jezu, Jinx, nigdy cię nie zastanawiało, dlaczego Nick wsadzał ci język do gardła albo łapał za tyłek w obecności Andrew? Dogryzał mu. Wszyscy to widzieliśmy, nawet matka.

Teraz i ona to zobaczyła. Znaki, których wcześniej nie dostrzegala. Pogładziła palcami dłoń Andrew. Spojrzała na jego wyniszczoną twarz. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że ma na czole przedwczesne poziome zmarszczki od ciągłego niepokoju.

Dlaczego nigdy jej o tym nie powiedział?

Nie przestałyby go kochać. Może nawet kochałyby go jeszcze bardziej, ponieważ nagle zrozumiała jego nienawiść do samego siebie i udrękę.

- To nieważne. Nie pozwolę zhańbić jego śmierci.
- On sam zhańbił swoją śmierć - odparł Jasper. - Nie widzisz, że dostaje dokładnie to, na co zasłużył? Przy odrobinie szczęścia oni wszyscy dostaną, na co zasłużyli.

Jane poczuła, że krew mrozi jej się w żyłach.

- Jak możesz tak mówić? To nasz brat.

- Zastanów się. - Jasper w końcu zebrał się w sobie. Znowu próbował wziąć wszystko pod kontrolę. - W końcu Andy może się przydać nam obojgu. Możesz powiedzieć glinom, że on i Nick cię porwali. Spójrz na siebie. Nos masz chyba złamany, ktoś próbował cię udusić, a Andy na to pozwolił. Pomógł zamordować naszego ojca. Nie obchodziło go, że zginą ludzie. Nie próbował tego zatrzymać.

- Nie możemy...

- Właśnie w takich sytuacjach zaczyna działać Poprawka Quellera. - Jasper przywołał teorie Martina niczym ewangelię.
- Musimy przyjąć do wiadomości, że nasz brat jest dewiantem. Przeczy porządkowi natury, zakochał się w Nicku i sprowadził go pod nasz dach. Powinnaś go zostawić, żeby zgnił na ulicy. Ja powinienem pozwolić mu powiesić się w piwnicy. Nic złego by się nie stało, gdyby nie jego ohydne zbroczenie.

Jane nie była w stanie patrzeć na człowieka, którego tak podziwiała przez całe życie. Była gotowa na wiele, żeby go bronić. Wymogła na Andrew, żeby zostawić Jaspiera w spokoju.

- Ratuj siebie, Jinx. Ratuj mnie. Nadal możemy ocalić dobre imię rodziny. Za pół roku, może rok wprowadzimy firmę na giełdę. Nie będzie łatwo, ale uda się, jeśli będziemy trzymać się razem. Nasz nieszczęsny brat to tylko zgniłe jabłko, które musimy usunąć z rodzinnego drzewa.

Jane usiadła na łóżku Andrew. Położyła dłoń na jego nodze. Powtórzyła w myślach słowa Jaspiera, ponieważ gdyby

kiedykolwiek naszyły ją wątpliwości, czy słusznie robi, nie rozmawiając z bratem, chciała odtworzyć w pamięci każde jego dzisiejsze słowo.

- Mam papiery, Jasperze. Wszystkie. Zeznam przed każdym sądem, że to twój podpis. Powiem im, że wiedziałeś o Oslo. I że chciałeś wrobić Andrew.

Jasper wpatrywał się w nią intensywnie.

- Jak możesz wybierać jego zamiast mnie?

Jane miała dość mężczyzn, którzy uważają, że mogą stawiać jej ultimatum.

- Byłam tu i słuchałam, jak próbujesz usprawiedliwić swoje przestępstwa i nazywasz Andrew dewiantem, ale to za ciebie najbardziej mi wstyd.

Jasper prychnął pogardliwie.

- Ty oceniasz mnie?

- Zgodziłeś się na Oslo, bo chciałeś władzy i pieniędzy, prywatnych odrzutowców, kolejnego porsche, a jedynym sposobem na przejęcie kontroli było usunięcie ojca z drogi. To czyni cię gorszym od nas wszystkich razem wziętych. Przynajmniej my robiliśmy to dlatego, że wierzyliśmy w sprawę. Tobą kierowała chciwość.

Jasper podszedł do drzwi. Jane sądziła, że zamierza wyjść, ale on zaczął zaciągać zasłony. Policjant zerknął w jego stronę i lekko uniósł brodę, jakby pytał, czy wszystko gra, a Jasper dał mu znak, że nie jest jeszcze potrzebny.

Odwrócił się do Jane. Wygładził krawat.

- Nie rozumiesz, jak to działa - powiedział.

- Więc mi to wyjaśnij.

- Wszystko, co powiedziałaś, to prawda. Akademickie wywody ojca zagrażały naszej wycenie na giełdzie, przez co stracilibyśmy miliony. Nasi inwestorzy chcieli, żeby odszedł

z firmy, ale uparcie odmawiał.

- Więc pomyślałeś, że paczki z barwnikiem sprawią cud.

- Tu nie ma mowy o cudzie, Jinx. Mamy do czynienia z bardzo bogatymi ludźmi. Wkurzą się, jeśli stracą pieniądze z powodu zepsutej panienki, która nie umie trzymać języka za zębami.

- Pójdę do więzienia, Jasperze. - Brzmienie tych słów nie przeraziło jej tak bardzo, jak przypuszczała. - Powiem FBI o wszystkim, co zrobiliśmy. Nie dbam o skutki uboczne. Jedynym sposobem na odkupienie naszych win jest powiedzenie prawdy.

- Naprawdę wierzysz, że w więzieniu nas nie dopadną? Jesteś aż tak głupia?

- Oni?

- Inwestorzy. - Spojrzał na nią jak na niesforne dziecko. - Za dużo wiem. Nie chodzi tylko o oszustwo. Nie masz pojęcia, jakie przekręty robił ojciec, żeby zawyżyć wycenę. Więzienie nie rozwiąże problemu, Jinx. Oni nie mogą ryzykować, że pójde na układ, by ocalić własny tyłek. Zabiją mnie, a potem ciebie.

- To bogacze, nie zbiry.

- My jesteśmy bogaci, Jinx. Pomyśl, co ojciec zrobił Robertowi Juneau. Pomyśl, co nasza trójka zrobiła jemu. - Jasper zniżył głos. - Naprawdę uważasz, że jesteśmy jedyną rodziną na świecie zdolną do zamordowania swoich wrogów z zimną krwią?

Górował nad nią tak blisko, że zaczęło jej brakować powietrza.

Wstała, żeby musiał odsunąć się od niej.

- Podpiszysz na siebie wyrok śmierci, jeśli powiesz jedno słowo przeciwko nim. - Dźgnął ją palcem w klatkę piersiową. - Dorwą cię. Skończysz z kulką w głowie.

Jane odruchowo położyła rękę na brzuchu.

„Wydadz go”.

- Nie chcę tracić więcej czasu - powiedział Jasper.

- Myślisz, że ja chcę? Ale muszę myśleć nie tylko o sobie.

Jasper zerknął na jej brzuch. On też domyślił się wszystkiego.

- Dlatego musisz poważnie zastanowić się nad tym, co robisz.

W więzieniu nie mają żłobka.

„Wydadz ich wszystkich”.

- Ci goście mają świetną pamięć. Jeśli zwrócisz się przeciwko nim...

- Która godzina? - zapytała.

- Co?

Odwróciła rękę Jaspera, by spojrzeć na zegarek. Było dziewięć po trzeciej nad ranem.

- Czy to czas Chicago?

- Wiesz, że zawsze przestawiam zegarek po wylądowaniu - odparł.

Puściła rękę brata.

- Jedź do domu, Jasperze. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Spojrzał na nią zaszokowany.

- Żyj dalej swoim niemoralnym życiem. Kantuj i roluj, kogo chcesz. Zadbaj o zadowolenie tych groźnych gości, ale pamiętaj, że mam te papiery i mogę zniszczyć ci życie, kiedy tylko zechcę. Im też.

- Nie rób tego.

- To, co robię, to już nie twój interes. Nie musisz mnie ratować. Sama się ratuję.

Zaśmiał się, ale po chwili zrozumiał, że Jane mówi serio.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Jinx, bo jeśli przyklei się do mnie jakieś twoje błoto, nie zawaham się poinformować tych gości, gdzie cię znajdą. Wybrałaś.

- Żebyś wiedział - rzuciła Jane. - Jeśli ktoś zacznie mnie

szukać, użyję tych dokumentów, żeby pociągnąć cię za sobą.

Odśloniła zasłonę i otworzyła szklane drzwi.

Policjant już się odwrócił. Rękę trzymał na rękojeści broni.

- Proszę przekazać FBI, że mają mniej niż trzy godziny, by zaproponować mi układ, albo w Nowym Jorku dojdzie do wielkiej eksplozji.

26 SIERPANIA 2018

15

Andy poczuła pod opuszką palca otwór w skórze.

Miała ranę postrzałową.

Oparła głowę o ścianę. Przez zaciśnięte zęby wciągnęła haust powietrza i walczyła, by nie stracić przytomności.

Edwin Van Wees leżał na podłodze swojego biura pośród kawałków stłuczonej szyby i papierów. MacBook, którego Andy używała, szukając informacji o matce, był poplamiony jego krwią.

Laura.

Andy wyciągnęła rękę i przejechała palcami po telefonie. Ekran był popękany. Zamknęła oczy i nasłuchiwała. Czyżby słyszała głos matki? Czy Laura nadal była na linii?

Krzyk kobiety dobiegał z drugiego końca domu.

Serce Andy niemal stanęło.

Po chwili rozległ się drugi krzyk, o wiele donośniejszy i gwałtownie przerwany głośnym trzaskiem.

Andy zacisnęła zęby, by też nie zacząć krzyczeć.

Clara.

Nie mogła tym razem zastygnąć w bezruchu. Musiała coś zrobić. Nogi jej się trzęsły, gdy usiłowała dźwignąć się do pionu przy ścianie. Rwący ból omal nie pozbawił jej przytomności. Pochyliła się, by paroksyzm minął; krew nadal płynęła strużką z rany w boku. Andy na drżących nogach postąpiła krok naprzód, zrobiła drugi krok, potem trzeci. To była jej wina. Wszystko przez nią. Laura nakazała jej ostrożność, a ona i tak ich tu doprowadziła.

Oni.

Zjawili się, by zabić Edwina. By zabić Clarę.

Szła, wspierając się barkiem o ścianę. Chciała znaleźć Clare, poświęcić siebie, by położyć kres potwornemu bałaganowi, którego była sprawczynią. Gdy zahaczyła stopą o chodnik, ból przeszył jej bok, i uderzyła głową w zdjęcia wiszące w korytarzu. Musiała stanąć, by złapać oddech. Mieniło jej się w oczach. Chwilami obraz się rozmywał, chwilami nabierał ostrości. Wpatrywała się w fotografie. Różne ramki, różne pozy, niektóre kolorowe, niektóre czarno-białe. Clara i Edwin z dwiema kobietami mniej więcej w wieku Andy. Kilka ujęć tych samych kobiet w młodszym wieku, chyba w liceum, w podstawówce, a potem...

Mała Andy w śniegu.

Zdrętwiała na widok swojej dziecięcej wersji.

Czy to Edwina trzymała za rękę? Sąsiednia fotografia przedstawiała Andy jako niemowlę na kolanach Clary i Edwina. Laura wycięła ją z ich życia i nałożyła na zdjęcie fałszywych dziadków Randallów.

- Ładne, prawda?

Odwróciła głowę. Spodziewała się Mike'a, ale głos należał do kobiety. Kobiety, którą znała jak zły szeląg.

Na drugim końcu korytarza stała Paula Kunde.

Mierzyła do niej ze znajomo wyglądającego rewolweru.

- Dzięki, że zostawiłaś go w aucie. To ty usunęłaś numer seryjny czy mamusia?

Andy nie odpowiedziała. Nie mogła złapać tchu.

- To stan hiperwentylacji - stwierdziła rzeczowo Paula. - Podnieś telefon.

Andy odwróciła głowę. Telefon leżał za nią na ziemi. Usłyszała zawrośnięcie matki.

- Jezu! - Paula z głośnym tupotem przemierzyła korytarz, podniosła telefon i przyłożyła go do ucha. - Zamknij się, Głupia

Suko.

Laura nie ucichła. Jej metaliczny głos wibrował wściekłością. Paula włączyła tryb głośnomówiący.

- ...tknij ją tylko, a...

- Ona umiera. - Paula uśmiechnęła się, gdy Laura nagle zamilkła, i włożyła telefon pod brodę Andy. - Powiedz jej, skarbie.

Andy przycisnęła dłoń do krwawiącego boku. Czuła, jak wypływa z niej krew.

- Andreo? Proszę, powiedz coś...

- Mamo...

- Och, kochanie! - krzyknęła Laura. - Nic ci nie jest?

Andy straciła panowanie nad sobą. Z jej piersi wyrwał się rozpaczliwy szloch.

- Mamo...

- Co się stało? Proszę... O Boże, powiedz mi, że wszystko z tobą w porządku.

- Ja... - Andy nie wiedziała, czy zdoła to zwerbalizować. - Postrzeliła mnie. Strzeliła mi w...

- Wystarczy. - Paula uniosła broń, by Andy zamilkła, po czym zwróciła się do Laury: - Wiesz, czego chcę, Głupia Suko.

- Edwin...

- Nie żyje. - Paula uniosła brwi i spojrzała na Andy, jakby to była gra.

- Ty pieprzona idiotko - syknęła Laura. - Tylko on wiedział...

- Daruj sobie te głodne kawałki. Wiesz, gdzie to jest. Ile czasu potrzebujesz?

- Mogę... - Laura urwała. - Dwa dni.

- Jasne, nie ma problemu. - Paula wyszczerzyła zęby do Andy. - Może twoja córka dozna szoku, zanim wykrwawi się na śmierć.

- Ty pierdolona cipo.

Andy była wstrząśnięta nienawistnymi słowami matki. Nigdy przedtem nie słyszała jej w takim wydaniu.

- Poderżnę ci gardło, jeśli tkniesz moją córkę. Rozumiesz?

- Ty durna, popieprzona szmato! Właśnie teraz robię jej krzywdę.

Andy zobaczyła błysk.

A potem wszystko spowiała czerń.

Andy wiedziała, że coś jest nie tak, jeszcze zanim otworzyła oczy. Nie przeżyła olśnienia po chwilowej amnezji, ponieważ ani na moment nie zapomniała, co się stało.

Została postrzelona. Leżała w bagażniku samochodu. Ręce i nogi miała skute jakąś osobliwą kombinacją kajdanek. Do rany przylegał ręcznik przyklejony srebrną taśmą izolacyjną okręconą wokół talii. Knebel w ustach utrudniał oddychanie, ponieważ w nosie zebrała się krew, kiedy Andy została ogłuszona uderzeniem pistoletu.

Pamiętała ten cios, tak jak wcześniejszą sekwencję zdarzeń. Nie straciła przytomności, raczej znalazła się w stanie zawieszenia między jawą a snem. W czasie studiów tęskniła za tym, ponieważ właśnie wtedy wpadała na najlepsze pomysły. Umysł, teoretycznie wolny od natłoku myśli, nadal pracował nad odcieniami czerni i bieli, które przenosiła ołówkiem na papier.

Czyżby doznała wstrząśnienia mózgu?

Niby powinna panikować, ale panika spłynęła z niej niczym woda z odkorkowanego zlewu. Godzinę temu? Może dwie godziny? W tej chwili doznawała przede wszystkim uczucia spotęgowanego dyskomfortu. Miała rozciętą wargę, spuchnięte oko, zdrętwiałe dłonie i unieruchomione nadgarstki. Kiedy

przyjmowała odpowiednią pozycję ciała, ze zgiętym kręgosłupem, i brała tylko płytkie oddechy, wtedy palący ból w boku stawał się znośny.

Inaczej było z poczuciem winy.

W pamięci odtwarzała wypadki na farmie, próbując ustalić punkt zwrotny, od którego wszystko poszło nie tak. Edwin kazał jej opuścić dom. Czy mogła wyjść, zanim przód jego koszuli został porwany na strzępy kulami, które podziurawiły mu plecy jak rzeszoto?

Zacisnęła powieki najmocniej, jak mogła.

Klik-klik-klik-klik.

Odgłos bębena obracającego się w rewolwerze.

Usiłowała przeanalizować dwa różne okrzyki Clary: ten pierwszy – przestraszony, i ten drugi – przerwany nagłym trzaskiem. To nie był odgłos ani siarczystego policzka, ani ciosu pięścią. Paula uderzyła Andy rewolwerem. Czy Clare spotkało to samo? Czy ocknęła się oszołomiona we własnej kuchni, wyszła na korytarz i znalazła martwego Edwina?

Czy może już nigdy nie otworzy oczu?

Andy krzyknęła, gdy auto podskoczyło na wyboju.

Paula zwolniła, by skręcić. Andy wyczuła zmianę prędkości. Mrok panujący w ciasnym bagażniku rozproszyła poświata ze świateł stopu, dzięki czemu zobaczyła uciętą końcówkę mechanizmu awaryjnego otwierania. W ten sposób Paula uniemożliwiła jej ucieczkę.

Jechały wynajętym samochodem z teksańską rejestracją. Tyle Andy udało się zobaczyć, gdy Paula wpychała ją do bagażnika. Mając broń, nie mogła lecieć samolotem, musiała jechać autem z Austin tak jak Andy, tyle że ona od czasu do czasu sprawdzała, czy nie śledzi jej Mike. Pauli nie brała pod uwagę.

Zawartość żołądka podeszła jej do gardła.

Dlaczego nie posłuchała matki?

Auto znowu zwolniło, po czym stanęło.

Wcześniej Paula zatrzymała się raz. Dwadzieścia minut temu? Trzydzieści? Tego Andy nie była pewna. Próbowwała liczyć w myślach, ale oczy jej się zamykały i przysypiała, po czym budziła się gwałtownie i zaczynała liczyć od nowa.

Czyżby umierała?

Jej mózg reagował zaskakująco obojętnie. Była przerażona, ale serce nie tłukło jej się w piersi, dłonie się nie pocily. Była ranna, lecz nie wpadła w stan hiperwentylacji, nie płakała, nie błagała, by to się skończyło.

Czy to już szok?

Usłyszała klikanie. Sygnał skrętu.

Koła auta podskoczyły na zwirowej drodze.

Starła się nie pamiętać horrorów, które zaczynają się od scen pokazujących samochód jadący szutrową drogą na pusty kamping albo do opuszczonej chaty.

- Nie! - powiedziała do siebie w ciemnym bagażniku.

To był rozkaz wydany samej sobie. Nie ulegnie panice, ponieważ wtedy nie dostrzeże szansy na ucieczkę, jeśli taka się nadarzy. Była zakładniczką, bo Laura miała coś, czego chciała Paula. Dlatego nie mogła jej zabić, póki tego nie dostanie.

To chyba logiczne, prawda?

Hamulce zapiszczały, gdy samochód znowu się zatrzymał. Tym razem silnik zgasł. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się, potem zamknęły.

Czekała na otwarcie kłapy bagażnika. Układała w głowie rozmaite scenariusze swojej reakcji na widok Pauli. Przeważała chęć kopnięcia wiedźmy prosto w twarz. Problem polegał na tym, że do uniesienia nogi potrzebne są mięśnie brzucha, a Andy przy każdej próbie głębszego oddechu czuła, jakby ktoś

przykładał jej do boku płonąca pochodnię.

Położyła głowę na podłodze bagażnika i nasłuchiwała. Słyszała tylko odgłosy towarzyszące stygnięciu silnika.

Klik-klik-klik-klik.

Jak bębenek obracający się w rewolwerze, ale wolniej.

Zaczęła liczyć, by skupić na czymś umysł. Długie siedzenie za kierownicą reliantu, a potem furgonetki Mike'a, uczyniło z niej osobę, która mówi do siebie na głos, byle tylko rozproszyć monotonię.

- Jeden - wymamrotała - dwa... trzy...

Doszła do dziewięciuset osiemdziesięciu pięciu, kiedy kłapa bagażnika została otwarta.

Andy zamrugała. Była ciemna bezksiężycowa noc, a jedyne światło pochodziło z klatki schodowej na wprost auta. Nie miała pojęcia, gdzie są, prócz tego, że stoją przed zapyziałym motelem w jakiejś zapyziałej miejscinie.

- Spójrz na mnie. - Paula przytknęła lufę rewolweru do podbródka Andy. - Nie zadzieraj ze mną, bo dostaniesz następną kulkę. Kapujesz?

Andy skinęła głową.

Paula wetknęła broń za pasek dzinsów i wyjęła kluczyk do kajdanków. Andy jęknęła z ulgą, gdy w końcu uwolniła jej ręce i nogi. Gwałtownym ruchem wyciągnęła z ust knebel. Różowe skórzane paski zerwały się z chrzęstem. Wyglądały jak gadżet rodem z *Pięćdziesięciu twarzy Greya*.

Paula znowu sięgnęła po broń. Rozejrzała się po parkingu.

- Wyłaż i morda w kubeł.

Andy próbowała wykonać jakiś ruch, ale rana i długotrwała niewygodna pozycja sprawiły, że ciało odmówiło posłuszeństwa.

- Jezu. - Paula pociągnęła ją za ramię.

Andy wytoczyła się ze środka, przeturlała się przez zderzak i padła bezwładnie na ziemię. Była tak obolała, że nie umiała zlokalizować źródła bólu. Krew ciekła jej z ust. Widocznie przygryzła język. W miarę jak odzyskiwała czucie w rękach i nogach, nieprzyjemne mrowienie ustępowało.

- Wstawaj! - Paula złapała ją za ramię i szarpnęła do góry.

Andy jęknęła, zginając się wpół, by atak bólu zelżał.

- Przestań się mazać. Włóż to - rozkazała Paula.

Andy poznała białe rozpinane polo z niebieskiej walizki Samsonite. Było w torbie ucieczkowej, którą Laura przygotowała w magazynie w Carrollton.

- Rusz się. - Paula znowu rozejrzała się po parkingu, pomagając Andy się ubrać. - Jeśli zastanawiasz się, czy krzyczeć, nie rób tego. Nie mogę zastrzelić ciebie, ale zastrzełę każdego, kto spróbuje ci pomóc.

Andy zaczęła zapinać guziki.

- Co zrobiłaś Clarze? - zapytała.

- Twojej drugiej mamusi? - Paula zachichotała na widok miny Andy. - Wychowywała cię z Edwinem przez prawie dwa lata. Wiedziałaś o tym?

Andy desperacko próbowała ukryć swoją reakcję. Spuściła głowę, skupiając się na obserwowaniu guzików i dziurek.

Czy Edwin patrzył na nią jak ojciec, ponieważ był jej ojcem?

- Chcieli cię zatrzymać, ale Jane cię zabrała, bo taka z niej egoistyczna suka. - Paula uważnie obserwowała Andy. - Nie jesteś zaskoczona informacją, że twoja matka tak naprawdę ma na imię Jane.

- Dlaczego zabiłaś Edwina?

- Jezu, dziewczyno. - Paula wyjęła z bagażnika kajdanki. - Ciągłe jesteś naiwna jak dziecko?

- Na to wychodzi - wymamrotała Andy.

Paula zatrzasnęła bagażnik. W jedną rękę wzięła dwie plastikowe torby. Broń znowu wetknęła za pasek dżinsów, ale drugą rękę położyła na rękojeści.

- Rusz się.

- Czy Edwin... - Andy starała się sprytnie sformułować pytanie, by skłonić Paulę do wyznania prawdy, ale wyczerpany umysł odmówił akrobatyki intelektualnej. - Czy to mój ojciec?

- Gdyby był twoim ojcem, już dawno zrobiłabym ci dziurę w piersi i do niej nasrała. - Paula machnęła ręką, każąc Andy iść dalej. - Na schody.

Dotąd Andy szła w miarę normalnie, ale pokonanie schodów okazało się nie lada wyzwaniem. Mocno pochyłona kurczowo przyciskała dłoń do boku, niestety nawet to nie pomogło złagodzić wrażenia, że ktoś przekręca jej nóż w ranie. Przy każdym uniesieniu stopy chciała wrzeszczeć. Jej krzyk wygoniłby gości motelu z pokojów, Paula by ich zastrzeliła, a ona miałaby na sumieniu kolejne ofiary poza Edwinem Van Weesem i Clarą Bellamy.

- W lewo - nakazała Paula.

Andy szła długim ciemnym korytarzem. Przed oczyma tańczyły jej cienie, wróciły mdłości, tępy ból znowu stał się przeszywający. Musiała podpierać się ręką o ściany, by nie potknąć się i nie upaść. Dlaczego zgadzała się na wszystko jak owca idąca na rzeź? Dlaczego nie krzyczała na parkingu? W dzisiejszych czasach ludzie już nie rzucają się spontanicznie na pomoc. Albo udają, że nic się nie dzieje, albo wzywają policję, a gdyby policja przyjechała i...

- Tutaj. - Paula otworzyła drzwi kartą magnetyczną.

Andy weszła do pokoju. W środku paliły się już światła. Na wyposażeniu były dwa duże łóżka, telewizor, biurko, mały kawiarniany stolik i dwa krzesła do kompletu. Łazienka

mieściła się przy drzwiach. Kotary były zaciągnięte. Okna zapewne wychodziły na parking.

Paula postawiła torby z zakupami na stoliku. Butelki z wodą. Owoce. Frytki.

Andy pociągnęła nosem. Krew spłynęła jej do gardła. Czowała, jakby całą lewą stronę twarzy wypełniał jej wrzątek.

- No dobra. - Paula położyła dłoń na rewolwerze za paskiem.
- Teraz możesz wrzeszczeć, ile wlezie, jeśli masz ochotę. Całe skrzydło jest puste. Poza tym w takim miejscu ludzie mają gdzieś, że jakaś pieprzona cipa wzywa pomocy.

Andy rzuciła jej nienawistne spojrzenie.

Paula uśmiechnęła się od ucha do ucha, karmiąc się tą wściekłością.

- Jeśli chcesz się wysikać, to teraz. Drugiej szansy nie będzie.

Andy próbowała zamknąć drzwi łazienki, ale Paula jej na to nie pozwoliła. Obserwowała, jak Andy z wysiłkiem siada na sedes, starając się nie napinać mięśni brzucha. Krzyknęła z bólu, gdy dotknęła pośladkami deski. Musiała pochylić się i włożyć głowę między kolana, żeby zmniejszyć ból. Zwykle miała blokadę przed swobodnym załatwianiem się w miejscach publicznych, ale po tylu godzinach w aucie poszło jej gładko.

O wiele trudniejsze okazało się wstanie. Zaczęła prostować kolana, ale po chwili opadła z donośnym jękiem na sedes.

- Do kurwy nędzy! - Paula złapała Andy pod pachę i pociągnęła w górę. Zapięła jej dzinsy jak trzylatce i wypchnęła z łazienki do pokoju.

- Siadaj przy stole - zarządziła.

Zgięta wpół Andy chwiejnym krokiem pokonała dystans dzielący ją od rozchwianego krzesła.

Paula wsunęła krzesło pod stół.

- Musisz robić, co każę, wtedy, kiedy ci każę.

- Wal się. - Andy nie zdążyła ugryźć się w język.

- Ty też się wal. - Paula złapała ją za lewe ramię i założyła kajdanki na przegub, pociągnęła za rękę i przypięła pod spodem do metalowego szkieletu stołu.

Gdy zaczęła szarpać unieruchomioną ręką, stół zabrzączał zgrzytliwie. Andy bezradnie dotknęła czołem blatu.

Dlaczego nie pojechała do Idaho?

- Jeśli twoja matka złapała pierwszy lot, będzie tu najwcześniej za dwie godziny - stwierdziła Paula. Z jednej z toreb wyjęła fiolkę ibuprofenu i zębami rozerwała zabezpieczenie na zakrętce. - Bardzo boli?

- Jak przy ranie postrzałowej, pieprzona świrusko.

- Rozumiem. - Zamiast się zdenerwować, Paula wyglądała na uszczęśliwioną wściekłością Andy. Położyła na stole cztery kapsułki, odkręciła jedną z butelek z wodą i spytała: - Frytki czy kanapka? - Andy spojrzała na Paulę, która trzymała w rękach dwie papierowe torebki, dodając przy tym: - Musisz coś zjeść, bo brzuch cię rozboli po tabletkach.

- Kanapki.

Paula rozerwała torebkę, znowu pomagając sobie zębami, i odwinęła z folii dwie kanapki.

- Musztarda i majonez?

Andy kiwnęła głową, obserwując, jak wariatka, która ją postrzeliła i porwała, plastikowym nożem rozsmarowuje majonez i musztardę na kanapce z indykiem.

Dlaczego to wszystko się działo?

- Zjedz chociaż połowę. - Paula złożyła kanapkę dla Andy i dodała musztardę do swojej. - Mówię serio, dziewczyno. Połowę. Potem weźmiesz tabletki.

Andy wzięła kanapkę, ale nagle wyobraźnia podsunęła jej idiotyczny obraz pogryzionej kanapki wychodzącej przez dziurę

w boku. Potem przypomniała sobie ważną informację.

- Przed operacją nie powinno się jeść - zauważyła.

Paula obrzuciła ją baczny wzrokiem.

- Kula. To znaczy jeśli... kiedy moja mama tu przyjedzie i...

- Nie będą tego operować. Łatwiej zostawić kulę w ciele.

Powinnaś raczej martwić się infekcją. To dziadostwo może cię zabić. - Paula włączyła telewizor i zaczęła skakać po kanałach, aż trafiła na Animal Planet, po czym wyciszyła głos. Akurat leciał program *Resocjalizacja z pitbullem*. - To świetny odcinek. - Znów odwróciła się do Andy i wycisnęła majonez na kanapkę. - Szkoda, że nie wprowadzili tego programu w Danbury.

Andy patrzyła, jak Paula starannie rozsmarowuje majonez plastikowym nożem.

Powinna czuć się dziwnie, ale tak nie było. Zaczęła ten tydzień od przyglądania się, jak jej matka morduje chłopaka, potem sama zamordowała wynajętego zbira, zbiegła z miejsca zabójstwa, powaliła na ziemię innego zbira kopniakiem w krocze, spowodowała śmierć jednego człowieka, może nawet dwojga ludzi. Dlaczego więc miałoby ją zdziwić, że tak sobie siedzi przykuta kajdankami do stołu i w towarzystwie szurniętej profesorki college'u po długoletniej odsiadce ogląda program o więźniach na zwolnieniu warunkowym, którzy pracują ze skrzywdzonymi zwierzętami?

Paula złożyła dwie kromki i poprawiła szal na szyi. Ten sam, który miała na sobie dwa i pół dnia temu w Austin.

- Myślałam, że masz na szyi ślady po duszeniu - odezwała się Andy.

Paula ugryzła wielki kęs kanapki.

- Łapie mnie przeziębienie. Trzeba trzymać szyję w cieple, żeby nie kasłać - powiedziała z pełnymi ustami.

Andy nie miała ochoty prostować idiotycznej porady zdrowotnej. Przeziębienie tłumaczyło chrypliwy głos Pauli, ale skupiła się na czym innym.

- Twoje oko...

- To robota twojej przeklętej matki - Paula wyrzuciła z siebie gniewnie razem z kęsem przeżutego jedzenia. - Walnęła mnie w głowę, a w więzieniu nie kiwnęli dla mnie palcem. Zostawili lewe, aż całkiem zbieleło, a w prawym rozwinęła się infekcja. Ciągłe jest wrażliwe na światło, dlatego muszę nosić okulary przeciwsłoneczne. Dzięki twojej mamusce tak właśnie wyglądam od trzydziestu dwóch lat. - Interesująca zbieżność, pomyślała Andy, a Paula spytała: - Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Andy poczuła, że nie ma nic do stracenia.

- Ty nasłałaś tego gościa na mamę? Żeby ją torturował?

- Samuel Godfrey Beckett. - Paula prychnęła, a potem zakasłała, gdy kęs kanapki wpadł w niewłaściwy otwór. - Wart tych pieniędzy za samo idiotyczne nazwisko. Byłam pewna, że Jane pęknie, bo nigdy nie lubiła konfrontacji. Ale zabiła tego chłopaka w restauracji. Omal się nie zesrałam, kiedy rozpoznałam jej twarz w telewizji. Cholerna Laura Oliver. Mieszkała sobie na plaży, kiedy reszta z nas gniła w więzieniu.

Andy przytknęła język do podniebienia. Paula miała ręce zajęte jedzeniem, a broń ciągle tkwiła za paskiem jej dżinsów. Może powinna wbić jej stół w brzuch, sięgnąć wolną ręką i wyrwać rewolwer zza paska?

- Co jeszcze, mała?

Andy analizowała w myślach sekwencję ruchów. Niestety nie miała szans, bo skuty nadgarstek sięgał głęboko pod stół. Nadziałyby się na kant stołu, gdyby wyciągnęła swobodną rękę po broń.

- No, bez krępacji. - Paula ugryzła następny kęs kanapki. -

Zadaj mi wszystkie pytania, jakich nie możesz zadać matce.

Andy odwróciła wzrok. Spojrzała na brzydką kwiecistą narzutę. Na drzwi, od których dzieliło ją mniej więcej sześć metrów. Paula oferowała odpowiedzi, ale po tak długich poszukiwaniach Andy nie zależało na samych odpowiedziach. Chciała wyjaśnień, a te mogła uzyskać tylko od matki.

Paula zajrzała do torby w poszukiwaniu serwetki.

- Co, nagle zaczęłam cię onieśmielać?

Andy nie chciała tego, ale zapytała:

- Skąd będę miała pewność, że mówisz prawdę?

- Jestem uczciwsza niż ta dziwka, którą nazywasz matką.

Andy zagryzła koniuszek bolącego języka, by nie wybuchnąć.

- Kogo zabiłaś?

- Sukę, która próbowała zadźgać mnie w więzieniu. Nie mogli oskarżyć mnie za Norwegię. Maplecroft to nie moja wina. To Quarter ją porwał. Innych rzeczy też nie zrobiłam. - Paula przestała przeżuwać. - Przyznałam się do ucieczki z miejsca przestępstwa. Dostałam sześć lat. Tę sukę zadźgałam w samoobronie, ale dołożyli mi za nią czternaście lat i zrobiło się dwadzieścia. Następne pytanie.

- Jak dostałaś pracę na uniwersytecie?

- Szukali różnorodności, a mnie się poszczęściło, bo kupili moją historię zresocjalizowanej przestępczyni. Następne pytanie.

- Czy Clarze nic nie jest?

- Ha, niezła próba. A może to: dlaczego nienawidzę tej głupiej suki, która jest twoją matką?

Andy czekała na ciąg dalszy. Paula także.

Andy nie miała wyjścia. Przybrała najbardziej znudzony ton, na jaki umiała się zdobyć.

- Dlaczego nienawidzisz mojej matki?

- Wydała nas wszystkich prócz Edwina i Clary, ale tylko dlatego, że chciała ich kontrolować. - Paula zamilkła w oczekiwaniu na reakcję Andy. Nie doczekawszy się, ciągnęła dalej: - Jane znalazła się w programie ochrony świadków w zamian za zeznanie. Zaproponowali jej świetny układ, bo zegar już tykał. Kolejna bomba czekała na odpalenie, ale przez jej długi jęzor wszystko szlag trafił.

Andy bacznie przyglądała się twarzy Pauli w poszukiwaniu oznak kłamstwa, ale niczego takiego nie dostrzegła.

Program ochrony świadków.

Przetwarzała tę informację, analizując jednocześnie własne emocje. Laura ją okłamała, ale w świetle wydarzeń ostatnich dni Andy przywykła do myśli o kłamstwach matki. W tej chwili czuła chyba lekką ulgę. Dotąd przypuszczała, że Laura jest przestępczynią. I okazała się nią, ale spełniła dobry uczynek, wydając pozostałych.

Czy tak?

- Mimo to wsadzili ją do pierdła na dwa lata - powiedziała Paula. - Mogą to zrobić nawet tym, którzy poszli na współpracę. Jane ma sporo na sumieniu. Jak my wszyscy, tyle że my robiliśmy to dla sprawy, a ona dlatego, że była zepsutą suką, której znudziło się wydawać kasę tatusia.

- QuellCorp - rzuciła Andy.

- Miliardy. Zarabiane na cierpieniu i wykorzystywaniu chorych.

- To znaczy, że przetrzymujesz mnie dla okupu?

- Nie, do cholery. Nie chcę jej zasranych splamionych krwią pieniędzy. To nie ma nic wspólnego z QuellCorp. Rodzina pozbyła się firmy dawno temu i żadne z nich nie ma już z nią związków... prócz zainkasowania kupy szmalu z akcji.

Andy zastanawiała się, czy właśnie stąd pochodziły pieniądze

na zakup relianta. Od zysków na giełdzie należało płacić podatki, a skoro Laura była objęta programem ochrony świadków, wszystko musiało być załatwione uczciwie.

Czy aby na pewno?

- Jane nigdy ci o tym nie mówiła? - zapytała Paula.

Andy nie chciała potwierdzać tego, o czym Paula i tak już wiedziała.

- Powiedziała ci, kto jest twoim ojcem?

Andy milczała. Wiedziała, kto jest jej ojcem.

- Nie chcesz wiedzieć?

Jej ojcem był Gordon. Wychował ją, opiekował się nią, znosząc jej irytujące milczenie i niezdecydowanie.

Wyraźnie zawiedziona Paula westchnęła ciężko.

- Nicholas Harp. Nigdy ci nie powiedziała?

Ciekawość Andy wzrosła, ale nie z powodu, jaki wydałby się oczywisty. Pamiętała to nazwisko z Wikipedii. Harp zmarł z powodu przedawkowania kilka lat przed jej narodzeniem.

- Kłamiesz - rzuciła.

- Nie kłamię. Nick był przywódcą Armii Przemiany Świata. Każdy powinien znać jego nazwisko, a zwłaszcza ty.

- W Wikipedii piszą, że Clayton Morrow...

- Nicholas Harp. To przybrane imię i nazwisko twojego ojca. Połowa z tego, co piszą w Wikipedii, to bujda. Druga połowa to domysły. - Paula pochyliła się ku Andy z widoczną ekscytacją. - Armia Przemiany Świata o coś walczyła. Naprawdę zmienilibyśmy świat. Ale twoja matka się spietrała i wszystko szlag trafił.

Andy potrząsnęła głową, ponieważ członkowie Armii Przemiany Świata zabijali ludzi i terroryzowali kraj.

- Tamta profesorka została zamordowana w San Francisco. Większość ludzi z twojej grupy nie żyje. Martin Queller został

zamordowany.

- Mówisz o swoim dziadku?

Andy doznała nagłego wstrząsu. Dopiero teraz skojarzyła fakty.

Martin Queller był jej dziadkiem.

Był żonaty z Annette Queller, jej babcią.

To oznaczało, że Jasper Queller, miliarder palant, jest jej wujkiem.

Czy w takim razie Laura też była miliarderką?

- W końcu dodałaś dwa do dwóch? - Paula wrzuciła do ust kawałek wędliny. - Twój ojciec siedzi od trzech dekad, przez Jane. Trzymała cię od niego z daleka. Mogłaś nawiązać z nim relację, poznać go, ale ona pozbawiła cię tego zaszczytu.

Andy doskonale wiedziała, kim był Clayton Morrow, i nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Nie był jej ojcem, tak samo jak Jerry Randall. Musiała w to uwierzyć, bo inaczej leżałaby na ziemi zwinięta w kłębek.

- No, dalej. - Paula wytarła usta wierzchem dłoni. - Czekam na następne pytania.

Przez kilka ostatnich dni Andy układała w myślach listę niewiadomych, które spisała po spotkaniu z Paulą.

- Co sprawiło, że w Austin nagle zmieniłaś zdanie? W jednej chwili kazałaś mi się wynosić, w drugiej szukać Clary Bellamy.

Paula pokiwała głową, jakby aprobowała treść pytania.

- Gliniarz, któremu zmasakrowałaś jaja. Pomyślałam, że nie zrobiłabyś tego, gdybyś działała w porozumieniu z matką.

- Co?

- Gliniarz, szeryf federalny.

Andy poczuła, że zalewa ją fala gorąca.

- Zdefasonowałaś mu jaja. Przez godzinę ta menda leżała na mojej werandzie.

Andy oparła czoło o stół, żeby Paula nie widziała wyrazu jej twarzy.

Mike.

Programem ochrony świadków zarządzało biuro szeryfa federalnego. Mogli wystawić prawo jazdy na dowolne nazwisko, ponieważ wyrabianie nowych dokumentów należało do ich obowiązków. Fałszywa metryka urodzenia, fałszywe zeznania podatkowe, a nawet fałszywe nekrologi z nazwiskiem wymyślonego Jerry'ego Randalla.

Czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Mike był agentem sprawującym nadzór nad Laurą, dlatego znalazł się w szpitalu. Czy dlatego jechał za nią? Czy próbował jej pomóc, ponieważ nieświadomie też znalazła się w programie?

Czy usunęła z drogi jedyne go człowieka, który mógł wyrwać ją z rąk tej potwornej szajbuski?

- Ej! - Paula zastukała w blat. - Czekam na więcej pytań. Wyrzuć je z siebie. Nie mamy nic lepszego do roboty.

Andy potrząsnęła głową. Od początku próbowała ustalić, jaki jest udział Mike'a w tej historii. Jego furgonetka na podjeździe Hazeltonów, z króliczą łapką jako brelokiem do kluczyków. Magnetyczne znaki na aucie, które zmieniał w każdym mieście.

Nadajnik GPS w lodówce turystycznej.

Musiał go podrzucić, gdy spała jak zabita w motelu w Muscle Shoals. Potem poszedł do baru po drugiej stronie ulicy, by uczcić piwem udaną operację, i improwizował, kiedy ona przekroczyła próg knajpy.

Założyła, że przyjaźni się z barmanem, ale tacy goście jak Mike wszędzie wchodzili z ludźmi w komitywę.

- Ej! - Paula przypominała o swojej obecności. - Postaraj się, mała. Jeśli przestaniesz mnie zabawiać, znowu cię zwiążę

i będę oglądać ulubione programy.

Andy musiała potrząsnąć głową, by odzyskać jasność myśli. Uniosła brodę i podparła ją wolną ręką. Mogła tylko wrócić do pytań z listy.

- Dlaczego wysłałaś mnie na poszukiwanie Clary?

- Suka nie chciała ze mną gadać, kiedy miała jeszcze wszystkie klepki, a Edwin groził, że zakabluje mojemu kuratorowi. Liczyłam, że twój widok odświeży Clarze pamięć. Potem bym cię porwała, ty przekazałabyś mi zdobyte informacje i wszystko skończyłoby się szczęśliwie. Tyle że Edwin wszedł mi w paradę. Ale wiesz co? Chrzanić go za wkład w ugodę, która uratowała Jane przed długą odsiadką. - Paula wrzuciła do ust garść frytek. - Twoja matka miała swój udział w zamordowaniu twojego dziadka. Patrzyła na śmierć Alexandry Maplecroft. Była tam, kiedy Quarter dostał kulkę prosto w serce. Prowadziła furgonetkę przez część drogi na farmę. Była po naszej stronie na całego, na każdym etapie naszej działalności.

- Aż wreszcie postanowiła się wycofać - stwierdziła Andy, ponieważ wołała się trzymać tej części życiorysu matki.

- O tak, zdążyliśmy jeszcze spowodować eksplozję na giełdzie towarowej w Chicago, zanim to wszystko się skończyło. - Paula przechwyciła obojętne spojrzenie Andy. - Tam się handluje towarami i surowcami, zawiera kontrakty, inwestuje w derywaty. Słyszałaś o nich? Nick był już na Manhattanie, kiedy go złapali. Próbował wysadzić giełdę. To dopiero byłby fenomenalny wyczyn.

Andy oglądała wraz z innymi samoloty wbijające się w bliźniacze wieże, ciężarówki rozjeżdżające ludzi na ulicy i wszystkie inne okropności, jakie się wraz z upływem lat wydarzyły. Wiedziała, że żaden z tych ataków nie miał w sobie

nic chwalebного. Tak jak wiedziała, że bez względu na to, co szaleńcy próbują na zawsze unicestwić, i tak zawsze się to odrodzi, do tego wyższe, silniejsze, lepsze.

- Dlaczego tu jestem? Czego chcesz od mojej mamy? - zapytała.

- Długo trwało, ale dotarłaś do sedna - stwierdziła Paula. - Jane ma papiery, które podpisał twój wujek Jasper.

Wujek Jasper.

Nie mogła przyzwycząić się do myśli, że ma rodzinę, chociaż nie była pewna, czy Quellerowie są taką rodziną, jakiej by chciała.

- W ciągu ostatnich dwunastu lat Nick sześć razy ubiegał się o zwolnienie warunkowe. - Paula zgmiotła torebkę po frytkach i rzuciła ją w kierunku kosza na śmieci. - I za każdym razem przeklęty Jasper Queller staje z tymi swoimi idiotycznymi lotniczymi dystynkcjami i znaczkiem z amerykańską flagą w klapie i zaczyna jęczeć, jak Nick zabił mu ojca, zaraził brata, odebrał siostrę i inne dyrdymały.

- Zaraził brata?

- Nick nie ma z tym nic wspólnego. Twój drugi wujek był pedałem i umarł na AIDS.

Andy wzdrygnęła się na dźwięk obelżywego określenia.

- Twoje pokolenie i jego pieprzona polityczna poprawność - prychnęła Paula.

- Twoje pokolenie i jego pieprzona homofobia - odgryzła się Andy.

Paula znowu prychnęła.

- Jezu, gdybym wiedziała, że wystarczy cię postrzelić, żebyś pokazała pazury, wyświadczyłabym ci tę przysługę już w Austin.

Andy zamknęła na chwilę oczy. Nie chciała brnąć w tę

brutalną potyczkę słowną.

- Co jest w tych papierach? Dlaczego są takie ważne?

- Oszustwo. - Paula uniosła brwi w oczekiwaniu na reakcję Andy. - Queller Healthcare wyrzucała pacjentów na ulicę, ale nadal pobierała od administracji stanowej pieniądze za opiekę nad nimi.

Andy czekała na więcej, ale najwyraźniej to było wszystko.

- I...? - zapytała.

- Co znaczy i...?

- W jednej chwili znalazłabym w Internecie dziesiątki nagrań pokazujących biedaków wyrzucanych ze szpitali. - Andy wzruszyła ramionami. - Szpitale przepraszają i płacą grzywnę, a czasem nawet tego nie robią. Nikt nie traci pracy, najwyżej ochroniarz, który wykonywał polecenia przełożonych.

Paula była zdumiona jej nonszalancją.

-Ale to nadal jest przestępstwo - powiedziała.

- Zgoda.

- Oglądasz wiadomości? Czytasz gazety? Jasper Queller chce kandydować na prezydenta.

Andy nie była pewna, czy skazanie za oszustwo stanowiłoby przeszkodę. Paula nadal myślała w kategoriach zasad z lat osiemdziesiątych, sprzed pojawienia się spin doktorów i zespołów zarządzających kryzysami. Teraz wystarczy, by Jasper udał się w pokutną podróż po kraju, pokajał się, popłakał, i jeśli dobrze to rozegra, zdobędzie jeszcze większą popularność niż przed aferą.

Paula skrzyżowała ramiona. Miała na twarzy uśmiech samozadowolenia.

- Wierz mi, że Jasper wyłoży się przy pierwszym powiewie skandalu. Jemu zależy tylko na reputacji rodziny Quellerów. W naszych rękach będzie jak marionetka.

Andy miała wrażenie, że coś jej umyka, i postanowiła to wyjaśnić.

- Zobaczyłaś moją mamę w telewizji. Wynajęłaś faceta, który torturami miał wyciągnąć od niej informacje o miejscu przechowywania tych dokumentów, a teraz przetrzymujesz mnie jako zakładniczkę, bo chcesz zdobyć te papiery i szantażować nimi Jaspersa, żeby Clayton czy inaczej Nick został zwolniony warunkowo?

- To żadna filozofia, mała.

To nie był nawet wstęp do filozofii.

Jak jej matka mogła zadać się z takimi idiotami?

- Przygotowałam wszystko na wyjście Nicka - ciągnęła Paula.

- Powiesimy na ścianach jakieś dzieła sztuki, znajdziemy odpowiednie meble. Nick ma świetny gust. Bez niego nie odważyłabym się wybrać tych rzeczy.

Andy przypomniała sobie nijakość wnętrza domu Pauli. Dwadzieścia lat w więzieniu, dziesięć lat na wolności, a ona nadal czekała, aż Clayton Morrow powie jej, co robić.

- To Nick cię do tego namówił? - zapytała, przypominając sobie słowa Pauli. - Dlatego mnie nie zabiłaś, tak? Bo jestem jego córką.

Paula uśmiechnęła się szeroko.

- Nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz.

Andy usłyszała wibrowanie telefonu.

Paula przeszukała torby i znalazła uszkodzony telefon. Zanim odebrała, puściła oko do Andy.

- Co jest, Głupia Suko? - Uniosła brwi. - Motel Porter. Wiem, że znasz to miejsce. Pokój trzysta dziesięć.

Andy patrzyła, jak Paula zamyka klapkę telefonu.

- Jedzie tu? - zapytała.

- Już tu jest. Pewnie użyła forsy Quellerów, żeby

wyczarterować lot. – Paula wstała i poprawiła broń za paskiem.
– Jesteśmy w Valparaiso w Indianie. Uznałam, że będziesz chciała zobaczyć, gdzie się urodziłaś.

Andy zdążyła już pogryźć język, teraz nerwowo zaczęła przygryzać skórę po wewnętrznej stronie policzka.

– Głupia Suka była za dobra, żeby siedzieć w zwykłym więzieniu. Edwin załatwił jej odsiadkę w więzieniu w hrabstwie Porter. Cały czas miała pojedynczą celę. To lepsze niż strach, że jakaś zdzira wbije ci nóż w plecy, bo powiedziałaś, że ma duży tyłek.

Mózg Andy nie był w stanie przetworzyć tylu informacji naraz.

– A co... – zaczęła.

Paula zdjęła szal i wepchnęła go Andy do ust.

– Wybacz, mała, ale twoje gadanie mnie rozprasza. – Uklękła i odpięła kajdanki pod stołem. – Wsadź prawą rękę pod stół.

Andy wyciągnęła obie ręce i Paula przykuła je do podstawy stołu.

– Uhm – jęknęła Andy tłumionym głosem. Szal utkwiał zbyt głęboko, więc próbowała wypchnąć go z gardła językiem.

– Jeśli twoja mamusia zrobi, co powinna, nic ci nie będzie. – Paula wyjęła z torby zwój linki do bielizny i przywiązała Andy za kostki do nogi krzesła. – Na wypadek, gdyby coś głupiego przyszło ci do głowy.

Andy zaczęła kasłać. Im bardziej próbowała wypchnąć knebel z ust, tym głębiej wchodził.

– Wiesz, że twój nieżyjący wujek próbował się powiesić na takiej lince? – Paula znowu sięgnęła do plastikowej torby, wyjęła z niej nożyczki i zębami rozerwała opakowanie. – Domyślam się, że nie wiesz. Po tym została mu na szyi blizna, o tutaj... – Końcówką nożyczek wskazała miejsce na swojej szyi

tuż poniżej ciemnych znamion.

Andy miała nadzieję, że to początki raka skóry.

- Wtedy uratował go Jasper. - Paula obcięła końcówkę linki. - Andy zawsze potrzebował pomocy. Dziwne, że mama zwraca się do ciebie jego imieniem.

Laura nie lubiła zwracać się do Andy imieniem swojego zmarłego brata. Krzywiła się za każdym razem, gdy zamiast „Andrea” powiedziała „Andy”.

Paula sprawdziła zapięcie kajdanek, potem węzły.

- Dobrze, teraz idę siku. - Schowała nożyczki do tylnej kieszeni. - Nie rób głupstw.

Andy czekała, aż drzwi łazienki się zamkną, potem zaczęła szukać okazji do zrobienia głupstwa. Telefon nadal leżał na stole. Sięganie rękami odpadało, mogła jednak użyć głowy. Próbowwała przesunąć krzesło o centymetry do przodu, ale piekący ból przeszył jej bok i wywołał odruch wymiotny.

Knebel cofnął wymiociny z powrotem w głąb gardła.

Cholera.

Omiotła pokój od podłogi po sufit. Pojemnik na lód i plastikowe kubki pod telewizorem. Butelki z wodą. Kosz na śmieci. Chwyciła palcami podstawę stołu. Był za ciężki, poza tym miała w ciele pocisk. A nawet gdyby wytrzymała ból i podniosła stół, upadłaby na twarz, ponieważ kostki miała przywiązane do krzesła.

Z łazienki dobiegł dźwięk spuszczonej wody, potem szum wody lecącej z kranu. Paula wyszła z ręcznikiem i rzuciła go na biurko. Zamiast zwrócić się do Andy, usiadła na brzegu łóżka i zaczęła oglądać telewizję.

Andy oparła czoło o blat stołu. Zamknęła oczy. Czuła w gardle narastający jęk tłumiony kneblem. Tego było dla niej za wiele. Stanowczo za wiele.

- Mike był szeryfem federalnym.
- Matkę obejmował program ochrony świadków.
- Jej biologiczny ojciec był przywódcą morderczej sekty.
- Edwin Van Wees nie żył.
- Clara Bellamy...

Andy nadal słyszała trzask, po którym krzyk Clary ucichł.

Klik-klik-klik-klik bębienka rewolweru.

Baletnica i prawnik opiekowali się nią przez dwa pierwsze lata jej życia, a ona nie miała nawet mglistych wspomnień z tego okresu.

W korytarzu rozległ się jakiś dźwięk.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Podniosła głowę.

Ktoś zapukał do drzwi dwa razy, odczekał chwilę i zapukał jeszcze raz. Mocno, zdecydowanie.

- Twoja matka uważa, że jest przebiegła, zjawiając się tu szybciej, niż zapowiedziała - prychnęła Paula, po czym zgasła telewizor i położyła palec na ustach, jakby Andy mogła zrobić cokolwiek prócz siedzenia w milczeniu.

Zanim otworzyła drzwi, wyjęła zza paska rewolwer.

Na progu stała Laura.

Andy zaczęła płakać. Nie była w stanie powstrzymać łez. Na widok matki poczuła tak niewymowną ulgę, że wpadła w nerwowy dygot.

Ich oczy się spotkały.

Laura pokręciła głową raz, ale Andy nie zrozumiała dlaczego.

Nic nie rób?

To koniec?

Paula wycelowowała rewolwer w twarz Laury.

- Rusz się. Szybko.

Laura weszła do pokoju, opierając się ciężko na aluminiowej lasce. Na ramiona miała narzucony płaszcz. Była blada,

wyglądała na osłabioną i dwukrotnie starszą.

- Nic ci nie jest? - zwróciła się do Andy.

Andy pokręciła głową, zaniepokojona mizernym wyglądem matki. Miała niemal tydzień na rekonwalescencję. Czyżby znowu coś jej dolegało? Nabawiła się infekcji nogi od rany postrzałowej czy dłoni od rany po nożu?

- Gdzie je masz? - Paula przytknęła lufę rewolweru do potylicy Laury. - Dokumenty. Gdzie są?

Laura nie spuszczała Andy z oczu. Zupełnie jakby połączyła je niewidzialna nić. Andy pamiętała to samo spojrzenie, kiedy pielęgniarki wiozły Laurę na salę operacyjną, na radioterapię czy na oddział chemioterapii.

To była jej matka. Ta obca kobieta zawsze była jej matką.

- No gadaj - powiedziała Paula. - Gdzie...

Laura uniosła prawe ramię. Płaszcz zsunął jej się z ramion na ziemię. Lewa ręka wisiała jej na temblaku, w który były wetknięte dokumenty. Zniknęła szyna założona w szpitalu. Rękę miała grubo owiniętą bandażem elastycznym. Wystawały z niego podkurczone spuchnięte palce dłoni.

Paula wyrwała jej dokumenty i otworzyła teczki na biurku pod telewizorem. Nie przestając celować do Laury, wertowała strony. Co chwila odrywała się od papierów i spoglądała na Laurę, jakby obawiała się ataku.

- To wszystko?

- Tyle ci wystarczy - odparła Laura, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z Andy.

Co chciała jej powiedzieć?

- Rozstaw nogi. - Paula przeszukała Laurę od dołu do góry i z powrotem. - Zdejmij temblak - poleciła.

Laura ani drgnęła.

- Już. - W głosie Pauli pojawiło się coś, czego Andy dotąd nie

słyszała.

Czyżby strach? Czy ta porąbana baba naprawdę bała się Laury?

- Zdejmij - powtórzyła Paula z wyczuwalnym napięciem w głosie, nerwowo przestępując z nogi na nogę. - No już, Głupia Suko.

Laura westchnęła, opierając laskę o łóżko, i sięgnęła do szyi. Namacała zapięcie na rzep, ostrożnie zdjęła temblak i odsunęła zabandażowaną rękę od tułowia.

- Nie mam na sobie podsłuchu - oznajmiła.

Paula podniosła jej koszulę, przejechała palcem wzdłuż paska.

Laura znowu poszukała wzroku Andy. Pokręciła głową. Tylko raz.

Dlaczego?

- Siadaj na łóżku - zarządziła Paula.

- Masz, o co prosiłaś. - Głos Laury był spokojny, niemal zimny. - Puść nas, a nikomu nie stanie się krzywda.

Paula wycelowwała rewolwer w twarz Laury.

- Tylko tobie stanie się krzywda.

Laura kiwnęła głową, patrząc na Andy, jakby właśnie takiej reakcji się spodziewała. Potem przeniosła wzrok na Paulę.

- Wypuść ją. Ja zostanę.

Nie! - Wołanie uwięzło Andy w gardle. Rozpaczliwie próbowała pozbyć się knebla.

- Siadaj. - Paula pchnęła Laurę w stronę łóżka.

Z tylko jedną sprawną ręką nie miała szans utrzymać równowagi i upadła na bok. Andy zobaczyła grymas bólu na jej twarzy.

Zakipiała z gniewu. Zaczęła jęczeć, pomrukiwać, prychać, wydawać z siebie odgłosy, na jakie pozwalał ciasny knebel.

Paula kopnęła laskę na drugi koniec pokoju.

- Córka zobaczy, jak umierasz.

Laura milczała.

- Weź to. - Paula rzuciła w nią zwój linki do bielizny.

Laura złapała go jedną ręką i znowu spojrzała na Andy, a potem przeniosła wzrok na Paulę.

Co? - chciała krzyknąć Andy. Co mam zrobić?

Laura podniosła zwój.

- To ma mnie przestraszyć?

- Tym cię zwiążę jak świnie, żeby cię wypatroszyć.

Wypatroszyć?

Andy zaczęła szarpać kajdanki i przycisnęła klatkę piersiową do kantu stołu. Ból był nie do zniesienia, ale musiała coś zrobić.

- Penny, przestań. - Laura przesunęła się w stronę brzegu łóżka. - Nick nie chciałby...

- A co ty, kurwa, wiesz o tym, czego chce Nick? - Trzęsąc się z wściekłości, chwyciła rewolwer obiema rękami. - Ty pieprzona zimna suko.

- Byłam jego dziewczyną przez sześć lat. Urodziłam jego dziecko. - Laura postawiła stopy na ziemi. - Jak sądzisz, chciałby, żeby jego córka widziała brutalne zabójstwo matki?

- Powinnam cię zastrzelić. Widzisz moje oko? Widzisz, co mi zrobiłaś?

- Szczerze mówiąc, jestem z tego dumna.

Paula zamachnęła się i uderzyła Laurę w twarz rewolwerem.

Trach.

Andy czuła skurcze żołądka, widząc, jak Laura próbuje zachować wyprostowaną pozycję.

Paula znowu uniosła broń.

Andy zacisnęła powieki, ale usłyszała straszny chrzęszczący

dźwięk metalu trafiającego w kość. Znowu była na farmie. Edwin nie żył. Clara krzyknęła pierwszy raz, a potem...

Klik, klik, klik, klik.

Bębenek obracający się w rewolwerze.

Otworzyła oczy.

- Cholerna suka. - Paula znowu wymierzyła Laurze cios w twarz. Z rozciętej wargi poleciała krew.

Mamo! - Krzyk uwiązał Andy w gardle. Przez knebel wydobyło się tylko stęknienie.

- Będzie gorzej - Paula zwróciła się do Andy - więc trochę przyhamuj.

Mamo! - krzyczała Andy, patrząc na Laurę, potem na broń, potem znowu na Laurę.

Zastanów się! Myśl!

Dlaczego Paula groziła, że wypatroszy Laurę? Dlaczego nie zastrzeliła Clary na farmie? Dlaczego teraz nie groziła Laurze i Andy użyciem broni?

Kiedy Andy słyszała na farmie klikanie, to Paula sprawdzała, czy w rewolwerze są jeszcze naboje.

Teraz nie miała ani jednego.

Mamo! - Andy zakołysała krzesłem tak energicznie, że z rany poleciała świeża krew. Stół wbijał jej się w klatkę piersiową. Wykręciła nadgarstki, chcąc je unieść, by Laura mogła je zobaczyć.

Patrz! - Jęczała i pomrukiwała, naprężając struny głosowe do granic możliwości, wołając o uwagę matki.

Laura przyjęła kolejny cios. Głowa bezwładnie opadła jej na bok. Była ogłuszona.

Mamo! - Andy potrząsnęła stołem energiczniej. Kajdanki wrzynały jej się w skórę. Wściekle machała dłońmi, byle tylko Laura spojrzała w jej kierunku.

- Uspokój się, mała. Zaraz się przewrócisz - rzuciła Paula.
Andy chrząknęła, machając dłońmi tak mocno, że kajdanki obtarły jej skórę do krwi.

Patrz!

W końcu Laura powoli, jak w zwolnionym tempie, skupiła wzrok na dłoniach Andy.

Cztery palce w lewej ręce powędrowały w górę. Jeden palec uniósł się w prawej.

Tyle samo palców Laura pokazała Jonahowi Helsingerowi w restauracji.

Dlatego jeszcze nie pociągnąłeś za spust. Została ci jedna kula.

Laura patrzyła, jak Andy unosi kciuk w lewej ręce.

Sześć palców.

Sześć naboí.

Laura wyprostowała się na łóżku.

Paulę zdumiało to nagłe ocknięcie. Właśnie tego Laura potrzebowała.

Złapała broń prawą ręką. Lewą rękę skrzyła w powietrzu i uderzyła Paulę prosto w gardło.

Świat się zatrzymał.

Żadna z kobiet się nie ruszała.

Laura przyciskała pięść do szyi Pauli.

Paula oplotła dłonią rękę Laury.

Gdzieś w pokoju tykał zegar.

Andy usłyszała bulgot.

Laura wyrwała zranioną rękę z uścisku Pauli.

Z rozciętego gardła strużka krwi spływała za kołnierz koszuli Pauli. Otwarta rana miała półkolisty kształt.

Krew kapiała z żyłki, którą Laura ukryła między palcami.

„Poderżnę ci gardło, jeśli tkniesz moją córkę”.

Dlatego Laura pozbyła się szyny unieruchamiającej rękę. Musiała mieć swobodne palce, żeby trzymać między nimi żyłkę i wbić ją w szyję Pauli.

Paula zakasłała, rozbryzgując wokół krew. Trzęsa się, ale tym razem nie ze strachu, lecz z wściekłości.

Laura pochyliła się ku niej i szepnęła jej coś do ucha.

W oczach Pauli zapaliły się błyskawice. Znowu zakasłała. Drżały jej wargi. I palce. I powieki.

Andy przywarła czołem do stołu.

Zachowała obojętność wobec tej jatki. Gwałtowna przemoc już jej nie szokowała. W końcu pojęła, skąd spokój malujący się na twarzy matki po zabiciu Jonaha Helsingera.

Widziała to wszystko już wcześniej.

MIESIĄC PÓŹNIEJ

*Poczułam – Umysł się Rozszczepił -
Mózg na dwie części się rozpruł -
Chciałam je zszyć – nie pasowały
Do siebie w żaden sposób.*

*Związać następną myśl z poprzednią
Usiłowałam – lecz Związek
Następstw bezgłośnie się rozmotął
Jak Kłębki – na Podłodze.*

Emily Dickinson^[3]

EPILOG

Laura Oliver siedziała na drewnianej ławce przed stanowym więzieniem w Marylandzie. Kompleks budynków wyglądał jak ogromna szkoła średnia, a sąsiedni obiekt bardziej kojarzył się z letnim obozem dla chłopców. Przy minimum zabezpieczeń odsiadawali tu karę głównie przedstawiciele białych kołnierzyków skazani za okradanie funduszy hedgingowych albo wieloletnie niepłacenie podatków. Mieli do dyspozycji kort tenisowy, boiska do koszykówki i dwie bieżnie. Ogrodzenie wydawało się wręcz prowizoryczne. Wieżyczki strażników były rozmieszczone rzadko. Wielu osadzonych miało pozwolenie na pracę poza terenem więzienia w pobliskich zakładach.

Ze względu na ciężar swoich przestępstw Nick nie powinien się tu znaleźć, ale zawsze umiał wkręcić się tam, gdzie nie powinien. Został skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci Alexandry Maplecroft i spisek w celu użycia broni masowego rażenia w Nowym Jorku. Sędziowie przysięgli postanowili nie tylko darować mu życie, ale też dać możliwość wystąpienia o zwolnienie warunkowe. Pewnie na tej podstawie wywalczył dla siebie przeniesienie w lepsze warunki. Tym najgorszym, co osadzonych mogło spotkać pod niebieskimi dachami tej instytucji, to nuda.

Laura na własnej skórze poznała to uczucie towarzyszące odsiadce, ale nie w takiej wersji, jakiej doświadczał Nick. Na mocy zawartej ugody swój dwuletni wyrok odbyła w pojedynczej celi. Początkowo myślała, że oszaleje. Płakała, krzyczała, a nawet wygrywała słyszane w głowie melodie na ramie łóżka, która stała się wirtualną klawiaturą. Potem, w miarę rozwoju ciąży, owładnęło nią wieczne znużenie. Kiedy

nie spała, zabijała czas czytaniem. Kiedy nie czytała, czekała na posiłek albo wpatrywała się w sufit, tocząc w myślach rozmowy z Andrew, których nigdy nie odbyła.

- Będę silna.
- Mogę to zmienić.
- Mogę od tego uciec.

Opłakiwała stratę braci. Andrew zabrała śmierć, Jaspiera chciwość. Opłakiwała stratę Nicka. Kochała go przez sześć lat i brak tej miłości odczuwała jak brak ręki albo nogi. Potem urodziła się Andrea i Laura opłakiwała stratę maleńkiej córeczki.

Tylko raz mogła wziąć Andreę na ręce, zanim Edwin i Clara ją zabrali. Ze wszystkich rzeczy, jakie w życiu straciła, strata pierwszych osiemnastu miesięcy z życia Andy pozostawiła w niej niezabliźnioną ranę.

Wyjęła z torebki chusteczkę, wytarła oczy i odwróciła głowę. Do ławki zbliżała się Andy. Jej piękna córka szła wyprostowana, z uniesioną głową. Z powodu ostatnich zdarzeń przeszła przemianę, do której Laura jeszcze nie przywykła. Bardzo długo martwiła się, że Andy odziedziczyła wszystkie jej słabości, ale teraz dostrzegła, że przekazała jej też swoją odporność.

- Miałaś rację - rzuciła Andy, siadając na ławce obok Laury. - Toalety są obrzydliwe.

Laura otoczyła ją ramieniem i pocałowała w skroń, chociaż Andy odsunęła się od niej.

- Mamo - powiedziała z wyrzutem.

Laura cieszyła się, że w głosie córki znowu słyszy irytację. Od wyjścia ze szpitala Andy jeżyła się na każdy przejaw nadopiekuńczości. Nie miała pojęcia, jak bardzo Laura musi się powstrzymywać. Gdyby dać jej szansę, z najwyższą

przyjemnością posadziłaby sobie dorosłą Andy na kolanach i zaczęła czytać jej bajki.

Odkąd Andy poznała prawdę – a przynajmniej część prawdy, którą Laura chciała się podzielić – nieustannie prosiła ją o opowieści.

– Wczoraj rozmawiałam z córkami Clary – oznajmiła. – Znalazły miejsce, które specjalizuje się w opiece nad chorymi na Alzheimera. Bardzo przyjemne, nie przypomina typowego domu opieki, lecz wspólnotę. Mówią, że Clara już nie pyta tak często o Edwina.

Laura pogładziła Andy po plecach, starając się ukryć zazdrość.

– To dobrze. Bardzo się cieszę.

– Denerwuję się. Ty też? – zapytała Andy.

Laura pokręciła głową, ale nie była tego pewna.

– Dobrze w końcu chodzić bez szyny. – Zgięła i wyprostowała rękę. – Moja córeczka jest zdrowa i bezpieczna. Mój były mąż znowu ze mną rozmawia. W świetle wszystkich wydarzeń mam więcej powodów do radości niż smutku.

– Rany, to dopiero modelowe lawirowanie.

Laura zaśmiała się, zaskoczona i przestraszona, że to, co Andy mówiła dotąd w myślach, w końcu zaczęła artykułować głośno i dobitnie.

– Może trochę się denerwuję. Był moją pierwszą miłością.

– Pobił cię potwornie. To nie miłość.

Zdjęcia z polaroidu.

Andy była pierwszą osobą, której Laura powiedziała prawdę o sprawcy pobicia.

– Masz rację, skarbie. To nie była miłość. Nie pod koniec.

Andy zacisnęła usta. Wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować, czy chce dowiedzieć się wszystkiego o swoim

biologicznym ojcu, czy nie chce wiedzieć nic.

- Jak to było, kiedy ostatni raz go widziałas?

Laura nie musiała długo szukać w zakamarkach pamięci wspomnień z procesu, gdy siedziała na miejscu dla świadka.

- Byłam przerażona. Nick bronił się sam, więc miał prawo zadawać mi pytania na posiedzeniu jawnym. - Nick zawsze uważał się za bystrzejszego od innych. - Wszystko trwało sześć dni. Sędzia ciągle powtarzał, żebym mówiła głośniej, ponieważ byłam w stanie tylko szeptać. Czułam się bezsilna. Potem spojrzałam na ławę przysięgłych i zrozumiałam, że oni nie kupują jego zachowań i postępowania. Tak jest z oszustami, zawsze potrzebują czasu. Obserwują cię, diagnozują twoje wewnętrzne braki, a potem sprawiają, że czujesz, jakby tylko oni mogli wypełnić tę pustkę.

- A tobie czego brakowało? - zapytała Andy.

Laura ściągnęła usta. Postanowiła oszczędzić jej szczegółów o seksualnym molestowaniu przez Martina. Bywały nawet dni, kiedy umiała sama siebie przekonać, że trzyma to w tajemnicy dla dobra córki, nie swojego.

- Właśnie skończyłam siedemnaście lat, kiedy Andy przywiózł Nicka do naszego domu. Większość życia spędziłam przed pianinem. Lekcje w szkole, po południu zajęcia z prywatnym nauczycielem, potem... No cóż, desperacko pragnęłam być dostrzeżona. - Wzruszyła ramionami. - Z dzisiejszej perspektywy to brzmi niedorzecznie, ale wtedy tyle mi wystarczyło. Dostrzegł mnie. Dałam się złapać.

- To tutaj przyjeżdżałaś, kiedy znikaaś w weekendy? - Andy znowu odeszła od tematu Nicka. - Kiedy niby pojechałaś do Muzeum Harriet Tubman i przywiozłaś mi szklaną kulę?

- Spotykałam się z moim agentem z WitSec. To znaczy z programu ochrony świadków.

- Wiem, co to jest WitSec. - Andy przewróciła oczami. Odkąd przez pewien czas była zbiegiem, uważała się za ekspertkę od systemu wymiaru sprawiedliwości.

Laura uśmiechnęła się, gładząc ją po włosach.

- Przez piętnaście lat przebywałam na warunkowym. Mój pierwszy agent miał o wiele luźniejsze podejście do całej sprawy niż Mike, ale nadal musiałam się meldować.

- Rozumiem, że nie lubisz Mike'a?

- On mi nie ufa, bo jestem przestępczynią, a ja nie ufam jemu, bo jest gliną.

Andy kopiała w ziemię czubkiem buta. Nadal usiłowała złożyć w spójną całość ponurą przeszłość Laury z obrazem kobiety, którą od zawsze znała jako swoją matkę. A może próbowała pogodzić się z myślą o własnej zbrodni.

- Nie możesz zdradzić Mike'owi, co się stało - przypomniała jej Laura. - Masz szczęście, że jeszcze się tego nie domyślił.

Andy w milczeniu skinęła głową. Nie miała już poczucia winy z powodu zamordowania człowieka, którego wszyscy zaczęli nazywać Kapturem, ale podobnie jak Laura, nie mogła sobie wybaczyć, że naraziła Gordona na niebezpieczeństwo.

Tamtej nocy, kiedy wymknęła się z domu, Laura usiadła na podłodze w swoim gabinecie, gdzie leżało ciało Kaptura, i czekała, aż policja wyważy drzwi i aresztuje ją.

Zamiast tego usłyszała męskie krzyki na trawniku przed domem.

Otworzyła drzwi i zobaczyła leżącego na ziemi Mike'a pod lufami karabinów sześciu policjantów. Został ogłuszony prawdopodobnie przez Kaptura. Laura uznała, że należało mu się za węszenie wokół domu. Gdyby chciała wciągnąć w sprawę Jonaha Helsingera amerykańską agencję federalną, sama zadzwoniłaby do Mike'a.

Mimo to nie powinna być dla niego zbyt surowa, ponieważ tylko z jego powodu nie została wtedy aresztowana.

Esemes Andy był dość nieprecyzyjny:

419 Seaborne Ave uzbrojony intruz niebezpieczeństwo szybko błagam

Laura osiągnęła mistrzostwo w wykrętach. Wytłumaczyła policjantom, że spanikowała na widok mężczyzny za oknem; że w ciemności nie poznała Mike'a; że nie ma pojęcia, kto go uderzył i dlaczego chcą wejść do domu, ale wie, że ma prawo ich nie wpuścić.

Jedynym powodem, dla którego jej uwierzyli, był fakt, że zbyt ogłuszony Mike nie zdołał temu zaprzeczyć. Karetka zawiozła go do szpitala, a Laura odczekała do wschodu słońca i zadzwoniła do Gordona. Potem oboje czekali do zachodu słońca, wynieśli ciało z domu i wrzucili je do rzeki.

I właśnie obok tego postępku Andy nie mogła przejść obojętnie. Zabicie Kaptura było działaniem w obronie własnej, natomiast uwikłanie Gordona w tuszowanie jej zbrodni komplikowało sprawę.

Laura próbowała złagodzić jej poczucie winy.

- Skarbie, tata niczego nie żałuje. Tyle razy ci to powtarzał. Postąpił niezgodnie z prawem, ale miał powód.

- Mógł ściągnąć na siebie kłopoty.

- Nic się nie stanie, jeśli wszyscy będziemy trzymać język za zębami. Pamiętaj, że Mike nie jechał za tobą, by czuwać nad twoim bezpieczeństwem. Chciał sprawdzić, co kombinujesz, bo myślał, że ja złamałam prawo. - Laura wzięła Andy za rękę. - Wszystko dobrze się ułoży, jeśli będziemy trzymać się razem. Zaufaj mi. Wiem, jak się wywinąć.

Andy zerknęła na nią, potem odwróciła wzrok. Jej milczenie stało się bardzo znaczące. Przestało być oznaką

niezdecydowania, po nim następowały trudne pytania.

Laura wstrzymała oddech w oczekiwaniu na kolejne.

Nadszedł moment, w którym Andy mogła w końcu zapytać o Paulę. Dlaczego Laura ją zabiła, zamiast wyrwać rewolwer z pustym bębniem? Co szepnęła do ucha umierającej Pauli? Dlaczego kazała Andy powiedzieć policjantom, że była nieprzytomna, kiedy Paula umierała?

- W magazynie była tylko jedna walizka - odezwała się w końcu Andy.

Laura odetchnęła. Odczekała chwilę, by się uspokoić i znaleźć właściwą odpowiedź.

- Myślisz, że jest tylko jeden magazyn?

Andy uniosła brwi.

- To pieniądze od twojej rodziny?

- To pieniądze z kryjówek, z furgonetek. Nie wzięłabym pieniędzy Quellerów.

- Paula mówiła to samo.

Laura znowu wstrzymała oddech.

- Czy to krwawe pieniądze?

- Tak. - Laura wmawiała sobie, że pieniądze w kryjówkach są inne. Usprawiedliwiała ich trzymanie, ponieważ żyła w strachu, że Jasper będzie ją ścigał. Kosmetyczka ukryta w kanapie. Magazyny. Fałszywe dowody tożsamości kupione od tego samego fałszerza w Toronto, który z Laury Juneau uczynił Alexandrę Maplecroft. Wszystkich tych machinacji dokonała na wypadek, gdyby Jasper odkrył miejsce jej pobytu.

I wszystkie jej obawy okazały się nieuzasadnione, ponieważ Andy miała rację.

Jasper najwyraźniej nie przejął się dokumentami. Oszustwo, którego się dopuścił, zgodnie z obowiązującym prawem już dawno uległo przedawnieniu, a jego pokutny objazd po kraju

przysporzył mu punktów poparcia w sondażach przedwyborczych.

Andy ciągle wierciła dziurę w ziemi czubkiem buta.

- Dlaczego to rzuciłaś?

Laura omal nie wybuchnęła śmiechem, ponieważ tak dawno nikt jej o to nie pytał, że w pierwszym odruchu pomyślała: Rzuciłam co?

- Najkrótsza odpowiedź brzmiałaby: z powodu Nicka, ale to o wiele bardziej skomplikowane.

- Mamy czas na długą odpowiedź.

Laura uważała, że życia jej nie wystarczy na wyczerpujące wyjaśnienie, mimo to podjęła próbę:

- Kiedy grasz muzykę klasyczną, grasz zapisane nuty. Musisz nieustannie ćwiczyć, bo inaczej tracisz dynamikę, a właśnie dzięki niej oddajesz nuty. Nawet po kilku dniach bez ćwiczeń czujesz, jak tracisz zręczność palców. Utrzymanie jej zajmuje mnóstwo czasu. Czasu, którego nie poświęcasz innym sprawom.

- Takim jak Nick.

- Takim jak Nick - powtórzyła Laura. - Nigdy wprost nie kazał mi tego rzucić, ale ciągle napomykał niby mimochodem o rzeczach, które moglibyśmy robić razem. Kiedy zrezygnowałam z muzyki klasycznej, uważałam, że to moja samodzielna decyzja dotycząca kierunku mojej kariery, ale to on zaszczeplił we mnie tę myśl.

- A potem grałaś jazz?

Laura czuła, że się uśmiecha. Uwielbiała jazz. Nawet po tylu latach nie mogła go słuchać, ponieważ poczucie straty nadal bardzo ją bolało.

- Jazz to nie tylko nuty. To także ekspresja melodyczna. Mniej ćwiczeń, więcej emocji. W muzyce klasycznej istnieje

ściana między tobą a widownią, natomiast jazz jest wspólną podróżą. Po koncercie nie masz ochoty zejść ze sceny. A z punktu widzenia techniki to zupełnie inny dotyk.

- Dotyk?

- Sposób, w jaki naciskasz klawisze. Szybkość, głębokość. Trudno to ubrać w słowa, taka prawdziwa esencja ciebie jako wykonawcy. Uwielbiałam to uczucie, gdy się jest częścią czegoś aż tak intensywnego i żywiołowego. Gdybym od początku wiedziała, jak się gra jazz, nigdy nie poszłabym drogą muzyka klasycznego. Nick to zobaczył przede mną.

- I przekonał cię, żebyś to też rzuciła?

- To była moja decyzja. - Mówiła prawdę. Wszystko było jej decyzją. - Znalazłam się w studiu nagrań i po pewnym czasie też to polubiłam. A Nick zaczął znowu kręcić nosem i... - Laura ponownie wzruszyła ramionami. - Właśnie tak postępują mężczyźni tacy jak Nick. Urządzają ci życie, odciągają cię od wszystkiego, co kochasz, żebyś swoją uwagę skupiła wyłącznie na nich. - Laura poczuła, że musi coś jeszcze dodać: - Jeśli im na to pozwolisz.

Uwagę Andy rozproszył Mike Falcone, który właśnie wysiadł z samochodu. Miał na sobie garnitur i krawat. Ruszył w ich stronę z szerokim uśmiechem. Laura próbowała udawać, że nie widzi ożywienia córki na jego widok. Mike był czarujący i autoironiczny. Wszystko w nim działało jej na nerwy.

Charyzma.

Kiedy znalazł się blisko nich, Andy zagadnęła:

- Co za zbieg okoliczności.

Mike dotknął ucha.

- Przepraszam, ale coś z moim słuchem nie tak. Jedno z moich jąder nadal tkwi w kanale słuchowym.

Andy wybuchnęła śmiechem, a Laura stężała.

- Piękny dzień na odwiedzin u czubka - zauważył.
- Nie bądź taki skromny. - Andy wyraźnie się z nim droczyła. Miała na twarzy niewymuszony uśmiech, jakiego Laura nigdy u niej nie widziała. - Jak się mają twoje trzy siostry?

- Ta część była akurat prawdą.

- A ta o twoim tacie?

- Ta też - odparł. - Wyjaśnisz mi, jakim cudem wylądowałaś w domu Pauli Kunde? Ona była na szczycie czarnej listy twojej mamy.

Laura poczuła, że córka tężeje. Sama dostawała rozstroju nerwowego na myśl, że Andy podsłuchiwała jej rozmowę z Kapturem. Nie mogła sobie wybaczyć, że nieświadomie posłała ją do jaskini lwa.

Andy wybrnęła z tego, kwitując pytanie Mike'a wzruszeniem ramion.

- A te pliki gotówki w twoich tylnych kieszeniach? To psuje nastrój - ciągnął Mike.

Andy uśmiechnęła się i znowu wzruszyła ramionami.

Laura czekała, ale Andy nie podjęła tematu. W powietrzu wyczuwało się seksualne napięcie.

Mike zwrócił się do Laury.

- Zdenerwowana?

- Niby czemu miałabym się denerwować?

Teraz Mike wzruszył ramionami.

- No rzeczywiście. Mamy dzień jak co dzień, kiedy spotykasz się z gościem, którego posłałaś do więzienia na resztę życia.

- Sam się posłał. To wy jesteście durniami, którzy co i rusz pozwalają mu stawać przed komisją do spraw zwolnień warunkowych.

- Do tego potrzeba całej wioski - zauważył Mike, wskazując różową bliznę na skroni, gdzie został uderzony w głowę. -

Odkryłaś, kto mnie powalił na trawniku przed twoim domem?

- Skąd wiesz, że to nie ja?

Laura uśmiechnęła się, ponieważ on się uśmiechnął.

Skłonił się lekko, wskazując więzienie.

- Panie mają pierwszeństwo.

Ruszyły przodem w stronę wejścia dla odwiedzających. Laura uniosła głowę, spoglądając na wysoki budynek z kratami w oknach ze wzmocnionego szkła. Nick był w środku. Czekał na nią. Po wielu dniach pewności poczuła nagły dreszcz. Czy naprawdę da radę to zrobić?

A czy miała wybór?

Zesztywniała, gdy rozległ się brzęczyk i drzwi wejściowe otworzyły się przed nimi. Strażnik, który ich powitał, był potężnie zbudowany, wyższy od Mike'a, z brzuchem wylewającym się z czarnego paska spodni. Laura i Andy zostawiły torebki i telefony w metalowych szafkach. Potem strażnik poprowadził je długim korytarzem w rytm skrzypienia skórzanych butów.

Laura wzdrygnęła się. Miała wrażenie, że ściany na nią napierają. Przy każdym szczęku drzwi i krat serce podchodziło jej do gardła. Siedziała tylko dwa lata, ale myśl o siedzeniu w pojedynczej celi przyprawiła ją o zimne poty.

A może myślała o Nicku?

Kiedy dotarli na koniec korytarza, Andy wzięła ją za rękę i weszli za strażnikiem do niewielkiego dusznego pokoju. Na monitorach wyświetlał się obraz ze wszystkich kamer monitoringu. Sześciu strażników siedziało ze słuchawkami na uszach, przysłuchując się rozmowom osadzonych w sali widzeń.

- Szeryfie? - Pod ścianą stał mężczyzna, który w przeciwieństwie do pozostałych miał na sobie garnitur

i krawat. Ucisnął Mike'owi dłoń na powitanie. - Szeryf Rosenfeld - przedstawił się.

- Szeryf Falcone - odparł Mike. - To mój świadek. A to jej córka.

Rosenfeld skinął najpierw Laurze, potem Andy, po czym z kieszeni wyjął plastikowe pudełeczko.

- To włoży pani do uszu. Dźwięk będzie transmitowany tutaj, gdzie nagramy każde słowo, które padnie w pani rozmowie z osadzonym.

Laura zmarszczyła brwi na widok plastikowych słuchawek dousznych w pudełeczku.

- Wyglądają jak aparaty słuchowe - zauważyła.

- Celowo. - Rosenfeld wyjął je z pudełeczka i położył na otwartej dłoni Laury. - Pani słowa zostaną wyłapane dzięki wibracjom w zuchwie. Żebyśmy mogli nagrać Clayтона Morrowa, musi siedzieć blisko pani. W sali wizyt jest mnóstwo dźwięków w tle, a wszyscy osadzeni wiedzą, jak wykorzystać martwe strefy. Jeśli chce go pani nagrać, nie może was dzielić więcej niż metr.

- To nie kłopot. - Tak naprawdę najbardziej cierpiała próżność Laury. W oczach Nicka nie chciała uchodzić za starą kobietę, która musi korzystać z aparatu słuchowego.

- Jeśli poczuje się pani zagrożona - ciągnął Rosenfeld - albo nie będzie miała pani siły kontynuować rozmowy, proszę powiedzieć: „Napiłabym się coli”. Tam stoi automat z napojami. On niczego się nie domyśli. Przekażemy najbliższemu strażnikowi, żeby wkroczył do akcji, ale jeśli Morrow będzie miał nóż albo inną broń...

- O to się nie martwię. Może użyć wyłącznie rąk.

Andy głośno przełknęła ślinę.

- Nic mi nie będzie, skarbie. To tylko rozmowa. - Laura

włożyła słuchawki do uszu. Miała wrażenie, że to kamyki.

- Co on musi powiedzieć? Co go obciążą? - zapytała Rosenfelda.

- Wszystko, co powiąże go z działaniem Pauli Evans-Kunde. Jeśli na przykład Morrow powie, że posłał ją na farmę, to już nam wystarczy. Nie musi powiedzieć wyraźnie, że ją przysłał na farmę, by kogoś zabiła albo porwała pani córkę. Na tym polega uroda zmowy. Wystarczy, że nagramy, jak przypisuje sobie związane z nią działania.

Stary Nick z radością przypisałby sobie wszystko, ale Laura nie miała pojęcia, czy obecny Nick odrobił lekcję.

- Mogę tylko spróbować.

- W porządku. - Jeden ze strażników uniósł kciuk. - Jakość dźwięku jest idealna.

W odpowiedzi Rosenfeld uniósł oba kciuki.

- Gotowa? - zapytał Laurę.

Poczuła dławienie w gardle. Dla dodania sobie otuchy uśmiechnęła się do Andy.

- Tak.

- Wszyscy trochę się denerwujemy, że znajdziesz się w jednym pomieszczeniu z tym gościem - wtrącił Mike.

Laura wiedziała, że szeryf usiłuje rozładować atmosferę.

- Postaramy się niczego nie wysadzić - odparła.

Andy wybuchnęła śmiechem, natomiast Mike oznajmił:

- Odprowadzę cię do drzwi. - A po krótkiej pauzie spytał: - Nadal uważasz, że Andy może tego słuchać?

- Oczywiście. - Laura ścisnęła dłoń córki, chociaż naszły ją wątpliwości. Bała się, że Nick przeciągnie ją na swoją stronę. Tak samo jak bała się o swój zdrowy rozsądek, ponieważ Nick przekabacił ją setki razy, a zdołała mu uciec tylko raz.

- Poradzisz sobie, mamó. - Andy posłała jej szeroki uśmiech.

Tak bardzo przypominała w tym Nicka, że serce Laury zamarło.

- Będę tu, kiedy to wszystko się skończy. Zgoda?

Laura była w stanie tylko skinąć głową.

Mike cofnął się, by Laura mogła pójść za strażnikiem kolejnym długim korytarzem. Zachowywał dystans, ale słyszała za plecami jego ciężkie kroki. Dotykała ściany palcami, by przestać wykręcać nerwowo ręce. Żołądek podchodził jej do gardła.

Szykowała się do tego przez miesiąc, ale i tak czuła, że jest przerażająco nieprzygotowana.

- Jak ona sobie radzi? - zapytał Mike, ewidentnie usiłując odwrócić jej uwagę. - Andy, twoja córka, jak sobie z tym wszystkim radzi?

- Doskonale - odparła Laura, w czym nie było dużo przesady. - Chirurg wyjął prawie całą kulę i zapewnił, że nie będzie trwałych uszkodzeń. - Mike nie pytał o fizyczne rany, ale Laura nie chciała rozmawiać o sprawach osobistych z mężczyzną, który tak otwarcie flirtował z jej córką. - Znalazła mieszkanie w mieście. Wydaje mi się, że wróci na studia.

- Powinna podjąć pracę w służbie federalnej. Okazała się świetnym detektywem.

Laura posłała mu ostre spojrzenie i takim samym tonem odparła:

- Wolałabym zamknąć córkę w piwnicy, niż pozwolić jej zostać gliną.

Mike zaśmiał się na te słowa.

- Jest na swój zabawny sposób zachwycająca - skonstatował.

Laura zupełnie zapomniała o słuchawkach. Mike mówił do Andy. Otworzyła usta, by mu się odciąć, ale każda trafna riposta utonęłaby w narastającym gwarze rozmów.

Ścisnęło ją w gardle. Nadal pamiętała, jak brzmi sala widzeń.

Strażnik włożył klucz do zamka.

- Pani Lauro... - Mike zasalutował jej i ruszył z powrotem do pokoju monitoringu.

Laura zacisnęła zęby, gdy strażnik otwierał drzwi. Kiedy przez nie przeszła, mężczyzna zamknął je za nią, a potem zaczął szukać klucza do następnych.

Znowu zaczęła nerwowo wykręcać dłonie. Właśnie to zapamiętała najlepiej ze swojej odsiadki: serię drzwi i bram, których nie mogła sama otworzyć.

Zerknęła w sufit i jeszcze mocniej zacisnęła zęby. Znowu była na sali sądowej z Nickiem. Stała w miejscu dla świadka, wykręcając dłonie i unikając jego wzroku, ponieważ wiedziała, że jeśli pozwoli sobie na chwilę słabości, straci determinację i wszystko przepadnie.

„Wydadz go”.

Strażnik otworzył drzwi. Gwar rozmów się spotęgował. Usłyszała śmiech dzieci. Dźwięk piłeczki pingpongowej odbijanej raketkami. Dotknęła plastikowych słuchawek, upewniając się, że tkwią mocno w uszach. Dlaczego tak potwornie się denerwowała? Wytarła spoczone dłonie w dzinsy, stojąc przed zamkniętymi drzwiami, ostatnią barierą dzielącą ją od Nicka.

Wszystko było nie tak.

Chciała cofnąć się do dzisiejszego poranka i zacząć od nowa. Odmówiła włożenia eleganckiego ubrania na tę okazję, ale teraz zżymała się na siebie za wybranie prostego czarnego sweterka i klasycznych dzinsów. Powinna włożyć buty na obcasie. Powinna ufarbować siwe włosy. Powinna nałożyć staranniejszy makijaż. Powinna okręcić się na pięcie i wrócić, ale wtedy drzwi się otworzyły, a ona wyszła zza rogu i zobaczyła Nicka.

Siedział przy jednym ze stołów na końcu sali.

Uniósł lekko brodę w geście powitania.

Udawała, że tego nie widzi. Udawała, że serce jej nie drży, udawała, że wcale nie jest rozedrgana.

Była tu dla Andrew, ponieważ musiała spełnić życzenie, jakie wyraził przed śmiercią.

Była tu dla Andrei, ponieważ dzięki niej naprawdę odnalazła cel w życiu.

Była tu dla siebie, ponieważ chciała pokazać Nickowi, że w końcu się wymknęła.

Szła przez wielką otwartą przestrzeń. Widziała ojców biorących dzieci w ramiona. Trzymające się za ręce pary pogrążone w cichych rozmowach. Paru adwokatów mówiących ściszym głosem. Dzieci bawiące się w wydzielonym dla nich kąciku. Uśmiechniętych nastolatków okupujących dwa stoły do ping-ponga. Co kilka metrów były rozmieszczone kamery, z sufitu zwisały mikrofony, przy drzwiach stali strażnicy. W rogu, obok wyjścia bezpieczeństwa, stał automat z napojami.

Od Nicka dzieliło ją już tylko kilka metrów. Patrzyła w jego kierunku, ale nie na niego, ciągle niegotowa na kontakt wzrokowy. Serce jej podskoczyło w piersi na widok pianina pod ścianą na końcu sali. Model Baldwin Hamilton School. Wykończony naturalnym drewnem orzechowym. Brakowało mu kłapy, klawisze miał zniszczone. Wyobraziła sobie, że nikt dawno go nie stroił. Tak się zapatrzyła w instrument, że omal nie minęła Nicka.

- Jinx? - Trzymał splecione dłonie na stole. Nieprawdopodobne, a jednak wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Nie na sali sądowej, nie w łazience na farmie, gdzie straciła przytomność, ale na dole szopy, kiedy Alexandra Maplecroft jeszcze żyła. Kiedy żadna z bomb jeszcze nie

wybuchła. Kiedy Nick rozpiął granatową dwurzędową kurtkę i całował ją w policzek.

Szwajcaria.

- Mam mówić do ciebie Clayton? - zapytała, nadal unikając jego wzroku.

Wskazał jej krzesło po drugiej stronie stołu.

- Moja droga, możesz mnie nazywać, jak chcesz.

Laura omal nie krzyknęła, zawstydzona, że jego głos ciągle robi na niej takie wrażenie. Usiadła i rzutem oka oceniła odległość między nimi. Dzielił ich niecały metr, czyli tyle, ile trzeba. Też splotła dłonie i położyła je na stole. W końcu pozwoliła sobie przelotnie spojrzeć w twarz Nicka.

Nadal była piękna.

Miał zmarszczki, ale drobne i niezbyt wiele. Nadal emanowała z niego ta sama energia, zupełnie jakby biło w nim niewyczerpane źródło.

Charyzma.

- Teraz jesteś Laurą? - Uśmiechnął się. Zawsze upajał się tym, że jest obserwowany. - Po naszej bohaterce z Oslo?

- To był przypadek - skłamała, patrząc ponad nim najpierw na ścianę, potem na pianino. - Ludziom z programu ochrony świadków nie można niczego narzucić. Albo przyjmujesz ich warunki, albo do widzenia.

Nick potrząsnął głową, jakby szczegóły go nie interesowały.

- Wyglądasz tak samo - powiedział, a gdy Laura nerwowo dotknęła palcami siwych włosów, dodał szybko: - Nie wstydz się, kochanie. Pasują ci. Przecież zawsze wszystko robiłaś z wdziękiem.

Laura w końcu spojrzała mu w oczy.

Złociste plamki w tęczęwkach tworzyły dobrze znany wzór, były jak gwiazdy. I te długie rzęsy. Oraz błysk zainteresowania

i podziwu w oczach, jakby była najbardziej intrygującą osobą, jaką spotkał w życiu.

- Moja dziewczynka.

Walczyła z uczuciem, jakim napawało ją zainteresowanie Nicka, walczyła z tą niewytłumaczalną potrzebą. Z łatwością znów by uległa jego urokowi, dałaby mu się porwać, zupełnie jakby znowu miała siedemnaście lat, a serce wyskakiwało jej z piersi jak balon wypełniony gorącym powietrzem.

Pierwsza zerwała kontakt wzrokowy, przenosząc spojrzenie na pianino.

Przypomniała sobie, że na końcu długiego korytarza Andy siedzi w małym ciemnym pokoiku i słucha każdego ich słowa. A także Mike. Oraz szeryf Rosenfeld i sześciu strażników ze słuchawkami i monitorami.

Nie była już nastolatką. Miała pięćdziesiąt pięć lat. Była matką. Prowadziła gabinet logopedyczny. Pokonała raka.

Teraz to było jej życie.

Nie Nick.

Odchrząknęła.

- Ty też wyglądasz tak samo - powiedziała.

- Tu nie ma za wiele stresów. Wszystko jest zaplanowane, trzeba się tylko pojawić. Jednak... - Przechylił głowę i spojrzał na jej ucho. - Starość jest okrutną karą za młodość.

Laura dotknęła słuchawki. Kłamstwo przyszło jej z łatwością.

- Lata koncertów zrobiły swoje.

Nick bacznie jej się przyglądał.

- Tak, słyszałem o tym. To ma coś wspólnego z komórkami nerwowymi.

- Z komórkami włoskowatymi ucha środkowego. - Laura wiedziała, że Nick ją sprawdza. - Transformują dźwięki w impulsy elektryczne, które aktywują nerwy, o ile nie są

zniszczone zbyt głośną muzyką.

Wyglądało na to, że przyjął wyjaśnienie.

- Powiedz mi, kochana, co u ciebie?

- Dobrze. A u ciebie?

- Cóż, siedzę w więzieniu. Nie słyszałaś, co się stało?

- Chyba widziałam coś w telewizji.

Pochylił się ku niej przez stół.

Odsunęła się od niego, jakby zobaczyła węża.

Uśmiechnął się. Błysk w jego oczach zamienił się w płomień.

- Chciałem tylko zobaczyć ślady.

Uniosła lewą dłoń, by pokazać mu bliznę po nożu Jonaha Helsingera.

- Powtórzyłaś numer Maplecroft, tak? Z większym powodzeniem niż ta nieszczęsna stara baba.

- Wolałabym nie żartować z kobiety, którą zabiłeś.

Zaśmiał się radośnie.

- Nieumyślne spowodowanie śmierci - sprostował - ale rozumiem twoje obiekcje.

Ścisnęła dłonie pod stołem. Musiała odzyskać panowanie nad sobą.

- Czyli widziałeś nagranie z restauracji?

- Tak. I naszą córkę. Jest śliczna, Jinx. Przypomina mi ciebie.

Serce podeszło Laurze do gardła. Andy tego słuchała. Jak przyjmie ten komplement? Czy mimo wszystko zobaczy w Nicku potwora? Czy raczej da się uwieść jego słowom?

- Słyszałaś o Pauli? - zapytała.

- O Pauli? - Pokręcił głową. - Nie przypominam sobie.

Znowu zaczęła wykręcać dłonie. I znowu nakazała sobie przestać.

- Penny - poprawiła się.

- A tak, kochana Penny, lojalna żołnierka. Zawsze się ciebie

czepiała, prawda? Nawet najbardziej niezwykle osobowości mają swoich krytyków.

- Ona mnie nienawidziła.

- Owszem. - Nick wzruszył ramionami. - Myślę, że była trochę zazdrosna. Ale po co wracać do starych czasów, skoro teraz świetnie się bawimy?

Laura szukała odpowiednich słów. Nie mogła pozwolić sobie na porażkę. Przyszła tu w jasnym celu i ten cel jej się wymykał.

- Jestem logopedką - oznajmiła.

- Wiem.

- Pracuję z pacjentami, którzy... - Urwała, żeby przełknąć ślinę. - Po tym, co zrobiliśmy, chciałam pomagać ludziom. Kiedy siedziałam w więzieniu, jedyną książką, jaką miałam, był podręcznik do logo...

Nick przerwał jej głośnym jękiem.

- To smutne, Jinxie. Kiedyś mieliśmy tyle tematów do rozmowy, ale ty się zmieniłaś. Jesteś taka... - Teraz on przez jakiś czas szukał odpowiedniego słowa. - Podmiejska - dokończył.

Laura zaśmiała się, ponieważ Nick ewidentnie chciał, by okazała się przeciwieństwem podmiejskości.

- Jestem podmiejska. Pragnęłam dać mojej córce normalne życie.

Czekała, aż Nick poprawi „moją” na „naszą”, ale powiedział tylko:

- Brzmi fascynująco.

- I jest fascynujące.

- Wyszłaś za czarnego kolesia. Cóż za kosmopolityzm.

„Czarny koleś”.

Dawno temu agent Danberry użył tych samych słów w odniesieniu do Donalda DeFreeze'a.

- Rozwiodłaś się - ciągnął Nick. - Co się stało, Jinx? Zdradził cię? Ty go zdradziłaś? Zawsze oglądałaś się za innymi.

- Nie wiedziałam, co mam - odparła w pełni świadoma obecności słuchaczy w odległym pokoiku. - Myślałam, że miłość to ciągle rozwibrowanie emocji. Namiętność i wściekłość, kłótnie i godzenie się.

- A nie?

Pokręciła głową. Tej jednej rzeczy nauczyła się od Gordona.

- To wynoszenie śmieci i oszczędzanie na wakacje. Pilnowanie szkolnych spraw dziecka. Pamiętanie o kupnie mleka.

- Naprawdę tak czujesz, Jinx Queller? Nie brak ci ekscytacji? Dreszczyku emocji? Takiego pieprzenia, że aż wióry lecą?

Laura próbowała ukryć zawstydzenie.

- Miłość nie polega na ciągłym chaosie - odparła. - Miłość daje spokój.

Nick oparł się czołem o stół i udawał, że chrapie.

Zaśmiała się, chociaż wcale nie miała na to ochoty.

Otworzył jedno oko i posłał jej uśmiech, mówiąc przy tym:

- Brakowało mi tego dźwięku. - A gdy Laura zerknęła ponad jego ramieniem w stronę pianina, dodał: - Słyszałem, że miałaś raka piersi.

W milczeniu pokręciła głową. O tym nie chciała z nim rozmawiać.

- Pamiętam, jak dotykałem wargami twoich piersi. Jak jęczałaś i wiałaś się, kiedy wkładałem ci język między nogi. Myślisz czasem o tym, Jinx? Wspominasz, jak dobrze nam było razem?

Patrzyła na niego. Przestała się martwić o Andy. Największa wada Nicka właśnie ukazała się w swej najgorszej postaci. On zawsze grzeszył nieokiełznaną pychą.

- Jak z tym żyjesz? - zapytała.

Nick uniósł brwi. Znowu rozbudziła jego ciekawość.

- Z poczuciem winy - doprecyzowała. - Za zabicie ludzi. Za wprawienie tej maszyny w ruch.

- Ludzi? - zapytał, ponieważ ława przysięgłych była podzielona w kwestii jego udziału w wybuchu bomby w Chicago. - Ty mi powiedz, skarbie. Jonah Helsinger. Tak się nazywał? - Czekał, aż Laura skinie głową. - Poderżnąłś mu gardło, chociaż to akurat w telewizji zamazali. - Gdy Laura w milczeniu przygryzła wewnątrz policzka, ciągnął dalej: - Jak ty z tym żyjesz? Jak się czujesz po zabiciu tego chłopaka?

Laura pozwalała tylko niewielkiej części swojego mózgu myśleć o tym, co zrobiła. Było trudno. Przez długie lata zaczynała każdy dzień od wyrzucenia z pamięci poprzedniego dnia.

- Pamiętasz wyraz twarzy Laury Juneau? W Oslo? - Nick tylko skinął głową. Zdumiewające, że był jedyną żyjącą osobą, z którą mogła porozmawiać o jednym z najbardziej kluczowych momentów w jej życiu. - Wydawała się pogodzona i spokojna, kiedy pociągała za spust. Za pierwszym i za drugim razem. Pamiętam, że się zastanawiałam, jak to zrobiła. Jak jej się udało wyłączyć swoje człowieczeństwo. Ale teraz myślę, że ona je uruchomiła. Czy to ma sens? Była całkowicie pogodzona z tym, co robi. Dlatego miała taką spokojną twarz.

Nick ponownie uniósł brwi.

Tym razem wiedziała, że czeka, aż ona przejdzie do sedna.

- Powtarzałam sobie, że nie chcę oglądać nagrania z restauracji, ale w końcu się przełamałam i obejrzałam. Miałam taki sam wyraz twarzy jak Laura, nie uważasz?

- Tak, też to zauważyłem.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby chronić moją

córkę. Absolutnie wszystko.

Nieszczęsna Penny boleśnie się o tym przekonała.

Brwi Nicka znowu powędrowały w górę. Czekał na dalszy ciąg.

Laura zarzuciła przynętę. Gdyby nieco się skupiła, mogłaby nawet poczuć gorącą krew Pauli kapiącą jej po ręce.

- Widziałeś Jaspera w telewizji? - zapytała.

Nick zachichotał.

- Wielki pokutny objazd po kraju. To okrutne, co powiem, ale cieszy mnie, że tak potwornie przytył.

Laura zachowała obojętny wyraz twarzy, nie mówiąc ani słowa.

- Przypuszczam, że teraz należy się spodziewać zjazdu rodzinnego, co? Zasilenia kont bankowych zasobami ze szkatuł Quellerów?

Laura milczała.

- Miło widzieć, jak major Jasper osobiście stawia się na każdej mojej rozprawie o zwolnienie warunkowe. Jest taki elokwentny, kiedy objaśnia, jak przez moje działanie stracił całą rodzinę.

- Wystąpienia publiczne zawsze świetnie mu szły.

- Pewnie miał to po Martinie - odparł Nick. - Zaskoczył mnie, kiedy stał się liberałem. Ledwo tolerował nałóg Andrew, a kiedy się dowiedział, że braciszek jest zdeklarowanym pedałem... - Nick przejechał kantem dłoni po szyi. - Och, skarbie, czyżbym przypomniał ci o Penny?

Laurze zaschło w gardle. Straciła czujność, a Nick to wykorzystał, by ją zranić. I ranił dalej:

- Biedny zdesperowany Andrew. Zapewniłaś mu dobrą śmierć? Umarł w spokoju? Twój wybór był tego wart, Jinx?

- Śmialiśmy się z ciebie - odparła, doskonale wiedząc, że to

najlepszy sposób na dotknięcie go do żywego. - Z powodu kopert. Pamiętasz koperty? Te, o których mówiłaś, że zostaną wysłane do siedzib FBI i najważniejszych gazet?

Nick zacisnął szczęki. Nie stać go było na żadną odpowiedź.

- Andrew śmiał się, kiedy o nich wspomniałam. Nie bez powodu. Nigdy nie byłeś dobry w doprowadzaniu spraw do końca. Szkoda, bo gdybyś dotrzymał słowa, Jasper już dawno wylądowałby w więzieniu, a ty byłbyś na warunkowym i wybierał meble z Penny.

- Meble? - powtórzył Nick.

- Widziałam twoją korespondencję z Penny.

Nick uniósł brwi.

Naczelnik i asystenci szeryfa, którzy kontrolowali jego pocztę mejlową, nie mieli o tym pojęcia, ponieważ nie znali szyfru.

Ona znała.

To Nick kazał swojej kompanii nauczyć się szyfru na pamięć.

- Ciągłe ją zwodziłeś. Obiecywałeś, że będziecie razem, jeśli tylko wymyślisz skuteczny sposób na opuszczenie więzienia.

- To tylko czcza gadanina. Nie sądziłem, że ona coś zrobi. Zawsze była trochę stuknięta. - Wzruszył ramionami.

Mike powiedział, że ława przysięgłych też tak to zinterpretuje. Nawet pisząc szyfrem, Nick zachował ostrożność.

Jeśli się mylisz w ocenie, to mamy tu tylko paranoję, pomyślała Laura.

- Kiedy wszystko się zaczęło, nawet nie pomyślałam, że to ty.
- Musiała być ostrożna w sprawie Kaptura, ponieważ Mike od razu zacząłby zadawać pytania, ale chciała, by Nick o tym wiedział. - Do głowy mi to nie przyszło. - Teraz to Nick spojrzał ponad jej ramieniem na salę, a Laura ciągnęła: - Podejrzewałam, że to Jasper. Zobaczył mnie na nagraniu

z restauracji i zaczął ścigać. – Urwała, by przemyśleć dobór słów. – Kiedy na farmie usłyszałam w słuchawce telefonu głos Penny, doznałam szoku.

Nick zawsze ignorował to, co mu się nie podobało. Teraz puścił mimo uszu informację o Penny. Podparł brodę dłońmi.

– Powiedz mi o broni, Jinx.

Zawahała się, ostrożnie przestawiając się na inne tory.

– Jakiej broni?

– O rewolwerze, który Laura Juneau znalazła w papierowej torbie przyklejonej w toalecie i użyła do zamordowania twojego ojca. – Puścił do niej oko. – Jak się ten rewolwer znalazł w Oslo?

Laura rozejrzała się po sali. Spojrzała na kamery na ścianach, mikrofony zwieszane z sufitu, strażników na posterunku. Nerwy miała napięte jak postronki.

– Tylko sobie gawędzimy, kochanie. Czym się martwisz? Czy ktoś nas podsłuchuje? – zapytał.

Laura przestała zaciskać usta. Stolik obok nich się zwolnił. W tej chwili słyszała tylko piłeczkę pingpongową odbijającą się od stołu.

– Skarbie, czy twoja wizyta zaraz się skończy? – Nick wyciągnął do niej rękę. – Tutaj można się dotykać.

Laura popatrzyła na jego dłonie. Dla nich też czas niemal się zatrzymał.

– Jane?

Bez namysłu splotła palce z jego palcami. Połączenie nawiązało się natychmiast, jakby ktoś włożył wtyczkę do gniazdka. Serce zabiło jej żywiej. Zebrało jej się na płacz, gdy poczuła falę tak dobrze znanej magnetycznej energii przepływającej przez ciało.

Druzgocąca była świadomość, że Nick tak łatwo znów

roztoczył swój czar.

- Powiedz mi. - Pochylił się nad stołem i zbliżył twarz do jej twarzy. Sala wizyt zniknęła. Laura znowu miała siedemnaście lat, siedziała w kuchni, pochłonięta lekturą czasopisma. Nick wszedł, pocałował ją bez słowa i wyszedł. - Jeśli będziesz mówisz szeptem, nie usłyszą cię.

- Czego nie usłyszą?

- Skąd wzięłaś tę broń, Jane? Tę, którą Laura Juneau zamordowała twojego ojca. Bo nie ode mnie. Nie miałem o niej pojęcia, póki nie wyjęła jej z torebki.

Laura przeniosła wzrok na pianino. Jeszcze nie zagrała dla Andy. Na przeszkodzie stanęły najpierw rana ręki, potem obawa.

- Kochanie - wyszeptał Nick. - Powiedz mi o rewolwerze.

Laura odwróciła uwagę od pianina. Spojrzała na swoje palce splecione z palcami Nicka. Jej dłonie wyglądały staro, były widoczne zmiany wywołane artretyzmem, a blizna po nożu Jonaha Helsingera nadal prezentowała się dość paskudnie. Natomiast skóra Nicka była gładka jak wtedy. Pamiętała jego rękę, gdy głaskały ją delikatnie, pamiętała czuły dotyk w dole pleców. Był pierwszym mężczyzną, z którym naprawdę się kochała, z którym przeżywała miłosną euforię i który dotykał jej tak, jak nikt przedtem i nikt potem.

- Powiedz mi - powtórzył.

Nie miała wyjścia. Musiała dać mu to, czego chciał.

- Kupiłam broń w Berlinie za osiemdziesiąt marek - zniżyła głos.

Uśmiechnął się.

- I...- W gardle ją drapało od chrapliwego szeptu. Niemal czuła woń dymu papierosowego w podejrzanym barze, do którego wysłał ją Nick. Pamiętała motocyklistów oblizujących

wargi na jej widok. Gwiżdżących za nią. Pchających się z łapami. – Poleciałam z Berlina Wschodniego, ponieważ kontrola bezpieczeństwa była tam o wiele mniej restrykcyjna. Przywiozłam broń do Oslo i włożyłam do papierowej torby. Przykleiłam ją do zbiornika w umówionym miejscu, dla Laury Juneau.

– Tamta Jane nie wahała się ani przez chwilę, prawda? To niesamowite – z uśmiechem skomentował Nick.

– Ty wysłałeś Penny, żeby znalazła papiery Jaspera? – zapytała. Próbował się odsunąć, ale mocno trzymała go za rękę. – Chciałeś zdobyć dokumenty z metalowego pudełka. Myślałeś, że wykorzystasz je do uzyskania przedterminowego zwolnienia. Wysłałeś po nie Penny.

Uśmiech Nicka wyrażał znudzenie tymi gierkami. Wsunął dłoń z jej uścisku. Skrzyżował ramiona na piersi.

Mimo to Laura nie dawała za wygraną.

– Wiedziałeś, co zrobiła Penny? Wiedziałeś, że chciała porwać moją córkę? Że chciała mnie zabić? – Czekala, ale Nick milczał. – Penny zabiła Edwina i tak mocno pobiła Clare, że złamała jej kość policzkową. I co ty na to, Nick? Jak się z tym czujesz? Tego od niej chciałeś?

Odwrócił głowę. Strzepnął wyimaginowane kłaczki ze spodni.

Laurze zrobiło się słabo. Znała ten wyraz twarzy, kiedy Nick z kimś kończył. Jej plan nie wypalił. Asystenci szeryfów, słuchawki, Andy na drugim końcu korytarza, wszystko to szlag trafił, ponieważ za bardzo przyparła Nicka do muru.

Celowo?

Czy działała na własną szkodę, ponieważ Nick ciągle miał nad nią władzę?

Zapatrzyła się w pianino, gorączkowo szukając sposobu na ratowanie sytuacji.

- Nadal grasz? - zapytał Nick.

Serce podskoczyło jej w piersi, ale nie oderwała wzroku od instrumentu, milcząc przy tym.

- Ciągłe na nie patrzysz. - Nick odwrócił się, by powędrować za jej spojrzeniem. - Nadal grasz? - powtórzył.

- Miałam zakaz. - Powieka jej drgnęła, chociaż Laura próbowała się nie zdradzić. - Ktoś mógłby rozpoznać mój styl, a potem...

- Gra skończona. Dosłownie. - Uśmiechnął się zadowolony z doboru słów. - Wiedziałaś, kochana, że brałem lekcje gry?

- Serio? - To pytanie było podszyte sarkazmem, ale Laurę niemal zatkało ze zdumienia.

- Pianino kurzyło się od lat w sali rekreacyjnej, ale potem jakiś głupek zebrał podpisy pod petycją, żeby postawić je tutaj dla dzieci. I oczywiście wszyscy podpisali, bo to „dla dzieci”. - Przewrócił oczami. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak uszy bolą, kiedy trzylatek tłucze w klawisze, próbując grać *Chopsticks*.

Laura szybko nabrała powietrza, by się nie rozmyślić.

- Zagraj coś dla mnie - poprosiła.

- O nie, Jinxie. W tę stronę nie pójdziemy. - Nick wstał i zamachał, by zwrócić uwagę strażnika, po czym wskazał pianino. - Moja przyjaciółka chce zagrać. Może?

Strażnik wzruszył ramionami, ale Laura energicznie pokręciła głową.

- Nie, nie zagram. Wykluczone.

- Ech, skarbie, wiesz, jak nie znoszę, kiedy mi odmawiasz.

Ton jego głosu był żartobliwy, ale tylko pozornie. Laura czuła, jak wraca do niej stary lęk. Jakaś jej część pozostała tamtą przerażoną dziewczyną, która straciła przytomność w łazience.

- Chcę usłyszeć, że znowu grasz, Jinx. Kiedyś skłoniłem cię do rezygnacji. Nie mogę teraz skłonić cię, żebyś do tego wróciła?

- Nie grałam od... od Oslo. - Dłonie jej drżały. Oparła je na kolanach.

- Proszę. - Zachował umiejętność wymawiania tego słowa tak, by wcale nie brzmiało jak prośba.

- Ja nie...

Nick obszedł stół i stanął przy niej. Tym razem Laura się nie wzdrygnęła. Lekko ujął ją palcami za ramię i pociągnął.

- Chociaż tyle możesz dla mnie zrobić. Obiecuję, że o nic więcej nie poproszę.

Pozwoliła mu się podnieść z krzesła i z ociąganiem podeszła do pianina. Poczowała, jak we krwi buzuje jej adrenalina. Była przerażona.

Jej córka tego słuchała.

- No, nie wstydź się. - Nick zasłonił ją ciałem przed wzrokiem strażnika i posadził na ławce z taką siłą, że aż zabolęła ją kość ogonowa. - Zagraj dla mnie, Jinx.

Powieki same jej opadły. Czuła narastające skurcze żołądka. Uśpiony przez tyle lat strach zaczął odzywać.

- Jane. - Nick wbił palce w jej ramię. - Powiedziałem: zagraj coś dla mnie.

Zmusiła się do otwarcia oczu. Spojrzała na klawisze. Nick stał blisko, ale nie napierał na nią. To palce, które wbijał jej w ramię, obudziły w niej stare demony.

- Graj.

Uniosła dłonie. Delikatnie położyła palce na klawiszach, ale ich nie nacisnęła. Sztuczna okleina była poprzecierana. Widoczne pod nią fragmenty drewna wyglądały jak drzazgi.

- Coś wesołego. Szybko, zanim się znudzę - ponaglił Nick.

Nie zamierzała stroić dla niego instrumentu. Nie wiedziała, czy warto. Postanowiła zagrać coś specjalnie dla Andy. Rozważała muzykę spod znaku gummy do zucia dla uszu graną przez okropne zespoły, które jej córka uwielbiała. Andy spędziła długie godziny, oglądając stare nagrania Jinx Queller na YouTube i słuchając pirackich nagrań jej występów. Lecz w palcach Laury nie pozostało nic z muzyki klasycznej. Nagle przypomniała sobie tamten zadymiony bar w Oslo, swoją rozmowę z Laurą Juneau i pomyślała, że wszystko powinno zakończyć się tam, gdzie się zaczęło.

Wzięła głęboki oddech.

Linie basową zagrała lewą ręką. Dobrze pamiętane nuty same spłynęły spod palców. Najpierw triola e-moll, potem A, znowu e-moll, potem D, trzykrotne C, refren w dur, od G do D, potem C, akord B7 i powrót do sekwencji e-moll.

W głowie słyszała całą piosenkę: Ray Manzarek na basie i klawiszach. Robby Krieger na gitarze. John Densmore na perkusji. W końcu Jim Morrison:

Love me two times, baby...

- Fantastycznie! - Nick podniósł głos, by go usłyszała.

Love me two times, girl...

Znowu zamknęła oczy. Dała się ponieść skocznym triolom. Tempo było zbyt szybkie, ale nie przejmowała się tym. Jej serce wezbrało. To była jej pierwsza prawdziwa miłość, nie Nick. Możliwość ponownego zagrania stała się dla niej darem. Nie zważała, że palce ma już niezdarne; że spóźniła fermatę. Znowu była w Oslo i wystukiwała rytm na kontuarze baru. Laura Juneau dostrzegła w Jane Queller kameleona. Była pierwszą osobą, która naprawdę doceniła jej zdolność do nieustannej adaptacji.

Jeśli nie możesz grać muzyki, którą ludzie cenią, graj taką,

którą kochają.

- Moja kochana. - Usta Nicka znalazły się tuż przy jej uchu.

Wzdrygnęła się wewnętrznie, ale nie pokazała swoich emocji. Wiedziała, że do tego dojdzie. Tak często górował nad nią, pochylając się do jej ucha. Najpierw przez sześć lat ich związku, potem w snach, wreszcie w koszmarach. Modliła się o taki scenariusz: ona mimochodem kieruje jego uwagę na pianino, on nie może oprzeć się pokusie i namawia ją na grę.

- Jane. - Pogładził ją kciukiem po szyi. Myślał, że pianino stłumi jego głos. - Ciągłe boisz się duszenia?

Laura zacisnęła powieki. Stopą wystukiwała rytm, wtórując palcom. To było łatwe. Na tym polegało piękno tej piosenki. Przypominała mecz ping-ponga. Te same nuty grane i powtarzane raz po raz.

- Pamiętam, jak mówiłaś to o Andrew. Dusić się, to jakby mieć torbę na głowie zawiązaną wokół szyi. Przez dwadzieścia sekund, prawda?

Brał na siebie odpowiedzialność za przysłanie Kaptura. Laura nuciła melodię w nadziei, że wibracje w jej żuchwie zakłócą nagranie Mike'a.

Yeah, my knees got weak...

- Bałaś się? - zapytał Nick.

Potrząsnęła głową, naciskając pedał, by podkreślić wibracje strun.

Last me all through the week...

-To wszystko twoja wina, najdroższa. Nie widzisz tego?

Laura przestała nucić. Znała rytm gróźb Nicka tak dobrze, jak nuty tej piosenki.

- To twoja wina, że musiałem posłać Penny na farmę.

Czując jego usta przy uchu, miała wrażenie kontaktu z papierem ściernym. Mimo to nie odsunęła się od niego.

- Gdybyś dała mi to, czego chciałem, Edwin by żył, Clara nie zostałaby ranna, a Andrea byłaby bezpieczna. To wszystko przez ciebie, najdroższa, ponieważ nie chciałaś mnie słuchać.

Zmowa.

Laura nie przerywała gry, chociaż czuła, jakby uchodziło z niej całe powietrze. Nick właśnie przyznał się do wysłania Pauli na farmę. Mieli to na nagraniu w małym ciemnym pokoju. Dni Nicka w tym wygodnym więzieniu właśnie dobiegły końca.

Ale on jeszcze nie skończył.

Musnął wargami koniuszek jej ucha.

- Dam ci inny wybór, skarbie. Niech nasza córka przemówi w moim imieniu. Niech powie komisji orzekającej w sprawach o zwolnienie warunkowe, że chce, by tatuś wrócił do domu. Namówisz ją do tego?

Przycisnął kciuk do jej tętnicy szyjnej, jak zrobił to wtedy, kiedy podduszeniem doprowadził ją do utraty przytomności.

- Czy mam cię zmusić do podjęcia innej decyzji? Tym razem nie Andrew, lecz twoja najdroższa Andrea. Byłoby straszne, gdybyś po tym wszystkim ją straciła. Nie chcę skrzywdzić naszego dziecka, ale to zrobię.

Groźby karalne. Zastraszanie. Wymuszenie.

Laura grała dalej, ponieważ Nick nigdy nie wiedział, kiedy należy skończyć.

- Powiedziałem ci, że podpale ziemię, by cię odzyskać, moja droga. Nieważne, ilu ludzi będę musiał wysłać, ilu zginie. Nadal należysz do mnie, Jinx Queller. Każda część ciebie należy do mnie.

Czekał na jej reakcję z kciukiem przyciśniętym do tętnicy, chcąc wyczuć przyspieszony puls, ewidentną oznakę paniki.

Laura nie wpadła w panikę, za to była w euforii. Znowu grała, teraz dla córki. Mogła już przestać, bo Nick

wystarczająco się pograżył, ale nie zamierzała odmówić sobie przyjemności dokończenia tego, co zaczęła. Teraz A, powrót do e-moll, D, trzykrotne C, i przeniosła się do Hollywood Bowl. Carnegie. Tivoli. Musikverein. Hansa Tonstudio. Trzymała w ramionach swoje dziecko. Kochała Gordona. Odepchnęła go od siebie. Walczyła z rakiem. Wyrzuciła Andreę z domu. Obserwowała ostatnią przemianę córki w energiczną interesującą kobietę. I trwała przy niej, ponieważ nigdy więcej nie miała zamiaru porzucić niczego, co kochała, dla tego odrażającego człowieka.

One for tomorrow... one just for today...

W celi nuciała te słowa pod nosem. Wygrywała melodię na wyobrażonej klawiaturze na ramie łóżka, tak jak wystukała ją Laurze Juneau na kontuarze baru. Nawet teraz, w obecności Nicka, swojego złego ducha, pozwoliła sobie na przyjemność zagrania do samego końca, ostatnich taktów, ostatniego staccato i...

I'm goin' away.

Oderwała dłonie od klawiatury i oparła je na kolanach. Trzymała opuszczoną głowę.

Nastąpiła zwyczajowa dramatyczna pauza, a potem...

Brawa. Owacja. Tupanie w podłogę.

- Fantastycznie! - krzyknął Nick. Pławił się w oklaskach, jakby były przeznaczone dla niego. - To moja dziewczyna, panie i panowie.

Laura wstała i strząsnęła z siebie jego rękę. Przeszła obok niego, minęła stoły i miejsce do zabawy dla dzieci, ale nagle uświadomiła sobie, że nigdy więcej nie zobaczy tego człowieka, który przybrał nazwisko Nicholas Harp.

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie jestem już skrzywdzona i bezradna - powiedziała.

Ostatnie oklaski przycichły i w sali zapadła cisza.

- Kochanie? - W uśmiechu Nicka czaiło się nieme ostrzeżenie.

- Nie jestem już skrzywdzona, nie jestem już bezradna. Wyleczyłam się. Moja córka mnie uleczyła. Moja córka - powtórzyła z naciskiem na „moja”. - Mój mąż mnie uleczył. Moje życie bez ciebie mnie uleczyło.

Nick zachichotał.

- Dobrze, Jinxie. A teraz zmykaj. Potrzebujesz czasu do namysłu. Musisz podjąć decyzję.

- Nie. - Wyrzuciła z siebie odmowę z taką samą determinacją, z jaką wyraziła ją trzydzieści lat wcześniej na farmie. - Nigdy cię nie wybiorę bez względu na to, co jest na drugiej szali. Nie wybieram ciebie.

Nick zacisnął zęby. Czuła jego narastającą wściekłość.

- Jestem wspaniała.

Zachichotał znowu, ale nie było w tym ani krzty wesołości.

- Jestem wspaniała - powtórzyła, zaciskając pięści. - Jestem wspaniała, ponieważ jestem sobą. - Przycisnęła dłoń do serca. - Mam talent. Jestem piękna i wyjątkowa. Znalazłam swoją drogę, Nick. Właściwą drogę, ponieważ sama ją sobie wytyczyłam.

Skrzyżował ramiona. Jej słowa mocno zbiły go z tropu.

- Porozmawiamy o tym później - oznajmił.

- Porozmawiamy o tym w piekle - wypaliła.

Odwróciła się, skręciła za róg i podeszła do drzwi. Ręce jej się trzęsły, gdy czekała, aż strażnik znajdzie właściwy klucz. Drżenie przeniosło się wyżej, objęło ramiona i tułów, przeniknęło do klatki piersiowej. Kiedy drzwi się przed nią otworzyły, zaczęła szcząkać zębami.

Dalej były kolejne drzwi. I czekanie, aż strażnik przekręci

w zamku kolejny klucz.

Szczękające zęby wydawały dźwięk jak obijające się o siebie kulki do gry. Laura spojrzała przez szybę. Mike stał między dwojgiem zamkniętych drzwi. Wyglądał na zaniepokojonego.

Powinien się niepokoić.

Poczuła mdłości, gdy dotarło do niej, co się stało. Nick kazał jej wybrać, groził Andy, a ona dokonała wyboru. Historia się powtarzała.

„Nie chcę skrzywdzić naszego dziecka, ale to zrobię”.

Drzwi się otworzyły.

Laura zwróciła się do Mike'a:

- Groził mojej córce. Jeśli będzie nas ścigać...

- Zajmiemy się tym.

- Nie. Ja się tym zajmę, rozumiesz?

- Hola, wyluzuj. - Mike uniósł ręce w uspokajającym geście. - Bądź tak dobra i najpierw mnie zawiadom. Tak jak mogłaś zawiadomić mnie o strzelaninie w centrum handlowym. Albo zanim pojechałaś do tego motelu. Albo...

- Po prostu trzymaj go z daleka od mojej rodziny. - Wewnętrzny głos nakazywał Laurze ostrożność. Po pierwsze Mike był gliną. Po drugie, wprawdzie nie została oskarżona o śmierć Pauli, ale wiedziała, że władza zawsze znajdzie sposób na zgnojenie człowieka, jeśli tak postanowi.

- Zostanie przeniesiony do więzienia o zaostrowym rygorze - uspokoił ją Mike. - Nie będzie pisał listów. Nie będzie miał widzeń w ogóle z nikim. Pysznic raz na tydzień, może godzina dziennego światła, jeśli mu się poszczęści.

Laura wyjęła słuchawki i położyła je Mike'owi na dłoni. Poziom adrenaliny spadał, palce już nie drżały, serce nie trzepotało jak ptak w klatce. Zrobiła to, po co tu przyszła, i już było po wszystkim. Nigdy więcej nie będzie musiała oglądać

Nicka.

Chyba że sama zdecyduje inaczej.

- Kiedy kazałaś mi wymyślić sposób na przeniesienie pianina do sali widzeń, pomyślałem, że ci odbiło. Przyznaję bez bicia - powiedział Mike.

Laura wiedziała, że musi dbać o jego przychylność.

- Pomysł z petycją był bardzo sprytny - przyznała.

- Szkolenie dla agentów, punkt sto pierwszy: można skłonić osadzonego, by zrobił wszystko dla frytek. - Mike był dumny jak paw. Czerpał przyjemność z tej gry. - Patrzyłaś na to pianino tęsknie jak dziecko na torebkę cukierków. Urobiłaś go.

Laura zobaczyła Andy przez okienko w drzwiach. Wyglądała dojrzałej, jak kobieta, a nie jak dziewczyna. Miała zmarszczone czoło, była wyraźnie zaniepokojona.

- Zrobię wszystko, żeby zapewnić mojej córce bezpieczeństwo - powiedziała Laura do Mike'a.

- Mogę wyliczyć kilka trupów, które boleśnie się o tym przekonały - odparł.

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i wycedziła:

- Pamiętaj o tym, kiedy przyjdzie ci do głowy zaprosić ją na randkę.

Drzwi się otworzyły.

- Mamo! - Andy rzuciła się Laurze w ramiona.

- Wszystko w porządku. - Laura bardzo chciała, żeby to była prawda. - Jestem tylko trochę roztrzęsiona.

- Była świetna. - Mike puścił oko do Laury jak do współpracownicy. - Pokonała go jak Tyson.

Andy posłała mu promienny uśmiech.

Laura odwróciła wzrok. Nie mogła znieść tej cząstki Nicka, jaką widziała u swojej córki.

- Muszę stąd wyjść - zwróciła się do Mike'a.

Mike dał znak strażnikowi, a Laura omal nie potknęła się o jego buty, gdy opuszczali strefę kontroli bezpieczeństwa. Czekala, aż Andy wyjmie z szafki jej torebkę, telefon i klucze.

- Coś mi przyszło do głowy - zaczął Mike, ponieważ nie umiał za długo milczeć. - Nick nie wiedział, że już przyznałaś się do przemycenia broni do Oslo, prawda? Dlatego dostałaś dwa lata odsiadki. Sędzia utajnił tę część ugody, bo nie chciał zaognić sytuacji międzynarodowej. Gdyby Niemcy dowiedzieli się, że Amerykanka przemyciła broń z Zachodu na Wschód w celu dokonania zabójstwa, wybuchłby dyplomatyczny skandal.

Laura wyjęła z rąk Andy swoją torebkę i upewniła się, czy w środku jest portfel, a Mike dodał:

- Kiedy powiedziałaś Nickowi o broni, myślał, że się obciążasz. Ale tak nie było.

- Dziękuję, Michaelu, że opowiedziałeś mi to, co zaszło przed chwilą - odparła Laura z przekąsem, po czym uściśniła mu dłoń. - Musimy już stąd wyjść. Wiem, że masz mnóstwo pracy.

- Jasne. Pomyślałem, że przeanalizuję swoje uczucia, może otworzę butelkę pinota. - Mike puścił oko do Laury, wyciągając na pożegnanie rękę do Andy. - Było mi bardzo miło, moja piękna.

Laura nie zamierzała patrzeć, jak córka flirtuje z gliną, tylko poszła za strażnikiem do ostatnich drzwi. W końcu szczęśliwa znalazła się na zewnątrz, gdzie nie było już ani zamków, ani krat.

Wciągnęła głęboko świeże powietrze i zatrzymała je w płucach, póki nie poczuła, że za chwilę eksplodują. Jasne słońce wywołało łzy. Zapragnęła znaleźć się na plaży, popijać herbatę, czytać książkę i obserwować córkę skaczącą przez fale.

Andy oplotła ją ramieniem i spytała:

- Gotowa?

- Poprowadzisz?

- Nie znosisz, kiedy prowadzę. Denerwujesz się.

- Do wszystkiego można przywyknąć. - Laura wsiadła do auta. Noga ciągle ją bolała po trafieniu odłamkiem w restauracji. Spojrzała na więzienie. Po tej stronie budynku nie było okien, ale jakaś jej cząstka nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Nick je obserwuje.

Prawdę powiedziawszy, to uczucie towarzyszyło jej przez ponad trzydzieści lat.

Andy wyjechała tyłem z miejsca parkingowego, potem przejechała przez bramę. Laura rozluźniła się dopiero na autostradzie. Umiejętności Andy bardzo się poprawiły od czasu jej spontanicznej podróży samochodowej. Laura wydawała z siebie stłumiony okrzyk jedynie raz na dwadzieścia minut, zamiast, jak kiedyś, raz na dziesięć.

- Kiedy mówiłam o miłości do Gordona, mówiłam serio. Był tym najlepszym, co mnie spotkało w życiu, oczywiście oprócz ciebie. Niestety nie umiałam docenić, co mam.

Andy pokiwała głową, chociaż dawno nie była już tą małą dziewczynką, która modliła się, by rodzice znów byli razem.

- Dobrze się czujesz, kochanie? Nie było ci trudno słuchać jego głosu albo...

- Mamo. - Andy zerknęła w lusterko przed wyprzedzeniem wolno jadącej ciężarówki, po czym oparła łokieć o okno i przycisnęła palce do skroni.

Laura patrzyła na drzewa migające za oknem. Wracaly do niej fragmenty rozmowy z Nickiem, ale nie rozpamiętywała jego słów. Nauczyła się, że musi iść naprzód. Gdyby się zatrzymała, Nick by ją dogonił.

- Mówisz jak on - odezwała się Andy. Kiedy Laura nie

zareagowała, dodała: - Nazywał cię najdroższą, kochaną, skarbem. Ty tak zwracasz się do mnie.

- Nie mówię jak on. To on mówi jak moja matka. - Laura odgarnęła włosy Andy za ucho, by zobaczyć jej twarz. - Właśnie tak się do mnie zwracała. Dzięki tym słowom czułam się kochana. Nie chciałam pozwolić, żeby Nick odebrał mi prawo do używania tych samych słów w odniesieniu do ciebie.

- Zawsze wiedziała, gdzie leżą pokrywki do pojemników - zacytowała Andy. To była jedna z charakterystycznych cech, które Laura przypisała swojej matce.

- To taka figura stylistyczna - wyjaśniła Laura. - Chodziło raczej o to, że wiedziała, który komplet chińskiej porcelany pochodził od Quellerów i gdzie powstały srebra stołowe Loganów. Miała w głowie mnóstwo bezużytecznych informacji, które, jak sądziła, dawały jej kontrolę nad własnym życiem. - Po chwili Laura dodała coś, co dopiero ostatnio uświadomiła sobie w pełni: - Matka była taką samą ofiarą mojego ojca jak my.

- Była dorosła.

- Nie została przygotowana do dorosłości. Wychowano ją na żonę bogatego mężczyzny.

Andy zamyśliła się, jakby analizowała różnicę między jednym a drugim. Laura pomyślała, że córka o nic już nie zapyta, ale wtedy Andy przerwała milczenie.

- Co powiedziałaś Pauli, kiedy umierała?

Laura od tak dawna bała się pytań o Paulę, że potrzebowała czasu na przygotowanie odpowiedzi.

- Dlaczego właśnie teraz pytasz? To było ponad miesiąc temu.

Andy wzruszyła ramieniem, ale nie uciekła w przeciągające się milczenie, jak kiedyś, tylko szczerze odparła:

- Nie byłam pewna, czy powiesz mi prawdę.

Laura zignorowała sedno zawarte w słowach córki i wykpiła się oględnym:

- To była zmodyfikowana wersja tego, co powiedziałam Nickowi. Że będzie się smażyć w piekle.

- Serio?

- Tak. - Laura nie była pewna, dlaczego ostatnie słowa skierowane do Pauli umieściła na długiej liście tych części swojej osoby, które ukrywała przed Andy. Może nie chciała testować granic ledwie co odkrytej moralnej dwuznaczności córki. Powiedzenie wariatce z żyletką tkwiącą w szyi: „Teraz Nick już cię nie zerżnie”, wydawało się przejawem małostkowej zazdrości.

Pewnie dlatego to powiedziała.

- Przeszkadza ci to, co zrobiłam Pauli? - zapytała.

Andy znowu wzruszyła ramieniem.

- Była zła. Pewnie można argumentować, że mimo wszystko była jednak człowiekiem i może istniał inny sposób, by ją unieszkodliwić, ale łatwo tak mówić, stojąc z boku. A wtedy twoje życie było zagrożone.

„Twoje życie, córeczko”, chciała sprostować Laura. Ukrywając żyletkę w zabandażowanej dłoni, wiedziała, że zabije Paulę Evans, bo miała czelność skrzywdzić Andy.

- Kiedy po rozmowie z nim wychodziłaś z sali widzeń, dlaczego nie powiedziałaś mu o słuchawkach? Że każde słowo, które szeptał ci do ucha, zostało nagrane? To byłoby takie pożegnalne „Wal się”.

- Powiedziałam, co musiałam - odparła Laura, chociaż przy Nicku traciła pewność siebie. Dobrze się czuła, mogąc rzucić mu to wszystko prosto w twarz, ale teraz ogarnęły ją wątpliwości.

Jo-jo znowu wracało.

Andy wydawała się usatysfakcjonowana zakończeniem rozmowy w tym punkcie. Włączyła radio i zaczęła szukać stacji.

- Podobała ci się piosenka, którą zagrałam? - zapytała Laura.

- Może być. Chyba jakaś stara.

Laura złapała się za serce, dotknięta tą uwagą.

- Nauczę się czegoś innego. Podaj tytuł.

- Może *Filthy*?

- A może coś, co jest prawdziwą muzyką?

Andy przewróciła oczami. Przyciskiem uparcie zmieniała stacje, a Laura przypuszczała, że w poszukiwaniu dźwięków o głębi waty cukrowej.

- Przykro mi z powodu twojego brata - powiedziała nagle Andy.

Laura zamknęła oczy, walcząc z napływem łez.

- Postąpiłaś słusznie. Stanęłaś po jego stronie. To musiało wiele kosztować.

Laura sięgnęła po chusteczkę i osuszyła oczy. Mimo upływu lat nadal nie umiała się z tym pogodzić.

- Trwałam przy nim cały czas, nawet kiedy negocjowaliśmy układ z FBI.

Andy przestała grzebać przy radiu.

- Andrew umarł dziesięć minut po podpisaniu ugody. Miał spokojną śmierć. Trzymałam go za rękę. Musiałam się z nim pożegnać.

Andy pociągnęła nosem. Zawsze wczuwała się w nastroje matki.

- Został przy tobie na tyle długo, by zyskać pewność, że nic ci nie będzie.

Laura znowu odgarnęła Andy włosy za ucho.

- Tak właśnie o tym myślę.

Andy otarła oczy. Zostawiła radio w spokoju. Jechała prawie pustą drogą międzystanową. Rozmyślała o czymś, ale zachowywała te myśli dla siebie.

Laura oparła głowę o zagłówek i patrzyła na migające za oknem krajobrazy. Próbowwała cieszyć się panującą w samochodzie ciszą. Od powrotu Andy do domu co noc budziła się zlaną zimnym potem. Nie cierpiała na stres pourazowy. Nie drżała o bezpieczeństwo Andy. Przerazała ją perspektywa ponownego spotkania z Nickiem. Bała się, że trik z pianinem i słuchawkami nie zadziała. Że Nick nie wpadnie w zastawione na niego sidła. Że ona sama nieświadomie wpadnie w jego pułapkę.

Nienawidziła go z całej siły.

I na tym polegał problem.

Jeśli człowiek nienawidzi kogoś aż tak, to znaczy, że jakaś jego część nadal kocha obiekt swojej nienawiści. Od początku te dwie skrajności były wplecione w nici DNA ich związku.

Przez sześć lat, nawet kiedy go kochała, jakaś część Laury nienawidziła Nicka w ten dziecinny sposób, w jaki nienawidzi się czegoś, nad czym nie można zapanować. Był zawzięty, głupi i przystojny, czym pokrywał własne błędy – ciągle te same, ponieważ po co popełniać nowe, skoro stare tak dobrze działały na jego korzyść?

Był też czarujący. I na tym polegał problem. Oczarowywał ją. Doprowadzał do szału. Potem znowu tak mocno oczarowywał, że sama już nie wiedziała, które z nich jest węzłem, a które zaklinaczem.

Jo-jo wracające prosto do ręki tego, kto pociąga za sznurek.

Wykorzystywał więc czar i furję, ranił ludzi, znajdował coś nowego, co budziło jego zainteresowanie, a starocie zostawiał

na pastwę losu.

Jane była jedną z takich wyrzuconych starych rzeczy. Wysłał ją do Berlina, ponieważ się nią zmęczył. Początkowo cieszyła się wolnością, ale potem wpadła w panikę, że Nick nie będzie chciał jej z powrotem. Prosiła go i błagała, robiła wszystko, co jej przyszło do głowy, byle tylko odzyskać jego zainteresowanie.

A potem było Oslo.

Ojciec zginął. Laura Juneau zginęła. I wtedy całkiem nieoczekiwanie czar Nicka przestał działać. Jakby pociąg wypadł z szyn. Jakby zabrakło maszynisty. Błędy nie mogły być już wybaczone. Ten sam błąd popełniony po raz drugi nie poszedł tym razem w niepamięć, a gdy zdarzył się po raz trzeci, przyniósł tragiczne konsekwencje w postaci życia odebranego Alexandrze Maplecroft, a potem śmierci, która dosięgła Andrew. Niewiele brakowało, a sama też straciłaby życie w łazience na farmie.

Z niewiadomych powodów nadal go kochała. Może nawet jeszcze bardziej.

Nick zostawił ją przy życiu. To powtarzała sobie w kółko, odchodząc od zmysłów w więziennej celi. Zostawił na farmie Paulę, żeby jej pilnowała. Planował po nią wrócić. Zabrać ją do wymarzonego mieszkania w Szwajcarii, która nie podpisała umowy o ekstradycji ze Stanami Zjednoczonymi.

Rozpaczliwie uchwyciła się tej iskierki nadziei.

Andrew umarł, Jasper zniknął z jej życia, a ona wpatrywała się tępo w sufit celi, płakała z szyją obolałą od duszenia, z powoli blednącymi sińcami, z dzieckiem Nicka rosnącym w jej brzuchu, i nadal rozpaczliwie go kochała.

W cierpieniu było jej obojętne, jak się naprawdę nazywał: Clayton Morrow czy Nicholas Harp.

Dlaczego była taka głupia?

Jak mogła nadal kochać człowieka, który próbował ją zniszczyć?

Kiedy z nim była – a trwała przy Nicku długo, aż do jego upadku – zbuntowali się przeciwko systemowi, który tak bezwzględnie przeżuł i wypluł Andrew, Roberta Juneau, Paulę Evans, Wiliama Johnsona, Clarę Bellamy i całą resztę, z której powstała ich mała armia. Łańcuch tego systemu tworzyły ogniwa: Domy opieki. Oddziały ratunkowe. Wariatkowo. Brud. Personel zaniedbujący pacjentów. Sanitariusze ciasno wiążący kaftan bezpieczeństwa. Pielęgniarki odwracające głowy. Lekarze wydzielający tabletki. Uryna na podłodze. Odchody rozmazane na ścianie. Szyderstwa, bicie, pożądanie ze strony współwięźniów czy innych pacjentów.

Bardziej niż bunt przeciwko niesprawiedliwości powodowała Nickiem wściekłość. Nęciła świeżość nowej sprawy. Szansa na sianie zniszczenia. Niebezpieczna gra. Groźba przemocy. Obietnica sławy. Ich imiona podane do wiadomości publicznej. Ich doniosłe czyny na ustach dzieci uczących się w szkole rymowanki o nominałach:

A penny, a nickel, a dime, a quarter, a dolar bill...

Na koniec ich czyny zostały ujawnione opinii publicznej, ale nie tak, jak Nick im obiecał. Zeznanie, które Jane Queller złożyła pod przysięgą, odsłoniło kulisy planu i jego realizacji od początku do końca. Trening. Ćwiczenia. Musztra. Nie pamiętała, kto pierwszy wpadł na ten pomysł, ale to Nick opracował szczegółowy plan działania i zaraził ich entuzjazmem. Jednak ten entuzjazm przemienił się w niekontrolowany ogień, który ostatecznie pochłonął ich samych.

Jane ukryła przed światem jeden jedyny grzech, którego

nigdy by nie wyznała. To ona rozdmuchała pierwszą iskrę.

Pojemniki z farbą.

Ustalili, że właśnie one powinny się znaleźć w papierowej torbie. Taki był plan na Oslo: Martin Queller miał zostać symbolicznie splamiony krwią swoich ofiar na oczach całego świata. Komórka Pauli przeniknęła do producenta barwnika z okolic Chicago, a Nick przekazał pojemniki Jane zaraz po jej przyjeździe do Oslo.

Natychmiast po jego wyjściu wyrzuciła je do śmieci.

Wszystko zapoczątkował ponury żart, jaki rzuciła Laura Juneau w rozmowie z Andrew, a on podzielił się tą historią w jednym z szyfrowanych listów wysłanych do Berlina:

Biedna Laura powiedziała mi, że mogłaby równie dobrze znaleźć w torbie broń. Nawiedzają ją wciąż te same fantazje, że zabija ojca z takiego rewolweru, z którego jej mąż zabił ich dzieci, a potem kieruje broń w swoją stronę.

Nikt, nawet Andrew, nie wiedział, że Jane postanowiła potraktować ten żart poważnie. Kupiła rewolwer od motocyklisty w knajpie, do której Nick wysłał ją zaraz po przyjeździe do Berlina i w której bała się, że padnie ofiarą zbiorowego gwałtu. Siedziała tam przez godzinę, ponieważ Nick uprzedził ją, że jeśli wyjdzie minutę przed czasem, on dowie się o tej niesubordynacji.

Przez ponad tydzień zostawiała broń na stole w jednopokojowym mieszkanku, mając nadzieję, że zostanie skradziona. Postanowiła, że nie weźmie jej do Oslo, a jednak ją tam wzięła. Postanowiła, że zostawi ją w pokoju hotelowym, a jednak zabrała ją z pokoju. Wreszcie zaniósła ją do damskiej toalety w papierowej torbie i przymocowała taśmą klejącą za zbiornikiem z wodą. Zupełnie jak w *Ojcu chrzestnym*. A potem siadła w pierwszym rzędzie i patrząc, jak ojciec peroruje na

scenie, modliła się w duchu, żeby Laura Juneau nie spełniła swoich fantazji.

Jednocześnie pragnęła, by stało się inaczej.

Nicka zawsze przyciągały nowe ekscytujące rzeczy. Nic nie nudziło go bardziej niż przewidywalność. Jane nienawidziła ojca, ale kierowało nią coś więcej niż pragnienie zemsty. Desperacko pragnęła uwagi Nicka. Chciała mu udowodnić, że stoi po jego stronie. Liczyła, że zachwycony jej udziałem w morderstwie popełnionym przez Laurę Juneau, pokocha ją na nowo.

I tak się stało. Ale na krótko.

Przygniatało ją poczucie winy. Nick jej to wyperswadował.

Potem wmówiła sobie, że to wszystko zdarzyłoby się nawet bez broni.

Ale wtedy zaczęła się zastanawiać, czy...

Tak wyglądał ich związek przez sześć lat. Przyciąganie i odpychanie. Wir. Jo-jo. Rollercoaster. Wielbiła go. Gardziła nim. Niszczył ją. Był jej słabością. Stawiał ją przed wyborem: wszystko albo nic. Na tyle sposobów mogła opisać tę niewielką część siebie, którą Nick zawsze umiał pchnąć ku szaleństwu.

Była w stanie wycofać się tylko dla dobra innych.

Najpierw dla Andrew, potem dla Andrei.

To był prawdziwy powód, dla którego pojechała dzisiaj do więzienia. Nie chciała ukarać Nicka. Chciała go od siebie odepchnąć. Trzymać w zamknięciu, by sama mogła być wolna.

Zawsze wierzyła - żarliwie, głęboko - że jedynym sposobem na przemianę świata jest jego unicestwienie.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej redaktorce Kate Elton i mojemu zespołowi w Victoria Sanders and Associates, a wśród nich: Victorii Sanders, Diane Dickensheid, Bernadette Baker-Baughman i Jessica Spivey. Dziękuję Liate Stehlik, Heidi Richter-Ginger, Kaitlin Harri, Chantal Restivo-Alessi, Samancie Hagerbaumer i Juliannie Wojcik z HarperCollins International i Morrow. Składam wyrazy uznania wszystkim wspaniałym oddziałom wydawnictwa, które odwiedziłam w ubiegłym roku, i ludziom, z którymi spędziłam czas w Miami. Dopisuję do tej listy Erica Raymana. Dziękuję ci za wszystko, co robisz.

Pisanie tej książki wymagało ode mnie zebrania wielu informacji z różnych dziedzin. Niektóre z nich nie znalazły się w ostatecznej wersji tekstu, ale mam całą listę osób, które okazały mi pomoc w uchwyceniu nastrojów i emocji. Moja przyjaciółka po piórze Sara Blaedel skontaktowała mnie z Anne Mette Goddoken i Elisabeth Alminde, które przybliżyły mi norweskie tło. Regula Venske opowiedziała mi o Niemczech podczas naszej fascynującej rozmowy w Düsseldorfie. Żałuję, że zaledwie ułamek tej rozmowy znalazł swoje odbicie w fabule. Elsie Diffie pomogła mi przy odwołaniach do kultury. Jestem niezmiernie wdzięczna Brandonowi Bushowi i Martinowi Kearnsowi, dzięki którym zyskałam wgląd w życie zawodowego pianisty.

Dziękuję Salowi Towse i Burtowi Kendallowi, moim drogim przyjaciółom i ekspertom z San Francisco.

Dziękuję Sarah Ives i Lisie Palazzolo, które wygrały konkursy pod hasłem „Niech twoje imię i nazwisko pojawią się

w następnej książce”. Mam także nadzieję, że Adam Humphrey cieszy się z wygranej.

Dziękuję mojemu tacie, który nieodmiennie troszczy się o mnie, kiedy piszę kolejną książkę i jednocześnie usiłuję radzić sobie z codziennością. Najgorętsze podziękowania zachowałam na koniec dla DA, mojej miłości, za bycie Nikim, jak w wierszu Emily Dickinson.

[1]Emily Dickinson *I'm Nobody! Who are you?* (260). Tłum. Ludmiła Mariańska.

[2]Like a Virgin - tytuł przeboju Madonny.

[3]Emily Dickinson *I felt a cleaving in my Mind* (106). Tłum. Stanisław Barańczak.